

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI

WYDAWCA
KSIĘGARNIA

PODZWONNE



KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI

SOLUCH STANISŁAW

PODZWONNE



KRAKÓW 1933

Odbitka z »Czasu« — 1933 r.



104833

ODBITO W DRUKARNI »CZASU« W KRAKOWIE
pod zarządkiem Leopolda Wójcicka.



I.

W kwietniu 1913 roku pisma warszawskie podały do wiadomości czytelników, że w kościele św. Aleksandra pobłogosławiony został związek małżeński między Józefem Padniewskim, ziemianinem z Proszowskiego, a panną Marją Siemieniecką z Litwy... Ponieważ Siemienieccy byli bardzo majątni i skoligaceni, a rodzina Padniewskich nie należała „do towarzystwa“, w salonach warszawskich utrzymywano, że panna wyszła z miłości. Ta sama instancja orzekła w kilka miesięcy potem, że Padniewscy stanowią parę kochającą się i szczęśliwą. Podobną opinię wypowiedziano również w Siemieńczycach i w Moskwie, gdzie Padniewscy spędzili część wojny. Tego samego zdania byli zapewne także młodzi państwo. Ale to ich „szczęście“ nie wytrzymało próby lat, tj. kilkuletniego przymusowego rozstania w czasie wojny, kiedy Józek, pozbawiony dopływu gotówki, znudzony tułaczką i próżniactwem, stęskniony do pracy na roli wrócił w 1917 roku do kraju, pani Inia zaś z chorą matką została w Rosji, skąd rzadkie i skąpe przysyłała wieści. Gdy listy przestały przychodzić, Józek nie zajął się

zupełnie poszukiwaniem zaginionej, lecz już w kilka miesięcy po zamilknięciu żony oświadczył znajomym, że żona jego padła ofiarą teroru bolszewickiego i żył odtąd w przyjemnem wdowieństwie całe trzy lata, tj. do dnia, w którym „nieboszczka“ telegramem ze Sztokholmu doniosła mu o bliskim przyjeździe swoim do Warszawy. To cudowne ocalenie ofiary rewolucji zupełnie nie ucieszyło męża.

Gdy w domu zaczęły się przygotowania na przyjęcie młodej pani, Józek kazał dla żony wstawić otomanę w małym salonie, odmówił pieniędzy na kupno jakiegoś niezbędnego parawanu i szafy, ani razu nie zajrzał do pokoju żony, a w dniu jej przyjazdu nie chciał wybrać się na dworzec. Pojechał wszakże. Ale do ostatniej chwili odsuwał myśl o tem nowem jakimś życiu, które miało dziś się zacząć. Przeglądał sprawozdania giełdowe, obserwował Sulińskiego, który szybko przechadzał się po peronie z dwu wojskowemi, odczytywał ogłoszenia na murze kamienicy i dopiero na widok ogromnych sunących z miażdżącym rozmachem kół lokomotywy zadał sobie pytanie, jak też teraz ułoży się życie, które płynęło dotąd gładko i przyjemnie. Ale nie trapił się długo. Rozpoznawszy odrazu panią swoją po bardzo już zniszczonym wyprawnym płaszczu jesiennym, stwierdził, że żona ubrana jest jak ostatni szurgot, że bardzo wychudła i zestarzała się, poczem pomyślał z ulgą, że tak bardzo zbiedzona i skromna istota nie będzie mu oczywiście zawadzała. Żona natomiast, dostrzegłszy męża, nie chciała się zgodzić, żeby tamten w elegan-

ckim palcie, ociężały, tęgi pan z przystrzyżonym wąsem był dawnym Józkiem, którego ona ma witać ze szczęściem i kochać.

Jakże on się zmienił! Ale i ona jest inną. Gdzież się podziela radość powrotu? Dlaczego zamiast radości powrotu odczuwa zakłopotanie, lęk i chęć ucieczki... I skąd ta tęsknota za tem, co przeszło, nie wróci nigdy, o czem powinna zapomnieć. Zalała serce fala żalu za zmarłym... wszyscy wrócili, tylko jego już nie ma, tego, który za Polskę oddał młode życie.

Stojąc w drzwiach, zagradała wyjście podróżnym, którzy tłoczyli się w korytarzu. „Albo pani wysiada, albo pani zostaje“ — ofuknął ją niecierpliwy jegomość. Zbiegła po stopniach prędko, z determinacją, jak do zimnej kąpieli. Nastąpiło powitanie, w miarę czule, padały krótkie pytania, odpowiedzi. „Gdzieżeś przepadała tak długo? Czemu nie pisałaś?“

— Pisałam kilka razy... wrócić nie mogłam z powodu choroby mamy.

— Ciotka Fipa zakupiła niejedną mszę na twoją intencję...

Prędka, sepleniąca mowa męża razila Inię... On dawniej tak nie mówił!

Uklonił się niedbale dwu towarzyszkom podróży żony.

— Co? Nie masz na tragarzy! — zdziwił się — Wacek to załatwi...

Zajechał nowy samochód, którym pragnął pochwalić się właściciel, na który nie raczyła spojrzeć żona. Witania z rozrzewnieniem drogie miasto, takie jakieś smutne, stare i brudne w to pochmurne dżdżyste popołudnie majowe.

Polska! Stolica wielkiego państwa! Uklękałyby i ucałowały mokre kamienie, brałyby w ramiona i przycisnęłyby do serca każde drzewo i każdą z tych szpetnych kamienic, a przede wszystkim pokłoniłyby się nisko małemu żołnierzykowi, który biegł z drewnianym kuferkim.

— Nasza policja, nasze wojsko! — zwróciła się do osowiałej towarzyszki — widzicie, jaki wszędzie ład. A jak szkalują nas gazety niemieckie! Niechże, przyjdą tu i przekonają się szwaby! — cieszyła się głośno, ale radości w sercu nie było... Na obczyźnie i podczas podróży wmawiała w siebie, że skoro wróci do kraju, do własnego domu, wszystko ułoży się po dawnemu. Tymczasem, zaledwie znalazła się obok męża, wybuchła tęsknotą za tym, którego niema, którego zapomnieć nie mogła i nie chciała. I Polska wydała się jej pusta...

Samochód stanął na Szopena. Młode kasztany miotały się na wietrze. Przypomniała się Ini zielona willa wśród młodego ogrodu na wzgórzu, biegnący w dół do stawu szpaler wiotkich brzoź, dwie nad stawem osiny, z których wicher zrywał liście w dniu rozstania... Jak liście, które leciały onej niedzieli jesiennej na ziemię, jak ów wiatr, który pochylał wówczas brzozy, minęło tamto.

— Dobra maszyna! Co?... Mercedes! — nie wytrzymał Józek.

— Wspaniała maszyna!... — odparła, wspominając ów spacer ostatni wśród huczących drzew, po zaspanych liśćmi ścieżkach.

W przedpokoju siwiejący, zażywny, wyperfumowany żyd zabrał jej z ręki torebkę, ściana-

gał płaszcz, potem wzięła ją sztywnie w objęcia i odmierzyła trzy szorstkie pocałunki ciotka Fipa, o której istnieniu zapomniała, potem Józek, przedstawivszy jej swoją sekretarkę, bardzo onieśmiałoną, niską, szczupłą panienkę, o bladej twarzy, wylupiastych, czarnych oczach i krótkim, ściętym nosie, oprowadzał po mieszkaniu, pokazywał meble, dywany, lustra, obrazy i, pragnąc oczywiście wywołać pochwałę, wymieniał raz po raz cenę antyków. Ale żona milczała. Raz tylko spytała, skąd w nim to nagłe zamiłowanie do sztuki... Józek skwapliwie wytłumaczył, odkąd i dlaczego obrazy stały się doskonałą lokatą kapitału, a gdy z satysfakcją zaczął znowu wyliczać, ile zapłacił za Fałata, Kossaka, Malczewskiego, ile już na nich zarobił, Inia poszła do okna. Szybka, niemęska mowa męża dziwnie działała jej na nerwy. Oparła ramiona na parapecie, patrzyła w ulicę. Młode kasztany zataczały się na wietrze, w kamienicy naprzeciwko w jednym pokoju świeciła się już elektryczność. Widać było stół jadalny, duży, ciemny kredens, połyskujące srebra, panią o białych włosach z gazetą... Domowe szczęście... A tu jest jej dom... ten, o którym się myślało i mówiło przez tyle lat; gdy wrócę do domu... Tu musi zostać i mieszkać z tym obcym, zupełnie obojętnym panem, który jest jej mężem. Ale jest Sawa, drogi i dobry brat, jest Polska... Zabierze się do pracy — pocieszała się rozsądnie. — Poto wróciła do Polski, poto cierpiała, by zacząć tu życie istotne, wartościowe — odezwały się jego słowa: —

Tak, to jedno... znaleźć życie... piękne, wartościowe.

— Chodź! Nie widziałaś jeszcze pokoju sypialnego.

Usiadła prędko, wzdrygnąwszy się na myśl o dwu łózkach małżeńskich. Tu w salonie była przynajmniej narazie gościem jeszcze.

— A rodzice twoi? Ania? — spytała.

— Ojciec zmarł nagle na udar w Krakowie w Muzeum Narodowym, mater zbiera zioła, leczy i modli się... Ania zjawi się za chwilę... Zejdą się inni, by ciebie oglądać... może przyjdzie Piotr, który ciekawy jest twoich wrażeń z Bolszewji — trzepał Józek. — Trzeba się przebrać w najwspanialszą szatę. Nie możesz się tak pokazać Piotrowi.

— Nie mam wspaniałej szaty... Ale kto to jest ów Piotr?

— Nie pamiętasz Piotra Choroszewskiego?! To chluba naszej rodziny... wielki dziś w Polsce człowiek... przyszły zapewne dyktator. O twoim braciszku także głośno, lecz daleko mu do Piotra.

Nie zdążyła przebrać się na cześć chluby rodziny, goście bowiem byli już w przedpokoju: ułomny profesor Mściszewski, dawny nauczyciel literatury i przyjaciel rodziny, zgorzkniały i złośliwy dziwak, Teoś Podczaski, kuzyn i towarzysz lat dziecińczych, dyletant, uprawiający bez powodzenia poezję, muzykę, politykę, młodzieniec wielce nieprosty i ambitny, udręczony wstrętem do całej osoby swojej zwłaszcza do powierzchowności, do pokrytej pryszczami twarzy, potniejących rąk, otwar-

tych ust, wreszcie nieśmiały, podobny do Chińczyka szwagier Józka, Maciej Łuszczynski, skromny urzędnik, pokorny mąż karykaturalnie brzydkiej, hałaśliwej, ekscentrycznie ubranej Ani, znanej w obozie wszechpolskim działaczki.

Ania rzuciła się na szyję bratowej, przyglądała się przybyłej z piekła moskiewskiego męczennicy, to przez szkła, to bez binokli, zasypała ją gradem pytań na temat ludożerstwa i tortur w Rosji, sama odpowiadała na zadawane pytania, a przy tej sposobności napadła na Teosia i męża, którym stale zarzucała bolszewizm i masonstwo.

Podczaski chwalił genjusz Lenina, wyśmiewał narodowe kołtuństwo... Ukazanie się służącego z herbatą przerwało dyskusję. Skupione dokoła marmurowego stołu towarzystwo zabrało się do jedzenia z żarłocznością, która zdziwiła Inię. Nawet rozpolitykowana Ania umilkła i zajęła się nakładaniem przysmaków na męzowski talerz. Gościnną Ciotka Fipa z pękiem kluczy w ręku krzątała się po mieszkaniu, stukając obcasami jak koza kopytkami i wydobywała z szaf śmietankowe cukierki domowego wyrobu, owoce smażone w miodzie. Józek częstował gości uprzejmie: „Może torciku, może babeczki“. Sam jadł dużo, prędko i łakomie. W pewnej chwili poszedł z trzema ciastkami na talerzyku do sekretarki, do panny Irki. Profesor, przekrzywiając głowę, mrużąc prawe oko oglądał jedną z nielicznych w tym domu książek: ciotki Fipy oprawne w czerwone płótno, przedpotopowe francuskie

Albumes lirique, ale często podnosił wzrok na gospodynię, która przywitała go obojętnie, jakby zupełnie obcego człowieka, a jednocześnie drwił z siebie, że jest wzruszony i szczęśliwy, że rozmarzyło go wspomnienie Siemieńczyc, niedorzecznego kochania, złotych zórz młodości. Ale skąd u niej ten wyraz znękania? — dziwił się zaniepokojony wyglądem dawnej uczenicy. — Coś ją trapi?... — odłożył książkę, przysiadł się bliżej dla zawiązania rozmowy z milczącą gospodynią, lecz nagle chwycił go ból w okolicy wątroby, któremu towarzyszyło zawsze uczucie przenikającego ciała i duszę chłodu.

— Rakaś w sobie wypielegnował, umrzesz niezadługo — dręczył siebie — a gdybyś się nawet wyleczył temi tam ziołami, co ci z tego, że ona wróciła. Znać ciebie nie chce, stary koczkodanie, ani razu nie spojrzały na ciebie jej cudne, dobre, szare oczy.

— Ciastka smakują podwójnie w czasach, gdy tłumy w ogonkach czekają co rano na chleb i cukier, którego niema — zauważył Teos.

— Mogą chamy trochę pogłodować! Spełniło się marzenie ojców, mamy wolną ojczyznę, mniejsza o chleb, o smalec, cukier — żartował gospodarz, zwracając się do siostry, patriotki.

Potoczyła się tak pospolita w odrodzonej Polsce rozmowa, która polegała na wyszydzeniu głupoty władz, demokracji i słabości rządu. Narzekano także na drożyznę, ochronę lokatorów, spadek marki, zażydzenie urzędów.

Józek oświadczył, że, jeżeli jeszcze kilka lat potrwa bałagan, wszyscy z tęsknotą wspominać będą czasy dobrego cara, gdyż Polski, w której rej wodzą chamy, nikt nie chciał.

Ania dygotała z pasji, lecz nie zabierała głosu, bojąc się brata, który zwykle dokuczał jej bez litości, uderzając w najczulsze struny jej patriotycznego serca.

— Wyrzekacie, boście dla Polski nie cierpieli, — wybuchnęła naraz Inia — bo nie kochacie ojczyzny, boście Polski nie warci, ani tych jej synów, którzy dla niej polegli...

Głos jej się załamał, spuściła głowę, by ukryć wzruszenie. Uczyniła się cisza.

— Niepotrzebnie oplakujesz swego bohatera... on żyje i jest w Warszawie... — szepnęła jej do ucha Teoś i, cofnąwszy się pod lustro, głośno dalej tłumaczył Ani, że ze krwi skatowanej burżuazji może narodzić się w Rosji lepszy świat.

— Panie profesorze! Może pan mądrym słowem skarci warcholstwo, przywoła do porządku bolszewika — wrzasnęła Ania — sama już nie poradzę.

Profesor jednym okiem przyjrzał się czerwonym rękóm swoim, podniósł nieprzyjazny wzrok na Anię, której znieść nie mógł, jak zresztą wszyscy mężczyźni.

— Przedewszystkiem nie przechowuję w swojej spiżarni żadnych mądrych słów a powtóre źle się szanowna pani wybrała, bom także bolszewik.

Ania ze zgrozą splotła ręce.

— Pan, panie profesorze, człowiek tak szlachetny! Znamy przecież pisma i działalność profesora...

Mćciszewski stanął przed Anią, wziął się pod boki.

— Pisma, działalność, człowiek szlachetny! — przedrzeźniał Anię. — A może kłamałem całe życie, oszukiwałem siebie i czytelników w owych napuszonych pismach. Nie stać mnie na szlachetność... Widziała pani kiedy takiego koczkodana? Mogłaby pani, mógłże ktokolwiek we mnie się zakochać? Co? Los skrzywdził mnie, Bóg i ludzie i dlatego pałam nienawiścią, dyszę zemstą, pragnę przewrotu...

Inia nie brała udziału w burzliwej rozmowie. Zaskoczona i wzruszona zagadkowym odezwaniem się Teosia, gubiła się w domysłach. Rozum mówił jej, że Teos zdrwił z niej, ale serce pałało radością. Szukała oczami kuzyna. Ten wszakże unikał jej, patrzył w lustro i w dalszym ciągu bluźnił przeciwko narodowym świętościom Ani.

— Iniu! — zawołał od progu na zamyśloną głos brata.

— Sawa! — odpowiedział mu radosny okrzyk siostry.

Kisawery Siemieniecki wysoki, wytwornie ubrany pan, szedł powoli z lekka pociągając nogą, z uśmiechem na ogolonej twarzy, z paczką w ręku.

Rodzeństwo przywitało się sztywnie. Sawa nie lubił bowiem uścisków, zwalczał także zaściankowy zwyczaj podawania ręki. Ukłoniwszy się całemu towarzystwu z daleka, po-

łożył paczkę, na stole i zabrał siostrę pod okno.

— Jużes cuchnęła! — rzekł błysnąwszy przedziwnie białemi i młodemi zębami — ale i my tu cuchniemy, tylko inaczej.

Pan Ksawery miał dar czy nałóg używania niespodziewanych przenośni i porównań, przeskakiwania z przedmiotu na przedmiot.

— Nie mogłem być na kolei z powodu zebrania K. O. K. — dodał już w zrozumiałym języku.

Chwilę w milczeniu gładził rękę siostry, patrząc na nią z czułością.

— Jak ty wyglądasz, Inieczko! Skóra i kości, skronie zapadnięte, zostały z ciebie tylko oczy ogromne i promienne. Sukieneczyna uboga. Nie jadłaś dawno wiatru hiszpańskiego... Co? Swojej ulubionej turty manifiki? A pamiętasz imieninki? Stryjaszek nazywał ciebie łakomuszką, mimo, że wszystko na talerzu swoim zostawiałaś dla kulawej Katarzyny... pamiętasz!!... orationes pathetica i „gderoica“ mamy, papeczka błogosławione odsieczce, — padały nazwy i słowa, które tylko dla nich miały sens i znaczenie.

— Minęło. Nastąpiła bękarcia epoka — minęły nobliwe czasy i ludzie! — powtarzał, gładząc wciąż rękę siostry. — Gdzieżeś, Inieczko, przepadła tyle lat? Dlaczego nie dałaś znaku życia?! Głowska a potem Wodecki roztrąbili na całą Polskę, żeś z mamą uciekła na Kaukaz, że was po drodze zamordowano... Wszyscy prócz nas odbierali listy od rodziny z Rosji, wszędzie byli Polacy i jakieś okazje...

A teraz — zniżył głos opowiedz mi o mamie — jak to się stało i kiedy?

— Cały rok mama przeleżała i cały rok przemilczała — kończyła ze wzruszeniem długie opowiadanie. — Nie chciała pasjansów, pacierzy, czytania, nie odpowiadała na pytania i ja z nią sama wśród tego wiecznego milczenia — wstrząsnął nią dreszcz na wspomnienie tych dni już dawnych. — Zasnęła snem wiecznym w sam dzień Wielkanocy podczas rewolucji. Pochowałam mamę w Helsingforsie, mama lubiła tamten cmentarz nad morzem. Mieszkałyśmy w Tamerforsie dla jakiejś przyjaciółki Szwedki, której tam zresztą nie było. Dlaczego nie odezwałam się? Dwa listy nasze zostały bez odpowiedzi, wówczas mama zabroniła pisać, ja także zażaliłam się... potem chorowałam długo, jestem niezaradna... z biedy i ze smutku zgłupiałam i ździeczałam i gdyby nie Ela Rogońska...

Pan Ksawery słuchał ze spuszczoną głową.

— W Helsingforsie na brzegu morza... w Helsingforsie na brzegu morza — powtarzał szeptem. — Cały rok milczała!... Z przerażenia i zgrozy! Łatwiej jej było znieść głód i nędzę, niż pogodzić się z rozpanoszeniem motłochu, który i nam się tu daje we znaki! — westchnął i zwrócił się do Ani, nazwał ją przechrztą z powodu zmiany wiary przodków na jakąś warszawską demokrację.

— Tego zarzutu nie może mi pan postawić — z należnym respektem ale bardzo gęrcząco zaprzeczyła Ania.

— Wiem, wiem, że pani jest rycerz w spod-

nicy. Sans peur et sans reproche. Nie zgodzi-
łaby się pani pozować Krzyżańskiemu. Lubit-
bym mieć portret pani, zwłaszcza w tej kra-
ciastej spódnicy.

— Mój portret? Chyba jako strach na
wróble.

— Pani jest arcydziełem — przypatrywał
się z upodobaniem „genjalnej karykaturze“,
jak nazywał Anię

Poczem, usiadłszy na kanapie, rozpakował
paczkę i pokazał zebrany talerz vieux
Vienne, białe w zielone liście, kupione do ko-
lekcji pani Mitki, wyjął z podłużnego pudełka
staroświecki naszyjnik z kamei, ofiarował go
siostrze, zaprosił ją do siebie na podwieczorek
panieński, oznajmił o zaręczynach Kota z Lo-
lą Krobską, i wyszedł, spiesząc się na konfe-
rencję z pewnym wybitnym cudzoziemcem.

— U góry psują, a my musimy potem na
prywatnych zebraniach odrabiać — rzucił na
odchodnym całemu towarzystwu.

Dogoniła go, biegnąc za nim na palcach
Ania.

— Powiadają, że mocarstwa uzależniły po-
życzkę od zmiany na najwyższym stanowisku
— zatrajkotała — niech pan uchyli rąbka ta-
jemnicy. Podobno Mortimer?..

Siemieniecki położył palce na ustach.

— Pani jest nazbyt ciekawa, a ciekawość
jest pierwszym stopniem do plotkarstwa. Co
tu pomoże pożyczka? Nie będzie w Polsce
porządku, aż nie staniemy nad Dnieprem...
Ale tego w Warszawie nikt nie rozumie prócz
tego, którego nikt zrozumieć i ocenić nie chce.

Ruszył do drzwi, lekko utykając, ale na progu stanął.

— Proszę państwa, oświadczam, że od dziś po rozmowie z pewną osobistością wybitną przeszedłem do bezwzględnej walki z opozycją. Nieszczęściem Polski jest głupota opozycji.

Zebrani przyjęli tę ważną wiadomość w milczeniu i po chwili także zaczęli się żegnać z gospodarstwem. Teos, zapowiedziawszy Ini swoją wizytę na jutro, wymknął się pierwszy za panem Ksawerym.

— Dlaczego pani taka znekana? Co panią trapi? Stary przyjaciel wszystko widzi i rozumie. Wartoż było wracać do ojczyzny, by tu oddawać się rozpaczy... Znajdzie się i na smutek rada. Pani jest piękna i dobra. Nikt nie odważy się skrzywdzić pani... stary Mściszewski obroni — z twarzy skrzywionej, zgryźliwej zmęczone niebieskie oczy patrzyły z czułością.

— Ani dobra, ani szczęśliwa, profesorze! — ani dobra, ani szczęśliwa! — rzuciła przyjacielowi na pożegnanie.

Odprowadziwszy towarzyszki podróży do naprędce przygotowanego pokoju gościnnego, wróciła po starą zniszczoną torebkę do salonu, a znalazłszy ją, usiadła, by jeszcze raz zastanowić się nad słowami Teosia i znowu dojść do wniosku, że on chyba okrutnie z niej zadzwiał... Bo skąd Teos mógł właśnie znać? Jak wogóle mógł wiedzieć? I dlaczegooby tak tajemniczo?... A jednak objęła serce słodka radość oczekiwania... „Kiedy spotkamy się w

kraju, w wolnej Polsce“ — snuli nieraz różne projekty. I oto spotkają się w Polsce, w wolnej ojczyźnie... gdzie? Tu, w domu męża, który za chwilę przyjdzie do niej z czułościami małżeńskimi — pomyślała z przerażeniem.

Józek chodził po mieszkaniu, gasił i zaświecał elektryczność, wołał do ciotki o znaczek na codzienny list do matki. Zjawił się wkońcu w salonie.

— Dlaczego to paniusia nie idzie spać? Paniusia pewno bardzo zmęczona... Łóżeczko gotowe.

Był w palcie. Nie uważał snuć za właściwe wyjść pierwszego wieczora bez opowiedzenia się. Usiadł na poręczu starego, wolterowskiego fotelu, laskę i kapelusz położył na marmurowym stole.

— Czy, czy uratowałaś kosztowności? — spytał, jękając się.

— Wszystko poszło. Mama długo chorowała... Lekcjami nie mogłam zarobić na życie. Wy tu zapomnieliście o nas — usprawiedliwiała się patrząc wielkimi, jasnemi oczami w przestrzeń.

— Ale musiało zostać trochę złotych rubli. Czyżby tatuńcio nie zdążył sprzedać sosenek? Siemieńczyce miały z 5 tysięcy mórg lasu...

Miała już wybuchnąć i powiedzieć mężowi, że powinienby raczej zapytać o matkę, ale pohamowała się i oświadczyła spokojnie, że nie posiada nic „ani lasu, ani ziemi, ani wołu, ani osła, ani żadnej rzeczy!“

— Ani ziemi, ani lasu, ani wołu, ani osła, ani żadnej rzeczy — powtórzył za żonę bez-

mysłnie kilka razy, oglądając ją od stóp do głów, a obejrzawszy dokładnie, stwierdził, że żona ma linję i rasę, zgrabną nogę, ładną rękę, ale że on do niej nic nie czuje.

Marszcząc pochylone czoło, Inia zbierała myśli i siły

— Chciałabym omówić z tobą niektóre sprawy — zaczęła odważnie, ale nie miała odwagi podnieść oczu. — Najlepiej odrazu na początku, żeby nie było nieporozumień. Nie chcę, nie będę darmo jadła twego chleba, poszukam sobie pracy — mówiła prędko.

— Podobno wakuje posada wymiataczki schodów w jednym ze zbytecznych ministerstw... — niedbale przerwał Józek.

Wilgotne wargi rozciągnęły mu się od ucha do ucha, ukazując w śmiechu małe, żółte, rzadko osadzone zęby.

— Zejdą się znajomi z całego miasta, by oglądać panią Padniewską z miotłą... Ładne kobiety zarabiają zwykle najwięcej zupełnie bez pracy.

— Józku, nie żartuj! — z przymusem wymówiła to imię, od którego odwykła — wróciłam inna... przecierpiałam wiele... inna jestem... i właśnie miałam ci powiedzieć...

Ale nie powiedziała nic... nie mogła... Zatrzasnęły się w niej jakieś drzwi. Zresztą o czymże miała mówić? Podniosła tylko oczy, czyste, jasne, smutne oczy, których wzroku bał się i nie lubił mąż.

Pocałowawszy swoją panią w rękę, śpiesznie wyszedł. W przedpokoju, szukając klucza od zatrzaśku, gwizdał. Było mu znowu lekko

na sercu. Zmartwiło go wprawdzie zaprzepszczenie złota i klejnotów, ale doszedł do wniosku, że żona nie będzie mu zupełnie przeszkadzała. Był wolny. Sztywna, sucha i zwiędła postać ciotki Fipy długo jeszcze tkwiła na krześle obok Ini, której kleiły się oczy do snu i głowa leciała ze zmęczenia w próżnię, i długo rozlegał się gdańskający głos spragnionej rozmowy ciotki. Na początek poszła historia paki z porcelaną i skradzionego futra, dzieje „ptaków“ czyli trzech ubogich studentów, którym codziennie dawała w swoim pokoju obiad, potem opowieść o cudach św. Ekspedyta i tragicznej śmierci Zochny wychowanki, potem fragment chwalebny o Józku, który pracą i rozumem dorobił się podczas wojny dużego majątku, wkońcu ostatni rozdział najdłuższy o Wodeckich z Ordynackiej, którzy mają ośmioro dzieci i wieczną chorobę w domu, co miesiąc zmieniają kucharkę, a wieczory spędzają w kinach, w teatrze, w Ziemiańskiej.

Wreszcie ciotka poszła. Odrazu opuściła Inię sennosć. Zamknąwszy wszystkie drzwi na klucz, wyjęła z małego irchowego woreczka (w którym przewoziła niegdyś kosztowności) kilka zapisanych kartek, wizerunek młodego legionisty o szczupłej twarzy, bujnej czuprynie i pełnych wyrazu, skupionych oczach...

Rzadko oglądała drogie pamiątki, bo za nadto rozdzierało się serce z żalu. Dziś poraz pierwszy po dniach żałoby odważyła się znowu...

A jeżeli Teoś żartował? Pochyliła twarz nad fotografią, patrzyła w oczy, które śmierć zgasiła na wieki. Ale nie wierzyła dziś, by już nie było tych oczu, drogich i mądrych. Zeszła na nią niby w jasnowidzeniu pewność, że on żyje i znajduje się w Warszawie... „Kiedy spotkamy się w kraju, w wolnej Polsce“...

Zatonęła we wspomnieniach, w marzeniu.

II.

Po wieczorze spędzonym u Irki, Józek wrócił do domu późno, ale wstał jak zwykle o ósmej. Podczas rannej toalety, która trwała długo, bo Józek, nie dowierzając służącemu, codziennie rewidował szafy z bielizną i ubraniem, stary wyperfumowany Szelkies stanął pod piecem i, patrząc zmęczonym wzrokiem w lustro, przed którym golił się dziedzic, spełniał swój codzienny obowiązek zabawiania klienta świeżą porcją wyłowionych na warszawskim bruku złotych interesów. Na pierwsze danie poszły akcje „od mamy“ czyli założycielskie, place na Czerniakowie i jakieś dobra w Lubelskiem. Ostrożny dziedzic zadawał pytania, robił dokładne obliczenia, wreszcie, próbując wziąć żyda na kawał, zaproponował zamianę jakiejś rudery na owe złotodajne place. Szelkies wpadł oczywiście w zdumienie nad rozumem klienta (co za kepele!) ale nie dał się nabrać.

Nakarmiony pochlebstwem klient wyprawił faktora, odmówił ranne pacierze i zasiadł do śniadania obok ciotki, która piła herbatę bez cukru, z suchym chlebem, żeby zaoszczędzić.

dzie Józkowi wydatków i choć w części pokryć koszt owych trzech codziennych obiadów, spożywanych przez „ptaki“ w mundurkach szkolnych. Zaczęły się żarty. Bratanek gorszył cnotliwą ciotkę sprośnemi anegdotami, opowieścią o własnych zmyślonych nocnych orgjach, namawiał do lekcji tańców, egzaminował z katechizmu, zarzucał brak pobożności, rozwiążłość, łakomstwo, zatwardziałość, rozpacz o zbawienie, czyli zbytnią ufność w miłosierdzie Boże (ten dowcip powtarzał się codziennie). Wyczerpawszy cały zapas konceptów, Józek po cichu, by nie słyszeli Brzózek i Wodecki, wygderał za zbyt wystawne przyjęcie wczorajsze, za „góry“ ciast, stopy kanapek, wieże tortów... za to, że u cioci mareczki fruują.

Poczciwa ciotka nie wypominała nigdy niewdzięcznemu bratankowi, że zabrał jej wszystkie kapitały, procentów zaś zupełnie nie płacił, ale obrażała się łatwo i, dotknięta do żywego żartami ulubieńca nieraz zamykała się w swoim małym przy kuchni pokoju, zastawionym szafami i kuframi, w których przechowywały się rzeczy Józka i tam płakała gorącemi, obfitemi łzami zwykle do samego obiadu... Miała już obrazić się i dziś. Na szczęście wsunęła się do jadalni tak zwana czarna cholera czyli starsza uboga ubrana pani, która zjawiała się co kilka dni, by zapytać o los swoich sum hipotecznych. Służący Wacek wypchnął ją za drzwi, Józek zaś odbył w gabinecie dwie przy zamkniętych drzwiach narady w Wodeckim i Brzózkim, przejrzał „Kurjera“ i pocztę, napisał do matki,

telefonował do Choroszewskiego, który znowu wciągał go do jakichś spółek.

Załatwiwszy wszystko podług rannego programu, posłał po auto, sam zaś z dwu parami jedwabnych pończoch okazyjnych, przywiezionych z Wiednia (był w szafie duży zapas pończoch) udał się najpierw do sekretarki.

— Jakto!.. Jeszcze pani nie wystukała listu do Smólskiego? — zadał rzeczowe pytanie tonem oficjalnym, ale patrzył czule.

Pochylona nad maszyną panienka wycierała jakąś cyfrę na arkuszu.

— List do Smólskiego już wysłany... — odparła, nie przerywając sobie zajęcia.

Szef wziął z maszyny małą, białą z cieniutkim pierścionkiem łapkę, ciepło pocałował, poczem niby ukradkiem położył na kolanach pończoszki. Zarumieniona z radości Irka, podniosła pełne wdzięczności spojrzenie.

„Jak ona umie się cieszyć!“ — z zadowoleniem stwierdził Józek, który lubił, kiedy rozdymały się z radości nozdrza jej krótkiego noska i westchnął, gdyż przypomniała mu się żona. Irka nie odznaczała się urodą. Twarz miała bladą, zbyt szeroką, wybaluszone oczy, zacisnięte usta i krótki jakby niespodzianie ścięty nos. Mimo to tkwił w niej jakiś „lubczyk“, skoro przywiązał się do niej, jak do żadnej z jej poprzedniczek.

Drugą parę pończoch zaniósł żonie.

Inia, klęcząc na ziemi, zamykała spieszenie, jak mu się zdało, duży podróżny kufer. Ten pośpiech zastanowił Józka, który nie chciał u-

wierzyć, by nic nie zostało z klejnotów i ze złota teściowej.

— Dobrze się spało po podróży? — zapytał bardzo głośno — co?... Jedziemy zaraz na sprawkę, zakupimy całą furę rzeczy, samochód stoi... a tu pończoszki.

Żona nie okazała zupełnie radości, nie chciała za nic ani przyjąć pończoch, ani wydawać męzowskich pieniędzy na fatałaszkę... Po krótkiej walce, gdy mąż wytłomaczył jej, że Warszawa nie jest pustynią, że pani Padniewska nie może chodzić jak szurgot, i może przyjąć od męża pożyczkę, uległa.

Dzień był pogodny i mimo wczesnej godziny już bardzo gorący. Młode kasztany, wczoraj wstrząsane gniewnym wiatrem, dziś nieśmiałym drżeniem liści szeptały nad głowami przechodniów łagodne, przychylne słowa, które ginęły w hałasie miasta. Wysoko w niebiosach odpoczywały oślepiająco białe, wypukłe, o dziwacznych kształtach obłoki. Ogromny lew tkwił nad wieżą zegarową dworca. Nie, nie był to lew, ale precudna wyspa szczęśliwości wśród lazurowego morza.

Mknęli w słońcu ulicą pełną zgiełku i wesołego pośpiechu aut, dorożek, ludzi. Samochód sunął miękko, lekko, cicho. Ogarnęło Inię bezmyślne zadowolenie... W sercu trzepotała się wesołość, jakiej nie znała oddawna... Widziała dokoła dostatek, urodę, uciechę. Życie płynęło rzeką gorejącą... Nurt rzeki porwał ją i uniósł daleko od brzegu żałoby... Zresztą poco żałoba?... On żyje. Oto wolna i szczęśliwa Polska... ludziom jest dobrze...

Z zapałem, który po dwóch spędzonych w smutku i ubóstwie latach wydał się jej grzesznym, zajęła się pracowitem wybieraniem kapelusza, płaszcza i sukni.

Dotykała z lubością kosztownych tkanin, mieniących się jedwabi, powiewnych batystów, krep, niewidzianych dawno, delikatnych słomek. Józek łaskawie zapłacił rachunek w dwu sklepach, w trzecim zaś w trakcie wypisywania czeku uprzytomnił sobie naraz, że on musi utrzymać aż cztery domy, i że największy magnat nie podołałby takim wydatkom. Oprócz matki, legalnej żony i legalnej przyjaciółki była ta czwarta nienasycona pożeraczka pieniędzy, nie żona i nie kochanka, głośna w Warszawie Tercja Bieżeńska, ostatnia podobno kochanka Wittego a pierwsza Dzierżyńskiego. Józek dotkliwie pokutował za krótkotrwały romans z młodą wdową, którego ongi zazdrościli mu koledzy uniwersyteccy w Petersburgu. Rodzice wyrwali go wówczas z niebezpiecznych sidła i przenieśli do Krakowa, dziś trudniej było obronić się przed dawną kochanką, gdy ta postanowiła go doić. Po „djablicy“ można było w razie odmowy wszystkiego się spodziewać, nawet oblania witriolem...

— Czy mam wziąć jeszcze tę białą? — nieśmiało ponowiła pytanie Inia.

— Na dziś może już dość — mruknął opryskliwie.

Wyszli razem, odprowadziła męża do banku. W nowym kostjumie i kapeluszu zmieniła się do niepoznania. Ludzie oglądali się za nią. Józek musiał przyznać, że jest piękna i szykow-

na. Ale uroda żony nie działała na niego, nie lubił bowiem przerasowania w kobiecie, a wielkie, promienne jej oczy przenikające „za skórę“ duszy wprawiały go w zakłopotanie. Nie była w jego typie... Tercia i Włada także. Dopiero Irka... ani ładna, ani postawna, a bierze... „powinowactwo skóry“ powiedział wielki w tych sprawach znawca Piotr.

Z banku wychodził wysoki, elegancki pan, w słomkowym kapeluszu, w czarnym ubraniu. Ruchy i sposób trzymania głowy, wzrok utkwiony przed siebie, nie widzący nic dokoła, cała postawa świadczyły, że to jest ktoś we własnym i świata mniemaniu wywyższony ponad pospólstwo. Inia, zmieszana bezceremonjalnym spojrzeniem urodziwego pana, nie odpowiedziała na jego ukłon, za co dostała porządną burę od męża, gdyż owym eleganckim panem był właśnie Piotr Choroszewski, o którego względy tak bardzo mężowi chodziło. Zbyła śmiechem długie i nudne wywody Józka, zawróciła w miejscu, poszła prosto przed siebie, gdzie oczy poniosą. Musiała odetchnąć powietrzem tej nowej, nieznannej jeszcze, wolnej, szczęśliwej Warszawy. Zaczęło się witania kochanego miasta niby domu rodzinnego po długim wygnaniu. Zatrzymując się raz po raz, cieszyła się, że ogromny czarny książę Erywański nie panował już miastu ze swego cokołu, że dzieci wracały z polskiej szkoły, że dom Stazyca nie raził oka ohydną moskiewszczyzną, że nie było nigdzie na lekarstwo rosyjskiego napisu, munduru, mowy... Z radością zauwa-

żyła jednogłowego orła na bramie uniwersyteckiej, z dumą i rozczuleniem przypatrywała się najeżonemu karabinami oddziałowi piechoty, która maszerowała w stronę Zamku. — Wszystko budziło w niej zachwyt i wszyscy ludzie byli bliscy jak bracia. Drogie miasto, wczoraj szare, brudne i smutne, dziś jaśniało weselem, kipiało młodem życiem. Niekiedy stała i szukała wśród wysiadającej z tramwaju publiczności lub w tłumie na chodniku swego pana Andrzeja. Bo im bardziej pragnęła go widzieć, tem większą miała pewność, że on także dziś szuka jej po mieście, że oni! muszą się spotkać. Kilka godzin zeszło jej na tem „zwiedzaniu“. Popołudniu znalazła się w Łazienkach. Chciała dotrzeć do cieplarni, ale zmęczona długą wędrówką po mieście usiadła w pobliżu stawu. Patrzyła na ciężkie kłębiaste chmury, to w głąb alei, którą przysła, i znowu wyglądała pana Andrzeja...

Zdawało się jej, że w ciszy i upale cały ogród także na coś czeka. Było tu po wiejsku odludnie i spokojnie, mimo że gdzieś niezbyt daleko gwizdały pociągi. Pachniało świeżo skoszoną trawą, na wołanie wilgi odpowiadała z głębi parku krakaniem wrona, w gładkiej wodzie odbijały się szare „krokodyle“ pnie olch, jak w Siemieńczycach. Wierzchołki olbrzymich topoli migotały w niebiosach srebrem drżących liści. Kochała od dzieciństwa stare drzewa, dziś stare drzewa widziały się jej cudnemi strofami hymnu upojenia, który wiosna śpiewała światu... Hymn upojenia rozsadzał i jej serce.

„A jeżeli, jeżeli Teoś zadrwił z niej“ — szarpnął sercem niepokój. — Jeżeli Teoś nakłamał?... W takim razie, w takim razie wszystko jest niepotrzebne i Polska jest pusta i lepiej było nie wracać — wyznała szczerze i oblała się rumieńcem, zaskoczona szczerością wyznania. Wstała i lekkim szybkim krokiem poszła do domu. Nie szukała już pana Andrzeja między publicznością i unikała nawet wspomnień.

Po obiedzie zajęła się rozpakowaniem rzeczy i urządzeniem pokoju. Wszystko musiało być, jak tam w zielonej o białych oknach willi, jak wówczas, kiedy pan Andrzej przychodził, żeby zabrać ją na spacer, i onieśmielony lodowatą uprzejmością matki milczał od początku do końca wizyty... Bo może dziś jeszcze przyprowadzi go Teoś... Tapczan przykryła szalem tureckim matki, drugi taki sam szal dała na ścianę, nad tapczanem powiesiła Matkę Boską Ostrobramską, na stole i na biurku ustawiła fotografię Siemieńczyc, rodziców, Sawy... A jeżeli Teoś skłamał... Im bliżej było do 6-tej, tem większy nękał ją niepokój. Dla zabicia czasu zaczęła jakieś mereżki, ale co chwila popadała w zadumę, podnosiła w zamyśleniu rękę do czoła i wygładzała zmarszczkę, jakgdyby mogła tem odegnać niepokój, który nękał od wczoraj.

Gdy usłyszała głos kuzyna w przedpokoju, usiadła szybko, mocno ścisnęła rękami poręczce krzesła i zmrużywszy oczy, modliła się o cud.

— Nowa suknia, nowa dusza — zawołał Teoś, stając przy niej.

— Tak, nowa suknia, nowa dusza...

— Krótko żyją ideały w sercu kobiety... — Wczoraj żałoba, tragedia, wzniosłe postanowienia, dziś odetchnęłaś powietrzem naszej wesołej stolicy, mężus sypnął paskarskimi dolarami i odrazu ideały poszły w las. Ale dlaczego jesteś taka blada, skąd ten wyraz tragiczny? — zatrzymał na niej swoje niespokojne, spłoszone oczy.

— To się tylko wydaje poecie — odparła siłąc się na uśmiech, na ton żartobliwy i dalej pilnie robiła robotę. Niktby nie poznał po niej, że serce zamiera w niej z trwogi, z męki.

— Przedewszystkiem nie nazywaj mnie poetą... Zgińcie pieśni moje. Dziś wstanie mój czyn... Dziś jest wielki dzień, dzień próby. — Wydobędę się nareszcie na powierzchnię, wygrzebię się z nicości — zerwał się jakby już teraz miał przemawiać do publiczności, usiadł znowu. — Idę stąd na zebranie polityczne... do samego prezesa Zatajskiego i tam rzucę się na nich jak sęp, ukazę im ich nędzę i głupotę, sięgnę do trzew... Ileż to lat chodziłem po Warszawie, trawiony ambicją, z okaleczoną duszą, zatruty zawiścią, mały, nieznany nikomu syn wiejskiego lekarza, ubogi krewny Siemienieckich, z łaski przez nich przyjmowany w pałacu. Dorwałem się nareszcie do majątku i nawet bez wielkiego trudu — trzepał niezwykle podniecony. — Ale co mi po majątku?... Chcę zabawić się w wielkiego człowieka, zakosztować władzy, zostać wodzem tłumu. Tylu już durniów było ministrami w Polsce... Uda mi się?... Jak sądzisz?

— Ale zanim to nastanie, każ podać herbatę.

Inia wróciła po chwili z wiadomością, że herbaty nie będzie, gdyż ciotka poszła do kościoła i zabrała klucze.

Gość paląc papierosa, oglądał pokolei fotografie.

— Wszyscy tu są, krom jego jednego, prócz tego, czyj wizerunek oczywiście nosisz na sercu i w sercu... I mnie także tu niema... Czemu nie patrzysz mi w oczy?

Inia pochylona nad swemi mereżkami milczała. Zhudzenie szczęścia przysto, został czarny smutek. Nie miała w tej chwili już żadnej nadziei...

— Ale męża toś sobie wcale dobrze wybrała — gadał gość. — Nie tracił czasu... gdy inni przelewali ofiarną krew w wielkiej wojnie, on pędził wódkę, paskował, szmuglował pszenicę, zbierał dolary przy pomocy Choroszewskiego... Używaj tedy życia, kobieto, czerp pełnemi garściami z kasy mężowskiej...

— Poco ty mi to mówisz? — szepnęła z wyrzutem.

Odkąd przyszedł Teoś, w głowie jej jak w zepsutym zegarze uczyniła się martwa cisza, myśl niby nieruchome wskazówki znaczące tę samą ciągle godzinę, utknęła na pytaniu, którego wypowiedzieć nie śmiały usta.

— Dokonywam operacji dla twego dobra, pragnę zaoszczędzić ci niepotrzebnych zmagań z fikcją cnoty. Strzeż się, Iniu, bibuły. Zasady, zakazy, ideały są jak kamienie, któremi brukujemy szosy. Kwiaty życia kwitną zdala od szos. Obawiam się, że na obczyźnie zatruliś



się dotkrynerstwem moskiewskim, tragicznem kłamstwem rosyjskiem. My blagujemy na wesoło, płytko, bawiąc się barwą, brzękiem słów, oni zaś biorą kłamstwo na serjo, zakłamują się na śmierć.

Przemierzył kilka razy pokój. Naraz stanął przed nią i przyglądał się jej długo, uważnie. Była niemal pewna, że on teraz wybuchnie śmiechem, że rozpalonym żelazem okrutnego żartu dotknie rany... „Nablagowałem wczoraj... wziąłem cię na kawał, a ty oczywiście uwierzyłaś“...

— Może i tyś się zatrul jakim kłamstwem— rzekła śpiesznie, by odwrócić jego myśl, by zatrzymać i niedopuszczyć owych strasznych słów.

— Mnie nie grozi zakłamanie, oglądam równocześnie oba oblicza każdej prawdy, gotów jestem służyć djabłu i Bogu... myślę inaczej niż zwykli ludzie, bo obnażonemi myślami, lubię żdzierać liście figowe, sam zaś noszę wiecznie maskę, a z tego wszystkiego — guzik.

Przed lustrem poprawił krawat, pociągnął marynarkę.

— Dobrze prezentują się w tem ubraniu?...

— Bardzo dobrze...

I dalej biegł niespokojnie, zacierając ręce.

— Lubisz mnie choć trochę? — spytał, stanąwszy przed nią niespodziewanie.

— Lubię — odparła szczerze.

— Nie potrafisz kłamać — pocałował ją w rękę — dziękuję za grosz jałmużny. Mnie lubisz a tamtego kochasz. Czemużeś zakochała się w doktrynerze?! Z takiej miłości — tylko nie-

dola, obłuda, żalność... Dwa lata karmiono ciebie strawą ideałów, dziś one święte hasła staną ci kością w przelyku. Znalazłaś się w położeniu bez wyjścia: z jednej strony sakrament, mąż — z drugiej — wzniosły kochanek.

— Nie dręcz mnie! — jęknęła.

— Nie dręczę bynajmniej, dokonywam tylko koniecznej amputacji. Chodzi mi o twoje dobro i szczęście. Używaj, aniołku, na pieniądzach mężuła, tamtemu naznacz schadzkę w tym oto pokoju. A gdy małżonek zrobi ci scenę, przypomnij mu Władę, spytaj o Tercję, zażądaj dymisji sekretarki. Największy kłopot i trudności będziesz miała z tym swoim rycerzem, który jest równie przedpotopowy jak ty... chyli czoło przed świętością sakramentu, kocha ojczyznę, szuka Boga i prawdy...

— Jaki rycerz? O kim mówisz? — zdobyła się wreszcie na zapytanie.

Teoś chichotał chwilę.

— O Andrzeju Szydłowskim... niby nie wiesz!...

Chwyciła go za rękę.

— Czy żyje? z trudem wyszeptały wargi.

— Żyje, mieszka w Warszawie, na Ordynackiej...

Nie pytała już o nic, podniosła ręką Teosia do ust, odwróciła się by ukryć łzy.

W ciszy, która się uczyniła, słyhać było szum ulewy.

Teoś podszedł do otwartego okna... Stał tam chwilę milcząc.

— Nie mogę iść na taki deszcz...

I znowu było milczenie.

Inia patrzyła wielkimi promiennymi oczami w szumiącą deszczem noc.

— Jakże ty kochasz swego Adonisa, który stanowczo jest trochę narwany — gadał Podlaski. — Bardzo stęskniłaś się?... Wybierz się do Łuszczyńskich, gdzie bywa często... albo napisz czuły bilecik, wręczę mu dziś jeszcze przed nocą. Uciekał dwa razy z niewoli wahał się po wybuchu rewolucji z bolszewikami, piastował tam ponoć jakieś godności, a powróciwszy do Polski, zajął skromne stanowisko referenta mimo, że mógł dzięki lewicowym protekcjom i przyjaźni z Sulińskim zostać conajmniej podsekretarzem stanu. Usiłuje zbawić świat i tworzy w tym celu zwarzowane związki sprawiedliwych, drukuje wielce zuchwałe listy otwarte, wygłasza wśród młodzieży mistyczne odczyty, walczy z nacjonalizmem i militaryzmem, z kościołem, oburzył na siebie opinię poważnych kół, stał się tu już sławnym, uważają go w Warszawie za bolszewika, nazywają agentem moskiewskim. Jeżeli tak dalej pójdzie, zamkną go do ciupy albo wysiedlą. Nie wierzysz? Pomów z Anią albo z profesorem... A przede wszystkim poradź mu, by zawrócił z niebezpiecznej drogi. W Polsce lepiej nie zadzierać z Kościołem, z tak zwanymi poważnymi kołami... Kiedy i gdzie nastąpi wasze pierwsze spotkanie? Bardzo chciałabyś go widzieć, co? Niech cię odwiedzi w domu mężapaskarza, niech zobaczy ciebie w zbytku. Będziesz musiała wybrać między mężem a nim. Tacy ludzie jak Andrzej nie idą na kompro-

misy... — nie dokończył, spostrzegłszy wreszcie, że Inia nie słucha go zupełnie, że on tu jest niepotrzebny, śmieszny, obrzydliwy z tem swoim gadulstwem...

Wyszedł na palcach.

III.

Za drzwiami zadał sobie pytanie, dlaczego nigdy nie umie przemówić uczciwie prostymi i szczerymi słowami, dlaczego wiecznie gra rolę dokuczliwego i gadatliwego błazna....

A może to nie jest poza? Może on jest w rzeczywistości tylko błaznem? Co w nim było prawdą? Szlachetne porywy, czułościowa wrażliwość na niedolę, czy marne postęпки? Szukanie Boga czy flirt z djabłem? Miłość sztuki czy żądza bogactwa, której ulegając o-motał pochlebstwem wujaszka i, skrzywdziwszy Tadka, złapał podstępnie sukcesję dla siebie. Wiersze i artykuły patriotyczne? czy podłe tchórzostwo w roku 1920, gdy położył się na 8 tygodni do łóżka, udając chorego? Ambicja, egotyzm, miłość własna, dziecinne mrzonki o sławie i władzy czy ewangeliczne nastroje? — myślał, topiąc wzrok w kałuży, którą szybko pracowicie dziobały krople deszczu.

W oknach zabłyśły światła. Dochodziła już dziewiąta, tymczasem lało bez przerwy. Losy bitew i narodów, karjera polityczna zależeć mogą także nieraz od dryndy lub parasola —

nadrabiał humorem, gdy pokazała się nareszcie od strony Mokotowskiej doróżka. Ale zapał do walki z „czerepem rubasznym, z kołtuństwem krótkowidzów“ opuścił go na progu mieszkania prezesa i byłby dał nura, wyrzekłby się teki i sławy, gdyby idący schodami na górę goście nie odcięli mu odwrotu

— Ilu już jest ministrów? — zagadał do służącego o małej twarzy.

— Pan minister jeszcze nie przybył — odparł ten surowo i otworzył drzwi do salonu.

Podczaski poprawił nerwowo szpilkę w krawacie, chrząknął i ruszył przed siebie, czując, że stąpa niezgrabnie, że brak mu powagi i namaszczenia, a przede wszystkim brak prostoty. Mimo wielkiej sukcesji, o której było głośno w Warszawie, wejście szczęśliwego spadkobiercy nie wywołało wrażeń... Gospodarz nie wybiegł na środek pokoju, dygnitarze na kanapie: bardzo stary i głuchy książę, którego czczono jak relikwię, i Oselski nie przerwali rozmowy, gdy on się im przedstawił, zwykli śmiertelnicy niedbale podawali mu rękę. Dotknięty lekceważeniem, usiadł zdala od gości, prawie u drzwi na wprost dwu okien i dużego między oknami lustra. Po chwili wydało mu się, że głupio jest siedzieć samemu i milczeć z niewyraźnym na ustach uśmiechem, wstał tedy i, pozując na znawcę, którego angielskie sztychy, pas Słucki, różowa makata buczańska na ścianie zajmują więcej niż ludzie, zaczął krążyć po gabinecie niby w muzeum.

— Pan jest widzę miłośnikiem starożytności — odezwał się do bagatego epuzera gospo-

darz, w którym przemówiła troska o los trzech starzejących a niezamężnych córek — gromadziło się w lepszych czasach — westchnął — mam niezłą kolekcję broni, kilka Morland'ów.

— Wole, prezesie, żywe antyki od martwych ludzi — popisał się aforyzmem, który miał być przygrywką do dłuższej rozmowy. Ale skończyło się na przygrywce, prezes pospieszył bowiem do drzwi na spotkanie Piotra Choroszewskiego. Ukazanie się młodego, obiecującego polityka, którego w pewnych kołach nazywano już dyktatorem, poprawiło nieco humor zgnębnionego nieudanym rautem politycznym gospodarza. Choroszewski stanął na progu i, rozejrzawszy się po salonie, stwierdził, że nie warto było fatygować się na zebranie. Prócz Oselskiego, księcia i dwu posłów sejmowych nie było tu nikogo.

— Tutti frutti... konserwa — mruknął i postanowił zabawić krótko.

— Spodziewam się jeszcze ministra Pniewskiego, Suliński obiecał się także... prosiłem marszałka — usprawiedliwiał się gospodarz, choć wiedział, że z członków rządu, z wpływowych osobistości nie przyjdzie nikt, że całe zebranie jest zupełną klapą.

Zatajski przed wojną i w pierwszej fazie wojny uprawiał z powodzeniem politykę, cieszył się poważaniem w stronnictwie, stał na czele różnych komitetów i nawet wstawił się zorganizowaniem świetnego przyjęcia na cześć wielkiej księżnej, po wojnie zaś nie potrafił ani zrobić majątku ani wypłynąć na szerokie wody polityczne. Zgubiły go zbytek oportunistu

i brak intuicji. Endecja nie mogła przebaczyć byłemu realisście krótkotrwałego zboczenia aktywistycznego, lewica zaś — owego obiadu na cześć wielkiej księżnej i złotej szabli ofiarowanej generałowi Ruskiemu, oswobodzicielowi Lwowa. Zatajski próbował odegrać się, przesiadł się z krzesła na krzesło, stawiał na coraz to inne karty: na Paderewskiego, na Witosa, na Belweder — i wciąż przegrywał, tj. przekonywał się, że tak ceniona przed laty współpraca jego nikomu w żadnym obozie nie była już potrzebną. Mijały lata. Dawni towarzysze bogacili się, wyrastali na dygnitarzy, piastowali teki, umierali syci zaszczytów i sławy, wytrawny polityk marnował czas, zdolności i doświadczenie na skromnym stanowisku dyrektora Towarzystwa Ubezpieczeń. Po zjeździe koleżeńskim w Radomiu, na którym wypadło mu zająć przy stole miejsce na szarym końcu, prezes Zatajski postanowił raz jeszcze przypomnieć się pamięci niewdzięcznych rodaków i rozesłał w tym celu kilkadziesiąt zaproszeń na zebranie polityczne. Przed wojną w garsonierze jego zgromadzała się umysłowa i polityczna elita, cała Warszawa kilka dni z rzędu mówiła o wielkim raucie u Ruñia, jak o doniosłym wydarzeniu... Dziś ci, o których najwięcej mu chodziło, odmówili, niektórzy, na przykład prezes Karliński nawet nie raczyli odpowiedzieć, dziś była poprostu kłapa.

Zatajski z niechęcią spojrział w tłum niepotrzebnych gości, na profesora Mściszewskiego, który właśnie wchodził, zacierając czerwone ręce i zatrzasnął z irytacją drzwi do pokoju

sypialnego. Za drzwiami temi tkwiły przybyłe wczoraj rano z zapadłych Promowic dla sprawunków córki, które chciały koniecznie, „choć przez dziurkę od klucza, tatusiu, choć przez szparę, tatusiku, popatrzeć na wielkich ludzi, na ministrów i generałów, posłuchać przemówienia tatusia oraz mądrych rozpraw“. Tymczasem nie było ani wielkich ludzi, ani mądrych rozpraw, ciekawe zaś i nieposłuszne panny wciąż chichotały za ścianą i uchylały drzwi. Gdy w szparze pokazało się oko i nos Jagulki, zniecierpliwiony tatuś zatrzasnął drzwi i nie puścił klamki. Zatajski był przywiązany do córek, może je nawet po swojemu kochał, ale bardzo niechętnie wydawał na nie pieniądze i nigdy do ich towarzystwa nie tęsknił, tembardziej w Warszawie, gdzie obecność trzech niezbyt już młodych, niezamężnych i nieposażnych córek przypominały siwiejącemi ojcu jego wiek, zły stan interesów, obowiązki rodzicielskie.

— Pan prezes zebrał wszystkich siedmiu mędrców miasta. Czekamy chyba jeszcze na samego premjera — odezwał się Teoś, który swadą i tupetem pokrywał onieśmienie.

Zimne spojrzenie bladych oczu gospodarza spoczęło na rozmownym gościu. Zatajski obliczał w tej chwili, że za wydarte mu wczoraj przez córki miljony można było z Wańdzą spędzić dobrych kilka tygodni w Sopotach. Po dwu latach przedwczesnego starczego zastoju prezes przebywał obecnie bardzo pomyślny pod względem erotycznym okres zwany przez niego „powrotem taty“.

— Jakkolwiek nieznany nikomu i bodaj najmłodszy wiekiem, zamierzam poruszyć kilka drażliwych spraw. Naród, panie prezesie musi spojrzeć prawdzie w same źrenice. Kto wie, może to dzisiejsze u pana zgromadzenie stanie się historycznym.

Chłodne oczy prezesa tkwiły wciąż w twarzy rozgadanego młodzika. Prezes pomyślał teraz, że jeśli Choroszewski zabierze głos, zebranie stanie się manifestacją antibelwederską i mosty zostaną spalone.

— Muszę naród ostrzec. Stare państwa mogą trwać w dawnych błędach, ale wskrzeszona do życia Polska... — powiedział Teoś.

— Nie wiem tylko, co pan nazywa sprawą drażliwą — jakby przypomniał go sobie naraz Zatajski.

— Brak idei państwowej... twórczej idei...

— Ach, idei! — zmierzył gadatliwego gościa od stóp do głów. — Idee.. Niech pan przemawia, panie Podczaski, ile się panu podoba — dodał protekcyjnie. — Zebraliśmy się tu dla wymiany zdań czy mózgów, jak się to dziś określa — spojrzął na zegarek — zdaje mi się, że pora zaczynać.

Podczaski cofnął się pod ścianę, zajął tam miejsce obok profesora, który siedział skrzywiony i zgarbiony i, mrużąc jedno oko, przysłuchiwał się komentarzom białowłosego redaktora Bielaka.

Profesor słyszał i rozumiał każdy wyraz mimo ogromnej odległości, dzielącej go od redaktora i od reszty świata.

„Te durnie zdrowe są i szczęśliwe“ — pomy-

ślał ze złością i stukał obcasami w podłogę, gdyż ból dokuczał mu coraz więcej.

— Redaktor nie zdaje sobie sprawy ze swojej władzy nad światem. Niech-no pan machnie batem nad tem stadem, dziennikarstwo to potęga... — urwał i czekał, kiedy też przestanie wiercić w okolicy wątroby. Gdy tylko mijał ból, ogarniało go rozkoszne uczucie lekkości i wesela.

— Nawet księżęta i panowie nisko się panu kłaniają, nawet księżęta i hrabiowie — powtarzał zaniepokojony, że ból nie mija.

— Wiem coś o tem — mruknął Bielak, który mimo antypatji do ziemiaństwa i arystokracji głosił od młodości hasła zachowawcze i od młodości klepał biedę w konserwatywnych dziennikach.

Zaczynało być już późno. Choroszewski dwa razy spojrzął na zegarek. Publiczność niecierpliwiła się, rozmowy rwały się, gdyż wszyscy czekali na coś wraz z gospodarzem, który krążył po pokojach posepny.

Naraz od jednej z grup oderwał się hrabia Ochocki i stanąwszy przed posłem Zapłatowiczem, rzekł niedbale:

— Proszę pana, pan jest z Galicji. Mam tu zapisane jakieś nadzwyczajne akcje galicyjskie... może mnie pan poinformuje...

— Przedewszystkiem nie jestem z Galicji, potóre na akcjach nie znam się...

Uczyniła się cisza. Hrabia dalej przewracał kartki swego notatnika.

— Zaraz... gdzieś mi się podziało... nie mogę znaleźć... Gazy wschodnie. Ponieważ ojczyzna

darowała nas i nasze majątki bolszewikom, zmuszeni jesteśmy szukać ratunku na giełdzie.

— Tak jest. Darowano nas! — wybuchnął kresowy ziemianin ten, który dotychczas wciąż chodził w gabinecie jak lew po klatce i palił papierosa za papierosem.

W tej chwili szerzej i szybciej, niż dla zwykłych śmiertelników otworzyły się drzwi, i stanął w nich wysoki, okazały Ksawery Siemieniecki, zasłaniając wysoką postacią eks-ministra Pniewskiego, którego nie chciał puścić przed sobą.

Siemieniecki z rękami w kieszeniach marynarki szedł powoli, lekko utykając, uśmiechnięty, świecąc białymi zębami.

Za nim dreptał zatroskany dygnitarz państwa polskiego.

— Widzę już Katylinę, wiem kto jest Cezarem, lecz czy znajdzie się wśród nas Cycero — zawołał od progu pan Ksawery. — Co może ty, Runiu? — poklepał po ramieniu gospodarza, który właśnie niskim ukłonem i frazesem o wielkim zaszczycie witał rumianego i pulchnego ministra.

Usadowiwszy Pniewskiego na kanapie obok książących relikwii, gospodarz natychmiast zagał posiedzenie.

Zaczął przemówienie od wyliczenia znanych bolączek życia polskiego. Na zakończenie miał rzucić myśl założenia Ligi obrony tradycji, ale zawahał się wobec przewagi radykalnych elementów wśród gości. Przed wojną Zatajski nie zastanawiał się nigdy nad tem, co ma powiedzieć, wszędzie powtarzał to samo (na temat

lojalności wobec państwa, trzeźwej pracy u podstaw, niebezpieczeństwa galicyjskiej trom-tradracji oraz chimerycznych mrzonek o niepodległości Polski) i słuchacze zawsze go rozumieli, bo tylko dwa były języki w użyciu: język warcholów i język ludzi rozsądnych. Dziś zapanaowała dziwna różnojęzyczność. Ludzie niegdyś poważni szli za socjalistą Piłsudskim, dawni warcholi go zwalczali i prawdy, którą wszyscy mieli na myśli, na wątrobie, na wargach, prawdy o Polsce chamskiej, pół bolszewickiej ciemnej nie wolno było wyjawiać.

Zatajski mówił donośnie, z rozdrażnieniem w głosie jakby zwracał się do nieobecnego winowajcy, do którego żywił osobistą urazę, mówiąc patrzył w drzwi, za którymi stały córki. Projektu stworzenia ligi obrony tradycji nie oddał pod głosowanie. Zamknął przemówienie patriotycznym ogólnikiem, zwróconą do Osełskiego prośbą o przewodniczenie obradom. Osełski, stały podczas wszystkich przesilen kandydat na ministra skarbu, niechętnie wyciągnął rękę po dzwonek.

Do głosu zapisało się wielu mówców. Ziemianin z Płocka nawoływał do zjednoczenia się, w celu zwalczania reformy rolnej, inny ziemianin zastanawiał się, dlaczego w Polsce, dla której wszyscy w latach niewoli gotowi byli nieść życie w ofierze, źle jest dziś, gdy ojczyzna już nie wymaga życia, lecz tylko uczciwego spełniania obowiązku, złotowłosey i złotousty Stęplewski niegdyś tylko złoty młodzieniec, świetny tancerz i sportowiec, dziś obiecujący dyplomata, mąż niezmiernie bogatej ru-

muńskiej bankierówny przeciwstawił folwarcznemu światopoglądowi zaściankowych patryjotów europejską ideę solidarnej pokojowej współpracy państw i narodów.

Od czasu do czasu padło ni w pięć ni w dziewięć pytyjskie pytanie lub zdanie z ust Ksawerego Siemienieckiego. Starszy nieznany pan, walcząc ze wzruszeniem zaznaczył, że nie będzie w Polsce dobrze, dopokąd nie skupią się wszyscy dokoła Piłsudskiego, dokoła tego, który nie zwątpił nigdy i w nocy niewoli budził ducha śpiącego narodu.

Wśród ciszy, która się uczyniła, poseł Zapłotowicz niezmiernie logicznie i płynnie zaczął dowodzić, że w Polsce rządzi mniejszość wbrew woli większości narodowej. Po nim młody nerwowy lewicowiec, wysoce nietaktownie wywłókł grzechy ugody, trójdzielnicowego lokajstwa i paryskiej komitetowej zebrany, wkońcu zauważył, że Polski nie zbudują ci, co jej nie wywalczyli, co nic jej nie dali: ani krwi, ani pieniędzy, ani piędzi ziemi. Zjadliwe słowa lewicowca wywołały poruszenie. Choroszewski warknął groźnie. Kilku obrażonych endeków chciało opuścić zebranie, Ksawery Siemieniecki lakonicznie przypomniał kilka dat: 1863, 6 sierpnia 1914, traktat ryski... Ktoś inny, odgrzebawszy spory o orjentacje czasu wojny, napomknął coś o niemieckich pieniądzach, ktoś krzyknął: hańba! I byłoby niezawodnie doszło do zatargu, gdyby na wzburzone umysły nie połała się spokojna mowa Osełskiego, który, nisko spuściwszy głowę i wciąż poprawiając binokle, cicho a zgryźliwie tło-

maczył, że wsławieni w Europie szarżami i tańcem, musimy obecnie wykazać, żeśmy zdolni do systematycznej, wytrwałej pracy, gdyż państwo polskie wymaga od swoich obywateli nie męczeństwa, ale uczciwego spełniania obowiązków.

Podczaski wiercił się na krześle, wycierał potniejące ręce o kolana, robił notatki, przygotowywał się do łatwego zwycięstwa nad „gadaczami komunalów“, z których żaden nie dotarł do sedna zagadnienia. Byłby już dawno poprosił o głos, ale onieśmielała go osoba Choroszewskiego, który niedbale rozparty z ręką na poręczy wolnego krzesła tłumił poziewanie.

Ach, jakże zazdrościł sławnemu koledze pewności siebie, urody, dumnej postawy i przede wszystkim sławy, którą ten zdobył łatwo i szybko ani solą mądrości, ani bólem za miliony. Gdy tylko skończył Osełski, przyszedł dyktator wstał i skierował się do wyjścia. Przechodząc koło kuzyna spytał: „z jaką to boginią szedłeś dziś do banku?“

— Z własną żoną. Wróciła właśnie wczoraj.

— Każdemu innemu wykradł bym ją. Tobie nie wypada. Dawno Warszawa nie oglądała takiej urody! — unosił się głośno.

Przewodniczący przywołał go do porządku i udzielił głosu następnemu mówcy, którego nazwisko odczytał ze swego arkusza cicho i niewyraźnie, z czego zgromadzeni wywnioskowali, że nie jest to nikt wybitny. Jakoż rzeczywiście z niskiego stołka obok ogromnego Sulińskiego podniósł się młody człowiek zupełnie nieznan. Ale zdaniem Bielaka

i trzech panien Zatajskich, które za drzwiami głośno robiły uwagi, miał interesującą bladą twarz, zbyt bujną czuprynę i niezwykle oczy, jasne a bardzo wyraziste, o skupionem w głąb zwróconem spojrzeniu. Nie spieszył się z przemówieniem. Stał długą chwilę z pochyłą głową i patrzył na swoje ręce splecione na oparciu mahoniowego fotelu. Pukiel włosów opadł mu na czoło.

— To jest Szydłowski — objaśnił redaktora Podczaski — zaczyna być o nim głośno w Warszawie. Poczęstuje nas z pewnością jakimś niezwykłym cukierkiem.

— Ach, już wiem. Autor listu o sfalszowanym patryjotyzmie — zorientował się redaktor.

— Co i ten facet będzie nam tu prawić kazanie!?! — oburzył się gdzieśindziej Józek Padniewski.

Przewodniczący znowu dzwonkiem uciszył gwar i ruchem ręki zachęcił ociągającego się mówcę, ażeby zechciał zabrać głos. Nieznany młodzieniec podniósł wreszcie głowę. I znowu niejednego ze słuchaczy uderzyła siła jego skupionego wzroku. Mówił natomiast niedość donośnie, mówił sucho, urywanemi zdaniem, tonem lekceważącym. Zarzucił najpierw zebranym, że w rozprawach poruszono tylko tematy polityki bieżącej, dziwił się, że nikt nie dzwonił na alarm, że się przechodzi w Polsce do porządku nad sprawami ogromnej wagi...

— Jakaż jest ta waga? Może nie udźwigniemy? — drwiąco przerwał Józek Padniewski, który zupełnie nie miał zaufania do rozumu

kolegi, używającego niegdyś w Krakowie na uniwersytecie w kołach rolników opinii półgłówka.

— Trzeba się zdobyć czasami na trochę wysiłku — odciął się półgłówek i dalej rozwijał swoją myśl, dowodząc, że chorobą czasów powojennych nie jest ani spadek eksportu ani inflacja lecz — brak idei. W Polsce i w Europie niedocenia się i nie rozumie bolszewizmu — twierdził zarozumiały młodzieniec. — Bolszewizmu nie wymyślili Lenin i Trocki. Bolszewizm stał się nową religią. Nie zwalczy się go kampanją prasową jak nie ugasi się ognia — krzykiem. Polska, Europa musi się stać bolszewicką albo chrześcijańską. Bolszewizmowi trzeba przeciwstawić ideał, lecz nie może nim być obrona ustroju kapitalistycznego, opartego na wyzysku. Polska sto lat żyła ideałem walki o niepodległość, Polska musi rzucić hasło przebudowy ekonomicznej i duchowej, hasło odrodzenia chrześcijaństwa. Nie klasy syte, ale lud w znaczeniu mickiewiczowskim, t. j. człowiek cierpiący, walczący i wolny w sobie stworzy tę nową wiarę. Nad najstraszniejszą z wojen i najbardziej krwawą z rewolucyj nie wolno nam przejść do porządku — urywanemi śpiesznemi zdaniami kończył mówca, jakgdyby pragnąc czem prędzej załatwić się ze swoim przemówieniem — ani taka wojna ani taka rewolucja nie powinny więcej się powtórzyć. Tymczasem w Rosji krwawe więzienie, w Europie — dzicz nacjonalizmu... Ratujmy piękno i wartość życia i godność człowieka!...

— Co ona sobie w nim upatrzyła?... — dziwił się gustowi Ini Podczaski — ani piękny, ani wymowny, ani elegancki, ani silny... chyba tylko oczy są ciekawe.

Prócz Podczaskiego i gospodarza, zaniepokojonego wzmianką o bolszewiźmie i przewodniczącego nikt nie słuchał nieznanego mówcy.

— Cóż to proponują nam tu zamiast religii bolszewizm? No, no, ładnych doczekaliśmy się czasów! Oto jest nasza młodzież! Nie uznaje żadnych autorytetów — gorszył się ktoś z publiczności w pobliżu kanapy. Niecierpliwe sykania uciszyły malkontenta. Miał teraz przemawiać Suliński, i oczywiście wszyscy pragnęli słyszeć tego, który zdążył już być wojewodą, wygrać dwa głośne procesy o oszczerstwo z przeciwnikami politycznymi, a w ostatnich czasach wstawiał się w Warszawie pojedyńkiem, romansem ze słynną warszawską piękną, tak zwaną „Złotą Panterą“, oraz zuchwałą admonicją, udzieloną pewnemu wysoko postawionemu cudzoziemcowi na lekceważące jego wyrażenie o Komendancie...

Gdy rozległ się donośny męski głos Sulińskiego i padły stanowcze, twarde słowa, odrazu rozjaśniło się w głowach słuchaczy, znużonych długimi i mętnymi wywodami poprzedniego mówcy. Zebrani odczuli w gorącym i dusznym salonie krzepiący prąd energii, odświeżające tchnienie śmiałej myśli. Ale mówca nie powiedział nic nowego. Suliński ostrzegał przed zakorzenioną w narodzie pol-

skim donkiszoterją, przed metafizyką zaświatowych i wszechludzkich celów, wskazał najpilniejszy, najbardziej niewątpliwy obowiązek budowania silnego państwa i, potępiwszy pokorę narodową, służalstwo wobec potęg zaprzyjaźnionych, nawoływał do wiary we własne siły, do rozmachu mocarstwowego, do podporządkowania się woli i władzy wodza narodu.

Teraz z kolei spojrzenia publiczności zwróciły się w stronę ministra, jako tego, który reprezentował tu dziś rząd. On zaś, rozumiejąc i czując ciężący na nim obowiązek oraz odpowiedzialność, dźwignął się powoli z kanapy.

W salonie uczyniła się taka cisza, że dały się słyszeć szept i śmiech ukrytych za niedomkniętymi drzwiami trzech panien Zatajskich i zaraz potem wrzask pędzących Nowym Światem chłopaków z nadzwyczajnym wydaniem „Rzeczypospolitej“. Ciężarowy samochód przejechał ulicą, zadrżały szyby. Minister, któremu znaną była już z dodatku nadzwyczajnego sensacyjna wiadomość o bliskim upadku gabinetu, patrzył małemi niebieskimi oczami w biały gzems kaflowego pieca i skupiał myśli.

Zebrani utkwili wzrok w rumianem pucłowatem obliczu dygnitarza i czekali w napięciu na jego odezwanie się, jakkolwiek każdy z obecnych wiedział z góry, że Pniewski nie odkryje Ameryki.

Nikt nigdy ani w domu, ani w szkole, ani w mieście rodzinnem nie uważał Józia Pniew-

skiego, który był pracowitą i poczciwą miero-
notą i nie miał ani jednej własnej myśli, za
człowieka wybitnego. On sam także przez dłu-
gie lata skromnego był o sobie mniemania,
ale odkąd klucz partyjny otworzył mu drzwi
do gabinetu ministra oraz podwoje kolumno-
wej sali obrad, odkąd ludzie w salach kolum-
nowych zaczęli go słuchać z szacunkiem
a podwładni, wielce zasłużeni nieraz i do-
świadczeni pracownicy i fachowcy składać
niskie ukłony, Józio Pniewski uwierzył w po-
słannictwo swoje i, gdy tękę wytracono mu
z ręki, zachorował na tyfus powrotny mini-
sterjalny, to znaczy uważał siebie jako kan-
dydata do każdego gabinetu i każde wystą-
pienie swoje w „Kurjerze Warszawskim“ oraz
na posiedzeniach traktował jako „enuncjację
oficjalną“.

Dzisiejszy wieczorny dodatek nadzwyczajny
„Rzeczypospolitej“, zawierający przypusz-
czalną listę przyszego gabinetu, utwierdził go
w tem słodkiem spodziewaniu a także uprzy-
tomnił konieczność jeszcze ostrożniejszego li-
czenia się z każdym wyrazem.

Gdy oddaliło się ciężarowe auto, minister
zaczął swoją przemowę. Mówił długo i bez-
barwnie. Nie chciał narazić się na lewicy, za
którą stały masy, ani prawicy, z którą także
niebezpiecznie było zadzierać.

Nagrodziły dostojnego mówcę huczne oklaski.

Siemieniecki, przepasany zdjętym ze ściany
pasem słuckim uciszył je ręką.

— Nie tak, panowie, nie tak! — zawołał. —
Z Cezarem czy przeciwko Cezarowi — oto za-

sadnicze pytanie. — My chcemy żyć i żyć będziemy w republice czy w monarchji. Raczcie zwrócić uwagę, że przemawiam tu symbolicznie przepasany. Jeszcze wybije nasza godzina... Cezar nie da nam zginąć. Zakłopotanie odbiło się na rumianem obliczu ministra. Krótkie paluszki białej rączki bawiły się nerwowo ołówkiem. Odezwanie się Siemienieckiego w obecności przedstawiciela rządu, za jakiego siebie uważał, wydało mu się wysoce niewłaściwem... Należałoby dać wstecznikowi odprawę, ale z drugiej strony lepiej było nie zrażać rzecznika ziemiaństwa, arystokracji, monarchistów.

Wahającego się ministra zastąpił urodziwy radykalny adwokat Rogowicz.

— Nie wiem, panowie, kim jest ów Cezar, na którego liczycie. Mojem zdaniem, nie trzeba nam koronowanego zbawcy. Polska już jest, od nas samych zależy jej byt. Ów zaś pas szlachecki, w który ustroił się mój szanowny przedmówca, zostanie w gablotkach muzealnych jako estetyczna relikwja.

Podziękowawszy mecenasowi dyskretnym oklaskiem, minister uznał za stosowne opuścić zgromadzenie. Wówczas goście znużeni długimi rozprawami powstali z miejsc. Zaczęła się ogólna rozmowa, obłożono służących, którzy obnosili tace z wódką i kanapkami. I w tej to właśnie, najmniej odpowiedniej chwili Podczaski wysunął się na środek salonu i, stanąwszy w pozie wyzywającej, spojrział bezradnie w stronę przewodniczącego, na senną głowę

głuchego księcia, na służącego z pustą tacą, wytarł chustką spocone czoło i usiadł.

— Co i ty chciałeś nas faszerować swoją mądrością — zazartował Józef Padniewski. — Idź do domu i prześpij się. To ci dobrze zrobi.

Oto był wynik dwutygodniowej pracy i przygotowań ambitnego młodzieńca.

IV.

Nie była to pierwsza w życiu Podczaskiego klęska, ale żadna dotąd nie obeszła go tak dotkliwie. Wracał do domu znękany, rozbity, z uczuciem niesmaku, wstydu, wstrętu do siebie, z myślą o śmierci samobójczej w ustępie na ulicy Śliskiej.

Niepowodzenia literackie, których nie mało zaznał, nie przekreślały jeszcze wszystkich nadziei życiowych, dziś nie widział już żadnej przed sobą drogi. Zbyt wiele postawił na kartę.

Dwa tygodnie układał, urabiał, wypieszczał swoją wielką mowę, dwa tygodnie oddawał się dziecinnyim rojeniom o sławie i władzy. Miał zostać wodzem potężnej partji, posłem, ministrem... A pokazało się jeszcze raz, że jest tylko błaznem. Karjera polityczna była skończona... Dlaczego nie umiał wypłynąć, wybić się, zaśluznać, zdobyć władzę nad ludźmi i losem. Czego mu brakowało? Wiedzy i wiary, czy głupoty i tupetu? Miał inteligencję, ambicję, majątek, łatwość pisanja... Czyżby miał za wiele inteligencji? „Trzeba umieć rękę włożyć w ogień“ — przypomniały mu się słowa Szydłow-

skiego, który może wkładał ręce w ogień, ale kariery także nie zrobił.

Podniósł wzrok na białe, lekkie, biegnące szybko chmury. Zdaleka, z wyżyn niebieskich drobna gwiazda zabłysła mu otuchą.

„Nie może być, żeby to przecucie sławy, które go nie opuszcza od dzieciństwa, było tylko przywidzeniem... Wybije jeszcze jego godzina“. — Na rogu Nowego Świata dogonił Szydłowskiego, który w zniszczonym płaszczu gumowym i czarnym niemodnym o szerokich brzegach kapeluszu wygląda na wędrownego artystę z kiepskiego filmu.

— Mógł byś rozbijać się samochodami — zawołał nad uchem zamysłonego towarzysza niedoli — błyszczeć elegancją, orderami, rządzić, rozkazywać, ale ty wolisz być proletarjuszem, apostołem ubóstwa i cnoty.

Szydłowski spojrzał w śmiejącą się twarz kolegi — dowcipnisia, którego uważał za mydłką, podniósł pełen odrazy wzrok na rząd brzydkich oglądanych codziennie kamienic i milczał, jakgdyby snuł dalej przerwana zadumę.

— Może i wolę — rzekł wreszcie. — Ale dlaczego ty nie wygłosiłeś swego epokowego przemówienia?

— Są prawdy, których mędrzec nie mówi nikomu — odparł niedbale Podczaski — a zresztą ty mnie poniekąd zastąpiłeś. Początek twego przemówienia był dobry, aleś nie dociągnął. Należało uprzytomnić szlachetnym ojcom ojczyzny, że przyjemniej jest radzić nad niedolą kraju i łatwiej miliony codziennie zarabiać na giełdzie, niż popierać wysiłkiem ner-

wów i mięśni krajowy przemysł chemiczny, należało wyjaśnić, że nic nie pomoże wyklina-
nie Lenina i Trockiego. Oczy, które raz prze-
rzały, nie znajdą już bielmem — łąły się potokiem
wyjęte z niewypowiedzianej mowy zdanie — Wilk bolszewizmu stale będzie krążył
dokoła owczarni kapitalistycznej, aż zeżre pew-
nej nocy wszystkie owieczki. Trudna rada! Pro-
letariatowi nie zatka się już gęby obietnicą na-
grody w niebie. Robociarze zadali sobie wresz-
cie pytanie, dlaczego to oni mają zdobywać
niebo w ciężkim trudzie, gdy burżuje odbywają
tę samą podróż bezpłatnie w przedziale I klasy,
i doszli do wniosoku, że należy im się coś nie-
coś na tym padole płaczu... Wobec tego trudno
jest utrzymać stan posiadania. Kościół, socja-
lizm, wojsko, policja mogą nas zawieść. Trze-
ba albo fikcyjnie oddać im władzę, jak w Rosji,
albo stworzyć teokrację albo dostarczyć rze-
szom pracującym kokainy.

Szydłowski pominął milczeniem światobur-
cze prawdy. Podczaski zresztą przyzwyczajony
był do tego, że zdania jego ludzie nigdy nie
brali na serjo.

— Skradłeś mi trzy fotografie Siemieńczyc—
odezwał się po chwili milczenia.

— Poniewierały się na stole między starymi
gazetami. Lubię dwory kresowe.

— Była tam mała Inia Siemieniecka z ko-
szyczkiem.

— Tak jest, była.

— Duża Inia bez koszyczka wróciła już do
Warszawy?

— Kiedy? — spytał tonem sztucznie obojęt-

nym, a jednocześnie spostrzegł ze zdumieniem, że rząd nudnych kamienic, na który przed chwilą spoglądał z odrazą, tramwaj i wysiadający zeń ludzie, ciemne okna sklepowe, że wszystko dokoła stało się nieprawdopodobnie pięknem i radosnem, jakgdyby on zapadł nagle w cudny sen albo zbudził się z ciężkiego snu do cudnego życia.

— W czwartek. — Czas jakiś szli w milczeniu.

Podczaski wziął kolegę pod ramię, pociągnął ku sobie, przytulił się do niego.

— Jak ona ciebie kocha! Kiedy dowiedziała się odemnie, żeś żyw i zdrów, pocałowała mnie w rękę ze szczęścia — w tę oto rękę. — Podsunął dłoń do twarzy.

Andrzej zatrzymał się, zdjął kapelusz i, odwróciwszy się od nieznośnego papli, patrzył milcząc w głąb ulicy, która wciąż jeszcze zdawała mu się piękną i pełną radości, ale była daleka i nierzeczywista. Dalekiem i nierzeczywistem okazało się teraz zresztą wszystko: lata wojny, rewolucja, niewola, długa tułaczka, pracowite próżnowanie warszawskie, nieudany występ dzisiejszy, a bliskiem i prawdziwym były tylko jej powrót, jej obecność w Warszawie i to niespodziane cudowne zakwitnięcie życia. „Ach, więc tak! — dziwił się — praca, służba, bojowanie, szumne listy otwarte, to wszystko bujda, a tamto było istotne“.

— Zamieszkała u męża na Szopena. Małżonek sypnął paskierskimi pieniędzmi, pani przebrała się od stóp do głów, rozjeżdża samochodem po mieście — trzepał dalej Podczas-

ki. — Niema kobiety, któraby nie wyrzekła się ideałów dla ładnego kapelusza. Sytuacja będzie w Warszawie nieco naprężona. Tam na wygnaniu nie przeszkadzał wam mąż. Trzeba ci wiedzieć, że Józek Padniewski jest chorobliwie zazdrosny.

— Józek Padniewski! — zawołał Szydłowski.

— Ano, tak, Józek. Był dziś na zebraniu. Jak widzę, znacie się nawet. Dlatego też musi się tu połączyć czyjaś krew, albo on — ciebie, albo ty — jego, a może ty z nią razem z czwartego piętra na bruk.

— Mogę cię uspokoić, że nie poleje się niczyja krew. Chyba plotkarza, gdy zanadto dokuczy gadulstwem.

Podczaski śmiechem pokrył zmieszanie, szepnął koledze tajemniczo do ucha numer domu na ulicy Szopena.

— Ty skręcasz teraz na prawo... — pozbył się natręta na rogu Wareckiej Szydłowski.

V.

Śpieszył do niej mimo późnej godziny, bo roilo mu się w radosnem oszołomieniu, że ona czeka. Tak było w Moskwie, wówczas, w październiku, gdy udręczony tęsknotą, „robakiem myślenia“, bezczynnością, wyrwał się z dobrowolnego więzienia i puścił się piechotą do miasta... Gdy tylko pokazał się na pustym placu, dostrzegła go ze swego narożnego pokoju, wybiegła na ulicę bez płaszcza, wyciągnęła do niego ręce, pełna radości, zawstydzona i zmieszana swoim wybrykiem, przerażona jego szaleństwem i tem, że matka zapewne widzi ich z okna. „Panie! pan obiecał, że nie będzie już nigdy ryzykantem... No i właśnie dziś, teraz, gdy każdej chwili ten okropny doktor Mojkin“ — gderała, a wielkie promienne oczy dziękowały za to właśnie, że nie dotrzymał obietnicy, że przyszedł. Jemu zaś wśród chłodnej jesiennej nocy zakwitły na bruku róże i był równie bezgranicznie, równie niedorzecznie szczęśliwy jak dziś.

Sledząc drżące mu u stóp na asfalcie chodnika cienie drzew w Alejach, uśmiechał się do wspomnień, uśmiechał się zawczasu do

słów, któremi ją za chwilę powita. Cisnęło się tyle wspomnień i słów! Przez lata rozłąki zbierał dla niej spostrzeżenia, wnioski, uwagi, myśli. Były wśród nich ważne i blahe, lecz te drobne, nic nie znaczące miały nieraz większą wartość niż tamte rozumne i ważne. „Pani nauczyła nudziarza prostoty, doktrynera, pedanta prawdy i radości życia. Przekona się pani, że nudziarz pozbył się trochę napuszoneści — biegły myśli — pedant uznał, że lekkomyślność może być mądrością... Po wyjeździe pani nastąpiło we mnie zamilknięcie wewnętrzne, drzewo uschło, pani wygrała zakład: doktor Mojkin o mało nie został moim katem...“ W końcu zemści się za wszystkie jej złośliwości i powie, że tylko światowa istota mogła puścić wszystko w niepamięć, tak skandalicznie nie dotrzymać słowa — zaśmiał się, jak gdyby z jakiego wyjątkowo udanego dowcipu.

Ale gdy stanął pod wskazanym przez Podczaskiego numerem, przyszło trzeźwe zastanowienie, odezwał się rozsądek, którego nie lubił w sobie, któremu jednak zawsze ulegał. Nie zadzwonił. Było późno, zresztą pani Inia mieszkała u męża. Przeszedł na drugą stronę ulicy, by spojrzeć w okna. Wszystkie były ciemne. I nagle wybiegło mu na usta imię jej męża. Pamiętał tego Józka z czasów krakowskich. Był to bardzo ograniczony syn szlachecki, ogromnie dumny ze swego sygnetu, z 30 włók proszowskiej ziemi, z jakiejś utytułowanej cioci krakowskiej, nieznośny papla, faceciarz... doskonale naśladował żydów, ogniście prowadził tańce, sepleniąc rozprawiał wciąż

o polowaniach, o bajecznych omłotach pszenicy i jakiejś Władzie. Nigdy z nią o mężu nie było mowy, jakgdyby nie istniał zupełnie. — Nie nosiła nawet obrączki. I nigdy nie przyszło mu na myśl, że mityczny małżonek, ten jakiś Padniewski, którego nazwisko nosiła, był właśnie owym Józkiem. I naraz znalazł się ów nieistniejący mąż, sypnął paskarskimi pieniędzmi, ubrał połowicę w jedwabie, rozwozi po mieście własnym samochodem. — Oczywiście ubóstwia piękną żonę, za której pieszczotami tęsknił..

Szydłowski uderzył laską po kamieniach, jakgdyby mógł tem spłoszyć obrzydliwe obrazy, które stanęły mu naraz w oczach, zagłuszyć poczucie krzywdy, sromoty, śmieszności. Nie pomogło stukanie laską. Podniósł wzrok na komin domu, na chyżo sunący nad kominem po ciemnym szafirze niebios biały obłok, na gwiazdę, która, zdawało się, szybko płynęła naprzeciw chmury, czekał, aż gwiazda zatonie w obłoku. Gwiazda zaszła za chmurę i zalsniła w lazurze, gdy przesunął się obłok, on zaś powtarzał wciąż uparcie: „Pani Inia — żoną tamtego osła, pani Inia — żoną tamtego osła“... I cierpiał nad jej upadkiem, nad tem potwornem nieporozumieniem, nękało go uczucie krzywdy i wstydu, jakgdyby oboje okryli się hańbą.

I znowu zmienił kierunek myśli. Spoglądając w ciemne okna, wyliczał teraz różne jej przewinienia i wady, wydobywał z przeszłości wszystko, co kiedykolwiek ich różniło: jej światowość, pustotę i kastowość, powierzcho-

wne traktowanie ludzi i życia, podchwytywanie śmiesznośtek, wielkopański stosunek do niedoli, usiłował wogóle obniżyć wartość ich przyjaźni, wreszcie zadał sobie pytanie, dlaczego, jeżeli ucieszyła się dziś tak bardzo na wieść o jego ocaleniu, nie zostawiła wówczas kartki u księdza, jak było postanowione, czemu nie dała mu znaku życia z Finlandji, czemu nie przysłała książki z podkreślonymi podług umówionego klucza wyrazami? Dlatego, że zapomniała — brzmiała rozsądna odpowiedź. — Gdy on wiernie pamiętał i tęsknił, pożądał głosu jej i widoku, ona zapomniała a zapomniała dlatego, że traktowała stosunek ich jako zabawę. Była mowa o przyjaźni, o porozumieniu i powinowactwie dusz, było wogóle dużo pięknych słów i poezji — i wszystko okazało się złudzeniem, światową zabawą. Tak zwykle bywa w podobnych wypadkach. I mieszkająca za jednym z tamtych ciemnych okien pani Padniewska jest żoną Józka, jest inną zgołą osobą, a tamtej, pani Ini, którą pokochał pierwszym uczuciem, która ofiarowała mu przyjaźń, niema — i nigdy nie będzie. Tamto minęło i nie wróci...

Tamto skończyło się, bo dziś nastały dla niej miodowe miesiące... Tem lepiej dla niej — zawrócił i ruszył do domu z tem samem uczuciem załamania się, żałoby, klęski, jak owego wieczora, kiedy rozstali się na dworcu. Ale wówczas nie było upadku, ponieważ, śmiešności...

— Alboż mogła trwać ta ich sielanka? Tylko takiemu, jak on nowicjuszowi, analfabecie

w sprawach miłosnych mogło się zdawać, że w kraju trwać będzie ta jakaś zawieszona między niebem a ziemią przyjaźń między dwojgiem ludzi, należących mimo pokrewieństwa do różnych światów. Gdzież są dziś bratersko-siostrzane związki? — przekonywał siebie czując sztuczność i bezsilność najbardziej logicznych rozumowań wobec prostego faktu kochania i cierpienia. Na obczyźnie zbliżył ich traf. Tu w kraju nie spotkają się nigdy ich drogi. „W Polsce oddam się pod komendę pana — przyrzekała, jak gdyby męża nie było, — pan wyszkoli mnie, będę posłusznie spełniała rozkazy, ale uprzedzam, że jestem mało pojętna i wogóle do pracy społecznej niezdolna, nic nie umiem, byłam dotąd pasożytem...”

Jakże często marzyli o powrocie do kraju, o wspólnej kiedyś pracy. Układali najróżniejsze plany, między innymi plan stworzenia trupy wędrownej nauczycielskiej i aktorskiej. W zimie miały być wykłady, latem — teatr. — Poza to ona miała objąć dział robót i ogrodnictwa. I wówczas wszystko wydawało się bliskim, niezmiernie łatwym; powrót z niewoli, niepodległa Polska, owa praca, owo szczęście kochania, o którym nigdy zresztą mowy nie było.

Otóż spełniło się marzenie. Wrócili. Polska jest wolna, ale między nimi zatrzasnęły się drzwi, tamte piękne słowa i sny umarły na zawsze. Żona Józka Padniewskiego przywita go bardzo uprzejmie, nawet może serdecznie... Po kwadransie rozmowy wyrazi życzenie, aże-

by ich znowu kiedy odwiedził. I na tem będzie koniec. Lecz jeżeli Teoś nie kłamał? Jeżeli ona rzeczywiście tak bardzo ucieszyła się, jeżeli nie tylko pamięta, ale czeka na niego. Jest jedno z dwojga: albo ona znalazła szczęście w małżeństwie i niema dla niego miejsca w jej życiu, albo ona nie kocha męża. W takim razie wypada powiedzieć lojalnie temu idjocie i paskarzowi całą prawdę. Jaką prawdę? Że nie będzie tu trójkąta małżeńskiego, schadzek, że nie wolno mężowi stawać między niemi, że związało ich uczucie mocniejsze, niż sakrament, mocniejsze i prawdziwsze niż żądza... Po takim wyznaniu mąż albo usunie się, albo wyrzuci przyjaciela żony za drzwi. Bo jakież może być inne wyjście? Bardzo proste i łatwe — odpowie pierwszy lepszy doradca: romans. Zapewne. Tak zwykle bywa i w książkach i w życiu. Któż by sobie łamał głowę nad sprawą tak prosta, grzebał się w katechizmie i w sumieniu, stwarzał jakieś skrupuły?! Tymczasem właśnie oni oboje chorują na skrupuły i zasady, na sumienie i przesady, oboje należą do ginącego świata. Pani Padniewska wychowana w zasadach katolickich przypomni mu katechizm, przysięgę ślubną... zresztą ona oczywiście kocha męża. Dlaczegoż by wróciła pod jego dach... „Pam każdą radość zepsuje dociekaniem“ — usłyszał jej częste napomnienie.

Tak, poco wybiegać myślą w przyszłość, snuć jakąś powieściową intrygę... Alboż nie jest nieprawdopodobnem prosto szczęściem, że ona wróciła z tej strasznej tułaczki, że

znajduje się w Warszawie, że on spotka ją jutro, że może widywać, że usłyszy jej głos, że spojrzą na niego szare, drogie oczy... Powtórzył się cud. Suche drzewo zakwitło... Jakże ubogiem, szarem i smętnem było istnienie jego bez niej, zanim ją poznał i potem po rozstaniu.

Szydłowski twierdził stale, że poeci i powieściopisarze wyolbrzymiają znaczenie kobiety i miłości, mimo to niekiedy myślał, że prawdziwe, że nowe życie zaczęło się dla niego od owej niedzieli czerwcowej, kiedy spotkał ją w Moskwie po sumie koło kościoła św. Piotra i Pawła.

Przedtem było bezsłoneczne, smutne dzieciństwo, była nauka i książki, samotność, młodość, przeładowana marzeniem, doktrynerstwem, cierpieniem nad krzywdą życia i niedolą świata...

Należał do niefortunnego gatunku mózgowców, nieufne miał serce, a wielką potrzebę kochania, zrażał ludzi chłodem i sztywnością, nikt nigdy ani w rodzinie ani między kolegami nie przemówił do niego prostem, serdecznym słowem. Ona ofiarowała mu bez zastrzeżeń skarb swojej przyjaźni. Ukazała znużonemu myśleniu samotnikowi nieznany świat kochania, młodości, piękna, radości, i zimne serce jego zakwitło. Bo ona była samą radością i urodą życia, samą dobrocią. I dlatego miała prawdziwą wiedzę o życiu, wiarę i mądrość. Zarzucał jej lekkomyślność i pustotę, tymczasem ona niekiedy jednym słowem umiała pognębić jego zawile rozumowania, wy-

śmiać dręczące go wątpliwości. Raz, kiedy trafił się bliskim jej wyjazdem trwającą bez końca wojną, polskimi swarami na ówczesnej moskiewskiej emigracji, pokazała mu roje muszek płasających w słońcu. Innym razem po długim wykładzie ekonomicznym powiedziała mu, że deszcz pada na dobre i na złe, że Boskie piękno przyrody jest także dla dobrych i złych, możnych i ubogich, że tego przynajmniej skarbu ludzie nie mogą zamknąć w schowkach bankowych. Ale ta przedziwna mądrość zaprowadziła ją pod mężowski dach, do Józka Padniewskiego, w którego objęciach znalazła szczęście — gnębił siebie — szukając w kieszeni klucza, i następnie kluczem zatrzasku.

Matka nie spała jeszcze. Była wzburzona, wielkie nożyce, które służyły do wycinania z gazet dokumentów chwili, obie teki zwane „dossier“ zsunęły się z kołdry na podłogę, wieczorne dzienniki leżały na stole nietknięte. Syn odgadł odrazu, że nastąpi dziś znowu jedna ze zbyt częstych scen, które pogłębiały przedział między nimi, podsycaly i piątrzyły ich niechęć wzajemną. Niestety nie było sposobu uniknąć zatargu, zejść matce z oczu, dlatego, że zajmowali razem jeden duży, przedzielony gdańskimi szafami pokój, jedyny, jaki pozostał im z obszernego niegdyś mieszkania, z całej własnej kamienicy. Zresztą zbyt podobne mieli charaktery.

Zatrzymał się koło łóżka matki. Chora widocznie czekała na niego. Krótkie jej palce nerwowo skubały zaбот, okrągłe, płonące, pod-

krażone oczy z niepokojem śledziły syna. W niemodnym staniku o wąskich bufiastych u ramion rękawach ze staroświecką broszą złotą wpiętą w wysoki podpierający brodę kołnierz z wieńcem grubego warkocza nad czołem przypominała fotografię z epoki powstania. Mieszkał w pani Szydłowskiej także dawny rycerski duch. Mimo obłożnej choroby, trwającej już kilka lat, pani Szydłowska zachowała wybuchliwy temperament, gorączkową potrzebę czynu, rządzenia i walki, zapalczywy interes dla spraw publicznych. Nie mogąc działać, udzielała rad, gromiła, pouczała. Niestrudzona ręka jej wypisywała codziennie całe foljaly przestroóg, inwektyw, pamfletów, które posyłała do redakcji „Kurjera Warszawskiego“ i „Myśli Niepodległej“, członkom rządu, oraz różnym znienawidzonym albo szczególnie uwielbianym osobistościom w świecie politycznym. Ponieważ listy nie odnosiły skutku, pani Szydłowska tem zapamiętałej nienawidziła sprawców wszelkiego zła w Polsce, na świecie i w jej rodzinie t. j. Synów Izraela.

Żydzi byli przyczyną bankructwa zięcia, wszystkich pożarów w Sunejkach, sprzedaży Sunejek i kamienicy, spadku marki, przesilenń gabinetowych, zepsucia, defraudacji, żydowskie mózgi wymyśliły bolszewizm, i tylko ludzie przekupieni przez żydów, a zajmujący najwyższe w kraju stanowiska albo zaślepieni pychą, do których należał jej syn, nie chcieli tego dostrzec.

— Dlaczego tak późno? — zaczęła z rozdrażnieniem.

— Czy to już późno? Mama nie ułożyła się jeszcze do snu?

— Blisko dwunasta. Nie ułożyłam się jeszcze, bo Wodeccy znowu zmienili służącą, nowa nie przyszła — tłumaczyła śpiewnym, kresowym akcentem, który był synowi miłym. — Co na dworze?

— Pogoda, gwiazdy świecą. Może otworzyć okno?

W pokojach był zaduch i smród, zaprawiony zapachem wódki kolońskiej.

Chora niecierpliwie zamachała ręką. Bała się przeciągów.

— Odwiedziła mnie dziś Ania Łuszczynska — znacząco zaczęła.

Andrzej zauważył teraz dopiero szkaradną bombonierkę w kształcie jajka, który to dar świadczył o złym smaku Łuszczynskiej.

— Kiedyż się skończą te kłótnie wasze?

— To nie kłótnie, mamó — rzekł pojednawczo i, pragnąc uniknąć dyskusji, pocałował suchą gorącą rękę matki i udał się do siebie za szafy.

Matka puściła go zrazu, lecz po chwili znękanym głosem kazała przyjść.

— Lekarz zalecił mamie spokój po wieczornym zastrzyku — odpowiedział i dalej układał rozrzucone w szufladzie kartki rękopisu, aby zabrać się do wykończenia listu otwartego „do faryzeuszów“, który miał w najbliższych dniach ogłosić drukiem. Ale nie mógł

dziś pracować, myśl jego wracała wciąż na ulicę Szopena.

Łóżko chorej zatrzeszczało groźnie. Uczyniło mu się żal matki. Odłożył papiery do szuflady, wrócił do matki, usiadł. Sięgnął machinalnie po bombonierkę lecz nie wziął cukierków.

— Niema w nich trucizny! Jesteś nieprzejednany. Po mnieś odziedziczył zawziętość. Niewygodna to wada. Źle mi z nią było na świecie... a i ty, biedaku, sporo masz wrogów.

Andrzej podniósł wzrok na matkę, zdumiony miękkim tonem, jakim nie przemawiała nigdy do niego. Zauważył, że ręce bardziej trzęsły się niż zwykle, lecz nie pytał o powód wzburzenia. Wiedział, jaką usłyszy odpowiedź. Że on jest przyczyną choroby, źródłem wszystkich strapień, udręczeń i klęsk, że jest piekielnie zarozumiały i uparty, że Bóg pokarał ją niedobrym synem... Alboż matka nie miała racji? Czy nie po jego stronie była wina złego stosunku?

— Czem obraziła ciebie Ania?

— Nie obraziła mnie bynajmniej. Wolę jej nie spotykać, bo zanudza morałami.

Palce chorej nerwowo skubały biały żabot.

— Tak surowo sądzisz innych, jakgdybyś sam był bez grzechu.

— Znam dobrze wszystkie swoje grzechy.

Nastąpiła cisza. Czarne okrągłe oczy chorej spoczęły na rozczochranej, drogiej głowie umiłowanego mimo wszystko syna... Przypominał jej teraz, gdy gryzł cukierek, ruchem warg dziecinną buzię... tamte dobre czasy. Ach,

jakże ciężkim, twardym i obojętnym okazał się ten jednak ukochany, gdy dorósł, jak błędzi!...

— Nikczemnych masz wrogów — zaczęła — potworne rozpuszczają oszczerstwa.

— Jakież są te potworne wieści?

— Opowiadają w Warszawie, żeś podczas niewoli zadawał się z bolszewikami, żeś byś u nich jakimś komisarzem?

Andrzej spuścił oczy. Nastąpiło milczenie.

— Komisarzem nie byłem.

— Co? Nie zaprzeczasz? Więc to prawda! — krzyknęła matka.

Znowu zapadło milczenie.

— Zainteresowała mnie nowa idea, chciałem zbadać i poznać ten ich ustrój.

— Odwołaj coś powiedział! Zaprzecz! Nie wierzę!... Nie wierzę... nie mogę!... nie chcę!... nie chcę!... Łuczyńskiej kazałam iść precz... Łuczyńską nazwałam podłą plotkarką... słowem matki zaręczyłam... teraz ty sam się przyznajesz. Zainteresowała ciebie walka z Bogiem, szatański ustrój! A ja się łudziłam, że to niegodziwy wymysł twoich wrogów nikczemnych.

— Nie jest to nikczemnego wroga niegodziwy wymysł — odparł powoli, jakby lubując się każdym wyrazem. Obudziła się w nim już zawziętość.

— Jezu, Jezu! — jęknęła i zasłoniła twarz. — Jeszcze tej hańby trzeba było mi dożyć? Cemuś nie poległ lepiej!... Nie zostałbyś zdrajcą. Porwał się z miejsca.

— Jeżeli mama uważa mnie za zdrajcę...

— Tak, — krzyknęła, w ustach otwartych wyszczerzył się długi, żółty jedyny ząb. — Jesteś zdrajcą, boś był z niemi, bo byłeś na ich żołdzie. Znowu zasłoniła trzęsącemi się rękoma twarz.

— I z takim synem muszę pod jednym przebywać dachem?...

— Mogę dziś jeszcze pójść stąd, jeżeli mama każe — zagroził.

Poszedł za szafy, brał już kapelusz i płaszcz.

— Idź, idź, idź! — krzyczała zapamiętałe — wróc do nich! opuść Polskę, której jesteś niegodny... będzie przynajmniej o jednego zdrajcę mniej...

Wybuchła płaczem.

Nie wyszedł. Nie mógł zostawić chorej nie-dołężnej matki w stanie takiego rozdrażnienia. Położył się na łóżku, leżał z zamkniętymi oczami, zaciskał usta. Całym wysiłkiem woli trzymał nerwy na wodzy, żeby nie wybuchnąć dziecinnem łkaniem.

— Chodź tu! — cicho przywołała matka — odlicz mi krople!

Wiedział, że matka miała zażywać krople tylko w wypadkach nagłego pogorszenia.

— Czy mamie nie dobrze? Zatelefonuję do Czarneckiego. Rozbiorę mamę na noc — wykrztusił.

Nic nie odpowiedziała. Czarne okrągłe oczy spoglądały na syna ze zgrozą.

— Idź, padnij w kościele krzyżem! Wyznaj, że opętał cię szatan, bij się w piersi, wyprzyj się błędów, nie szerz pismami swemi zgorzenia. Nie widzisz, co się dzieje w Pol-

sce, kto tu rządzi! — wołała patetycznie, potrząsając rękami.

— Dobrze jest w Polsce? Nikomu nie dzieje się krzywda? Nie należałoby przebudować od góry do dołu — przekornie odparł.

— Ani Boga ani ojczyzny! — jęknęła i odwróciła się do szafy a po chwili szeptem wołała:

— Wiesz, jaka jest moja codzienna modlitwa. Proszę Boga o pomyślność dla tych, którym dobrze się dzieje, i dziękuję za moje nieszczęście, za mękę, za krzyż i hańbę, za ciebie — zaniósł się płaczem, który wnet pohamowała.

W mieszkaniu panowała cisza. Naraz otwarły się gdzieś drzwi, ktoś przekradł się korytarzem na palcach, wybiegł za nim stłumiony śmiech kobiecy, otwarły się inne drzwi, stuknęły wystawione do rannego czyszczenia bućki. I znowu zaległa cisza. Pewnej chwili matka palcem wskazała elektryczność i szafy. Usunął się i, zgasiwszy światło, położył się, nie rozbierając się. Często powtarzały się podobne dzisiejszej sceny między nim a matką, mimo to każda wytrącała go z równowagi, wprawiała w rozdrażnienie, po każdej czynił w myśli gniewne porachunki, układał przeciwko matce akty oskarżenia, z goryczą wspominał dzieciństwo. Niewiele w niem było radości, nigdy chwili swobody. Chyba u niani, u cioci Jadzi, albo gdy wykradał się do lasu... W domu nikt nigdy się nie śmiał, nie bawił i nie cieszył niczem. Dnie, jak zdawało się dziecku upływały w troskach, w niepokojach, w wiecznym niezadowoleniu. Matka zajmowała się tajnem nau-

czaniem, ochronką, sklepem chrześcijańskim, walką z żydami, ojciec, były oficer austriacki, któremu ciężyla skóra ziemianina „pod carskim knutem“, na dalekiej Białorusi, chudy, łysy, gderliwy starszy pan chodził ze swoim cienkim stalowym kijkiem po gospodarstwie i, przerażony długami, które rosły z powodu kosztownej dobroczynności żony, starał się przysporzyć majątku, a to przysparzanie majątku polegało na tem, że tropił złodzieji, od rana do wieczora ujadał na fernali, kłął wszystkich, począwszy od barometru a kończąc na kurach fornalskich i własnym jedynaku, który wciąż i wszędzie niepotrzebnie mu się płałał. Dziecko nie oplakiwało ojca, gdy przedwcześnie i nagle po krótkiej chorobie zabrała go śmierć. U trumny męża matka, która lubiła uroczyste sceny, zwróciła się do jedynaka z wezwaniem, by poszedł w ślady ojca, pomścił śmierć ojca...

Zawiódł w zupełności oczekiwania rodziny i swoje. Nie poszedł w niczyje ślady, torował sobie drogę sam, zawsze inaczej, niż pragnęła matka, która zresztą zbyt często zmieniała programy wychowawcze. To martwiła się, że niepodobny jest do jakiegoś spotkanego w sąsiedztwie hrabiątka, które zachwyciło ją układem, wymową, francuzczyzną, i strofowała jedynaka od rana do wieczora za złe manjery, to wymagała, ażeby odbywał, obrawszy sobie za wzór św. Stanisława Kostkę, pobożne ćwiczenia i pielgrzymki, albo kazała mu pisać wiersze, uczyć się na pamięć całych rozdziałów z Trylogji, deklamować przed gośćmi na

imieninach Deotymę, a już w następnym roku od maturzysty żądała, by zamiast rozczytywania się w Żeromskim i Tolstoju obcował ze wsią, uświadamiał narodowo lud, prowadził kampanję antisemicką. Tymczasem syn niełatwo ulegał. Stąd wieczne między nimi utarczki. Znadto byli podobni do siebie z nieustępliwości, oboje mieli płonące głowy a zimne serca. Dlatego zapewne on nigdy nie umiał brać życia łatwo ani siebie takim, jakim był. I wciąż sobie coś narzucał, różne piękne zabawy, szlachetne postanowienia, wciąż siebie wychowywał, nałamywał, wciąż siebie za coś karał. Dzieckiem dla pokonania nerwowego lęku, zniewieściałości, tchórzostwa, biegał po zrębie studni, wymykał się nocą na cmentarz i do lasu albo w burzę do ogrodu, dosiadał konia warjata, w szkole wdawał się w patryjotyczne zatargi z groźnym profesorem języka rosyjskiego, stawał w obronie słabych. Raz nawet przyznał się do kradzieży popełnionej przez zahukanego hebesa. Z biegiem lat wyznaczał sobie coraz trudniejsze ćwiczenia. Zaczął od wegetarjanizmu, abstynencji, włóczył się po Europie bez pieniędzy, zdobywał doktoryaty zagraniczne, w międzyczasie, stwierdziwszy w sobie zadatki na filistra-kamienicznika, zmusił matkę do sprzedania jego kamienicy na spłatę nieobowiązujących długów szwagra-karciarza, który sprzeniewierzył jakieś wdowie i sieroco fundusze...

Gdy wybuchła wojna, przekradł się z Warszawy do Krakowa i poszedł walczyć w Legjonach bez zapału i bez wiary, z poczucia o-

bowiązku, przeważnie zaś dlatego, że nie odczuwał w sobie ducha rycerskiego, że mierzyła go służba wojskowa. Niewiele prochu powąchał, gruntownie natomiast poznał różne obozy jeńców w Rosji. Po powrocie z długiej niewoli do kraju odbył mimo zapalenia nerek i pacyfistycznej ideologii całą kampanję 1920 roku, nabawił się choroby, a kiedy nareszcie udało mu się wydostać ze szpitala, wówczas zadziwił rodzinę i przyjaciół swoimi dziwactwami i niezaradnością. Wszyscy jego koledzy i towarzysze znaleźli sobie odrazu pracę, stanowiska, tylko on błąkał się i błądził mimo, że miał doradców życzliwych i tak zw. wpływowe stosunki czyli protekcje. Niektórzy z owych doradców tłumaczyli mu, że należy robić pieniądze albo karierę, zapisać się do prawicy albo lewicy, matka pasowała go na wodza krucjaty przeciwko żydom i masonom, koledzy chcieli wyzyskać jego zdolności i wiedzę i zaprząć do pracy państwowej, on zaś właśnie dlatego, że łatwo robiło się karierę i że uśmiechały mu się wysokie godności, władza i rozmach, pracował przez kilka miesięcy w policji (dla ekspiacji) i następnie zajął skromną posadę w ministerstwie skarbu, lecz nie umiał, zająwszy oną lichą posadę, poprzestać jak towarzysze biurowi na rachunkach i cierplivej pisaninie sekretarskiej. Ogólnoludzkie sprawy zaprzętały go w dalszym ciągu niemniej niż za czasów studenckich, i ta tylko dziś zachodziła różnica, że nie powtarzał już cudzych haseł jak niegdyś, że głoszone przez niego prawdy były owocem własnych

przeżyć, rozmyślań i złudzeń. Przeżył i nauczył się niemało w latach wojny ale zachował jeszcze sporo szlachetnych przesądów i dużą dozę naiwnego optymizmu. Zdawało mu się, że po straszliwej katastrofie wojennej ludzkość zechce przedewszystkiem zabrać się do gruntownej rewizji ustalonych pojęć, do leczenia chorej, zatrutej szaleń nienawiści i mordowania duszy, do przebudowy ustroju, wierzył w skuteczność radykalnej kuracji, w możliwość przebudowy, sądził, że po kuracji i przebudowie nie znikną wprawdzie z powierzchni ziemi przemoc, krzywda i ucisk ale mniej będzie obłudy, lepsze zrozumienie wartości i piękna życia.

Z temi niezbyt oryginalnemi wnioskami wystąpił w druku oraz na kilku zebraniach. Mówił rzeczy znane, lecz oświetlał je w odmienny sposób, gdyż odrodzenie świata widział w realizacji nauk zawartych w Ewangelji, pomniejszonej, zdaniem jego, przez Kościół. Listy otwarte, zamieszczone drobnym drukiem w jednym z pism porannych, podpisane nieznanem nazwiskiem przeszły naogół bez wrażenia, ale wywołały oburzenie u znajomych i matki a przedewszystkiem zdziwienie i lekceważenie wśród towarzyszy.

Nie dogodził nikomu. Jedni potępili go jako heretyka, inni wyśmiewali jego klerykaizm. On także nie był z siebie zadowolony. Niczego nie osiągnął, bo nic użytecznego nie zdziałał, życia własnego nie uczynił ani pięknem ani wartościowem. Znużyły go ideały, doktryny, bibuła, stan ostrego

pogotowia, wieczna walka z sobą, z otoczeniem, nie troszczył się już o Królestwo niebieskie na ziemi, pragnął prostego i spokojnego życia i coraz częściej jak ów na wawelskim nagrobku humanista: *Tranquillitatem animae summum bonum vitae esse putabat*. Ale na dnie serca przechowywał nabożnie naiwne marzenia, które snuli podczas spacerów moskiewskich, żywił w sekrecie przed własnym rozsądkiem nadzieję, że owe niedorzeczne rojenia spełnią się co do joty i, jakkolwiek oddawna zdawało się prawie pewnem, że zmiotła „Siostrę duszy“ krwawa burza rosyjska, spodziewał się, że ona wróci do kraju. I czekał wiernie. Nie omyliły go przecucia. Pani Inia wróciła, ale do męża, do Józka Padniewskiego, co było zresztą do przewidzenia. Żony wracają zwykle do mężów. Wszystko jest w porządku, wszystko będzie po dawnemu; biuro, ideały, bibuła, gromkie hasła, samotność, tęsknota i to dziwne niedomaganie, to zamilknięcie wewnętrzne, spłowienie świata i życia. Wszystko jest w porządku, ale pokazało się naraz, że sekretne nierozsądne marzenie było ważniejsze niż praca i walka, niż wielkie plany działania, krucjaty, wzniosłe wierzenia, niż całe to puste doktrynerskie życie. Dlaczego sztuczne i puste? „Życie można zawsze przeżyć użytecznie i mądrze — przywołał siebie do porządku. — Niema zmarnowanych istnień, są tylko marne dusze“. Przypomniało mu się przepisane niedawno do dziennika zdanie jakiegoś francuskiego autora. W tym samym dzienniku powtarzał wiele razy, że szczęście nie stano-

wi o wartości istnienia, że miłość, ta z książek i z jego najdroższych snów jest złudzeniem poetów i takich jak on ascetycznych młodzieńców.

Istnieje wspaniała muzyka wagnerowska, powstały cudne poematy, czyta się z zachwytem powieści Żeromskiego, na padole rzeczywistości są stroskane kłopotami stadła małżeńskie (bardzo trafne wyrażenie) i pełno jest co wieczór tulących się do siebie par, ale gdzie jest miłość? Nie widział jej nigdy.

Popęd i rozpustę mazywają ludzie miłością... Jemu oczywiście roilo się, kiedy zakwitła ich „przyjaźń“, że to zawitała wreszcie owa miłość, święta, czysta, prawdziwa, pierwsza i jedyna, miłość, na którą czekał latami, pędząc mimo drwin kolegów franciszkańskie życie. I „ślubował“ ukochanej wierność, ślubu nie złamał. Nawet kilka dni temu uciekł od dziewczyny, która go wciągnęła do swego pokoju, bo w chwili, kiedy trzymał świeżo wymyte, pachnące mydłem zimne ręce dziewczyny, spostrzegł na górnej wardze takie właśnie znamię jak u Ini. Uciekł, żeby nie sponiewierać świętości uczucia, nie zbezczścić bóstwa. Nie wiedział wówczas, że to jego bóstwo znalazło szczęście w objęciach Józka Padniewskiego... Teraz i jemu wartoby poszukać miłości i szczęścia... Ludzie podobno najwięcej cierpią z powodu złudzeń. Pani Padniewska wyleczyła go ze złudzeń raz na zawsze. Nie będzie zatem cierpiał. Czytając w powieściach opis mąk miłosnych, zarzucał autorom przesadę, bohaterom powieści — niedołęstwo. Aż

naraz sam zapadł na ową niemoc i, co dziwniejsza, nie odrazu rozpoznał chorobę. Zdawało się, że między nimi jest tylko koleżeńskie porozumienie, sympatja, przyjaźń. Tymczasem od pierwszej chwili... Nie, właściwie nie od pierwszej chwili... Bo, gdy zapoznała ich wiecznie śmiejąca się Głowska, stanął onieśmieszony, pełen zdumienia i zachwytu jak w obliczu bogini. Wzruszyła go niezmierna jej dobroć, że raczyła podnieść na niego cudne, czyste oczy, zamienić kilka słów. Gdy tegoż dnia przybyła na letnisko, stwierdził, że w jej obecności świat staje się samem pięknem i życie — samą radością. A po kilku chwilach rozmowy, stracił z oczu świat, bo światem i życiem była ona. Skoro odjechała, poznał, że bez niej były pustka, mrok i nuda, że bez niej poprostu nie warto żyć. Słowem, zupełnie jak w książce. I wybrał się do miasta, krążył w pobliżu jej domu, czekał na nią w kościele, a że nie spotkał jej nigdzie, wrócił do domu z rozpaczą w sercu, jak gdyby z pogrzebu, słowem, znowu jak w książce. Nazajutrz rozpacz zamieniła się w radość bez granic. Namówiona przez Głowską i lekarza, pani Padniewska zgodziła się przenieść z miasta na letnisko i zamieszkać pod jednym z nimi dachem. Nastaly dni, które mogłyby być i zdawały się potem we wspomnieniu samem szczęściem, lecz szczęściem nie były. Dlaczego? Zawinili tu ludzie, okoliczności, oni sami. Matka jej, dama bardzo wymowna i patetyczna, która wciąż się dla bohaterskiej Francji egzaltowała, traktowała go wyniośle, głupia Głowska dokuczała im

niemądremi swatowskiemi żartami (o mężu nigdy mowy nie było) on z nieśmiałości, z braku doświadczenia nie zdobył się nigdy na gorące słowa uczucia... Mówili o literaturze i okrucieństwie, o religji, sztuce i rewolucji, nigdy nie odważył się powiedzieć tego, co miał na ustach, w sercu, w myślach... Potem przypłatało się do niego zapalenie płuc, ona zaś ani razu nie przyszła odwiedzić chorego, potem zjawił się ten jakiś tajemniczy i nieznośny Mojkin, który wziął się na niego i na Hanię, trzeba było zejść z oczu, ukrywać się, przyszło rozstanie, uwięzienie. A po rozstaniu były znowu żal i tęsknota, jak w książce i ten dziwny stan, który on nazywał w dzienniku oniemieniem wewnętrznem. I nawet może dzisiejszy epilog przypomina także ostatni rozdział powieści. Ale tu już musi się urwać z powieści wyjęty romans życia. Nie będzie cierpiał jak ludzie książkowi, nie zmarnuje życia. Tyle jest spraw zaczętych, toczy się walka, nie wolno zejść z pola. Do wojny żyło się swoim wydmuchaniem ja, dziś jest czas na służbę.

— Jędrusiu! — zdało się mu, że cicho przez sen dziecinnem imieniem zawołała matka na niego.

Nasłuchiwał. Gdyby odezwała się, poszedłby i upadł jej do nóg, przeprosił, wyjaśnił wszystko, a potem rozebrałby matkę i ułożył do snu jak dziecko.

Wołanie nie powtórzyło się.

Przez trzy niezastłonięte okna zaglądał już świt.

„Służba — a tamto minęło, tamto skończyło się, umarło — powtarzał.

VI.

Po wyjściu dokuczliwego plotkarza Inia podniosła z ziemi serwetkę, zrobiła machinalnie kilka ściegów i znowu upuściła robotę. — Patrząc w otwarte okno słuchała plusku ciepłej ulewy... Tak szumiały niegdyś wody wiosenne w Siemieńczycach za parkiem. Odechnęła głęboko pachnącem powietrzem... Nareszcie litościwy Bóg wyprowadził ją z domu niedoli i żałoby, w którym tyle lat konała jej radość, jej kochanie, jej młode życie. Ach, nie ma już zmory dręczącej, jest tylko to nowe, młode, szumiące życie. Kiedyż się spotkają? Jutro, oczywiście jutro. Napisze i zaprosi go do siebie. Rozejrzała się po pokoju, wzrok jej zatrzymał się na drzwiach prowadzących do gabinetu męża. Do siebie? Ależ to nie jest jej dom. I jakżeby pan Andrzej z Józkiem! To niemożliwe!...

Józek wszedł do pokoju i poprosił o zawiązanie krawatu. Porwała się z miejsca i podeszła do niego usłużna i pokorna, jakgdyby poczuwała się do jakiejś winy, pokorą i dobrocią chciała zmasać oną winę.

— Nikt tego tak nie potrafi jak ty...

Był to dowód łaski i zaufania. Stał przed nią i z wypiętą piersią i gadał.

— Ależ lunęło! Istny potop. Miałem zabawną przygodę. Jechałem dryndą, naraz widzę, brnie w wodzie po kolana niebożątka w białej sukni, w białych trzewikach... zabrałem ją oczywiście, odwiozłem do domu. Zapłaty nie wziąłem, a była łatwa i bogata — zachichotał. Jaką ty masz szyję! Jakie białe ciało! Nie znoszę tej głupiej mody opalania się na kolor jodyny! Bardzo ci do twarzy w błękitnej sukni — ścisnął mocno ramię. — Dobrego masz męża!

A gdy on chwalił się swoją cnotą i dobrocią, chwalił jej białe ciało i suknię, przypominały się jej dosadne dowcipy i żarty Teosia na temat paskarstwa Józka, zadowolenie z jakim słuchała owych dowcipów, i wniossek, który kołatał się kędyś tam na dnie myśli, że pan Andrzej nie pozwoli jej przebywać z paskarzem pod jednym dachem...

Wymiotła pośpiesznie nieprzyjazne, niepokojące myśli. Codziennie pisuje do matki, jest pobożny i obowiązkowy, kocha pracę na roli — wyliczała zalety męża. Wolą być dobra, nie wiedzieć nic, nie trapić się.

— Cóżes taka promienna, jakby jaśnie oświecona?! — zapytał mąż.

— Blask bije od ciebie — zauważyła ciotka, która przyszła jak zwykle na dobranoc do jej pokoju.

— Blask bije... — powtórzyła z uśmiechem rozmarzenia.

Ciotka usiadła na łóżku, jak zwykle za bli-

sko, prawie na poduszce, pokazała srebrną cukiernicę, którą postanowiła w sekrecie przed Józkiem sprzedać na opłacenie nauki dwu „ptaków“ swoich, i zaraz potem mówiła znowu o Wodeckich, księdzu Paciorkowskim i przejechanej przez samochód wychowance, wynosiła pod niebiosa Józka, jego przywiązanie do matki, do której pisuje co wieczór, jego pobożność i pilność, rozum, spryt do interesów, zdolności administracyjne, dowcip i powtarzała swoim bezdźwięcznym głosem różne jego kawały.

Inia potakiwała... Józek był istotnie może rozumny, sprytny, dowcipny, pracowity, obowiązkowy, był wybitnym rolnikiem, idealnie dobrym synem. Następnie, gdy ciotka oburzyła się na Kasię Smolińską, która będąc zamężną od 8 lat, zakochała się naraz w jakimś smarkaczu i, podeptawszy prawo Boże, stara się o rozwód, potępiła lekkomyślną Kasię bez zastrzeżeń, bez wahania, szczerze, w poczuciu własnej nieskazitelności.

Nazajutrz rano wybrała się do kościoła, by podziękować Bogu za cud ocalenia pana Andrzeja. Ale nie mogła modlić się z książki, bo w książce była mowa o Panu srogim i karzącym, gdy Bóg był bliski, dobry, jak w dzieciństwie, w drewnianym kościółku Siemieńczyckim.

Z kościoła po śniadaniu, które wypita w cukierni na Nowym Świecie, w sąsiedztwie ulicy Ordynackiej „jego ulicy“, postanowiła udać się do profesora, by udobruchać go po wczorajszym oziębłym przywitaniu, a zarazem by za-

sięgnąć informacji co do pana Andrzeja i jego bolszewizmu, w który nie wierzyła. Kelner od dawna zabrał szklanę i zmiotł z marmuru okruszyny bułki, ona zaś z jakąś gazetą w ręku wspominała krótkie nieliczne dni szczęścia. Zaczęło się to przypadkiem, zupełnie niespodziewanie i zwyczajnie i jakoś dziwnie nagle. Śmiejąca się, niemądra pani Głowska, daleka Siemienickich krewna, przedstawiła jej na placu przed kościołem św. Piotra i Pawła w Moskwie w letnią niedzielę po mszy niepozornego, źle ubranego młodzieńca. Nie dosłyszała nawet nazwiska, zauważyła wówczas jedynie, że ma bladą twarz, dziwnie skupione wgląd wpatrzone oczy, zbyt długie włosy i głuchy ale przyjemny głos. Zamieniła z nim kilka słów. Był jej wówczas jeszcze obojętny. A jednak zirytowało ją lekceważące zapytanie matki o nazwisko rozczochanego obieźyświata, z którym rozmawiała po sumie, i chciała koniecznie wybrać się tegoż dnia jeszcze po południu na zaproszenie pani Głowskiej na letnisko. Tam, zaledwie przywitani się, poszli we dwoje do ogrodu i szpalerem młodych brzoź nad stawek, gdzie były dwie drzące osiny, i w pole, na daleki spacer, i jemu tak jakos odrazu rozwiązały się usta, mówił z nią prosto i szczerze, jak z przyjacielem, każde słowo jego było cenne i pełne nowej treści, rozumiałe i własne, każde zapadało głęboko. — Stał się jej odrazu niezmiernie bliskim, wypełnił całe serce. Już wówczas chciała otoczyć go opieką i bardzo zaniepokoiła się o niego, gdy dowiedziała się, że jest zbiegłym z obozu jeń-

cem, gdy zakaszlał zarzuciła mu na ramiona swego niebieskiego lisa, ponieważ powiało naraż chłodem od błota. Kiedy matka, która egzaltowała się wyłącznie dla bohaterstwa małych „poilus“ wyraziła się znowu lekceważąco o galicyjskim c. k. Polaku, długo do matki chowała urazę, lubo nie była zawzięta, i nigdy już do końca nie wymówiła przed matką jego imienia. A imię to było jej drogiem nadewszystko. W drodze do miasta, w napchanym śpiewającymi żołnierzami pociągu obok przerażonej matki snuła beztreściwe, słodkie i radosne marzenia, o jutrze, jak ongi w Siemieńczycach, kiedy w wieczory marcowe biegła ku zgorszeniu zakatarzonej miss Brooks do altany, by słuchać tam szumu wód wiosennych. Nazajutrz nastąpiła dziwna zmiana w jej usposobieniu i życiu. Opanowało ją lenistwo, nuda, nieznana przedtem, rozlała się w mieszkaniu, które umiała dotąd zapełnić wesołością i zajęciem. Lubiała roboty ręczne i kwiaty, spacery i książki, sprawunki i wieczorne nabożeństwa, rozmowy i nawet pasjanso z matką, od owej niedzieli wszystko, co nie było w jakimkolwiek związku z nim, straciło urok i wogóle sens. Ponieważ odbiegł ją sen i nie dopisywał apetyt, zdawało się matce i jej, że to jest początek jakiejś choroby. Zagadkowa niemoc minęła wszakże odrazu, gdy namówiona przez panią Głowską i lekarza, przeniósła się mimo opozycji matki na letnisko pod skrzydła Loni Głowskiej do pomalowanej na zielono willi, w której on się ukrywał na strychu. Zaczęło się nowe życie, zakwitły no-

we myśli, serce pałało radością. W wysokich pokojach rozlegał się jej śpiew, choć matka codziennie rano na widok pajaków, które biegały po bielonych ścianach, zapowiadała nieszczęście. Ona także bała się pajaków, ale nie wierzyła w możliwość nieszczęścia. Widywali się tylko w ogrodzie nad stawkiem, gdzie były dwie trwożne osiny i stara olcha, na której pniu tak cudnie drgały białe plamy słoneczne, i jedna brzoza samotna o pochylonym wierzchołku. Tam tylko było im dobrze, on stawał się łatwy i prosty... W towarzystwie zamykał się w sobie, zwłaszcza matka umiała go mrozić... Krótkie było to szczęście!... Przyszło zapalenie, matka zabroniła jej pielęgnować go w chorobie, zjawił się straszny doktor Mojkin... Spotkali się tylko jeszcze dwa razy: na lotnisku w sekrecie przed matką w chłodną, bladą, wietrzną październikową niedzielę i w Moskwie wieczorem, kiedy dostrzegła go z okna i wybiegła bez płaszcza na ulicę. Potem były lata tęsknoty, żalu, żałoby... potem...

Ale czasów niedoli nie chciała dziś wspominać... Wstała i poszła już prosto do profesora.

Idąc Tamką na Powiśle, miała przed oczami rozległy przestwór pogodnych niebios, a błękit był koloru niebieskich pasków na porcelanie w Siemieńczycach... Daleko nad wysoką nowożytną kamienicą wstawały małe, szare, jak z białej, brudnej wełny obłoczki.

W Siemieńczycach rezydent Apanowicz, który miał siwe bokobrody, czerwony nos, błękitne okulary, zwane konserwami, mawiał zwy-

kle, że takie chmurki po deszczu zapowiadają pogodę.

Odszukała w piętrowej pomalowanej na szaro-żółty, nudny kolor samotnej kamienicy mieszkanie profesora, stanęła przed drzwiami, na których od Trzech Króli białaty wielkie koślawe krzyżem przedzielone litery K. M. B., i zapukała nieśmiało, bo bała się profesora dziś więcej niż przed laty w Siemieńczycach, zresztą może nie profesora, ale rozmowy z nim i zwłaszcza owych informacji, w które zgóry postanowiła nie wierzyć. Otworzyła jej młoda przystojna kobieta o czarnych łagodnych oczach, w rozpiętym staniku i przyjaźnie zaprosiła do pokoju, gdzie wysoki blondyn we fraku waczesywał przed lustrem mokre włosy i cmokał do niemowlęcia, które pośrodku łoża małżeńskiego na pierzynie gwarzyło i pobrękiwało zabawką.

— W domu, domu — uprzedzając zapytanie, odpowiedziała młoda kobieta i przez śmierzdzącą mydlinami kuchnię, zaprowadziła Inię do lokatora.

Zerwał się, począł zapinać śpiesznie na wszystkie guziki długi, biały z płótna płaszcz, którego używał zamiast szlafroka.

Radość jak słońce rozjaśniła jego zgryźliwą twarz. Ścisnął i po wiele razy całował ręce rzadkiego gościa, za coś tam przeproszał, mówił o niespodziewanym zaszczytce.

— Taki Apollo, jak ja nie powinien przyjmować pań, gdy jest w stroju niedbałym — żartował, trąc czerwonymi rękami nieogolony podbródek i patrząc czułymi oczami na gościa.

— Jakież to interes sprowadza panią w te nędzne progi? Chorego przysła pani nawiedzić? — zaniepokoił się. — Dlaczego pani wczoraj nie raczyła po ludzku przywitać się ze starym przyjacielem, który całe sześć lat opłakiwał panią — gderał — a dziś naraz tyle łaski! Zapewne uradziły kumoszki, że Mściszewski niedługo już pociągnie, ciotka Fipa nasłała mi tu panią, żeby pani namawiała starego grzesznika — libertyna do pojednania się z Bogiem albo zresztą może sama pani z wysoce chrześcijańskiej troski o moją marną duszę wybrała się na Powiśle. Niechże pani sobie litość i troskę schowa do kieszeni! Wstręt mam do tandety, zwanej współczuciem... i do żandarmów w sutannie — krzyknął z rozdrażnieniem. Mimo takiej przemowy Inia usiadła przy zasłanym gazetami stoliku, zastępującym i stół jadalny i biurko, o czem świadczyły niedopita szklanka, cukiernica, pióro, flaszka atramentu, blaszane pudełko z tytoniem i tutekami.

— Przejdziemy raczej do salonu — wskazał pod ścianą dwa stare, obite spleśniałym żółtym pluszem fotele, wysokie od sufitu do ziemi lustro, oleodruk, przedstawiający zażywną świętą o spuchniętej twarzy. Na oknie było kilka małych kaktusików, każdy pod szklanką.

— Bardzo przepraszam pana profesora za tę wizytę nie w porę — zaczęła pokornie.

— Po pierwsze nie jestem żadnym profesorem, a powtóre mogła pani nie przychodzić... ale skoro pani już przysła, nie warto przeproszać — mruknął.

— Mam pewną sprawę... Chciałam zasięgnąć informacji — tłumaczyła się zmieszana drwiącym wzrokiem gospodarza.

— Po informacji należało się zwrócić do biura informacyjnego, starego bakalarza wypadało odwiedzić i bez interesu — zrzędził.

Umilkła, spojrzała przez górną szybę na dalekie białe obłoki.

Przyjdzie dziś i wyjaśni wszystko — zakwitła w sercu na podobieństwo cudnych obłoków radosna nadzieja.

— Ileż to razy tarabanił się nudny Mściszewski do Siemieńczyc bez interesu!... Dziś zaś stary idjota, nie mając nic lepszego do roboty, godzinami wspomina tamte czasy, odwiedza tamte miejsca... Ze stacji wyjeżdżało się o świcie, twardo stukwały koła na bruku a zaraz za karczmą Jewny wpadały w piach głęboki, i skrzypiąc, powoli toczyła się bryczka... Stary Tomasz od czasu do czasu machał z obowiązku biczem i po każdym machnięciu biczem kaszlał, po obu stronach drogi pochylały się łany pachnącego żyta. Potem zaczynał się Kuczkuński las a w lesie — błoto, które nie wysychało nigdy. I trwał tam zapach, jakgdyby dziegciu, mocny, jędrny, jakiego nigdzie nie było... Za lasem świeciło już słońce... Widzę tamtą drogę gliniastą, czerwone brzegi rowu, mostek na „łoneczce“, dziwaczne cienie koni o nogach pajęczych — mówił powoli rozrzuwniony wspomnieniem — pani już może nawet nie pamięta Siemieńczyc?

— Ach, panie, pamiętam.

— Co się pani tak na mnie patrzy? Śmierć mam wypisaną na twarzy!

— Co? Proszę mnie nie pocieszać — zastrzegł się groźnie a jednocześnie z niepokojem czekał na owe pociechy.

— Musi już już być bardzo źle ze mną, skoro pani nie zdobyła się nawet na kłamstwo i kryje oczy.

Inia zamiast trapić się w tej chwili chorobą dawnego przyjaciela i nauczyciela zastanawiała się nad tem, czy ma zawiadomić Andrzeja o swoim przyjeździe czy też czekać, aż przyjdzie sam.

— Dlaczego pani milczy? Proszę wreszcie wyłożyć ten swój interes.

Oblała się rumieńcem, uczyniło się jej nagle gorąco, czuła, iż nie potrafi wymówić tego imienia.

Profesor mierzył ją szyderczym wzrokiem, przekrzywiając głowę.

— Powiadają ludzie, że cały Józka majątek... że Józek nieuczciwie dorobił się majątku... — poruszyła tę drugą sprawę, która mniej ją obchodziła — może mi pan bezstronnie wyjaśni, bo widzi pan nie chciałabym z tych bogactw... — plątała się.

Profesor założył nogę na nogę, śmiał się, trąc fioletowemi rękami nieogolony podbródek, kołysał nogą.

— La propriété c'est le vol. Każdy majątek powstał z kradzieży, z rabunku, z wyzysku. Niektóre rodzaje łajdactwa zostały ulegalizowane, inne — nie, oto cała różnica. — Filcowy w kratkę pantofel frunął w górę z nogi, zbyt

wysoko wyrzuconej. — A zresztą, moja pani, co mnie, wyrzutka i prawie już nieboszczyka obchodzą wasze zatargi, kłamstwa, zmartwień-
nia, obłudy... Zostawcie mnie w spokoju, dajcie mi umrzeć.

Inia, urażona opryskliwym przywitaniem i tonem rozmowy porwała się z miejsca, zabrała torebkę.

— Przyszłam do pana jak do starego przyjaciela — wybuchła — a pan tymczasem wyrzuca mnie za drzwi.

— A w takim razie przepraszam.

Mściszewski gwałtem posadził ją z powrotem i stanąwszy nad nią, szeptał z zawziętością.

— Dopóki kłamałem, słuchano mnie z uszanowaniem, z nabożeństwem, odkąd mówię szczerze, gniewają się na mnie ludzie. Lubiliście mnie, kiedy byłem czemś w rodzaju gramofonu do wygłaszania podniosłych komunalów. A właśnie teraz warto dowiedzieć się, co myśli Mściszewski, skazany na śmierć. Teraz Mściszewski nie kłamie i naprawdę wiele się nauczył i dowiedział. Zdechnę niezadługo, a żyć chcę. Rozumie pani?

— Rozumiem panie — powtórzyła ulegle.

— Zdechnę niezadługo, po długich okropnych męczarniach, a chcę jeszcze patrzeć na letnie obłoki, odbite w cichej, obrośniętej ajerem wodzie, nad którą nisko śmigają jaskółki, chcę zanurzyć usta w płonącym kielichu czerwonego maku, słyszeć zgiełk Warszawy, gwiżdżanie pociągów, szum potoków wiosennych, szelest pachnącego żyta, wrzawę dzieci w szkol-

nem podwórzu, chcę przejść się z tłumem zdrowych durniów ulicą Marszałkowską, czytać gazetę, pełną codziennych bzdur, wiedzieć jak sobie pościele swoje mocarstwowe łoże głupia nieszczęsna ojczyzna moja... I chciałbym wykąpać się w onej wodzie błękitnej, do której tęskniłem wciąż w chorobie, a której nigdzie niema, chciałbym, żeby mi pani zaśpiewała ową księżycową pieśń, chcę zdrowym być, chcę żyć... Słyszysz pani — krzyknął. I nic mi już nie pomoże, ani żaden djabeł, ani sam Bóg... koniec... I poco to wszystko było? Co z tego? Poco to wszystko było, skoro minęło i nic niema — powtarzał szczypiąc chudą szyję swoją. Stary ksiądz w krótkiej aksamitnej, wytartej kapie wyjdzie kiwając się na środek kościoła, pokropi, pośpiewa, pokadzi, powiozą mnie w deszcz i śnieg przez miasto... ten i ów od niechcenia zdejmie kapelusz... I nie będzie już Mściszewskiego! A na świecie wszystko potoczy się tym samym głupim trybem... gazety, kłótnie w sejmie, karnawał, śluby, dancingi, mecze. Gdy sypać się będzie piasek na moją trumnę, w tej samej właśnie chwili bogaty paskarz zasiądzie w restauracji i będzie długo zastanawiał się: co obstalować na śniadanie, sandacza po polsku, czy szaszłyk barani?...

— Panie profesorze, wszyscy tak samo...

— Wszyscy, moja pani, oczywiście wszyscy, ale nie każdy umiera bankrutem.

— Jakże to, pan, który tyle napisał pięknych książek i tyle zdziałał!?

— Otóż właśnie, że ja, którym tyle zdziałał i tyle napisał pięknych książek, nietylko życie

zmarnowałem, lecz poczułem w obliczu śmierci, że byłem nędzny, mały, zły człowiek. Tak, proszę pani... tak... marny, zły, mały... Dopóki wiodło się jako tako, żołądek trawił normalnie i chwaliła tak zwana fachowa krytyka, a na obczyźnie z nabożeństwem słuchały stada rozczulających się na dźwięk polskiego słowa panienek, miało się religję ludzkości, walczyło się o święte ideały, wierzyło się w naukę... „Ja jestem znikomy, ale nauka, ojczyzna trwają wiecznie“... tak się mówiło wówczas... Ale gdy nie powołano na katedrę do Poznania, odmówiono stypendjum i odezwały się pierwsze bóliki, wówczas zrobił się krach na całej linii... Ani wiary w naukę, ani patriotyzm i żadnego zapалу do walki o święte ideały ludzkości. — I bynajmniej nie cieszy mnie przeświadczenie, że dalej bezemnie toczyć się będzie owa święta walka. Zostały mi całego majątku tylko — strach, nienawiść, złość... Pani wierzy w Boga? — Tak, wierzę.

Popatrzył na nią, zmrużywszy jedno oko.

— A ja wierzę w życie, ale zapóźno zacząłem go szukać...

— Bóg jest Bogiem żywych — zauważyła cicho.

Nie dosłyszał.

— Gdym przygotowywał do druku swoją antifredrowską rozprawę, która już nigdy nie wyjdzie, a której pierwszy rozdział tyle krwi napsuł naszym powagom, mieszkałem nad rzeką — opowiadał tak szybko, że aż się zdyszał. Oczy odrywały się raz poraz od bibuły i goniły błękitną wodę, biegnącą w dal... I nieraz jawiła

się oczom znużonym rzeka jako naga, młoda, piękna bogini... Bogini śmiejąc się wołała mnie... odkładałem pióro... szedłem za głosem kuszącym... Ale uciekała przed zaśnieżonym ułomnym pokraką urocza zjawą... I tak było zawsze... Umieram, a życiam nie zaznał... Nigdy nie wyciągnęły się do mnie niczyje ramiona radośnie jak do Jakóba na gobelinie Wawelskim. Nie dla mnie śpiewała pani księżycową pieśń. Nigdy pani nie przyszło na myśl, że Mściszewski nie jest automatem do wygłaszania kursu literatury, że Mściszewski ma serce, że Mściszewski może kochać... — zaśmiał się.

— Nie warto było trawić młodości na pisaniu niepotrzebnych nikomu rozpraw... Data powstania Anhellego... Woltera wpływ na Słowackiego... oto dorobek lat — śmiał się gorzko. — Wie pani, czemu nie dostałem katedry teraz?

— Nie wiem, profesorze.

Mściszewski, śmiejąc się, ścisnął cienkimi palcami swoją żółtą chudą szyję.

— Dlatego, że kropnął artykuł w „Kurjerku“ i rzucił pod adresem koleżków parę słóweczek prawdy. Porównałem profesorów do księży. Zaszczytne porównanie, nieprawdaż? Niema się o co obrażać. Powiedziałem, że księżulkowie profanują nieraz kościół i Ewangelję, profesulkowie zaś — świątynię poezji i nauki, pisma wieszczów. Powiedziałem, że mało jest umieć wieszczów i gadać o wieszczach oraz klecić przyczynki, że trzeba wieszczów czuć, a zwłaszcza realizować ich naukę... — pochylił się ku

Ini. — Miałbym niejedno jeszcze do powiedzenia... lecz nie zdążę. Sił niema ani ochoty... Finita la comedia. Cały rok oszukiwali mnie lekarze i ja sam siebie do spółki z niemi. Lekki nieżyłt, zła przemiana materji, a tu tymczasem poprostu najordynarniejszy rak — zerknął w stronę gościa, spodziewając się gorącego zaprzeczenia, wyrazów oburzenia. Po chwili ciągnął dalej:

— Bardzo pilnie, proszę pani, zażywałem jakieś proszki i łykałem pigułki, zapijałem zioła... Głupota człowieka, który się leczy, równa się tupetowi oszusta, który leczy. Ale zmadrzałem wreszcie. Długich trzeba było refleksyj i rekolekcyj. Całe trzy miesiące przeleżałem tu, w tym pokoju zupełnie sam, pasując się z gorączką i z życiem... które się znęca nad chorym... Najokropniejszym dręczycielem człowieka złożonego niemocą jest nie cierpienie, ale życie... obojętne, zwycięskie, śmiejące się, radosne. Rozsadzała mnie nienawiść, złość. Drażnił każdy objaw życia, odbłask latarni na ścianie, turkot ulicy, kwilenie Jędrunia za ścianą, gruby głos jego babuni. Nienawidziłem, bo wszystko było zdrowe wokół, wszystko urągało kalece, tratowało leżącego niedobitka... Cemu pani wówczas nie przyszła, jak anioł dobroci?... Często marzyłem nedorzecznie, jak marzą dzieci i chorzy, że stanie się rzecz nieprawdopodobna, że pani ukaże mi się na progu, wejdzie z uśmiechem, usiądzie, zaśpiewa pieśń księżycową.

Zatrzymał się, położył nieznacznie dłoń na ręce Ini.

Ona patrzyła teraz ze współczuciem i obawą na tego ciężko chorego dziwaka, który tak mało zaznał radości, niczego już nie mógł spodziewać się w życiu, nikomu nie był potrzebny, a tak okropnie bał się śmierci.

— I nie szukał pan Tego, który przywraca zdrowie i młodość.

— Nie, pani. Myślałem tylko o pani — szepnął, tkliwie patrząc w oczy, czule cisnąc rękę.

Inia z odrazą cofnęła rękę.

— Pani ma wstręt do mnie...?! Ja także... do siebie i do świata — zaczął krzyczeć znowu. — Nienawiść zamieniła się z czasem w odrazę. Bo obłoki letnie, szelest żyta, pieśń księżycowa to tylko bzdury poetyckie a życie to jest takie oto mieszkanie, pełne swądu, zapachu mydlin, pisku dzieci i swarów, życie to choroba i samotność, to pielęgnowanie — ścisnął chudemi palcami żółtą szyję swoją — paskudnego niechlujnego ciała... I dlatego lepiej jest, że zdechnę niezadługo... Ale chcę być sam do końca, zupełnie sam... Słyszysz pani... Nie umiałem żyć, niechże przynajmniej umrę porządnie... proszę mnie nie żałować, nie odwiedzać... nie nasyłać klechów. Sam chcę cierpieć, słyszysz pani... Nie umiałem żyć, niechże przynajmniej umrę porządnie... — wołał, otworzywszy drzwi i wypraszając zdziwioną tym nowym wybrykiem Inię...

Wybiegła oburzona zachowaniem się nieznośnego dziwaka, powtarzając w myśli, że go więcej już nigdy nie odwiedzi, ale na progu kuchni stanęła i zastanawiała się, czy jednak

nie wypada wrócić do profesora, czy nie narzucić mu się z opieką i nie wywieźć go przemocą do jakiego sanatorjum. Uważała, że należy wrócić, lecz nie miała odwagi. Bała się krzyku i złości. Rozpowite z pieluch niemowlę, bawiło się na pierzynie i trzepiąc rączkami powtarzało namiętnie, zaciekle, „dia, dia“. Ojciec we fraku coś nad niemowlęcą główką rysował palcem wskazującym i coś opowiadał o pszczołach, o muszce i osie, matka studziła na spodku kaszkę. Po gorzkich zwierzeniach nieuleczalnie chorego samotnika miłym był Ini obraz radości, kochania i dzieciństwa.

— Jaki ładny i tęgi! Jacy państwo szczęśliwi.

— Szósty miesiąc — pochwaliła się matka.

— Kawaler będzie bumlerem jak jego tatuś — zażartował ojciec. — Cięgiem śmieje się.

Za ścianą rozległy się kroki profesora.

— To jaki krewny pani? — spytała gospodyni, wskazując drzwi.

— Przyjaciel.

— I będzie tak chodzić, moja pani, do samego wieczora. Dobry bo jest ale i pomyłony trochę.

We drzwiach ukazała się głowa profesora. Inia wymknęła się, obawiając się nowego wybuchu gniewu.

VIII.

Upłynęły dwa tygodnie. Trwały upały. Puste i niepotrzebne dni wlokły się nużąco. Sekretarka klapała całymi godzinami na maszynie, w poczekalni zbierali się jak zwykle interesanci, Józek telefonował rano do banku i na wieś do rządców, pisał swój codzienny list do matki, do którego ona musiała dopisać się, dokuczał ciotce, chorował na lekkie zapalenie gardła, ciotka biegła stukając obcasami po korytarzu, otwierała i zamykała swoje szafy albo wsuwała się do jej pokoju z kwiatami z jakąś ostatnią brukową sensacją, poślaniec przyniósł kartkę od Koci Sławkowskiej ze szpitala, odbyło się na cześć kilku wpływowych ziemian wystawne śniadanie, na którym była mowa o wyprawie kijowskiej, belweder-skim sfinksie, reformie rolnej i spadku marki. Teoś wpadał nieraz kilka razy dziennie i zawsze zapytywał o „kochanka“, Sawa woził ją na spacer i wprowadzał w świat, Choroszewski przysyłał cukierki i róże, odwiedziła ją żalobna pani Janicka, dobra znajoma z dawnych czasów, tragiczna matka wymordowanej rodziny... Tylko pan Andrzej nie pokazał się zupełnie... Przestała go się spodziewać, ale co-

dziennie po południu, gdy tylko rozlegał się dzwonek, nasłuchiwała z niepokojem, a gdy gość udawał się z przedpokoju do Józka, roztropnie tłumaczyła sobie, że zapomniał, że po trzech latach niema się nawet czemu dziwić, że ona także powinna wykreślić go z pamięci. Ale mimo tych rozsądnych wniosków nierozsądnie cierpiała nad tem, że pan Andrzej zapomniał, gdy ona zapomnieć nie może... I snuła się codziennie po Nowym Świecie w nadziei, że spotka albo przynajmniej dojrzy z daleka na ulicy... I nie widziała go ani razu.

Któregoś popołudnia, nie mając sił na beznadziejną włóczęgę, poszła do cukierni, usiadła tam w oknie i cierpliwie śledziła przechodniów, idących od strony ulicy Ordynackiej. Dostrzegła księżniczkę Albertynę w ogromnym jasnym kapeluszu w ciemnych okularach z psem i Teonią Dołżecką, Piotra Choroszewskiego w samochodzie. Tereskę Szczerbiowską, Teosia, kilku innych znajomych, których nazwiska nie pamiętała. Ludzie szli powoli, znękanii upałem, wszyscy uginali się, zdawało się, pod niewidzialnym ciężarem nad siły. Jej także ucisk kładł się na serce.

Po godzinie oczekiwania zauważyła przy sąsiednim stoliku wymalowaną, bardzo nerwową damę, która patrzyła to na zegarek, to na drzwi, to w małe lusterko umieszczone w torebce, a jednocześnie przypomniawszy jej, że dwa tygodnie temu przesiadła w tej samej cukierni cały ranek i oddawała się jak dziś dzieciennym złudzeniom, niedorzecznym mrzon-

kom. Nie chciała być podobną do wymalowanej damy i nie chciała więcej czekać. Odznaczała się wogóle rozsądkiem, unikała wszystkiego, co zakrawało na dziwactwo, i przede wszystkim wystrzegala się śmieszności. Zapłaciwszy za mazagran, wyszła natychmiast. Na progu cukierni ostatni raz poszukała smutnymi oczami ulicy Ordynackiej i pożegnała pana Andrzeja nazawsze. Powzięła w tej chwili zupełną pewność, że wszystko między niemi skończone. Niema się zresztą czemu dziwić. Trzy lata... Młody jest... Kobiety, albo może miłość? Zaprzętają go raczej różne szlachetne pomysły, dziwactwa, działania. Czyżby bolszewizm, o którym wszyscy?!... — odsunęła z oburzeniem niegodziwe oszczerstwo i zawróciła do domu. Idąc myślała z goryczą, że nikt ani tam ani nigdzie na nią nie czeka, że niktby się nie zmartwił, gdyby nie wróciła zupełnie. Nie była na świecie nikomu potrzebna, nawet Sawie. I stąd ta straszna pustka. A ona właśnie bez kochania, bez ciepła nie może żyć... Oczy jej napelniły się łzami. Stała. Starła się opanować zupełnie niewłaściwy stan zniechęcenia i roztkliwienia nad swoim losem. Nie pozwalała sobie z zasady na robienie tragedji. Cechowały ją prostota, spokój i równowaga. Spojrzała w zbieżale od żaru niebios, na zapchany znużonemi ludźmi tramwaj. Przypomniała się jej niedawna rozmowa z Sawą, gdy walczyła o prawo do szczęścia... Poco? Niema szczęścia i nie będzie nigdy!... Szła dalej...

Było niezwykle duszno dnia tego. Nogi po prostu odmawiały jej posłuszeństwa. Nużył turkot i ruch uliczny, a przede wszystkim dokuczał zalatujący z restauracji swąd smażonej frytury.

Na rogu Brackiej musiała przecisnąć się przez gromadę gapiów, zebranych dokoła karetki „Pogotowia“. W tłumie mówiono o samobójstwie młodej kobiety. Chorą wynoszono właśnie z bramy. Leżała z zamkniętymi oczami zawinięta do połowy w koce, nerwowe drgania targaly białymi jej wargami. Otworzyły się na chwilę wielkie ciemne oczy, spojrzały z niechęcią w ciżbę, samobójczyni poprawiła sobie kosmyk włosów nad czołem, zapięła guzik zielonego swetra i znowu zamknęła oczy.

„Łatwiej jest umrzeć niż żyć“ — przemknęła Ini uwaga. Nie знаła dawniej podobnych uczuć ni myśli, nawet w czasach najsroźszej niedoli. Nie doświadczyła także nigdy podobnego zmęczenia. „Czy wyraz: zmęczenie pochodzi od męki“ — zastanawiała się.

Z trudem dźwignęła siebie na II piętro. W przedpokoju opadła na przykryty łowickim kilimem kufer, na którym w rannych godzinach stale tkwił wyperfumowany Szelkies, i chwilę odpoczywała naprzeciwko cierplivej pani, zwanej przez Józka „czarną cholera“.

Drzwi do gabinetu były otwarte. Nikt nie słyszał jej wejścia. Panienska pisała na maszynie pod dyktat Józka. Nagle umilkła maszyna. Inia spojrzała pomimowoli przez drzwi i w lustro i odwróciła natychmiast wzrok od czulej sceny, która odbiła się w zwierciadle.

Kaszlnęła parę razy dla ostrzeżenia całującej się pary, co odniosło natychmiastowy skutek. Maszyna zastukała znowu.

— Czekam na panią — odezwała się naraz surowo cierpliwa pani, tak zwana czarna cholera, i długą chwilę milczała, ruszając bezzębne wargami.

— Pani jest żoną Józefa Padniewskiego? — spytała, jakkolwiek kilka razy już rozmawiała z Inią.

— Tak, proszę pani.

Inia zdjęła kapelusz, który jej ciążył.

Staruszka znowu długo coś rozważała, ruszając wargami.

— Nazywam się Tumidajska... mogłabym być matką pani. Zwracam się do pani jako do kobiety szlachetnej. Dzieje mi się krzywda — podniosła do góry jakby ze zgrozy małą suchą rękę — nikt się jeszcze nie wzbogacił wdowim groszem. Za dziewięć tysięcy carskich przedwojennych dostałam kupę śmieci — zaczęła długą opowieść.

Inia uprzejmie wyraziła współczucie, obiecała wstawić się, wyszła do salonu i dowlokła się do jakiegoś krzesła. Siedziała z kapeluszem w ręku, patrzyła w nudny zimowy krajobraz na ścianie.

Po chwili wpadła Ania rozczochrana i zdyszana jak zwykle, w krótkiej kraciastej spódnicy, pociągnęła bratową do okna.

— Sprzedaję ostatnie graty — wybuchła. — Kot zamęcza się, traci zdrowie. Kot potrzebuje wypoczynku i kuracji. Możebyś Józkowi wytłomaczyła, że nie wypada siostry puścić

z kwitkiem. Józek prawi tylko morały i wciąż powtarza to samo przysłowie o kózce, nazywa mnie konikiem polnym, dokuczają, odsyła do matki ojczyzny, gdyż to ojczyzna, zdaniem jej, doprowadziła mnie do ruiny. Nie znam się na interesach, na waloryzacji. Nie wzbogaciłam się kosztem Polski, jak inni, to pewna, może za wiele dałam na pożyczkę Odrodzenia... ale co tu wypominać, że się ktoś poczuwa do obowiązków narodowych... Liczyłam zresztą na posag... A cóż się pokazało... Posag dawno wypłacony... I nie mam już nawet na kurację dla Kota — trzepała niezrażona obojętnością bratowej.

Inia siedziała zgarbiona z kapeluszem na kolanach. Ileż to czasu upłynęło od dnia, w którym kupowała ten kapelusz. Dwa tygodnie, może więcej. Było to nazajutrz po powrocie... Jeszcze wierzyła wówczas, spodziewała się, czekała.

— Rozmów się z Józkiem... Może twoje słowa odniosą skutek — prosiła Ania — przedstaw Józkowi, powiedz, że serce mi się kraje, gdy Maciek wieczorem ślęczy nad przekładami, by związać końce... Kot marnieje mi w oczach... Muszę ratować Kota... Co mnie obchodzi dewaluacja, waloryzacja!... męża muszę ratować! — dwie łzy popłynęły z pod binokli po brzydkiej zwiędłej twarzy, otarła je rękawiczką.

— Chcę cię także ostrzec — zmieniła temat, wypłakawszy się — przed niejakim Szydłowskim, którego znałaś podobno dobrze w Moskwie i w Finlandji. To bardzo ciemne in-

dywiduum, bolszewik, o którym mówią nawet...

— Przedewszystkiem nie bolszewik! — ostro skarciła Inia, ocknąwszy się naraz. — Nie powtarzaj plotek!

— Są dowody, wiem z dobrego źródła... nawet matka jego...

— Nie może być żadnych dowodów, ani niema dobrego źródła! — z pasją zaprzeczyła.

Ania parsknęła śmiechem.

— Powiedz jeszcze: niema żadnej matki.

— Zapłątowicz idzie! — nagle krzyknęła, wyrzawszy oknem i wybiegła na ulicę, zapomniawszy o swojej krzywdzie i twardem sercu brata, o przemęczeniu męża i niebezpiecznym bolszewiku. Musiała dogonić narodowego posła, do którego miała interes.

Słuchając dalekiego turkotu tramwajów, Inia strofowała siebie za niewłaściwe zachowanie się wobec bratowej. Nie okazała ani współczucia ani zrozumienia, zbyt gwałtownie natomiast obruszyła się za życzliwe ostrzeżenie, za plotkarstwo... Te plotki naprawdę nie powinny jej zupełnie obchodzić. Trzeba się raz przecie otrząsnąć i zabrać rozsądnie do jakiej użytecznej pracy. Tyle było szlachetnych zamiarów i planów w Finlandji! Ach, i wówczas z nim na spacerze podobała mu się jej uwaga, że istotom ludzkim należy się przynajmniej tyle opieki co roślinom w ogrodzie, że gdyby w Polsce wszystkie panny na wydaniu i światowe damy zajęły się ogrodnictwem...

W przedpokoju rozległ się dzwonek. Jakikolwiek wiele już razy zawiodły ją nadzieje i

przecucie, teraz miała zupełną pewność, że to był on. Oczami, które nagle cudownie roz-
błysły, spoglądała w drzwi, z zapartym tchem
nasłuchiwała. Wacek jakoś marudził z otwie-
raniem... Dzwonek odezwał się nieśmiało po-
raz drugi. Postąpiła kilka kroków i zatrzy-
mała się koło gablotki, nie odważyła się wyjść
naprzeciw gościa.

— Jakiś pan do pani — nieufnie zameldo-
wał piegowaty Wacek, prostując się i staran-
nie zamykając drzwi za sobą.

Odsunawszy Wacka, wybiegła do przedpo-
koju.

— No i przyszedł pan nareszcie? — witała
z prostotą, jakby rozstali się dopiero wczoraj.
Ileż to czasu panie! Blisko trzy lata — ubole-
wała, lubo ten czas rozłąki, tęsknoty, cierpie-
nia nie istniał już zupełnie.

Uśmiechnął się, mocno ścisnął swoim zwy-
czajem i mocno potrząsł rękę, którą zaledwie
musnął ustami. Jakże pamiętała i lubiła dot-
knięcie dziwnie miękkiej dłoni jego!

— Dopiero dziś się pan zjawił! Sądziłam, że
pan zapomniał a ja w Finlandji czekałam
wiernie całe dwa lata — zwróciła się z wy-
mówką, ale nie miała żalu, bo przejęła ją tro-
ska o jego zdrowie.

Wyglądał źle, gorzej, niż wówczas po zapa-
leniu płuc.

— Wybierałem się oddawna — mruknął.

Wacek służący stał we drzwiach gabinetu
i gapił się to na panią, to na gościa, dziwiąc
się zapewne, że państwo nie idą do salonu.
Gość spojrział we wszystkie pokolei drzwi.

— Może przejdziemy tam — prowadziła go przez salon do swego pokoju, który urządziła z myślą o nim... Szal turecki matki na tapczanie i drugi na ścianie, ryngraf, fotografie, wszystko było jak w zielonej willi pod Moskwą, w dniach szczęścia. Zapomniała narażenie, że przyjmuje go w mieszkaniu męża, nie słyszała nawet Józkowego gwizdania. Ale on pamiętał, że idzie przed nim żona Józka Padniewskiego, był sztywny i zmieszany. Stanęli koło stołu. Nic nie mówiąc, znowu przypatrywała się mu długo, długo...

Zmienił się, wychudł... bardzo zmienił się. Mądre, skupione oczy były jakieś spłoszone, usta — gorzkie, usta zapomniały uśmiechu.

— Niechże pan siada.

Zajął miejsce na brzeżku krzesła, siedział wyprostowany.

— Poznaje pan szal, ryngraf. To jedno wyratowałam, no i siebie.

— A Siemieńczyce? — spytał, spojrzawszy na nią ukradkiem, i jakby nieufnie.

— Siemieńczyce są po tamtej stronie. Dom spalony, drzewa wycięte. Sawa miał niedawno wiadomości stamtąd — mówiła tonem niemal radosnym.

— Jak pani musi być żal dworu i tamtych drzew! — zauważył oschle.

— Bardzo mi żal — odpowiedziała machinalnie, zmartwiona jego wyglądem, zachowaniem się i tym urzędowym tonem.

Głos brzmiał sucho, a słowa — sztucznie, jakgdyby wymawiał je spuchniętymi wargami.

Tak zachowywał się zwykle, gdy był niezadowolony z siebie, w dniach, w których miał „zdarty z duszy naskórek“, gdy zazdrościł tęgopokrywym, bo sam się czuł mięczakiem.

— Oglądałem niedawno widoki Siemieńczyc.

— Kto je panu pokazywał?

— Podczaski. Ma ogromną kolekcję dworów kresowych — prowadził salonową rozmowę.

— Pamięta pan, jakieśmy przerzucając w słotną sierpniową niedzielę stopy fotografii amatorskich, tęsknili do jarzębin, do mokrej polanki, do „łoneczki“, gdzie kwitną blade fioletowe dzwonki i pełno jest kęp, a z każdej kępy z żółtego mchu wyzierają szare głowy głazów. Na takiej właśnie polanie leżał pan ranny i patrzył w wysokie pochmurne niebiosa, namiętnie kochał i żałował życia, którego piękno i znaczenie pojął pan i zgłębił właśnie onej godziny cierpienia.

— W rzeczywistości bieg myśli moich był wówczas znacznie mniej poetyczny — sprostował.

— I mówił pan jeszcze w oną niedzielę; że miasta, któremi tak niemądrze szczycą się ludzie, są wrzodami na obliczu ziemi, że cywilizacja cuchnie.

— Pani wybornie pamięta.

— Wszystko panie. I będę znowu jak wówczas namawiała pana, żeby pan pisał.

— Pisuję czasami, nawet temi dniami zamierzam znowu popętnić list otwarty w pewnej wielce drażliwej sprawie, książka już wyszła — powiedział głosem zniechęconym.

— Cóż pan taki niezadowolony i markotny?

— Bom się zupełnie nie zmienił na lepsze, bom dalej broił i życie marnowałem, odkąd rozstaliśmy się. I gdybym uczynił spowiedź — oczy poraz pierwszy spojrzały jak dawniej.

— Ja także oddawna czekam na rozmowę z panem. Ale niech pan zaczyna. Ileż pan musiał przecierpieć! — nachyliła się ku niemu, zaniepokojona tem nabrojeniem i zapowiedzianą spowiedzią.

— I tak odrazu dziś mam mówić? Jaka pani wymagająca!... Już chciałyby pani sądzić i prawić morały...

Lody prysły. Głos nabrał życia i ciepła, podniósł spojrzenie pokorne. Uległ, nie mógł oprzeć się czarowi czystych prawdziwych oczu i nie próbował już walczyć ze szczęściem.

I znowu doznał olśnienia i upojenia, jak za każdym z nią spotkaniem, znowu ogarnęło go prócz wzruszenia i radości zdumienie nad siłą i prawdą tego uczucia, nad zmianą, która dokonana się w nim i w świecie. Zmianę tę dałoby się określić najlepiej słowem: zakwitnięcie — świat zakwitł i życie.

— Dlaczego pani nie zostawiła listu, jak było umówione, u proboszcza i u Eglantyny?... tyle się natrapilem!

— Sama przed ucieczką zaniostałam Eglantynie... pan chyba zapomniał, dlaczego nazwailiśmy ją Eglantyną... Może nie chciała panu wręczyć? — zażartowała.

Śmiali się.

— Potem nie byłam już w Moskwie. Na Kaukaz oczywiście nie trafiliśmy. Ukrywaaliśmy się w małej mieścinie, stamtąd cudem

dostałyśmy się do Finlandji, do Tamerforsu, jak było w projekcie — szybko opowiadała. A kto to miał pisać do Tamerforsu co miesiąc i nie dotrzymał? Znali już tam na pocztce moją niepyszną minę. Kto to obiecał przyjechać do Finlandji i zabrać nas do kraju?... Całe dwa lata wiernie czekałam. I uroiłam sobie bardzo krwawą historję o panu i owym dziwnym, tajemniczym, strasznym dygnitarzu... co to wówczas uwziął się na Hanię i na pana. Co się stało z doktorem Mojkinem? Spotykał go pan?

— Kilka razy, ale w innej już roli — niechętnie odpowiedział.

— No i czemu to było nie napisać?! — upomniała jeszcze, a promieniejące szczęściem oczy miłowały, dziękowały, że pamiętał, że przyszedł, że jest tu obok niej, w jej pokoju.

— Przesiedziałem niemało w więzieniu, a zresztą wciąż tulałem się. Nie zastawszy listu, sądziłem, że pani nie życzy sobie...

— Zaraz nieufność, zaraz dwa kroki w tył... ale nie róbmy sobie wymówek... wart Pac pałaca, a tamte trwogi i smutki minęły. Jesteśmy w Polsce.

— Jesteśmy w Polsce — powtórzył bez zapału.

— I to pana martwi, że pan jest w Polsce.

Nie odpowiedział odrazu na pytanie. Spojrzał w drzwi, za któremi rozlegało się od czasu do czasu gwizdanie. Znowu uprzytomnił sobie, że to jest mieszkanie Józka Padniewskiego.

— Człowiek dziwny jest — rzekł po chwili. — W parku Rozumowskim tęskniliśmy za polanką mokrą, gdzie kwitną fioletowe dzwonki, gdzie z kęp złotego mchu wyzieraają głazy, tu wspominam wciąż aleje młodych brzoź, dwie purpurowe osiny i stawek. Odbijała się w nim czerwona ściana z cegły i niebo było prześliczne, fioletowe. Takiego nie widziałem już nigdy i nigdzie... Zapewne dlatego, że pani nie było — wyznał z prostotą. Bez pani nie odczuwam radości, nie widzę piękna. I jakże mi potrzebna mądra rada pani! — zaczął prędko gorąco i szczerze...

— Nie przypuszczałam, że osoba moja może być pożyteczna...

Naraz jakoś w niezwykły sposób stuknęła klamka i otworzyły się drzwi do jadalni i wszedł Józek, trzymając uwalane dłonie wysoko i daleko od siebie.

— Wyjm mi papierosa z kieszeni — zaczął — ręce mam brudne.

Staął jak wryty na widok gościa w sypialni żony.

— Panowie się zapoznają — mój mąż — zawołała jakoś zanadto głośno, dobitnie i jakby radośnie. Była tak podniecona, że wyraz „mój mąż“ zabrzmiał triumfalnie.

— Możebyś zaświeciła — powiedział z przekąsem, choć było jeszcze dość jasno — zanim się zapoznam, muszę wiedzieć z kim mam przyjemność...

— Ach to pan! — mruknął, zmierzwiwszy przybysza lekceważącym wzrokiem — ale my się znamy przecież z dawnych czasów — do-

dał niedbale, zbliżywszy się do gościa, który wstał — nie mogę panu podać ręki — pokazał czarne palce. — Zegar w stołowym — pochwalił się — już idzie, sam go naprawiłem. Iniu, daj mi papierosa — wskazał papierośnicę w kieszeni od kamizelki..

Zona wyjęła z kieszeni płaską, srebrną papierośnicę i bursztynową cygarniczkę, włożyła mężowi papierosa w usta, zapaliła. Józek zaciągnął się chciwie. Nie śmiała podnieść oczu na Andrzeja. W piersi uczuła pustkę i chłód, jak gdyby nagle wydarto jej z piersi serce, pałające przed chwilą radością.

— Pan także od niedawna w kraju? — zaczął gospodarz.

— Od roku przeszło...

— Że też puścili pana do Polski! — patrzył gościowi zuchwale w twarz.

— Puścili — odparł ten cicho po chwili milczenia.

— No i będzie pan preparował Polskę na bolszewicki sposób.

— Józku, co gadasz! Jak śmiesz! — krzyknęła żona.

— Toś nie słyszała może, że pan Andrzej Szydłowski był w republice sowieckiej wysokim dygnitarzem — zaseplenił.

— Kłamiesz! — zaprzeczyła i z trwogą czekała na jego odpowiedź. Patrzyła to na męża, to na gościa, ale gość nie śpieszył z odpowiedzią, wyglądał stroskany, nie chciał czy nie mógł się bronić.

— Nie zajmowałem tak bardzo znowu wysokiego stanowiska — odparł obojętnie.

— W Polsce powiedzie się panu lepiej. Wywrotowcy są dziś u nas w modzie. Pan należy do gatunku ludzi, którzy nie wiele mają do stracenia, a dużo do gadania. — Józek stawał się coraz bardziej zuchwały i pogardliwy. — Już na uniwersytecie chciał pan, żebyśmy ziemię chomom rozdali, żenili się z prostytutkami, zajmowali się kontrabandą książek i broni...

Inia pohamowała dziką chęć naplucia mężowi w twarz, obicia go i wypchnięcia z pokoju. Nigdy jeszcze jego śpieszna sepleniąca mowa, wilgotne wargi, małe uszy nie budziły w niej takiego wstrętu i nienawiści.

— Człowiek ma oprócz majątku jeszcze dużo do stracenia — zauważył napastowany gość.

— Co takiego naprzykład?

— Szacunek dla siebie samego...

Józek zaśmiał się.

— Ii... Co tam szacunek, uczciwe imię. To są dziś przesady. Wszystko przed panem i podobnymi panu trybunami ludu otworem w tej waszej Polsce — urągał dalej — mandaty poselskie, teki, prezydentury, synekury. Wiemy już, na czym polega wasz socjalizm: jednym zabrać, by sobie napchać kieszenie... dziś wy górą. I dlatego nie dziwcie się, że my tą waszą Polską nie zachwycamy się.

Gość milczał. Narazie zupełnie nie obeszły go ordynarne zaczepki jej męża. Natomiast nie do zniesienia była myśl, że ona jest własnością tego bydlęcia, że poddaje się jego pieszczotom...

— Pan Andrzej Szydłowski jest moim gościem... proszę cię, byś albo zaprzestał swoich

głupich żartów, albo natychmiast opuścił pokój — ujęła się zapóźno za bezbronnym gościem.

— Dobrze, dobrze... zostawię was samych. — Zdusiwszy papierosa, wyszedł wyniosły, wyprostowany, zadowolony z siebie.

— Poznał pan męża mego — spytała cicho i jakby żałośnie.

— Poznałem męża pani — powtórzył — zresztą miałem przyjemność już dawniej... kolegowaliśmy w Krakowie...

Zapadło milczenie. Stali naprzeciwko siebie, przedzieleni wąskim stołem, na którym były ponsowe piwonje od ciotki, ręczna robota w koszyku, „Myśli“ Pascala'a. Andrzej trzymał ręce na oparciu krzesła i zgaszonym wzrokiem patrzył w otwarte drzwi salonu, który ktoś nagle oświetlił. Wspaniałość apartamentu, jej strojną różową, jedwabną suknię zauważył dopiero teraz po wyjściu męża.

— Panie, to nieprawda?... — szepnęła drżącymi wargami.

— Prawda — odpowiedział równie cicho, z roztargnieniem.

— I pan zadawał się z bolszewikami... razem z nimi katował! — urwała.

— Wspominałem już pani, że muszę odbyć spowiedź, żem nabroił — stroskane oczy jego przelotnie zatrzymały się na Ini i znowu powędrowały w głąb mieszkania... spróbował uśmiechnąć się... otworzył książkę.

— No, niechże pan zacznie! Ciekawam usłyszeć, co pan nabroił?... nie wierzę — bez przekonania mówiła, zaniepokojona jego zachowa-

niem się, obojętnością wobec potwornych zarzutów Józka.

— Ale dziś nie będę się już spowiadał — rzekł głosem znużonym, tonem prośby — może innym razem.

Spojrzeli sobie w oczy, on pierwszy opuścił wzrok. Dzielił ich tylko wąski stół, — a jakże znowu stali się sobie dalecy!

— Nie wiem tylko kiedy i gdzie?... Bo tu widywać się nie możemy — urwał. A i lepiej jest, żebyśmy się zupełnie nie widywali, żebym znikł — dodał ciszej po chwili.

— Czy pan wyjeżdża? — z żalem, z niepokojem spytała.

— Tak, wyjadę, lecz tymczasem zostaję.

— Pan jest bardzo zajęty.

— Tak, przesiaduję trochę w biurze i w bibliotece.

— Zapracowuje się pan, zamęcza, źle pan wygląda. Czy trapią pana znowu uprzykrzone bóle głowy? Był pan u lekarza? — posypały się troskliwe pytania — zażywa pan lekarstwa? Śmiać się pan nauczył? Zawsze pan dostawał odemnie burę. I zawsze był pan niepoprawny...

— Lekarstw nie zażywam, jestem niepoprawny, na burę zasłużyłem — znowu wziął ze stołu książkę, machinalnie przeczytał tytuł, przewrócił kilka kartek.

Na ustach miał wciąż jedno pytanie, którego nie miał prawa wymówić.

— Cały tydzień oczekiwałam pana, wciąż o nim myślałam, miałam zwrócić się o radę, o

wskazówki — cicho mówiła ze wzrokiem utkwionym w połyskliwej tafli mahoniowego stołu — bo widzi pan, odkąd pana poznałam, patrzę na świat innemi oczami. Chciałabym zacząć życie pełne wartości. Pięknie pan mówił, że po wojnie wszyscy muszą zdobyć się na wysiłek, na realizację, że potrzebna jest przebudowa — podniosła na niego wielkie błagalne oczy.

— Ale, o ile kto nie może się obejść bez bogactwa — zaczął i niedokończył.

— Nie umiem pracować... nie potrafię być samodzielną... — urwała także.

— Potrafi pani, nauczy się pani, trzeba pani — urzędowym tonem i trochę drwiąco pouczał.

— Dopokąd pan tu jest, wszystko wydaje mi się łatwym, ale gdy zostanę sama.

— Nie jest pani sama. Zapomina pani, że pani ma męża...

— Panie, panie!... — oczy jej napełniły się łzami.

Przeszedł szybko na drugą stronę stołu, jakby po to, żeby wziąć ją w ramiona, czy też szepnąć coś w sekrecie do ucha, ale ani objął jej ani nie odezwał się zupełnie. Kilka chwil stał w milczeniu, poczem nie mówiąc nic, wyszedł z pokoju ze śmiesznie podniesionemi ramionami.

Nie odprowadziła go do przedpokoju, nie pożegnała ani słowem... Nie miała zresztą nic do powiedzenia. Jak z rozbitego dzbanu woda, wyciekły z niej myśli i uczucia.

Słyszała chrząknięcie jego i stuknięcie drzwiami, śmiech Wacka i wołanie za gościem, który wziął cudzy kapelusz i laskę...

Tak dziwnem jej się wydało, że on poszedł, gdy ona została tu z Józkiem, i że to wielkie szczęście, o które modliła się, na które latami czekała w tęsknocie, smutku i pustce, spełniło się, minęło i zamieniło się w boleść. I co to wszystko ma znaczyć?...

Odszedł.. i twarde, urągliwe, krzywdzące słowa rzucił jej na pożegnanie. Oddał ją w opiekę bogatemu mężowi. Czyżby nie rozumiał, że ona wyrzeknie się bogactwa i męża, że nie chciała wracać do kraju bez niego, że czekała...

Poszła do okna, spojrzała w zamglone po upalnym dniu wieczorne niebo i wróciła do stołu. Wzięła otwartą przez niego książkę „Myśli“ Pascal'a, odczytała stronicę, na której spoczyły jego oczy... Była przedewszystkiem niezmiernie zdumiona, że tak się odbyło to ich pierwsze spotkanie i powitanie, że taki jest koniec. Dlaczego ma to być koniec? Przyjaźń ich może trwać. Nic się nie zmieniło. Józek obraził go wprawdzie, ale on chyba nie przejął się Józkowem gadaniem. Ale dlaczego nie odparł zarzutów, nie bronił się? — biegły szybkie bezładne myśli. Nie mogła skupić się, ująć jasno sprawy, dotrzeć do wniosku, który mętnie majaczył w myśli.

Przeszkadzały jej nieustanne telefony Józka.

Józek łajał faktora, a zaraz potem niezmiernie serdecznie i skwapliwie kogoś zapraszał.

Po chwili wpadł do żony z wiadomością, że za pół godziny zjawi się u nich Piotr.

— Bardzo się cieszę — odpowiedziała, przerzucając „Myśli“ Pascala, szukając tamtej stronicy, na której spoczęły jego oczy.

— Musimy go elegancko przyjąć, chcę, żeby moja pani ładnie wyglądała. Piotr lubi piękne kobiety. I to jest wielki znawca, — plótl, chodząc po pokoju z rękami w kieszeniach. Co tu robił ten Szydłowski? — spytał tonem wymówki.

— Znamy się dobrze z czasów moskiewskich — słowa więzły jej w krtani.

— Aż tak dobrze, że przyjmujesz go w sypialni...

Oblała się rumieńcem, zadrżała z oburzenia i nie powiedziała nic.

— Nie pojmuję, skąd ta poufała komitywa. Zaczyna mi się to nie podobać. Ten Szydłóń to, Bóg wie kto, zawsze był warchoł i socjalista — trzepał nie patrząc na żonę. Pamiętam go z czasów krakowskich. Kończyłem wydział rolniczy, gdy on począł grasować między młodzieżą. Wszędzie go było pełno, wszystkim narzucał się z różnymi warjackimi projektami, udawał apostoła, przemawiał w Ujeżdżalni, prowadził walkę z prostytutką, stworzył bractwo abstynentów. Złośliwi powiadają, że był wrogiem kobiet, bo miał zbożenia. Dziś napewno należy do komunistów.

— Dziś należy do komunistów?

— Nie wierzysz. Spytaj Anię. Wymieni ci kilku poważnych ludzi, którzy na własne oczy widzieli go przy robocie między dygnitarza-

mi w bolszewji... Niektórzy przypuszczają, że uprawia w Polsce szpiegostwo i robi propagandę.

— I co mówią jeszcze o panu Szydłowskim?

— Nie wierzysz. Spytaj Anię, która wszystko wie i nigdy nie kłamie. Ona uważa go za bardzo szkodliwego ptaszka.

— A ja ci powiem — wybuchła naraz — że jeśli pan Andrzej jest komunistą, w takim razie w komunizmie leży prawda... Z czego się śmiejesz? — z pasją zwróciła się do męża, który z rękami w kieszeni marynarki trząsał się od śmiechu.

— Kobieto, zwarzjowałaś! Co gadasz?... Komunizm i prawda!... oto skutki przyjaźni z Szydłowskim. To jego robota!... poznaję, widzę. Gdyby mater słyszała! — zaperzył się, szybko ruszały się sepleniące, mokre wargi.

— Jestem bolszewiczka — i taką zostanę.

Spotkawszy wzrok żony, spuścił oczy. Nie lubił, żeby patrzyła mu za „skórę“, nie lubił gwałtownych sporów, scen wzruszających, wszelkich wogóle „chryji“.

— Zresztą mniejsza o hece polityczne Szydłowskiego — zmiękł odrazu. — Ale widzisz, taki pan psuje markę domu. A nam właśnie trzeba, Inieczko, trochę nawiązać stosunki ze światem... Ksawery ma doskonały pomysł... Nie pochwalił się jeszcze swoim projektem? Ale ty nigdy nie słuchasz, gdy ja coś mówię — przywołał ją do porządku.

— Słucham. Ale przedewszystkiem ty musisz przeprosić pana Szydłowskiego. Żądam tego. A jeżeli nie przeprosisz, pójdę stąd, prze-

niosę się do Sawy — mówiła głosem znękanym.

— A to strzeliłaś kulą w płot. Ledwom się pozbył nieproszonego gościa i już zaraz mam przeproszać. Zakochałaś się chyba w tym bolszewiku?

— Zakochałam się.

Józek przeraził się stanowczym słów i tonu. Spojrzał w płonąca wzburzoną twarz żony, przyszło mu na myśl, że spokojna, łagodna Irka nigdy dotąd nie zrobiła mu sceny.

— Na upór niema rady — zauważył pojednawczo — nie będziemy się przecież czubili, nie pójdziemy do rabina. Niech się dziecinka uspokoi — ostrożnie położył rękę na ramieniu. Gniewuś minął. Możemy pomówić rozsądnie. Pojeżdż do Jurkowiec, tam mater ci wytłómaczy, że dom mężowski to nie hotel.

Wielkie żalose oczy żony patrzyły w dal. Powoli w zamyśleniu podniosła rękę do czoła.

— Teraz dziecinka pomyśli o herbatce, ładnie ubierze się... Ale pośpiesz się, ktoś dzwoni... Może to już Piotr?

Wybiegł do przedpokoju, wylał wystraszonego Wacka, zaśwycił wszystkie lampy w mieszkaniu, sam otworzył gościowi drzwi.

Po chwili do salonu wszedł z ogromnym pudłem cukierków i kwiatami Choroszewski, wysoki, wspaniały, i obok niego mały, uniżony nadskakujący Józek. W dużym o trzech oknach salonie było dość przestrzeni i powietrza, ale gdy Choroszewski usiadł na kanapie, Inia doznała wrażenia, że osoba gościa zajmuje zbyt wiele miejsca. Działacz był dziś w wy-

jątkowo radosnym nastroju z powodu pomyslnych pociągnięć w trzech ściśle rozgraniczonych dziedzinach, w których obracały się jego zainteresowania. Udało mu się wejść w kontakt z kapitałem holenderskim i dzięki Wodeckiemu zdobyć z ministerstwa spraw wojskowych cenne informacje o zamierzonej budowie fabryki w okolicy Radomia, oraz nabyć tanio place podmiejskie, znakomicie nadające się pod ową fabrykę, przewodnicząca Ekspedytek zaniepokojona propagandą antireligijną między młodzieżą, zwróciła się do niego z prośbą o rozprawienie się z wrogiem Boga i ojczyzny na wiecu, w trzeciej zaś dziedzinie miał znowu „pożar stepu“, a lubił kochać, lubił zwłaszcza wiosnę miłości, pierwsze zachody miłosne, niepokoje i nadzieje. Nowa władczyni nie odpłacała mu wprawdzie wzajemnością, ale oziębłość powitania nie zraziła zdobywcy serc. Przypisywał ją bowiem onieśmieleniu, sztywności oraz obecności męża. Zwycięstwo wydawało mu się zupełnie pewnem. Trzymając w jednej ręce blade różowe goździki, utkwiał w pani serca swego czuły wzrok i z uśmiechem, oraz komplementem na ustach, czekał, kiedy też nareszcie spojrzą na niego bezbronne, niewinne oczy, żeby wówczas przemówić tem niezawodnem słowem, z którem zwracał się do każdej „władczyni“, a które za każdym razem zdawało mu się i nowem i prawdziwym: „składam u stóp twoich serce i kwiaty i trochę słodkości“.

Ale Inia nie widziała ani kwiatów ani uśmiechu.... Trwała w niej wciąż zaduma nad

tą nową trudną sprawą, dojrzewało pewne postanowienie. Nie odzywała się do gościa. Zato Józek, podniecony zaszczytną wizytą, trzepał na brzeżku różowej adamaszkowej kanapy obok znakomitego kuzyna bez przerwy. Mówił o cenie ziemi i nowej zwyżce dolara, o posusze w Poznańskiem i wczesnych żniwach, o bałaganie w rządzie.

— Cały kraj czeka na zbawcę, któryby miał silną rękę, chciał i umiał rządzić — seplenił — cały kraj upatrzył już tego zbawcę. Czy mam go nazwać?

Choroszewski, który lubił pochlebstwa nawet „najtańsze z narożnego sklepiku“, jak się ktoś złośliwie wyraził, pokiwał głową łaskawie.

— Dlaczego zwlekasz? Dlaczego nie zaczynasz? Każdy dzień jest drogi — unosił się Józek — wczoraj gdym kupował papier listowy, podsłuchałem naprawdę ciekawą rozmowę.

— Cóż tedy mówiły przekupki? — złośliwie spytała Inia.

— Tam, gdzie niema władzy, Boga, nie może być porządku — mądrze orzekła stara właścicielka sklepu. A na to nafaszerowany bolszewizmem młody subjekt, że Bóg bogatych i Bóg biednych kłóca się z sobą.

Choroszewski wziął z talerza kilka biletów wizytowych, odczytał machinalnie nazwiska.

— Ta kłótnia przekupek dowodzi także, że w Polsce nie będzie dobrze, dopóki nie poleje się krew — zauważył mimochodem.

— Jaka krew? — spojrzała z odrazą na szeroką o niskiem czole, małych daleko osadzonych oczach twarz krwiożerczego zbawcy ojczyzny. Drażniły ją jego tupet, wielkość i nieomylność, przeczuwała w nim instynktownie wroga pana Andrzeja.

— Krew warcholów, szkodników, całej hołoty, która dziś dorwała się w Polsce do znaczenia.

— Ta hołota cierpiała i pracowała dla Polski, gdyście wy gromadzili złote ruble carskie — wzięła w obronę nieobecnego, wypowiedziała pana Andrzeja myśli, słysząc w sobie jego głos.

— Żona moja, jak widzisz jest bolszewiczka — zasepelił Józek. Może ty ją przekonasz i przerobisz.

Choroszewski uśmiechnął się słodko, położył na kolanach Ini goździki. Z paniami nie prowadził nigdy poważnej rozmowy.

— Kobieta zamiast miecza, winna w rękę trzymać kwiat... Bardzo ci Iniu z tym gniewem do twarzy, ale bardzo nie do twarzy w długiej prababkowskiej szacie — zażartował. Gdybym był twoim mężem, nie pozwoliłbym ci ani tak ubierać się, ani tak czesać. To jest zacofanie, samolubstwo i okrucieństwo. — My tu w Warszawie lubimy ładne nóżki — dodał pieśczośliwie.

Nastąpiło milczenie. Wąchając goździki patrzyła w okno. Cud, o który się modliła na obczyźnie, stał się — wracała uparcie ta sama myśl — lecz z tego cudu — rozterka i smutek. Bóg wyratował oboje z toni, są w Warszawie...

a jakby tysiące mil ich przedzieliło. „Lepiej jest, żebyśmy się nie widywali, zniknę“ — przypomniały się jego słowa. Dlaczego nie wolno im widywać się? Czy dlatego, że wróciła do męża, którego nigdy nie kochała, i jest w jego domu niepotrzebnym nikomu gościem?

Jeżeli niema w małżeństwie kochania i szczęścia i nawet uczciwości, wolno chyba zerwać, rozejść się — wyraźnie zarysował się wreszcie ów wniosek, który oddawna mętnie majaczył w myśli.

— Gdzie spędzicie lato?

— Nigdzie. Zapewne w Kowalewie w twojem sąsiedztwie — zamiast pograżonej w zadumie żony odpowiedział Józek.

— Obecnie Polskie morze jest w modzie. — Mam wille w Jastarni, bardzo wprawdzie prymitywną, zawiozę was samochodem — a tam, Iniu, ty, jak Najada... ja zaś gotów jestem jak Zeus — z mitologii, w której nie był biegły, zaczerpnął Choroszewski.

— Dziękuję, ale tak niedawno wróciłam z dalekiej podróży, że chciałabym spokojnie posiedzieć — odparła z roztargnieniem i zastanawiała się dalej nad wnioskiem, który wysnuł się naraz...

Choroszewski począł nalegać, patrzył czułymi oczami, klecił niezgrabnie, z mitologii zaczerpnięte przenośnie, komplementy, wiecznie te same, które jemu wszakże, gdy zakochał się, zdawały się nowemi, wreszcie umilkł, zrażony zachowaniem się Ini. Nigdy jeszcze nie traktowała go tak lekceważąco żadna kobieta.

Jedne wyrażały odrazu gotowość rzucenia mu się w objęcia, inne dbały o zachowanie pozorów godności i cnoty, ta wyniosłe przechodziła nad nim do porządku, nie widziała go po prostu.

— Czy spotkała ciebie jaka przykrość, Iniu, że tak jesteś pochmurna — z tkliwem współczuciem spytał.

— Nie spotkała mnie żadna przykrość.

Choroszewski miał dziś kolację z modnym w stolicy nafciarzem i pewnym dygnitarzem, na którym mu bardzo zależało, nie mógł więc spóźnić się. Nie wiele miał już czasu, a nie chciał wyjść z próżnemi rękami. Obejmując płomiennem spojrzeniem nieuchwytną boginię, myślał nad znalezieniem drogi, prowadzącej do celu. Wizyty w domu męża, salonowe rozmowy nie posuwały sprawy naprzód. Musiał Inię zwabić pod jakimkolwiek pretekstem do siebie, znaleźć się z nią sam na sam.

— Wpadł mi w ręce niezwyklej wartości modlitewnik, zapewne zrabowany z jakiego pałacu w Rosji... dają mi za niego ogromną cenę, waham się... możebyśmy się naradzili jutro o 5-tej. Warto go widzieć — czekał na łaskawe słowo uroczych ust, które zacięły się w milczeniu.

— Zawsze jesteś taka zadumana, daleka, obca, czy tylko dziś?... Widzę, że trzeba nauczyć ciebie zabawy, śmiechu, użycia... Już ja się podejmę... Komu los dał taką urodę, od tego my zwykli śmiertelnicy mamy prawo wymagać, by nie zamykał się w baszcie obronnej... nieprawdaż Józku?

— Prawda, święta prawda — pośpiesznie potwierdził mąż.

Gość wstał, ale nie mógł rozkochanych oczu oderwać od pani serca swego. Jakże cudna była w tej chwili z pałającą twarzą, gorejącymi oczami, z rękami spokojnie spoczywającymi na kolanach, pogrążona w zadumie, w trosce, w smutku. Była taka odległa, nieprzystępna, dziewicza. Gdzie przebywają jej myśli? Do kogo należy? Nie do Józka chyba. Ukłonił się, przywarł ustami do ręki. Zimne palce Ini wymknęły się z gorącego uścisku.

— Piotr bardzo na nas łaskaw — cieszył się Józek, wróciwszy z przedpokoju... — Wpadłaś mu w oko... on zna się na kobietach. Ale mogłabyś być więcej uprzejma... Dlaczego milczałaś jak pień?

Zamyślona żona nie dosłyszała zapytania.

— Dlaczego tak nieuprzejmie przyjęłaś Piotra?

— Chciałbyś zapewne, bym została jego kochanką.

— Może i warto zostać kochanką wielkiego człowieka — zachichotał i urwał wnet, zgromiony spojrzeniem wielkich, gniewnych oczu żony. Zmieszany zagwizdał. Przypomniała mu się Irka, której towarzystwo nie ciążyło nigdy, z którą nie miał „chryji“. Przeszedł się po pokój, przypatrzył się nieufnie żonie, wyszedł zgasiwszy machinalnie światło.

Siedziała w ciemności z twarzą zwróconą do ściany, na której złotą smugą kładł się blask latarni, usiłowała skupić się rozważyć zagadnienie, które narzuciło się dziś i cię-

żyło sumieniu, załatwić tę nową pilną, trudną, bardzo trudną sprawę... Bo owo rozwiązanie, które zrazu wydało się jej łatwym, stwarzało nowe powikłania, budziło zastrzeżenia. Urzytomniła sobie niezadowolenie Sawy, wrzawę złośliwych plotek dokoła jej osoby w salo-
nach warszawskich. Każde tak zwane rozlece-
nie się małżeństwa stanowiło sensację i skan-
dal. A ona bała się śmieszności... ceniła spokój
przedewszystkiem... Ale dlaczego ma stać się
ten skandal?... co zaszło nowego? Ich przy-
jaźń przetrwała lata... Dlaczego ma się teraz
urwać?... — zaczynała nieszczerze i nie koń-
czyła, zawstydzona obłudą... Nie przyjaźń, ale
miłość — i trzeba uczynić wybór. Jaki wybór?
Między kim i czym? Między Józkiem a nim?
Jeśli to jest miłość i pan Andrzej wymaga
od niej, żeby rzuciła męża, są przecież rozwody.
Bóg nie dał im dzieci, małżeństwa bez-
dzietne nieraz rozchodzą się... Sulimirscy, Bo-
gdanieccy — wyliczyła na poczekaniu. Gdy
zdobędą rozwód, to ani Sawa ani świat... Sa-
wa wolałby zapewne hrabiego albo księcia, lu-
dzie wyśmieją mezaljans... Ale Szydłowscy są
dobrą rodziną, Biegańscy — także... Po ślubie
zostawią ich w spokoju — spłonęła gorącym ru-
mieńcem, lubo była samą w ciemnym pokoju.

— Nie rozstała się jeszcze z pierwszym mę-
żem, i już o ślubie... Dlaczego nie odparł za-
rzutów Józka? — odezwał się naraz niepokój.
Ania i Teoś mówili dosłownie to samo, w tem
musi coś być, jakieś nieporozumienie. Pan An-
drzej wyjaśni.

Była ogromnie znużona a nie mogła odpocząć. W głowie odbywała się gonitwa chyżych nieuchwytnych myśli, urywanych zdań, niepowiązanych słów. To nękało ją przeczucie niedoli, która zawisała nad ich losem, to zakwitał na ustach uśmiech. Chwilami zaczynała modlitwę, lecz nie mogła się modlić, nie wiedząc, o co ma Boga prosić, i znowu miotała się, znużona rozterką, zdjeta trwogą, pełna nadziei i obawy. Gdy ciotka i Józek pukali do drzwi, nie odpowiedziała na pukanie, udając, że śpi, ale nie spała prawie tej nocy. Dopiero, gdy umilkła ulica i zgasły na ścianie smugi blasku, zapadła w krótki a mocny, przepaściasty sen. Zbudziła się, jakby po przespaniu roku całego, — jak w obcym zupełnie miejscu.

Miasto w białym świetle wczesnego świtu spało jeszcze. Przez otwarte okna z daleka doleciało ćwierkanie wróbli, sielskie, słodkie, niosące otuchę... Teraz jasnym spokojnym sądem ogarnęła rzeczywistość. Powiedziała sobie, że los jej już się rozstrzygnął, że dziś jeszcze poleci Sawie, by rozpoczął starania o rozwód. Jedno jest życie i raz tylko kocha serce albo nigdy. Co ich obchodzi świat? Wyskoczyła z łóżka i boso jak niegdyś w białym pokojku panińskim pobiegła do okna. Dzień zapowiadał się pogodny. Niebo było jasne, lekkie, wiosenne. Na początek nowego życia — pomyślała z uśmiechem.

Gdy odezwały się dalekie dzwony kościelne, poszła do spowiedzi. Załatwiwszy się prędko z grzechami, które były zawsze te same, opowiedziała głosem nieco rwącym się i drżącym

dzieje swego nieudanego zamążpójścia i tej przyjaźni, która przemieniła się w miłość, poprosiła spowiednika o radę, o wskazówki co do rozwodu. Ksiądz zerknął na penitentkę przez drewnianą kratkę i, kaszląc, zadał jej parę pytań natury drażliwej, poczem wygderał za nieznajomość zasad wiary, wytłomaczył, że powodów do unieważnienia małżeństwa niema w danym wypadku, w końcu doradził penitence, by unikała pokusy, zesła z drogi grzechu, nie igrała z ogniem.

Penitentka odsunęła się od drewnianej kraty, skuliła się niby pod ciężarem skruchy, patrzyła przerażonemi oczami na dębowy zakurzony gzemsik konfesjonau, nie rozumiejąc zwróconych do niej pytań.

Dopiero trzykrotne pukanie księdza przywołało ją do porządku.

IX.

Andrzej unikał „posiedzeń“, które odbywały się niemal codziennie przy łóżku matki, tymczasem po powrocie od pani Padniewskiej zastał w domu gości: Anię, oboje Wodeckich, milczącą i nieśmiałą panią Żymirską zajętą nalewaniem herbaty i robieniem kanapek, które znikwały w żarłocznych, łakomych ustach wiecznie głodnego Wodeckiego. Zuli Żymirskiej, z którą swatała go matka, na szczęście nie było. Nastrój u łoża chorej był dość swobodny dzięki obecności Wodeckiego, który zawsze umiał chorą pocieszyć, udobruchać, rozśmieszyć, w porę przypomnieć „placyki“ na Mokotowie, które rosły w cenie, albo namówić do jakiego nowego protestu na piśmie przeciwko dziejącym się w Polsce bezceństwow.

W chwili wejścia Andrzeja mowa była o masonach. Dla dogodzenia gospodyni Wodecki naopowiadał tyle okropności o wrogach narodu i kościoła, że Łuszczyńska przez uczciwość ujmowała się za znienawidzonymi szkownikami.

Wszyscy zamilkli, gdy tylko pokazał się Andrzej. Ania zaprosiła go do stołu na herbatę, pani Żymirska przyniosła talerz z kanap-

kami. Wodecki rozpoczął arcydługą opowieść, oczywiście zmyśloną, o pewnym szlagonie, który zwiedzając pracownię Kossaka, chciał zakupić jego Wodeckiego szkic, sądząc, że to jest właśnie arcydzieło mistrza. Anegdota nie miała powodzenia. Tylko Ania parsknęła swoim pensjonarskim śmiechem. Matka siedziała nachmurzona i zawzięcie skubała swój biały żabot, co było u niej oznaką rozdrażnienia i zbliżającej się burzy.

— Przyniosłeś proszki? — tonem wymówki zwróciła się do syna.

A gdy ten położył na stole pudełko z proszkami, gderała go, że nie wrócił wcześniej, że chodził z wizytami, że pan Wodecki spotkał go na ulicy Szopena.

Andrzej nie odpowiadał na zaczepki. Kilka chwil trwało ogólne milczenie. Wodecki potarł nos i zaczął nową anegdotę, tym razem przedpotopową o popie i podróżnym z flaszka.

— Czy może być w Polsce dobrze? — przerwała mu bez ceremonji właśnie w najważniejszym miejscu chora, — kiedy takie w niej rozlegają się głosy? Wyjęła z pod poduszki gazetę z listem otwartym syna i podała Ani. — Czytała to już pani? — spytała patrząc okrągłemi oczami na gości. Jeszcze nie?... proszę przeczytać! O patryjotyzmie fałszywym. Znalazł się obrońca uciśnionych mniejszości. Ten, kto staje w obronie wrogów ojczyzny, rozbija jedność narodową, zatruwa duszę młodego pokolenia i sprzymierza się z nieprzyjacielem.

Ania podzielała zdanie pani Szydłowskiej, ale wołała nie dolewać oliwy do ognia.

Znowu zaległo milczenie... Andrzej pił herbatę, chora szarpała swój biały żabot. Wodecki jeszcze raz spróbował zażegnać burzę i, mrugając figlarnymi oczkami, przypominał jakieś poznańskie dziwolągi językowe o skrzydle panny, tańczącej kiszce i sztywnej piersi. Żona i Ania chichotały.

— Was zawsze trzymają się żarty i śmiech, zgromiła je chora.

— Wynocha, bo będzie źle — szepnął Wodecki i z wielkiem uszanowaniem pochylił się do ręki łaskawej pani dobrodziejki. Goście wyszli wszyscy razem. Odprowadziwszy ich do drzwi, Andrzej wrócił do stołu i kończył herbatę.

— Zakochałeś się w mężatce — czarne, okrągłe oczy matki przypatrywały mu się badawczo.

Był tak nieprzygotowany na to pytanie, że go poprostu nie zrozumiał.

— W jakiej mężatce?

— Niby nie wiesz. No, w tej Padniewskiej, co to niedawno uciekła z Rosji. Jest Zula, śliczna i mądra dziewczyna, lecz ty nie chcesz jej tylko dlatego, że matka namawia, i wolisz bałamucić mężatkę.

Pochylił nisko głowę nad stołem. Na dźwięk tego imienia ogarnęła go w pierwszej chwili nedorzeczna radość. To, że ludzie już mówili o ich uczuciu, czyniło mu ją bliższą i bardziej dostępną.

— Ani pociechy z tego nie będzie, ani małżeństwa, tylko zgorzenie — zrzędziła matka— tak to się dzieje dziś... religję macie za nic...

— Nie będzie pociechy z tego i nie będzie zgorszenia — przerwał szorstko i poszedł za szafy gdańskie do swego biurka, i rzuciwszy okiem na kartkę Sulińskiego zawierającą zaproszenie na dzisiejszy raut i rozmowę po rautcie w wiadomej sprawie, wyjął z szuflady rękopis swego listu otwartego o martwej religji, faryzeuszach i pomniejszychycielach Ewangelji, nad którym mozolił się już dwa przeszło tygodnie, z którego ogłoszeniem zwlekał, ale nie z powodu stylistycznych usterek. W miarę pisania ogarniały go wątpliwości co do własnego apostołstwa, i coraz bardziej niepokoiło zasadnicze pytanie, jak pogodzić naukę Chrystusa z cywilizacją, z duchem czasu, postępek wiedzy ludzkiej, z pracą i dążeniem ludzkości do szczęścia. Praca nie szła mu tego wieczora. Myśl krążyła dokoła postawionego przez matkę pytania i sprawy, która dziś była bliższa, bardziej pilna i doniosła niż winy duchowieństwa, dokoła sprawy ich szczęścia i tego potwornego nieporozumienia, jakim było jej małżeństwo z Józkiem Padniewskim. Ten związek małżeński musi być zerwany. Innego wyjścia niema. Romansu nie będzie. Jakie prawo tu jest silniejsze i świętsze: Prawo ich uczucia czy władza męża z martwej formuły czerpiąca swoją moc?

Za szafami gdańskimi matka przy pomocy służącej Wodeckich, co kwartał innej, rozbiegała się, myśla, cesała, układała do snu. Toczyła się rozmowa, wcale ożywiona, codzien nie ta sama. Chora pytała o pogodę, dawała dyspozycję co do obiadu, kupna pieczywa na

śniadanie, było także niecierpliwe gderanie i dobrotliwe ubolewanie nad głupotą: „nigdy się nie nauczysz! Rozumu nie masz za grosz! Gdzie oczy! Jak trzymasz miednicę! lustro przysuń bliżej... czy to jest grubsza książka?... mówiłam wyraźnie... daj grubszą... ogłuchłaś“. Kiedy służąca wyszła, Andrzej, ubierając się na raut do Sulińskich, starał się rozsądnie rozważyć swój stosunek do pani Padniewskiej, bezstronnie spojrzeć na to potworne „nieporozumienie“ małżeńskie. Sprawa bynajmniej nie była tak prosta i łatwa. Przedewszystkiem skąd pewność, że pani Padniewska jest nie-szczęśliwa w małżeństwie? A może wróciła do męża jako wierna i przywiązana żona? W takim razie on powinien uczciwie wycofać się z nieudanej imprezy, zejść z oczu kochającej żony, nie psuć jej szczęścia, przekreślić nadzieje, i złudzenia, któremi karmił się dotąd.

Z zadumy wyrwały go westchnienia i pochrząkiwania matki. Odmawiała teraz swoje gorzkie wieczorne pacierze. I dziękowała w nich Bogu w uniesieniu pychy i rozpaczycy za straszny swój los, za chorobę i cierpienie, za hańbę i krzyż życia, za syna. Kto tu zawinił? Czy tylko on? — odezwało się synowskie sumienie. Chciałby otoczyć matkę opieką, okazać jej serce, chciałby kochać. Nie umie, nie umięją oboje, zwłaszcza on. A w Sunejkach mieszkaly miłość i szczęście, tylko on tego wówczas nie spostrzegął i nie rozumiał. Przypomniała mu się dziwna scena z dzieciństwa, gdy ojciec, straciwszy głowę po nagłym zasnęciu matki, biegł w kółko przed domem

aż do przyjazdu lekarza. Uratowano wówczas matkę od śmierci, ażeby kończyła życie w ubóstwie, w smutku, w samotności, w wojnie z synem.

Zdało mu się, że za szafami rozległo się łkanie. Kilka chwil nasłuchiwał i czekał, wreszcie poszedł na tamtą stronę.

— Co mamie jest? czy mama chora? — spytał oschle.

— Co za ton! Śledztwo prowadzisz policyjne — odparła cierpko, gdy on czekał na dobre słowo. Gdyby był podszedł do niej i w milczeniu położył rękę na głowie, otwarłaby może ramiona i rozplakałaby się ze szczęścia na piersi jedynaka i wyznała wszystkim swój żal. całe kochanie, przebaczyłaby wszystko.

Oschły głos, twarde i drwiące, jak zdawało się jej, spojrzenie, rozdrażniły ją znowu. Obcy ludzie okazują serce, rodzony syn — nigdy. Wróg nie byłby bardziej zawzięty i twardy.

— Myślałem, że mamie coś dolega.

— Zawsze dolega i nigdy nie przestanie... kto temu winien?... skąd ta choroba?! — wybuchła. — Mogłabym jeszcze wyzdrowieć, ale nie wyzdrowieję z twojej przyczyny. Nie mam za co się leczyć. Wszystkoś mi zabrał. Cóż to, we fraku? Do wielkiego mistrza z wizytą!

— Dlaczego mama otwiera i czyta moje listy! — nie wytrzymał.

X.

Dzwoniąc w czwartki do mieszkania Sulińskich, Andrzej Szydłowski zwykle zadawał sobie wraz z wielu innymi gośćmi pytanie, poco wogóle odbywają się w tym domu nieudane i kosztowne przyjęcia, skoro oboje gospodarstwo nie posiadają zupełnie talentów towarzyskich, oboje żałują czasu na t. zw. przez gospodarza salonowe dyrdymałki, gospodarz traktuje zebranych lekceważąco i humorystycznie, pani zaś bardzo nie lubi wydawać pieniędzy na światowe „zbytki“. Na pytanie to mogłaby udzielić Andrzejowi odpowiedzi pani Oselka, inicjatorka owych zebrań czwartkowych, gdyż ona to przed rokiem życzliwie wytłómaczyła kuzynce, że siedzenie w mysiej norze może karjerze Adasia zaszkodzić, i jednocześnie wysunęła projekt urządzania co miesiąc rautów.

Od owej rozmowy w życiu Sulińskich zaczęła się nowa epoka. Mimo pogardy dla świata, antypatji do etranżerów, mimo purytańskiej oszczędności i zapracowania w różnych instytucjach dobroczynnych pani Rena złożyła szereg wizyt i rozesłała mnóstwo zaproszeń, zamówiła bufet i wina i w najbliższy czwartek

z uderzeniem dziewiątej zabrała się gorliwie do pełnienia obowiązków gospodyni. Zależało jej na tem, ażeby ich salony na Czackiego zappełniły się doborowem towarzystwem jak w środy u Stołowskich, jak u Dołżeńskich w poniedziałki, a gdy „salony się zappełniły doborowem towarzystwem“, bardzo pracowicie starała się o to, by przyjęcie nie wypadło gorzej niż u Stołowskich, by goście siedzieli długo i przede wszystkim, by opuszczali dom oczarowani Adasiem. I zdawało się jej w początkach ery światowej, że cel został osiągnięty czyli, że dopomaga Adasiowi w jego karierze, ludziom daje sposobność obcowania z Adasiem, Adasiowi zaś sposobność promieniowania na społeczeństwo.

Goście niestety byli odmiennego zdania: nie zachwycali się Adasiem, któremu ogólnie zarzucano rubasznosc i to jakies zabarwione humorem lekcewazenie i rautu i zgromadzonych na nim osob, goście wysmiewali skąpstwo, złą francuzczyznę gospodyni (nos heros wymawiane jak nasze zera, w oltarzu zamiast w hotelu i t. d.), jej ptasie ruchy, parwenjuszowską pychę świeżo upieczonej dygnitarzowej, niemodną, zawsze tę samą, bronzową z taniego jedwabiu suknię oraz niezliczone gaffy, wynikające rzekomo stąd, że pani Rena, krążąc wśród zaproszonych odczytywała wciąż z notatnika swego różne aktualne przypomnienia i często w pośpiechu myliła się. Opowiadano sobie po mieście, że pani Sulińska zabawiając posła rumuńskiego, zachwycała się Budapesztem, że nie umiejac rozpoznać po-

traw, załaza ślepej hrabinie Świerżeńskiej tort sosem cumberladzkim, innej zaś damie do chaud froid podała kompot, opowiadano, że prawi wszystkim, nawet księżnej Poryckiej morały, że wciąż wytyka klasie posiadającej sobkostwo, zbyt często wypomina Targowicę, ugodę, przedpokoje petersburskie, że wszystkim każe chylić głowę przed autorytetem męża, że tonem ubolewającym mówi o „naszym rządzie“, a groźnie i bojowo wymawia wyraz: mąż, że jest masonką, że źle trzyma nóż i nie umie po ludzku obrać sobie jabłka.

Nikt nie oceniał ogromu poświęcenia i wysiłków, które pani Sulińska wkładała w życie światowe, i stale porównywano jej nieudane czwartkowe rauty ze środami u Stołowskich, które wypadały świetnie. Nawet pani Rena lubo niechętnie przyznawała innym wyższość nad sobą, stwierdzała, że u Stołowskich było zawsze nie tak, jak u wszystkich i zawsze lepiej niż u wszystkich, że ludzie nie chcieli stamtąd wychodzić. I, czując, że u rywalki na placu Napoleona jest lepiej, nie umiała zdać sobie sprawy, na czem polegała różnica między przyjęciem u Heli, a u nich. Czyżby ludzie dlatego lepiej się u Heli bawili, że jak twierdzi Zofja Oselska, bywa tam kardynał i więcej zbierało się etranżerów? Ale chyba Adaś znaczy więcej niż kardynał i pani Tomassini... Niekiedy podczas rautu, spostrzegłszy, że się w salonie nie klei i nie rozumiejąc, dlaczego się nie klei, pani Sulińska, ogarnięta naraz znużeniem, jakiego nie doznawała nigdy wśród najcięższej pracy, nawet po trzech nocach spę-

dzonych w szpitalu, cofała się w róg pokoju i tam pod półką, z której zagadkowo uśmiechał się do gości mały złoty Budda, usiłowała, gryząc palce, przypomnieć sobie nazwisko starej damy w sobolach, oraz kulawego dygnitarza, który z nią rozmawiał, zastanawiała się, do kogo jeszcze musi się zbliżyć, czy już czas jest prosić do bufetu, przyczem raz poraz z niepokojem rzucała okiem w stronę zawieszonych błękitnym kilimem, zamkniętych na klucz, prowadzących do pokoju babci drzwi, które mogły się nagle otworzyć, jak się to już raz jednego czwartku zdarzyło, gdy podlegająca atakom manji religijnej biedna babcia znalazła schowany klucz i ukazała się naraz na progu z wysoko wzniesionym nad głową świętym obrazem ku opamiętaniu grzeszników. Od owego dnia pani Rena myślała nieraz, gdy podczas czwartkowych zebrań wzrok jej padł na błękitno-złoty kilim na drzwiach babci, że dwa przesady, dwa zabobony stanęły onego wieczoru oko w oko: religja i świat, oba wrogie postępowi ludzkości, oba jednakowo pogardzane i znienawidzone przez nią, bo jeden zamykał i zaciemniał głowy, drugi zamykał kieszenie i serca. Ale zabobon religijny został oddawna w jej domu „unieszkodliwiony“ (biedna kochana babcia nie wchodziła nikomu w drogę) gdy świat żądał od niej coraz cięższych ofiar. Odkąd zaczęło się bywanie przestała być istotą wolną, rozumną, użyteczną. W sobotę — obiad w poselstwie, w niedzielę — garden party, w poniedziałek — Dołżeckie — wyliczała, ogarniając pełnem niechęci spojrzeniem tłum

ludzi, z któremi nie miała ani jednej wspólnej myśli, zapewne dlatego, że ludzi ci, zdawało się, unikali wogóle myślenia. Jakże łatwo, z jakim upodobaniem ci wszyscy tutaj pasożyci umieli gadać godzinami o głupstwach, ustawiać swoje plotkarskie domki z kart, dla których układania ubierali się we fraki, w suknie wycięte do pasa, zawieszali piersi orderami. I wszystko w tym celu, by zapomnieć o tem, o czem zapominać nie wolno. Ileż obiadów możnaby rozdać, ile dzieci napoić mlekiem za cenę jednej złocistej szaty, w którą oblekła się „złota Pantera!“ I co sobie w niej upatrzył Adaś, że znowu z nią rozmawiał!...

— Pan bez żony? — z twarzą zmarszczoną szorstko przywitała młodego człowieka, którego nie poznała zrazu. — Bardzo nam miło — dodała, przypomniawszy sobie, że Adaś lubił Szydłowskiego i nie odpowiadając na uprzejme słowa gościa, zwróciła się, żeby pożegnać niską, grubą panią w sobolach, której nazwiska także nie pamiętała.

Raut miał się ku końcowi, hasło do rozejścia się zostało dane z chwilą, gdy minister spraw zagranicznych, księżna Porycka i poseł brazylijski opuścili zebranie, ale w salonach i przy bufecie było jeszcze tłumnie i gwarno. W gabinecie Suliński pokazywał panom jakieś białe kruki, odziedziczone po stryju-zbierracu, któremu zawdzięczał także cały majątek, goście w jadalni oczekiwali zjawienia się babci, ktoś puścił bowiem pogłoskę, iż zawieszony kilimem drzwi są otwarte i że manjacz-

ka za chwilę się w nich ukaże. Pewien młodzieniec trzymał za plecami pani Sulińskiej zabraną ze stołu fotografię wysoko nad głową, zupełnie jak wówczas babcia święty obraz. Towarzystwo tłumilo śmiech. Spojrzawszy w strojny i rozbawiony tłum, Szydłowski porównał go do uczujących podczas dżumy biesiadników. To porównanie narzucało mu się od powrotu z Rosji stale na każdym światowym zebraniu. Czyżby spryciarz Karliński nie rozumiał, nie widział znaków na niebie i ziemi zwiastujących katastrofę? Prezes Karliński uprzejmie pochylony, przytakiwał w tej chwili ulegle hrabinie Klementynie Świerzeńskiej.

— Przed gubernatorem prochy zmiatali — oburzała się staruszka — naszymi władzami pomiatają, trzebaby bata!..

Niespodziewane kichnięcie przerwało prezesowi nastrój skupienia. Wytarłszy pośpiesznie nos, słuchał dalej. Szydłowski uklonił się Karlińskiemu, który go nie poznał, i przeszedł do buduaru. Zastał tam trzy panie, znane mu już z poprzednich czwartków: cnotliwą, oddaną mężowi i dzieciom Zulę Ziemięcką, która, włożywszy swoją odświętną zieloną szatę, przeistaczała się raz na miesiąc u Sulińskich w błyskotliwą pustą, zepsutą flirciarę, ładną panią Ruczycką o nudnej jak u lalki twarzy, żonę młodego dyrektora departamentu i zgorzkniałą Elę Sarnowską, której mąż nie robił kariery. Wobec zjawienia się w pokoju nowego gościa panie umilkły, spodziewając się, że ten zechce je zabawiać. Ale Szydłowski, odgarńawszy sobie włosy, przypatrywał się portre-

towi Sulińskiego pędzła Rembowskiego i nie odezwał się ani słowem. Po kilku chwilach milczenia rozmowa, przerywana to szeptem, to śmiechem, potoczyła się dalej. Była mowa o przepięknej zastawie stołu u Włochów, o babci za zawieszonymi niebiesko-złotym kilimem drzwiami, o tragicznie zmarłym lotniku Boćwińskim, bliskim krewnym mamy Dołżeckiej. Zastanawiano się nad tem, czy tak zwane siostry Dołżeckie, odwołają z powodu pogrzebu kuzyna o tak niearystokratycznym nazwisku poniedziałkowy jour. Ela Sarnowska wyliczyła wszystkie najświeższe gaffy gospodyni, która „negliżując“ dostojnych gości, nie rozstawiała się dziś ani na chwilę z jakąś guwernantką w binoklach na sznurku. Nigdy jeszcze nie nazbierało się tych gaff tyle. Najzabawniejsza była ostatnia, która polegała na tem, że pani Sulińska spytała pierwszą Nargelową, czy mąż jej wrócił już z kuracji właśnie w chwili, kiedy ex-mąż wchodził do salonu ze świeżo po kalwińsku poślubioną piękną Heleną. Rozwścieczona Nargelowa jeła unosić się nad urodą t. zw. Złotej Pantery, która to zemsta nie odniosła skutku, ponieważ pani Sulińska, jedyna w Warszawie, nie wiedziała o romansie Adasia z ową „Panterą“... Szydłowski stał u zawieszonych niebieskim kilimem drzwi i przysłuchiwał się bez zajęcia złośliwej paplaninie pan. Nie lubił świata i mało bywał, mimo to nie odczuwał nigdy w towarzystwie onieśmienia, umiał w salonie zachować prostotę, która wszakże na ludziach robiła wrażenie wyniosłej pozy.

— Mężczyzna, który milczy w towarzystwie trzech pań, myśli z pewnością o tej czwartej nieobecnej, a w tym wypadku oczywiście o pięknej Helenie Nargelowej — zaczepiła go Zula Ziemięcka.

— Za wysoka by chodzić po ziemi, za niska by dosięgnąć nieba — odpowiedział żartem, dostosowując się do tonu i roli, którą w świecie koniecznie chciała grać zajęta w domu chorobami dzieci i cerowaniem pończoch kuzynka.

— Alboż miłość małżeńska nie jest niebem?... Przecież oni nawet tu na raucie ciągle gruchają!

Jakoż rzeczywiście państwo Nargelowie poszli za fortepian i tam nad czemś się naradzali. Mąż schylił się po czerwony szal, który upadł żonie, narzucił go na gołe ramiona swojej pani. Zdało się Szydłowskiemu, że w tem krótkim mgnięciu ręce męża pieściły piękne ciało żony. Zamknął na chwilę oczy, odurzony krótką jak westchnienie rozkoszą marzenia, że kiedyś niezadługo może i on... Pochylił głowę... Nie może być, by ona kochała tego tam Józka... Gdyby kochała, nie zostawałaby tyle lat na obczyźnie... ona jest nieszczęśliwa... z każdego przecież słowa i spojrzenia — pocieszał siebie. — Trzeba uwolnić ją od Józka... ona sama nie ma odwagi.

Gdy otworzył oczy i podniósł głowę nie było już Nargelów za fortepianem, w saloniku zaś zjawiała się pani Sulińska w towarzystwie owej czarnej guwernantki w binoklach na sznurku.

— Jak pani do twarzy w zielonem! — zwróciła się po francusku do Zuli Ziemięckiej, biorąc ją widocznie za cudzoziemkę.

— Złożyła już pani oczywiście swą ofiarę na „Kasę Mianowskiego“ — z kolei surowo zapytała panią Ruczycką.

Ponieważ w świecie mało interesowano się wydawnictwami naukowemi, pani Ruczycka nie zrozumiała zupełnie zapytania. Zastąpiła ją Ela Sarnowska.

— Mówiliśmy tu przed chwilą o konieczności wprowadzenia w modę munduru dla pań. Ileżby się zaoszczędziło grosza, gdyby niewiasty zgodziły się zastąpić kosztowne jedwabie jakąś ciemną sutanną, rodzajem uniformu — zadrwiła zjadliwa pani.

— Tak, proszę pani... Myślałam o tem od dawna — ożywiła się pani Sulińska — przejdźmyż od słów do wykonania. W Polsce nie brak dobrych zamiarów, ale brak jest woli wytrwania. Czasy są nadzwyczajne — niestety w czasach niezwykłych widzimy zamiast niezwykłej ofiarności — sobkostwo — pouczała nie zdając sobie sprawy, że panie biorą ją na kawał.

Andrzeja z buduaru wyciągnął gospodarz, ażeby zapoznać go z Osełskim.

— Steczkowski nie czytał jeszcze twego referatu, czytali inni i chwałą wszyscy prócz Osełskiego. Postaraj się przekonać go, od jego opinji zależy wiele. Steczkowski liczy się z nim — zachęcał kolegę, prowadząc go do gabinetu, dokąd chroniły się zwykle grube ryby, stroniące od towarzystwa pań.

Osełski postawił uprzejmie kilka pytań twórcy niedorzecznego projektu wykorzystania inflacji dla wykonania za przykładem Niemiec olbrzymich inwestycji o charakterze państwowym, poczem zaznaczył oschle, że kurs marki winien być za wszelką cenę utrzymany, gdyż młode państwo mogłoby nie wytrzymać ryzykownej gry. Szydłowski nie bronił pomysłu, który już go nie zajmował. Nastąpiło milczenie. Osełski spuścił swoją mądrą głowę, poprawił binokle. Wówczas młody autor wypowiedział niezbyt stosowną uwagę o wysoce szkodliwej zależności ministra skarbu od partij sejmowych, którą to uwagę Osełski zbył bezbarwnym ogólnikiem, poczem znowu nastąpiło milczenie. Andrzej nie posiadał daru prowadzenia rozmowy w świecie. Panie zbywał ogólnikami albo żartami nieco sztucznymi, panom na wysokich stanowiskach zadawał pytania zasadnicze, poważne i drażliwe. I gorzzył się młodzieńczo, że dygnitarze nie chcieli rozprawić z nim o sprawach zasadniczych i ważnych, a zabawiali się opowiadaniem dykteryjek, najbardziej zaś dziwił się sobie samemu, że go okazywane mu w świecie lekceważenie nic nie obchodzi. Skąd płynęło, na czem opierało się to poczucie wyższości? Na wierze w gwiazdę swoją, na zrozumieniu istoty spraw czy na niebezpiecznym oderwaniu się od życia i jego walk? Oczywiście, oczywiście... Gdy kto żyje samą bibułą, doktryną... Niechże się zacznie nareszcie prawdziwe życie... Naraz zamknął oczy jakgdyby olśniony cudnem widzeniem jak wówczas, kiedy zakochany Nar-

gel otulał czerwonym szalem piękne ramiona niedawno poślubionej żony.

Jedno trzeba przede wszystkim zbadać: czy ona kocha tego Józka? Gdyby kochała, byłaby przecież wspomniała czasami o mężu, byłyby jakieś listy, fotografie — rozważał. — Byłaby tęsknota i chęć powrotu do kraju. A właśnie nigdy, ani razu... Zamiast wracać do kraju, dwa lata czekała na niego w Finlandji... I skądże ten lęk i prośba w oczach, ten rwący się wzruszony głos?... Odkąd poznałam pana, patrzę na świat innemi oczami — przypomniły się jej słowa. Nie, ona nie może kochać Józka... Ale dlaczego w takim razie wróciła pod jego dach, jak może znosić to życie z nim?... Wróciła, bo to był jej dom i schronienie, bo tak każe konwenans. Nie wiedziała zresztą, że on żyje, że znajduje się w Warszawie. A gdyby nawet wiedziała?! Nigdy między niemi nie padło stanowcze słowo. To słowo musi paść teraz. Poprosi ją o chwilę rozmowy a wówczas wyjaśni się wszystko i skończy się niewola małżeńska! Kobiety z jej sfery liczą się wprawdzie z opinią świata, z konwenansem, ale świat toleruje rozwody... Nargelowie! — dodawał sobie otuchy, przysłuchując się rozmowie wysokiego rasowego pana, który zabawiał Karlińskiego, i z głosu, z czoła, z zarysu ust, zwłaszcza z głosu i ust przypominał Inię.

Ksawery Siemieniecki przeciwstawiał swój jasny, zdecydowanie anglofilski program chwiejnej polityce zagranicznej mężów stanu z ulicy Wierzbowej. „Nobody knows polish

policy“... Prezes słuchał w skupieniu i z powagą, ale Szydłowski wyszedł w nim ów zacząjony w fałdach myśli uśmiech, z którym bogacący się na drożdżach inflacji spryciarz reprezentował skłopotaną brać ziemiańską na nabożeństwach, obchodach, akademjach i zjazdach międzynarodowych.

— Naiwni dla wzniosłych haseł poświęcają życie, rozumni z haseł szyją sobie płaszcze — strzelił naraz Siemieniecki.

Andrzej nie dosłyszał już odpowiedzi prezesa, gdyż przyłapała go i posadziła obok siebie pani Pniewska, owa guwernantka w czarnej długiej sukni, w binoklach na sznurku. Pani ta była wprawdzie zanadto wymowna i szczerą, ale zbyt szczegółowe i rozwlekłe opowieści swoje o spalonym przez bolszewików Mokrzku, zawziętej pracy męża, różnych zalecach córki Krzysi i sportowych wyczynach Ździsia przeplatała często gęsto inteligentnymi spostrzeżeniami na temat snobizmu, małej odporności ziemian, popsutej wojenną konjunkturą, ogłupiającej młodzież manji sportowej i t. d.

Pani Pniewska zdejmowała raz po raz binokle, wycierała je w palcach i mówiła coraz śpieszniej, jakgdyby z obawy, że nie zdąży Andrzeja o wszystkim poinformować. Salony zaległa oddawna cisza, tymczasem pani Pniewska oburzała się wciąż jeszcze na warszawski snobizm. Na zegarze wybiła pierwsza. Złota Pantera, z którą w rogu jadalni przy bocznym stoliku spędzał słodkie sam na sam Suliński, zerwała się z okrzy-

kiem, że jest późno, ale usilnie zatrzymana przez gospodarza, znowu usiadła. „Trójkąt. Najwygodniejsze rozwiązanie... Suliński nie zawraca sobie głowy subtelnościami. Naiwna żona ani się domyśla. I wszyscy są zadowoleni“ — stwierdził Andrzej. Ale nie wszyscy w tej trójce byli zadowoleni. Andrzeja, jakkolwiek nie był sprostregawczy, uderzył wyraz znękania na twarzy pani oraz kontrast między małą brzydką, stroskaną żoną w taniej pomiętej sukni a strojną kochanką. Pani Sulińska stała między dwu szkaradnymi słupami z czarnego drzewa, z których zwieszały się szerokie liście jakiejś równie szkaradnej i niepotrzebnej rośliny. Opartszy rozkrzyżowane ramiona na owych słupach, mierzyła wzrokiem znieawidzoną papugę, która zabierała Adasiowi cenny jego czas. Naraz, nie mogąc zda się, dłużej znieść tego widoku, podeszła do stolika z likierami, aby uwolnić wreszcie Adasia od nieznośnej papugi. Wówczas Złota Pantera wstała natychmiast i poczęła się żegnać.

— Postaw, Reno, Adasia do kąta albo każ mu klęczeć! Zapomina o tem, że był dygnitarzem, że pora się ustatkować — mówiły do żony wymalowane usta, gdy błyszczące ciemno podkrążone oczy patrzyły drwiąco w same źrenice męża.

Ogromny Suliński stał z rękami w kieszeniach i wydawał się jeszcze wyższy w długim fraku. Przypomniało się Szydłowskiemu pierwsze ich za czasów studenckich spotkanie podczas wakacyj z okazji jakiegoś zjazdu w

prowinjonalnej miłościnie. Dzisiejszy dygnitarz siedział wówczas na płocie wymachując bosemi nogami i śpiewał dyszkantem.

— Adasiowi przedewszystkiem pora wypocząć — twardo i sucho zgromiła rywalkę żona i zabrała się do nakręcania zegara.

Złota Pantera zaśmiała się i śmiała się długo i sztucznie, bawiąc się złotemi frendzlami złotego szalu.

— Wobec takiego dictum nie pozostaje nic innego jak zwiać — zwróciła się do Pniewskiej.

Wróciwszy z przedpokoju Suliński, poprosił o filiżankę herbaty i mimo późnej pory i napomnienia żony zasiadł z Andrzejem do stolika, przy którym przed chwilą sączyła likier Złota Pantera, i z miejsca zażądał od kolegi stanowczej decyzji, krótkiego: „chcę albo nie chcę“ w sprawie wyjazdu do Genewy.

Szydłowski potarł sobie czoło.

— Źle postawiłeś pytanie — odparł z uśmiechem. — Chcieć nie znaczy u mnie wykonać. Wykreślałam sobie linię życia zwykle wbrew pragnieniom.

— Ta twoja linja jest na razie dosyć nieuchwytna — napadł na kolegę Suliński. — Palesz pięciu językami, nie brak ci chyba rozumu ani inteligencji, skończyłeś dwa wydziały a drepcesz wciąż w miejscu i psujesz powietrze metafizyką. Dla takiego pacyfisty jak ty, Genewa — w sam raz, w sam raz — powtórzał Suliński szukając po kieszeniach zapalniczki. — Twierdzą niektórzy, że za metafizyką chowają się różne brzydkie rzeczy: sybary-

tyzm, domatorstwo, pycha. Ładnie by wyglądała nasza buda, gdyby tak wszyscy wiecznie szukali, wątpili, zaszywali się w kąat.

— Mam tedy robić karierę? — mruknął Szydłowski.

Suliński spojrział z pod oka na tego piękno-ducha-nieroba, z którego zdaniem nie liczył się, którego szanował wszakże i lubił dla wspomnień młodości, z którym utrzymywał stosunki, ażeby nikt nie mógł postawić mu zarzutu, że, porastając w pierze dygnitarskie i ordery, odstrychnął się od dawnej paczki i ideałów.

— Zaraz karjera! Niema obawy, Jędrku! Myśmy już naszą karierę zrobili. Lepszej nie trzeba...

Słowa te w ustach byłego dygnitarza zabrzmiały Szydłowskiemu fałszem. Przez mgnienie patrzył w oczy towarzysza broni. Były jasne i czyste a porywczą jego mowa — szczerą. A jednak zdawało mu się zawsze, że te jasne oczy coś kryją i zatajają, że koleżeń-ski ich stosunek oddawna przestał być prostym. Może mylił się. Może Suliński rzeczy-wicie był takim, za jakiego chciał uchodzić: żołnierzem ojczyzny, kamieniem rzucałym na szańce w ręku swego Komendanta...

— Roboty moc, ludzi brak, wlecjemy się w ogonku za innymi narodami — wołał Suliński swoim męskim, głębokim, drgającym głosem — a ty grzebiesz się w subtelnościach, karmisz w sobie coraz to nowe wątpliwości, szukasz jakiejś uniwersalnej prawdy. Nie mam że racji, że twoja metafizyka odrywa od

rzeczywistości, wyklucza pracę dla Polski. Andrzej słuchał zarzutów pobłaźliwie z poczuciem wyższości, zdając sobie jednocześnie sprawę, że to poczucie wyższości jest w stosunku do Sulińskiego zgoła nie na miejscu. Cenił bowiem rozum i prawość, a zwłaszcza energję, rzeczowość i pracę Sulińskiego i, jeżeli niekiedy dziwił się, że ten traktuje z lekceważeniem, że nie rozumie albo poprostu nie spostrzega pewnych dziedzin, zagadnień i spraw, to znacznie częściej zazdrościł mu jego prostolinijności, koszarowego światopoglądu, upraszczania zjawisk.

— Dlaczego milczysz i stajesz się coraz bardziej tajemniczy? — niecierpliwił się Suliński — wygarnij raz przecie cały swój filozoficzny balast i zabierz się do czynu, do rzetelnej, nie metafizycznej roboty.

Andrzej zmrużył zlekka oczy, jak gdyby przypatrywał się odległemu przedmiotowi.

— Pragnę właśnie tę wyklętą przez ciebie metafizykę połączyć z pracą dla Polski — odparł cedząc wyrazy.

— Cóż ci przeszkadza?

— Moje drugie sumienie, panie majorze.

— Tego to już, dalibóg, nie rozumiem.

Szydłowski uśmiechnął się.

— Nie rozumiesz, bo znasz jeden język, majorze, bojowy, państwowy. Ja niestety jestem dwujęzyczny i kłócą się we mnie dwa sumienia: Polskie z ogólnoludzkim.

— Coraz lepiej!

— I dlatego to, gdy ty w swojej strzelnicy walisz prosto do celu ja patrzę w okno albo

w siebie — mówił, zdając sobie sprawę, że porównanie jest nieodpowiednie, że źle dziś wypowiada swoje myśli.

— Możebyś zechciał wyrażać się mniej obrazowo, bardziej dostęпно, bo nic nie kapuję. Dlaczego polski obowiązek jest w kłótni z ogólnoludzkim?

Szydłowski znowu zmrużył oczy.

— Chcę znaleźć usprawiedliwienie — odparł, nie odpowiadając na pytanie. — Nie uznaję dwu miar. Nie wypada mi pochwalać w Polsce tego, co potępiam u sąsiadów. Potępiam na przykład w swoim ogólnoludzkim sumieniu militarizm, przemoc państwa, kapitalizm, tymczasem polskie serce rośnie we mnie na widok oddziału policji, dymiących kominów wielkiego przemysłu i cieszą mnie dudniące po bruku działa.

Suliński powoli mieszał łyżeczką herbatę.

— Wolalbys, żeby nie było u nas policji, kominów, dudniących dział, — żdziwił się podnosząc jasne oczy z nad filiżanki. — Ładniebyśmy wyglądali! Oddawna wiadomo, że Aniołowie miłości międzynarodowej oddają wielkie usługi uzbrojonym sąsiadom. Byliśmy już raz pokojowem jagnięciem. Ja tam uważam, że dobra armja jest pewniejszą gwarancją pokoju niż kongresy pacyfistyczne.

— Uzbrajajcie się tedy i sypcie szańce ale pozwólcie narwanym metafizykom pracować dla przyszłości, bo dzięki ich wyszydzonej pracy nastanie kiedyś dzień pokoju i sprawiedliwości.

— Kiedy narody przekują miecze na lemiesz — dopowiedział Suliński.

— Nie śmieję się! Ja wierzę w to i dlatego nie wolno mi stawać do sypania szańców. Moim obowiązkiem jest robić tamtą robotę, ważniejszą.

Suliński dyskretnie zasłonił ziewające usta.

— Ja także wierzę, że wyjdzie się z narodożerstwa jak wyszło się z ludożerstwa. Oświecone ludy utworzą kiedyś jedną rodzinę — mówił ospale i monotownie, jakgdyby powtarzając zdanie z podręcznika. — Ale ponieważ owa sielanka jeszcze za górami, szkodnikami, bracie, są ci, co zohydzają wojsko.

Andrzej zaczął ironicznie kiwać głową.

— A ta sielanka międzynarodowa, kiedy, twojem zdaniem, jak i z czego ma się narodzić?

— Nie wyjdzie ani z piany morskiej ani z głowy Jowisza ale stanie się powoli, stopniowo, dzięki postępowi, solidarnej współpracy, kulturalnemu zbliżeniu — recytował Suliński, gdy towarzysz śmiał się trzęsąc głową.

— Wiek XX nazwano wiekiem postępu, tymczasem mimo owego arcyświeznego postępu wybuchła najkrwawsza wojna, tymczasem po wojnie, która miała być ostatnią, rozum ludzki nie przestaje pracować nad udoskonaleniem techniki mordowania, i Europa dusi się jak nigdy dotąd w trujących gazach niewiaści.

— Z czego chyba wynika, że nie powinniśmy ani dać się wyprzedzić, ani dać zarząć — niecierpliwie przerwał Suliński.

Szydłowski odsunął filiżankę z rozlaną na spodku kawą i utopionemi w niej niedopałkami papierosów i ciągnął dalej, jakgdyby nie dosłyszał uwagi kolegi.

— Mówisz, że wyjdzie się z narodożerstwa, bo wyszło się z ludożerstwa. Tymczasem ja uważam, że ludożerstwo trwa tylko w zmienionej formie, w formie wyzysku, przemocy, krzywdy. Nie obgryza się już na obiad kości swego sąsiada, zjada się natomiast życie bliźnich. Humanitarny i kulturalny akcjonariusz, członek towarzystwa opieki nad zwierzętami i różnych dobroczynnych instytucyj jest mordercą dzieci proletarjackich, handlarzem żywym towarem, hodowcą gruźlicy, grabarzem szczęścia rodzinnego.

Suliński wodził oczami za żoną, która chodziła drobnym, stroskanym, zaafetowanym krokiem po pokoju i gasiła światła na bocznych stolikach. Ona także miała upodobanie do wygłaszania beznadziejnych nieżyciowych frazesów...

— POCO ten patos, panie poruczniku!? Polska nie zobowiązała się na kongresie wersalskim do znalezienia panaceum i stworzenia raj. Nie uważam bynajmniej kapitalizmu za dogmat, za ostatnie słowo mądrości. Myśl ludzka znajdzie niezawodnie doskonalszą, sprawiedliwszą formę ustroju. Jeżeli człowiek ujarzmił siły przyrody, stworzył świetną cywilizację, to bezwątpienia da sobie radę z niedomaganiem produkcji i niewłaściwym podziałem dóbr. Ale na razie w Polsce, gdzie wszystko pachnie jeszcze wapnem, klejem sto-

larskim i pokostem, nie burzmy fundamentów. Niech inni przejdą przez ogień eksperymentu. Rosja stanęła pierwsza do egzaminu, poczekajmy na wynik.

— Wynik moskiewski już wiadomy. Powstaje tam olbrzymie więzienie.

— U nas ludożerstwo, tam — więzienie, nie pozostaje nic innego jak wysadzić całą budę w powietrze...

— Ona sama niezadługo się rozpadnie. Czy wy, sterownicy i budowniczy, czy wy rozumni nie zdajecie sobie sprawy, że, jeśli ludzkość nie zabierze się do przebudowy, musi przyjść katastrofa, koniec Europy i całej waszej wspaniałej cywilizacji... Zacznie się nowy rozdział dziejów, które tworzyć będzie cham.

— Co tedy mamy robić, zapytuję znowu, by ratować Europę cywilizację kulturę?

Nastąpiła cisza. Szydłowski mrużąc oczy oglądał wciąż ten sam jakiś odległy przedmiot.

— Trzeba duch narodu wielkiego zapalić ogniem Pańskim — rzekł po chwili namysłu.

— Ach tak! Ty z tej beczki. Duch narodu zapłonął w dniu, kiedy wśród nocy niewoli rzucone zostało przez wodza hasło walki o wolność, i pali się jasnym ogniem, przyświecając pracy państwowotwórczej, ty zaś jak widzę, zezujesz w stronę ambony.

— Nie w stronę ambony ale Chrystusa, Mickiewicza.

Suliński wyciągnął długie nogi na środek pokoju.

— Ledwieśmy z grobu wstali a wy znowu nawracacie do nauki cierpienia i śmierci.

— A właśnie, że do życia, do żywota — gorąco zaczął. — Kościół wypaczył naukę Chrystusa. Trzeba się wczytać w Ewangelję. W Rosji otworzyły mi się oczy na prawdę, która wyswobadza — urwał, spojrzawszy na rozwalonego gospodarza, który wyglądał sennie.

— Trudno nam się porozumieć — dodał po chwili. — Ty wierzysz w rozum, we wszechmoc, w wielkość człowieka, mojem zaś zdaniem, wielkość zaczyna się od poczucia małości.

Suliński, znudzony metafizyką, zerknął na zegar.

— Wobec czego człowiek ma odczuwać swoją małość? — spytał niedbale. — Wobec śmierci, cierpienia, Boga? Strach śmierci i cierpienia łatwo pokonać. Boga ludzie uczynili małym na swoje podobieństwo. Przed czym mam tedy ukorzyć się?

— Przed cierpieniem człowieka, przed ogromem niedoli i zła na ziemi, przed tajemnicą bytu.

Suliński spojrzął z pod oka w „zamglone mistycyzmem“ oczy towarzysza i stwierdził w tej chwili, że to jest człowiek skończony, którego nie wypada mu polecać na odpowiednie stanowisko w kraju, ale że do Genewy byłiby w sam raz.

— To są myśli z poza życia, z gwiazd — mruknął.

— Ale stamtąd, od gwiazd idzie moc...

Z za zasłoniętych niebieskim kilimem drzwi wysunęła się babcia w długiej czarnej szacie

w wysokim czarnym czepku na białych włosach. Była to pani szczupła, nieśmiała, o twarzy pogodnej, jakby jaśniejącej szczęściem. Spojrzawszy z lękiem w stronę zięcia, którego bała się, obesła długi stół dokoła i, pochylając się z ciekawością nad półmiskami, brała z nich okruszyny. Zmartwiła się plamą od czerwonego wina na obrusie, posypała poplamione miejsce solą.

— Powiedz mi, dziecko — zwróciła się łagodnie do wnuczki — czy nie obesłoby się bez wina?

Wnuczka nałożyła na jeden talerz kompotu na drugi tortu, na trzeci indyka i, posiekawszy starannie białe mięso, kazała babci usiąść i zabrać się do kolacji. Gdy staruszka po odmówieniu modlitwy spożywała ze smakiem dary Boże, pani Sulińska siedziała z twarzą surową niby wychowawczyni nad nieposłusznym dzieckiem, ale zimne i oschłe jej serce rozgrzały wspomnienia szczęścia dzieciństwa w domu rodzinnym. Było tam w rogu między piecem a komodą w pokoju babci jesionowe obite czemś czerwonym krzesło, na którym klękała po obiedzie, by wyjąć z szuflady małe okrągłe pudełko z czekoladowymi pastylkami. Babunia dawała po jednej w dniu powszednie, po dwie w niedzielę i święta. Dziecko zarzucało ręce na szyję, prosiło o więcej...

— Babuniu, chyba dosyć indyka przed nocą, proszę spróbować kompotu — przemówiła cicho a tonem rozkazującym do małego bladego ucha, ukrytego pod puklem srebrnych włosów.

— A zatem, Jędrku, bez długich ceregieli. — Suliński z góry ogromną dłonią uderzył kolegę po ramieniu.

Andrzej odsunął się zlekka, nie lubił bowiem rubaszości, która w dodatku wydawała mu się pozą u Sulińskiego.

— Nie licz na mnie — szorstko odmówił. — Tylu jest bardziej odpowiednich kandydatów, mam paskudną opinię w Warszawie.

— Nie troszcz się o tych bardziej odpowiednich. Poradzą sobie. Dlaczego ci, co się wszędzie i zawsze pchają, mają być lepsi. A co do opinii, my wszyscy dziś na indeksie — wypił duszkiem filiżankę herbaty. — Ale do Genewy toby cię wzięli. Mam takie wyczucie — namawiał Suliński, który forytując Szydłowskiego chciał kogoś niemiłego sobie utrać.

Szydłowski patrzył w okno i wstuchiwał się w hałas miasta. Jak zwykle po zapadnięciu decyzji ukazywała mu się odwrotna strona medalu. Zaczynał już żałować tej ostatniej zapewne okazji wypłynięcia na szersze wody. Sprzykrzyła mu się nuda biurowa i brakło nie raz tchu w szczupłym pdwórku warszawskim, w którym zamknął siebie z zasady, znużyły walki z matką, ciasnota mieszkania i ciasnota życia, zniechęciło nieprzyjazne plotkarstwo, odzywały się w nim tęsknota do wielkoświatowych gościńców, żądza poznawania i przede wszystkim potrzeba sprecyzowania stosunku do życia, potrzeba znalezienia pracy, która odpowiadała ambicji, zdolnościom, zamiłowaniom. Znalezienie pracy takiej, pracy odpowiedniej, nie było bynajmniej łatwem. Na

apostoła się nie nadawał, nie miał wyraźnych upodobań, natomiast cechowały go niepokój ducha żadnego prawdy i sprawiedliwości oraz wyjątkowo drażliwe sumienie. Gdyby zajął nareszcie jakieś stanowisko, któreby odpowiadało jego ambicji i zamiłowaniom, słyszałby nieustannie w sobie głos szyderczego napomnienia, że sprzeniewierzył się ideałom, że nie pełni służby... Tak... Chociażby, na przykład to urzędowanie w Genewie, do którego namawia go Suliński? przecież niema w nim wiary w skuteczność szlachetnej gadaniny genewskiej... Gdyby bez wiary i jedynie przez ambicję i dla zabawy zaczął udawać kapłana Ligi Narodów i świetną robić karierę, nie śmiałby podnieść oczu na nielicznych zwolenników swoich, którym zalecał bezwzględna uczciwość... Zresztą poco te wielkie, dalekie plany, dziś w jej ręku jego los...

— Miałem inne zamiary — odezwał się. — Ponieważ odbywa się emigracja do stolicy, ucieczka inteligencji z prowincji, postanowiłem zagrzebać się w zapadłej dziurze. Trzeba przerzucić most, żeby nie było u nas, jak niegdyś w Rosji przepaści między inteligencją a ludem — tłumaczył apatycznie, zniechęcony sennym wyrazem twarzy gospodarza. — Trzeba przede wszystkim poznać lud, bo co my o nim wiemy...

— Jeżeli moje starania nie odniosą skutku, jeżeli nie dostaniesz się do Genewy — niecierpliwie przerwał Suliński — pójdiesz między lud i proletarjat z tą swoją nową ewan-

gelją, ale teraz radzę ci, Jędrku, spróbuj... Zatelefonuję jutro...

Szydłowski spoglądał ciągle w okno... Jej wielkie wzruszone oczy patrzyły z mroku... zaklinały go.

— Dziękuję, nie trzeba, nie fatyguj się, — mówił powoli, wsłuchując się w gwar miejski. — Wyraziłem się nieściśle. Nie tyle mi chodzi obecnie o pracę ideową ile o siebie. Grzęzłem wciąż w doktrynerstwie. Życie ma także swoje prawa, należy się każdemu trochę szczęścia — wyznał jakby wstydliwie.

— Gadałbyś tak od początku! — huknął Suliński, trzepnąwszy kolegę po kolanie. — Żenisz się? Co! Tem lepiej, zamówię jednocześnie sleeping. Andrzej wstał porywczo, jakby urażony tym niewczesnym żartem.

— Niema mowy o małżeństwie. Dowiedzenia... późno już... Twoja pani się niecierpliwi.

XI.

Od owego rana, gdy ksiądz przestrzegł ją przed niebezpieczeństwem igrania z ogniem i pouczył o obowiązkach żony i katoliczki, zmienił się jej stosunek do życia i ludzi wogóle, a zwłaszcza do męża. Wobec Józka stała się łagodna, wyrozumiała i posłuszna, chodziła z nim do antykwarni, cierpliwie słuchała nudnych dowcipów, starała się nawet zainteresować jego rolniczemi planami, przejmować jego kłopotami i zdrowiem t. j. urojonemi chorobami, pisywała często do teściowej, ciotkę zapraszała wieczorami na pogawędkę i nawet Piotra, który wciąż telefonował, wysmażał czule liściki, przysyłał kwiaty i cukierki, traktowała uprzejmie. Zająć zaś nagromadziła tyle, że w domu widywano ją tylko podczas obiadu, na który późniła się zwykle.

Uczyła się pisania na maszynie, chodziła na kurs pielęgniarstwa, do ślepych żołnierzy, bardzo gorliwie uwijała się w zorganizowanym przez Sawę „Pogotowiu Kresowem“, spędzała wiele godzin w szpitalu u Rózi Sławkowskiej, na życzenie brata i męża złożyła kilka światowych wizyt, zapisała się do wszystkich polecanych jej przez ciotkę i Anię Łuszczyńską

stowarzyszeń. Gorączkowa czynność nie wpływała wszakże ze szlachetnych pobudek lecz z wyrachowania. Usiłowała cnotami zasłużyć na przebaczenie, na prawo kochania, przekonać siebie i Boga, że miłość jej jest bez grzechu. Bo ani wyrzec się tego kochania, ani zapomnieć nie mogła. Była posłuszną córką Kościoła, ale to posłuszeństwo oddaliło ją od Kościoła. Jakże często nazywała prawo, któremu uległa, okrutnem i przestarzałem, a ofiarę swoją — zbyteczną.

Przeglądając w pamięci długi rejestr rozwiedzionych par, zazdrościła tym, którzy podeptawszy przykazania, dążyli odważnie do szczęścia. Własne istnienie, pozbawione szczęścia, wydawało się jej pustem i bezcelowem. Trawiła ją tęsknota, coraz częściej zdarzały się chwile takiego osłabienia woli i odrazy do życia, że pragnęła śmierci. Wówczas szła nie do kościoła jak dawniej, lecz do Łazienek, bo tam wśród pałających młodą zielenią drzew, pod okiem kwiatów, które zdawały się być wielobarwną mową szczęścia, wśród zapachów wiosny przestawała obowiązywać surowa reguła, którą sobie narzuciła, nieprawdopodobne i niewiarogodne stawało się możliwem, bliskiem, rzeczywistem, bo tam wolno było oddawać się wspomnieniom, oddawać się marzeniu o jakiejś bliżej nieokreślonej, pomyslniej odmianie losu. Z ogrodu ukradkiem, jakby w sekrecie przed sobą samą zachodziła na Świętokrzyską do pana Macieja — i tam w pustym salonie w towarzystwie szwagra czekała na tego, którego postanowiła nie wi-

dywać zupełnie. Raz zastał ją tam mąż, najrzadszy w domu siostry gość. Żdziwił się i wygderał żonę na ulicy, gdy wyszli razem.

— Niepotrzebnie zadajesz sobie fatygę z Łuszczynskimi, a do Piotra, któremu obiecałaś wizytę, nie możesz się wybrać. Dziś telefonował już pięć razy. Może byś teraz przeszła się. Dobrze?

Odłożyła na jutro, ponieważ dziś spieszyła na posiedzenie. Nie mogła sobie tylko przypomnieć, jakie to jest zebranie, gdzie się odbywa.

Zatrzymała się, podniosła wzrok na kamiennego orła, który tkwił na wysokim gmachu banku, na strzępy szarej o srebrnych rąbkach chmury, wysilała pamięć napróżno... Odszukawszy wreszcie adres w notatniku, podążyła w stronę ulicy Senatorskiej. Z przykrością i niepokojem stwierdziła, że liczne jej zajęcia służą jedynie do zapchania próżni zbyt licznych godzin, że szlachetne sprawy, którym tyle poświęca czasu, są jej najzupełniej obojętne i obce. Powinna by wszakże polubić ślepych i „Pogotowie“ Sawy, i zatroszczyć się chociażby o dzieci w podwórzu. Skąd ta obojętność? Czy zamarło w niej serce? Napisała niegdyś w jednym z owych listów, które go nie doszły, że kobieta musi być ogrodniczką, troskliwie pielęgnującą rośliny ludzkie na ugorach nędzy. Pięknie to brzmiało, lecz zabrać się do onego ogrodnictwa nie umiała. Bo wszystkie podniosłe porywy i plany nie były jej własne, były z jego ducha i myśli.

Pan Andrzej włożył do duszy nową wiedzę o życiu. Dlaczegoż nie chce jej pomóc w ciężkiej chwili, na przełomie? — żaliła się nie wiedząc, że Andrzej od Mazowieckiej podążyła za nią.

Zebranie dnia tego odbywało się w starej, obstawionej rusztowaniami kamienicy, w lokalu na 3-ciem piętrze, do którego prowadziły drewniane, zachłapane wapnem schody... Pokoje były niskie o małych oknach, prostej niemalowanej podłodze. Jedną ze ścian ozdobiły oleodrukowe wizerunki Skargi i Sobieskiego, nad stołem prezydjum wisiał portret Ojca św., nieco dalej fotografia generała Józefa Hallera. Na sali znajdowało się już sporo osób, lecz czekano jeszcze na opóźniającą się stale sekretarkę panią Łuszczynską.

Inia w tem mało znanem towarzystwie odnalazła oprócz ciotki, „dziewczyneczki“ z Biciejek czyli dwie koleżanki z klasztoru i z karnawału, tak zwane siostry Dołżeckie. Zbliżyła się do Teoni. Towarzyszka zabaw dzieciennych odpowiadała półgębkiem na zapytanie o cel stowarzyszenia, jego prezydentkę i moderatora, gdyż blade oczy jej zazdrośnie śledziły księżniczkę Albertynę, która, odsunawszy się od niej, usiadła obok księżnej Wigi Poryckiej. Teonia nie entuzjazmowała się zresztą dla stowarzyszenia, ani jego prezydentki, która zwyciężyła ją przy wyborach znaczną większością głosów i w dodatku nieco wyniośle traktowała Dołżeckich.

— Wolalabym raczej studja nad świętym Pawłem, trochę medytacji, więcej pogłębienie

nia — rąbała urywanemi zdaniem. — Ale oczywiście w czasach oziębłości religijnej i rozczuchwienia wrogów Kościoła szerzenie kultu świętego patrona może przyczynić się do odpoganienia. Nie mów tylko z Florą o jej stosunkach rodzinnych... zerwała z synem z powodu mezaljansu — ostrzegła złośliwie, spoglądając wciąż w stronę księżniczki Albertyny, a spostrzegłszy, że ta jest nareszcie sama, urwała w połowie zdania i pobiegła do przyjaciółki.

Inia przypomniała się pamięci starej hrabiny Zalewskiej, która miała wytarty kołnierz skunksowy, usta okrągło otwarte, nie poznała jej, bardzo serdecznie pocałowała w głowę i przedstawiła wielce wsławionej cnotami prezydentce kongregacji, pani Florze Zwolińskiej, damie wysokiego wzrostu i bardzo chudej.

Poza imieniem i oczami, o których ktoś powiedział, że są kwitnące, sucha, zawiedła, pozbawiona zupełnie wdzięku i urody pani Flora w niczem nie przypominała kwiatu.

Pochyliwszy łaskawie swoją wysoką postać, prezydentka zapewniała cierpliwym głosem nową członkinię o wielkiej radości swojej i św. Ekspedyta w niebie, zapoznała ją z naszym kochanym opiekunem księdzem Stanisławem, który wciąż biegał po sali, wtykał gościom jakieś druki, zbierał składkę, wydawał kwity, następnie z czcigodnym księdzem prałatem. Dostojnik kościelny wyglądał znużony, niechętnie przyjmował hołdy powitalne, które każdy z przybyłych składał mu po kolei, ze znużeniem słuchoł ekliwych komple-

mentów prezydentki. Gdy ta zaczęła się unosić nad użytecznością stowarzyszenia o tak szlachetnych celach, o tak mądrym programie i kierownictwie, prałat sucho i krótko zaznaczył, że praca w stowarzyszeniach, jak najbardziej podniosłych, przechodzi często w zabawę, że programy stanowią i znaczą zwykle niewiele, gdyż wszystko zależy od treści, którą każdy zechce włożyć w paragrafy statutu.

Gdy rozmowa z małomównym kanonikiem beznadziejnie utknęła, Cesia Dołżecka wzięła Inię w obroty i po krótkiej indagacji zaprosiła ją na najbliższy poniedziałek.

— Będzie mnóstwo ciekawych osób — trzepała Cesia — generał Haller, Piotr wielki, Suliński, Dobrzycki, chiromanta, który wyleczył księżniczkę, pani Janicka, ta, której całą rodzinę w jej oczach zamordowali bolszewicy — no i ten sławny Francuz — wiesz... Powiem księżnej Poryckiej, że będziesz u nas... ona bardzo interesuje się Rosją — Cesia frunęła dalej.

W tej chwili ruchliwy ks. Stanisław zbliżył się do pani Flory i z zegarkiem w ręku coś jej przekładał.

Prezydentka przybrała wyraz surowy i skąpiony, poszła za zasłany niebieskim sukнем stół, na którym obok posążku świętego patrona stała taca z karafką i szklanką oraz duży gliniany wazon, zastępujący zapewne urnę wyborczą, i otworzyła posiedzenie. Do prezydium powołano nieśmiałą hrabinę Solską, panią dyrektorową Snarską w zielonej sukni, księżnę Porycką.

Gdy wobec nieprzybycia pani Łuszczyńskiej i zmienionego porządku dnia ks. Stanisław już miał ogłosić listę zalegających płatników, wpadła zdyszana sekretarka w krótkiej kraciastej sukni. Zaczęło się odczytywanie sprawozdania z poprzedniego zebrania oraz z działalności za ubiegły rok, które trwało długo. Ania czytała prędko ale z wielkiego pośpiechu myliła się często, gdyż nie miała ponumerowanych kartek. Nikt sprawozdania nie słuchał. Inia pomyślała o zielonem, szumiącym drzewie, do którego pan Andrzej podobno tęsknił zwykle na posiedzeniach. Sprawozdanie sekretarki uzupełnił ks. Stanisław prostą krótką przemową o znaczeniu codziennego wysiłku, i małych ofiar, porównywał stowarzyszenie do wojska w czasie pokoju, kiedy od żołnierza wymaga się nie bohaterstwa ale posłusznego spełniania obowiązku.

Zkolei prezydentka utkwivszy wzrok w splecionych na stole rękach, powiadomiła zgromadzonych o zebraniach urządzanych na wsi w Wielkim Poście w piątki, na których żonom oficjalistów odczytywała Mękę Pańską, o wzruszającej uroczystości koronacji Matki Boskiej w jej prywatnej kaplicy i procesji odbytej na odpust do oddalonej parafji. następnie, poleciwszy zebrany niedzielny odczyt Piotra Choroszewskiego, przewodnicząca nawoływała do tworzenia kół na prowincji i na przedmieściach, do naśladowania Hiszpanów, którzy każdą sprawę oddają pod opiekę świętych, wkońcu zaś nadmieniła, że w kraju naszym zdarzają się już pocieszające przy-

kłady takiego ureligijnienia, bo oto właśnie obecny tu dyrektor polecił umieścić we wszystkich filjach podległego mu banku figury świętego patrona.

Na sali rozległy się oklaski. Dyrektor oklaski i pochlebłą wzmiankę przyjął z uśmiechem, i odwdzięczając się za wyróżnienie, rzucał myśl, którą następni mówcy nazwali wielką t. j. projekt wzniesienia na Żoliborzu bazyliki pod wezwaniem świętego.

Podczas, gdy szczupły dyrektor potężnego banku, wykonując białymi rękami okrągłe ruchy unosił się nad ofiarnością rodaków za morzem, na drugim końcu sali Andrzej Szydłowski podniesieniem ręki poprosił o głos. Znalazł się na zebraniu przypadkiem, nie chciał występować tu w roli nauczyciela czy apostoła, uważając, że ani on nie dorósł do tej roli ani stowarzyszenie czcicieli św. Ekspedyta nie zasługuje na potępienie, odczuwał treść, ale właśnie dlatego, że odczuwał treść, że wolalby milczeć, zapisał się do głosu. Uczciwość zdaniem jego wymagała odważnego wypowiedzienia przekonań.

W chwili, kiedy Andrzej podniesieniem ręki poprosił o głos, Inia odwróciła się, jakby tknięta przeczuciem i dostrzegła go w przedostatnim rzędzie niedaleko ciotki. Serce zabiło w niej z radości i trwogi.

Przewodnicząca pochyliła się do sekretarki po informacje o nieznanym młodzieńcu, ta zaś szeptała jej długo do ucha...

Podczas tych narad Szydłowski stał blady, wyprostowany i, utkwivszy wzrok w popier-

siu papieża, usiłował opanować drżenie wewnętrzne, którego doświadczał przed każdym przemówieniem, niby niewprawny pływak przed rzuceniem się w głębinę...

Zdawało mu się zawsze przed każdym przemówieniem, że uciekły mu wszystkie myśli i słowa, że pójdzie na dno, ale skoczywszy odważnie do wody, przekonywał się po chwili, że nie tonie, i mówił sucho głosem podrażnionym, trochę wzgardliwie ale zwięźle, logicznie i przedewszystkiem bardzo szczerze i prosto.

— Muszę zaznaczyć na wstępie — zaczął nieco zbyt cicho — że jestem autorem owego listu o faryzeuszach, który temi dniami narobił trochę wrzawy i oburzył opinię tak zwanych kół poważnych... Czy mam mimo autorstwa tego mówić?

Przewodnicząca, porozumiawszy się oczami z ks. Stanisławem, skinęła głową.

— Dodam także, że nie jestem katolikiem praktykującym, że do niedawna byłem bezwyznaniowcem. Wobec tego nie mam zapewne prawa głosu na tem zebraniu, na które zjawiłem się zresztą nieproszony. Postanowiłem wszakże odezwać się a to dlatego, że szczerze i odważne wypowiedanie przekonań zaliczam do obowiązków uczciwego człowieka. Była tu mowa o oddaniu w opiekę modnego patrona wszystkich naszych poczynań, o posążkach, ołtarzykach, obrazach. I była także mowa o walce z masonstwem, z zatrutym duchem wieku, z partjami wywrotowemi. Na co ośmielę się powiedzieć, że gdy pobożni panowie, których życie upływa w świątyni złotego ciel-

ca, gdy hrabiny w jedwabiach i brylantach zadają sobie trud budzenia życia religijnego wśród ubogich rzesz, niejednemu z owych ubogich duchem i ciałem prostaczków nasuwa się uwaga, że hrabiny powinny zacząć od zdjęcia jedwabi i brylantów a pobożni panowie od wypowiedzenia służby złotemu cielcowi. Trzeba nam przedewszystkiem stać się czynicielami słowa. Wówczas walka z masonerją okaże się zbyteczną, bo ani masonerja ani radykalne partje nie zagrażają religji. Chrześcijaństwo jest w niebezpieczeństwie ale z naszej winy, z winy tych, co wyznają Pana jedynie wargami. Tak, proszę państwa, największem złem wieku jesteśmy my, bałwochwálcy, przez których idzie na świat zgorwienie, najgroźniejszą chorobą Kościoła — bezduszna biurokracja w sutannach, która zabija żywe Słowo. Teraz rozegrać się musi ostateczna walka. Albo Chrystus zwycięży albo księżę świata tego. Wszystkie znaki na niebie zapowiadają katastrofę. Dwie, jak wiadomo, są przed ludzkością drogi, ubóstwienie człowieka, tę drogę Rosja usłała trupami, albo realizacja zakonu Chrystusowego. Ale Chrystus, proszę państwa, leży w grobie. Chrystus leży martwy w sercach naszych i w Kościele. Chrystus nie zmartwychwstał mimo, że co roku na wiosnę obchodzimy święto Zmartwychwstania. Bez odrodzenia chrześcijaństwa na nic — koronacje obrazów cudownych, szkaplerze, kongregacje, budowanie świątyń, feretrony. Niech się w piersi i w sercach rozpali ogień miłości. „Kto nie miłuje, ten trwa w śmierci“, a właśnie miłości ludziom

dzisiejszym brak i niema braterstwa. Z imieniem Chrystusa na ustach katolicy służą złotemu cielcowi i światu. Albo święty Franciszek musi przyjść, albo Neron — skończył niespodzianie i usiadł.

Prezydentka podczas całej przemowy była w wysokim stopniu zakłopotana. Suchą i bladą jej twarz ożywił rumieniec, gdy padły zjadliwe słowa o hrabinach w jedwabiach i brylantach. Spojrzała z wyrzutem w pierw na sekretarkę, która gryzła ołówek, następnie na obu księży. Trzęsącą się ręką nalala sobie wody z karafki.

Szydłowski znowu wstał, gotowy odeprzeć zarzuty, ale gdy spotkał błagalny wzrok Inii, opuściła go chęć do walki, do której zresztą nikt go nie wzywał. Wśród milczenia, które zaległo salę, prezydentka porządkowała jakieś papiery... Chrząknęła. Nareszcie zabrał głos jasnowłosy ks. Stanisław i, podziękowawszy mówcy za szczerłość i ostre słowa krytyki — zapewne zasłużonej — nadmienił, że między duchowieństwem, bardzo oczywiście niegodnym, grzesznym, ułomnym a faryzeuszami ta zachodzi różnica, że duchowieństwo zdaje sobie ze swoich wad i braków sprawę, rozumie niedoskonałość swoją...

Następnie pani w zielonej sukni, zarumienniejszy się po uszy, zauważyła, że ten tylko może wątpić o użyteczności stowarzyszenia, kto do niego nie należy... inna pani poleciła do czytania nowy żywot świętego, Ania Łuszczynska poprosiła o składkę na jakieś upadające pismo.

Nad nietaktownem wystąpieniem nieproszonego krytyka zgromadzenie przeszło do porządku. Stwierdziwszy, że słowa jego nie wywołają już dyskusji, Szydłowski opuścił zgromadzenie. Idąc przez salę, nie uklonił się Ini, ale na ulicy zatrzymał się przed wystawą sklepową i czekał. Nie wątpił, że przyjdzie... Lecz czas mijał a jej nie było. Wiele razy odczytał tytuły książek na wyblakłych i zakurzonych okładkach za oknem małej księgarenki i cierpliwie czekał... Wreszcie ukazała się w bramie. Nie wybiegł naprzeciw, pilnował w dalszym ciągu wejścia do księgarenki jakgdyby po to tu przyszedł.

Ona zaś, spostrzegłszy go zawahała się zrazu i nawet oddaliła się śpiesznie w przeciwną stronę, lecz zanim Szydłowski zdążył uświadomić sobie znaczenie tej niespodziewanej klęski, stanęła obok niego. Była ogromnie zmieszana, jak wówczas w Moskwie, kiedy to późnym wieczorem jesienią wybiegła do niego bez płaszcza na ulicę. Prędko pod jasnym jedwabiem sukni podnosiła się pierś, usta drżały jak u wystraszonego dziecka i jak u dziecka, które rozplakało się było ze strachu i już się nie boi, oczy były pełne uciechy. Nie mówiąc nic i nie witając się skierowali się do ogrodu Saskiego. Weszli od ulicy Niecałej. — Skręcili w aleję, idącą wzdłuż stawu. Zielona woda marszczyła się lekko u tamtego brzegu. Środkiem w gładkiej toni odbijały się wierzchołki drzew i niżej, głębiej, na dnie otchłani błękitnego nieba — biały obłok. Spojrzała przelotnie w cudny, daleki, zimny świat wiecz-

nego spokoju na głębinie i matychmiast przeniosła wzrok na ląbędzia, jakgdyby spostrzegła na dnie odmetu, w krainie wiecznego spokoju niebezpieczeństwo, zagrażające jej radości.

Szcześnie trafem udało się im znaleźć miejsce na ławie obok pana w okularach, który przyglądał się parze zakochanych z ciekawością. Kwitły w niebiosach śnieżne obłoki, kwitły u stóp ich błękitne kosańce i dalej na wielkim klombie dokoła wodotrysku płonęły późne tulipany. Drzące cienie gałązek pieściły, całowały piasek, szeptały do ucha matki ziemi jakoweś radosne tajemnice.

— Panie, jaki cudny dzień! Widzi pan rozkwitłe krategusy! Słyszysz pan bijący od ziemi ku niebu hymn upojenia.

Od tygodnia trwała najpiękniejsza pogoda, ale ona czar wiosny odczuła dopiero dziś, odkąd była z nim. Troski i zmartwienia przestały istnieć, i nawet sprawa jego bolszewizmu i walki z religją, która niepokoiła ją tyle czasu, stała się naraz zgoła podrzędną. A jakież był grzech, jakie złe w tym ich spacerze?

Andrzej, jak w dniu pierwszego spotkania, jak zwykle zresztą w jej obecności dokonał dziś odkrycia, że ona była pięknem i radością świata, celem i treścią jego życia. Tkwiło wprawdzie obok czy jakby za plecami tego piękna i szczęścia widmo Józka Padniewskiego, ale on już nie bał się wstrętnego widma... Nie wątpił, że je pokona i odegna.

— Czemu pan tyle nagadał?!... Cały czas drżałam, żeby pan swoim zwyczajem nie za

daleko zabrął. No i z temi hrabinami! — zaczęła cicho, ponieważ sąsiad w okularach był bardzo ciekawy.

Uśmiechnął się, a zgaszona jego twarz stała się w uśmiechu jasną i młodą.

— A nie miałemże racji?

— Niekoniecznie...

Spotkały się ich spojrzenia, oczy jego były dziś otwarte, świadome władzy swojej nad nią. Ogarnęła ją lekkomyślna nadzieja i słodszy niż nadzieja lęk i wnet umknęła, spłoszona rozsądkiem. Ach, jaka, skąd mogła tu być nadzieja i czegoż miała się bać? Alboż grzechem było, że oni się spotkali? Czy to jest igranie z ogniem?

— Czy pan jest naprawdę bolszewikiem? — spytała z obowiązku, przypomniawszy sobie tamtą sprawę.

— Tak pani, jestem nim. Pani zresztą przed chwilą miała dowód... Kto tak wyraża się o księżach — ukazały się w śmiechu białe zęby.

— Pan się śmieje, a tak okropne powstały legendy z powodu pobytu pana w Rosji, i ja się tyle nadrczyłam z racji pana — strofowałam bez gniewu.

— Jakiż był powód tych udrczeń?

— Ano właśnie ten bolszewicki. Powiedział przecież pan sam wówczas — zawahała się, nie chciała wspominać o mężu — że był dygnitarzem sowieckim i nie odparł pan zarzutów...

Spoważniał, zasepił się, kreślił coś laską.

— Pani wie, że na utrapienie swoje szukam wciąż...

— Czegóż pan szuka, odkąd jest Polska — przerwała.

— Szukam, jaką ma być, i szukam siebie samego. Chciałbym żyć prosto, żyć spokojnie, użytecznie, uczciwie, a właśnie mam szczególny dar wikłania i utrudniania. Inni działają, tworzą, budują Polskę, ja dociekam i pragnę zbawić świat. Taki sobie obrałem fach, to jest może także sposób ucieczki od pracy, od odpowiedzialności.

— Kto przeżył wojnę, długie lata niewoli, a teraz w kraju stanął w szeregu, ten nie ucieka, panie.

— Pani zawsze umie znaleźć usprawiedliwienie i jakąś pociechę. Otóż był czas, że mi się zdawało, iż prawda jest tam w Moskwie, że oni zbudują lepszy świat na fundamentach sprawiedliwości. Wyleczyłem się prędko, dziś chciałem ostrzec, ratować — mówił prędko, patrząc zmrużonymi oczami w dal — kto nie wyjdzie z domu swego na spotkanie zła, do tego zło samo przyjdzie.

Złożyła ręce po dziecinnemu.

— No i czemu pan odrazu nie wyjaśnił wszystkiego!... proszę w gazetach ogłosić list... dobrze, panie!... poco ludzie mają szkalować... Napisze pan i nie będzie już zaczepiał religji! — prosiła zaniepokojona posępnym wyrazem twarzy. Milczał, rysując wciąż laską na piasku.

— Nie chce pan obiecać?! Lubi pan mącić wodę. Ale dosyć na dziś dociekań i polityki, proszę czoło rozchmurzyć. Cudnie na świecie! podniosła spojrzenie na białe wypukłe obłocz-

ki, które były rzekłbyś kształtem, obrazem, mową radości jej serca.

Naraz prawem przeciwieństwa przypomniały się jej nauki spowiednika. „Niema rozwodu, nie może być unieważnienia, nie igrać z ogniem“.

Ale te rady, odkąd on był z nią, straciły wszelkie znaczenie... Na czymże polega zło, gdzie jest niebezpieczeństwo ich spotkania? Gdzie igranie z ogniem?

— Usłucham panią, przestanę walczyć i miotać się, lecz nie dziś, nie odrazu. W niedzielę będzie jeszcze jeden mój występ — ostatni, na wiecu Choroszewskiego. Niechże pani broń Boże nie idzie na ten wiec.

— Znowu będzie pan walczył? — zmartwiła się. — Lepiej zostawić Choroszewskiego w spokoju... Ja bardzo proszę — to niebezpieczny przeciwnik.

— Wolałbym, proszę pani, przesiedzieć niedzielne popołudnie w parku Skaryszewskim w cieniu drzew, ale nie wypada. Wiec niedzielny jest podobno odpowiedzią faryzeuszów na mój list otwarty, Choroszewski, który zapewne pamięta moje moskiewskie kłanania postanowił zmiażdżyć mnie. Bardzo nie lubię tego pana. Jedną ręką robi pieniądze, drugą wyciąga po buławę.

Kreślił laską jakieś znaki.

— Jak pan się znalazł dziś na tem zebraniu?

— Przyszedłem za panią. Chcę mówić z panią.

Biały motyl fruwał nad błękitnym irysem, usiadł wśród płatków, kołysał się chwilę, zer-

wał się i leciał wprost na nią. Niewystłowioną rozkosz sprawiał lot motyla, trzepotanie się jego skrzydeł i słodką była wiedza, że pan Andrzej szedł za nią i szukał jej i chce z nią mówić. Zatrzepotała się w sercu nadzieja lekomyślna jak ów biały motyl, odleciała spłoszona rozsądkiem.

— Dziś pan szukał mnie, a kiedy prosiłam, nie chciał pan mnie odwiedzić!... czekałam codziennie.

Spojrzała na ręce jego, silne, czerwone o nabrzmiałych żyłach... Gdybyż wzięły ją jak własność swoją te mocne czerwone ręce... wyniosły jak dziecko z domu cierpienia...

Słońce schowało się za chmurę, znikły drżące na piasku cienie i wesołe smugi, powiało chłodem. Pan w okularach wstał i kaszłąc oddalił się.

— Dlaczego pani wyszła za Józka za męża?

— spytał niespodziewanie.

Zaskoczona tem pytaniem, zmieszana się i milczała chwilę.

— Inną byłam wówczas niż dziś — odpowiedziała cicho.

— Ale pani nie kocha męża?

Goniła spojrzeniem motyla, ale ten radosny lot nie przenikał już serca dreszczem rozkoszy.

— Dlaczego pani milczy?

— Pan nie powinien zadawać mi takich pytań, a mnie nie wolno na nie odpowiadać.

— Na fałszu nie zbuduje pani życia. Trzeba mieć więcej odwagi i szczerości w stosunku do siebie.

— I co dalej, panie?

— Pani musi opuścić męża.

— A dalej panie?

— Może pani starać się o rozwód. Zacznie pani nowe życie... człowiek ma prawo do szczęścia... jest szczęście na ziemi...

Pochyliwszy głowę, rozważała, czy ona ma mu teraz już wszystko raz na zawsze wyjaśnić. A wówczas będzie koniec — otworzyła się w duży otchłań rozpaczy... Żal miała do niego, że zamącił tę godzinę radości, że wywołał z dalekich zakamarków wszystkie strapienia, obawy, troski.

— Niewiele jest szczęścia na ziemi — chwiejnie zaczęła.

— Od nas samych zależy...

— Nie od nas, panie.

— Trzeba mieć odwagę i wolę.

— Nie zawsze, panie, odwaga i wola... Choćby ten rozwód, który mi pan zaleca — mówiła prędko, ze wzruszeniem, nie kończąc zdań — rozwodu niema.

Zerwał się z ławki i wnet usiadł.

— Więc pani ma pokutować do końca za błąd, za nieporozumienie?

Patrzyła jasnemi oczami w twarz jego, która stała się zła.

— Na fałszu nie zbuduje się życia, powtórzę słowa pana. Dla unieważnienia małżeństwa musiałabym popełnić krzywoprzysięstwo, gdyż niema w danym wypadku powodów do unieważnienia — tłumaczyła rozsądnie, spokojnie — kłamać nie potrafię... Ja także łudziłam się — ciszej wyznała — dziś już wiem, że to niemożliwe... Twierdził pan nieraz, że należy

żyć podług prawdy swojej. Otóż, panie, mam prawdę swoją, tę z nauki kościoła, i ta nie pozwalała mi kłamać, zmieniać religji.

Porwał się znowu z miejsca.

— I pani, nie kochając męża, będzie nosiła jego suknie, znosiła jego pieśczoty.

Spuściła szybko głowę, zarumieniona i szepcetem odparła:

— Właśnie że ani pieśczot, ani sukni...

— Pani zostanie u Józka, a ja mam ruszyć w świat! — zawołał gwałtownie.

— Dlaczego, panie? A nasza przyjaźń?

— Jak to sielankowo brzmi przyjaźń! Bądźmy szczerzy, przynajmniej teraz przed rozstaniem. Nie wiem, jakie są pani dla mnie uczucia, może ich niema zupełnie...

— A pan, czy mówi prawdę w tej chwili? — przerwała mu.

Jej czyste prawdziwe oczy patrzyły w niego z żalem.

— Zresztą nie znam pani, siebie także nie znałem, nie zdawałem sobie sprawy — mówił gwałtownie wróciwszy na ławkę — dopiero w Moskwie, gdy pani odjechała, przejrzałem i teraz tu w kraju zrozumiałem, czem pani jest dla mnie. Nie było w życiu mojem ani kobitek, ani kobiety... nie było wogóle uczucia, ciepła, słońca, rosłem samotny, posepny, żyłem wyobraźnią, mózgiem. Nie lubiła mnie matka, ojciec gderał, koledzy stronili odemnie... Dopiero pani dała mi poznać radość, urodę życia, szczęście... Znowu na krótkie mgnienie zadrżało jej serce z rozkoszy.

— Pani także była inną, wychodząc za męża. Lepiej pani rozumie życie dziś, niż wówczas, głębszego pani pragnie życia... I mimo to poświęca istotną wartość dla martwej litery.

— To nie jest martwa litera, panie!... a nowe użyteczne życie mogę przecież rozpocząć.

Nie słuchał. Nie mógł zgodzić się, by taka była jej odpowiedź i taki wynik rozmowy. Odrzucił propozycję Sulińskiego, wyrzekł się Genewy, świetnej kariery dla szczęścia i naraz dowiedział się, że nikt nie może odebrać jej Józkowi Padniewskiemu, gdyż tak stoi w katechizmie.

Liście kasztanu chwiały się lekko nad głową, płynęły niebem pogodne obłoki, płonęły czerwone tulipany i niedorzecznie a wesoło śmiały się srebrnymi strugami wodotrysk... Piękno życia!... Zbierało mu się na śmiech... Piękno życia!...

— Pani literą, paragrafem zabije życie, żywą prawdę — zaczął znowu. — To, co ludzie zwą zwykle miłością, jest najczęściej rozpustą, ale prawdziwa miłość może być żywą prawdą.

— Nic jej nie zniszczy... ani wody wielkie...

— Zabije ją fałsz i cudzołóstwo.

Ten sam biały motyl fruwał nad szafirowym kosaćcem, cienie pieściły piasek, tuliły się do ziemi, coś tajemniczego szeptały... Jakże daleko odeszła tamta, taka niedawna godzina szczęścia!

— Miał pan słuszną, nie pójdziemy już do źródła radości — spróbowała uśmiechnąć się, objęła go macierzyńskim, pełnym współczucia spojrzeniem. O sobie zapomniała, gdyż on

cierpiał. Jego było jej żal, jego trzeba było czemś pocieszyć, rozweselić. Ale jaka tu mogła być pociecha?! Zresztą on już wstał.

— Pożegnaj panią... — ukłonił się ceremonjalnie.

— Musi już pan iść? Już pan musi iść! — ubolewała. Odczuwała teraz wielkie znużenie. Z trudem dźwignęła się z ławki, poszła w stronę fontanny, która parskła srebrnym śmiechem nad klombem szkarłatnych tulipanów. Pożegnali się w milczeniu. Patrzyła za nim długo. Gdy przeszedł na drugą stronę ulicy, wróciła do ogrodu, usiadła obok dwu żydówek, które zajadały czekoladę i wśród bawiących się dzieci słuchała z troską na czole, pochylona naprzód płusku wody. Podczas rozmowy z nimi wszystko wydawało się jasnym i prostym, teraz tego zrozumieć nie mogła, komu jest potrzebne ich nieszczęście.

XII.

Siostry Dołżeckie, znane ze snobizmu i złośliwości nie cieszyły się w towarzystwie warszawskiem sympatją, poniedziałkowe przyjęcia nazywano lekceważąco dla licznych, nieraz bardzo niezwykłych atrakcyj sałatką, rewją lub koszem szczęścia, mimo to trzy szczupłe salony na rogu Wspólnej i placu Trzech Krzyży nie mogły pomieścić gości, i pani Dołżeckiej matce zawsze zabrakło w końcu toaśtów, babki, sandwicz... Ludzie przychodzili na Wspólną dla doskonałej kawy, herbaty i znakomitych kanapek, dla owych reklamowych przez Cesię atrakcyj, a przede wszystkim, żeby się pośmiać z całego wogóle poniedziałkowego bałaganu, z egzotycznych gości, niespotykanych w żadnym innym salonie, z mistycznych wykładów bladej Teoni. Ludzie przychodzili także dlatego, że ich usilnie, gorąco, serdecznie zapraszała Cesia, że każdy ludził się, iż on jest uprzywilejowanym, najmiłszym i najbardziej pożądanym wybranem, którego oszczędzi zjadliwy dowcip Teoni. Obie panie umiały w gościach to złudzenie podtrzymać, gości ujmująco przywitać, oczarować, zabawić, wyzyskać, zareklamować, rozmieścić

i podać w odpowiednim sosie i przyprawie, lub, gdy zachodziła tego potrzeba, unieszkodliwić. Każda z sióstr wybrała dla siebie w życiu i w salonie inny dział, inną rolę i zadanie. Szczupła, blada, o bladych oczach a twardem spojrzeniu i świdrującym głosie Teonia, opuszczona przez swego księcia portugalskiego, który zabrawszy posag i klejnoty żony, ulotnił się w miesiąc po ślubie, uprawiała przyjaźń z księżniczką Albertyną i spekulacje giełdowe za pośrednictwem siostry, oraz celebrowała, jak się ktoś złośliwie wyraził religję miłości podług listu świętego Pawła, z którego to listu tę zaczerpnęła dla siebie naukę, że miłość, ta najwyższa, nielicznym tylko dostępna, starczy za dobre uczynki, pracę, poświęcenie, umartwienie. Młodsza Dołżecka, żywa, praktyczna Cesia była od biegania po mieście i po bankach, od płoteczek politycznych i światowych, od ściągania na jury sławnych ludzi i robienia pieniędzy. Teonia nie lubiła polskiego zaściankowego patryjotyzmu, wyboistych polskich dróg i rubasznego dowcipu, żywiła wstręt do demokracji, parwenjuszowstwa, gazet i kina, źle znosiła klimat Warszawy, natomiast cenila niezmiernie francuskie „esprit“ i francuskich pisarzy katolickich, włoski klimat, atmosferę artystyczną Rzymu. Teonia tępiła w Polsce banalność, tandetę i zaściankowość, zwalczała polską płytką religijność, zgłębiała codziennie i codziennie odkrywała nowe piękności w liście do Koryntjan, czytała mało, paru tylko wybranych pisarzy, ale z oddaniem i zrozumieniem najsubtelniejszych

odcieni i dzięki doskonałej pamięci przyswajała sobie całe z nich ustępy, zwłaszcza aforyzmy. Starzejąca się w staropanieństwie Cesia wertowała gazety, pożerała powieści, pasjonowała się do kina, chwytala wszystkie ostatnie bajeczki towarzyskie i sekrety giełdowe, znała wszystkich, kogo znać trzeba było, polowała na ludzi modnych... Ona to była impresarjem każdej na jourze znakomitości. Skoro tylko jej wszyszkowidząca lornetka dostrzegła Inię, natychmiast w trzech natłoczonych salonach rozeszła się wiadomość, że piękna Inia Padniewska, która w tej chwili wchodzi do salonu w niebieskiej sukni, siostra Sawy, wczoraj wróciła z Moskwy, gdzie była trzy razy skazana i prowadzona na śmierć, gdzie rozmawiała z samym Leninem i Trockim i całe dwa lata spędziła w czrezwyczajce. Dokoła Ini skupiło się grono żądnych sensacji słuchaczy. Radykalny publicysta francuski, którego zabawiali Cesia, pani Mitka i młody hrabia wielbiciel Action Française, filigranowa poetka, zwana wieszczką lalek, wszyscy społem wyrazili chęć zapoznania się z ofiarą teroru moskiewskiego. Panna Cesia zachwycona powodzeniem swego bolszewickiego „gwoźdźcia“ zachęcała Inię do wyjawienia sekretów czrezwyczajki, do powtórzenia rozmowy z Leninem. Opowiadanie cudem ocalonej ofiary teroru moskiewskiego miało być najlepszym numerem, najbardziej cenną nowalją dzisiejszego przyjęcia. Ale słuchacze zawiedli się. Inia nie wyzyskała wdzięcznej roli swojej. Na liczne zapytania

odpowiedziała krótko i szczerze, że nie ma nic do opowiadania, ponieważ już w pierwszych miesiącach rewolucji przeniosła się z Rosji do Finlandji, gdzie żadnych nie doznała krzywd.

Dla ratowania sytuacji panna Cesia szepnęła temu i owemu, że Inia nie chce mówić o swoich przejściach *par une certaine pudeur*, i zwróciła uwagę zawiedzionych gości na Dobrzyckiego, głośnego chiromantę oraz na Siemienieckiego, który pokazał się właśnie z fujarką w rękę.

— *Comment appelez vous cela* — odezwał się do francuskiego gościa i zagrał.

— *Quand c'est petit, c'est une fujarka, quand c'est grand* — tu wskazał posła Zapłątowicza.

Inia wmieszała się w tłum. Ostatni w sezonie poniedziałek mimo końca sezonu i pogrzebu młodego lotnika Boćwińskiego, krewnego pani domu wypadł świetnie.

Prócz Józefa Hallera stawili się wszyscy zaproszeni ku uświetnieniu *jour'u*: nowy radca francuskiego poselstwa, para narzeczonych, grecki baryton, chiromanta, nieszczęśliwa matka wymordowanej na Podolu rodziny. Spodziewano się jeszcze Choroszewskiego i Sulińskiego, którego nazwisko było na ustach całej Warszawy z powodu bliskich jego podobno stosunków z Belwederem, politycznego pojedynku z prezesem jednego z klubów sejmowych oraz ciętej odpowiedzi, udzielonej Francuzowi podczas dyskusji na temat cudu nad Wisłą. Nadprogramowo przybyła przyjaciółka Teoni, stroniąca od ludzi księżniczka

Albertyna, niedawno z rozstroju nerwowego cudownie uleczona przez chiromantę Dobrzyckiego. Inia, ciekawa powojennej Warszawy, modnego jour'u u „dziewczyneczek“ czyli ekonomówien z Biciejek, jak nazywała je matka, przyglądała się znanemu jej a jednak zupełnie obcemu światu jak widowisku. Wyszła z obiegu, obcym jej był na razie język, którym porozumiewano się w salonie, nie słyszała o cudownym uzdrowieniu księżniczki Albertyny i zaręczynach Romka, o wyjeździe Trombiniego i Perlównie, nie wiedziała dlaczego o tragicznej śmierci lotnika Boćwińskiego mówiono szeptem i z uśmiechem, nie domyśliła się, że zajęta rozmową z prezydentką Expedytek i z Teonią dama w brązowej niemodnej sukni, pani Sulińska, którą pokazywano sobie palcami, prawi pobożnym paniom morały i pepesowskie herezje... Mimo to bawiła się wybornie. Doznała nawet wrażenia, że po długim wygnaniu, spędzonym w krainie smutku i ubóstwa, znalazła się nareszcie w domu. W tym odnalezionym domu ogarnęły ją światowa pustota i wesołość czyli tak zwana przez Sawę intoksykacja, konieczna, jego zdaniem, w salonie, gdzie ludzie zbierają się nie dla odmawiania psalmów pokutnych i posypywania głowy popiołem, lecz dla migotania motylemi skrzydłami dowcipu i wdzięku.

Nie była dziś bynajmniej w nastroju pokutnym. Zajmowało ją i cieszyło wszystko: flirt Natałki z zagranicznym wojskowym, pomarańczowego koloru suknia brzęczącej brelokami ministrowej Osełskiej, wróżby suchotni-

czego chiromanty, który z oczu jej wyczytał szczęście ale nad ręką pochylił się stroskany, drastyczne zwierzenia Jagi, zwanej czarownicą.

— Prócz nas dwu i Teoni niema tu cnotliwych — plotła Jaga, zajadając tort duchesse i wykrzywając pociesznie żółtą twarz. — Ty podobno kochasz się w kimś?... Co? Już rumienisz się wstydliwie! Powiadają ludzie, że w Piotrze wielkim. Ale wolisz wędnać w przedpotopowej wierności małżeńskiej, której nikt nie wymaga. Dziś nawet najgrzeczniejsze panienci... — zachichotała. — Zresztą Chorszewski wyszkolił cię. Użyjesz dziecinko! Strzeż się tylko Mitki i Lilki. Są piekielnie zdrosne... O Mitce wiesz... A Lilka...

Inia śmiała się. Sensacyjna kronika zdrad małżeńskich przeraziłaby ją przed wojną, dziś nietylko zajmowała, ale jakgdyby podtrzymywała w niej jakąś utajoną nadzieję... Nie mogła tylko uwierzyć, by Lilka także... Pewnej chwili z dalekiej przeszłości odezwało się wspomnienie sprzeczki z panem Andrzejem, który nie lubił w niej światowości, pustoty, powierzchownego stosunku do ludzi, podchwytywania śmieszności, gdy ona zarzucała mu, że dosiada tylko wielkich koni, że jest trochę pedant i nudziarz... Podniosła rękę, potarła cienkimi palcami czoło, zamyśliła się nad ostatnią ich rozmową w ogrodzie Saskim. Postawił swoim zwyczajem sprawę na ostrzu noża... Albo rozwód albo zerwanie... Dlaczego ona ma mu się sprzeciwiać, skoro prawo Kościół wydał jej okrutnem, niesprawiedli-

wem, przestarzałem, skoro nikt nie szanuje dziś tego prawa. Przez posłuszeństwo? Alboż ci wszyscy tutaj, alboż świat, ludzie żyją podług przykazań?

Nagle zimne palce Teoni mocno ścisnęły jej rękę. Padło w trybie rozkazującym zaproszenie do towarzystwa księżniczki Albertyny, która zapragnęła z nią rozmowy. „Pani musi być niezmiernie dobrą, pani ma takie czyste i łagodne oczy... I bardzo ładnie pani gra Chopina. Pamiętam w Moskwie u Wigi — łaskawie wspominała księżniczka“. Przy tej sposobności Teonia nadmieniła, że zboleła dusza, słuchając Chopina, wydziela, czy wydycha z siebie boleść jak kwiaty — zapach.

— Vous avez toujours le mot pour definir — pochwaliła księżniczka i przyjaźnie pogłaskała pieska Busia na kolanach Teoni.

Chore, tj. dotknięte chronicznem drganiem powieki oko księżniczki było zmrużone, drugie zaś, szeroko otwarte patrzyło z pod wzniesionej brwi w tłum jakby z osłupieniem. Od czasu do czasu księżniczka wymieniała nazwisko któregoś z obecnych w salonie gości. Wówczas Teonia ciszej lub głośniej wypowiadała złośliwe komentarze. Księżniczka śmiała się szczerze, a śmiejąc się czerwieniła się cała i raz po raz wskazującym palcem pocierała brew nad zmrużonem okiem. Spostrzegłszy, że przyjaciółka jest zmęczona śmiechem, Teonia skinęła na chiromantę, który z kieliszkiem w ręku rozprawiał opodal w gronie wsłuchanych w niego pań. Młodzieniec o wyglądzie głodomora, cienki jak szparag w wytartem u-

braniu z białym goździkiem u wylotu marynarki z obrączką ślubną na chudej ręce spieszył do księżniczki, by dotknięciem czoła uspokoić nerwowe drganie powieki.

— Nie walczyć z radosnym bogiem, wyjść na spotkanie z lampą zapaloną! — szepnął do Ini przechodząc.

Spojrzała w okno, na szarą, ciężką kopułę kościoła w błękitnie niebios.

Ach, nie walczyć z bogiem radości! — marzyła — poddać się woli jego, bo niema dla niej miejsca na ziemi. Może innym wystarczy religja, praca, świat, w niej niema ani wiary gorącej, ani ideałów. żadnych wzniosłych myśli, jest tylko głód kochania, tęsknota do szczęścia. Potrzebuje oparcia, opieki, ciepła. Chciałaby mieć życie proste, bez burz i powikłań, a taki trudny wypadł jej los.

Nie słuchała Podczaskiego, który unosił się nad bajeczną szansą Choroszewskiego, opowiadał o spotkaniu z zagadkowym Amerykaninem Mortimerem, podał w krótkich słowach treść listu otwartego tego warjata Szydłowskiego.

Palcem nakazała mu milczenie. Grecki baryton, któremu Cesia oddawna robiła, krążąc po pokojach reklamę jako największemu po Szalapieńcu śpiewakowi świata, przecisnął się z Ninetką do pianina, rozłożył nuty, poczem rozpiął swoją przesadnie krótką i wciętą marynarkę i z ręką na wypiętej piersi powiódł oczami po zebranych, czekając aż się uciszą.

Ninetka wzięła kilka akordów, ktoś kaszlnął, księżniczka Albertyna głośno wytarła nos. Uro-

dziwy Grek poprawił sobie kołnierzyk, jak gdyby chciał wyswobodzić z niego szyję, potem dłonią wygładził czarne włosy po obu stronach przedziału, odstawił prawą nogę w lakierowanym pantoflu, uśmiechnął się głupio do Teoni.

I nagle stał się cud. Z ust manekina popłynęła przedziwna pieśń, która była wieścią radosną o rozkoszy i kochaniu, obietnicą szczęścia i wołaniem o szczęście, pieśń, znana, pospolita, a jednak zdało się Ini, że słyszy ją po raz pierwszy, że poto tylko tu przyszła, ażeby napęłnić nią serce, zachować o niej pamięć, wiecznie nosić w duszy. Zdjęła ją męka tęsknoty, słodkie oczekiwanie rozkoszy... Szczęście było blisko, ach tylko ręce wyciągnąć!...

Ale śpiew umilkł, oddaliły się tęsknota i męka, Grek zapalił papierosa i wnet zgasił go, zaszczycony rozmową z księżniczką Albertyną. W salonie pełnym gwaru i ludzi powiało pustką i chłodem, jak w grobowej kaplicy... Czemże jest życie bez radości kochania?...

Ksiądz żąda od niej, by pokonała to pierwsze prawdziwe uczucie, pragnienie szczęścia, wolę radosnego życia, by stała się podobną do ciotki Filipy... ale w takim razie poco to życie, dla kogo? Komu potrzebne jest ich cierpienie? Utopiła wzrok w błękitnej pustce bezchmurnych niebios, zawieszonych nad niepotrzebnym światem, objęła spojrzeniem kopułę kościoła, w którym niema Boga... patrzyła w długi na ulicy przed sklepem ogonek. Usłyszawszy głośny śmiech odwróciła się. Romek, siedząc obok narzeczonej, próbował podska-
kując na fotelu wytrzymałości sprężyn. Na-

rzeczona śmiała się. Z czego oni się cieszą? Przed laty produkowali się z Józkiem jako narzeczeni w salonach warszawskich pod opieką matki. Zostawiano zakochanych sam na sam, by nie przeszkadzać im w ich szczęściu. Oni milczeli godzinami. I nikt nie ostrzegł jej wówczas, nie wziął w obronę, nie nauczył... A potem w podróży poślubnej i na wsi nigdy nie było między nimi prostoty, szczerości, prawdy. Józek bał się jej, czułości małżeńskie były obojgu zbyt ciężkie. Spychało się puste dnie... Józek gospodarował zawzięcie, ona niby zajmowała się domem i ogrodem, pozatem trochę wizyt, wyjazdy do Warszawy, sprawunki. I trwałoby tak do końca, gdyby nie pan Andrzej — rozpamiętywała.

Tymczasem Podczaski, który przyszedł za nią pod okno, pastwił się nad Teonią.

— Widuję ją często u Dzieciątka Jezus z twarzą ukrytą w dłoniach, gdy medytuje w oparach mistycyzmu, które podnoszą się z dna duszy. Wróciwszy do domu łaje siostrę, jeżeli ta na manowcach giełdy nie zastosuje się do jej natchnień i wskazówek... — urwał, spostrzegłszy wchodzącego Sulińskiego i w cieniu jego wysokiej postaci Andrzeja, który szedł przez pokój tak szybko i gwałtownie jakgdyby spieszył na ratunek gospodyni.

Ini oczy oddawna przywitały niespodziewanego gościa. Objął ją od stóp do głów płomiem i mimo rozsądku, opanowania i obawy śmieszności o mało nie rozplakała się ze szczęścia. Odwróciła się do okna, by ukryć nagły rumieniec i wzruszenie. Rozwarła by ramiona, by ob-

jąc i przycisnąć do serca miasto, długi ogon biedaków przed sklepem, bezchmurne niebo, jaśniejące weselem, kościół, w którym przebywa dobry Bóg.

— Czego tam szukasz na ulicy, gdy on tu jest? — zawołał nad uchem Podczaski.

Przedstawiwszy się obu gospodyniom, Andrzej dążył prosto do niej, równie gwałtownie i prędko, jak przed chwilą do Teoni.

Nastąpiła chwila zakłopotania i milczenia. Nie spotykali się jeszcze nigdy dotąd w świecie, zdawało się jej, że oczy całego towarzystwa są na nich zwrócone, przemknęła myśl, że złośliwe siostry wyśmieją jego zbyt jasne ubranie, zielony krawat, bujną czuprynę. Spostrzegła zdziwiony pytający wzrok Sawy. Stała, żeby go zasłonić przed światem... Utkwił w niej spojrzenie, które wydało się jej drwiące, czoło miał pochmurne, usta zaciśnięte.

Nigdy jeszcze nie wydała mu się tak olśniewająco piękna, jak dziś w niebieskiej sukni „od męża“, w złocistym kapeluszu. Lubi świat i bogactwo — pomyślał — stąd zapewne opór...

— Nie przypuszczałam, że pana tu spotkam — rzekła, gdy Teoś zostawił ich samych.

— A ja właśnie przypuszczałem i dlatego przyszedłem.

W tej chwili ktoś zagrał cicho i prędko staroświeckiego walca. W tym domu tolerowano tylko dawne tańce. Ini niewiedomo dlaczego poczęło zdawać się, że z szybko obracającego się wrzecioną odwija się złota nić i osnuwa, migocąc i drżąc, przedmioty i ludzi, jej myśl, wolę, uczucie.

— Dlaczego nikt nie tańczy? — rzuciła.

Ale rozsuwano już krzesła, Cesia z pomocą Natałki zwinęła dywan. Pokazała się naprzód w pierwszej parze wiotka i podobna do szafirowej wążki Natałka ze swoim oficerem, po chwili opasły starszy pan z Lolitką. Przyłgnąwszy do siebie brzuchami, poczęli kołysać się wolno.

Inia nucąc wybijała takt nogą. Ukłonił się, prosząc ją do tańca.

— Nie będzie miała pani ze mnie wielkiej pociechy — objął mocno, gwałtownie pociągnął ku sobie.

Jakoż rzeczywiście tańczył niewprawnie, nierówno, zaprędko, robił zbyt duże kroki. Zrazu zastosowała się do niego, potem stopniowo opanowała i prowadziła.

Po chwili krążyli powoli w zgodnym rytmie. Oddała się rozkoszy tańca w jego silnych ramionach, marzeniu słodkiemu, jak pieśń, która brzmiała przed chwilą w salonie. Snuła się złota migotliwa nić. Senny uśmiech spoczął na rozchylnych wargach, czuła gorącą dłoń jego na plecach, płomień wzroku jego na twarzy, bała się spojrzeć w jego zawzięte złe oczy.

— Bardzo pani do twarzy w tej sukni! To zapewne mąż ją wybierał.

Przymknęła powieki, by zasłonić oczy przed gniewem jego źrenic i nic nie odpowiedziała.

— Nie pali pani tą suknią?

Przyspieszyła tempo, żeby uciec od tych słów.

— Nie pozwolę pani wrócić do domu. Zabieram panią stąd.

W tej chwili na rozkaz Teoni, zgorszonej nieprzystojnym tańcem Lolitki umilkła muzyka. Wrócili do okna.

— Dziś prosto stąd pójdzie pani ze mną — wbił w nią hardy wzrok — jest już mieszkanie dla pani, jest także zajęcie. Będzie rozwód. Dyszała ciężko, mąciło się jej w głowie, z tańca czy od tych słów.

Sawa dawał znaki, żeby przerwała zbyt długie i niewłaściwe sam na sam z nieuczesanym, nieznanym w świecie młodzieńcem.

— Pan wie, że to niemożliwe — szepnęła.

— Niemożliwe jest także moje życie bez pani i pani życie tam u męża — wybuchnął.

Wzruszone oczy spoczęły z miłością na drogiej, kędzierzawej, upartej głowie... kochał, chciał zabrać ją wprost stąd... Może nie wracać już do Józka, poddać się woli jego, pójść z nim stąd na zawsze?... Doznała zamroczenia i zawrotu jakgdyby nad przepaścią.

— Jest prawo silniejsze, niż formuła, którą Kościół wiąże na śmierć i życie, zresztą mówiłem z ludźmi, którzy znają przepisy Kościoła. Panią nastraszył jakiś ograniczony starej daty ksiądz. Rozwód można zawsze dostać. Są rozmaite furtki, obejścia, sztuczki. Ileż rozwodów dziś!... Niech pani policzy chociażby tu, w trzech salonach wszystkie rozwiedzione pary... Kościół patrzy przez palce, nie uznaje w zasadzie, ale toleruje. Dlaczego pani miała być wyjątkiem?

Jakkolwiek wypowiadał własne jej, najbardziej skryte myśli, miała wciąż wrażenie, że

otwarła się u stóp jej przepaść, w którą on każe jej skoczyć.

— Są może furtki, obejścia, fortele, ale ja panie nie potrafię kłamać, ja nie zmienię religji — usta jej zatrzęśli się.

Uczyliło mu się żal tych ust, drżących od wstrzymanego płaczu, chciałby przemówić do brem słowem, lecz nie umiał.

— Tkwi w myśleniu pani czy mojem jakiś zasadniczy błąd, i dlatego nie rozumiemy się — tłumaczył surowo.

Odwróćni plecami do salonu patrzyli bezradnie w głąb buchającej gorącym ulicy, potem na szyby odległego gmachu, które paliły się w zachodniem słońcu, na obłok złocisty, długi, w kształcie sztaby, jedyny w bezchmur-nem niebie, na jaskółki szybujące z piskiem wysoko w błękitcie.

— Ja rozumiem pana — szepnęła.

— Dlaczego pani w takim razie opiera się?... To, o co proszę, jest proste, słuszne, jasne...

Jeszcze prostsza i łatwiejsza była rada Jagi i Podczaskiego... Dziś niema już wierności małżeńskiej... dziś robi się to bezgrzesznie... nawet najbardziej cnotliwe i pobożne, najgrzeczniejsze panny — nawinęły się cyniczne słowa przyjaciółki. — Kościół patrzy przez palce, świat toleruje, tylko on namawia ją na skandal i tragedję. Dobrała się para przedpotopowych cudaków. Tam, gdzie ona widzi przepaść, szerokie schody prowadzą do rozko-szy — dumiała śląc spojrzenie ku dalekim go-rejącym oknom. Stały tam za każdym z nich

jakby zapalone choinki. Gdybyż on wziął ją jak dziecko i wyniósł z płonącego domu cierpienia!... Gdybyż to mogło stać się bez woli jej! Ale przebywa w niej obca, rzekłbyś, i wroga wola, tkwi w niej strach i sprzeciw, pamięć zakazu, odzywa się rozsądek.

— Moja odpowiedź jest także prosta i jasna — odparła po chwili jakgdyby cudzemi usty, ulegając tamtej wrogiej woli i odwróciła się na szczeknięcie Busia, którego Teonia karmiła na kolanach księżniczki, smarując biszkopty masłem.

Suliński, posadzony zaszczytnie obok księżniczki na zbyt niskim krześle, to chował pod krzesłem, to wyciągał na środek pokoju swoje zbyt długie nogi i zamyślał o ucieczce, gdyż w towarzystwie tych wielkoświatowych dam było mu coraz niewyraźniej. Najpierw Teonia, gorliwa w nawracaniu, częstowała niedowiar-ka listem św. Pawła, następnie księżniczka dobrodusznie prosiła tego znakomitego podobno i mającego dziś wielkie wpływy syna poczciwego Sulińskiego o ratowanie zagrożonego reformą rolną majątku, teraz kazano mu zachwycać się rozumem Busia. Ale syn poczciwego Sulińskiego nie lubił psów, zwłaszcza małych na kolanach pań. A ponieważ nie umiał zupełnie próżnować, obliczył, ile by przyniósł państwu podatek od samochodów, karet, i psów, poczem zastanawiał się, zali istnieją jeszcze jakie niezalatwione rachunki między nim a rodem książęcym, któremu ojciec wier- nie służył, i doszedł do wniosku, że jeżeli nawet istnieją jeszcze jakie długi wdzięczności,

on nie podejmie się obrony majątku. Po-
stanowił księżniczce odpowiedzieć na piśmie.

Wstał tedy i zgiąwszy wysoką postać w ni-
skim ukłonie, wyszedł wielkimi krokami. Od-
prowadziła go do drzwi panna Cesia i wprost
od drzwi przysła do Ini, żeby wysondować
i oszacować narzuconego jej przez Sulińskiego
młodzieńca, który nie należał do towarzystwa,
był źle notowany w świecie z powodu zuch-
wałego wystąpienia na zebraniu Expedytek,
a którego ona, ratując sytuację, ponieważ każ-
dy przestępujący progi jej salonu gość musiał
mieć modną etykietę, jakiś tytuł ku uświet-
nieniu jour'u, mianowała na poczekaniu od-
nowicielem ruchu religijnego między młodzie-
żą, bohaterem walk legjonowych, męczenni-
kiem. Odnowiciel i bohater miał bladą i mą-
drą twarz, lecz okazał się człowiekiem popro-
stu źle wychowanym. Gdy gospodyni jedwab-
nym głosem chwaliła go za to, że rzuca ziar-
no dobre w młode dusze, odpowiedział szor-
stko, że żadnych na żadnym polu niema za-
sług, bo sam błądzi i szuka, zapytania zaś o
walki legjonowe i męczeństwo w Rosji zbyt
ironicznym „nic o tem nie slyszałem proszę
pani“. Mimo to panna Cesia pomyślała, że w
tym niepozornym młodzieńcu o skupionych
oczach kryje się zapowiedź wielkości i że kie-
dyś może przypomną sobie ludzkie, że ona
pierwsza poznała się na znakomitym bojow-
niku.

— Pan Andrzej należy do tych, którzy źle
o sobie mówią — zauważyła Inia.

— Pani nie może mnie bronić, bo pani nie zna mnie.

„Józek! ach, i minister nareszcie!“ i wybiegła na spotkanie rumianego Józia Padniewskiego.

— Zjawił się mąż pani — urągliwie odezwał się Szydłowski. — Jak w melodramacie musi pani wybierać między bogactwem i ubóstwem, między prawdą i fałszem, martwą literą i życiem... a że pani woli bogactwo... pójdę już, — zakończył beznadziejnie.

— Niech pan zostanie — prosiła, patrząc w jego złe oczy.

— To pani zmieniała jednak zdanie?! — zawołał tak głośno, że Sawa z niepokojem obejrzał się na siostrę. Zmierzyła przepaść, w którą miała skoczyć na jego rozkaz. Ach, gdybyż nie było w niej onej obcej i wrogiej woli i wiedzy, gdybyż on mógł zabrać ją bez woli jej i wiedzy, jak dziecko z płonącego domu.

— Nie, panie, nie zmieniłam zdania — odpowiedziała pokornie.

Zwiesił głowę. Pukiel ślicznych, młodzieńczych, kędzierzawych włosów opadł mu na pochmurne czoło. Stał chwilę zamyślony, podniósł wzrok, spojrzął na nią boleśnie ździwione oczy... oddalił się, ukłoniwszy się Sawie, który w towarzystwie pani Janickiej spieszył siostrze na ratunek. Oparła się o ścianę, skuliła się jakgdyby z zimna, jak wówczas po spowiedzi przy konfesjonale, zmrużyła na mgnienie oczy i po chwili, opanowawszy wzruszenie, wzięła udział w rozmowie.

Pani Janicka poraz trzeci zadała jej jako przybyłej niedawno z Rosji mnóstwo naiwnych pytań w sprawie Felusia, najmłodszego syna zaginionego w Rosji, następnie była mowa o tańczącej po dancingach Lolitce i dzielnej córce jej, która utrzymywała matkę z udzielanych żydówkom lekcyj angielskiego, o taniej kuchni dla inteligencji. Inia zgodziła się objąć dyżur w kuchni.

— Może nauczę się pracować i cierpieć — szepnęła gorzkimi ustami, gdy oddalił się Sawa. — Podziwiam hart pani... że po takich strasznych ciosach... ja w nieszczęściu staję się złą, samolubną.

Pani Janicka podniosła ze zdziwieniem na nią niebieskie, żywe, młode mimo wyplakanych łez i osiwiałych włosów oczy.

— Pani nie zna jeszcze nieszczęścia.

— Każdy ma inną miarę, proszę pani.

— Ach tak! Ale niedola nie pyta nas o naszą miarę... Moja jest mała i skąpa. Pani chwali mój hart. Nie mam hartu, droga pani — wyznała nieszczęśliwa matka. — Gdybym nie podtrzymywała w sobie głupiej nadziei, że Feluś żyje, że wróci, że świat kiedyś uzna jego genjusz malarski, nie umiałabym żyć. Nie dorosłam do mego nieszczęścia teraźniejszego, ani do szczęścia, które było. Nazywano mnie trzpiotką. Przeżyłam puste, małe życie, zajęta fatalaszkami — trzepała. — I takich doczekałam się synów! Z wielkiej boleści rodzą się podobno wielkie czyny. Ja na wielką boleść zdobyć się nie potrafię, dopłynęłam tylko do tamtego brzegu.

— Cóż jest na tamtym brzegu? Cierpienie, niedola, żaloba.

— Na tamtym brzegu, na tamtym brzegu — młode, żywe oczy poszukały lustra. — Przedewszystkiem zanim dotarłam tam, zgubiłam siebie po drodze, to jest wielki zysk, wielki zysk, proszę pani! wówczas odkryłam wielki szeroki świat... a może ten sam, co tu, tylko widziany z innej strony.

Pani Janicka rzuciła ważne słowa prędko i niedbale, jak gdyby mowa była o modach.

Sawa przerwał paniom rozmowę, która zaczęła być zajmującą, zabrał siostrę do samochodu, zawiózł w Aleje na spacer. Nie dotykał drażliwego tematu. Trzymając siostrę za rękę, omawiał szczegóły rautu na cześć znakomitego cudzoziemca Mortimera.

Wśród pogodnych niebios nad Łazienkami tkwił długi, podobny do ryby szaro-siny obłok, posępny i martwy, ten sam zapewne, który płynął niedawno jak złota sztaba.

— Czemu? Czemu? — wrywała się skarga. Na kogo? Na życie, na siebie? Nie dorosłam do nieszczęścia ani do szczęścia — powtórzyła słowa nieszczęśliwej matki. — Trzeba dopłynąć do tamtego brzegu, zgubić siebie po drodze, odkryć ten nowy jakiś świat... To jest zapewne owa głębia, o której pan Andrzej... Na tamtym brzegu... I już nigdy dla siebie, nigdy radości... A mogło by być na tym tu brzegu proste, spokojne, szczęśliwe życie... Kto zawinił? Nie wiedziała, ale coś było w nieporządku, ktoś tu zawinił. Gdy była z nim i słuchała gwałtownej mowy jego, nie miała żadnych

wątpliwości, widziała tylko jedną drogę przed sobą i odczuwała obecność owej cudzej, wrogiej, rządzącej nią woli, której musiała ulegać i dlatego słowem stanowczem rozstrzygnęła, teraz zaś nasuwały się wątpliwości, ogarniała ją niemoc, żal bez granic, tęsknota.

— Urządzimy dożynki, damy mu wieś, bo ma przesyt urbanizmu — rozprawiał Sawa, zapalając się coraz bardziej do swego projektu.

XIII.

Po poniedziałkowym przyjęciu u Dołżeckich, w świecie rozeszła się sensacyjna wiadomość o romansie Inii Padniewskiej z niejakim Szydłowskim, który okazał się niebezpiecznym bolszewikiem i został na jakimś wiecu publicznie zdemaskowany przez Choroszewskiego.

Wrażliwy na opinię świata pan Ksawery zaprosił telefonicznie siostrę do siebie. Inia stawiała się natychmiast. W gabinecie zastała znanego ziemianina Grodowskiego i prezesa Karlińskiego, o którym ktoś powiedział, że cierpiał za dwa grosze a kocha miliony.

Wskazawszy siostrze świętą Genowefę na ścianie z fresku Puvis de Chavanne, pan Ksawery kończył rozmowę z gośćmi t. j. usiłował ich dla jakiejś sprawy pozyskać.

— Polecam dyskrecji panów wiadomość najważniejszą. Mortimer nie powiedział wprawdzie wyraźnie — obito się o uszy Inii. Martwa jak maska, zużyta twarz Karlińskiego, miała wyraz poważnego skupienia ale w zmrużonych oczach krył się uśmiech.

Grodowski uprzejmie potakiwał piękną białą głową, jakgdyby zgadzał się ze wszyst-

kiem, wkońcu krótko, zwięźle, autorytatywnie umotywował odpowiedź odmowną. „Sami z siebie, z soli, z roli, z tego co boli, ale nie z cudzej łaski. Stać nas samych na budowę i naprawę. Obca opieka źle się zapisała w dziejach — tłómaczył i znać było, że on zdania raz wypowiedzianego nie cofnie. Na obliczu prezesa tkwiła ta sama maska powagi i w oczach ten sam pobłażliwy uśmiech, z którym słuchał przed chwilą naiwnych argumentów gospodarza. Siemieniecki, który nie umiał i nie lubił słuchać, ziewnął kilka razy znudzony i z czułością spoglądał na siostrę. Była blada, miała troskę na czole, mrużyła lekko oczy w zamyśleniu. Coś ją trapiło.

— Karlińskiemu się nie dziwię — mówił po wyjściu gościa. — On jest od galówek patryjotycznych i napychania kabzy ale po Grodowskim spodziewałem się więcej. Grodowskiego trzeba opisać, wyrzeźbić, sportretować. Jest piękny, rozumny, cnotliwy. Gdy ojczyzna była w niebezpieczeństwie, pierwszy mimo wieku poszedł na front. Co prawda to i jego szpecą trzy polskie wady: pycha, zaściankowość i nudzianstwo... Jak ci ładnie w tym kapeluszu! Dobrze wybrałem. Zdejm go na chwilę. Doskonale się czeszesz! — zmienił niespodziewanie swoim zwyczajem kierunek myśli i temat. — Śliczne masz ręce, szlachetne i spokojne ale dlaczego jesteś tak zdenerwowana? Usiądźmy teraz w „salon caré“. Podle mi i obco wśród czerwonych pluszów i secesji! — wskazał meble dokoła — Wyspiański, trochę fotografij i dużo wspomnień!...

Przypatrzyła się rudej głowie młodego żyda, przeniosła wzrok na św. Genowefę, którą pokochali w Paryżu przed laty, pewnej wiosny. Bardzo odległymi stały się tamte wspomnienia! Dlaczego ona nie odczuwa dziś piękna? — Zaniepokoiła się. — Skąd to stępienie? Czyżby szczęście było nieodzownym warunkiem rozumienia istoty rzeczy. Jakże jej daleko do tamtego brzegu, na którym pani Janicka znalazła spokój. Nie przepłynie nigdy głębiny...

— Wczoraj na koncercie stały mi wciąż przed oczami nasze lipy w Siemieńczycach, tamte trzy wprost werandy i dalekie nieśmiatki nad nimi gwiazdy. Czy nie masz wrażenia, Inuś, że prawdziwe życie było tam w Siemieńczycach wśród własnych drzew i łąków i że minęło na zawsze.

Dumała chwilę. Ogarnęła myślą przeszłość, tak bardzo już obcą.

Mnie się zdaje, że prawdziwe życie zaczęłam dopiero na wygnaniu i teraz tu — odparła po chwili — wówczas byłam panną na wydaniu.

Pan Ksawery, który dlatego zazwyczaj nudził się między ludźmi, że zgadywał myśli, znał na pamięć wyrażenia i styl każdego przedstawiciela swojej warstwy, nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Spojrzał siostrze bystro w oczy i biorąc ją za rękę, rzekł cicho:

— Gadają o tobie niestworzone rzeczy, Iniu... że kochasz się w jakimś bolszewiku, którego przywiozłaś sobie z Rosji, że ten bolszewik jest szpiegiem, że demoralizował poli-

cję a teraz działa wśród młodzieży i podkopuje autorytet Kościoła... że chodzisz z nim na wiece i wyczyniasz skandale. Uprzedziłem cię, pamiętasz. Poco było afiszować się z tym rozczochranym socjałem u Dołżeckich na oczach całego mondu.

— A ty oczywiście wszystkiemu wierzysz?

Pan Ksawery uznawał tylko półzartobliwy stosunek do życia. Żdziwiło go i zaniepokoiło tragiczne brzmienie głosu siostry.

— Wierzę, bo najwięcej jest prawdy w kłamstwach ludzkich, bo ludzie najmniej kłamią, gdy wypowiadają nieprawdę, bo kłamstwo jest wytworem wyobraźni lub intuicji — strzelił aforyzmem, by nadać rozmowie ton lekki.

— Sawo, albo, albo! — zawołała!

— Poco zaraz tak dramatycznie!...

Błądząc spojrzeniem po czerwonym dachu oficyny, trafiła się, że ona nie rozumie pana Andrzeja, że wszyscy go potępiają i ona także, że niema dla niego miejsca w Polsce.

— Nie boisz się śmieszności? — spytał brat.

— Boję się śmieszności, Sawo — szczerze wyznała.

— No i widzisz!... Gdyby to był książę, nie byłoby obrzydliwych plotek! pocóżeś tak źle wybrała! Gdyby mama wstała z grobu i zobaczyła cię u Dołżeckich, u ekonomówien z Biciejek z ekscentrycznym bolszewikiem — zatrzymał się, zdziwiony gniewnym błyskiem oczu siostry.

— Ten bolszewik, ten szpieg jest z tych, bez których nie byłoby Polski.

Siemieniecki stwierdził z niesmakiem u siostry egzaltację, której dawniej nie było.

— Jesteś stworzona do spokojnego życia, matrona z ciebie, odznaczałaś się zawsze rozsądkiem i taktem, — i nagle ten niesamowity wybryk!... ośmieszają cię, ogadają, ukamionują... spalisz mosty za sobą, znajdziesz się poza światem, poza sferą, do której należysz... Nie zniesiesz wygnania. Zresztą sakrament. My, katolicy powinniśmy twardo stać przy zasadach — prawie surowo zaznaczył pan Ksawery, który odbywał studia w jednym z uniwersytetów katolickich i jedynie sprawy religii traktował nie powierzchownie i nie żartobliwie.

— Myślałam, że ty mi pomożesz, doradzisz, ale ty z moralami...

Nisko pochyliła głowę, jak kiedy płakała w dzieciństwie. Łzy długo wstrzymywane polały się strumieniem. Szukała w torebce chustki do nosa. Obtarłszy łzy, wyprostowała się i znowu płakała.

— Dlaczego nie wolno mi kochać? — żaliła się. — Wysłam za mąż bez miłości, nie rozumiałam małżeństwa. Bóg nie dał nam dzieci. Józek, odkąd powiedziałam mu, że moje bogactwa przepadły, żałuje mi każdego grosza... Stworzona jestem do kochania, to jedno potrafię. Chciałabym mieć proste, spokojne życie, trochę ciepła i serca...

Brat objął, przytulił siostrę.

— Nie chciałem sprawić ci przykrości, Inieczko... Ale zawrzało w Warszawie, tyle napłotkowali... Nawet ten macher Choroszewski był

tu u mnie, by wpałkować mi jakieś place pod Radomiem, a jednocześnie pozwolił sobie ostrzec mnie i zwrócić uwagę na twoje zachowanie się. Sam zaś zbiera dokumenty, dowody.

— Dowody czego? To wszystko jest fałsz i podłość! — skoczyła naraz.

— Ty musisz go obronić, ująć się za nim... ty byłeś zawsze szlachetny i dobry... weź go w obronę!

— Jakże obronię, kiedy są poszlaki.

— Niema, nie może być żadnych poszlak!... nie może być!... skądże by ten, który pierwszy poszedł walczyć... a jeśli ty nie chcesz, ja sama pójdę do redakcji, do ministrów... ogłoszę w gazetach.

— Nie warto, Inusiu, nie warto — uspakajaj siostrę — ani redakcje, ani twoje ministery... nie znasz chyba ludzi, świata.

Błądziła znowu wzrokiem po nudnym czerwonym dachu oficyny, który błyszczał po deszczu, ogarnęło ją uczucie beznadziejności. — I brat był przeciwko niej i kościół, świat, wszystko i wszyscy, nawet on... Nie było już wyjścia, odkąd ludzie się dowiedzieli i wmieszali... Wezmą ich na języki, nie dadzą spokoju... — Gdyby nie rozpoczynał walki... siedział cicho... Teraz trzeba wybrać między światem a nim.

— Jemu nie pomożesz, a siebie utopisz. Poproś go, by wyjechał z Warszawy i ukrył się w głuszy — doradzał brat — niech o nim przestaną gadać.

— Gdyby wszyscy przeciwko niemu, cała Polska, nigdy nie uwierzę... A im bardziej go prześladują, tem mi jest droższy...

Sawa pieszczotliwie uderzył ją po ręce.

— Pamiętasz stryja Onufrego? Brał ciebie na kolana, gdy przybiegłaś ze skargą i mówił: zapomnij. I umiałaś wówczas zapomnieć... — Dziś nie potrafisz... Co? Kochasz?

— Kocham — odparła z prostotą, patrząc pełnemi łez oczami na brata.

— Ciężki wybrałaś sobie kawałek chleba. — Cierpieć, kochać, harować. Są łatwiejsze farchy. Cóż ci pomogę, siostrzyczko?... „Trzymajmy się, nie dajmy się“, jak mawiał stary Apałowicz. Tragedjom miłosnym zawdzięczamy arcydzieła literatury i sztuki, wzloty mistyczne, natomiast miłości szczęśliwej — białe zęby Sawy błysnęły w uśmiechu — domy dla podrzutków, albo filiterskie otyłości. Wolę już, byś cierpiała, Iniu — swoim zwyczajem żartował Siemieniecki.

— Powiesz mi, że mam męża, dom, że Kościół nie zna rozwodów — przerwała mu — to samo mówi ksiądz. Ale naucz mnie, jak mam żyć w tym moim domu z Józkiem. Każdy musi coś kochać. Ty lubisz swoją porcelanę, memorjały, wielką politykę, świat... Gdybyż było dziecko! Nie mam powołania na siostrę miłosierdzia, na społecznicę. A w pustce nie potrafię. Wiem, sakrament... Błuźnię, ale przynajmniej raz wyznam wszystko szczerze... Nie mogę znieść fałszu pożycia z człowiekiem obcym, wstręt mam do siebie... małżeństwo nie powinno być loteryją... Czy mam pokutować wiecznie za coup de tete... Ojciec nie pochwalał, mama nie chciała Józka. Uparłam się, bo

wydał mi się prosty i szczerzy. Sądziłam, że on jeden nie dla posagu. Nie znalazłam uczucia. Pokazało się, że ani on, ani ja. Jesteśmy sobie obcy, on się pociesza w towarzystwie Irki, sama widziałam czułą scenę. Jemu wszystko wolno. Jemu nie przeszkadza ani sakrament, ani szóste przykazanie. Kościół go nie potępia, a ludzie nawet pochwalą. Ale ja z nim nie wytrzymam, nie wytrzymam tego życia. Nie chcę sukien jego ani łaski. Muszę zacząć żyć i pracować.

Pan Ksawery gładził rękę siostry i uśmiechał się.

— Z jakiej to książki, Iniu?

— Nie jest to z książki... Zmieniłam się... przejrzałam.

— Napisz tedy sama powieść... będzie ładna i budująca, lecz nie rób prób. Należymy do kasty, której zadaniem i przywilejem — wykwintne próżnowanie. To jedno potrafimy i to jest także potrzebne. Wyobraź sobie miasto samych wyrobników o twardych rękach i czarnych myślach. Miękkie dłonie, białe subtelne myśli idą zwykle w parze.

Nie słuchała brata.

— Umrę śmiercią głodową.

— Jak ty dosadnie wyrażasz się! Nie umrzesz. Stworzysz sobie jak ja, jak większość ludzi ścisk zajęć, wymyślisz sobie jakąś porcelanę. Są komitety dobroczynne, organizacje kobiet, różne stowarzyszenia.

— Trzeba mi na głębinę, Sawo, na tamten brzeg.

Pan Ksawery spojrział w rozszalone, drogie tak dobrze znane mu oczy siostry. Jakże on mało znał ją i rozumiał dziś!

— Na głębinię trzeba umieć pływać. Czyś ty dość mocna?

— A właśnie, że nie jestem mocna.

Była chwila milczenia. Pan Ksawery przesunął wazon z niebieską hortensją, który stał niezupełnie pośrodku okropnego oblepionego fałszywymi bronzami stołu.

— Ta uwaga moja jest zupełnie zbyteczna i niewłaściwa, lecz wszystko tak się zmieniło — zaczął z zakłopotaniem — czasy są paskudne. My mężczyźni byliśmy zawsze obrzydliwi, ale przynajmniej kobiety dawniej — płątał się, zmieszany coraz bardziej. Widzisz, gdyby na świecie nie było takich dusz, takich istnień — wskazał św. Genowefę na ścianie — kobiet czystych, nie warto byłoby chodzić po świecie — ścisnął mocno palce siostry. Przypomnę tobie matkę... przeżyła swoją balladę z tym swoim markizem, utopiła uczucie w muzyce. A ciotka Flora, pamiętasz, jak mama ją wyłala... ostrzegam, byś nie zechciała naśladować ciotki Flory.

Inia spłonęła ze wstydu, w którym kryła się otucha i nadzieja. Grzech, przed którym brat ostrzegał, o który posądzał ją, grzech, dawniej daleki, nieprawdopodobny, niedostępny wydał się naraz dostępnym, mniej potwornym, właśnie dlatego, że brat przed nim ostrzegał.

— Gdybyś wiedziała, jak ludzie plotkują na twoje konto.

— A ty oczywiście!

— Czy zdajesz sobie sprawę, jaki gotujesz sobie los, że kopiesz przepaść. Mówiłem ci już, nie zniesiesz wygnania, surowego klimatu, poniewierki, biedy. My wszyscy — z ciepłarni. Uśniesz, zmarniejesz w nowem środowisku. Korzonki zostaną tam, gdzie wyrosłaś. Za wiele stawiasz na jedną kartę. Panie nasze nieraz zrywają owoce zakazane, ale z zachowaniem dobrych form i pozorów, wy zaś uderzyliście we wszystkie dzwony. Niechże ten twój przyjaciel popiera Ligę Narodów, jeśli jest pacyfistą, ale pogo atakuje Kościół? A ty nie powinnaś afiszować się.

— Cierpieć chcę dla niego i z nim.

— To nie są twoje słowa i myśli, Iniu. — Odziedziczyłaś po ojcu mądry spokój, rozsądek, równowagę.

Pan Ksawery czekał chwilę na odpowiedź.

— I cierpieć nie radzę ci, a tembardziej ośmieszać się. Dziwiłem się, żeś wyszła za Józka za mąż, dziwię się, że zrobiwszy głupstwo, nie chcesz wytrwać do końca — znowu obrócił po swojemu w żart poważną sprawę — pamiętaj, wszystko to już było: wszelkie tragedje, bunty, mody, wszystko było i minęło a Kościół trwa.

— Kościół trwa, ale wiara moja się chwieje. Boję się, że w sercu niema już miejsca na inne uczucia — wyznała — taką już mam naturę.

— Tem większa będzie zasługa.

Pan Ksawery miał już dość głębiny, na którą pociągnęła go siostra.

Utykając lekko, poszedł do biurka i wrócił z zeszytem.

— Przeczytaj to sobie... jutro posyłam do Belwederu i wszystkim posłom — zmienił jeszcze raz temat — Mortimer już przeglądał memorjał i bardzo chwalił. „Polska jako państwo Bałtyckie“... A Grodyński nie chce się zgodzić, by ziemiaństwo urządziło bankiet. Pokażemy mu, że się obejdzie bez Grodyńskiego, bez ziemiaństwa! Przyszło mi na myśl, że wobec dożynkowego tła — zapalając się w miarę mówienia, wtajemniczał siostrę, która uparcie patrzyła na mokry dach oficyny, w plany przyjęcia na cześć Mortimera.

— A po raucie jak nowy Kolumb do Ameryki. Wrócę stamtąd ze złotem i z koroną dla pomazańca, którego nam dała Opatrzność — uśmiechnął się — Audjencja w Belwederze... memorjał, wielka polityka... Mądrzejby było usiąść nad rzeczką Jarosówką i czerpać z koralowego dna garściami różowy żwir, sypać do blaszanego, błękitnego wiaderka... pamiętasz?

Inia pomyślała, że mały Sawa nic się nie zmienił, że dziecinnie przejmuje się drobiazgami a siebie i życie swoje traktuje z odzieniem ironji...

W tej chwili przewidujący Szmelkies przyszedł spytać, czy ma wpuścić prezesa Choroszewskiego.

— Znowu! — zachnął się pan Ksawery — niepodoba mi się ta nagła czułość. Skąd się wziął w rodzinie Choroszewskich taki cha-muś i macher.

Inia wymknęła się tylnem wyjściem. W kuchni dogonił ją brat.

— Przychodził do mnie Żabczyński, wiesz ten z Pracyplonu, pijaniuteńki, prosił o pożyczkę. Odmówiłem, ale możebyś żonie zaniośła — mówił wtykając pieniądze — dopóki mam, daję postawiłem wszystko na jedną kartę, na naftę i na monarchję, albo pułkownik albo nieboszczyk — zakończył rosyjskim przysłowiem — Uszy do góry Iniu!...

XIV.

Pojawienie się w Warszawie zagadkowego Amerykanina Mortimera wywołało mnóstwo najbardziej fantastycznych bajek i domysłów.

Mówiono głośno, że zamorski gość przecho-
wuje w bankach amerykańskich i angielskich
zawrotne miliony dolarów i funtów, że od
dzieciństwa interesował się i kochał Polskę,
że z zachwytu dla autora Trylogji wyuczył się
naszej pięknej mowy, że pragnie przyjąć sta-
wiającemu pierwsze kroki państwu z pomocą.
A jednocześnie opowiadano sobie do ucha, że
cudzoziemiec trzyma się zdala od sfer rządzą-
cych, które nie mają do niego zaufania, że w
poselstwach zagranicznych nazwisko Mortime-
ra jest zgoła nieznane, że gość nie jest ani Ame-
rykaninem ani milionerem, że widywano go
w Polsce i w Rosji przed wojną. Wobec tak
sprzecznych wiadomości Warszawa podzieliła
się na dwa obozy: entuzjastów i sceptyków,
po salonach toczyły się spory, imię Morti-
mera było na ustach wszystkich. Zresztą wy-
soki, brodaty, w ogromnych okularach z rogu,
w białym z płótna ubraniu i wielkim słomko-
wym kapeluszu cudzoziemiec, zwracał na sie-
bie uwagę już samą powierzchownością i u-

biorem. Posiadał pozatem wyjątkowy dar działania na wyobraźnię mas i jednania sobie serc.

Przyjechał z całym sztabem sekretarzy, z psami, papugami, z kotem i wiewiórką, trzema budzącymi podziw samochodami, najął pół piętą w hotelu, a następnie wspaniałą apartament na Mazowieckiej, żył zaś ascetycznie, całe dni spędzał na ulicy w lokalach publicznych, na przedmieściach, nie bywał nigdzie i nie przyjmował prawie nikogo, nie udzielał zupełnie wywiadów, mówił wogóle mało, ale bardzo hojnie szafował pieniędzmi. Gazety codziennie niemal drukowały podziękowania instytucyj dobroczynnych za hojne ofiary, złożone przez cudzoziemca, oraz powtarzały rzekomo autentyczne, nadzwyczaj pochlebne znakomitego gościa aforyzmy o Polsce, w której podobało mu się wszystko: lekki, iście francuski dowcip, szyk kobiet, kuchnia, gościnność ludu. „Wy jesteście bliżej przyrody i prawdy — czytano w Kurjerze — Wy mieszkacie na ziemi i jak Anteusz czerpicie z niej moc, my zaś nudzimy się na 20-tym pięttrze drapacza cywilizacji i niedaleki jest dzień, w którym wraz z naszą „windą“ elektryczną polecimy na dół i rozbijemy sobie łeb. U nas jest zmierzch i uwiąd — u was — świt, młoda tężyzna. Zachód oddawna wyczerpał się, Rosja, nie zbudziwszy się jeszcze do życia, umiera jak dziecko, stoczone przez przymiot, teraz kolej na was, których los postawił na pograniczu między Zachodem i Wschodem, uczynił „Przedmurzem“...

Uwagi powyższe zamknęły na razie usta sceptykom, tylko Grodyński uparł się i nie dał firmy swojej na zaprojektowany przez pana Ksawerego bankiet. Oburzony odmową Grodyńskiego, Siemieniecki postanowił uczcić znakomitego gościa rautem, grono entuzjastek z Anią Łuszczyńską na czele uchwaliło na zebraniu jednej z organizacyj kobiecych ofiarować przyjacielowi narodu cenny dar. Zanim wybrano upominek, do mieszkania na Mazowieckiej zaczęły wędrować paki z wędlinami i starką, makaty, stare zbroje. Amerykanin, gdy zjawiali się goście z darami, odwracał się podobno do okna, by ukryć wzruszenie, i mruzczał pod nosem: „niema jak złote serca polskie!“ Ale mimo miłości do przybranej ojczyzny unikał w dalszym ciągu zetknięcia się ze społeczeństwem, na wzmiankę zaś o raucie zagroził natychmiastowym wyjazdem i dopiero, gdy zapewniono go, że raut będzie prywatny i u pani Ini Padniewskiej, której nazwisko jakgdyby nie było mu obcem, uległ prośbom i zaproszenie przyjął.

Od owej chwili Sawa Siemieniecki, odłożywszy na bok memorjał bałtycki i wszelkie inne sprawy, zabrał się do wykonania swoich „stylowych“, dziwacznych, zdaniem siostry, pomysłów.

— Zechciej mnie zrozumieć — gniewał się, gdy siostra wyrażała wątpliwości — ma być wszystko tak, jak gdybyśmy przyjmowali w Siemieńczycach. Trzeba znudzonemu hypercywilizacją i urbanizmem miliardderowi pokazać patryjarchalny dwór, złote święto dożynkowe.

Urządzenie dożynek w czerwcu w Warszawie, na ulicy Szopena nastąpiło niewątpliwie niemało trudności, ale organizator wszystko pokonał z pomocą Ani i paru innych zapalonych zwolenników ojczyzny Wilsona.

— Zapamiętaj to sobie — powtarzał siostrze w wilję rautu. — Na dole — Ania z chórem dziewczynek, dalej — Księżacy, u drzwi — Krakusi i Krakowianka podadzą chleb i sól, poczem Kujawianki wręczą wieniec, wreszcie husarzy. Ja będę w stroju polskim. Ninka zaśpiewa parę pieśni ludowych, na stole — plaster miodu, dwa snopki i bławatki, do herbaty — toasty. Zjawię się jutro z Wodeckim i Anią o 7-mej rano...

Tymczasem nazajutrz od samego rana zaczęło się rwać, psuć, zbierać na burzę. Złodziej — oczywiście domowy — wykradł kilkanaście butelek najlepszego wina i starki, wykrzyczana przez Józka ciotka płakała... — Księżna Porycka, urażona lekceważeniem Mortimera, który nie złożył jej wizyty, odesłała zaproszenie, sam Mortimer zaczął w ostatniej chwili coś „kręcić“ i coraz bardziej niepokoił pana Ksawerego swemi narowami. Józek obudził się z fluksją, wstał wściekły i nawet zwrócił się do zajętego oglądaniem kilimów szwagra z prośbą o odwołanie zebrania.

Sawa postukał tylko palcem w czoło.

— A gdyby jedno z nas umarło!... — sarknął Józek.

— Jeżeli mi obiecujesz umrzeć... odwołam... Ale co i naraz ci strzeliło?

Józek nie przyznał się szwagrowi, że tak zwana Tercia, dawna jego kochanka, którą pośądzał o chęć wywołania skandalu, wymogła na nim zaproszenie na raut, żonie zaś szepnął:

— Zaprosiłem twego bolszewika, Suliński zażądał, nie mogłem dygnitarzowi odmówić. Zajęta układaniem bukietu z kwiatów polnych, nie zwróciła zrazu uwagi na słowa męża.

— Zaprosiłem twego kochanka bolszewika — powtórzył.

— Kogo? — rzuciła z roztargnieniem.

— Pytasz, jakbyś miała dwu kochanków!... No, oczywiście, Andrzeja Szydłowskiego... Nie żartuję bynajmniej.

Ale ona już uwierzyła.

— I pocóżes zaprosił? — spytała cicho i lękliwie, bojąc się spłoszyć tę radość.

— Suliński telefonował. Nie śmiałem odmówić... zresztą chciałem zrobić ci przyjemność — mówił, z trudem otwierając usta, z dłonią na policzku.

Od owej chwili przygotowania do rautu nabrały w jej oczach znaczenia i wdzięku, i pomysły Sawy nie wywoływały już krytyki, a niektóre nawet wprawiały w zachwyt, na przykład ogromne w srebrnych wazach bukiety z różowych piwonij. Od owej chwili pracowała z zapalem, brat gderał, że jest pół przytomna, że nie rozumie ani po polsku ani po francusku, że wszystko leci jej z rąk, ona zaś ni stąd ni zowąd popadała w zamyślenie albo zaczynała nucić dawne piosenki i naraz milkła, ogarnięta obawą, że nieszczęście wyniknie ze spotkania Andrzeja z Choroszewskim. Wie-

czorem Ania przysłała córkę stróżki z alarmującą wiadomością o nagłym zaślabnięciu męża.

Inia zostawiła bufet nieurządzony, i pojechała na Świętokrzyską, skąd wróciła do domu tak późno, że zaledwie zdążyła się przebrać. Gdy przed lustrem zapinała perły i podarowaną jej przez teściową staroświecką broszę szmaragdową, przypomniały się dotkliwie słowa pana Andrzeja: czy pani nie pali ta suknia?

W tej, kupionej przez brata mogła się pokazać, perły mężowskie i broszę miała dziś ostatni raz na sobie...

Józek położył jej rękę na ramieniu. Wzdrygnęła się pod tem dotknięciem.

— Oczy błyszczą ci całkiem niesamowicie, twarz płonie, promieniejesz szczęściem, zapewne dlatego, że spodziewasz się swego kochanka.

— Tak — odpowiedziała zuchwale.

Z uderzeniem dziewiątej po wysłuchaniu ostatniego „dziennego“ rozkazu pana Ksawerego, który udał się na Mazowiecką do Mortimera, by go dopilnować i przyprowadzić na raut, oboje gospodarstwo rozpoczęli w pustych, przestronnych, jarząco oświetlonych pokojach akt oczekiwania na gości. Wszystkie okna i drzwi były otwarte, lekko na przeciągu drżały firanki i chwiały się płomienie świec, w lśniących posadzkach odbijał się blask lamp elektrycznych, pachniały kwiaty. Inia przestawiała bukiety, usuwała niepotrzebne wydobyte przez ciotkę kilimy, stawiała w oknie

i, wychyliwszy się, wsłuchiwała się w gwar miasta, które huczało radością. Kilka gwiazd migotało w zielonych niebiosach. Zdało się jej, że ktoś wszedł. Może to on... Przyjdzie zapewne pierwszy. Zatrzymała się przed makatą Sawy. Z uśmiechem na ustach podziwiała stare zbroje, Wyspiańskiego. Długo patrzyła w natchnione, pełne męki oczy młodego żyda. Takie właśnie były oczy pana Andrzeja w niedzielę na wiecu... natchnione i pełne męki. Naraz zdjął ją niepokój. Zaczęła krążyć po salonie, oglądała w lustrze krótką i kusą suknię swoją. Nie mogła przyzwyczać się do nowych mód, wołała przedwojenne. Józek także często zatrzymywał się przed zwierciadłem, badał swoją spuchniętą twarz i poprawiał źle zawiązany krawat.

— Jeżeli przyjdzie twój bolszewik — odezwał się do żony — będzie skandal. Choroszewski obije go i wyrzuci za drzwi... Ma z nim jakieś porachunki... Zabawną masz suknię! To ta od Sawy?

— Tak, od Sawy...

Rozmowę małżeńską przerwało zjawienie się Wodeckiego.

Złożywszy niski ukłon w progu, stary wygaszedł krokiem baletnika, zacierając ręce. Miał na sobie nowiutki frak, wąsy i włosy były świeżo poczernione.

— Jak pan młodnieje! — zauważył Józek.

— Kosmetyka robi postępy, proszę prezesa, siwizna przystoi tylko mądrej głowie — małe, przebiegłe oczka badały uważnie Inię, której nie umiał dotąd rozgryźć. — Nieboszczyk Ła-

zarski, który nosił perukę, zapytał mnie raz na balu w pałacu Błękitnym — zaczął swoim zwyczajem anegdotę.

Nie dokończył, bo pokazała się we drzwiach pani Augustowa Zmorska i w ślad za nią mnóstwo osób naraz... pani Mitka, Choroszewski, pulchna ministrowa Oseńska brzęcząca brelokami, obie siostry Dołżeńskie, hrabina Klementyna Świerżeńska, mądra, ślepa, ciekawa staruszka, Teos, prezydentka Ekspedytek.

— Nie zgadną państwo ile zażądał doróżkarz, wołałam przyjść piechotą — odezwała się swoim grubym gospodarskim głosem pani Augustowa Zmorska i odrazu w salonie pustym jeszcze i sztywnym wytworzył się nastrój swojski.

Hrabina Augustowa Zmorska nie umiała uznać ani ogarnąć powojennych czasów, nie rozumiała spadku wartości pieniędzy, oburzała się na bezczelną zuchwałość zagarniającego cudzą ziemię chłopstwa, piorunowała na tchórzliwą ustępliwość konserwatystów, potępiała nowe tańce, obyczaje i mody. Sama chodziła w długiej czarnej sukni i z pod wzniesionych brwi z osłupieniem patrzyła na wszystko, co się działo w kraju, zwłaszcza na poczynania rządów w Polsce, które znajdowały się, Bóg wie, w czyich rękach i dlatego nie umiały zapobiec reformie rolnej, drożyznie i rewolucji. Przerażona widmem bliskiej ruiny, głodziła siebie i wnuki, nie bywała nigdzie, a do Padniewskich, których prawie nie znała, przyszła zwabiona cudzoziemskim nazwiskiem Mortimera, w nadziei, że ten arcymiljo-

nowy Amerykanin znajdzie dla niej i dla Polski zbawienną radę.

— To samo było we Francji po rewolucji z dodatkiem wieszania na latarni — odpowiedziała kuzynce hrabina Klementyna, która szła z postępem i broniła Polski.

— Ale we Francji po rewolucji znalazł się Napoleon, gdy w Polsce rozlała się demokratyczna powódź — ubolewała Teonia.

— I my będziemy go mieli, zresztą on już przebywa między nami, on już zabrał się do dzieła. — zawołała pani Mitka, wskazując ręką Choroszewskiego.

Twarz działacza, który lubił pochlebstwa, nawet najtańsze z narożnego sklepiku, zajaśniała.

— Josephine musiała gorzkimi łzami opłakać małżonka wielkość i sławę — zjadliwie przypomniała Teonia i zwróciła się do gospodarza z prośbą o pokazanie słynnej już na całą Warszawę galerji obrazów.

Naraz z ulicy przez otwarte okna doleciały wołania o pomoc i gwizd. Teonia, która od czasu wstrząsu nerwowego, wywołanego pięścią męża, nie znosiła wogóle krzyku, wpiła cienkie palce w ramię Józka i, trzęsąc się nerwowo spytała: co teraz będzie?

— Nie wiem pani. Nic nie będzie — burknął.

Ale oboje cofnęli się od okna.

Stłoczona w salonach publiczność zaczynała niecierpliwić i drwić.

„Jakoś nie chcą go nam pokazać!... gdzież jest ten miliard... ten dobroczyńca. Może nie istnieje zupełnie“ — padały coraz częściej ironiczne uwagi i żarty.

Siemieniecki, wspaniały w polskim stroju niczem hetman to spierał się z panią Mitką, która obleciawszy z lornetką w ręce całe mieszkanie, wszystko w niem zganiała, najwięcej samą gospodynię i jej pretensjonalną suknię, to w krótkich słowach zaznajamiał hrabinę Klementynę Świerżeńską z treścią swego „bałtyckiego memorjału“, to rzucał jakiś niespodziewany aforyzm, lub dwuwiersz. •

— Który z nanów odpowie mi na pytanie: z winy nierozumu czy błędów rozumu stało się więcej zła na świecie? — spytał, zasunawszy ręce za pas sztuki.

— Do której z tych dwu kategorii mamy zaliczyć raut dzisiejszy? — zadrwił Jakób Siewierski.

— Jeden tylko serca męką, zamiarami choć nie skutkiem — zaczął Sawa.

Pani Mitka siadła do fortepianu i zaczęła Preludjum Szopena, a przerwawszy po chwili grę, kazała zapalić na kominku i przysunąć tam dwa fotele, żeby koniecznie było „cosy“, poczem dalej śledziła niewiernego kochanka, który tkwił obok pięknej gospodyni.

— Bławatki zwykle kwitną nisko, ale czasami znajdują się za wysoko, jak winogrona — szepnęła przechodząc koło Choroszewskiego. Lecz ten nie dosłyszał zwróconej doń złośliwej przestrogi.

— Jeżeli dziś pokaże się tutaj ten drab — wołał generalskim głosem, który tak działał Ini na nerwy — obiję go jak psa i wyrzucę! Nie śmie pokazywać się między porządnymi

ludźmi. Wiedz o tem, że ja zawsze stanę między tobą a nim.

— Skąd ta opieka? Nie chcę, wypraszam sobie...

— A skąd ten nieszczęsny szal u ciebie. Zastanów się tylko: Siemieniecka, wnuczka kasztelanów i — komunista, bezbożnik, szpieg — gnębił niedawną panią serca swego, zdziwiony nagłem wygaśnięciem pożaru. Tak „step już się nie palił“... Od chwili, gdy spotkał Inię w towarzystwie kochanka, który okrył ją śmiesznością i wstydem, coś z pogardy, którą żywił dla tamtego drania, spłynęło i na nią.

— Poradź mu, by wracał do Moskwy, bo będzie źle. Zniszczę go!

Inia, lubo twarz jej płonęła, uczuła chłód. Lodowata ręka ścisnęła palające serce.

— Mścisz się! Nie wiedziałam, żeś taki podły! — Szarpnięty sznur pereł prysł, posypały się perły. Józek i Choroszewski rzucili się na kolana i pomagali zbierać, lecz nim zdążyli zebrać wszystkie, na dole rozległa się „Rota“, śpiewana przez chór dziewczynek pod przewodem Ani.

Po chwili w drzwiach stanął wysoki pan w ogromnych na olbrzymim nosie okularach. Gość był nie we fraku, lecz w białym letniem ubraniu w tenisowych pantoflach.

„To jest uchybienie, afront, lekceważenie“ — przebiegł w tłumie szept oburzenia.

— A nie mówiłam wam! — tłómaczyła Mitka zdumionym — że raut musi mieć cechę i nastrój rodzinnego zebrania. Sam Mortimer podkreślił to białym garniturem. Zgadłam, o

co mu chodzi. On miał dosyć fet i ceremonij. On jest homesick.

Dwie wiejskie dziewoje w strojach ludowych, Kujawianka i Łowiczanka wręczyły gościowi wieniec śpiewając: „Plon, niesiemy plon“... On zaś stał ze skrzyżowanemi na piersi rękami, apatyczny, jakby nieobecny. Sennym wzrokiem patrzył w przestrzeń... Nie zachwyciły go do-rodne dziewoje, ani rozczuliło niebiesko ubrane chudziątko, które rozplakało się z tremy, nie mogąc dokończyć arcydługiego powitalnego wiersza, ułożonego przez Łuszczynską.

„Polskie kwiaty, polskie aniołki“ mruknął, biorąc z rąk chlapiącego dziecka więź jaskrów i niezapominajek, i miał już wkroczyć do salonu, kiedy Ania nadprogramowo zaintonowała „Boże coś Polskę“. Teonia, przerażona chórem, który nagle huknął, chwyciła Mortimera za ramię, ale ten nie zwrócił uwagi na tę niezastężoną niczem poufałość. Poprawiwszy okulary, badał teraz znudzonym wzrokiem wysokość pieca. Stojących bliżej uderzył wyraz twarzy ospały i udreżony zarazem.

— Nie nacieszyliście się jeszcze własnym domem — zauważył — dlatego robicie tyle hałasu.

Teraz zbliżył się gospodarz i, przypominając się pamięci, zaznaczył w złej francuzczyźnie w imieniu żony i swoim, że oboje są niezmiernie zaszczyceni, szczęśliwi i wdzięczni. Gość spytał o panią domu i powiódł obojętnym wzrokiem po zebranych. Gospodyni nie było, gospodyni znikła jakby zapadła się pod ziemię. Nastąpiła krótka chwila zamie-

szania. Wszyscy czekali na coś. Gość zwiesił swoją ciężką i nudną głowę.

Pan Ksawery wyratował sytuację, zarządziwszy, by wykonano następne numery programu.

Zamiast huzarów, których nie udało się Sawie stworzyć, dwaj weterani 63-go roku odprowadzili znakomitego gościa, przyjaciela narodu do kominka. Tu rozpoczęła się prezentacja. Uprzywilejowani z trudem przeciskali się przez ciżbę ciekawych, którzy stłoczyli się we drzwiach i dokoła owych dwu foteli, które miały wytworzyć nastrój „cosy“. Każdy chciał na własne oczy oglądać miliardera, który przybył na uroczysty raut, wydany na jego cześć, we flanelowym ubraniu i tenisowych pantoflach, z grubym notesem w rękę.

Miljarder trzymał jedną ręką w kieszeni, drugą machinalnie podawał kłaniającym mu się nisko przedstawicielom przemysłu, finansów, nauki, arystokracji i błądził wciąż martwym spojrzeniem po sali.

— Gdzie jest gospodyni? — spytał poraz drugi po angielsku tym razem.

Brat i mąż, Teoś i Mitka, Choroszewski, wszyscy razem zaczęli szukać Ini. Znalaziono ją wreszcie u ciotki w stanie dziwnego rozstroju, przykucniętą na otomanie. Nie chciała za nic iść do salonu, odpowiadała niepowiązanymi zdaniem, wieściła jak Kasandra nieszczęście. Dopiero, kiedy Sawa położył jej rękę na głowie, przemówił żartobliwie do „kuziołeczka uporeczka“, wstała i zgodziła się wyjść do salonu.

— A czy ty wiesz, kto jest ten Mortimer? — zwróciła się jakby ze złością do brata.

— Wiem, że Mortimer jest twoim gościem, że nie wypada gościa obrażać, tembardziej zaś, kiedy to jest cudzoziemiec i możny przyjaciel narodu.

— Byleście nie żalowali tego wszyscy i drogo za możną przyjaźń nie zapłacili — rzuciła zagadkowo i poszła.

— Jak się pani miewa? — bardzo głośno po angielsku odezwał się do niej Mortimer.

— Poznałam pana — szepnęły drżące usta.

— Tem lepiej. Muszę z panią pomówić na osobności, ale nie dziś. Przyjdę jutro o 8-mej.

— Dobrze. Dlaczego pan tu przyjechał? —

— Dowie się pani jutro. Na razie proszę o dyskrecję.

Nikt z otaczających, nawet Sawa i Teoś, którzy stali obok, nie dosłyszeli tego dziwnego djałogu. Zauważono tylko, że gospodyni domu zachowała się wyjątkowo nieuprzejmie, że nie podała wcale ręki znakomitemu gościowi, czem oczywiście wystawiła najgorsze w oczach cudzoziemca świadectwo kobiecie polskiej.

Na szczęście inne panie, zwłaszcza Mitka i Teonia okazały się na wysokości zadania. — Mortimera usadowiono w fotelu, częstowano angielską herbatą i grzankami, zabawiano rozmową na temat literatury angielskiej, sportów, Ligi Narodów, anglosaskich zalet i polskich wad.

Gość, wygodnie rozparty, założywszy nogę na nogę, pił powoli herbatę, niedbale potakiwał albo przerywał bez ceremonji i osadzał

unoszącą się nad Bensonem Teonię trywialnym pytaniem: Kto jest ten ramol? Jak się nazywa ta małpa? Gdy skończył drugą filiżankę, otoczyli go znowu wybitniejsi przedstawiciele społeczeństwa, ojcowie miasta, luminarze. Amerykanin zbywał wszystkich żartami, niezawsze właściwymi. Mimo to każde powiedzenia gościa powtarzano sobie z ust do ust, dopatrując się w każdym z nich dowcipu, ukrytej myśli, znajomości charakterów.

Niektórych zastanowiło, że miliardier zainteresował się profesorem Mściszewskim, że Amerykanin ma wybitnie rosyjski akcent. — Gdy Mortimer ziewnął, Sawa dał znak, by zaczęto muzykalną część wieczoru... Ninka zaśpiewała „Prząśniczki“, otwierając usta tak szeroko, że złośliwa Teonia wyraziła obawę o sztuczne zęby śpiewaczki, następnie cztery pary odtńczyły mazura i oberka.

Tymczasem Inia raz poraz wychodziła do przedpokoju i na schody i tam między laurami czekała na Andrzeja, żeby zatrzymać go i nie dopuścić do spotkania z Choroszewskim i Mortimerem. Zniecierpliwiona kontrolą Teosia, który nie odstępował jej ani na krok, w pewnej chwili wymknęła się do pokoju ciotki i stamtąd, narzuciwszy na siebie starą jej rewerendę, niepostrzeżenie przez kuchnię zeszła na ulicę.

Wszędzie było pełno ludzi. Dzieci z całego podwórza zleciały się do samochodów, ze wszystkich okien gapili się lokatorzy. Nie mając gdzie się ukryć, wróciła do sieni i stanęła w zastawionej krzewami wnęce obok posągu

bogini, trzymającej lampę. Serce biło zrazu głośno i prędko, potem ucichło, zamarło w oczekiwaniu.

Andrzej nie przychodził. Miała wrażenie, że czeka już niezmiernie długo, tak długo, że dalsze oczekiwanie stawało się bezcelowem. Pan Andrzej albo nie przyjdzie zupełnie, albo już jest na górze. Zjawił się zapewne właśnie w owej chwili, gdy ona wymknęła się tylnem wejściem... W salonie nastąpiło już spotkanie dwu przeciwników, Andrzej wyzwiał Choroszewskiego na pojedynek, zdemaskował Amerykanina, a ten straszny człowiek...

Nie umiała przewidzieć, co nastąpi dalej, odgadnąć, skąd się wziął w Warszawie groźny moskiewski prześladowca Hani i Andrzeja, doktor Mojkin, dlaczego został w Warszawie Amerykaninem...

Zamieniła się w słuch...

W bramie rozległy się szybkie kroki, otworzyły się i stuknęły drzwi. Radosna cisza stanęła między nią a tym, który szedł. Zawołała na niego z ukrycia raz i drugi szeptem. Zatrzymał się zdumiony, a poznawszy ją, postąpił ku niej, zdjął kapelusz i palto, które nie wiedzieć poco rzucił na stołek. Był piękny w stroju wieczorowym, porządnie ostrzyżony. Nie mogła oderwać wzroku... Nie widziała go nigdy we fraku. „Jak do ślubu“ — przemknęło jej.

Pragnęła znaleźć się w ramionach jego.

— Pani tu! Pani uciekła z rautu, z domu?!

Objął ją zdziwionem spojrzeniem, zauważywszy zupełnie nieodpowiedni, długi do ziemi, zniszczony płaszcz, z którego wychylała

się ku niemu strojna, świecąca brylantami, wonna. Odczuł poraz pierwszy bliskość i ciepło jej nagiego ciała.

— Czekam na pana.

— Pani czeka tu na mnie! — szepnął onieśmielony bliskością jej ciała, zuchwałością swego wzroku, myśli, żądzą — na mnie?... — Spóźniłem się do Sulińskiego z powodu matki — Suliński nie przyjdzie — tłumaczył nie wiedzieć poco.

— Czekam, bo nie chcę, żeby pan pokazał się na raucie.

— Pani wstydzi się mnie i boi się!

Wbił wzrok w białą - czarną szachownicę płyt, machał rękawiczką.

— A ja się tak cieszyłem — naiwnie wyznał i urwał, bo słowa były tu niepotrzebne i śmieszne. Jedno było istotne: porwać ją w ramiona, zamknąć usta pocałunkiem, zabrać stąd. Ale skoro pani nie życzy sobie i wyrzuca mnie za drzwi — trudna rada — dodał zgryźliwie.

— Nie wyrzucam. Nie mogę. Wytłomaczę jutro. Ma pan wolny wieczór? — usiłowała zapanować nad drżeniem głosu.

— Do 8-mej.

— W takim razie o 6-tej będę w parku Skaryszewskim. A teraz niech pan już idzie — dotknęła lekko ramienia jego.

Nie ucieszyło go wyznaczone na jutro spotkanie.

— Choroszewskiego pani także nie puściła na raut? — spytał, patrząc z bliska w oczy.

Machał wciąż rękawiczką, palił ją oczami. Nie spuściła wzroku. Podziwiała urodę jego i,

znowu przemknęła jej myśl, że on ubrany jest jak do ślubu.

— Co się pan tak dziwnie na mnie patrzy?...

Położyła mu ręce na ramionach.

— Bardzo się pan na mnie gniewa? — zaczęła swobodnie, ale głos był zmieniony, drżący.

Zamiast odpowiedzi wziął ją w objęcia. Gorące, słodkie wargi przyłgnęły do ust.

Na ulicy wynikła zwada czy bójka, policjant rozpedzał gapiów, ktoś biegł szybko krzycząc. Wyrwała się z ramion jego, pomknęła na górę, splecioną, wzburzoną, pełną szczęścia i wstydu. Wsunęła się przez pokój ciotki do jadalni, stamtąd do salonu, stanęła pod piecem. Dyszała jeszcze prędko ze zmęczenia, olśnione oczy widziały świetlistą mgłę, w której niewyraźnie rozplýwały się przedmioty, z daleka jak przez mgłę dochodziły głosy... Serce biło mocno...

Ale po chwili, niby za opadnięciem zasłony ukazał się jej obraz salonu, pełnego gości, jakgdyby w oddaleniu, gdzieś nisko, rzekłbyś na widowni. Mimo oddalenia i przedziału przenikała jasnowidzącym spojrzeniem zjawiska i ludzi na wylot i do sedna, poznawała istotną ich wartość. Ach, poco było tak bać się świata, który leży daleko i nisko! Jakiem prawem ma sądzić ich świat pełen zła i obłudy? Cóż ją obchodzą ci mali, niepotrzebni, dalecy ludzie? Mąż także znajdował się na odległym planie, mimo to, spostrzegłszy Józka, cofnęła się i ukryła się w ciżbie ze swoim szczęściem, żeby mąż go nie widział. Ale zauważył ją w tłumie

amerykański gość, przywitał ruchem ręki i wskazał miejsce obok siebie. Nie poszła.

— Wiesz kto jest Mortimer, którego tak zawzięcie fetujecie — szeptał do ucha Teos — to jest on, książę świata tego, wielki mistrz... Antychryst, ten z Bensona Pan Ziemi... nie odstępuję go oddawna... łączę za nim, śledzę, badam... przypatrz mu się uważnie... prezydentowi rzeczypospolitej jutra... Posiadał podobno całą wiedzę, wszystkie bogactwa ziemi, pragnie uszczęśliwić ród człowieczy. Od młodości pracuje dla dobra ludów, ale te ludy wciąż wierzgają. Naprzykład Rosja. Obalił tron carów a teraz musi uchodzić z krwawej republiki... Jakie ma dziwne oczy? Zgaszone, objętne na wszystko.

Przyjrzała się temu zagadkowemu gościowi. Nie postarzał się i nawet mało się zmienił mimo okularów, których nie miał dawniej. — Dlatego poznała go odrazu. Duża o ordynarnych rysach i rozumnem czole ogolona twarz, którą nazwała niegdyś kacapską, dobrze wrażyła się jej w pamięć. Był jednak inny niż wówczas. Wyglądał znużony, mantwy i nie budził już strachu. Porównałaby go do wypchanego tygrysa o szklanych oczach.

— Mówił Józek, że Suliński miał przyprowadzić tu twego bolszewika. Ale Suliński nie przyszedł. Gdzieżeś przepadała całe pół godziny? — indagował Choroszewski — Mortimer wciąż zapytywał o ciebie i szukał... wpadłś mu w oko... znacie się może oddawna?

— Nie znam żadnego Mortimera — zaprzeczyła kategorycznie. Choroszewski przyglądał

się jej uważnie jak pękniętej cennej porcelanie. Sprawdzał, czy rzeczywiście już nie działa na niego. Nie działała na niego. Czar przysł. Zbyt nisko upadła...

— Co się stało? Dlaczego wciąż znikasz dziś ukrywasz się? Czy zastanowiłaś się nad słowami memi?

— Nie wiem o co ci chodzi? Tyle ich było, tych słów twoich.

„Stało się — myślała z radością — niema już o co walczyć! Niema powrotu. Teraz już tylko stoczyć się jeszcze niżej, zerwać z kłamstwem, z przeszłością, rozpocząć nowe życie“...

— Ostrzegałem i jeszcze raz powtarzam: zerwij z nim!... to człowiek niegodny ciebie. — Wdepczę go w błoto, zniszczę...

— Kocham...

Choroszewski cofnął się o dwa kroki, zmierzyl ją od stóp do głów.

— Ślicznieś sobie wybrała! Winszuję. Ładny numer! Krzyżyk wam na drogę i jazda do Moskwy!

XV.

Józek spał oddawna, poczciwa ciotka pozamykała szafy i pogasiła światła, Inia snuła się jeszcze po pustych pokojach, do których zaglądał księżyc. Jak za dawnych lat, w księżycowe noce w starej lipowej alei, gdy dziecku roiły się cuda i dziwy, przebywała dziś znowu w świecie baśni. Nie istniały już surowe prawa, złe i grzech, nie istniały przeszkody, trudności, nieznośne dociekania rozsądne wahania. Za progiem tego mieszkania czeka na nią szczęście. Jutro opuści na zawsze ten dom i męża, zerwie z rodziną, ze światem, jak niegdyś Rózia. Niema już dla niej innej drogi, nie potrafi walczyć z głosem, z męką, z radością kochania, trzeba Józkowi powiedzieć całą prawdę. Ale naraz w tym świecie baśni ukazywało się posępne widmo dębowego konfesjonału z zakurczonym gzymsikiem, rozlegał się gderliwy trochę zniecierpliwiony głos spowiednika, pochylała się nad nią jak na raucie śmiejąca się zła twarz Choroszewskiego. Przerazona siadała na jakimś najbliższym krześle i, szarpiąc haftowane złotem kłosa na su-

kni, zaczynała trzeźwo zastanawiać się nad przyszłością, szukała ratunku dla niego, dla siebie, dla szczęścia, kajała się, a po chwili, jakkolwiek nie znalazła żadnego ratunku, wspominała wczorajszy słodki grzech, z uśmiechem słuchała rannego szczebiotu wróbli, szeptu marzeń... Cóż stąd, że niema rozwodu... Inni nie czekają na ślub... Są zresztą i rozwody... Ileż dziś między katolikami rozwiedzionych par, ile małżeństw z rozwiedzionymi! Dlaczego tylko oni oboje biją głową o mur? Bo oboje są przedpotopowi, bo sami zamurowali sobie okna i drzwi... Jakże wyśmiałyby ich Jaga! Ale może Bóg przysłał Mojkina za karę? — przeraziła się naraz — Piotr także nie rzuca słów na wiatr... Piotr będzie się mścił. Pan Andrzej musi opuścić Warszawę... Poprosi go. Poto wyznaczyła mu spotkanie... A ona?... może kiedyś także, może dziś jeszcze — marzyła — do Moskwy! — wzdrygnęła się na wspomnienie okropnego żartu Choroszewskiego.

Wczesnym rankiem udała się jak zwykle do kościoła, ale usiadła zdała od konfesjonału. Gdy oczami przebiegała stronicę Naśladowania, cieszył ją przewijający się niekiedy między wierszami pobożnej książki wniosek, że mosty zostały spalone, że weszła na drogę złą, z której niema już powrotu. W domu złapała siebie kilka razy na gorącym uczynku układania planów podróży do Rzymu... szukała już nawet w pamięci nazwiska pewnego monsignora, dobrego znajomego matki, który może im dopomóc w staraniach rozwodowych. Zda-

wało się jej chwilami, że spędza ostatni dzień pod dachem męża... Szybko mijały godziny tego ostatniego dnia. Zapełniła je zwykłymi zajęciami.

Po powrocie z kursów pielęgniarstwa przepisała na maszynie dla teściowej poezje Julji Terpiłowskiej oraz brata memorjał bałtycki dla starej hrabiny Klementyny Świerzeńskiej, Józkowi przyrzadziła płukanie, o które dopominał się oddawna, pomogła ciotce w liczeniu srebra i dodawaniu rachunków z wczorajszego przyjęcia. Ciotka niewiele dziś miała z niej pociechy. Myliła się w rachunkach, nie zainteresowała się ani chorobą Wodeckiej, ani kradzieżą u księdza Paciorkowskiego, była oswiała, chwilami niecierpliwa, szorstka. Kiedy ciotka wróciwszy od telefonu oznajmiła, zasapana z oburzenia, że jutro odbędzie się ślub Kasi Smolińskiej, która dla jakiegoś koryfetytora rzuciła męża i sześcioro dzieci, wzięła występłą Kasię w obronę.

— Czy cioci wiadomo, jaki był jej mąż i ich pożycie? — spytała.

— To niema nic do męża i pożycia.

— A jeżeli ich życie było męką?!

— I mękę trzeba znieść — twardo zawyrokoowała ciotka, szybko palcem licząc rozłożone na stole tuziny widelców.

— Poco znosić mękę, ciociu? Z ludzi złamanych nieszczęściem niewielka pociecha.

Ciotka pozwalała mężczyznom mieć odmienne zdanie, ale nie znosiła opozycji kobiet. Zaciśnięwszy powieki, odparła surowo:

— Bo nie jest człowiekowi danem rozrządzać życiem swoim podług swego widzimisię i kaprysów.

Na tem rozmowa urwała się, gdyż brak było jednej łyżeczki i meble w salonie stały jeszcze bez pokrowców, co wymagało natychmiastowej interwencji ciotki.

Po południu zapakowała kuferek, przebrała się w suknię popielatą, bardziej odpowiednią do podróży, i wychodząc, zabrała do torebki dowód osobisty na wszelki wypadek... Bawiła się marzeniem o ucieczce, o nowem życiu, przewidując rozsądnie, że nie będzie ani ucieczki, ani nowego życia.

Na schodach spotkała Józka. Szedł z taką zaaferowany jak zwykle.

— Na spacer? — zapytał z przekąsem.

— Na spacer.

— Tobie tylko przyjemności w głowie. A ja niczem koń w kieracie! W całej Warszawie niema różowego lubinu. Dziś o 8-mej będziemy z Piotrem radzili — podkreślił znacząco — chce mówić ze mną o tobie i o tym twoim bolszewickim kochanku.

Wyjawić mu wszystko, i tu w tem miejscu rzucić słowo stanowcze, pożegnać na zawsze... zejść im wszystkim z oczu, żeby już nikt nie miał prawa! Skończyć z kłamstwem, nigdy więcej nie chodzić temi schodami, nie widzieć czerwono-szafirowego witrażu, bogini z lampą — wezbrała w niej odwaga. Zamknęła sobie usta krótkim: nie teraz.

Kiedy, wysiadłszy z tramwaju na Pradze, rozpytywała posterunkowego o najbliższą

drogę do parku, namachała na nią z otwartego samochodu parasolką Mitka.

By ukryć się przed wzrokiem ciekawej przyjaciółki, weszła do najbliższego sklepu i dopiero po dłuższej chwili podążyła chyłkiem szybko w stronę parku. Gdy tak spieszyła pustą ulicą w mało znanej dzielnicy, wydawała się sobie samej pod tem niezmiernem niebem bardzo szczęśliwą, bardzo małą i trochę śmieszoną, jak ten oto zadowolony gruby pan w niezbyt wielkim wózku i jego gniady kucyk, pracownicy przebierający w truchciku nogami, jak umorusany chłopak z karmelkiem w brudnych palcach, jak tamte dalekie domy z czerwonej cegły, jak całe miasto pod ogromnem pogodnem niebem.

Parsknęła śmiechem bez powodu i natychmiast pomyślała, że pan Andrzej zarzuciłby jej pustotę. Spiesząc bardzo, weszła do parku. obejrzała się za siebie raz i drugi, szybkim krokiem podążyła dalej długą pustą aleją. Weszło chrzęścił żwir pod lekkimi jej stopami. zapachniało dzieciństwem, gdy ciepły wiatr obwiał jej twarz wilgotnem tchnieniem świeżo skoszonej trawy, sennie chwiały się palające majową zielenią młode drzewa. drżały na piasku wiotkie cienie gałęzi. Im bliżej było do celu, tem dalszą stawała się kraina baśni, w której nie istniały obawy, przeszkody, rozsądne przestrogi, nieznośne dociekania. Ale do celu wycieczki nie było wcale jeszcze blisko. Umawiając się co do miejsca spotkania, nie zdawała sobie sprawy, że w rozległym parku można było zgubić się i szukać się do rana. —

Przebiegła jedną aleję do połowy, skręciła na prawo, potem na lewo, długo pędziła przed siebie, usiłując dogonić przechodnia, którego wzięła za pana Andrzeja, a dogoniwszy obcego pana, o mało się nie rozpląkała z rozpaczy. I szukała dalej, okrążyła raz i drugi sadzawkę, zawróciła do wyjścia i jeszcze raz w stronę sadzawki. Purpurowa na twarzy i zdyszana, musiała na nielicznych przechodniach robić wrażenie obłąkanej. Stała na chwilę i znowu pobiegnęła naprzód, bo wydało się jej krótkowzrocznym oczom, że tam za kępą świerków na ławce pan Andrzej siedzi pochylony nad książką. Niestety był to rudowłosy student w binoklach, który przygotowywał się zapewne do egzaminu. Usiadła obok pilnego młodzieńca, odpoczywała kilka mgnień, potem znowu błąkała się w kółko to za mostem, dookoła wody, to nad łąką.

Wreszcie w chwili, gdy upadała ze znużenia i gdy postanowiła rozpytać o najbliższą drogę do tramwaju, Andrzej wychylił się nagle z bocznej ścieżki. Był w jasnym ubraniu jak u Dołżeckich. Szedł powoli, spokojny, pewny siebie, prosto na nią, jakgdyby zgoła jej nie szukał, ale tu właśnie w tem miejscu na nią czekał.

Odrązu zapomniała o zmęczeniu. Lekkim, szybkim krokiem niby lotem ptaka w krainie baśni, pomknęła ku niemu i podała mu obie ręce. Ucałowawszy je zatrzymał w dłoni, patrzył w oczy, jak wczoraj zuchwałem spojrzaniem, którem brał ją na własność.

— W tym olbrzymim parku moglibyśmy błądzić do nocy... Miałam już wracać.

— No, ale znaleśliśmy się. Wszystko jest dobrze, co się dobrze kończy — uśmiechnął się niespodzianym, szczerym uśmiechem, który odmładzał jego zgaszoną twarz.

Ocieraa chusteczką skronie.

— Wyglądam jak upiór.

— Dotychczas jeszcze nie. —

— Chodźmy usiąść gdzie, bo ledwo żyję... — skierowała się do najbliższej ławki.

Usiedli, rozglądała się.

— Jak tu młodo i ładnie! Jak odlegle! Widać pan tamte dalekie, dalekie wiejskie chmurki, ciepłe od słońca. ...I brzozy.

Milezał. Jak wczoraj zbyteczną i blahą wydawała się rozmowa. Radością i rozkoszą napaływały go jej uśmiech i głos, ruch ręki, błysk zębów, każde spojrzenie oczu bezbronnych... Nie wyrwie mu się dziś, nie wróci do Józka!

Przerwała milczenie.

— Pamięta pan naszą drogę przez las, koło głazów, którą chodziliśmy na zachód, mówiąc sobie, że idziemy do Polski...

— Pamiętam pani... Jaką drogą pójdziemy teraz?... — palił ją spojrzeniem, od którego tała w niej wola oporu.

— Naznaczyłam panu schadzkię — spróbowała uśmiechnąć się — chcę prosić — głos jej się łamał, płątały się wyrazy — trzeba, żeby pan wyjechał z Warszawy.

Prośba ta wydała mu się tak nieprawdopodobną, że nie wziął jej na serjo.

— Dlaczegoż to pani każe mi wyjechać? — spytał niedbale.

— Zbyt dużo pan ma tu wrogów. Grozi panu niebezpieczeństwo...

— To właśnie dlatego nie wolno mi zwać — zaśmiał się.

Była chwila milczenia, a podczas tego krótkiego mgnienia jakby jeszcze raz zaczęła się w niej walka. Spojrzała na silne, czerwone o nabrzmiałych żyłach mocno splecione ręce, pragnęła znaleźć się we władzy tych silnych rąk.

— Trzeba zwać. I trzeba raz wreszcie zamknąć ludziom usta, skończyć z tym bolszewizmem. Dla mnie pan to zrobi. Nigdy jeszcze o nic nie prosiłam pana.

— A pani zostanie tu, u męża! — wybuchł.

— Tak, to jest niekoniecznie... wyjadę na lato.

— Pani musi wybrać między nim a mną! — zawołał.

Tyle długich szczęśliwych godzin przebyła w kraju baśni, zabrała nawet z sobą paszport, teraz zaś powiedziała twardo.

— Pan wie, że to niemożliwe, że oddawna wybrałam.

Porwał się z ławki.

— Dlaczego niemożliwe? Kogo pani wybrała? Józka?!

— Wybrałam uczciwość — odparła po chwili z wahaniem. — Nieraz już o tem była mowa, czy mam jeszcze powtórzyć? Religji nie zmienię, nie wyszachruje sobie rozwodu. Taka jest moja prawda, panie — tłumaczyła niechętnie,

powtarzając cudze, surowe, narzucone jej słowa.

Posłała wzrok ku chmurom. Były teraz zimne, nieprzychylnie.

— Prawda martwej litery, biernego ślepego posłuszeństwa, przesada, pedantyzm — pochwylił z rozdrażnieniem — człowiek przez tyle wieków dążył do wyzwolenia, walczył o prawo wolnej myśli, o prawo życia, człowiek we własnym sumieniu ma nieomylny sprawdzian czynów.

— Ani pana nie przekonam, ani z Kościołem nie chcę walczyć...

Wrócił do ławki, usiadł nieco dalej od niej. Siedział pochmurny.

— Jest prawda szczęścia.

— I jest podobno prawda cierpienia na tym brzegu — dodała.

Rysowała łaską jego na piasku jakieś wyrazy i znaki.

— Nie zeszliliśmy się tutaj dla dyskusji filozoficznej. My wogóle zawiele rozprawiamy.

Kreśliła dalej łaską na piasku.

— Sądziłem, że od wczoraj narodziło się nam nowe proste życie bez problemów i udręczeń — zaczął — proste szczęście, tymczasem pani jednym słowem przekreśliła!

— Pan mówi wciąż o prawie do szczęścia — przerwała — jakgdyby szczęście zależało tylko od nas... rosło i kwitło na miedzach. Może są sprawy ważniejsze i świętsze niż szczęście osobiste.

Zaśmiał się jakoś sztucznie.

— Pani zaś wciąż o cierpieniu. Cierpienie jest błędem, nieporozumieniem. Tyle razy uczyła mnie pani, że człowiek musi zakwitnąć. Dała mi pani poznać radość — mówił gorąco, porywczco, pochylony ku niej, a każde słowo jego było żywe, doskonałe, każde chciałaby zamknąć w sercu. — Dotychczas umiałem tylko pytać, dociekać. Po raz pierwszy nie waham się, nie pytam, wiem, żądam... I pani jednym słowem przekreśla.

— Czyżby to moje jedno słowo mogło przekreślić?

— Pani dopomogła mi w odnalezieniu siebie i życia, zielonego, szumiącego drzewa...

— Ja?

— Gdym trapił się po swojemu różnemi okropnościami świata, wskazała mi pani rój muszek płasających w promieniu słońca.

Mierzyła smutnym wzrokiem długie przedachodnie cienie świerków na trawniku.

— Dziś już bym nie wskazała muszek płasających w słońcu. Dojrzałam, poznałam tamten brzeg.

— Ja także, pani. Na tamtym brzegu ludzie silni walczą o piękno, radość i wartość życia... I wiem już, że ani na tym brzegu, ani na tamtym bez pani żyć nie potrafię — wyznał z prostotą najszczerzą prawdę.

Ogarnęło ją wzruszenie. Pochyliła się, znowu rysowała łaską na piasku.

— Ułożyłem cały plan — zaczął.

— Jakże wygląda ten pański plan?

— Najpierw podróż do Rzymu, potem praca na prowincji.

Spotkały się ich spojrzenia. Zmieszali się oboje i spuścili jednocześnie oczy.

Podróż do Rzymu... Szukała dziś rano w pamięci nazwiska owego monsignora, któryby mógł im pomóc w staraniach rozwodowych.

Przysunął się bliżej, wziął za rękę...

— A gdybym powiedział, że nie usłucham, że zmuszę panią, gdybym prosić zaczął — szeptał pochylając się.

Westchnęła. Nie walczyć, poddać się, upaść w ramiona jego jak wczoraj na schodach... I nie wrócić do Józka, do ciotki... Poto przecież wzięła dowód osobisty, suknię podróżną, zapakowała kuferek. Świat o nich zapomni, Sawa się udobrucha, coś dla niej obmyśli, Bóg przebaczy... Nie mogła. Mimo że cała jej istota wołała o prawo kochania, nie mogła. Gdy nie była z nim, ogarniały ją wątpliwości, wahała się, podnosił się bunt, ulegała pokusie, ale kiedy on nalegał i od jej rozstrzygnięcia zależało ich szczęście, wówczas nie było wątpliwości, wahania, buntu, wówczas przychodziła w niej do głosu ukryta kędyś na dnie duszy wiedza, zaczynała działać i postanawiać za nią tamta obca narzucająca się jej przemocą wola i widziała tylko jedną drogę.

— To bym powiedziała, żeby pan dla dobra mego... — jęknęła.

— Dobrem nazywa pani ten związek, ten grzech...

— Niech mi pan nie utrudnia życia, które łatwym nie jest.

W oczach jej i głowie było tyle żalości, że zamilkł.

— Dobrze, wyjadę... nie będę się narzucał — rzekł twardo i zgasł, zaciął się w sobie.

Ona także nie miała już nic do powiedzenia.

Nad głową szumiały brzozy, jak w jej dalekim kraju dzieciństwa na szerokich piaszczystych gościńcach.

— Panie, dlaczego my rozstajemy się w gniewie — odezwała się. — Niech mi pan zachowa trochę przyjaźni — wielkie oczy napęłniły się łzami.

— Dobrze, zachowam pani trochę przyjaźni — odparł zimno, unikając jej wzroku.

Brzozy szumiały jak w jej dalekim kraju dzieciństwa na szerokich piaszczystych gościńcach, zięby podawały sobie z drzewa do drzewa z uciechą i zdziwieniem wciąż tę samą radośną wiadomość. Matka mówiła o niej: że jest wesoła jak zięba... comme un pinson...

Przypomniawszy sobie wizytę Mortimera, powstała. Poszli razem do tramwaju. Prowadzili uprzejmie rozmowę o upałach, o księżce Małaczewskiego, obiecał przysłać jej Gandhi'ego i dziennik swój.

Za mostem wysiadł. Gdy tramwaj ruszył, przypomniało się jej naraz nazwisko owego monsignora w Rzymie.

XVII.

Nie zdążyła jeszcze zdjąć kapelusza, poprawić włosów i pudrem ochłodzić twarzy, gdy Wacek solennie oznajmił: „ten pan“. Narzucawszy na prędcę chustkę matki, która miała niby przynosić jej szczęście, pospieszyła do salonu i stanąwszy koło marmurowego stołu, patrząc z niepokojem w drzwi, powtarzała dla dodania sobie odwagi, że Mortimer, doktor Mojkin nie może w Polsce nikomu szkodzić.

Gość wszedł powoli ciężkim krokiem, idąc spozierał w okno, jakgdyby w pokoju nikogo nie było. Miał na sobie ciemne marynarkowe ubranie, czarny krawat artystycznie związany w dużą kokardę, zupełnie nieodpowiedni do jego typu. Inia po wejściu gościa doznała dziwnego uczucia, jakgdyby zawarły się za nią jakieś drzwi, których nie potrafi już otworzyć, jakgdyby ten gość wchłonął w siebie światło dnia i ciepło.

Uczyniło się dokoła niej pusto i zimno.

Nie podając ręki, wskazała miejsce.

— Pani przyjmuje mnie niezbyt uprzejmie. Czy mam się wynieść? — spytał i pochyliwszy głowę, czekał na odpowiedź.

— Może pan zostać.

Usiadł nie na wskazanym przez gospodynię krześle, ale obok niej na ciężkim złoconym fotelu, który sobie przysunął. Z przyzwyczajenia położył notes i ołówek na stole.

Inia zaświeciła elektryczność, choć było jeszcze jasno, i odważnie podniosła wzrok na gościa, by pokonać nierozsądny lęk i przekonać siebie, że w tym starszym panu niema nic nadzwyczajnego, że to jest taki sobie zupełnie zwykły Moskal, ociężały, nudny o twarzy ordynarnej i ospalej, o rozumnem czole. Gość wodził oczami po ścianie, zawieszanej obrazami.

— Czego się pani boi? — spytał niespodzianie — mego dużego nosa? Czerwonej twarzy? Może pani wciąż jeszcze uważa mnie za „karta“.

— Nie boję się pana — wysiliła się na spokój, na sztucznie swobodny ton.

— Czemu więc pani drży i patrzy z osłupieniem? Nie pożeram dzieci, nie polykam kamienic, nie gwałcę kobiet. Dlaczego pani drży? Co pani jest?

— Nie wiem, panie. Nie potrafię tego wyrazić, ale odkąd pan przyszedł, odczuwam dziwny ucisk, jest mi niedobrze — wyznała szczerze.

— Może otworzyć drugie okno, sprowadzić męża, pogotowie?

— Nie trzeba.

— Pani ulega sugestji. Ktoś naopowiadał pani o mnie różnych okropności, ale to dawne dzieje.

— Nie znam żadnych dziejów pana.

— Stare bujdy o djable. Przywołałem niedys za młodych, za głupich lat w nadzwyczaj przykrew sytuacji szatana na pomoc. Skuteczną okazała się djabelska pomoc. I mimo to zupełnie nie wierzę w djabła. Może mnie pani pokropić wodą święconą, nie ulęknię się, zostanę — mówił nudnym głosem.

Była chwila ciszy.

Inia z obawą jeszcze raz podniosła wzrok. „Moskal“ siedział rozparty, krótkie grube palce opalonej ręki leniwie bębniły po marmurze stołu, w niej zaś trwał niesamowity stan ucisku i jakby odrętwienia a zarazem naprężonego oczekiwania jak podczas seansu.

— Co pana sprowadziło do Polski i czemu zawdzięczam wizytę pana? — odezwała się z przymusem, a przykro i obco zabrzmiał jej drżący głos własny.

— Przyjechałem tu dla Hani.

— Dla Hani?... znowu!

— Bo Hania może mnie uzdrowić.

— Nie rozumiem...

— Oczywiście, bo pani jest na tym brzegu, ja zaś znalazłam się na tamtym.

Inia popatrzyła na grube, apatycznie bębniące palce gościa, na wysokie, rozumne jego czoło i uspokoiła siebie uwagą, że warjaci mówią zwykle bardzo prędko i mają gorączkowo błyszczące oczy, tymczasem mowa gościa była wolna, leniwa, oczy zaś — jakby śpiące. Ale co oznaczało wyrażenie: na tamtym brzegu w ustach tego dręczyciela Hani? Co mogło go łączyć z mądrą panią Janicką, która także przemawiała do niej z tamtego brzegu.

— Znalazłem się poza czasem i życiem, poza osobowem istnieniem. Nie mam domu ani ojczyzny — mówił płynnie zabawnym rosyjskim akcentem. — Dopóki bawił się człowiek i oszukiwał siebie, było życie. Ale schowało się już słońce młodości. I wszystko stało się obce i nieprzystępne, obce, nieruchome i martwe — powtórzył z naciskiem — trudno to wytłómaczyć, trzeba tego doznać. Naprzykład pani wydaje mi się martwą, jak fotografia, jak zgaszona lampa.

Żdziwiła się, że ten ocieęzały Moskał tak trafnie określił jej obecny stan.

— Musi pan leczyć nerwy — udzieliła mu na poczekaniu rady.

— Nerwy, proszę pani, mam w porządku i rozum także. Błąd, jeżeli wogóle zaszła omyłka, tkwi gdzieindziej. Szukam w Warszawie lekarstwa.

— I zaczął pan od urzędzenia szopki — napadła na gościa, usiłując otrząsnąć się, przewyciężyć odrętwienie, wydobyć się z obręczy, która gniotła, z ucisku, z objęć zmory.

— Mało w tem mojej winy. Polacy mają dużo wyobraźni i ogromnie kochają cudzoziemców. Dlatego, znalazłszy się wśród rodaków, robię z siebie Amerykanina. Przywiozłem z sobą kilku sekretarzy, trochę zwierząt, zająłem duży apartament — i odrazu urosła legenda o przyjacielu narodu polskiego, amerykańskim milionerze. Co miałem robić? Dałem się unieść fali entuzjazmu i głupoty. Po tem brat pani wziął mnie w opiekę i kazał

zostać zbawcą. Mam już chwilami dość zaszczytnej roli, którą mi tu narzucono.

— Może pan każdej chwili opuścić Polskę.

— Przybyłem tu po ratunek i właśnie pani musi mi dopomóc — odwrócił się do drzwi, w których pokazał się Wacek.

— Dobrze, dobrze za godzinę! — wyprawił go Amerykanin.

Po wyjściu Wacka Inia znowu doznała wrażenia, że zastrzasnęły się drzwi, których nikt nie zdoła otworzyć.

„Amerykanin“ długą chwilę swoim ciężkim, powolnym krokiem przechadzał się po salonie. Zdawało się Ini, gdy krążył, że to chodzenie trwa już bez końca i nigdy się nie skończy.

— Pani musi mi wskazać miejsce pobytu Hani — rzekł zatrzymując się.

Odetchnęła z ulgą, że nie o Andrzeja chodziło, że Hani nie było w Warszawie.

— Niema jej tu.

— Wiem, proszę pani. Te panie uciekły przedemną z Rosji, a teraz z Warszawy. Szydłowski oczywiście musi znać ich adres, pani zaś Szydłowskiego może dokoła małego palca owinać.

Mortimer usiadł i zdjęwszy okulary, poraz pierwszy, odkąd przyszedł spojrział na Inię. Były to oczy obojętne, zgaszone, nudne, lecz nieruchomy i martwy ich wzrok ciążył i nękał, jak cięży i nęka nuda muru tkwiącego przed oknem mieszkania.

— Nie prześladuję bynajmniej. Szukam lekarstwa.

— Lekarstwa?

— Tak jest, proszę pani — bawił się chwilę okularami. Zazdroszczą mi ludzie szczęścia. — Mam żelazne zdrowie, zebralo się wcale niezły mająteczek, najadłem się do syta miłości, rozgłosu, powodzenia, ale z małą Hanią nie umiem sobie poradzić!

— Dlaczego znowu Hania!

— Sprzykrzyło mi się cudzoziemstwo i bezdomność — zwierzał się dalej, jakgdyby nie dosłyszał pytania. — Jestem właścicielem wielu kamienic i mieszkań, domu nigdy nie miałem. Wdrapałem się na szczyt, teraz chcę na dół, do małości, zatraciłem siebie w ludzkości i złapałem za ogon świnię.

— Świnię pan złapał za ogon? — powtórzyła jakgdyby dla lepszego zapamiętania kiepskiego żartu.

— Wszystko dla ludzkości, nie dla mnie. — Inni znajdują w tem wzniosłem kłamstwie zadowolenie, mnie kłamstwo nie cieszy. — Rozumie mnie pani?

— Rozumiem — niewiedzieć dlaczego powiedziała cicho z przejęciem, choć słowa gościa nie budziły w niej współczucia. Cóż ją obchodziły troski tego ciężkiego, nudnego pana, kiedy ona sama nie umie uporać się z sobą, z panem Andrzejem, z własnem trudnem życiem. A może zatrzymać pana Andrzeja w Warszawie? Zapewne nic mu tu nie grozi. Jeszcze czas — błysnęła nadzieja.

— Badam, oglądam, poznaję, od młodości pracuję nad uszczęśliwieniem ludzkości. Ale naraz pokazało się, że wszystko to bujda, że

za grosz nie kocham ludzkości ani świetlanego jutra — podparł głowę i zamilkł, znużony długą przemową.

— Piszą i mówią ludzie, — ciągnął dalej apatycznie — że piękny jest świat. Inni znowu wielbią wielkiego i dobrego Boga, modlą się, doznają widzeń i objawień. Piąłem się i ja ongi po drabinie Jakóbowej do Boga, rozmawiałem z Nim. Ale pewnego razu w Paryżu na poddaszu zadałem sobie pytanie, czy stary, biały kot, który patrzył z okna sennie mrużącymi się oczami na zgiełkliwy zamęt wielkiego miasta, nie jest Bogiem. Bo albo biały kot jest Bogiem, albo Boga niema zupełnie. Poco ludziom wzniosłe abstrakcje, martwa idea? Żywą była wiara w czasach, gdy czczono kota.

— Poco te głupstwa, panie? — skarciła błuzniercę z oburzeniem, gdy żalność zalewała na myśl, że jeżeli pan Andrzej usłucha i wyjedzie, to drogi ich nie spotkają się nigdy i ona już na zawsze zostanie z Józkiem...

— To nie są brednie, moja pani. Ale pani znowu się boi? Bo oczywiście bierze mnie za diabła — utkwiał w niej mętny wzrok. Nie, pani, nie jestem z rodu szatanów. Diabeł wygląda inaczej. Spotkałem go parę razy. Miał kruczce, przetykane siwizną włosy, czarne zmęczone oczy, sińce pod oczami, spieczone wargi, krawat zawiązany w kokardę o długich końcach, jak u mnie. Raz znowu innego diabła poznałem przy podaniu ręki po zarosniętej miękkim czarnym włosiem dłoni... Widziałem także w pustym kościele Świętego Krzyża zabawę dwu Lucyferków na wąskiej galerijce.

biegnącej wysoko pod sklepieniem. Tak, tak proszę pani, na własne oczy. I czułem wciąż w owej epoce za plecami niewidzialną obecność samego Belzebuba. Dwa lata żyłem w ciągłej trwodze i udręczeniu. A potem wszystko przeszło, wszystko okazało się zabawą intelektu, żadnego nowych dreszczy. I dziś chciałbym, żeby wróciły strach i męka, chciałbym, żeby On był.

— On jest — powiedziała nie dość stanowczo.

— Niema Go. Wiem, że Go niema. ...Byłem księdzem, ale zwątpiłem o prawdziwej obecności...

— To pan był księdzem? — zawołała z przestraszeniem.

— Tak, proszę pani, a gdy osoba duchowna straci wiarę, gdy ten, w czyich rękach opłatek miał codziennie przemieniać się w ciało Boga...

Nastąpiło milczenie. Gość ziewnął, nie zasłaniając ust.

„A jeżeli Boga niema?... — narzuciła się poraz pierwszy zuchwała wątpliwość. — Ludzie cierpią i dręczą się a Boga niema!“

Doznała wzruszenia i niepokoju, jakgdyby ziemia zachwiała się pod jej stopami i wielkie groziło jej osobiste niebezpieczeństwo, albo jakgdyby kazano jej zważyć o własnym istnieniu. Nie może być, żeby Boga nie było, bo gdyby Boga nie było... Bo czyżby ogromne świątynie, pełne modlących się, święci, męczennicy, biskupi, całe zastępy wiernych, którzy konali z imieniem Boga na ustach, i wszystkie msze?... Chrystus i wszystko co święte było urojeniem, nie miało sensu? Ale jeżeli

ksiądz, który codziennie konsekrował — nie dokończyła bluźnierczej uwagi, nie chciała wysnuć wniosku... Ale kto jest ten Mojkin? — Może rzeczywiście Antychryst? Może sam djabeł? Ogarnął ją lęk. Otuliła się chustką, przeżegnała się pod chustką, zrobiła znak krzyża w stronę gościa.

— Pani nie przeraziła się mnie, nie ucieka jeszcze odemnie z pokoju, nie dzwoni na służbę?

— Nie panie, zostaję — odparła szorstko, przypatrując się z odrazą szerokiej o grubych, krótkich palcach ręce eks-księdza... „Codziennie we mszy dotykał temi rękami Hostji świętej. Dziś twierdzi, że Boga niema — biegły spłoszone myśli. — Jeżeli Boga niema, poco cierpienie, poco wszystko?“

— Doskonale. Nie przyszedłem tu bynajmniej dla straszenia pani piekłem. Nie wiem wogóle, poco poruszyłem stare dzieje, stare facecje. Bóg, djabeł, szulerka, lata pracy i poniewierki, podróże, zabawy i zawody miłosne, uroda życia, walka z caratem, rewolucyjne przygody w Rosji — wszystko minęło. Żyć byłem wówczas. Dziś wałęsam się niepotrzebnie po świecie — ziewnął znowu. Pani z pewnością nigdy nie zgadnie, jakie mam jedyne pragnienie.

— Nie zgadnę, panie.

— Zaśmiać się z wielkiej radości i plasać w dłonie jak Hania, z Hanią grabić świeżo skoszoną trawę, kłaść na wózek, wozić na kupę... Zmierzyła z niedowierzaniem ciężką postać gościa.

— Pani pomyślała, że to jest poza. Całe życie powodowałem się rozumem i naraz uległem dziwactwu czy manji zupełnie beznadziejnej. Hania bawić się ze mną nie chce... I w tem właśnie cała bieda. Bo ona jedna...

— Dlaczego pan sobie wybrał nieszczęsną Hanię na ofiarę swoich zapałów — przerwała.

— Bo ona dwa razy mnie już uzdrowiła — ożywił się. — Dwa razy, proszę pani stał się cud. Pierwszy raz podczas procesji odpustowej na wsi. Pamiętam, wlokłem się za baldachimem głuchoniemy i martwy, obcy wszystkiemu. I naraz trąciła mnie złotowłosa dziewczynka, na ręku matki roześmiana i wesołemi niebieskimi oczkami zajrzała mi w same źrenice. Wówczas stał się cud. Prąd życia przebiegł po mnie, niby płomień — opowiadał z upodobaniem — porwał mnie wrzask tłumów, przeniknął śpiew dzwonów, otworzyły mi się oczy na piękno. Szczęśliwa to była chwila... Radośnie były nisko w starej drewnianej dzwonnicy zawieszane dzwony, oszalałe z uciechy, upojone śpiewem swoim, zrywając się zda do lotu. Lopotały chorągwie czerwone, zielone i białe. W błękitne niebiosy płynęła z piersi szczęśliwych, otumanionych prostaczków pieśń na cześć i chwałę Pana. Ale krótko trwało rozkoszne mgnienie. Hanię zgubiłem w ciżbie, a gdym zgubił ją, zamarło odrazu życie. Nazajutrz odnalazłem cudowną wskrzesicielkę swoją, osypałem zabawkami, cukierkami. Dziecko siadało mi na kolanach, obejmowało za szyję, prosiło o bajkę — prowadziłem ją za rękę do lasu, zbieraliśmy szy-

szki, grzyby. Spędziłem dwa błogie dni. Nagle Hania znienawidziła mnie, obita, podrapała, oplwała. Wieczorem matka wywiozła ją w niewiadomym kierunku. Odtąd szukałem jej bez przerwy całe trzy lata, szukałem bezskutecznie, aż wreszcie pod Moskwą w zielonej willi o białych oknach nad wodą, w której odbijało się fjołkowe niebo, pani wie zresztą. I znowu na jedno mgnienie, gdy trzymałem ją w objęciach oszołomioną, odzyskałem życie znowu otworzyły mi się oczy na piękno obłoków, odbitych we fjołkowej toni, serce — na radość istnienia... Postanowiłem zabrać ją matce... Poszliśmy do kolei. Naraz Hania zaczęła kasać mi ręce... Alem dowiozł ją pomyslnie do miasta. Dzień cały, jak dzikie zwierzątko przeleżała pod kanapą. Szydłowski wykradł mi ją, być może przy współudziale pani. Błagałem potem matkę. Groziłem, kupić chciałem. Matka obiecała. Uwierzyłem głupiej babie. Ona zaś w nocy uciekła... Ukryła się, jak pani dobrze wiadomo, znowu przy pomocy owego dezertera i szpiega, miłego sercu pani.

Myśli Ini pomknęły daleko, nad ów stawek, w którego toni odbijały się mur z czerwonej cegły i fjołkowe niebo i dwie osiny. I znowu rozżaliła ją myśl, że jeżeli on usłucha i odjedzie, w takim razie jest koniec... naprawdę koniec.

— I pan aż tu przyjechał za niemi?

— Przyjechałem za niemi i odszukam, z pod ziemi wydobędę Hanię.

— One znowu się wymkną.

— Wiem o tem. Dlatego gotów jestem posłubić tę durną babę, która swoim wiecznem chichotaniem działa mi na nerwy. Niech pani ją zawiadomi o moich zamiarach.

Inię porwał naraz po długiem napięciu nerwowem pusty śmiech. Roily się jej różne okropności, tymczasem zamiast krwawej tragedji będą swaty. Przesunął się jak w kinie zabawny obraz: z Głowską, kroczącą do ołtarza pod rękę z tym eks-księdzem miliarderm. Stłumiła śmiech.

— Nie wiem, czy będę miała sposobność, zresztą obrączka ślubna nie wiele tu pomoże. Hania boi się pana.

— Boi się, nienawidzi, z krzykiem, piskiem, z pazurami rzuca się na mnie. Ale ja muszę mieć ją. Stąd projekt ożenienia się z matką. Ale może mi pani coś lepszego doradzi.

Była chwila milczenia.

— Ręce proszę obmyć, proszę przedewszystkiem obmyć bluźniercze ręce — powiedziała dobitnie, powoli.

Mortimer utkwiał w niej zgaszone spojrzenie.

— Ręce moje są względnie czyste — odezwał się po chwili — skruchy nie odczuwam i płakać nie umiem. Zbyt dobrze powodziło mi się w życiu.

— Taki z pana szczęściarz?!

— Może i szczęściarz. Zazdroszczą mi ludzie zdrowia, stosunków z mędracami Syonu, reklamy i rozgłosu, bogactwa. Nazwali mnie w Warszawie niektórzy wielbicielem prezydentem Rzeczypospolitej jutra, powiadają o mnie, że trzymam rękę na pulsie świata, że pracuję

dla lepszego jutra, że toruję drogę przyszłemu człowiekowi. Co za jutro? Ja tkwię w tem jutrze... Co za przysły człowiek? Będzie jeszcze bardziej nieznośnym parwenjuszem, jeszcze bardziej zarozumiałym manjakiem pośpiechu, gigantycznego rozmachu, zwycięstwa nad przyrodą... zresztą poco ja to wszystko pani mówię — skończył niespodziewanie.

Była chwila ciszy. Znużona towarzystwem gościa wsłuchiwała się z ulgą w wesoły hałas miasta, który zdawał się jej głosem życia z tego brzegu. Tak, na tym brzegu były radość, piękno, miłość, walka o szczęście, pan Andrzej, życie, na tamtym — pani Janicka, cierpienie, żaloba, ofiara, rezygnacja i martwa nuda tego okropnego eks-księdza.

Mojkin splótl ogromne ręce na piersi.

— Hania nie jest ładna — ciągnął dalej pozwoli sennym głosem rozwalony w fotelu — Hania jest brzydka, gdy zamyśli się i wydnie blade usteczka, i doprawdy nie pojmuję, skąd ten jakiś czar. Niema na świecie rozkoszy, którąbym się już nie nasycił, ale radości w życiu mojem nie było. Radość może mi dać Hania, gdy obejmie za szyję, pogłaszcze po twarzy, wówczas fjołkowe niebo, odbite w wodzie, szelest listków brzozy, radosny gwar życia...

— I Hania nie da panu radości — twardo i urągliwie rzuciła.

Odkąd porwał ją pusty śmiech, nie odczuwała już obawy i wzięła jakby przewagę nad gościem.

— Pani oczywiście cieszy się, że On nawiedził mnie jak Hjoba i zemścił się.

— Nie jest to zemsta, lecz kara za krew, za łzy, za krzywdy, za bluźnierstwo, za zdradę — wybuchła nagle.

Mortimer spojrział na nią, zdumiony niespodziewanym wybuchem.

— Przedewszystkiem pani grubo przesadza. W życiu mojem nie więcej było krwi, krzywdy, łez niż w przeciętnem życiu tak zwanego porządnego człowieka. W walce o byt silni tłuczają się mięsem słabszych. Niema ani słowa prawdy w krwawych i tajemniczych legendach, które snuły się dokoła mojej osoby w Moskwie... Położyłem niemałe zasługi w walce z caratem. Sązniste nekrologi wyliczą kiedyś wszystko szczegółowo. Nie jeden szczyił by się na mojem miejscu, ja zaś... we mnie zaś pokutują stare księżowskie nałogi. Zdziwi się pani, gdy powiem, że nieraz jeszcze z przyzwyczajenia szukam Tego, pod którego rządami inaczej wyglądałby świat, gdyby On był.

— On jest i już dotknęła pana ręka Jego.

Gość ziewnął.

— Byłem przykładnym księdzem, a zwątpiwszy o Bogu, oddałem życie na usługi ludzkości, ale na starość spadło mi bielmo, złapałem świnię za ogon, zwątpilem o ludzkości i nie mam dokąd iść... Powiedział ktoś, że albo w człowieka trzeba wierzyć, albo w Boga, że gdy niema Boga, człowiek staje się bogiem... — Wiem już, że pani chce wstawić pewne oklepane słóweczko. Ale człowiek prosi pani, nie dorósł do szczęścia, do boskiego szczęścia, człowiek wszystko splugawi ciekawskim intelektem... Nie dam się już nabrać na szumne fra-

zesy... Tak, proszę pani, nie mam dokąd iść... Chyba do Hani po prawdę radości albo do domu Ojca.

Bębnił znowu palcami po marmurze, co niecierpliwiło Inię.

— Spotkałem przed laty w zakładzie dla ośląkanych, gdzie ukrywał się przed policją carską, mistyka, zdrowego zresztą na umyśle. Ten miał wiarę. Wyświechtane, niedorzeczne wyrazy stawały się w ustach jego słowem żywym... Mówił mi głosem dziecka, z wiarą dziecka, że On jest radością i życiem, że każdy może być Synem Bożym w domu Ojca. Widział wszechmoc Bożą w znikomym motyłu i kielkującym ziarnie, a nicość rozumu człowieczego właśnie w dziełach cywilizacji, któremi tak szczyli się ludzkość. Nie udało się mu nawrócić mnie. Potem w Rosji ów miły sercu pani, dezterter i szpieg Szydłowski, zapalił się raz w sporze religijnym i na dowód i przekonanie, że Jehowa istnieje, chciał pokazać nam słońce na niebie nocnem. Ale słońca na niebie nie było.

Zaległo milczenie. Dziecko płakało na dole, ktoś grał na fortepianie.

— Co porabia teraz? Czy żyje? Widziała go pani? Dziwnie zachowywał się w Rosji. Zrazu szpiegował na rzecz Austrii i legjonów, potem zwąchał się z krwawemi fanatykami, wreszcie nagle zwiął. Spotka go jeszcze zemsta. Niech go pani ostrzeże. To krewny pani Głowskiej. Możeby on co pomógł?

Inia przerzuciła na talerzu bilety wizytowe. Zegary w mieszkaniu poczęły bić godzinę

dziewiątą. Gość zabrał ze stołu swój notatnik.

— Proszę zastanowić się nad moją propozycją, powtórzyć ją pani Głowskiej i poradzić, by doszła ze mną do porozumienia na drodze pokojowej. POCO wojna? Ja przecież w końcu zawsze dopnę swego. Wygodniej jest dzielić ze mną bogactwo, niż ukrywać się w zapadłym kącie, znosić biedę. Zerwałem oddawna z Rosją, mam obywatelstwo polskie, holenderskie, szwajcarskie. Może pani doniosła już o mnie władzom?

— Powiedziałam bratu — odparła po chwili wahania.

— Brat oczywiście nie wziął ostrzeżenia na serjo. Zresztą mam papiery w porządku... Nic mi nie grozi, proszę pani, wróciłem do kraju...

Spojrzał w duże zawieszone nad kanapą zwierciadło, w którym odbijał się ogromny płonący wszystkimi lampami żyrandol. Uścisnął Ini rękę i wyszedł ciężkim, powolnym krokiem.

Zgasiła światło, pospieszyła do okna, wychyliła się na świat Boży. W pamięci brzmiały jeszcze niepokojące błuźnierstwa ex-księdza. — Nie mogła wyrzucić ich jak śmiecie, przekreślić jednym rozumnym słowem. Sawa potrafi na pewno, ona nie umie. Trzeba koniecznie umocnić się w wierze... Ale na razie jak wypuszczony na wolność więzień wchłaniała z niewysłowioną rozkoszą gwar miasta. Straszny jest nieruchomy i martwy świat Mojkina, ale oto życie, oto — życie... Biegły w Alejach hucające tramwaje, trąbiły samochody, gwizdał jakiś daleki pociąg, grała gdzieś, zapewne w

Dolinie muzyka, tupotały na chodniku kroki przechodniów, ciepły powiew czerwcowej nocy chwiał gałęzmi młodych kasztanów, które były czarne i tajemnicze w cieniu, a żółte, sztuczne, zwiędłe w jaskrawem świetle latarni. — Zdawało się jej, że słyszy znudzony szelest liści, spragnionych mroku i ciszy wśród wiecznego hałasu ulicy i blasku lamp.

„Czy pan Andrzej usłucha ją i wyjedzie? — zmąciło rozkosz wytchnienia pytanie. — Ach, gdybyż nie usłuchał, gdybyż nie usłuchał“.

XVIII.

Mortimer oddawna już nie znosił zupełnie samotności ani pustki wokoło siebie. Dlatego woził ze sobą zwierzęta i otaczał się stale sztabem sekretarzy, którzy nie tylko pomagali mu w pracy, ale także stale dotrzymywali towarzysztwa, zabawiając go nieraz rozmową do późna.

Gdy wrócił od Ini, nie zastał w mieszkaniu nikogo. Nawet psy były na spacerze i znikły gdzieś koty. Bogacz byłby udał się do restauracji, lecz wypadało czekać na profesora Mściszewskiego, do którego miał interes. Stał u otwartego okna. Wysoko w głębinach ciemnoszafirowego nieba jaśniała srebrno-perłowa łuska małych obłoków, niżej nad dachem dużego gmachu o czarnych oknach tkwiła ciemna chmura, która środkiem zaczynała tajać, nasiąkać blaskiem i płonąć. Po chwili wyjrzało z niej wielkie złote oko miesiąca. „Zaszeleści złotem“ dźwiękło kędyś w zakamarku Mortimera przypomnieniem młodych lat, kiedy czytywał poezję i odczuwał czy wyobrażał sobie, że odczuwa piękno przyrody, czułe zespolenie z bytem. Jeżeli była to fałszywa poza i złudzenie, dlaczego inni potrafili ją zacho-

wać? Dlaczego i odkąd przestało w nim bić tak zwane tętno życia? Dlaczego umarło kłamstwo i nastąpił uwiąd, na który zapadają podobno samoluby? W czym tkwił błąd? Nie grzeszył nigdy samolubstwem, był użytecznym członkiem społeczeństwa, zapelniał istnienie swoje walką o lepsze jutro świata, umiał także rwać z najwyższych gałęzi zielonego drzewa życia — najbardziej smakowite owoce rozkoszy. I naraz zielone drzewo uschło. Okazało się, że znalazł się poza życiem i wszelką radością, okazało się, że jest bezdomny, że wszechludzkie ideały były takim samym złudzeniem jak młodzieńcze zachwyty religijne.

Zielone drzewo uschło. Czyżby pokutowała w nim dusza księdza i trawił go głód metafizyczny, którego niema czem zaspokoić. Dopokąd bawiły go kobiety i dręczyła tamta, ostatnia, najbardziej ukochana, jedyna, która oparła się jego żądzy, nie zadawał sobie metafizycznych pytań, nie łamał sobie głowy nad celem i treścią istnienia. A zatem żądza, czyli t. zw. miłość jest sekretem i warunkiem życia, jedyną ucieczką od przerażającej rzeczywistości, najbardziej skutecznym kłamstwem, i złudzenia są człowiekowi równie niezbędne jak liście — roślinie.

Ziewnąwszy, spojrział na gładki asfalt, po którym przebiegały świetliste smugi pomykających samochodów, odprowadził wzrokiem do rogu czułą parę, wychylił głowę, zmierzył z wysokości trzeciego piętra głąb ulicy, cofnął się. Obmierzło mu bezdomne istnienie, lecz nie próbował samobójstwa, gdyż tkwiło w nim

przeświadczenie, że tylko roztrzaskałaby się czaszka i wyprysnął z niej mózg, ale trwałaby dalej okropna nuda... Strach śmierci, strach życia wiecznego, tęsknota do niebytu... Różne są gusta, różne kłopoty. Zasnąłby człowiek, nie mogąc się zamknąć oczy bezsenne. — A ci tam na chodniku i w samochodach dokąd spieszą?

Był czas, że i on pędził, jak głupi dwukonką na gumach ulicą Mazowiecką na kolacyjki, na schadzkę, na dworzec...

Z tej przeszłości zostało mu tyle, ile z przeczytanej powieści dobrego autora, to jest szereg plastycznych obrazów i scen, i nawet w kraju dzieciństwa, który zwiedzał niedawno, na brzegu błękitnego Niemna, domowej rzeki, pod starymi lipami dworku nie usłyszał żadnego głosu w sobie, żadna rzecz nie spoglądała na niego żywymi oczami. Tamto minęło i umarło na zawsze... Dlaczego teraźniejszość trwa i nie mija?...

Po lekkim pukaniu Mortimer poznał, że przychodzi Wójcik, najbardziej usługowy i inteligentny z jego sekretarzy, chłopski syn bez wykształcenia i wychowania, paplący wszystkimi językami, elegancki i wszystko wiedzący, trawiony ambicją i neurastenją.

Wójcik, blondyn o ciemnych bystrych oczach wsunął się cicho, stanął w pozie wyczekującej i patrzył pilnie szefowi w twarz. Szef miał zawsze wrażenie, że spryciarz czyta mu jego najskrytsze myśli z czoła, i dziwił się, że żywi mimo to jeszcze trochę respektu dla niego.

— Czemu się pan ulotnił? Wróciwszy z mia-

sta, nie zastałem nikogo — skarcił apatycznie młodzieńca, który zwykle spełniał wszystkie obowiązki bez zarzutu.

Sekretarz pociągnął mankiety i milczał, pragnąc, żeby chlebodawca „zasypał się“, to znaczy rozgniewał się, wylał go niesprawiedliwie, ale szef rzuciwszy okiem na gładko zaczesaną głowę młodzieńca, którego cenil i drogo opłacał, któremu dokuczał za spryciarstwo, wścibstwo i gadatliwość, przeniósł wzrok na klatkę z wiewiórką i nie rzekł nic.

— Miałem urlop do jutra, lecz tknęło mnie coś, że Gruszki niema i dlatego przyszedłem — odparł sekretarz uprzejmie choć z lekkim odzieniem szyderstwa, z satysfakcją podkreślając ten nowy dowód swego rozumu, domyślności i niezbędności.

Wójcik wogóle wszędzie zbierał pochwały, znakomicie wywiązywał się z obowiązków: w domu rodziców, w kredensie u dziedziczki, u rzeźników, w sklepie kolonialnym, w kompanji 21 p. p., w obozie jeńców, w kancelarji bolszewickiego Gubkomu, tylko od obecnego pryncypała nigdy nie udało mu się usłyszeć słowa uznania.

— Profesor Mściszewski już chyba nie przyjdzie, panie prezesie — odezwał się, spojrzawszy na zegarek.

— Cóż znowu za kontrola?

— Wiem od Podczaskiego.

— Pan zawsze wie za wiele i zbyt dobrze. Ten Podczaski, co to za rodzaj?

Wójcik nigdy nie wyrażał się pochlebnie o ludziach, niżej postawionemi pogardzał, w

możnych lubił dopatrywać się małości i śmieszności. Zerknął na szefa, by odgadnąć, co mu będzie miłsze: pochwała czy krytyka.

— To ananas, ale i szczęściarz. Jest bardzo bogaty, a wydaje mu się także, że jest bardzo mądry. Odziedziczył po stryjaszku kupę złota, kupił duże dobra w Poznańskiem, gospodarować nie umie, pracować mu się nie chce, zresztą nie potrzebuje. Różne eksperymenta mu w głowie.

— Tak — mruknął bogacz i z syczącego syfonu nalał sobie wody sodowej.

Sekretarz poszedł za przykładem pryncypała i wsypawszy na język proszek, zapił go także wodą.

— Pan wciąż się leczy.

— Oczywiście, panie prezesie — odparł rozkładając na stole kilka kopert z próbkami.

— Panie prezesie, muszę sprawić sobie nową piżamę. Może mi pan poradzi: czy do brązowej dać żółte wyłogi, czy też do beige — brązowe.

— W każdej będzie panu do twarzy.

— Na lato wybrałem białą z surowego jedwabiu...

Gdy rozłożył na stole próbki, zalecał od wypielegnowanych rąk eleganta, dbałego o higienę, zapach mydła karbolowego.

— Dużo pan oficerów ukatrupił w Odesie.

— Takie były czasy, panie prezesie.

— Podczaski znał pana przed wojną, kiedy pan był ogromnie bogobojny i patriotyczny. Teraz zapalił pan djabłu komunistycznemu świeczkę. Skąd ta zmiana? — dokuczał szef.

Lekki rumieniec zabarwił białe oblicze Wójcika, który nie lubił dotykać przeszłości.

— Człowiek głupi był w kojcu, a skoro wyrzwał na szeroki świat...

— A szeroki świat to — piżama, manicure, foxtrot, kino i nerwica...

— Każdy musi żyć podług mody — tonem mentorskim odparł młodzieniec, który i szefa lubił pouczać przy sposobności.

— Cóż pan powie o tych, których nie stać na modę, o dawnych koleżkach proletariackich.

— Kto głupi jest, kto niema głowy, temu niczego nie trzeba.

— A w nieśmiertelność duszy, w Boga, w piekło i djabła pan wierzy? — niespodziewanie spytał Mortimer.

Czarne bystre oczy sekretarza, którego zdziwiło to pytanie, spotkały się ze zgaszonym wzrokiem bogacza.

— Dopokąd wierzono w Boga i w nieśmiertelność duszy, był Bóg i dusza. odkąd ludzie przestali wierzyć, niema Boga.

Szczekanie piesków w korytarzu oznajmiło przyście profesora. Sekretarz pośpieszył do drzwi, otworzył je i po wejściu gościa znikł w głębi mieszkania. Mściszewski dowlókł się do najbliższego krzesła, opadł na nie i wyciągnąwszy daleko nogi, odpoczywał z otwartymi ustami... Oczy miał zamknięte. Mortimer przypatrywał się ciężko i powoli podnoszącej się piersi gościa...

— Chory pan jest?

— Tak, chory nieuleczalnie — odparł gość, nie otwierając oczu.

— I oczywiście pan boi się śmierci, chciałby koniecznie jeszcze żyć.

— Boję się śmierci i chciałbym jeszcze żyć — z irytacją powtórzył profesor.

— Jako doktor filozofji powinienby pan przynajmniej udawać spokój mędrca.

Mściszewski otworzył oczy.

— Znowu mam udawać i właśnie przed śmiercią! — sarknął — zbyt wiele udawałem w życiu. Nie jestem zresztą doktorem filozofji — przeniósł się na fotel koło stołu. Zadowolony pan z wczorajszej fety. Co?

— Niezmiernie byłem wzruszony.

— Są jeszcze ludzie rozsądni w Polsce, którzy poznali się na farsie i nie dali się nabrać — profesor zezem spojrzał na „Amerykanina“, który zdawało się, nie słuchał go zupełnie, zajęty skokami wiewiórki w klatce.

— Musiałem zaznaczyć to na wstępie, by pan nie miał fałszywego o Polsce mniemania.

— Doskonale. A teraz do interesu. Dowiedziałem się, że profesor jest szwagrem pani Głowskiej.

Tu „Amerykanin“ w krótkich słowach wyłuszczył interes, t. j. poprosił o pomoc, o podjęcie się swatostwa.

Mściszewski zbył całą sprawę pogardliwym milczeniem.

— Nie chce mi pan dopomóc?

— Nie chcę — opryskliwie odmówił profesor.

Mortimer otworzył szufladę, wyjął orzechy, zaniósł je wiewiórce, która wydając

podobne do cmokania odgłosy, uciekła od niego.

— Pan brał czynny udział w rewolucji rosyjskiej? — padło pytanie.

— Tak jest, w pierwszym jej sielankowym okresie — odparł Mortimer, siadając obok gościa. Pozatem przez wiele lat pieniędzmi wspierałem czynną walkę z caratem.

— Zwyciężyliście na całej linii, budujecie nowy świat, czy mam żałować, że nie ujrzę tego waszego rajy?

— Piękny jest świat, panie profesorze.

— Ohydny, głupi, podły, albo piękny i pełen radości!

— No, no! Piękny i pełen radości! Profesor zapewne posiada jakiś sekrecik na to piękno i na tę radość. Proszę podzielić się nim ze mną.

— Nie mam żadnego sekreciku, nie jestem apostołem ani znachorem.

— Ale dla mnie możeby profesor zrobił wyjątek. Pan odchodzi, ja zostaję, chciałbym znowu zacząć używać.

— Mówmy lepiej o tem waszem jutrze. Zdechnę niedługo, ale chcę wiedzieć, czy mam żałować, że nie doczekam, nie zobaczę waszego rajy. Utopiliście pół Europy we krwi, wartoż było katować, lepsi będą ludzie, szczęśliwsi? Mętne, znużone oczy Mortimera spoczęły na nerwowym gościu, który zadawał naiwne pytania.

— Nie wiem, coby profesor chciał znaleźć w tem jutrze.

— Na razie, panie prezydencie, mniej chamstwa, krzywdy, niechlujstwa, cierpienia.

— A nie wydaje się profesorowi, że ludzkość szczęśliwa stałaby się stadem bydła.

— Nie oglądałem jeszcze szczęśliwej ludzkości. Zresztą niema obawy — Mściszewski machnął ręką. — Rad bym posłyszeć coś o waszych rosyjskich poczynaniach. Pan był przy robocie.

— Nie byłem przy robocie. Niech się profesor uda do tych, którzy dla jutra pracują. Ja na nic nie czekam. Dziś bawiłbym się jedynie z małą Hanią.

Mściszewski czerwonymi rękami tarł podbródek i wciąż zerkał na tego niezwykłego cudzoziemca, który dziś nie robił na nim wrażenia szarlatana.

— Zechciało się panu zabawy w lalki, nowych dreszczyków!

— Profesora myśli chodzą utartymi szlakami, szablonowo. Ale gdyby profesor znalazł się na mojem miejscu?..

— No, a gdybym znalazł się na pańskiem miejscu? Czego panu brakuje? Oprócz piątej klepki?

— Niczego profesorze, a może bardzo wiele... Kłamstwa.

Mściszewski głęboko zasunął ręce pod pachy. Było mu zimno.

— A wszystko to z bogactwa, z przesyty, z próżniactwa...

— Profesor zanadto sobie upraszcza. Piętnaście lat poświęciłem walce z caratem. Odkąd dorobiłem się majątku, sypię pełnymi garściami na najbardziej miłe sercu profesora cele. Zresztą sekretarze poświadczą, ile komitetów,

sesji, kongresów — wskazał na teki, książki, papiery.

— To się nazywa zbierać miód z kwiatów, a gdyby tak własnymi rękami, gdyby tak wyjść z siebie.

— Dokąd mam iść?

— W świat trudu, walki, w życie — bez zapalu pouczał profesor.

— Jak znaleźć życie, kiedy się je zmarnowało zakłamaniem. Może profesor mi powie?

Profesor zaśmiał się.

— Niewiele się pan odemnie nauczy. Trzydzieści lat rzucałem martwe słowa.

Mortimer napuścił sobie wody z błękitnego syfonu.

— I naraz nad grobem dokonał pan odkrycia?

— Nad grobem, w obliczu śmierci, w chorobie, w cierpieniu, w nędzy, w rozpacz i upodleniu szukam — krzyknął. — Chcę wiedzieć, poco żyłem. A może wszystkie prawdy oddam za to, by raz jeszcze spojrzeć w wieczór kwietniowy na miedziane chmurki żarzące się wśród zielonych niebios, na szeroko rozlane, różowe od zachodu wody wiosenne i raz jeszcze odechnąć zapachem łąk kwitnących.

Mortimer oparł ciężką głowę na ręce, uważnie patrzył profesorowi w oczy.

— Co się staremu roi? Marzyć-by się chciało, kochać, broić. Zapóźno, Nie będzie już wiosny ni słońca. Ciesz się profesorze, że niezadługo zamkną się oczy na zawsze. A tam za grobem robactwo czy światłość wiekuista? Co? Jak pan sądzi, jak pan to sobie wyobraża?

— Nie wiem, co będzie tam. Tu toczy mnie rak. Pan jest zdrow, mnie rak toczy.

— Rak. Ofiarowałem moc dolarów na założenie instytutu badania raka. Mędrcom nie wypada przejmować się cierpieniem i własną marną osobą.

— Nie wypada, lecz ja się przejmuję.

— Trzeba żyć życiem zbiorowości, zatracić siebie w zbiorowości, poddać się ze stoicką rezygnacją odwiecznym prawom. Ludzkość trwa. Świat jest piękny profesorze. Nacieszył się pan — ponuro drwił Mortimer.

— Nie nacieszyłem się. Nie umiałem żyć. Umiałem tylko nienawidzić. Całe życie trawiła mnie nienawiść — począł naraz zwierzać się. — Przyszedłem na świat ułomny i pokraczny, nieśmiały, dlatego nienawidziłem w innych zdrowia, urody, siły, powodzenia, nienawidziłem życia, znieść nie mogłem krzyku niemowlęcia, śmiechu, śpiewu ludzi wesółych. Raz kopnąłem dziecko, które przybiegło do mnie rozbawione — urwał spostrzegłszy, że Mortimer go nie słucha, że te zwierzenia są niewłaściwe i śmieszne.

— No a teraz na łożu śmierci pan nawrócił się i wybiera się do nieba. Miło jest spotkać profesora, który wyznaje tak pocziwe zasady, zwłaszcza w czasach dzisiejszych po wielkiej plajcie. Dwa były, profesorze, w dziejach efektowne krachy: Bankructwo Boga i bankructwo człowieka.

Profesor cienkimi palcami ścisnął swoją chudą szyję.

— Zdaje mi się, że ta pierwsza firma jeszcze

się trzyma, a wiarę w człowieka wyście zabili swoim krwawym szaleństwem.

— Nie podoba się panu krwawe moskiewskie szaleństwo, mnie także, ale co do wyzwolenia trzeba przyznać, że ono udało się w zupełności. Ale może profesor pragnie, by zwyciężył Chrystus.

— Chodzi o to, by nie zwyciężył cham.

— A zatem Chrystus. Nie umiem zdać sobie sprawy, czy profesor należy do pokornych sług Kościoła, czy też zawsze jeszcze tkwi w sentymentalnym liberalizmie, poczciwie wierzy w ludzkość, postęp, w jutro.

— Wierzę w śmierć swoją — mruknął profesor.

— To stanowczo za mało, profesorze. W coś trzeba wierzyć, w Boga albo w ludzkość, w postęp, w szczęście na ziemi... cała trudność w tem, że Boga niema, że człowiek okazał się świnią, tyranem, niewolnikiem. Jehowa miał przynajmniej gest. Stworzył wszechświat z niczego. Zalał ziemię potopem, wyrzynał w pień narody... Nasz Bóg współczesny goni samochodem, zdobywa szlaki powietrzne, wymyśla codzien inne teorie, programy, kłamstwa.

— Dałoby się coś więcej powiedzieć o człowieku współczesnym.

— Tak, oczywiście całą długą litanję, mimo to wolę dawnego królującego w niebie Monarchę z brodą albo mego starego kota w Paryżu albo djabła.

— Djabła? — zdziwił się Mściszewski.

— Wy ludzie postępu i nauki przechodzicie nad djabełem do porządku, tymczasem jeżeli

ktoś rządzi światem, to bynajmniej nie Bóg, ale szatan. Wydawało mi się to dawniej zupełnie pewnem.

Mściszewski przypatrywał się swoim palcom, które drżały.

— Boga niema, człowiek zbankrutował, cóż zostaje, prezydencie rzeczypospolitej jutra?

— Radosny śmiech Hani.

— Radosny śmiech Hani... No a ten zastęp sekretarzy, posiedzenia, szumne mowy, kongresy, te wszystkie po stołach teki?

— Krzątają się pracowite mrówki... Ale poco krzątają się mrówki? poco istnieje mrowisko?

Mściszewski zasunął ręce w rękawy marynarki, było mu zimno znowu.

— Poco mrowisko, profesorze? Skoro nigdy nie będzie w niem szczęścia, skoro człowiek musi wybierać między dobrobytem a wolnością! Skoro świnia jest człowiek i wiecznem jest głupstwo.

— Nie wiem. Niech pan spyta Oselskiego. — Jest taki mędrzec w Warszawie. Ten napewno da panu dokładną odpowiedź, on nigdy nie zwątpił — mruknął niechętnie.

— Mam iść do mędrca? Nie nauczy mnie mędrzec. Przeprowadziłem się na tamten brzeg.

Profesor zmierzył nieznośnego gadułę złem spojrzeniem.

— Kto pan jest?

— Jestem Mortimer, miliardier amerykański, który pokochał Polskę i przybył do waszej stolicy, by wiedzą, doświadczeniem, rozumem, pieniędzmi służyć przybranej ojczyźnie.

— Kto pan jest. Bez maskarady, panie! Bo

i polszczyzna pańska i akcencik rosyjski i neurastenja, dyletentyzm i defetyzm zanadto pachną mi swojszczyzną. Kto pan jest?

— Na imię mi ludzkość, na imię mi — jutro — drwił dalej.

— Nudny pan jest z temi dowcipami swemi.

— Nie żartuję, profesorze.

Mściszewski spojrział z niechęcią w nieruchome oczy tego obrzydliwego kpiarza, który brał na kawał jego czy siebie, czy obu razem.

— Miałbym ochotę spytać — rzekł — kto pana mianował przedstawicielem ludzkości?

— Zrzuciwszy suknię duchowną, celebrowałem, profesorze wiele lat przed ołtarzem ludzkości, ale i tu także zwątpiłem o prawdziwej obecności czyli straciłem wiarę w postęp, w jutro, w ludzkość, w nowego człowieka. Mściszewski trzęsącemi się palcami szczypał chudą szyję swoją.

— Jest taki dwuwiersz Mickiewicza — mruknął — o wodzie w rurach i żywym źródle.

— Pan wciąż w kółko o Bogu. Bóg wprawdzie przydałby się światu, ale w tem sęk, że Go niema.

— Niema Go, a może i jest. Zależy od tego, gdzie Go pan szuka i jak pan szuka — profesor spuścił powieki, czując na sobie wzrok szarych bez blasku oczu „Amerykanina“.

— Jako ex-ksiądz znam chyba lepiej od profesora wszystkie drogi prowadzące do Boga.

— Czego pan chce odemnie — syknął Mściszewski. — Wywiercił mi pan dziurę w brzuchu swoim napuszczonem gadaniem. Czego panu brak oprócz piątej klepki? Kto pan jest?

Mętne oczy Mortimera spoglądały sennie na niecierpliwego gościa, który nerwowo pocierał czerwone ręce.

— Jestem książe świata tego, zgrany i pokonany. Kto mnie pokonał?

— Cham — odparł, wstając profesor i bez pożegnania skierował się do drzwi. Mortimer wstał także, idąc za gościem, ciągnął dalej:

— Chama można obić, zamknąć, zakuć w kajdany, albo oszukać. Moja sprawa jest nieco bardziej zawila. Pędziłem bogate użyteczne życie, celebrowałem gorliwie przed świętym ołtarzem ludzkości i naraz drzewo uschło.

Mściszewski zatrzymał się jakgdyby dla udzielenia odpowiedzi ale postawszy chwilę poszedł do drzwi. Zabrzmiały mu w myśli słowa ewangelji o zwycięstwie nad światem. Ale gdzie jest to Chrystusowe zwycięstwo?...

XIX.

Mędrce, którego nieomylną wiedzę zachwalał przed Mortimerem profesor, był Oselski, wybitny znawca spraw finansowych, autor głośniejszej rozprawy o inflacji, wysoki dygnitarz, wymieniany zwykle w gazetach podczas przesilenia ministerjalnych wśród kandydatów na stanowisko premiera. Oselski piastował zresztą w jednym z krótkotrwałych gabinetów tekę ale odtąd, zrażony do sejmu, do prasy, partyjnictwa i znikomości władzy polskiego ministra, żadnej nie chciał już przyjąć godności, żył odludnie, oddany pracy naukowej oraz pielęgnowaniu wątłego zdrowia. Mściszewski znakomitego kolegę swego odwiedzał rzadko, dziś mimo późnej godziny wybrał się do niego wprost od Mortimera dla omówienia sprawy, którą postanowił koniecznie załatwić przed ryzykowną wobec szybko postępującej choroby wycieczką w strony rodzinne i do Poznania. Portjer nie chciał zrazu puścić go na frontowe schody, potem gdy stanął przed drzwiami kolegi i zadzwonił, nędznie ubranego gościa długo badało przez szparę czyjeś nieufne oko, piesek ujadł zawzięcie, drzwi nie otwierały się. Mściszewski oparł się o ścianę

zmęczony i czekał cierpliwie. zastanawiając się nad typem dziwnego Amerykanina, którego rozmowa zostawiła po sobie niesmak. Dlaczego ten Mortimer ukrywa swe rzeczywiste nazwisko? Co oznaczają jego dwuznaczne przenośnie, zwierzenia, skargi? To bankructwo i tajemnicza choroba? Lada chłystek, któremu powinie się noga, ogłasza skwapliwie bankructwo człowieka, cywilizacji, rozumu... Nie wygląda wprawdzie na szarlatana ani na zużytego bumlera. Kimże jest naprawdę ten prezydent rzeczypospolitej jutra i kto go okpił? — Kto doprowadził do bankructwa? Kto okpił? Był księdzem, rewolucjonistą, wybitnym filantropem, wielkie położył zasługi, i naraz na schyłku lat zaczął szukać życia, jak Mściszewski. Woda wysycha w rurach i są żywe źródła. A w nim, który słuchał drwin i zwierzeń bankruta z odrazą i poczuciem wyższości, czy było kiedy żywe źródło? Czy było? Nie byłoby zmarnowanego życia, gdyby żywe źródło... Spotkali się dwaj bankruci... Wart Pac pałaca. Mortimer stracił wiarę w człowieka i w Boga, w co wierzy Mściszewski?...

Służąca puściła wreszcie nędznie ubranego gościa. Minister przyjął kolegę w gabinecie, który zupełnie nie wyglądał na pracownię uczonego, w którym sam uczoney wyglądał na zabłąkanego przypadkiem gościa. Książki, starannie pochowane, mieściły się w szczupłej wijszącej szafie, na mahoniowym damskim biurku połyskiwały jakieś salonowe fatalaszki, meble były lekkie, buduarowe, pod oknem stała klatka z papugą, lustro zakrywał do połowy

wetknięty za ramę ogromny wachlarz z widokówkami. Minister wskazał krzesło i wnet potem spuścił oczy na otwartą książkę, z którą zapewne żał mu było rozstać się.

— Przeglądam z zajęciem rozprawę Lułka. Nowa gwiazda!

— Tak, nowa gwiazda... Przerwałem niestety panu koledze przyjemne czytanie i w dodatku godzina jest nieco późna. Ale wyjeżdżam jutro rano, zapewne nie zobaczymy się więcej — prosto z mostu zaczął profesor.

Osełski siedział wyprostowany, patrzył w otwartą książkę.

— Dokądże kolega? Już na wywczasy letnie? — przerwał, by nie dopuścić do zwieżeń.

— Na razie do Poznania, następnie w strony rodzinne przed śmiercią, na łakę, nad wody dzieciństwa, do starego Boga, który tam może jeszcze jest.

— No, a zioła indyjskie, w których skuteczność kolega tak wierzył pół roku temu — znowu przerwał minister, obawiając się, że rozmowa zejdzie na tory zbyt osobiste.

— Nie na długo się zdały. Zresztą na raka niema środków.

— Nauka znajdzie niezawodnie w niedalekim już czasie sposób zwalczania tej najgroźniejszej plagi — pocieszył chorego minister.

— Znajdzie, oczywiście, znajdzie, ale mnie już nie będzie.

Była chwila ciszy. Dorożka przejechała ulicą, beknął samochód, papuga trzepnęła skrzydłami. Osełski nasłuchiwał, czy nie wraca już

z teatru żona, i myślał z niesmakiem, że ona ośmiesza siebie i jego „rumuńskim“ flirtem.

— Wobec wyjazdu i bliskiej śmierci — ten wyraz wykrzywił wargi mówiącemu.

— Cóż tak ciągle o śmierci!... W wieku kolegi...

— Wobec bliskiej śmierci — z naciskiem powtórzył profesor — zwracam się do kolegi z prośbą. Chodzi mi o testament. Czterdzieści tysięcy rubli, cały swój majątek, który pożyczylem w roku 14-tym przed samą wojną Padniewskiemu, przeznaczyłem na ufundowanie domu wypoczynkowego dla nauczycieli w okolicy Nowego Sącza oraz internatu dla młodzieży w Mołodecznie. Podług prawa muszą być egzekutorzy testamentu, pozwoliłem sobie naznaczyć pana kolegę w tem przeświadczeniu, że nikt tak dobrze... — cicho, słabym głosem tłumaczył.

Minister położył przyjaźnie rękę na ramieniu kolegi.

— Spełnię wszystko najchętniej, ale niedobrze jest stawiać samemu sobie djagnozę i skazywać siebie na śmierć. Głupia Polska bez Poznania i może właśnie lekarze w Poznaniu...

— Nie jestem dzieckiem — szorstko przerwał profesor. — Jedną mam dziś sprawę do załatwienia, chcę ją rzetelnie załatwić, to znaczy umrzeć, patrząc prawdzie w oczy.

Osełski powolnym ruchem poprawił binokle. Profesora drażnił zimny spokój mędrca-dygnitarza, który oczywiście potrafił zbagatelizować śmierć i ani razu nie zbłądził, nigdy w życiu swoim nie popełnił głupstwa. Jedno głup-

stwo wszakże było: ożenienie się z pustą światową rozwódką i będzie śmierć — ucieszył się profesor.

— Ludzie sławni, urzędnicy wysokich rang także umierają — zauważył zaczepnie. — Jakże kolega ustosunkował się do tego najważniejszego, może jedynie ważnego zagadnienia? Nigdyśmy o tem nie mówili.

— Kościół daje zupełnie dostateczną i jasną odpowiedź.

— Kościół daje... Trzeba mieć własną odpowiedź. Był czas, żem także sobie i ludziom zatykał gębę postępem, nauką, Kościołem, cywilizacją. Wierz mi, kolego, te słowa kłamią.

Minister lekko strzepnął małym palcem z otwartej książki okruszynę, której tam nie było.

— I nigdy kolegę nie trapiły wątpliwości? — indagował bezwzględnie profesor.

Osełski przewrócił stronicę.

— Nigdy.

— Nigdy nie zaznał kolega wątpliwości co do własnej pracy?

Osełski był coraz bardziej zakłopotany zbyt osobistym obrotem rozmowy. Dla zaznaczenia, że uważa pytanie za niewłaściwe, zwlekał z odpowiedzią.

— Nie mam wysokiego wyobrażenia o wartości własnej osoby — powiedział nieszczerze.

— Pozwolę sobie zauważyć, że kolega się myli. Bo jeśli nie było wątpliwości, znaczy to, że kolega miał wysokie o sobie mniemanie. I słusznie. Koledze udało się, mnie — nie. Ale najświetniejszemu życiu śmierć odbiera sens.

Osełski uzbroił się w rezygnację i nie przerywał już, przekonawszy się, że gość musi się wygadać. Trzeba go było cierpliwie wysłuchać, jak nieraz dawniej w biurze klientów, którzy zabierali mu drogi czas.

— Pracowałem i ja, ślęczałem w bibliotekach, pisałem — szybko, rwącym się głosem prawił gadatliwy gość — a płynąca za oknem błękitna rzeka urągała mi, śmiejąc się do mnie migotaniem złotych paciorek. Pewnego dnia nad wiecznie żywą i młodą wodą obmierzła mi naraz sztuczność mojej pisaniny. Począłem szukać życia, ale, gdym spotkał się ze śmiercią, odkryłem nicość życia.

— Śmierć jednostek nie przekreśla wartości życia. Liście opadają, drzewo trwa — zauważył minister.

— Cóż jest tem drzewem, które trwa?

— Ludzkość, naród, cywilizacja, ojczyzna, nauka — z pobłażliwym uśmiechem wyliczał Osełski.

— Co mnie obchodzą u licha cywilizacja, postęp, ludzkość, jeżeli mam zdechnąć.

— Trzeba się wznieść ponad egoizm jednostki.

Mściszewski przysunął się z krzesłem.

— Ale to mrowisko, które tak pracowicie budują mrówki, może jest zgoła niepotrzebne... Ziemia przeminie i najświetniejsza cywilizacja i wogóle całe to mrowisko — powtórzył słowa Mortimera.

Osełski uśmiechnął się znowu.

— Nie dociekam, poco istnieje mrowisko, ale to wiem, że musi być w niem zaprowadzony ład, sprawiedliwość, dobrobyt.

— Gdzież jest ład, sprawiedliwość, dobrobyt? — zachnął się profesor.

— Niema dotąd. Przeto obowiązkiem naszym jest dążyć do tego, by lepiej było na ziemi człowiekowi, który żyje krótko a cierpi wiele.

Profesor począł trzeć podbródek.

— Wierzysz że, panie kolego, w postęp? A zresztą... a po prawdzie Mćciszewski, którego jutro zeżrą robaki, nie umie się cieszyć, że za 320 lat ludzkość będzie używała więcej mydła, cukru, pasty, papieru...

— Należy się wznieść ponad egoizm jednostki — powtórzył z naciskiem Osełski, zdziwiony i znudzony nielogiczną i niemęską gadatliwością chorego.

— To nie egoizm! — syknął profesor. — Tu chodzi o sens mego życia osobistego. Dopokąd się było młodym, wystarczał fakt istnienia i piękne frazesy, ale teraz, w starości, na schyłku, gdy jutra już niema, gdy wszystko minęło, teraz chciałbym wiedzieć, mrówka czy mrowisko...

Osełski, tłumiąc odbijanie się, pomyślał, że odkąd odeszła Karolina, kuchnia w domu jest stanowczo za tłusta.

— A książki, które zostaną, i tyloletnia tak bardzo użyteczna działalność profesorska na dalekiej placówce...

— Rzucałem martwe słowa. Ale przypuśćmy, że z rozprawy Osełskiego czy Lulka przyszłe wieki będą czerpały mądrość. Nie każdemu danem jest zostać ministrem, tworzyć nieśmiertelne dzieła naukowe. Poco żył kelner Surówka, który przez trzydzieści lat latał spo-

cony po cukierni i wczoraj nagle umarł w tramwaju.

— Jeżeli kelner Surówka uczciwie spełniał obowiązki swoje...

— Uwijanie się Surówki po cukierni było potrzebne właścicielowi cukierni nie samemu Surówce, który niezawodnie wołałby być pralatem. Pytam zresztą nie o użyteczność istnienia Surówki, ale o sens jego życia dla niego.

Osełski, który coraz mniej rozumiał kolegę, podniósł wzrok z nad książki.

— Z codziennych drobnych wysiłków składa się całość, zbiorowa praca. Gdyby przed wiekami krakowscy murarze zamiast kłaść cegłę po cegle opuścili ręce, zniechęceni znikomością życia albo skromnością roli swojej, nie mielibyśmy wież Marjackich — tonem mentorskim z wysoka pouczał.

— Tak, tak. Człowiek jest atomem, człowiek przemija, lecz świątynie, nauka, ojczyzna, ludzkość trwają. Tak się mówi i myśli za młodu. Ale odkąd śmierć stanęła nademną, wołam szczerze i prawdziwie: więcej niż nauka, postęp, ojczyzna, obchodzi Mściszewskiego jego krótkie nieudane życie i okropna śmierć.

— Strach śmierci można przezwyciężyć.

Profesor popadł w zamyślenie.

— Tak, można przezwyciężyć strach śmierci, trudniej cierpienie przerobić na radość — powiedział.

— Radości nikt nie wymaga, wystarczy hart.

— Hart, hart — powtórzył z irytacją Mściszewski — przy biurku nad zajmującą rozprawą ekonomiczną, dopokąd człowiek jest zdrow.

Ale gdy zacznie rozdzierać ból wewnątrzności i lekarz przymykając oczy, żeby się nie zdradzić, będzie coś plótł na temat złej przemiany materji, zwapnienia i konieczności odpoczynku, wówczas na inną nutę zaśpiewasz, panie ministrze.

Osełskiego zdziwił poufały i napastliwy ton kolegi, a jednocześnie przypomniała mu się nieprzyjemna w przeczytanym niedawno artykule lekarskim wzmianka o coraz częstszych wypadkach raka wśród chorych na wątrobę, do których i on należał od kilku lat.

Poprawił binokle.

— Trzeba uczciwie do końca spełniać obowiązki Polaka, obywatela, a kiedy wybije godzina, odejść ze spokojem.

Mściszewski skoczył na krzesło.

— Mnie także nie zabraknie odwagi. Potrafię umrzeć spokojnie. Ale poco żyłem? Dlaczego jest złe? I tyle krwi, krzywdy, tyle fałszu, głupstwa, złudzeń? I my tak mało wiemy. I wszystkie wysiłki napróżno! Religje i filozofje... Ani sprawiedliwości, ani nawet ładu! Zwierzę jest szlachetniejsze i uczciwsze od człowieka. Szczycimy się rozumem, nie umiemy zaprowadzić ładu na ziemi — nudził naiwnymi pytaniami nieomylnego mędrca. Osełski miał już dość bezprzedmiotowej rozmowy.

— Czy Polska powinna mieć zrównoważony budżet, zdrowy pieniądz, dostatecznie rozwinięte szkolnictwo, silną armję? — spytał, podnosząc nieco głos.

— Tak.

— Otóż wszyscy od góry do dołu: minister

i kelner, profesor i woźny przyczyniają się uczciwem spełnianiem obowiązków do tworzenia Polski silnej i kwitnącej — urwał, bo w przedpokoju odezwało się radosne poszczekiwanie czujnej Ledy.

— Dla Polski tak, ale krótkie marne życie Mćsiszewskiego? — mruknął profesor.

Minister, który nie znosił szczekania Ledy, zatkał zrazu uszy, ale natychmiast odjął palce, gdyż nie uznawał odruchów zniecierpliwienia i, czekał z rezygnacją na zjawienie się pani.

Drażniło go wszystko w żonie: jej leniwy chód i utlenione włosy, krzykliwy głos, breloki i elegancja w złym guście, potępiał także wszystko, co wносиła we wspólne ich życie, t. j. światowość, ambicję, tupet i ordynarność, mimo to obcowanie z arogancką, krzykliwą i ordynarną kobietą, której oddawna już nie kochał, było mu potrzebne, mógł bowiem dzięki żonie ocenić własną wyższość i wyrobienie, a także kształcić w sobie wyrozumiałość i ćwiczyć się w cnocie mądrości.

Pani ministrowa w towarzystwie poszczekującej białej szpicki przyszła z przedpokoju wprost do męża. Nie zamknęła za sobą oczywiście drzwi, co także niecierpliwilo męża. — Była to otyła blondyna, niskiego wzrostu, wymalowana, wyperfumowana, bardzo modnie i młodo ubrana, w mocno wyciętej i zbyt krótkiej sukni morelowego koloru.

Wyciągnąwszy niedbale rękę do profesora, skierowała się do okna, brzęcząc mnóstwem breloków — talizmanów i, szczelnie zasunąwszy firanki, wróciła do biurka.

Usiadła na lekkim złoconem krzeselku i natychmiast zapaliła papierosa. Mąż i gość obaj jednocześnie spojrzeli na odstoniętą powyżej kolan grubą, krótką nogę w cielistego koloru jedwabnej pończosze.

— Dobrze wystawili Lillę Wenedę? — u-przejmie zaczął rozmowę minister. Nie odpowiadając na pytanie i nie zważając na gościa, pani z rozdrażnieniem napadła na męża, że żyje jak pustelnik, że nie utrzymuje stosunków w świecie, nie robi ani karjery, ani pieniędzy, że ludzie o nich zapomnieli. Dostało się Oselskiemu zato, że inwalidzi generałowej Dolskiej mają wszystkiego po dziurki w nosie, gdy jej żłóbek ledwo zipie, że prezes Karliński nie raczył się zbliżyć do niej, że po teatrze cała Warszawa pociągnęła na raut do Włochów, na który oni nie mieli zaproszenia, dostało się wreszcie Oselskiemu także zato, że Jabłońscy kupili willę w Sopotach, że Zbójcecki zrobił majątek na „Gazach“, że Szymczakowi zaproponowano tękę Przemysłu i Handlu, że Grotowski dostał olbrzymią domenę na Pomorzu, gdy Edek, którego ciągnie do roli... Zarzuty bywały coraz to inne, zależnie od okoliczności, ale źródło nieporozumień i gniewu było zawsze to samo. Pani Oselska chciała grać pierwsze skrzypce w towarzystwie, wydawać dużo pieniędzy, mieć samochody, paryskie toalety, dwa miesiące odpoczynku na południu Francji i uważała, że wszystko to należy się jej od państwa Polskiego, i przedewszystkiem należy się od małżonka, którego obowiązkiem jest piastować

tekę ministra. Małżonek wszakże był odmiennego zdania, innych zgoła upodobań.

Winowajca siedział wyprostowany i od czasu do czasu jednym palcem z otwartej książki strzepywał okruszynę, której nie było. Słuchał pobłażliwie, czerpiąc zadowolenie, z wyższości rozumu męskiego nad nieobliczalnością logiki kobiecej, z opanowania złości. Przed laty przyszło raz do burzliwej sceny. Mąż uniósł się, wrzeszczał, tupał nogami, nawet podobno pchnął żonę, pani upadła na kanapę, dostała spazmów, nastąpiło poronienie. Odtąd Osełski nie okazywał już nigdy zniecierpliwienia... Odtąd nie chciał nawet uświadamiać sobie ani wad żony, ani swego nieszczęścia w małżeństwie.

Natomiast profesor, zniecierpliwiony ordynarną sceną, dźwignął się w połowie zdania i kiwnąwszy zdaleka głową, powlókł się do drzwi. Gospodarz wyszedł za nim do przedpokoju.

— Mam nadzieję kolego, że się nieraz jeszcze spotkamy, ale gdyby miało być inaczej — mówił łagodnie i cicho, chyląc się do ucha chorego — postanawiam wywiązać się jak najlepiej...

— Zapomniałem ci jeszcze powiedzieć, Morys — wsunęła się po chwili do przedpokoju pani.

Osełski wyprostował swoją wysoką postać, poprawił binokle.

— Cóż jeszcze zapomniałaś mi powiedzieć? — spytał cierpliwie.

XX.

Po opłaceniu „bramy“ nie zostało już profesorowi na dorożkę, a droga z Alei Jerozolimskich na Powiśle była daleka. Mściszewski odczuwał teraz po dwu wizytach i długiej rozmowie tak wielkie wyczerpanie, że staniał się na nogach, z trudem dźwigał głowę i doznawał chwilami zamroczenia. Pragnął tak bardzo spoczynku, że gdy schyliwszy się po laskę, upadł i przechodnie podnieśli go, zlorzeczył w myśli, iż nie zostawiono go na chodniku. Lepiej było skonać na progu tego jakiegoś banku o wielkich ciemnych oknach niż wlec się na Powiśle... Ach jakże błogo jest umrzeć, gdy ogarnie człowieka znużenie. Niema ani strachu, ani żalu. Czego miał żałować?... tych paru metrów kwadratowych asfaltu w jasnym kręgu latarni, na których rozściągnęło się stare, niedołęzne jego ciało. I czemuż jest to gasnące życie jego? Nieznośnem zmęczeniem, pożądaniem spokoju.

Powłókł się jednak dalej, choć za każdym krokiem zdawało mu się, że na następny nie znajdzie już sił. Szukał wciąż ławki, której nigdzie nie było, kamiennego słupka, jakie zdarzają się w bramach wileńskich, na któ

rym mógłby usiąść. Patrzył z niepokojem między dwa biegnące w noc, zwięzające się w oddali płomienne wstęgi latarni, które znaczyły drogę jego, ulice Warszawy wydawały mu się dziś wymarłe, długie bez końca, obce i wrogie. Ze zdumieniem i niepokojem spostrzegał chwilami, że kamienice chwieją się i pochylają ku sobie, że kołysze się pod stopami chodnik i umyka mu z pod nóg. Stawał wówczas i odpoczywał. W głowie nie było ani jednej myśli. Trwało tylko zdziwienie, że on tak głupio bał się śmierci, tyle miotał się i rozprawiał, gdy umrzeć jest zupełnie łatwo. Przychodzi wreszcie chwila, w której stare kości pragną już tylko wiecznego odpoczynania. — Niezadługo w pochmurne przedpołudnie listopadowe powiozą go rozbloconemi ulicami na Bródno. Będzie padał deszcz ze śniegiem, ksiądz w krótkiej, starej aksamitnej kapie ze stopni kaplicy pokropi trumnę i, spiesząc na obiad, odczyta krótką modlitwę... A o tym samym czasie w restauracji gość będzie długo zastanawiał się nad listą potraw, chłopaki rozbiegną się po mieście z „Wieczornym Kurjerem“ i płynąć będzie życie...

Gdzież jest groza śmierci?

Na Krakowskiem przypomniał mu się słoneczny marcowy poranek, gdy wymachując nową czapczką, dreptał za trumną ojca. Ściekały z długich sopli brylantowe krople, polśniewały złociście mokre kamienie bruku. — Z pod kół przejeżdżających powozów pryskało ciepłe błoto. Oczy dziecka oglądały z zachwytem wesołe tramwaje, ogromne domy, wielkie

szyby sklepowe. Na pogrzebie ojca syn śmiał się... Nad jego mogiłą nikt nie będzie śmiał się ani płakał. Jakie życie, taka śmierć. Życia nie było, a jest śmierć. Ale czemu nie było życia? Że nie zaznał szczęścia, że nigdy drogie ramiona... że tylko nienawiść, zawiść i gorzka złość — rozważał, idąc coraz raźniej, bo opuściła go już niemoc i krew biła do głowy nawalaniem myśli. Z radosnego chłopaka, który weselił się, idąc za trumną ojca, wyrósł człowiek zły, nieszczęśliwy, nieznośny. Nie wyciągnęły się do niego nigdy drogie ramiona i nigdy już, nigdy... Chyba tam, na drugim brzegu, gdzie palą się zorze, za oną wodą błękitną, do której tęsknił wciąż w gorączce, śniąc, że wykąpany w wodach błękitnych wróci do życia młody, radosny, dobry. Gdzież one wody? Niema ich nigdzie. Ubzdurało się staremu w chorobie...

Podniósł wzrok na nikle różowe obłoki, tułące się piśszczotliwie do złotej twarzy miesiąca. I jak zwykle, gdy patrzył w księżyc, zabrzmiał mu jej śpiew. Zatrzymał się, lecz nie odczuwał już zmęczenia... I naraz znowu otworzyły mu się oczy na wiekuiłą młodość i radość życia, na piękno świata, i znowu naraz wionęło mu skrós duszę tchnieniem otuchy poczucie, że choroba i znużenie, zgrzybiałość i smutek tkwiły jedynie w starem ciełe, które on niezadługo zrzuci jak płaszcz zimowy na wiosnę... że przebywa w nim zarówno, jak tam, w cudnych, niezmiernych, wiekuiстых niebiosach wiekuiста młodość, piękno i wesele.

— Tak. Oto są one wody błękitne — powtórzył kilka razy w myśli z uśmiechem niedowierzania i ruszył dalej.

Przed domem czekał na niego Andrzej Szydłowski.

— Ano, właśnie, właśnie ciebie chciałem koniecznie widzieć — ucieszył się Mściszewski — mam do ciebie prośbę.

Ale długi czas nie wypowiadał tej swojej prośby. Niepokoiły go jeszcze echa niepotrzebnych sporów, w których pokonali go po kolei obaj przeciwnicy: cyniczny obieżyświat, który niewiadomo poco przybył do Polski, i nieomylny dygnitarz-dogmatyk. Pokonali go przeciwnicy, ale on nie chciał przyznać się do porażki. Bankructwo ludzkości, suche drzewo życia, państwo, obowiązek, użyteczność, postęp, powszechny dobrobyt... Wielkie podczas dyskusji padały słowa. Ach, nie mówczy obowiązek, nie postęp i powszechny dobrobyt, lecz radość i uroda życia. Niema bankructwa! Jest żywe źródło, jest wiekuista młodość życia. — Z miłowania — radość, z radości — miłowanie. Wyśmialiby obaj przeciwnicy jego wody błękitne, żywe źródło miłowania, zwycięstwo nad śmiercią, wiarę w wiekuiste piękno i radość życia. Chrząknięcie Szydłowskiego, któremu sprzykrzyło się czekanie przed bramą, przywołało profesora do porządku. Wyłożył niechętnie sprawę swego testamentu, którego drugim wykonawcą mianował Andrzeja. Mówiąc, podnosił wciąż wzrok na księżyc.

— Wybór profesora nie jest najlepszy, lecz oczywiście nie śmiem odmówić. Zresztą przy

pomocy takiego Oselskiego — zauważył po wysłuchaniu długiej przemowy Szydłowski.

Profesor począł omackiem szukać dzwonek w murze, a znalazłszy dzwonek, usiadł na ławce, wskazał Andrzejowi miejsce obok siebie. I znowu spoglądał w księżyc, który, muskając złotem nikle, białe, szybko sunące obłoczki, płynął w objęcia ciemnej nieruchomej chmury.

— Ja także do profesora z prośbą — odezwał się Andrzej.

— Do mnie z prośbą? — zdziwił się Mściśzewski.

— Oto jest list. Proszę go wręczyć pani Padniewskiej... nie koniecznie jutro... rzecz nie jest pilna. Wyjeżdżam i nie będę miał sposobności — tłumaczył z zakłopotaniem. — Zresztą nie o ten list... Możeby profesor jako przyjaciel wejrzał w te sprawy. Pani Padniewska jest bardzo nieszczęśliwa w małżeństwie. Są przecież rozwody, ale ona przez zbytek gorliwości, przez dziwny pedantyzm, śmieszne skrupuły...

— Nie słyszałaś nigdy jej śpiewu? — padło niespodziewane pytanie.

— Nigdy.

Śpiew... Lipy kwitły w Siemenczycach, wielki księżyc stał nad drzewami ogrodu — zaczął opowiadać i umilkł naraz.

— Ona jest piękna i dobra, przede wszystkim niezmiernie dobra — rzekł jakby do siebie i pograżył się znowu we wspomnieniach.

— Kochasz? — spytał po chwili patetycznie, jak gdyby przedrzeźniając kogoś. I nie doczekawszy się odpowiedzi, zważył list na dłoni.

— Lekki jest, a mieści całe światy mądrości i nieprzebrane skarby. Znalazłeś drogę do nieba, młodzieńcze...

— Zgubiłem drogę, profesorze — mruknął Szydłowski.

— Ten idjota kazał ci iść za drzwi? była scena zazdrości? zrobił się skandalik — wypytywał skwapliwie i cieszył się profesor. — A może ona nie darzy wzajemnością?

— Nikt nie kazał mi iść za drzwi. Sam załamałem się. Kto inny umiałby wziąć — wybuchł i nie dokończył zdania.

— Czego się burzysz młodzieńcze?! Posiadłeś szczęście, cóż chcesz jeszcze zdobywać?...

— Pozwolenie kościoła — odparł drwiąco.

— Patrzcie, patrzcie! Żeniaczki się zachciewa kawalerowi. Tymczasem oblubienica należy do innego i jako posłuszna córka kościoła... Rozumiem...

— Może profesor wytłumaczy pani Padniewskiej — zawołał porywczo — że życie silniejsze jest niż paragraf, że kościół toleruje rozwodowe wybiegi, zwłaszcza gdy małżeństwo jest bezdzielne, że ona grzeszy właśnie cudzołóstwem...

Mściszewski śmiał się cicho, zjadliwie.

— Chcesz bym interwenjował. Nie jestem autorytetem w sprawach kościoła, nie lubię zaglądać do alkowy małżeńskiej... zresztą nie pierwszy i nie ostatni, młodzieńcze. Tyłu już cierpiało i przebywało tę samą chorobę. Zechciej, uniesiony namiętnością kochanku, uwzględnić, że człowiekowi dany jest rozum i siła woli, by rozumem i wolą pokonał grzeszne namiętności.

— I zabił życie paragrafem w imię bezmyślnego posłuszeństwa. Drzewo rozpuszcza się i zakwita na wiosnę.

— Drzewo się zieleni na wiosnę, a człowiek kocha, chcesz powiedzieć i masz rację. Dwie są, młodzieńcze, ważne sprawy na ziemi: miłość i śmierć, dwie sprawy.

Nastała cisza. Profesor mierzył wzrokiem ciężką i ogromną jak wieloryb chmurę, która zastoniła pół nieba i miesiąc.

Andrzej patrzył w ziemię.

— Zbyt wiele profesorze, wasze pokolenie myślało o śmierci, i dlatego zapewne my nie umiemy żyć.

Profesor zdjął kapelusz.

— Raczej zamało, kawalerze. Jeżeli ze śmiercią kończy się wszystko, życie nie ma sensu.

— Jeżeli życie ma treść i cel, jeżeli jest twórcze, to śmierć jest bez znaczenia... poprostu koniec... chodzi o to, by paść w boju.

— Młody jesteś, paniczu i dlatego pobrzękujesz szabelką, ale gdy komu kończy się bojowanie... Zresztą gdzież jest owa treść w życiu tego kołtuństwa — obruszył się profesor, wskazując rzędy ciemnych okien w kamienicy naprzeciwko — przez trzydzieści lat z teczką do biura, potem sprawunki, dziewczynki, albo ploczki, kawunia, Kurjerek. Oni dopiero przez śmierć poznają to, co jedynie ważne i radosne.

— Życie jest sprawą radosną i ważną.

Profesor badał znowu ciężką, ciemną podobną do ryby chmurę, której brzegi zaczęły się złocić.

— Życie, przyjacielu, lecz nie ożenek i miodowe miesiące — mruknął. — Życie, w którym bije żywe źródło. A wówczas i kelner Surówka i wszystkie te kołtuny... — zaśmiał się niespodziewanie. Wybyście chcieli życie smarować szczęściem, jak chleb masłem... Szczęście... Ile razy patrzę w księżyc, słyszę jej śpiew — uniosły go wspomnienia.

— Jej śpiew.

— I chciałbym przed śmiercią — mówił ze wzrokiem utkwionym w złotej tarczy miesiąca, który wypłynął już z za chmury — słuchać pieśni o szczęściu, którą ona śpiewała w Siemieńczycach.

— Profesor bywał w Siemieńczycach? — zdziwił się Szydłowski.

— Niby nie wiesz... Przyjeżdżałem tam każdego lata na wakacje dla lekcji literatury — ciągnął dalej profesor. Miałem wówczas 40 lat, ona 16. Nazywała mnie srogim mistrzem, gniewnym mędrcom, złośliwym przyjacielem. I nie z litości, nie z obowiązku, lecz z przyrodzonej potrzeby niesienia ludziom radości i pociechy opiekowała się kaleką, zabawiała, wozila na spacer, prosiła o głośne czytanie, o tak zwane uczone rozmowy. I nigdy nie okazała mi litości. Jak ona umie być dobrą! Jak umie weselić się! Stary kaleka i potwór postradał rozum, poznał rozkosz i piekło kochania. Innym wolno przynajmniej marzyć i cierpieć, ja nigdy nawet przed sobą nie przyznałem się do nieszczęsnego szaleństwa swego i tylko ukradkiem, w sekrecie wielbiłem jasność oczu moich i radość mego życia. Ileż byłoby śmiechu

ze starego koczkodana. A jednak przez to kochanie — niedokończył zmęczony, odpoczywał. — Poproś, by zaśpiewała ci tę pieśń... pieśń o pięknie, o wiecznej młodości, o szczęściu kochania.

Nastała cisza. Patrząc w księżyc, Mściszewski kotłował się powoli jak gdyby do taktu owej dawnej pieśni.

— Dokądże jegomość wyrusza? — spytał naraż, jakby zbudziwszy się. Dla kariery? Co? Do pracy? Kariery nie zrobisz, młodzieńcze. Jakąż wybierasz drogę?

Szydłowski siedział ze spuszczoną głową i długo nie odpowiadał.

— Nie wybrałem dotąd żadnej i wybrać nie umiem. Szukam wciąż jeszcze nie tyle z powodu kłótni wewnętrznej dwu sumień, ile z tem jest z gatunku nierobów. Wolałoby się naturalnie na wysokich stanowiskach, w zaszczytach, ale spróbuję w głuszy, dla mas, bo wszystko skupiło się w stolicy, bo wszystko dla elity — tłómaczył się niejasno — chciałbym zacząć robotę istotną... może poprostu skosić łąkę żyta — dodał.

— Trzeba go wprzód zasiać.

Andrzej wstał.

— A nie uważa profesor, że należałoby przed siewem puścić ogień na świat?

— Ogień puścić!... Nie każdemu jest danem ogień puścić.

Na chodniku z za rogu ukazała się czuła para, dziewczyna w jasnej sukni i ciemno ubrany młodzieniec, bez kapelusza. Szli trzymając za ręce, a kiedy stanęli w bramie, długo

tulili się do siebie na pożegnanie, mimo obecności dwu świadków. Panna zadzwoniła.

— Dwie są ważne sprawy młodzieńcze: miłość i śmierć... Tam gdzie jest miłowanie, tam nie masz śmierci — profesor znikł za panienką w bramie.

XXI.

Tego dnia u Józka odbyło się śniadanie na cześć Piotra Wielkiego, oraz dwu prezesów: Zioleckiego, który przeżył niedawno ciężką operację i Karlińskiego.

Mieszkanie przybrało wygląd świąteczny. — Z kandelabrow zdjęto różowe muślinowe zasłony — z mebli pokrowce, stare srebra polyskiwały na kredensie, kucharz i ciotka spisali się doskonale, starka przysłała przez matkę z Jurkowiec, wprawiła w zachwyty Karlińskiego, mimo to atmosfera, zdaniem Józka, była ciężka i głównie z winy Choroszewskiego oraz żony. Choroszewski, który nie znosił Karlińskiego i Zapłątowicza, nie ukrywał bynajmniej niechęci i lekceważenia, żona zaś zamysłona, roztargniona, prawie niegrzeczna nie zabawiła zupełnie prezesów. Wyręczył ją siwiejący, podobny do żyda pan o grubych ustach, bardzo zapalczywy i napastliwy, który gorszył się wszystkim w odrodzonej Polsce i z powodu właściwości wiecznego oburzania się zyskał nazwę samowarka. „Gdy się buduje most, sprawy techniczne rozstrzygają nie robotnicy głosowaniem, ale fachowi inżyniero-

wie. Trudniej budować państwo niż most“ — zawrzał gniewem, gdy towarzystwo przeniosło się do salonu.

— Minęły czasy robienia polityki w przedpokojach petersburskich — ni w pięć ni w dziewięć zdaniem zapożyczonem z socjalistycznego repertuaru Wodeckiego odpowiedziała ciotka.

Śród ciszy, która nagle uczyniła się, dał się słyszeć dzwonek. Służący poszedł otworzyć i razem z kawą czarną przyniósł na tacy bilet wizytowy od pana, który czeka na schodach. Rzuciwszy okiem na bilet, Inia porwała się z miejsca do drzwi, ale natychmiast wróciła do marmurowego stołu i zajęła się nalewaniem kawy czarnej, gościa zaś poleciła przeprosić...

Choroszewski spostrzegł niezwykle wzruszenie gospodyni, ciekawa ciotka zapytała o nazwisko owego gościa i nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Zaległo milczenie, uwaga zebranych skupiła się na pani domu, której Wacek lokaj podawał właśnie paczkę zawiniętą w gazetę... Jeszcze parę mgnień trwało milczenie. Na szczęście grubousty, gorąco kąpany pan, wyczerpawszy sprawę demokracji, programów szkolnych i obowiązkowego na pensjach żeńskich czytania utworów Żeromskiego, zatrzęsł się na wspomnienie wyprawy Kijowskiej.

— Może dałoby się unieszkodliwić wściekłych ryzykantów przy pomocy szczepionek pasteurowskich — spytał poseł Zapłatowicz.

Ziemiańskie wybuchli śmiechem, gospodyni śmiała się także, jakkolwiek nie słyszała dowcipu. Położyła obie ręce na paczce, by ukryć

dziennik pana Andrzeja przed wzrokiem Choroszewskiego, który zwracając na nią raz po raz zimne oczy, tłumaczył pokornemu Brzóz-kowi niebezpieczeństwo propagandy bolszewic-kiej. Choroszewski mówił głośno, Józek ku ucieście ciotki i wuja Karola udawał żyda na polowaniu, prezes Ziółcecki, posilony kawą, zawołał do posła Zapłątowicza na cały pokój: pokażcie mi państwo drugi kraj rolniczy, gdzieby tak niedoceniano rolnictwa, na co pan poseł zauważył zjadliwie, że niema też kraju, gdzieby rządy oddano w ręce spiskowca-socja-listy.

Inia w ciszy, która nastąpiła dla niej od chwili, kiedy zabrzmiał dzwonek i trwała mimo ożywionej w salonie rozmowy, zastanawiała się nad znaczeniem tej niespodziewanej wizyty. Z czym przyszedł? Z pożegnaniem czy dla przełamania jej uporu i przesądów. Może odgadł, że od ostatniego spotkania codziennie pisała do niego listy wielce żalose, że codzien-nie chciała telefonować, by cofnąć rozkaz opu-szczenia Warszawy... Może dowiedział się, że wysiadywała u Łuszczczyńskich, żeby się go tam doczekać, że chodziła na Ordynacką, że nieraz już była w jego ministerstwie... Z czym przy-szedł? Przeczucie mówiło jej, że nie usłuchał jej prośby. Ach jakże kochała go za to niepo-słuszeństwo, jak lubiła jego gniew, upór, za-wziętość! Gonila za nim myślami i marzeniem, wołała za nim, zwracała się do Jędrka, jak nazwała go dziś w myśli poraz pierwszy w po-kornych, tkliwych słowach, żeby mu wytłoma-czyć, dlaczego nie mogła go dziś przyjąć. Ale

czy nie mogła? Znowu stanął między niemi świat konwenansu, jej fałszywy wstyd. Dlaczego kazała mu odejść od drzwi? Mogła wprowadzić do jadalni albo nawet do swego pokoju, wyjść na schody, umówić spotkanie w cukierni, w Łazienkach. Odszedł od drzwi urażony i gdzie go teraz szukać? jak przeprosić?

Po wyjściu gościa wybiegła na miasto, szukała pana Andrzeja do wieczora, u Łuszczyńskich i u Teosia, na Ordynackiej. I nie spotkała już nigdzie. Nazajutrz otrzymała z poczty krótki suchy list, donoszący o wyjeździe z Warszawy. Nie podał adresu. Spełnił dosłownie jej życzenie...

„Albo pani pójdzie dziś ze mną albo zniknę na zawsze“... Dopięła swego. Oddaliła od niego niebezpieczeństwo (może urojone) od siebie — grzech, może urojony, zastosowała się do wskazówek spowiednika. Był to budujący przykład posłuszeństwa wobec kościoła oraz zwycięstwa nad pokusą. Lecz przykładowemu zwycięstwu nie towarzyszyły ani podniesienie na duchu ani zadowolenie. Przeciwnie, cnota tego narzuconego sobie posłuszeństwa raziła ją fałszem, cnota sprowadziła nieznaną stan czczości, zniechęcenia, nudy i rozleniwienia. I jeszcze raz wypadło jej stwierdzić, że ona jest niezdolna do życia, że umie tylko kochać, że poza panem Andrzejem, poza tem uczuciem nie było dla niej na ziemi żadnego celu. Dawniej budziła się ze słodką nadzieją spotkania pana Andrzeja, wczoraj jeszcze mimo przestróg rozsądku, roztropnych postanowień marzyła o ucieczce z domu, o wyjeździe w świat, o nowem życiu

z panem Andrzejem, i toczyła walkę z marzeniem, z pokusą, prowadziła w myśli zaciekle spory z niedowiarkiem i buntownikiem, przekonywała siebie i jego, że nie może być inaczej, niż jest, dzieliła z nim każde wrażenie i spostrzeżenie, z myślą o nim zachodziła do kościoła, kupowała kwiaty i gazety, zaprawiała się do pracy społecznej, uczyła się pisać na maszynie, zwiedzała kamienicę Baryczków, wystawy obrazów, podziwiała różowe piwonje w ogrodach, jego głos słyszała w potężnym wrzasku orkiestry, w śpiewie kościelnym, w szumie wysokiej topoli w Łazienkach, dla niego śpieszyła na miasto, by szukać ulic, któreimi on chodzi, spojrzeć w Ordynacką, przejść obok domu jego lub gmachu ministerstwa skarbu... Był w Warszawie i trafił mógł zdarzyć... Obecnie, odkąd odjechał, odkąd straciła go na zawsze, nie było poco wstawać, ubierać się, wychodzić na miasto, każda sprawa nie miała już sensu, wszystko było niepotrzebne, i przede wszystkim zbytecznym stało się istnienie, dla którego teraz właśnie zaczęła szukać celu, jakkolwiek zgóry wiedziała, że celu nie znajdzie, bo opuściła ten brzeg a nie doплыnęła do tamtego. Tak, opuściła ten brzeg, lecz nie doплыnęła do tamtego jak pani Janicka. Stąd stan obcości, osamotnienia, oddalenia. Życie stało się niezmiernie odległym i nierzeczywistym, ludzie zaś zgola jej nie obchodzili, wszyscy bez różnicy: Teoś, nudna ciotka, gadatliwy Józek, zapalona Ania i nieszczęśliwa Różia, nawet drogi Sawa byli jedynie cieniami, których obecność spostrzegała o tyle, o ile działali jej na

nerwy, których zniknięcia zaś byłaby na pewno nie zauważyła. Nie przerwała zajęć. Dawała lekcje francuskiego „ptakom“ ciotki, czytała ślepym żołnierzom, pielęgnowała chore dzieci Zubrzyckich, opiekowała się Rózią, Łaniewskimi, starym Ścigalskim, całym wogóle „pogotowiem“ Sawy, wysiadywała na kursach pielęgniarstwa, lecz praca ta była martwa, bo martwym było serce, dawniej pełne współczucia, życzliwości, przyjaźni. W religji nie umiała znaleźć pociechy. Zachodziła z przyzwyczajenia do kościoła ale skoro zasiadła w ławie, natychmiast wypływało w pamięci jakieś „kanciaste“ zdanie z dziennika pana Andrzeja, a wówczas zaczynała ponownie rozstrząsać jego niepokojące wyznania, bezwzględne sądy, bluźniercze dociekania, starała się zgłębić je i usprawiedliwić. Nie zawsze bowiem rozumiała swego mistrza i rzadko się z nim zgadzała. Nie mogła uznać ani religji jego ani patriotyzmu. Dlaczego zwalczał Kościół, potępiał wojsko i państwo? Albo jak wyglądałby świat, gdyby wszyscy wyrzekli się własności, ustała praca w fabrykach, zamarło życie w wielkich miastach? Zdawało się jej, że pan Andrzej wikła się w sprzecznościach, zwłaszcza gdy pisał o szczęściu, odrodzeniu chrześcijaństwa, o trudzie. Ocknąwszy się z zadumy na widok zdążającego do konfesjonatu księdza w komży, otwierała prędko książkę do nabożeństwa, bo przypominał się jej doktor Mojkin, okropny ex-ksiądz i jego bluźnierstwa, Boga niema! Boga niema? Dla ziarna, które obumrze i nie wszędzie, nie istnieje

słońce, są obumarłe dusze — uspakajała siebie porównaniem, które wydawało się jej niezmiernie trafnem, i zaczynała pacierze. Modlitwy były te same, które od wielu lat powtarzała co rano, lecz dawny Bóg, któremu w dzieciństwie zwierzała smutki swoje, winy i marzenia, który w starym ciemnym, drewnianym kościółku Siemieńczyckim przebaczał grzechy i przychyłał się do jej dziewczęcych próśb, dziś nie słyszał jej wołania, nie widział łez, nie miał zmiłowania. Jakim był Bóg dla niej, taką ona stała się dla otoczenia.

Dawniej, gdy poczuwała się wobec męża do winy, usiłowała tę winę swoją zmasać dobrocią, starała się polubić męża i jego dom, zainteresować się jego życiem, wędrowała z nim po antykwarniach, szukała okazynego żyrandolu i jakichś ram stylowych, śmiała się, kiedy udawał żyda i dokuczał ciotce, nawet przeglądała jego płodozmiany i listy do rządców, ale, odkąd bezgrzeszne sumienie nie miało jej nic do wyrzucenia, nie mogła poprostu znieść śpiesznej, zająkliwej, sepleniącej mowy, odstających uszu Józka, jego żartów z ciotki, rozpraw politycznych i odwracała się z odrazą od męża, uciekała z domu do Teosia albo do Sawy i siedziała tam do późna sama w ciemnym pokoju z gorzkimi myślami swemi, które wybiegały w ciemną przyszłość, daremnie szukała wśród nudy i pustki zbytecznych dni punktu oparcia i pociechy. Dla kogo ma żyć? Dla męża? Dla świata? Dla Boga, jak pouczał ksiądz? Książki piszą o szczęściu, jakgdyby szczęście rosło i kwitło na miedzach. Księża

mówią o cierpieniu i ofierze. A życie jest kochaniem, ludzie żyją kochaniem. Gdy umrze kochanie, ustaje życie. Tego nie powiedziała spowiednikowi, ani tego także, że nie należy do dusz wybranych, że nie potrafi zbudować sobie nowego domu na Górze świętej. Nie można tą samą miarą mierzyć wszystkich ludzi, Kościół powinien uwzględniać... Jakkolwiek sprawa jej zdawała się przesądzoną, nasuwały się zawsze jeszcze wątpliwości co do cnoty posłuszeństwa a zwłaszcza owego przestarzałego, łamiącego szczęście przykazania. Iluż znała takich, którzy nie dali się złamać. Istnieją rozwody, świat toleruje romanse. Trzeba albo spalić mosty za sobą albo stanąć mocną stopą na drodze, którą wskazał spowiednik. Rozumiała w zasadzie wyższość cnoty, rezygnacji, ofiary, uznawała konieczność cierpienia, lecz dla siebie żądała wyjątku. Bo okazała się istotą słabą, pustą, bezradną. Taką stworzył ją Bóg. Pan Andrzej miał słuszość. Tu chodzi nie o szczęście ale o istnienie. Tu trzeba ratować się od śmierci głodowej. Prawo do życia jest silniejsze niż martwa formuła. Pan Andrzej miał słuszość. I nieraz już gotowa była usłuchać pana Andrzeja, opuścić dom męża, prosić Sawę o pomoc w procesie rozwodowym ale w ostatniej chwili ogarniał ją lęk, odzywał się rozsądek. Dokonywało się w niej wówczas jakgdyby obliczenie zysków i strat. Z jednej strony był Kościół, świat, Sawa, stanowisko, dostatek, stosunki, słowem wszystko, do czego przyzwyczaiła się, w czem wyrosła, z drugiej — ciemność. Gdybyż tam

po drugiej stronie był on i miłość! Ale tam była ciemność. Rozwodu dla niej niema, kochanką jego nie zostanie, tkwi w niej jakaś moc czy słabość, których nie może pokonać. Dokąd tedy ma iść? Na tamten brzeg, do pani Janickiej? Bo albo żyć w szczęściu albo zatracić siebie w miłowaniu Boga i bliźniego, w pracy, w poświęceniu. Ponieważ wyrzekła się szczęścia, została tylko drogą ofiary. Silni ludzie z cierpienia czerpią moc, mądrość i miłowanie, tymczasem ona w cierpieniu okazała się złą, samolubną, chwiejną, ona jest z tego brzegu, ona pragnie szczęścia, kochania, życia, radości, nie umie żyć bez radości.

Zamarło w niej źródło, z którego biła radość, niema dla niej miejsca ani wśród tych, którzy odważnie walczą o prawo do szczęścia, ani między tymi, którzy przepłynęli odmęt niedoli. Jakąż wybrać drogę? Nie widząc żadnej przed sobą drogi, żyła z dnia na dzień, odkładając decyzję na później, rada, że z dotychczasową formą istnienia wiąza ją różne niepokojące sprawy, że Sawa prosił, aby odłożyła separację aż do powrotu jego z Ameryki, że wypadło teściową oględnie uprzedzić, że dzieci czekają na obiecaną kolonję w Kowalewie, że trzeba Rózię odwiedzać w szpitalu. Przebywała w dawnym świecie ale patrzyła na siebie, na świat i ludzi oczami pana Andrzeja, jakkolwiek nie mogła uznać trudnych prawd jego, przejść bez zastrzeżeń na nową wiarę.

Dlatego tak nieznośnie ciążyło jej życie, stąd rozterka i ukryte na dnie serca pragnie-

nie, ażeby przeminąć, jak Siemieńczyce, jak one dawne wody wiosenne, których wzburzonego szumu słuchała w altance. Nigdy jeszcze dotąd nawet podczas tułaczki, podczas choroby matki, ani po śmierci matki, w najcięższych dniach nie wzywała śmierci, nie była tak niezdolną do walki życiowej, tak bez nadziejnie samotną na świecie i obcą wszystkiemu. Zmieniła się fizycznie.

Chodziła po mieszkaniu i po mieście wolnym, sennym krokiem, zgarbiona i zestarzała z „nastraszoną szerścią“, podług określenia Sawy. Znajomi zapytywali ją, czy nie jest chora, odpowiadała wówczas zwykle, że źle znosi upały, że oddawna lata nie spędzała w mieście, że dostała ataku neurastenji... Wszyscy chcieli ją leczyć. Każdy inaczej. Podczaski oddawał jej do dyspozycji cały swój „pałac“ w Kaczkowie, o ileby zgodziła się naznaczyć tam swemu ukochanemu schadzki, brat twierdził, że chora jest na nostalgię, że tylko Siemieńczyce i szum drzew rodzinnych mogłyby ją uzdrowić, i pochylając się do ucha szeptał, jak niegdyś w dzieciństwie stryj Onufry „zapomnij, zapomnij“. Dobry brat woził ją codziennie na spacer, dawał pieniądze na kwiaty, czekoladę, fatalaszki, pan Maciej prowadził ją na spacer do Łazienek, by przekonać panią dziedziczkę, że i w mieście można cieszyć się latem, pokazywał nowe albo odnowione gmachy rządu, którymi chlubił się jak własnym majątkiem. Ania ciągnęła ją na wiece, ciotka posyłała ją do księdza Paciorowskiego, zносиła przysmaki, wtykała jakąś

ręczną robotę, tylko Józek stał się znowu dokuczliwy, a zarazem jakiś niezwykle tajemniczy i częstował ją od czasu do czasu dwuznacznymi niepokojącymi półsłówkami.

— Twój gagatek znowu bruździ — powiedział raz.

— Zechciało się tobie jagódek, a ja mam za to pokutować — odezwał się innym razem.

— Co masz na myśli? Co się stało? Kto bruździ? jaka pokuta? — spytała ostro.

— Nie mogę ci nic więcej zdradzić... posłyszysz może niedługo — rzucił i pobiegł do telefonu, by poraz czwarty próbować rozmówić się z Piotrem, którego telefon był stale zajęty.

Odczuła przejmujący chłód, jak zwykle, gdy zakradał się niepokój o kogoś bliskiego, w niepokoju poszła instynktownie do pieca, oparła o zimne kafle gorące dłonie.

Doleciał ją koniec rozmowy.

„Miałem odpowiedź... dziś o piątej, doskonale... o piątej, doskonale“ — dziękował Józek.

Wróciwszy od telefonu, plątał się po pokoju, krążył koło niej, poprawiał krzywo wiszące obrazy, patrzył raz poraz na zegarek, zdradzał zdenerwowanie. Poznała, że chciałby mówić, że ma jakiś ważny sekret na końcu języka.

— Nie wybrałabyś się do Jurkowiec. Bardzo przydałyby ci się rekolekcje w towarzystwie mądrej i świętej niewiasty.

— Wiesz, że teraz nie mogę, najpierw kolonje.

— Jeżeli już uprojektowałaś sobie rozwodzik, należałoby wprzód z mężem pogadać.

— Skąd znowu o rozwodzie?!

Józek z rękami w kieszeniach rozstawił szeroko nogi, uśmiechnął się dowcipnie.

— Nie starasz się o rozwód? Co?

— Nie staram się — powtórzyła z rozdrażnieniem.

— W takim razie — nie dokończył i spojrzawszy na zegarek, wybiegł do swego pokoju.

— Co w takim razie? Zaczynasz i nie odpowiadasz!... dokąd tak spieszysz? pytała, idąc za nim.

— Nie powiem... postyczysz może...

Zmienił prędko białą marynarkę, którą nosił w domu w upały, na ciemną, wziął garść papierosów, szukał w szufladzie, w pugilaresie, w kieszeni, spostrzegła, że wziął do kieszeni rewolwer. Tym rewolwerem pogroził jej wychodząc.

— W ostateczności to jest najlepszy argument — rzucił jeszcze od progu.

Chciała wołać za nim i pytać, chciała biec, lecz zatrzasnęły się już za nim drzwi. Odgadywała przeczuciem, że coś rozgrywa się i rozstrzyga, że Andrzejowi teraz naprawdę grozi niebezpieczeństwo, że trzeba go ratować, spieszyć mu natychmiast z pomocą. Przejęta trwożą, stała bezradnie pośrodku pokoju męża i bezmyślnie słuchała kłapania na maszynie... Biegły na nią te trzaski i uciekały chichocząc... Może panna Irka coś wie? Już miała iść do panienki i pytać o szefa, gdy zauważyła na amerykańskim biurku, które Józek zapomniał w pośpiechu zasunąć, kopertę zaadresowaną pismem pana Andrzeja.

Bez wahania poszła do biurka, ale gdy wzięła do ręki list, nie mogła zrazu zdobyć się na odwagę odczytania go i dopiero, kiedy maszyna umilkła, kiedy odczuła na sobie zdumiony wzrok panny Irki, dopiero wówczas śmiało włożyła list do torebki.

— Niczego nie szukam — odparła pannie Irce i wysunęła się na korytarz i do salonu, by tam odczytać owe pismo.

Andrzej prosił w niem kolegę o wyznaczenie mu spotkania bez wiedzy żony i poza domem. Łatwo było domyślić się, że Józek udał się właśnie na to spotkanie z rewolwerem, że Choroszewski był o niem powiadomiony. Postanowiła odszukać, stanąć między nimi, nie dopuścić.

Śpiesznie wyszła na miasto, jakgdyby już znanem jej było miejsce spotkania, skierowała się w stronę planu Trzech Krzyży i na Jasną. Było gorąco. W spłowiałych niebiosach tkwiły ciężkie upalne chmury.

XXII.

List Szydłowskiego bardzo przestraszył i ziryutował Józka przed tygodniem. Z listem tym pobiegł odrazu do żony jako winowajczynie, żeby oświadczyć jej, że umywa ręce, że wyprasza sobie mieszanie jego osoby do całej tej romansowej „chryji“, ale że żony nie było w domu, w salonie zaś odbywała się pod przewodnictwem Choroszewskiego naftowa konferencja, poprosił doświadczonego w sprawach honorowych kuzyna na poufną naradę, podczas której zaznaczył, iż jego zdaniem, najlepiej zbyć głupi list milczeniem. Tymczasem Piotr Wielki był odmiennej opinji. „Chowają się tylko ci, którzy mają nieczyste sumienie. Ty powinienes stanąć z otwartą przyłbicą z podniesionem czołem, na udeptanej ziemi... i przygwoździć, a gdy ten ośmieli się pisnąć, wówczas faceta — za kołnierz i kolanem“... Józkowi nie podobały się bojowe wyrażenia, tem więcej, że nie wiedział, co ma przygwoźdzać i na czem wogóle przygwoźdżanie polega, zastosował się wszakże do wskazówek specjalisty w sprawach honorowych, który w dodatku oddał mu do dyspozycji swój gabinet, oraz obiecał czuwać w pokoju obok, ażeby

interwenjować i w razie potrzeby oddać ptaszka w ręce policji. Licząc na pomoc znanego z odwagi kuzyna, Padniewski udał się na Jasną pełen rycerskiego animuszu, ale męstwo opuściło go, skoro dowiedział się od starego Tomasza, że jasnie pan został niespodziewanie wezwany do senatora i wróci dopiero za pół godziny. Ponieważ biła piąta i Szydłowski mógł być już na schodach albo w bramie, nie wypadało cofnąć się. Poprawiwszy włosy przed lustrem w ciemnym i ciasnym przedpokoju, ruszył do gabinetu z uczuciem przykrego drżenia kolan. Zazdrościł zwykle Piotrowi jego gdańskich szaf, sztychów i tekińskiego dywanu, zbroji i minjatur, dziś nie rzucił nawet okiem na ściany, ale usiadłszy zamknął oczy dla lepszego skupienia i z zamkniętymi oczami w posepnym nastroju rozważał różne ewentualności nieuniknionego spotkania, oraz przypominał sobie Piotrowe pouczenia. Pewną pociechą była mu myśl, że w razie pojedynku sąd honorowy napewno odmówi Szydłowskiemu prawa do satysfakcji, ale z drugiej strony należało przypuszczać, że taki awanturnik i bolszewik gotów zrobić mu, nie licząc się zupełnie z kodeksem honorowym, na który oczywiście gwizdał, burdę na ulicy, w teatrze, albo poprostu dziś tu w tym gabinecie strzelić w łeb, zanim Piotr nadbiegnie... Mógłby doprawdy Piotr dotrzymać słowa i odłożyć swego senatora na później — trapił się, wodząc obojętnym wzrokiem po zbrojach. Spojrzawszy na dużą fotografię matki Choroszewskiego czyli tak zwanej „imperatorowej“, pomyślał

o własnej matce, której modlitwy tyle już razy okazały się skutecznymi... podczas egzaminów, na wojnie, w chorobie, podczas długich targów o Kowalewo. Dlaczego nie prosił jej by westchnęła za nim dziś o tej godzinie!...

W tej chwili rozległ się dzwonek i zaraz potem ukazał się we drzwiach Szydłowski z książką w ręku. Utkwiwszy spojrzenie w żółtych zakurzonych butach wchodzącego, Józek zasiadł głębiej i solidniej w fotelu i, unikając wciąż wzroku gościa, wskazał mu miejsce po drugiej stronie stołu. Milczenie trwało kilka chwil, żaden z kolegów nie chciał odezwać się pierwszy. W podwórzu trzepano dywany, złowrogo furczał gdzieś daleko, wysoko samolot.

— Kuło się niegdyś chemję organiczną, zdawało się colloquia... Pamiętacie pięknego, srogięgo Rogójskiego. Miałem z nim przeprowadę, dobre były czasy! — pojednawczo zaczął Józek, żeby udobruchać przeciwnika, odsunąć niebezpieczeństwo, odczekać.

— Dawne dzieje...

— Człowiek młody był. Dziś tylko patrzeć. jak starość ogarnie — podniósł ostrożnie wzrok na gościa i z zadowoleniem zauważył, że ten zapewne z tremy wciąż nerwowo rusza wargami.

— Kolega to naprawdę zupełnie się nie zmienił mimo tylu lat na wojence.

Gość lekceważąco machnął ręką. Teraz Józek troskliwie spytał o zdrowie, następnie, czy na stałe osiadł w Ostrowie, skąd wysłany był list, poczem wypowiedział kilka przygodnych uwag na temat odrębności Wielkopolan i niechęci ich

do „galicjaków z Kongresowy“. Szydłowski mówił zrazu niechętnie, szorstkimi, krótkimi zdaniami, lecz niebawem rozkrochmalił się i nawet jakby z zajęciem słuchał rozwlekłych biadań Padniewskiego nad lichym stanem budynków w Kowalewie, gdzie właśnie żona miała spędzić wakacje z całą czeredą dzieci.

— Postawiła mi ultimatum: albo nie wyjedzie zupełnie albo z kolonją. Musiałem się zgodzić... Takie już moje szczęście! Siostra i żona chciałyby wszystko dla ojczyzny, dla ludzkości, dla narodu. Tu Padniewski urwał, spostrzegłszy po niewczasie, że nadał rozmowie charakter zbyt osobisty. Zapalił papierosa, poczęstował gościa, który odmówił. Zaległo milczenie. Gość przewracał machinalnie stronicę książki.

— Pozwoliłem sobie prosić pana o chwilę rozmowy — odezwał się, chrząknąwszy. — Pan zapewne domyśla się, że chcę mówić o żonie pana — Szydłowski znowu chrząknął.

Padniewski spuścił oczy, poprawił się w fotelu i, zgasiwszy papierosa, położył dłonie na skórzanych oparciach klubowego fotelu. W tem miejscu należało wypaść buńczucznie i spytać gościa, jakim prawem wtrąca się do spraw osobistych, a gdyby ten „ośmielił się pisać, miał wziąć go za kołnierz i kolanem“...

— Przygotowany jestem zgóry na zarzut, że nie wolno mi mieszać się do stosunków rodzinnych, stawać między żoną a mężem — nieśmiało ciągnął dalej kolega. — Odpowiem na to, że istotnie prawa nie mam, ale są wypadki, w których człowiek nie ogląda się na prawa...

Widząc, że groźny awanturnik i bolszewik zachowuje się przyzwoicie, Józek pragnął obecnie, by Choroszewski, zwolennik taktyki otwartej przyłbicy i przygwałdzania nie wracał.

— Żona pana jest nieszczęśliwa, lecz nie odważa się rozpocząć nowego życia — wypalił gość i czekał na odpowiedź.

— Nie krępuję w niczem żony mojej — łagodnie oświadczył mąż i urwał, spostrzegłszy zaś, że gość czeka na wyjaśnienie, dodał: — Zajmuje pokój w mieszkaniu mojem, siada do stołu, nosi moje nazwisko, poza tem wolną jest...

Szydłowski podniósł wzrok, spojrział uważnie koledze w oczy.

— Pan mnie źle zrozumiał. Pragnąłbym jedynie zwrócić uwagę na stan pani Ini, na duchową stronę... — Szydłowskiemu brakło wyrazów.

— Wszyscy widzimy w Ini zmianę... Jest jakaś złamana, zrozpaczona — dobrodusznie potwierdził mąż.

— Trzeba działać, ratować. Tu chodzi o życie! wszystkie inne względy powinny ustąpić — wybuchnął Szydłowski. — Nie stuła księdza, ale miłość wiąże męża i żonę. Żona pana sama nie ma odwagi zerwać małżeństwa, ale napewno wdzięczna byłaby za rozwód, gdyby pan wziął tę sprawę w swoje ręce. Nie wiem, czy tę samą dla pana mają wagę przepisy religji.

— Jestem religijny — stanowczo stwierdził Józek, wspomniawszy na matkę.

— Religja wymaga życia według zasad moralnych, ale nie samoudręczenia ani obłudy —

głośno zaczął Szydłowski, lecz natychmiast zniżył głos. — A trudno chyba nazwać małżeństwem związek, gdzie jedyną wspólnością jest nazwisko. Widziałem żonę pana przed kilku laty, pełną radości i woli życia, pełną zapału i młodości — dziś został z niej jedynie smutny cień.

— Źle dobraliśmy się, ale żona moja nigdy jeszcze nie prosiła mnie o rozwód — uprzejmie usprawiedliwiał się mąż.

— Bo przytłoczona katechizmem nie ma odwagi z tem wystąpić, lecz gdyby pan rozpoczął starania, przyjęłaby napewno z rąk pana rozwód ze szczęściem.

W tej chwili dyskretnie otworzyły się drzwi i na końcach palców weszła z papierami w rękę biało ubrana złotowłosa panienska niezwyklej urody. Spojrzenia panów skierowały się na wchodzącą, pomimowoli śledziły z zachwytem każdy jej ruch, podziwiali wdzięk ślicznego zjawiska. W dusznym i ciemnym, zastawionym ciężkimi klubowemi fotelami, gabinecie zdawała się uosobieniem wiosny i radości. Była tak piękna, że w jej obecności musiały ustać wszelkie zatargi, ustąpić złe myśli, gniew, zawziętość, nienawiść.

Rozmowa umilkła. „Piotr ma szczęście!“ — pomyślał Padniewski. Andrzejowi, który poznał w niej siostrę Sporzyńskiego, uczyniło się żal dziewczyny, złapanej w sidła bogatego Don Juana.

Panienska położyła na biurku dwa listy, wzięła z półki gruby zakurzony tom, upuściła i wnet podniosła z ziemi, przyczem zaśmiała się sre-

brnym dziecinnym śmiechem i wyszła, nie patrząc na gości. Obaj panowie spojrzeli w drzwi, za którymi znikła urocza dziewczyna, potem w zasłonięte ciężkimi portjerami okna.

— Gorąco tu i duszno — zauważył Józek i wstał. Postanowił zakończyć rozmowę bez udziału Choroszewskiego. Gość podniósł się także z miejsca.

— Pomówię z matką. Ale mater, matka — poprawił się — będzie się z pewnością sprzeciwiała.

— Nie matka, ale państwo muszą dźwigać ciężar i fałsz chybionego życia i małżeństwa — wyjaśnił gość, biorąc ze stołu swoją książkę.

— Nie taki djabeł straszny! — zażartował Józek, pewny już przewagi swojej nad zupełnie niegroźnym kolegą.

Chwilę stali obok siebie. Rozdzielili ich promień słońca, który prześlizgnął się szparą między ciężkimi portjerami i kładł się na biurku, na papierach, na stole złotą wąską smugą.

— Wy obracacie to w żart, a to może źle się skończyć.

Ostatnie zdanie, jakkolwiek wypowiedziane raczej cicho, zaniepokoiło Józka. Spojrzał znowu na zegarek.

— Niestety, mam za chwilę ważną konferencję.

Wyszli razem do przedpokoju i na ulicę, minęli młodego wojskowego w binoklach, który w bramie nerwowo przechadzał się tam i z powrotem.

Gdy Inia w kilka chwil potem stanęła przed drzwiami Choroszewskiego, tkwił tam młody

porucznik. Czekali oboje cierpliwie na otwarcie drzwi.

— Nie dzwoniłem jeszcze — nieśmiało zauważył wreszcie wojskowy.

Wówczas ona zadzwoniła. Ale stary Tomasz, który zjawił się natychmiast, nie chciał ich puścić, zwłaszcza porucznika.

— Panna zajęta. Jaśnie pan zakazał — tłumaczył stary służący, przestępując z nogi na nogę i spoglądając z obawą w stronę gabinetu.

Ale po chwili biało ubrana panienska wyszła do przedpokoju z ustami pełnemi cukierków. Zostawiła drzwi do połowy otwarte. Widać było przez nie część zasłanego obrusem stołu, ogromne pudło cukierków, truskawki na talerzu i rękę, dolewającą do kieliszków zielony likier.

— Nie mam dziś czasu do 8-mej. Mówiłam, byś nie przychodził — gderiała narzeczonego czy brata panienska.

XXIII.

Choroba, którą Sawa określił jako nostalgię za wsią i przeszłością, za szumem rodzinnych drzew, nie mogła minąć w Wielkopolskiej rezydencji męża, w Kowalewie, gdzie, zdaniem Ini, nie było ani dworu, ani tradycji, ani nawet wsi. Położona między szosą a brukowanym podwórzem gospodarskim, w płaskiej, nudnej okolicy murowana piętrowa, pomalowana na szaro z pretensjonalną wieżyczką kamienica, zwana pałacem, przypominała dworzec w powiatowym mieście; młody, okolony siatką ogród, zwany parkiem, gdzie umiejętnie wyzyskano każdą piędź ziemi pod warzywa, porzeczki i sad, mało dawał cienia i ciszy. Niskie, obce drzewa miotały się na wietrze, który wiał prawie bez przerwy, w podwórzcu po bruku dudniły wozy, szosą raz po raz przelatywały, wzbijając obłoki białego kurzu, samochody. W „pałacu“ natomiast panowały cisza i pustka. Zdawało się Ini, gdy echo samotnych jej kroków rozlegało się w wielkich, zimnych pokojach niezamieszkałego domu, że nie odezwie się tu już żadne wspomnienie, że oddaliła się na zawsze od szczęścia i niedoli, znalazła się na tamtym brzegu, że między nią a przeszłością wyrosła

ściana i że właśnie tu, w tem nowem całkowicie i obcem miejscu, przygotować się może do tego jakiegoś nieokreślonego nowego życia, na które czeka oddawna, przerobić siebie z gruntu, wyleczyć się z niemocy. Nie brakło jej najlepszych chęci.

Zajęła się z zamiłowaniem dziećmi, polubiła brzydką, chudą Józję o wystających zębach, małą krzywonogą grubaskę Felę w zielonej włóczkowej czapce i zielonym sweterku, z którym dziecko nawet w upały rozstać się nie chciało, i Stasia o dużej oblezionej głowie i sierotę z Petersburga, który miał smutne oczy i bladą twarz, polubiła wszystkie razem i każde z osobna, umiała zająć je i zabawić, trafić do serca i przekonania, wzbudzić posłuch, przełamywać upory, pielęgnować w chorobach, i, jakkolwiek były hałaśliwe, brudne, dokuczliwe, jakkolwiek spoconemi lepkiemi palcami brały ją wciąż za ręce i razily często jej zmysł estetyczny i powonienie, przebywała między niemi z radosnem, tkliwem upodobaniem jak wśród kwiatów. Oddała się bez zastrzeżeń pod komendę przełożonej Heli Góreckiej, pracowała w ogrodzie, chodziła na wycieczki, brała udział w grach krzykliwej gromadki, była wciąż czynna, nie miała chwili samotności, wieczorem kładła się tak zmęczona, iż odrazu zapadała w twardy sen.

Dnie mijały szybko, odzyskała interes do życia, podziwiała urodzaje, znakomitą uprawę pól, czystość i zamożność miasteczek, ogrody po wsiach, czytała znowu gazety, sprowadziła krawcową i odbywała z nią długie narady,

z których wynikły letnie sukienki dla dziewczynek i nowa z taniego fularu dla niej. Zdawało się jej nieraz, że już jest dobrze, że niemoc minęła i znalazł się w życiu cel. Zostanie wreszcie ogrodniczką — kwieciarką, jak wyraziła się niegdyś w liście do pana Andrzeja. Nie miała własnych dzieci, poświęci się cudzym, niby hodowli kwiatów, są ochronki, szpitale, przedszkola, sierocińce. Zdawało się, że niemoc mija, że odzyskuje zdrowie. Przeszkadzała jej tylko nieco w szybkiej rekonwalescencji ciekawa, żywa, wygadana, dociekliwa panna Hela, która niepotrzebnie poruszała drażliwe i zasadnicze kwestje.

— Dlaczego pani jest nieszczęśliwa? — spytała ją wręcz pewnego dnia na spacerze, gdy dziewczynki oddaliły się nieco, by zbierać jagody — pani nie powinna cierpieć. Pani ma bogactwo, urodę, kulturę, pani jest rozumna, tyle umie dać z siebie dobroci, ludzie tak kochają, panią! Nie potrafiła zrazu zdobyć się na odpowiedź. Rozdarł pachnącą ciszę wygrzanego w lipcowym upale boru dziki żaloszny krzyk jastrzębia. Wolny byt w dalekich wysokich przestworzach, zdala od ludzi, od nędzy, kłamstw i męki życia — zazdrościła ptakowi. Uciec od świata i trudnych spraw ludzkich, od siebie samej, wzniesić się lotem ptaka w błękity — marzyła, goniąc spojrzeniem jastrzębia w błękitach. Zdjął ją nagle żal za Siemieńczycami, za dalekiem szczęśliwym dzieciństwem.

— Nie każdy umie i może być szczęśliwym, zresztą pani się myli. Nie potrafię dawać z sie-

bie, zapomnieć o sobie — odparła, gdy odleciał jastrząb, żalonym krzykiem budzący tęsknotę za młodością.

— Pani zaraz o samozaparciu, rezygnacji, całopaleniu. To są pojęcia z epoki, gdy cierpiętnictwo należało do obowiązujących cnót dobrego obywatela. Żyliście dawniej w rozdartej ojczyźnie, w niewoli, pod okiem surowego Boga, byliście bojaźliwi, do życia trzeba odwagi.

Inia zamyśliła się. Oto znowu wyrastał przed nią zawsze ten sam, poruszany przez pana Andrzeja w każdej niemal rozmowie problemat, którego nie potrafiła wówczas rozwiązać: szczęście czy służba? Uległość czy samowola? Teraz rozstrzygnęła. Niema szczęścia i musi być posłuszeństwo. Odrzuciła wszelkie problemy, wątpliwości, wahania. Lecz mimo to dziś wydaje się jej, że panna Hela ma słuszość...

— Czemże jest, jakim ma być to wasze życie, o którym wciąż się czyta w książkach, które wy tak wielbicie, z którego zrobiliście dogmat, najwyższą instancję — spytała po chwili.

— Nie znam się na filozofji i definicjach, odpowiem pani po chłopsku. Życie winno być świadomem dążeniem do najdoskonalszego człowieczeństwa. Żyć trzeba pełną piersią, całym sercem i głową, trzeba zachłysnąć się radością istnienia. Dawne pokolenia kurczyły się, przykrawały, krzywdziły życie...

W zamyśleniu głaskała różowy pień sosny. Drzewa cicho szumiały. Zdaleka, z kraju dzieciństwa płynęła opowieść. Zdawało się, że bór marzy, że bór wspomina przeszłość jak ona.

— Człowiek nie jest wolnym ptakiem. Przykazania, ustawy, konwenanse, prawa innych ludzi zmuszają nas do kurczenia, przykrawania, krzywdzenia.

— Oczywiście, ale dzieje człowieka są walką o wolność, o prawo pełnego życia — słowami pana Andrzeja odpowiedziała panna Hela.

Głaskała wciąż pień sosny, dumiała. Bór szumił. Sędziwe olbrzymy, kołysząc się wolno, marzyły, wspominały, gwarzyły.

— Alboż niema nic ważniejszego niż wolność człowieka czyli samowola i jego szczęście? — zauważyła nieśmiało po namyśle.

— Pani jest bardzo grzeczną dziewczynką...

Panna Hela istotnie traktowała Inię z pobłażliwym współczuciem jak dziecko, uważając ją za zabytkową istotę z zamierzchłych przedwojennych czasów, Inia zaś przyglądała się z zajęciem nowemu typowi powojennej panny. Dwudziestoletnia Hela imponowała jej trzeźwością sądów, równowagą, spokojem, hartem, nawet zwięzłą mową a zwłaszcza tem, co określiła wyrazem: zdrowotnością. Nie znała entuzjazmu ni egzaltacji, potępiała romantyzm, cmentarnictwo, metafizologję, umiała dzielnie pracować, chciała użyć wszelkich radości istnienia, ale nie wykluczała obowiązków społecznych i narodowych. Podczas spacerów, w obłokach kurzu, które wzbijały kroczące przodem dziewczynki, i wieczorem po ułożeniu dziatwy do snu, panna Hela opowiadała Ini o sierocem dzieciństwie swoim, niewesołych latach szkolnych w wojennej Warszawie, nieziszczonych marzeniach medycznych, o budzie

czyli banku, w którym pracowała, piorunowała na lichwę mieszkaniową i drożyznę, narzekała na pewnego niedołęgę, który nie umiejąc znaleźć mieszkania przesuwając datę ślubu z miesiąca na miesiąc, wyliczała wady owego romantyka — niezdary, opowiadała o pięknej jego siostrze i własnych dwu braciach, z których jeden był „arcy-porucznikiem“ drugi piłkarzem, wyśmiewała „fajtlapstwo“ najzacniejszego idealisty wuja Macieja, który nie potrafił osiodłać losu, drwiła z cioci Ani, że nie mając czasu na zapięcie guzików i haftek, na uczesanie włosów, uprawia rozczochna od rana do wieczora sport społecznikostwa i politykę; młoda panna Hela pouczała starszą od niej o dzieśnięć lat mężatkę o nowych czasach i nowych ludziach.

— Minęła epoka przywilejów, gdy tylko garstka wybranych rościła sobie prawo do radości życia, nie zdając sobie jednocześnie sprawy, że znajduje się poza życiem i poza radością... Ci, którzy jedzą chleb cudzej pracy, radość biorą także z cudzych rąk. Tylko własny chleb daje prawdziwą radość.

— I także czasami cierpienie — dopowiedziała Inia.

— Cierpienie jest z fałszu, z zakłamania, z nieporozumienia...

— Nie zawsze pani... Są fałsze i nieporozumienia narzucone nam...

— Życie może być zawsze radosne i piękne, trzeba kochać życie. Należy żyć w prostocie i prawdzie. Za czasów pani świat skazywał kobiety za kłamstwo. Dawniej były lalki salo-

nowe albo siłaczki, dziś wystarcza być porządnym człowiekiem.

— A gdyby naprzykład narzeczony pani zerwał z panią? — zadała drażliwe pytanie.

W żywych dużych czarnych oczach panny Heli odbił się niepokój, mimoto zaśmiała się.

— Nie pozwoliłabym sobie na robienie tragedji. Od dwu tygodni nie miałam listu. A wszakże pani nie słyszała moich westchnień.

Dowiedziawszy się, że narzeczony jest bez posady i że nie mając dokąd wyjechać, spędza wakacje w Warszawie, Inia zaprosiła go do Kowalewa. Młodzieniec skorzystał skwapliwie z zaproszenia i zjawił się w najbliższą niedzielę. Był to blondyn o długiej końskiej twarzy, długim nosie, długich zębach, cichego usposobienia, rumieniący się łatwo.

— Zbyszek nosi rycerskie imię — przedstawiła go narzeczona — lecz należy do zamierającego gatunku cierpiętników-ofiarników. Dlatego powinien mieć względy u pani. Proszę zgadnąć, jaką w epoce paskarstwa, grinderstwa i wszelkich szalbierstw wybrał sobie specjalność? Filozofję i religję, ale tę z Indji. Z takim usposobieniem napewno zrobi karierę! Co? Ale właśnie dlatego, że jest matafilozof lubię to indywiduum — pogłaskała go po jasnej głowie, on zarumienił się i chrząknął.

— Miał znakomitą posadę u tego Chorszewskiego, co to tworzy monarchiczne bojówki, lecz nagle rozszedł się ze swoim szefem, i to z pobudek natury moralnej. Woli cierpieć głód, niż odstąpić na milimetr od przepisów wyrafinowanego pedantyzmu moralnego. Zna-

laż się teraz nowy apostoł, który przewraca im nie w głowie, ale w sumieniach.

Narzeczonemu przykrą była ta ciągła o nim rozmowa, wiercił się na krześle, poprawiał jasną czuprynę, patrzył to w zakurzony sufit, to na płomienne lilje w wazonie na stole i uśmiechał się.

— Czemu pan rzucił posadę u Choroszewskiego? — zainteresowała się Inia.

Sporzyński zarumienił się znowu.

— Wytłomaczono mi, że współpraca z działaczem politycznym, którego przekonań nie podzielam, nie jest uczciwą.

— Któż ci wytłomaczył?... Ksiądz wikary, bona, guwernantka, mamusia? — drwiła panna Hela — wygląda zupełnie, jakbyś sam nie umiał myśleć.

— Człowiek nigdy nie jest dość bezstronny w stosunku do siebie, gdy chodzi o jego skórę, względnie o wygodę. I dopiero pod wrażeniem przemówienia Andrzeja Szydłowskiego...

Teraz z kolei Inia oblała się rumieńcem, gorącym jak war.

— Andrzeja Szydłowskiego! — szepnęła jakby z przerażeniem — pan go zna?

— Znam mało, słyszałem dwa razy w kole młodzieży, w tak zwanym związku sprawiedliwych — urwał, splótł ręce na kolanach, pochylił się, jakgdyby w zadumie.

Wszyscy troje milczeli. Nie śmiała zadawać pytań, z zapartym tchem, z twarzą płonąca czekała na dalszy ciąg opowieści, ale mołomówny gość nie miał nic więcej do powiedzenia.

— Dawno pan widział pana Andrzeja? — odezwiała się wreszcie, walcząc ze wzruszeniem.

Cóż ją obchodzi, że ciekawa panna Hela zauważyła rumieńce, że się domyśla, że uśmiecha się dowcipnie i nie spuszcza z niej szperającego wzroku. Na dźwięk imienia, które należało do pogrzebanej przeszłości, obróciła się w niwecz praca rozsądku, płomień spalił w jednym mgnieniu papierowy pancierz rezygnacji, skrzydłata, lekkomyślna nadzieja odwalila głaz na grobie szczęścia.

— Widziałam go w Warszawie w czerwcu — oznajmiła lokonicznie.

— Powiedz że coś więcej o tym apostołe swoim — napadła panna Hela na niemrawego narzeczonego — pani rada by wiedzieć. Umiesz przecie mówić!

Sporzyński spojrzal na swoje splecione ręce, rozważał chwilę.

— Szydłowski jest silną i niepospolitą indywidualnością — mówił wolno z namysłem. — Nie będąc mówcą, wywiera wrażenie i wpływ, wypowiada myśli swoje jakby z trudem, lecz słowa jego trafiają celnie... ogłosił dwa listy otwarte, które narobiły wrzawy... Ma licznych wrogów. Właśnie teraz w prasie był szereg artykułów bardzo podłych. Zdaje mi się, że mój były szef ma z nim jakieś porachunki osobiste. On to zapewne rozpoczął kampanję. Poznając jego styl, wypowiedział zresztą raz przedemną te same zarzuty. Przysłał mi także owe dzienniki, zabrałem je na drogę — bąkał Sporzyński.

Na rozkaz narzeczonej młodzieniec wyszedł wielkimi krokami na końcach palców, by

przynieść gazety, i po chwili wrócił z wiadomością, że gazety zostawił w Warszawie na stole w przedpokoju w chwili wyjazdu.

Inia patrzyła z wdzięcznością na tego miłego nieśmiałego młodzieńca, który rozumiał, cenił i podziwiał pana Andrzeja, rozumiał i znał go lepiej, niż ona. „Gdybyż tylko chciał mówić, nie skąpił jej wiadomości, gdybyż chciał oczyścić mistrza swego z zarzutów, potrafił przekonać ją i zdjąć z jej serca niepokój!“ Ale Sporzyński splótł znowu ręce na kolanach, spuścił głowę. Ona zaś pytać nie śmiała. Pochyliła czoło pod nawątem nowych myśli. Śród ciszy, która zalegała wielki pusty salon, pszczoła brzęcząc tłukła się niecierpliwie o szybę. Z dalekiej części ogrodu niosły się piskliwe wrzaski dziewczynek, zaturkotały na bruku wozy żniwne, w podwórzu zadzwoniono na podwieczorek jak wczoraj, jak codzien od dwu tygodni. Dziś każdy dźwięk zdawał się jej zapowiedzią radości, niósł otuchę jak w chorobie pierwsze po bezsennej nocy odgłosy budzącego się ze snu życia.

— Gdzie jest obecnie pan Andrzej? — po długiej chwili milczenia zdobyła się na nieśmiałe pytanie i natychmiast splonęła rumieńcem.

— Bawi podobno w Wielkopolsce. Chciał stworzyć w jednym z miast powiatowych kursy doksztalcające, zebrał grono prelegentów.

— Tu w Wielkopolsce?! — powtórzyła z niedowierzaniem.

Na wieść o tem, że znajduje się blisko, ogarnęła ją taki głód widoku jego, taka tęsknota za głosem jego i prawdomównemi słowy, za drogą, młodzieńczą, kędzierzawą głową, że gdyby wie-

działa, gdzie przebywa, zostawiłaby dzieci, przekreśliłaby wszystkie postanowienia, zakazy i zasady, wszystkie obowiązki i dziś odrazu, w tej chwili, prosto stąd poszła do niego i za nim bez wahania. Gdyby wiedziała! Ale nie wiedział nikt. Ani Sporzyński, ani ciekawy, wścibiński, dobrze zwykle poinformowany Teoś, który nudząc się w swoich rycerskich dobrach, często z sąsiedniego Kaczkowa przyjeżdżał do Kowalewa „dla nabrania oddechu“, stale zanadto interesował się ich „przedpotopowym romansem“, wciąż Ini dokuczał i wmawiał, że Andrzej Szydłowski napewno już dawno strzelił sobie w łeb. Ona zaś, tak skłonna zwykle do niepokoju, nie miała w tym wypadku żadnych obaw. Kwitła w sercu tyle razy potępiona nedorzeczną nadzieją. Wierzyła znowu w pomyslną odmianę losu i znowu marzyła, że ludzie, że Bóg zlituje się nad nią. I życie, które było już tylko służbą, stało się znowu radością. Nie umiała sobie wytłomaczyć, czemu krótka wzmianka Sporzyńskiego tak na nią podziała. Czyżby dlatego, że potępiała w duchu wiarę i pracę pana Andrzeja, a z ust nieśmiałego młodzieńca po raz pierwszy usłyszała słowa uznania? Czyżby w niej pod wpływem oszczerstw i oskarżeń także powstały zastrzeżenia i wątpliwości?

— Znalazło się jakieś cudowne lekarstwo na smutek. Pani inaczej wygląda, inny ma wyraz oczu, inny głos — stwierdziła z zadowoleniem panna Górecka.

— Przeżywasz miodowe miesiące — żartował za każdym przyjazdem Teoś i prowadził

ją w najdalszy kąt ogrodu, żeby nie mogła ich znaleźć Fela w zielonym berecie ani panna He-la, żeby oddalić się choć trochę od poznańskiej cywilizacji, od szosy i podwórza.

Siadywali zwykle nad zarośniętą ajerem i trzcinami sadzawką. Krzewy czarnego bzu, spiręi, czeremchy zasłaniały ich od wiatru i kurzu. Było tu odludnie, zacisznie i trochę dziko. Od wody zalatywał zapach tataraku, mocna woń dzikiego zielska przypominała Siemień-czyce. Oczy Ini śledziły szafirową świteziankę, kołyszącą się na trzcinie, czarnego aksamitnego trzmiela z pomarańczową opaską, który ciężko opadł na koronkową kiść białej przytulji, odlatywał, powracał, by pakować się niezgrabnie do delikatnego kielichu blade różowego powoju, i znowu leciał, hucząc a tem solennem buczeniem wywoływał, niewiedzieć dlaczego, nastrój letniej niedzieli, świątecznego rozleniwienia. Czasami z głębi ogrodu odzywała się upojona rozkoszą bytu wilga. Krążyły nad wodą jaskółki.

— Bawił tu w Tryczynie jakiś zawzięty patryjotnik i wygłaszał odczyty, które nie miały powodzenia. Może to on, ten twój rycerz? A gdyby zjawił się tu teraz? — badał Podczaski, przysuwając się i zaglądając w oczy — i zechciał cię zabrać, odważyłabyś się na romans?

— Odważyłabym się na romans — przekornie powtórzyła.

Teos wyśmiał znowa jej zaśniedziałe poglądy i przesady a, że ona uparcie milczała, wracał do ulubionego tematu t. j. wygadywał na

ziemiaństwo, na wiejskie pasożytnictwo, na poznańskie cywilizowane kołtuństwo, bogobojną parafjańszczyznę, obłudną cnotę, parwenjuszowską próżność, wydrwiwał Tryczyńskich z Tryczyna, gdzie bywał często dla najmłodszej garbatej córki, która się w nim kochała na zabój, wypowiadał żale swoje, obawy i projekty. Słuchała z roztargnieniem, myśli raz po raz odbiegały daleko. Rój muszek płasających w słońcu przypomniał jej pewien spacer moskiewski, gdy on z goryczą mówił o okropnościach najpotworniejszej z wojen, obłudzie rządów, zaciekłości krwawiących się ludów, o polskich swarach i niesnaskach emigracyjnych, ona zaś wskazała mu rój muszek radośnie płasających w słońcu... odtąd ona sama zapomniała, co to jest radość... Białe obłoki wychylał się śnieżnym rąbkiem z za ciemno zielonego wierzchołka dębu, chwiały się błyszczące liście górnych gałęzi.

— Bawię tu dopiero od dwu tygodni a ledwo zipię. Szkoda zdolności moich na tę karierę, najbardziej pasożytniczą i próżniaczą, którą, niewiedzieć dlaczego, otoczono aureolą poświęcenia i miłości za miliony. Kaczkowska stodoła z czerwonej cegły, zapchana pszenicą, stanęła w poprzek mojej drogi. Jeżeli jej nie przeskoczę, zginąłem. Uduszę się w pszenicy. W codziennem rannem dzwonienu słyszę memento dla siebie. Z dniem każdym staję się bardziej ociężały... głupieję... najpotężniejsze skrzydła ugną się pod worem pszenicy. Wolę być już milionerem — kapitalistą — wyzyski-

waczem niż szlachetnym obszarnikiem, który niby nie zna innych uczuć nad ukochanie świętej ziemi, miłość Boga i ojczyzny a w rzeczywistości uprawia najgorszą formę wyzysku.

— Ziemianin i wyzysk! — dziwiła się, budząc się z zadumy Inia.

— Tak jest. Nie cofnę tych słów... powtórzę je na posiedzeniu C. T. R. W mieście robotnik nie zatracą obrazu i podobieństwa człowieczego, tu czeladka fornalska, stanowiąca w cnotliwych powieściach jedną z dziedzicem rodzinę, robi wrażenie ponurych zwierząt pociągowych. Nieme bydło fornalskie gnieździ się w wilgotnych czworakach i rok okrągły morduje się poto, abyśmy my, ludzie miasta, ludzie lepszej rasy mieli uciechy, intelekt wolny od trosk i chleb powszedni... Bydło cierpliwie pracuje a pochwały i wyrazy wdzięczności zbiera pan dziedzic, którego jedynym zajęciem krom — narzekania na podatki, na ceny i barometr, są spacerki w pole i wycieczki do miasta, do banku, do kupców zbożowych, klubu i na dancingi.

— Co pleciesz? Gdzieżeś się wychował i urodził? Skąd ta jakobińska nienawiść?

— Kochasz ty ziemiaństwo, Iniu? Ja bo mam awersję. Napuszone to, ciężkomyślne, najedzone. Niegdyś było ich ze sto tysięcy, dziś jedynego znam szlachcica. Grodowski mu na imię. Strzela w sierpniu kuropatwy a po świętym Michale zające, gdy szła nawałnica bolszewicka wyruszył w pole, dziś zaś nie pod dębem wprowadzie, lecz w sądzie powiatowym

wymierza kmiotkom sprawiedliwość piastowym trybem.

Oczy Ini spoczęły na jedynej w tym ogrodzie brzozie, osamotnionej, zablakanej tu i obcej, jak ona... Powiewały jej długie żalodne warkocze... Młode drzewo stało z wierzchołkiem pochylonym w trosce, powiewały długie warkocze. Wiatr szumiał, dawny, daleki wiatr dni szczęśliwych.

— Nad czym pani dziedziczka myśli? Co ciebie trapi? Nie zdradzasz jeszcze męża? A może ten twój Adonis ukrywa się tu w wieżycze. Madame à sa tour monte... Niema go tu! — Inia odpędziła natrętną osę.

— Zamierzasz wytrwać na drodze wierności małżeńskiej? Nie wytrwasz! Tu niema wyboru. Albo romans, albo zabić miłość. Kompromis jest śmieszny. Należało usłuchać rady mojej... Pani dziedziczka tęskni. Tęsknić będziesz wiecznie. On znikł i nie pokaże się więcej. Mógł a nie chciał. Bawił tu w Tryczynie i nie raczył nawet zajrzeć. Odstraszyłaś go cnotą, katechizmem, mężem, bogactwem, paskarstwem. Przepowiadałem ci, że tak się skończy. Dziś jeno w snach i wspomnieniach oglądać możesz smętny obraz surowego Kochanka.

Inia uśmiechała się, gdyż wiedziała lepiej, co ma się stać, bo niedorzeczna nadzieja z czasem zamieniła się na przekór wszelkim wnioskom i wywodom rozsądku w słodkie oczekiwanie, potem w pewność, że pan Andrzej przybędzie do Kowalewa... Spodziewała się go codziennie, każdej chwili. Nieraz, gdy pokojo-

wa biegła otworzyć drzwi wejściowe, gdy zahuczał samochód na szosie albo zaturkotał wózek na bruku w podwórzu, nasłuchiwała albo wychodziła na ganek witać gościa, którym był dyrektor „Rolnika“, przedstawiciel wirówek szwedzkich, handlarz bydła. Gdy panna Hela, zachwycona Wielkopolską, postanowiła dziewczynkom dać poglądową lekcję krajoznawstwa, wybrała się razem z dzieciarnią do Tryczyna, pewna, że spotka tam pana Andrzeja. Jechano dwu umajonemi wozami, dzieci śpiewały. Skoro koła zadudniły na bruku miejskim, Inia wysiadła i pod pozorem jakiegoś sprawunkku snuła się cichemi ulicami miasteczka, pełna radości oczekiwania. W rynku czerwony plakat wielkich rozmiarów powiadomił ją o cyklu wykładów z dziedziny historii. Nazwisko prelegenta nie było podane. Stała długą chwilę przed nadartym afiszem, jakgdyby spodziewając się, że pokaże się na pustym chodniku ten, dla którego tu przybyła. Złoty klucz kołysał się sennie w wymarłym zaułku, zapachniały słodką wonią, żalostnem przypomnieniem Siemieńczyc, kwitnących drzew dzieciństwa stare lipy, ocieniające nowy z czerwonej cegły kościół. Zdjął ją smutek. Niema już Siemieńczyc, minęła radość życia, na zawsze. Nic nie powraca. Mogło być szczęście, nie będzie. Sama zamknęła drzwi domu swego. Ani Bóg ani ludzie nie zlitują się nad nią, marzeniem nikt nie zbuduje szczęścia. Mogło być, nie będzie. Bo skąd nierozsądna pewność, że on odnajdzie ją i odwiedzi, że jeszcze pamięta. Zamknęła

przed nim drzwi, obraził się, zapomniał zajęty kursami, walką o sprawiedliwość, o nową prawdę.

Mimoto po powrocie do Kowalewa czekała znowu. Którejś nocy, zbudzona szczekaniem psów, zerwała się i pobiegła do otwartego okna. Spostrzegła najpierw trzy gwiazdy dyszła wielkiej niedźwiedzicy, nikle pasmo białej chmury, które zasłoniło sam wóz, potem postać mężczyzny, który szybko oddalał się uliczką między porzeczkami. Zasłoniły tajemniczego gościa wysoka tuja i dalej młode świerki, ciemną grupą majaczące u bramy. Psy przestały ujadać. Po ruchach szybkich i stanowczych, po pochyleniu głowy, po wzruszeniu, które ją ogarnęło, poznała niezawodnie, że to był pan Andrzej. Zawołała nawet na niego po imieniu. „Panie Andrzeju, panie Andrzeju“. Trwożnie zabrzmiał jej drżący głos. Nie mógł go dosłyszeć. Był już daleko, zapewne na szosie.

Zbiegła do ogrodu, by jeszcze wołać, by dogonić go. Zapytać stróża nocnego nie śmiała, zresztą poco miała pytać, skoro wiedziała na pewno, że to był on. Popatrzyła poprzez kratę bramy na pustą szosę, na której stały kałuże, potem długo, prędko a niespokojnie, jak człowiek, który szuka cennej zguby, chodziła wszystkimi ścieżkami i badała wciąż pilnie piasek. Nie znalazła nigdzie śladów, brama była zamknięta, ona jednak nie wątpiła, że to był on, pan Andrzej. Nie wątpiła także, że znowu pokaże się tu niezadługo, że przyjdzie, by ją zabrać z sobą. Jak miało się to stać, czemu wolno

jej było teraz pójść z nim, gdy sprzeciwiała się dotychczas i nie zmieniło się nic, te same były przepisy kościoła, te same w niej postanowienia, nie zastanawiała się obecnie nad tem. Z uśmiechem śledziła lekkie nad wodą opary, nieśmiało i bezkształtne, jak własne jej marzenia. Czynił się już dzień. Cichem i radosnem szczebiotaniem odezwał się z krzaków jakiś nieznaną ptaszek. Na wschodzie piętrzyły się ciężkie zwały chmur, podobne zaspom śnieżnym, gdy błękitnieją o zmierzchu. Wiatr przyniósł wraz z dalekim odgłosem dzwonów wspomnienie owej bezsennej nocy w Warszawie, gdy o świcie wymknęła się z mieszkania, długo błąkała się wśród pustych ulic śpiącego w jasności letniego poranku miasta, słuchała szczebiotania wróbli na placu Trzech Krzyży, a w kościele, z ust gderliwego księdza dowiedziała się, że rozwodu niema. Odsunęła tamto wspomnienie. Dziś poddawała się władzy miłości i pragnęła szczęścia...

Następnego dnia otrzymała w pomiętej kopercie ze stemplem poczty warszawskiej list od Andrzeja z dawną datą.

„Nie wolno mi pani widywać, ale wolno zamieszkać w pobliżu. Mam obiecaną posesję w Tryczynie. Nie odważę się przestąpić progów Kowalewa, ale może pani, przejeżdżając kiedy przez Tryczyn, zechce przypomnieć sobie wygnańca, który nie zasłużył na karę śmierci, i pośle po niego do hotelu „Monopol“.

Po przeczytaniu kartki zamknęła się w sobie, skupiła, zamilkła i pogrążona w zadumie, snuła się po ogrodzie i pustych pokojach nieume-

blowanego domu, nie spostrzegając nikogo, nie słysząc zwróconych do niej pytań. Nie omyliło ją przecucie. Jest w Tryczynie, czeka na nią, od niej tylko zależy... Co zależy od niej? Powzięła już decyzję, odbyła długą i bolesną drogę, zrobiła wybór. Tamte drzwi zamknęły się na zawsze. Nic się nie zmieniło, ani prawo Kociola, ani sąd jej sumienia... Ale mimo dawno powziętej decyzji, mimo, że zdawała sobie sprawę, że nie oprze się woli pana Andrzeja, skoro pojedzie do Tryczyna, usiłowała podstępem wydrzeć sobie pozwolenie na oną niebezpieczną jazdę. Pretekst znalazł się odrazu. Alboż nie było obowiązkiem jej powiedzieć mu, że uwierzyła nareszcie w niego bez zastrzeżeń i pocieszyć go dobrą wieścią o wpływie wśród młodzieży, wytłumaczyć, dlaczego nie mogła go wówczas przyjąć w Warszawie. Jakżeby zażalił się, gdyby nie odpowiedziała na jego wezwanie! Zresztą dlaczego miałyby odmawiać tego spotkania, krótkiej rozmowy i wogóle przyjaźni. Gdy zapadło postanowienie, oplotło ją naraz gorącym uściskiem wspomnienie pocałunków, a jednocześnie odezwał się głos ostrzegawczy. Żeby stłumić ów głos ostrzegawczy, wynalazła sobie przebiegle jakieś zajęcie, jakąś robotę, czytała pilnie. Ale nie mogła czytać. Narzucały się wciąż wspomnienia. Biły na nią rumieńce. Zamknęła książkę. Jeszcze raz zaczęły się wahania, znowu toczyła się walka, którą pragnęła przegrać. Zmąciła się w niej dziś owa nieomylna, ukryta kędyś w najdalszych zakątkach myśli czy duszy wiedza, która w stanowczych chwilach rozstrzygała wbrew woli jej, naprze-

kór rozumowaniom i uczuciu krótkiem: tak lub nie. Dziś odzywał się znowu bunt, brały górę zuchwałe „herezje“ pana Andrzeja i własne zakazane mędrkowania. Znużona myśleniem, zabrała się z dziewczynkami do zbierania grochu na kolację, ale z roztargnienia zamiast strąków rwała trafiające się tu i ówdzie bławatki, czem rozśmieszyła dzieci i pannę Helę.

Po dwu dniach walki zawiadomiła pana Andrzeja krótką kartką, że przybędzie nazajutrz, pociągiem o drugiej...

Dzień cały spędziła jak w gorączce. Wspomnienie pieśnyczoty jego stało się tak natrętnem, że z myślą o jutrze łączyło się już tylko pragnienie rozkoszy. Twarz jej pałała, błyszczały oczy, śmiała się dużo i głośno. W pustych pokojach pałacu Kowalewskiego zabrzmiał po raz pierwszy jej śpiew. Panna Hela klasnęła w dłonie i swemu umiejętnemu oddziaływaniu przypisała uzdrowienie pacjentki. Wieczorem miał być uroczysty obchód imienin dwu Hań oraz urodzin Zbyszka Sporzyńskiego. Dziewczynki z panną Helą zawieszały lampiony, wiły wieńce na ozdobienie bramy i estrady, przygotowywały różne niespodzianki. Inia dorzucała wciąż do programu nowe pomysły, z zapalem pomagała do ich wykonania, a gdy ogród zapłonął iluminacją, strzeliły w gwiazdziste niebo rakiety, wybuchły ognie sztuczne, rozległy się wivaty i popłynęły w ciche pola skoczne krakowiaki, krążyła wśród rozkrzyczonej gromady równie podniecona i zachwycona wspaniałością fety jak cisnące się dokoła niej dzieci. Jutro! jutro! — brzmiało w śpiewie, paliło się w syka-

jących i pryskających iskrami rzymskich świecach, migotało w gwiazdach, na cześć ich święta odbywa się ta zabawa...

Nazajutrz piechotą w sekrecie przed panną Helą i służbą udała się na dworzec. Ale zaledwie kupiła bilet, znowu zaczęła nieszczerą grę z sobą samą. Chodząc w spiekocie południa po gorącym żwirze peronu, docierała do sedna prawdy i stwierdzała, że cała przyszłość zależy od tego, czy pojedzie tym pociągiem, który już gwizdże wśród złotych pól. Wyznała w porywie szczerości, że spieszy na to spotkanie do Tryczyna nie dla pokrzepienia przyjaciela dobrą wieścią, ale że pragnie pieszczoł kochanka, że gotowa jest ulec woli jego, przemocy kochania. Na nic już walka. Życie woła ją na ten brzeg, do szczęścia. Przerachowała się z siłami. Są bohaterские cnoty, ona jest słaba, bezradna i tak okropnie samotna na świecie. Jakiż jest cel i sens jej istnienia? Praca... obowiązek... praca i obowiązki znajdują się tam, przy boku jego. Ludzie żyją kochaniem. Ale jakkolwiek znalazła usprawiedliwienie dla zamierzonej jazdy, odzywała się wciąż w sumieniu dokuczliwa ostrzegawcza rada, by wrócić, póki jeszcze czas.

Pewnej chwili postanowiła nawet, że nie pojedzie do Tryczyna, lecz przechadzała się dalej po peronie wzdłuż zarośniętego zielskiem toru i cierpiała już zgóry nad upadkiem swoim, a tem cierpieniem rozgrzeszała upadek, uznawała konieczność upadku.

Gdy pociąg wpadł na stację, ostatni raz zadała sobie pytanie, czy wolno jej kłamać przed sobą, tj. spieszyć na to spotkanie, rzekomo dla

dodania przyjacielowi otuchy, w rzeczywistości zaś po to, żeby mu się oddać. Odpowiedź wypadła przecząco. Ostatni raz bez chęci odniesienia zwycięstwa usiłowała zwyciężyć pokusę.

Była jedyną podróżną drugiej klasy. Konduktor otworzył drzwiczki, uprzejmie zaprosił.

Ten gest konduktora rozstrzygnął. Weszła do przedziału. I odrazu ustały wahania, wyrzuty sumienia, lęk. Uległa. Nie było już odwrotu. Zgodziła się z tem, że nie mogło być inaczej, potępiła dotychczasową walkę jako niedorzeczną i bezużyteczną. Pragnęła na skrzydłach lecieć do niego. Niech jego wola stanowi o losie jej. Alboż tak mądry i szlachetny człowiek jak pan Andrzej, wzniosły bojownik o prawdę i sprawiedliwość może błędzić? Cóż wynikło z oporu, z cnotliwych zwycięstw, z pobożnych zakazów? Stała się tylko złą, bardziej grzeszną w cnotliwości swojej, stała się bezużytecznym ciężarem sobie i innym. Czyż może trwać dalej takie życie jak teraz, puste i sztuczne? Gdyby miała kochającego męża, dzieci... Jakże przejść przez życie z pustką w sercu? Kościół... jakby po raz pierwszy i zupełnie niespodzianie przypomniała sobie... Tak jest, kościół... Ale czyż, wychodząc za męża, miała rzeczywiście wolną wolę. Czy rozumiała życie, zdawała sobie sprawę z doniosłości, z istoty małżeństwa? Nie było wówczas uczucia, poznała miłość dopiero teraz. I dlatego musi być pokuta i cierpienie do końca dni?!.. — biegły chyże myśli. — Prawo kościelne jest surowe, ale ludzie i księża tolerują. Sawa dawno powiedział, że ona upadnie. Odżyły w pamięci wszystkie t. zw. skandale to-

warzyskie, tak liczne, że nie były już wyjątkiem, lecz stały się raczej prawidłem.

Dlaczegoż tylko jej nie wolno zostać kochanką pana Andrzeja? Dlatego, że jest zanadto rozsądna, czy że zanadto kocha? Że pan Andrzej nie jest księciem? Przewinięły się w pamięci imiona kobiet, które tak jak ona upadły i dalej żyły pobożnie, otoczone szacunkiem i uznaniem. Jeżeli nawet Lola! Przecież nawet w cnotliwych powieściach nie zwycięża już cnota! Ksiądz przy pierwszej spowiedzi, nie przypuszczając, że ona zatrapia się skrupułami, subtelnościami urojonego przewinienia, spytał poprostu, ile razy... zgrzeszyła. Gdyby upadła, byłaby tak samo dostała rozgrzeszenie. I Sawa przewidywał... Zresztą może być rozwód. Brzydzi się wprawdzie kłamstwem, ale to kłamstwo weszło w zwyczaj. Przyjęła się poprostu pewna formuła, którą wymawia się machinalnie. Wyliczyła mnóstwo rozwiedzionych par. Narzeka się obecnie na zepsucie, alboż lepiej było dawniej? W Siemieńczycach wciąż kazano jej wychodzić z pokoju i rachować szyby, gdy była mowa o skandalach towarzyskich. Jakże długo trwało nieraz to rachowanie szyb? — wspominała z uśmiechem, sama zdziwiona, że w takiej chwili trzymają się żarty. A ciotka Fela, czarna tragiczna ciotka Fela, która zapłonęła miłością do wicegubernatora, uciekła od męża i ośmieliła się zjawić pewnego dnia w Siemieńczycach... Po obiedzie, który upłynął w milczeniu, zaprzężono konie i biedna ciotka odjechała na zawsze. Matka kochała się w wuju Henryku, który cudownie czytał Beaudelaira i grał Mo-

zarta... Gdy padnie iskra, płoną biedne małe lepianki ludzkie...

Tak, ale matka nie jeździła do hotelu na schadzkę. Od zestawienia dwu wypowiedzianych w myśli wyrazów: hotel i schadzka twarz jej oblała się rumieńcem. I znowu gorącym uściskiem objęło ją wspomnienie pieśczołt jego. Usta pragnęły pocałunków. Zmrużyła oczy, potrząsała głową dla odpędzenia natrętnej myśli o bliskiej godzinie rozkoszy. Gdyby żyła matka, gdyby Sawa wiedział, że ona teraz spieszy w objęcia kochanka... Zakryła ręką oczy, żeby zasłonić widzenie przeszłości, żeby zapomnieć o wszystkim, co było dawniej. A jednocześnie wstawał w niej już teraz żal za bezgrzeszną przeszłością, podnosiło się westchnienie do Boga o siły do walki ze złem, ale spalały się na proch pobożne słowa na łaknących pocałunku ustach. W świadomości tkwiło wciąż przekonanie o konieczności upadku, czuła palące tchnienie grzechu, odurzał ją, zagłuszając pracę myśli i sumienia, szum kotłującego się dokoła niej odmętu zła i szczęścia, w który musi się stoczyć. Chwilami trwała jakby we śnie, nie zdając sobie sprawy, gdzie się znajduje, z tego snu wychylała się do niej jedna twarz, jeden obraz. Niekiedy budziła się, a wówczas wpadał jej w uszy łoskot pociągu, ogromnie głośny, jakgdyby otwarły się gdzieś nagle drzwi albo jakgdyby pociąg biegł tunelem. Patrzyła w okno, na złotą równię pól zbożowych, przeciętą szpalerami aleji pod jasną kopułą niebios. Pogodne chmury płynęły w błękicie, płynęły w dal, w przeszłość, która tam trwa za borami.

Błękitne kwiaty cykorji należą także do świata, który opuściła na zawsze. Przejmujący żal ścisnął serce, żal za życiem niewinnem. Dlaczego to już minęło? Porwała się z miejsca, jakgdyby z zamiarem wyskoczenia z wagonu i natychmiast usiadła z powrotem. Siemieńczyce także minęły i tamto wszystko... A oto okrągła wśród pól łąka, jak w Siemieńczykach, równy rząd olch i rozłożysty krzew wikliny nad strumieniem o złotem dnie... Czy spojrzy kiedy jeszcze w te wody? Czy wróci dziś tą drogą?

Obezwładniło ją marzenie, ale przywołała siebie do porządku uwagą, że nie zamierza przecież uciec dziś z panem Andrzejem.

Pociąg stanął. „Zostać w wagonie, nie pokazać mu się i jechać dalej” — odezwało się jakby ostatnie napomnienie rozsądnego opiekuna. „A może nie przyjdzie na kolej?” — zaniepokoiła się jednocześnie.

Wysiadła, nie patrząc w tłum, zebrany na peronie, szła wolno za podróżnemi do wyjścia, pewna, że on jest, że już dostrzegł ją, że zaraz zbliży się, dziwiła się, że jeszcze niema go obok niej.

Wreszcie rozejrzała się. Nie było pana Andrzeja na opustoszałym po odejściu pociągu peronie. Odczuła naraz nieznośny żar słońca i wielki smutek, jak wówczas na rynku, gdy zapachniały lipy. Tu także pachniały lipy. Podniosła oczy na dwa rozłożyste wierzchołki, bardzo ciemne na tle zbielejących od skwaru niebios. Porwał ją gniew na siebie, na niego i zaraz potem rozpacz. Była bliska płaczu, jak wówczas w parku Skaryszewskim. Oparta o że-

lazne pręty ogrodzenia spoglądała beznadziejnie na błękitne szyny, po których robotnicy kolejowi w koszulach z zawiniętymi rękawami toczyli koła... POCO? DOKĄD? A gdyby tak przez całe życie i przez całą wieczność popychać koła? — myślała tłumiąc łzy niepokoju, rozpaczy, urazy... Za karę? Zaco kara? Nie mogąc dłużej znieść blasku usiadła w cieniu drzew obok staruszki w zrudziałej pelerynie w przedpotopowym toczku i niebieskich okularach, która ze zwojem papieru w czarnej torebce także na coś czekała. Od czasu do czasu powiew pieścił ją słodką wonią, a wówczas jakby boleśniej odczuwała swój gorzki zawód.

„Tem lepiej! Doczeka się następnego pociągu i wróci do domu“. Staruszka spytała ją o godzinę. Zdawało się jej, że minęły tu na tej ławce długie dni, tymczasem upłynął dopiero kwadrans. Do pociągu było jeszcze trzy godziny. Czekala dalej na pociąg czy na pana Andrzeja, nie myśląc o niczem, nie pragnąc niczego, nawet przyjścia pana Andrzeja. Straciła już wszelką nadzieję. Straciła chęć do życia. Spojrzenie biegło torem kolejowym do zakrętu i mostu, przerzuconego nad torem i potem w las, który stał w oparze słonecznym, buchający ciepłem, błękitny i gubiło się w lesie, myśl błąkała się po obszarach cierpienia, szukając drogi, której nie było... Ale czy wypada jej cierpieć, że nie udała się schadzka? — odzywał się urągliwy głos. — Wszakże niedawno rozpaczała nad upadkiem. Wróci do domu bezgrzeszna... Gdybyż nie było przynajmniej długich godzin czekania!

Po odejściu pociągu pospiesznego, gdy wybiła na wieży godzina trzecia, udała się do miasta. Rynek był w to upalne popołudnie, w czas żniwny zupełnie martwy. Drzwi do pustych sklepów stały otworem, na środku bruku u słupa tkwił wóz bez woźnicy, koń z opuszczonym łbem machał ospale od czasu do czasu ogonem. To był jedyny objaw życia... Poznała słup z naddartym afiszem, złoty klucz, który kołysał się nad pustym chodnikiem w zaułku, gdy ona kilka dni temu szukała tu pana Andrzeja przebiegła oczami cały rynek, zanim znalazła jego hotel. Był po drugiej stronie ulicy. Wielkim świecącym słowem zawołał na nią z czarnego szyldu. Utkwiwszy wzrok w literach, badając każdą po kolei z osobna, wahała się chwilę. Bardzo kosztowało ją przejście przez całą szerokość rynku po bruku. Idąc miała wrażenie, że ktoś śledzi ją z okien hotelu, że ze wszystkich wogóle okien gapią się na nią ludzie. Jeszcze trudniej było wymówić nazwisko, zapytać.

Stanąwszy przed młodym portjerem, milczała. Chłopak w ogromnej czapie z galonem odezwał się stereotypowem „jakie życzenie“! i czekając na odpowiedź zamysłonej pani, lekko ołówkiem stuknął po kantorku.

Wreszcie drżącymi usty, zmienionym głosem spytała o pana Andrzeja Szydłowskiego.

Był, mieszkał tu dwa tygodnie, niema go, wczoraj w nocy odjechał, adresu nie zostawił. Podłoga łagodnie zakołysała się pod stopami, pochylili się ku niej ściana z rozkładem jazdy. „Dzięki Bogu odjechał jeszcze przed o-

trzymaniem jej listu". Odczuła niezmierne znużenie i suchość w ustach. Wyczerpana usiadła, a gdy portjer zaproponował jej pokój, poszła za nim machinalnie przez restaurację, gdzie dwu grubasów chłodziło się piwem, następnie stromemi schodami na górę do numeru czwartego. Portjer otworzył drzwi i zamknął je za nią. Nie odważyła się spytać, czy on zajmował ten sam pokój. Rzuciła okiem na stół i na komodę. Nie jego pismo było na podartym rachunku. Pchnęła okno, objęła wzrokiem bezludny plac i stadko szarych gołębi na bruku, pusty chodnik w zaułku kołyszący się nad nim złoty klucz, spojrzenie biegło w dal, w pole, widne w luce między wysoką czerwoną kamienicą i niskim szarym domem. Drgało tam nad płowym na zboczu łanem zboża gorące powietrze.

— I co teraz? — wracało na łkające usta beznadziejne pytanie... W głowie zupełnie pustej i niezmiernie ciężkiej rozlegało się jak gdyby echo czyjś złego śmiechu i płatało się wciąż zdanie: nie udała się schadzka! Miasto było jak wymarłe, mimo to miała wrażenie, że ze wszystkich okien spoglądają na nią niechętne oczy. Cofnęła się pod piec, usiadła tam, oparła czoło o białe zimne kafle. I co teraz?... Komar cienko zawodził, jakby niezmiernie gdzieś daleko a jednocześnie tem zwycięskim i żalosem zawodzeniem ostro świdrował w samym mózgu. W sąsiednim pokoju rozmawiano. Jeden z gości miał głos niski, gruby, przykry drugi chichotał od czasu do czasu...

Pan Andrzej dwa tygodnie w tym hotelu, całe dwa tygodnie! Niemal pod boki jej... Pograżyła się w żalu nieutulonym jak tęsknota za zmarłym. Niekiedy zrywał się i krążył nad nią czarny kruk niepokoju wynurzały się w pamięci złowieszcze przepowiednie Teosia, które dotąd zbywała żartem. Dlaczego wyjechał tak nagle? Może z rozpacz, z urazy do niej? A po chwili płakała już tylko nad sobą, i wielkie łzy kapały z oczu na splecione na kolanach ręce. Wczoraj jeszcze mogła być tu z nim razem... Gdyby nie zmarnowała dwu dni na deliberacje, na skrupuły, na walkę, gdyby odwiedziła go wczoraj, byłiby tu razem. Odżyła na krótkie mgnienie rozkosz onej chwili, gdy trzymał ją w objęciach. Czemuż niema go tu dziś?... — wyrwał się jęk.

Płomień kochania strawił oddawna wszystkie zasady i zakazy, żądza widoku jego, napawania się bliskością jego przemogła wszystko. I co teraz?

Pociągi gwizdały na dworcu, godziny były na zegarze miejskim, siedziała z czołem opartem o zimne kafle, z zamkniętymi oczami. — Uciekły wszystkie myśli, wspomnienia, uczucia, zostało tylko pytanie: i co teraz? A od czasu do czasu, sprawiając nieznośny ból w mózgu, odzywało się cienie zawrodożenie komara. Pewnej chwili portjer zajrzał do pokoju dziwnej pani, przestawił karafkę z wodą, zabrał z komody strzępy podartego rachunku. Nie zauważyła go zupełnie. Dopiero, gdy okna w wysokiej czerwonej kamienicy zapłonęły w zachodzącym słońcu, spostrzegła, że jest

wieczór, że w oknach stoją zapalone choinki, jak wówczas w Warszawie...

Zapłaciwszy za pokój, pośpieszyła na dworzec, by zdążyć na ostatni pociąg. Ten sam uprzejmy konduktor otworzył jej drzwi do tego samego przedziału, którym jechała w południe. Oстрыm świecącym wzrokiem goniła uciekające pola. Poznała łękę okrągłą, rząd olch i krzew rozłożysty, który kąpał gałęzie w strumieniu o złotem dnie, uprzytomniła sobie, że gdy dziś w południe mijala tę łękę, doznała radości na myśl, że nigdy już jej oczy nie padną na one drzewa, wodę i łękę. Przypomnił się jej przedwczesny żal za bezgrzeszną przeszłością i zazdrość, z jaką patrzyła na czyste niewinne kwiaty.

Wracała do domu bezgrzeszna. Dlaczego zamiast zadowolenia odczuwa wstyd? Czyżby rzeczywiście spieszyła nie na wezwanie przyjaciela, ale jechała do kochanka, żeby mu się oddać i tylko dlatego ocaliła cnotę, że schadzka się nie udała? Cóż warte były jej postanowienia, posłuszeństwo, uczciwość? owa prawda, której z takim uporem broniła. I co warte jest jej uczucie? Niema w niej ani uczucia ani prawdy. Nawet pusta i głupia Różia Sławkowska naraziła się na klątwę rodziny, na złe języki dla swego Tadka Droszcza, który był dzierżawcą nędznej folwarczyny, ogromne opalone łapska trzymał na wypiętej piersi i zapalając paniom papierosa stale zapewniał każdą, że mu nigdy nie brak ognia. Dziś, kiedy ów Tadek, odznaczony krzyżem poległ pod Borysowem, Różia na łożu śmierci w szpitalu

nie wyrzuca sobie, że złamała mu życie. Różia nie zlekła się mezaljansu, śmiechu ludzkiego i złych języków. Umiała kochać całą mocą uczucia, nie była małostkowa, tchórzliwa, zanedo rozważna... poszła za głosem serca. Rózi było wolno, Różia nie miała męża — przywołała siebie do porządku — Matka kochała wujka Henryka i przeszła przez życie bez skazy. Pokonała miłość w imię zasad. Dwie są drogi uczciwe, tymczasem ona wybrała krętą, okólną, drogę obłudy. Nie znalazła w sobie ani odwagi grzechu ani męstwa cnoty. Bo gdyby nie spóźniła się o jeden dzień do Tryczyna, gdyby była zastała go w hotelu... Udawała przed nim niezłomną w cnotliwym postanowieniu, a ludzi siebie wciąż nadzieją jakiejś pomyślnej odmiany losu, nadzieją wynalezienia furtki, oddaje się marzeniom o grzechu, pragnie zatrzymać pana Andrzeja przy sobie. Nie powinna być mu kulą u nogi, przed nim — życie, może nowe uczucie, szczęście. Skoro już powiedziała sobie i jemu, że nie zmieni religji i nie zostanie jego kochanką, słowo obowiązuje... Nie dwie, lecz jedna jest dla niej droga uczciwa, wytknięta dawno przez prawo Boskie. Nie potrafiła stworzyć sobie nowej religji, jak pan Andrzej. Są sprawy ważniejsze, niż szczęście. Każdy musi żyć podług prawdy swojej. Nie dwie, lecz jedna jest droga uczciwa... ale szara i pusta jest ta droga — myślała, idąc wolno szosą ze stacji do domu, błędząc zgaszonym wzrokiem po polach, na które padała już rosa. Ze ściernisk płynął jedyny zapach zboża, odzywały się trwożliwym woła-

niem kuropatwy. „Nie dwie, lecz jedna jest dla niej droga uczciwa... jedna tylko droga ale szara i pusta“...

W Kowalewie ogród był znowu iluminowany, tym razem na cześć dziedziczki i dobrodziejki. Dziewczynki wybiegły naprzeciw z lampionami, otoczyły ją śpiewającym kołem. Fela w zielonym bereciku wsunęła jej do rąk w sekrecie pierwszą znaną gruszkę małgorzatkę, panna Hela zaś oznajmiła, że był długi telefon od pana dziedzica, który ma przybyć w tych dniach z Gdańska samochodem z jakimś ważnym dyrektorem banku, oraz z Amerykaninem Mortimerem, że pan dziedzic prosił o sekret, gdyż bardzo chodzi mu o to, żeby broń Boże, nikt z administracji majątku się nie dowiedział o bliskim jego przyjeździe.

XXIV.

Gdańscy goście zabawili krótko. Podczas obiadu, który odbył się wśród gołych ścian ogromnej pustej jadalni, dyrektor banku chwalił kuchnię, wino i kwiaty, prawil gospodyni zdawkowe komplementy, „Amerykanin“ Mortimer mówił mało i wyłącznie po angielsku, wyglądał znudzony i tylko zabawom dzieci w ogrodzie udzielił nieco uwagi. Szukał między dziewczynkami Hani.

Wkońcu następnego tygodnia, który wydał się Ini niezmiernie długim, zjawił się Brzózek. Ponieważ Józek nie chciał znaleźć dla swego współnika czasu, nafciarz załatwiał w zastępstwie panny Irki zaległą korespondencję i w wolnych chwilach szukał towarzystwa pani. Inia miała wrażenie, że niebieskie oczy gościa śledzą ją pilnie, że Brzózek chowa dla niej jakąś ważną wiadomość. Jakoż rzeczywiście któregoś wieczoru Brzózek poszedł za nią do ogrodu i podczas przechadzki prosił ją, by namawiała męża na kupno terenów naftowych koło Krosna, by ostrzegła brata przed Szelkiesem, męża i Choroszewskiego przed Wodeckim, poczem zniżywszy głos oznajmił, że pan Szydłowski przebywa obecnie

w Małopolsce w jego rodzinnym mieście, że jest w ciężkim położeniu, bo go w hotelu na wstępie okradli ze wszystkiego, dosłownie ze wszystkiego do nitki, że wszyscy w mieście dowiedzieli się z gazet, kto jest ten pan Szydłowski i że niema mowy o tem, by mógł dostać gdziekolwiek posadę. Na zakończenie nafiarcz omówił jeszcze raz sprawę złotodajnych terenów i ponowił prośbę o przedstawienie panu Padniewskiemu wyjątkowo korzystnej oferty.

Tymczasem Józek, zajęty niezmiernie drobiazgową lustracją majątku, sprawdzał w celu wykrycia kradzieży i nadużyć księgi i rachunki, spisy inwentarzy, zaglądał do najciemniejszych zakamarków, kazał wyciągnąć z nich różne rupiecie i graty, ważył zboże w spichrzu, przemierzał zbiorniki mleka, brał na egzamin włódarza, kasjera... Kradzieży nie wykrył, doszedł natomiast do wniosku, że utrzymanie kolonji wakacyjnych nadmiernie obciąża budżet Kowalewa. Ale nie robił o to żonie zbyt dokuczliwych wymówek, po części dlatego, że rozumiejąc obowiązki sytego ziemianina wobec miejskich głodomorów, chciał żeby i w jego domu coś się robiło dla biednych i „ojczyzny“, głównie zaś z powodu przyływu czułości, którą nagle zaczął odczuwać dla żony. Nie było pod bokiem ani ciotki ani Irki, a lubił mieć zawsze blisko siebie kobiety, zresztą przyzwyczaił się już do żony. Wołał ją tedy nieustannie, żeby przed nią wygadać się jak przed Irką, zwierzał poufnie swoje przypuszczenia co do szacherek kasjera i rządu,

obliczał zyski z buraków, kosztą remontu gorzelni, wymyślał na Kasę Chorych, chwalił się jakimś dużym zarobkiem na opasach w czerwcu, oraz znaczną ofiarą na Żeglugę, godzinami rozprawiał o polskim morzu, w którym zakochał się podczas ostatniego pobytu na Helu. O ile w Warszawie nie narzucał się nigdy swoją osobą, o tyle teraz stale, prosił żonę, by mu towarzyszyła do gospodarstwa, jeździła w pole, do miasta i do sąsiedztwa, by podziwiała razem z nim Wielkopolskę, którą pokochał niemniej niż polskie morze. Żona spełniała ulegle jego życzenia, ale pewnego dnia, gdy wsunął się za nią do sypialni, zabrakło jej cierpliwości. Cofnęła się prędko do salonu, zamknawszy za sobą drzwi.

— Jak ty rozkwitłaś! Najwspanialszy brylant potrzebuje oprawy. Wyglądasz na królową! — plótl, obejmując swoją panią, przysuwając twarz.

Wyrwała się z objęć, krzyknęła z odrazy i strachu, jak niegdyś w Siemieńczycach, kiedy w jej obecności świnia ryjem wygrzebała z kupy gnoju białe ciało naworodka. Tak, ryj świni wyraźnie miała w oczach, gdy Józek przysunął się do niej twarzą.

— Czego wrzeszczysz? Nie kęsam!... Odzwyczajaś się od męża. Dałem ci długie wakacje — gadał prędko. Kazałem sobie pokój urządzić tu obok — chciał ją znowu objąć — zawiozę ciebie autem do Gdańska, odbędziem drugą podróż poślubną.

Przeniosła się na drugi koniec kanapy.

— Poco ci żona?

— Jakto poco? Mam ci wytłómaczyć? — śmiał się, tuląc się do niej i cisnąc rękę.

— Zostaw mnie!

„Pani nie może żyć w kłamstwie, w cudzołóstwie“ — usłyszała głos Andrzeja.

— A przysięga? A posłuszeństwo? Wolisz może Choroszewskiego albo tamtego bolszewika? Choroszewski zadurzył się w sekretarce, bolszewik może już w ciupie — seplenił.

Wielkie, piękne, czyste oczy żony, których wzroku nie mógł znieść, spojrzały z wyrzutem.

— Nie lubisz mnie! Widzę oddawna, że przestałaś mnie lubić... Dawniej pocałowałaś mnie czasami... Należy się mężowi trochę lubienia — przygarnął ją ku sobie. Poddała się pieszczocie osłupiała, sztywna i martwa, udręczona świadomością praw Józka, określonych krótkim zdaniem, które brzęczało w mózgu dokuczliwie: na to mąż.

„Pani nie może żyć w kłamstwie“ — zabrzmiał znowu tamten głos. Zerwała się z kanapy.

— Uciekasz odemnie! A gdyby to był ten twój bolszewik, sama siadła byś mu na kolanach — zachichotał. Za co go kochasz, kobieto?... Nie wiesz chyba, co z niego za ptaszek. Szkoda, żeś nie była ze mną wczoraj w Poznaniu. Piotr byłby pokazał ci kupę artykułów o jego wyczynach.

— Gazety kłamią! — powiedziała nie dość stanowczo i jakby po namyśle.

— Nie zawsze kłamią. Dlaczego uwzięły się na niego, a naprzykład nigdy nie napiszą o mnie Niema dymu bez ognia!

Odwróciła się do okna. Wiatr wzdymał lekkie białe firanki, drzewa huczały, ogród zmagił się trzeci już dzień z huraganem. Miotaly się w potwornym płąsie konary, chyliły się i trzęsły wyniosłe wierzchołki, przypadały do ziemi struchlałe krzewy, leciały na spalony posuchą trawnik zielone żywe gałęzie i liście. Nigdzie nie było spokoju, a świat był zły i nikczemny. Ona także była zła. Odtrąciła pana Andrzeja dla spokoju sumienia, dla wygody życia, ze strachu przed plotką salonów warszawskich. Nie dorosła do zrozumienia jego wzniosłych prawd, które są jak płomień niszczący. Dlatego bołą ją i niepokoją podłe napaści gazet, kłamstwa Choroszewskiego.

Poprosiła męża nieśmiało o dzienniki.

Ale nie było gazet. Piotr miał sam przywieść je do Kowalewa.

Tymczasem uprzedził Choroszewskiego Teoś Podczaski, który zjawił się po południu i natychmiast skwapliwie pokazał wszystkie.

— To jest oczywiście robota tego waszego Piotra Wielkiego — pocieszał Inię, — zabił przeciwnika, sam zaś triumfalnie objeżdża Wielkopolskę, tłómacząc pocziwym Poznaniakom, że z Polski trzeba zrobić kraj bojaźni Bożej i nadętego junkra. Poznaniaki potakują. Przemawiał już w Rogoźnie, Rawiczu i Gnieźnie, dziś występuje w Tryczynie. Tryczyńscy mieli urządzić fetę na jego cześć, ale stary rozchorował się, albo może węża dusi w kieszeni. Antypatyczny jest ten papa z tą swoją tysiąchektarową pychą, żarłocznym apetytem i cukrówką. No a jak się wam podoba pani

Marta Tryczyńska, niestrudzona prezeska na wszystkich posiedzeniach w powiecie? i trzy jej mądre córki, zajęte trzodą, chlewem, drobiem i mleczarnią? I poco ja wdepłem w ten pasztet?!

Tu Podczaski począł ubolewać nad losem czwartej panny Tryczyńskiej, garbatej, zakochanej w nim Janki, która w krainie tuczu świń karmi dwa łabędzie ku irytacji papulka, pisze wiersze i wśród nudnych pól wielkopolskiej ojczyzny, napastowana jest wciąż wizją lokomobil, biegających pomiędzy stertami, jak oszalałe koty z zadartymi ogonami.

Ale bardziej niż losem zakochanej w nim panny przejmował się obecnie Podczaski sprzedażą swoich rycerskich dóbr, w których nie mógł już ani tygodnia dłużej wytrzymać, projektem założenia wielkiego, na europejską miarę dziennika w Warszawie, oraz budową domu gry w Krynicy i sanatorjum dla pragnących odmłodzenia prezesów.

— Dwu współników już mam... jeden bardzo solidny wiedeńczyk. Leczyć będziemy za dolary. Wszyscy radcowie i prezesi z całej Polski zlecą się do Krynicy, zbierzemy więcej walut niż w P. K. K. P. — trzepał. Inia ścisła gazety w rękę. Wpadł jej w oczy podkreślony niebieskim ołówkiem i opatrzony wykrzyknikiem jeden ohydny tytuł: „Zdrajca i szpieg na wolności“. Nie mogła czytać przy świadkach. Patrzyła wielkimi przerażeniami oczyma w okno. Wydymała się i opadała biała firanka, w ogrodzie gięły się i huczały drzewa. Nie było nigdzie spokoju, a świat był

zły i nikczemny. Widziała natłoczoną salę warszawską i wśród wrzasku wrogiej ciżby pana Andrzeja z bezradnym uśmiechem na ustach, widziała w dalekiej nieznannej mieścinie małopolskiej samotnego przybysza, osaczonego przez głupi i okrutny tłum. Alboż nie jest jej obowiązkiem spieszyć mu z pomocą, dzielić z nim jego hańbę i los, cierpieć z nim? Rozwodu niema, kochanką nie będzie, ale może mu być towarzyszką, przyjaciółką, może otoczyć go opieką...

Wyrwały ją z rozmyślenia podniecone głosy panów, którzy skakali sobie do oczu. Musiała mitygować obu. Józek nazwał kuzyna gryzi-piórkciem i sprzedawczykiem, Teoś — pracę ziemianina zbożnym wyzyskiem. Wkońcu przeciwnicy udali się w najlepszej zgodzie na spacer do żróbków.

Rzuciła się wówczas na pisma, rozłożyła je drżącymi rękami na stole, pochyliła poblądłą twarz nad zakreślonymi niebieskim ołówkiem szpaltami. Chwilami mąciło się jej w oczach. Dowiedziała się z gazet, że niejaki Andrzej Szydłowski należał do Komsomolu, był komisarzem u bolszewików członkiem czczewyczajki, że skazał na śmierć i nawet własnoręcznie zastrzelił kilku wybitnych rodaków, że tenże Szydłowski po powrocie do kraju wstąpił do policji, ażeby wnieść tam zarazki rozkładu i dalej bezkarnie uprawiać swoją niecną robotę. Tyle już razy uwierzyła i uznała pana Andrzeja, tyle razy postanawiała nie przejmować się wstrętnymi plotkami, mimo to w miarę czytania rósł w niej niepokój i roz-

terka. Znane zarzuty, nad którymi obojętnie przechodził do porządku sam oskarżony, które zbagatelizował i wyśmiał Maciej Łuszczyński, nabrały w druku życia i wagi. Nie chciała wierzyć, nie wierzyła, by zawierały prawdę, ale nie mogła także przypuścić, by ktoś odważył się podawać do piśm same wyssane z palca kłamstwa, przypomniło się jej owo niepokojące, rzucone mimochodem podczas pierwszej wizyty zdanie o potrzebie wyповідania się z grzechów przeszłości. W Warszawie, Krakowie i Poznaniu anonimowy oskarżyciel powoływał się na niezbite dowody. Jakże mogły być te dowody? Dlaczego nie chciał oczyścić się z zarzutów? wyprzec się błędów? — zapytywała siebie z trwogą, przenosząc spojrzenie ze wstrętnych szpałt na rozkołysane drzewa, i dalej przerzucała dzienniki. Nie przejrzała jeszcze wszystkich, gdy Teoś przyleciał z podwórza, by pożegnać ją i oznajmić zdyszczanym głosem, że zajechali przed dom samochodem niezapowiedziani z powodu uszkodzenia telefonu goście, to jest Choroszewski w towarzystwie dwu powiatowych luminarzy. Jakoż rzeczywiście po chwili, zaledwie zamknęły się za Teosiem drzwi, ledwo zdążyła zwinąć gazety, zjawił się w salonie Choroszewski z Józkiem i z nieznanym jej młodym panem Zmorskim, oraz Metodym Tryczyńskim, bratem najbliższego sąsiada Kowalewa. Wysoki i chudy o dużym nosie, wyłupiastych oczach, wystającej grdyce, pan Methody odznaczał się donośnym głosem. Głos ten dobrze był znany mieszkańcom powiatu Try-

czyńskiego, odkąd chudy pan Metody, skrzywdzony przez otyłego Telesfora przy dziele objął, nie mogąc utrzymać się na własnym lichym majątku, administrację Tryczyna, różne piastował w powiecie godności i, uważając siebie za opiekuna powiatu, wszystkim hojnie udzielał rad, nagan, pochwał i pouczeń. Ale w obecności Choroszewskiego dygnitarz powiatowy zapomniał języka w gębie i pochyłony uniżenie usiłował zaskarbić sobie względy znakomitego gościa. Znakomity gość, znużony i schrypnięty po dwugodzinnej mowie usiadł z pliką gazet na jedynej zabłąkanej w dwu nieumeblowanych salonach kanapie i nie zabierał głosu, ale pilnie obserwował dawną panią serca swego, porównując ją z tą, która wznieciła niedawno „pożar stepu“ i bez zastrzeżeń oddała mu młode serce swoje.

Milczał także ów młody ziemianin, który miał rasową twarz i wciąż trząsł głową, jak gdyby dla odpędzenia natrętnej muchy. Gospodyni nie zabawiała zupełnie przybyłych. Pewnej chwili skierowała się do bocznego stolika, na którym płonął przepyszny bukiet czerwonych róż, położyła tam ukradkiem dzienniki, i usiadłszy zaglądała po kolei w żywe, cudne, ciepłe pąki kwiatów, wachała długo każdy z osobna, jakgdyby każdemu z osobna zwierzała swoją troskę... Twarz jej pałała, oczy świeciły jak gwiazdy, serce nękał niepokój.

Służący Wacek wszedł z zapaloną lampą. Józek kazał podać wino, najlepsze to wycyganione od kanonika Staszewskiego dzięki Wo-

deckiemu. Przy kieliszku rozwiązały się języki. Młody Zmorski zbliżył się do gospodyni, która wciąż oglądała róże, i zabawiał ją inteligentną rozmową na temat wyższości kultury łacińskiej nad germańską, tymczasem pan Metody, budząc swoim ogromnym głosem echo w wysokich niezamieszkałych pokojach palnął mówkę do znakomitego gościa, aby raz jeszcze podnieść jego zasługi i podziękować mu w imieniu powiatu za ostrzeżenie narodu przed niebezpieczeństwem.

Podczas krzykliwej przemowy powiatowego patrona Inia śledziła Choroszewskiego. Nie gardziła dziś nim jak dawniej. Budził w niej respekt, bała się go, odkąd rozpoczął walkę z panem Andrzejem, miał powodzenie i tupet, dlatego nienawidziła. W szerokiej o wystających kościach twarzy, w małych daleko osadzonych oczach, w zaciśniętych ustach czytała upór, bezwzględność, okrucieństwo. Siedział wyniosły, uroczysty, zadowolony. Ludzie poważni, kraj cały widział w nim zbawcę, wyrażał mu wdzięczność i uznanie. A tamten?... A tamten, sam przeciwko wszystkim, prześladowany, szczuty, wyklęty... czemu taką wybrał drogę? Czemu niedostępne głosił prawdy, które są jak płomień niszczący. Zwalcza religję i patriotyzm, potępia zbrojenia... Na czymże zbuduje nowy ustrój świata? Na sprawiedliwości? Przemoc zmiecie bezbronnych, tłum ukamieniuje samotnego marzyciela. Dlaczego nie wyprze się błędów, jeżeli w dzikiej i krwawej Rosji szukał nowego słowa?

Odwróciła się do okna. Spojrzały na nią bolesne zdziwione oczy gwiazd. W tem mgnieniu dojrzało w niej postanowienie opuszczenia Kowalewa i męża. Wydało się jej to naraz prostem, łatwym i koniecznym. Pan Andrzej żądał... Gdy on cierpi, nie wolno jej pędzić próżniaczego życia w domu męża. Jak mogła nie rozumieć, nie widzieć tego dotąd?! Rozwodu niema, kochanką nie zostanie, ale może mu być towarzyszką, przyjaciółką, opiekunką. Dziś jeszcze zapowie Józkowi a przedtem zażąda od Choroszewskiego, by zaprzestał nagonki. Tyle razy zapewniał ją o swojej miłości, tyle razy powtarzał, że niema rzeczy, którejby dla niej nie zrobił. Ogarniał ją spokój. Przesłuchiwała się rozmowie, która nie milkła, podtrzymywana głównie przez Józka i pana Metodę. Obaj panowie zgodnie napadali na rząd, dążący świadomie do zniszczenia wielkiej własności. Naraz Zmorski, wyrzucając głowę, zaznaczył złośliwie, że władzom polskim należałoby się przynajmniej tyleż respektu co pruskim, poczem dodał, że z walki klasowej, która zamienia się w wojnę domową, skorzysta ją niezawodnie obaj sąsiedzi. Metody Tryczyński wybałuszył oczy na niesforenego sąsiada, który na posiedzeniach poruszał zwykle sprawy nieobjęte porządkiem obrad. Choroszewski nie wystąpił w obronie swego programu. Nie cieszyły go oklaski na wiecach wielkopolskich, ani nie martwił się krytyką, nie wierzył już bowiem w zwycięstwo sprawy. — Wszystkie partje odmówiły mu poparcia, a sojusznicy zaś i zwolennicy umieli tylko krzyczeć na zebra-

niach. Walki i odpowiedzialności bała się w Polsce zarówno prawica, jak lewica. Ponieważ nie udało mu się ująć steru, okręt musiał rozbić się prędzej albo później. Postanowił tedy ratować własny dobytek i szukać szczęścia i złota na Zachodzie lub w Ameryce, gdzie nie mogły go osiągnąć głupie ustawy ogarniętej obłudem radykalizmu ojczyzny. — Wybierał się tam w towarzystwie tej, która była uosobieniem wiosny i radości.

W salonie po nietaktownem odezwaniu się „indywidualisty“ Zmorskiego trwało kłopotliwe milczenie. Na szczęście Józek, któremu po winie rozczuliło się serce, a płątały się nieco myśli i słowa, zaczął unosić się nad polskiem morzem i jego znaczeniem dla państwa, nad przyszłą polską flotą, do której stworzenia przyczynił się hojną ofiarą.

Potakiwali mu sąsiedzi. Zbierając rozsypane na stole czerwone płatki róży Inia raz poraz zwracała wzrok na groźnego przeciwnika, w którego ręku był los pana Andrzeja. Gdy spotkały się ich oczy, Choroszewski dźwignął się z kanapy i ofiarował jej kilka dzienników, dodając znacząco, że znajdzie w nich dużo niezwykle sensacyjnych wiadomości o pewnym dobrym znajomym. Poprosiła go o chwilę rozmowy na osobności. Udali się na werandę i stamtąd do ogrodu. Szła prędko, jakgdyby spieszyła do wiadomego jej celu. Rozpostarło się nad niemi niezmiernie gwiazdziste niebo, otoczyła ich pachnącą ciszą upalna sierpniowa noc, drzewa przywitały milczeniem, ale od czasu do czasu zaczynał swawolić wśród zarośli

ciepły powiew, wówczas z wierzchołków drzew rzekłbyś z niezmiernej odległości splotywał łagodny szept i gdzieś w pobliżu ścieżki jakiś krzew szeleścił trwożnie dużemi liśćmi... Choroszewski, który czuł się nieswojo wśród milczenia świata, wołał przerwać ciszę, by zachwalać dobroczynne jej działanie na wsi.

— Przekonałem się, że stworzony jestem na wieśniaka. Cóż to za rozkosz obudzić się w nocy i słuchać, jak gdzieś daleko ujada mały piesek! Koło ławki stanęła. Położyła rękę na oparciu. Pachniały tu floksy.

— Czytałam już twoje podłe artykuły — wybuchła. — Dlaczego prześladujesz pana Andrzeja, pana Szydłowskiego? — poprawiła się.

— Czytałaś? I mimoto bierzesz w obronę tego łotra — bolszewika?!

— Tak, bo on jest niewinny — eicho oświadczyła.

— Ale ja to niewiniątko muszę zabić w opinji, zniszczyć.

— Co to znaczy zniszczyć? — spytała zatrwożona.

— Chcę zmusić władze nasze, by zajęły się wreszcie tym drabem. Niech go zamkną w więzieniu, albo wyślą do bolszewji — niedbale wyjaśnił Choroszewski.

— Ale ty nie wierzysz, by on był szpiegiem i agentem bolszewickim! — krzyknęła.

— Niestety, są niezbite dowody.

— Kłamiesz! Zresztą żadnych dowodów nie ma! Zresztą żadne dowody!... Choroszewski cofnął się o krok od rozwścieczonej jędzy, jak określił w myśli dawną boginię swoją, usiadł

na ławce, przeciągnął się, odetchnął głęboko wonnem powietrzem.

— Nie rzucam słów na wiatr! — rzekł po chwili. — Co tu tak pachnie Iniu?

— Matiolo — odparła z roztargnieniem i pochyliła głowę pod ciężarem troski, pod ciężarem winy. Znowu odezwał się niepokój, którym krzywdziła pana Andrzeja podłej niż oszczercy.

— Pokaż mi te dowody! — szepnęła.

— Są w Warszawie. Służę niemi na każde zawołanie, przedstawię je na sądzie.

— Niema ich ani w Warszawie, ani nigdzie! Niema ich nigdzie! — powtórzyła, pragnąc przekonać samą siebie.

— Poco w takim razie miotasz się i skaczesz mi do oczu?! Jeżeli jest niewinny, wytoczy mi proces o oszczerstwo — gnębiły ją logiczne słowa i nieznośny „generalski” głos. — Wszystko wyjaśni się na sądzie. I dajmy już pokój tej sprawie.

Zamilkła, nie mając co rzec w obronie pana Andrzeja. Psy ujadaly na wsi, szeleściły za plecami jej liście, świerszcze grały. Z pod ławki wypęzła na ścieżkę ropucha.

— Pan Szydłowski ogłosił w gazetach wyjaśnienie — przypomniała sobie naraz.

— Tylko, że to wyjaśnienie niczego nie tłumaczy i jest raczej przyznaniem się do winy. Poznaliśmy go przy robocie. Szkodników trzeba tępić! — cedził wyrazy Choroszewski.

— I dlatego uciekasz się do kłamstwa?!

Choroszewski pociągnął kilka razy nosem, rozkoszując się tą nieznaną mu wonią.

— Noc, cisza, kwiaty pachną, wymknęliśmy się jak na schadzkę, a ty pijesz! I nie wiem nawet, o co ci chodzi.

— Chciałam prosić ciebie — zawahała się — chciałam przemówić do twego sumienia.

— Ślicznie dziękuję za zaufanie. Przemówić do sumienia znaczyło zapewne żądać odemnie, bym zniszczył owe dowody. Zgadłem? Przyznaj się! Milczała, zajęta, rzekłbyś, śledzeniem ropuchy, która zrobiwszy dwa niezgrabne skoki, odpoczywała na środku ścieżki. Inni wierzą i podziwiają... Sporzyński, młodzień, pan Maciej... Nie wolno jej wątpić, nie wolno...

— W Moskwie twój oblubieniec obrzucał mnie błotem, i domagał się sądu, teraz się pokazało, kto z nas ma czyste ręce.

— Mścisz się! Podziwiam twoją szlachetność! — rzuciła i dalej w skupieniu usiłowała rozprawić się z niewiarą.

— A ja twoje zacierzewienie i to niesamowite engouement — wyciągnął rękę, zerwał liść, zmiął go w dłoni. — Mogę z twoim Szydłowskim zrobić to — ale nie jestem mściwy i, gdybyś ładnie poprosiła, zniszczyłbym dowody, od ciebie tylko zależy... Mam czułe serce, pięknym paniom nie umiem niczego odmówić.

Choroszewski miał w dalszym ciągu ów zerwany liść, jakgdyby dla wykazania władzy swojej nad Szydłowskim.

— Milczysz! Nie chcesz się wstawić, gdy od jednego słowa twego zależy jego los.

Podniosła wzrok na niebo. Z nieba ze wszystkich stron spojrzały na nią bolesne, ździwione oczy gwiazd...

Wyparła się raz na zawsze niewiary, odczuła poprzez setki mil jego myśl... Jakże słodkiem w tęsknocie było przeświadczenie, że on pamięta i myśli o niej. Odkąd postanowiła opuścić męża, znikła dzieląca ich odległość. Stał się tak bliskim, że mogła prawie porozumiewać się z nim.

— Nie masz murowanej pewności, chciała-byś, bym dla twoich pięknych oczu sprzeniewierzył się zasadom. Trzeba umieć prosić! Trzeba prośbę poprzeć — podniósł się z ławki. Trzeba przytulić się do mnie, popieścić. Zawsze byłaś taka harda, nieprzystępna, zimna — plótl, obejmując ją poufale, jakkolwiek już nie zależało mu zupełnie na jej pieszczotach.

— Zostaw mnie — krzyknęła i wnet zawstydzila się wrzasku, który tak ordynarnie zakłócił spokój nocy. Tem głębszą zdała się cisza zaraz potem... Psy wciąż czekały daleko na wsi. Z nieba patrzyły na nią bolesne, zdziwione oczy gwiazd. Wiatr przemknął wśród krzaków, zaszeleścił spieszenie gałęzie bzu, westchnęły i umilkły.

— Ogłaszaj w druku podłe paszkwile, urządź wiece, zbieraj oklaski! Świat dowie się kiedyś, kim jesteś, poznają się ludzie na nim — wybuchła, pokonawszy wreszcie rozterkę.

Zawróciła do domu.

„Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości“ — przypomniały się kojące słowa, które przytoczył raz poczytywy Maciej Łuszczynski. Z otwartych okien pałacu doleciał donośny głos pana Metodego. Prezes powiatowy mówił teraz o konieczności

stworzenia wspólnego programu dla wielkich i małych rolników. Józek rozczulony trunkiem gościnnie zapraszał kochanych sąsiadów na kolację, której nie było, i wciąż dolewał gościom i sobie. „Czem chata bogata, tem rada“ — powtarzał uparcie.

Po wyjeździe gości (bez kolacji) Inia, która miała wstręt do pijaków, chciała zamknąć się w sypialni, ale nie puścił jej tam podchmielelony mąż. Trzymał ją za rękę, posadził obok siebie na kanapie, obejmował, kładł głowę na ramieniu, śpiewał kabaretowe kuplety. Dobre wino kanonika Staszewskiego jeszcze działało.

— Co tam wyczyniałaś z Choroszewskim w ogrodzie? — spytał, odbierając jej poraż drugi świecę — skompromitowałaś mnie wobec gości, gotowi pomyśleć, żeście romansowały na trawie.

— Nie będę już ciebie kompromitowała, jutro wyjeżdżam — oświadczyła marszcząc czoło i patrząc w świecę...

Nie zrozumiał.

— Cóż z tego, że wyjeżdżasz. I ja także...

— Opuszczam ciebie, rozstaję się — powiedziała twardo i sucho.

Zatrzymał się, wlepił w nią bezmyślny wzrok.

— Już... A nie mogłabyś odłożyć — spytał, nie wiedząc co rzec.

— Nie mogę odłożyć. Wakacje dziewczynek skończyły się.

— Nie mogę, nie mogę — zaciął się, urwał.

Nastało milczenie. Oboje patrzyli w świecę, która topniała na przeciągu, i w cme, krążącą dokoła płomienia.

— Irka wróci niezadługo.

— Skąd znowu Irka? Wychodzi za mąż.

Usiadł i podparłszy głowę, popadł w zadumę. Usiłował rzecz rozważyć, wyrobić sobie zdanie, rozpatrzyć dobre i złe strony. Nie lubił rozstrzygnięć i postanowień nagłych, lubił natomiast ład w życiu, wyrósł w poszanowaniu dla uświęconego tradycją pojęcia domu i rodziny, pamiętał, że w świecie ogadują małżeństwa żyjące niezgodnie, że pochodząca z wysoko postawionego w hierarchji towarzyskiej rodu Siemienieckich żona pomaga mu swemi koligacjami i stosunkami w wyrobieniu t. zw. pozycji, przewidywał, że matka napewno bardzo się zmartwi. Zresztą zżył się już z myślą, że żona zastąpi mu Irkę. Kosztowała go niewiele, przyzwyczaił się do niej, a przywiązywał się i przyzwyczajał do kobiety nie łatwo.

— A iż cię nie opuszczę aż do śmierci — rzucił bezmyślnie, by zyskać na czasie.

— Myśmy sobie już dawno opuścili.

Zauważywszy, że świeca na przeciagu płynie, poszedł zamknąć okno.

— Zmieniłaś się, nie lubisz mnie! — dodał jakoś nawiasowo z uczuciem smutku.

— Sam to widzisz. Pocóż mamy wchodzić sobie w drogę i ciężyc, oszukiwać siebie?

Przeszedł się po pokoju i obliczał chodząc, za ile dałoby się sprzedać obecne mieszkanie na Szopena, ile zyskałoby się biorąc mniejsze. Mimoto żał mu było tego „domu“, który się skończył, żał mu było, że opuszcza go mądra, piękna i szykowna żona, której przestał się

bać, od której miał prawo wymagać dobroci i opieki, a przede wszystkim niepokoiła go myśl o matce i zimie. Już był ułożył sobie cały projekt spędzenia zimy na wsi.

— Zamieszkalibyśmy na stałe w Kowalewie, gospodarowałyby się na potęgę. Przekonałem się do Kowalewa, doskonały warsztat, klimat, komunikacje. Pracowałybyś dla ludu... I dlaczego przestałaś mnie lubić? Nigdy nie skrzywdziłem ciebie, niczego nie żałowałem. Z wyrzutem miękko spytał, wzruszony dobrocią i niezwykłością sytuacji.

— Nie dopadamy sobie... Zmieniłam się. Zaraz po powrocie powiedziałam ci, że inną jestem — przypomniała mu łagodnie.

— I musisz koniecznie opuścić męża, dom... — krótkie łkanie wyrwało mu się, odwrócił głowę... coraz więcej żal mu było siebie i tego domu, który burzyła żona.

— Muszę — powiedziała także z jakimś zupełnie niewłaściwym, zbyt czynnym i niespodzianym rozczuleniem. Wymawiała sobie niedawno, że dziobatego Wacka służącego będzie żałowała więcej niż męża, teraz zaś ogarnia ją litościwa obawa, czy ona rzeczywiście nie krzywdzi tego sepleniącego pieszczocha matki.

Przemierzył pokój powolnym krokiem. Stał nad nią, położył czule rękę na ramieniu.

— Co powiedzą ludzie?... Mater gotowa rozchorować się z rozpaczy.

— Będę w Jurkowcach, postaram się jej wytłómaczyć... Ludzie pogadają i zapomną — mówiła rzeczowo, rada, że pieszczota męża zażegnała litosne rozrzewnienie.

— Ależ mąż nie zapomni — znowu roztkliwił się Józek — mąż będzie się nudził w pustym domu.

— Kosztowności zapakuję dziś jeszcze i oddam ci wszystkie.

— Ale szmaragdowa brosza znalazła się cudownym sposobem — ucieszył się. Pomyśl tylko w karecie pod dywanikiem, mater zrobi ofiarę św. Antoniemu. Nikt takiej nie miał w Tryczynie. Teraz za karat dają mi przeszło sto dolarów.

— Możesz grubo zarobić! — dotknęła ręką czoła i cisnęła mocno, jakby to mogło co pomóc na troskę, na niepokój o tamtego drogiego, dalekiego samotnika, na strach ludzi, i strach ciemności, wśród której miała teraz znaleźć się sama i walczyć.

Józek chciał zagwizdać, ale pohamował się, czując, że w takiej chwili nie wypada. Rozstawił szeroko nogi i z rękami w kieszeniach przypatrywał się żonie.

— I cóż będziesz robiła?

— Poszukam sobie pracy.

— Poszukasz pracy... — wyduł wargi — a z czego będziesz żyła? Migdałami niebieskimi? — sondował przezornie, obawiając się, że żona zażąda zbyt dużej renty, albo zwrotu posagu.

— Nie wiele mi potrzeba. Zarobię sobie...

— Tak się to tylko mówi. Nie posiadasz fachu. A zresztą, gdybyś nawet miała fach... Widziałem, jak mordowała się Irka.

— I ja będę się mordowała.

Teraz Józek przypomniał sobie, że żona miała nadzwyczajny dar pielęgnowania chorych.

— No, a gdybym kiedyś zachorował i wezwał ciebie?

— Przyjadę na każde wezwanie.

Nie miał już nic do powiedzenia, ale starał się jeszcze coś wymyślić, znaleźć jakieś najbardziej odpowiednie słowo, uważając, że tego wymaga sytuacja.

Inia wzięła świecę i poszła do drzwi. On również zabrał wówczas swój zakapany stearyną lichtarz i nagle śmiejąc się chwycił ramię żony.

— No, przed rozstaniem, możebyśmy się czule pożegnali — śmiał się, sam trochę zmieszany tą swoją propozycją.

Wyrwała mu ramię, spojrzała spojrzeniem, które szło za skórę, zatrzasnęła drzwi.

Józek szarpnął dla zasady klamką, poczekał chwilę, zagwizdał, ale natychmiast zamilkł, rozumiejąc, że nie wypada gwizdać w dniu rozstania z żoną i poszedł do gospodyni dopomnieć się o mleko kwaśne.

XXV.

Jurkowce leżały w pobliżu dużego fabrycznego miasta, kolei i szosy, mimoto ich właścicielka potrafiła stworzyć sobie w tem ruchliwym osiedlu odludną wyspę, do której nie miały dostępu nowe prądy, hasła, mody, przesady i herezje. Poetyczna i podniosła pani Ludwika nie zapuszczała się nigdy w brudne, hałaśliwe i cuchnące zaułki rzeczywistości, stale przebywała w swoim własnym urojonym sielankowym świecie. — Nawet wielka wojna, przemarsze wojsk, odgłosy strzałów, głód po miastach, okupacyjne rygory, egzaltacja córki, pomieszanej na punkcie jakiegoś komitetu nie zamąciły spokojnej toni życia w Jurkowcach. Pani Ludwika modliła się na intencję pewnego porucznika rosyjskiego, którego smutne oczy rozczuliły tkliwe jej serce, a który to porucznik w dodatku okazał zainteresowanie i sympatję dla religji katolickiej, odmawiała codziennie pacierz na grobie poległych w potyczce za parkiem, powtarzała z wiarą piękne słowa psalmu „Skruszy łuk, zdruzgoce orężę i tarcze ogniem popali“ ale ponieważ Józkowi, jako jedynakowi, ani mężowi nie groziła służba na froncie, a nad światem i nad ojczyzną czuwa-

ła. Opatrzność, pobożna pani nie przejmowała się niedolą krwawiącej się w wojnie ludzkości. Znikome sprawy ziemskie mniejszą w oczach pani Padniewskiej miały wagę, niż tajemne nurty i dreszcze życia wewnętrznego, serce zaś jej obejmowało tylko najbliższą rodzinę.

Troski materialne także nie ściągnęły na ziemię wzniosłej duszy pani dziedziczki, pogodnej zaś wiary jej w doskonałość boskiego ładu na ziemi nie zachmurzyły nigdy posępne widma zła, niesprawiedliwości, cierpienia. Wiedziała wprawdzie, że istnieją przestępcy, zapewne brodacą, jak zbóje w bajkach dziecinnych, że dzieją się kędyś tragedje, ale dla zbrodniarzy budowano więzienia i domy poprawcze, kościół modlił się za grzeszników, morderstwa i nieszczęścia zdarzały się w krainie niezmiernie oddalonej od świetlanego królestwa, które stworzyła sobie, w którym nie mogło być występku, nędzy, grzechu, krzywdy. Jeżeli złe wdarło się brutalnie do sielanki, pani Ludwika umiała w porę przejść nad niem do porządku, umiała w porę zamknąć oczy.

Mąż, doskonały rolnik, ale karciarz i kobieciarz, pił na jarmarkach, uwodził w Jurkowcach wszystkie po kolei młode klucznice i bony, w mieście popełniał bardzo liczne i głośne grzeszki, Józek źle się uczył w szkołach, związał się w Petersburgu z jakąś awanturnicą, a w Krakowie zawarł bardzo kosztowną przyjaźń z księciem Powstańskim, zgwałcił pod bokiem rodziców ulubioną ich pokojówkę, wesółą Weronkę, o czem w anonimach nie omiesz-

kały donieść matce niedobre przyjaciółki, jednego z poprzednich proboszczów biskup usunął za zgorzenie, gospodyni zła jak jędra, pastwiła się nad fraucymerem, rządcą impetyk gruchotał kości psubratom — fernalom, wyrostki kradli jabłka z ogrodu, miód z uli, drzewo z lasu, chłopci mszcząc się za przegrane procesy serwitutowe podpalali sterty. Weronka źle płatna, jak cała zresztą służba w Jurkowcach miała długie ręce, pani Ludwika nigdy nie spostrzegła owych rażących faktów i w dalszym ciągu unosiła się nad cnotami męża i syna, chwaliła przywiązanie gospodyni i rządcy, pobożne skupienie proboszcza podczas mszy św., poczciwość kmiotków i czeladzi. Po każdym zaś przymusowem zetknięciu się z prozą życia, z prawdą, ze złem tem szczerzej zamykała drzwi, prowadzące do własnego polukrowanego przybytku, ktokolwiek zaś próbował wywołać ją z jej sielankowej wyspy, ścigał na siebie gromy i gniew.

Przekonała się o tem synowa.

Inia przybyła do Jurkowiec w wilgę Matki Boskiej Zielnej. Dzień był pochmurny, bezwietrzny i ciepły. Chwilami mżyło. Na obrośniętej winem, wąskiej i długiej werandzie w zielonym półmroku dziewczyny z garderoby i z czworaków wily od rana wieńce dębowe do kościoła na odpust. Pani Ludwika czytała im na głos, obie zaś rezydentki, jedna kulawa w zielonym szalu, druga w ciemnych okularach starały się na wypródkę zgadywać życzenia swojej dobrodziejki, to znaczy w porę podać szklankę wody z cukrem dla zwilżenia zmęczo-

nego czytaniem gardła, odpędzić kota, przewrócić stronicę, a w wolnych chwilach dawały wyraz zachwytowi nad „Brankami w Jasyrze“ oraz nad artystycznym czytaniem drogiej Ludwini. Synowa po kilku chwilach rozmowy na temat podróży, kuracji i zdrowia Józka oczywiście zasiadła także do pracy i do słuchania. — „Naszej Jurkowskiej Matce Najświętszej miłe będą wieńce, uwite twemi rączkami“ — orzekła pani Ludwika i sięgnęła po książkę, którą podarły jej obie naraz rezydentki.

— Wy tam na szerokim świecie, po miastach — dodała po chwili — karmicie się kinem, teatrem, światowemi zabawami, my na wsi żyjemy życiem kościoła i całym sercem obchodzimy uroczystości, które zakwitają nam radośnie wśród szarzyzny dni...

Po postnym bardzo cienkim obiedzie, który zawiódł nadzieje łakomych i stale głodnych rezydentek, pani Ludwika zaprowadziła najdroższego gościa do salonu, gdzie na rozłożonych na stole oknach i podłodze gazetach uszyły się, jak w całym zresztą domu, zioła.

— Gości częstuje się zwykle trucizną, tj. kawą, likierem, cygarami, ja zamiast trucizny podaję piękno i mądrość. Wiem, że mnie ogadują i ośmieszają, ale mało o to dbam — wypowiedziała ze smutkiem słyszane wiele już razy przez synową zdanie i otworzyła grubo oprawny w czerwoną skórę zeszyt. I natychmiast zaczęło się odczytywanie zgromadzonych w owym zeszycie złotych myśli Bossueta i Ernesta Hello, Kalinki, Tarnowskiego. Tymczasem synowa witała z rozczeniem dawnych miłych

znajomych. Wszystkie cenniejsze meble zabrał stąd przed wojną Józek do Złobienia, ale stały jeszcze pod ścianami dwie długie ciężkie kanapy jesionowe takie właśnie, jak w Siemienczycach w bibliotece na górze, był duży żółty staroświecki stół z klapami i szafka w rogu z zegarem, który cykał spiesznie, Inia dziwiła się zawsze w Jurkowcach, że właśnie w tym domu, gdzie czas zupełnie nie mijał, słyhać było szmer mijającego czasu.

— Jakie to proste i prawdziwe! — unosiła się pani Ludwika, natrafiwszy na aforyzm angielski. — Dzieło piękne jest radością na zawsze. Myślałam sobie nieraz, że tam, gdzie niema radości, tam umiera piękno, że radość oczu i serc ludzkich jest dla rzeczy pięknych tem, czem dla nas powietrze. Czy zastanowiłaś się kiedy nad tem, że w niezamieszkałych pałacach wszystko pogrążone jest w letargu, że dopiero spojrzenie zwiedzających ożywia przedmioty — mówiła prędko, patrząc z troską na niskiem czole nie na synową, ale przez duże niezastłonięte okna w ogród, jakby trapiąc się deszczem, który padał.

— Kiedy Józek był mały — ciągnęła dalej — zdzierał zawsze pokrowce. Dzieci wogóle wiedzą więcej od nas. Józek miał zawsze tyle intuicji! Ty odrazu oceniłaś subtelność jego duszy.

Ini przypomniał się pewien epizod z podróży poślubnej, gdy ona podczas wycieczki do „Czarnego Stawu“ podziwiała w niemym zachwycie grozę i piękno skalistych turni, a Józek wywijał laską i gwizdał walca z „Wesołej Wdówki“.

To był pierwszy zgrzyt. Innym razem zdrzemnął się, słuchając Tetmajera. Sądziła wówczas, że wszyscy mężczyźni z wyjątkiem Sawy są tacy.

— Józek łączy męski rozum z rzadką wrażliwością na poezję — podkreśliła jeszcze matka — Jak pięknie i ciepło opisał swój pobyt nad polskim morzem! Ile w tym dzielnym rolniku głębi i gorącego patriotyzmu!

Żona nie zaprzeczyła. Nie odważyła się także poruszyć sprawy, dla której wybrała się w podróż do Jurkowiec jakkolwiek chwila była może najbardziej odpowiednia. Zegar szemrał na szafie. Na mgnienie pograżyła się we wspomnieniach. Roilo się jej, że to mija jakaś dawna słotna popołudniowa godzina w Siemieńczycach, gdy ojciec spał i chodziło się na palcach w wielkim salonie z Angielką od „kardynała“ do „rycerza“ tam i z powrotem całych piętnaście minut. A potem na chwilę ukradkiem bez Angielki w narzuconej na głowie chustce „bon-ci“ do parku do altany nad rzekę. Wartko płynęły wśród żółtych osypistych brzegów mętne szumiące wody w zadżdżoną dal, dziewczęca głowa marzyła o pięknem i niezwykłym jak w książkach życiu, oczy biegły ku zasnutym mgłą lasom. Gdy ona marzyła o przyszłości, cienistą drogą za wysokim murem wzdłuż parku wracały od rzeki, człapiąc w błocie, parobkowe z wiadrami. A może prawdziwe życie nie jest tam, za górami i lasami, ale człapie tu cierpliwie i pokornie z wiadrami po błocie?... — zaniepokoiła się raz i parsknąwszy śmiechem, bo nalało się jej z dachu altany za kołnierz, uciekła pędem do pałacu...

Pani Ludwika znowu czegoś szukała w zeszycie, tymczasem stała się rzecz niezwykła. Ponieważ służba była zajęta odnoszeniem wieńców na plebanję, do salonu, gdzie brzmiało jeszcze echo podniosłych cytat, wcisnął się rudy jegomość o czerwonej twarzy, w nikłowych okularach i, powołując się na jakiś kontrakt, zapowiedział bardzo głośno i zuchwale, że nie usunie się z Jurkowiec, o ile mu nie wypłacą pełnego odszkodowania, a w ślad za nim wpadła z jękiem i płaczem niemłoda rozczochrana kobieta w stanie odmiennym i, wycierając nos w koniuszek chustki, która z głowy zsunęła się jej na ramiona, wołała o ratunek dla syna, którego pan rządca do pracy nie przyjął i tak obił, że się nie rucha. Za nią wsunął się stary chłop o pięknej ogolonej twarzy i prosił o lekarstwo na kaszel.

Na widok nieproszonych gości pani dziewczeczka popadła w zadumę i trwała w zamyśleniu, aż póki stary Kajetan z pomocą Weronki nie wypchnął śmiałków za drzwi. Wówczas, wyznaczwszy słodkim lecz stanowczym głosem jakieś zajęcia kuzynkom-rezydentkom, udała się w towarzystwie synowej przez szereg pustych, pachnących suchemi ziołami pokoi do jednej z wielu apteczek. Tam z szuflad, słoików, skrzyń, pudełek i torebek wyjmowała delikatnymi palcami korzonki, liście, kwiaty, rozkładała na tacy, ważyła, mieszała, sypała do torebek z papieru. A jednocześnie, spragniona rozmowy z kimś bliskim, z kimś czującym, wypowiadała cicho, prędko i monotonicznie swoje samotne myśli, spostrzeżenia i wnioski.

„We wszystkich sprawach szukałam pokoju“ — przeczyta ci jutro Kościół w epistole. Trudno na ziemi o pokój! Niema bowiem rzeczy martwych. Odczuwam w metalach szyderczy śmiech, okrucieństwo i podstęp, w wyrobach fabrycznych — pośpiech, które im udzielają gorączkowe ręce ludzkie. Z niektórych kwiatów wybucha żądza, naprzykład z amarylisów.

„Jakże zadać cios temu przeczulonemu sercu?!“ — trapiła się Inia.

Skazane na banicję rezydentki, trawione za zdrością, niepokojem i ciekawością, przyszły aż na strych, by zawiadomić drogą Ludwinie, że Józka z za rzeki zachorowała na czerwonkę, że stary Ambroży nie wstaje od niedzieli.

Pani Ludwika ze słodyczą zabrała się do przygotowania leków dla dwojga nowych pacjentów. „Za łaską Bożą pomaga się ludziom... Nieraz cały dzień schodzi mi na robocie“.

Gdy wszyscy czekający odeszli z ziołami, pokazała synowej w dawnym pokoju Józka jego zabawki: konia na biegunach, pierwsze zeszyty, pierwsze trofea myśliwskie.

— Tyle z naszej duszy i może właśnie to, co najtajniejsze, zostaje w przedmiotach, z którymiśmy obcowali — zauważyła.

I znowu tu, w pokoju Józka nadarzyła się doskonała sposobność rozpoczęcia zasadniczej rozmowy, lecz jeszcze raz zabrakło Ini odwagi.

Następnie panie udały się do t. zw. kancelarji czyli do pokoju ojca. Wszystko tu było jak w dniu ostatniego wyjazdu nieboszczyka

do Krakowa: na biurku leżały: otwarty katalog i jakaś rozdarta w ostatniej chwili koperta, i pokrywała się kurzem próbka pszenicy do siewu, koło drzwi — na jelenich rogach — laska i słomkowy kapelusz, używany codziennie do gospodarstwa, na stoliku pod jeleniami rogami — żółte irchowe rękawiczki do powożenia, wytłuszczone na końcach palców czekały, zda się, na właściciela, któremu tyle lat służyły.

— Gdy wychodził stąd w pośpiechu, rozejrzał się badawczo. Była już w nim wiedza o tem, co ma się stać, wiedza o śmierci — westchnęła. — Przychodzę tu nieraz słuchać cichej mowy rzeczy. Żyją w tych ścianach jeszcze jego myśli, troski i radości.

Nie wspominając oczywiście o tem, że nieboszczyk zwiedzał Kraków w towarzystwie niejakej Karolci, wieloletniej przyjaciółki i że ta okropna pannica ośmieliła się przyjechać do Jurkowiec na pogrzeb, pani Ludwika opowiedziała, zamknąwszy oczy, szczegóły niezwykle pięknej śmierci męża, który zaniemógł i skończył w Muzeum Narodowym na kanapie przed Hołdem Pruskim.

Mówiła potem o swoich przecuciach, porównała siebie do nietoperza, który podobno przewiduje burzę na trzy dni.

— Wyszedłem z ogrodu sama. Był pogodny, ciepły wieczór jesienny. Dokoła stały złote drzewa, jakgdyby pogrążone we śnie, daleko z za brzoź wypłynął właśnie księżyc wielki, złoty, padły twarzą na trawnik długie cienie i coś, zdawało się, szepnęły trawom. Krążyły

nietoperze. Patrzyłam w zachwycie w ogród, pełen spokoju i piękna, modląc się za tych, którzy polegli w bitwie, nic jeszcze nie rozumiejąc. I naraz pojęłam szelest liści i złowrogie zwierzenia żałobnych cieni na trawie. Dwie wrony zerwały się z wierzchołka złotego kłonu, wpadł na podwórze z tententem jeździec na karym koniu — wspominała, marszcząc w zamysleniu czoło, przesypując pszenicę na spodku. — Pamiętasz ojca? Jaki to był typ szlachcica i pana, i właśnie u stóp „Hołdu Pruskiego“... — popadła w zadumę. I spytawszy się poraz trzeci o zdrowie Józka, zaprosiła synową i rezydentki na spacer po ogrodzie, przyczem zapowiedziała, że deszcz niebawem przestanie padać, gdyż jest sobota i wigilja przed świętem Matki Boskiej. Jakoż rzeczywiście miało się na zmianę. Zerwał się kędyś wśród wschodnich stepów zimny wiatr, przeleciał nad zasnutym słotną mgłą światem, zatrzęsł parkiem, skopał i podarł na strzępy szarą powłokę niebios... W dali nad lasem kłębiły się ciemno-fioletowe i morelowe, ogromne, dziwaczne chmury i znaczyły się jeszcze ciemne nad widnokregiem pasma padającego kędyś daleko deszczu, ale nad Jurkowcami jaśniały już smugi bladego błękitu.

Pani Ludwika otuliła się w chustkę, skuliła się, gdyż nienawidziła wiatru, lecz nie wyrzekała się spaceru. Podnoszenie małych które upadły ślicznymi różowemi twarzami w błoto zalanej deszczem ścieżki, zwiedzenie plantacji ziół leczniczych i kminku, oglądanie drzewa morwowego, ulubionych śliw Józkowych za-

brało sporo czasu, zwłaszcza, że rezydentki, zbierające ukradkiem jabłka starały się przedłużyć spacer i dla odwrócenia uwagi od jabłek i kradzieży wciąż się czemś zachwycaly, wciąż zadawały mnóstwo pytań i bardzo wymownie przy każdej sposobności wychwalały smak, dobroć i praktyczność kochanej Ludwiki, których to pochlebstw kochana Ludwinia słuchała bez przykrości. O zmroku odezwały się dzwony na nieszpory. Wszystkie panie udały się oczywiście natychmiast na nabożeństwo. Kościół był drewniany, stary, ubogi i ciemny jak w Siemienczycach. Ława kolatorska stała jak tam po stronie Ewangelji na wprost ambony, ołtarz tonął w bukietach z ordynarnych sztucznych kwiatów, święty na obrazie miał płaszcz ze srebra, na świecach były papierowe wianuszki, na lichtarzach frendzle z kolorowej włóczki... Zdawało się, że za chwilę odezwie się basowy głos księdza Płaskowskiego, który intonował fałszywie „O salutaris“, że matka szepnie jej po francusku do ucha, by uklękła na oba kolana. Cisnęły się wspomnienia. Onaż była na kwitnącej łące nad rzeką i w zimnej bawialni proboszcza na wyplataniem krzesła z bibliją Doré'go na kolanach, ona z koszykiem borowików pod rzucającymi długie cienie na złociste mchy sosnami w Biciejkach, ona — w blasku rozśpiewanej walcem sali balowej, na purpurowym ślubnym kobiercu między zielonemi laurami? Kołysze się na dalekich wodach przeszłości łódź, którą płynęła szczęśliwa lekkomyślna dziewczynka. Fale wyrzuciły rozbitka na nieznaną brzeg. Nowe

życie! Trzeba budować od fundamentu własnymi rękami. Dotychczas z łaski, cudzemi rękami... Odtąd sama... Teraz się pokaże, co jest warta. Sama pójdzie w ciemność nowego życia. Nawet dobrego Sawy niema. Zaprzepaścił się w Ameryce, stracił resztki majątku. Bez Sawy i bez pana Andrzeja Warszawa jest ogromna, pusta i wroga. Czy podola? Sawa ostrzegał. Należy do kasty, której jedynym talentem i zadaniem — wykwiłtne próżnowanie. Mogła była zostać u Józka. Niedobre małżeństwa dźwigają zwykle cierpliwie do końca nudę i przymus pożycia. Rzuciła dom, dostatek, spokój, wybrała walkę, samotność, ubóstwo. Czy nie nad siły? Pan Andrzej żądał. Ale odjechał daleko, od czerwca nie dał znaku życia, zapewne zapomniał. Miała donieść mu, że rozstaje się z mężem, ale nie wysłała listu. Poco było donosić! Nic się nie zmieniło. Tensam między niemi przedział, zresztą jeżeli zapomniał, tem lepiej... Nie wolno jej być mu kulą u nogi. Dla niej minęło wszystko, przed nim — nowe uczucie, szczęście. A gdyby wówczas zastała go w Tryczynie? — odezwało się naraz wspomnienie dusznego pokoju hotelowego z brzęczącym komarem, bo komar zabrzęczał jej i tu nad uchem, wspomnienie zawodu, upokorzenia, wstydu... gdyby nie spóźniła się wówczas, czy zasiadałaby dziś w kolatorskiej ławie i udawała cnotliwą? Spostrzegłszy na twarzy synowej nieodpowiedni wyraz, pani Ludwika podsunęła jej książkę do nabożeństwa i świecę. Inia natychmiast zaczęła odczytywać psalmy a podczas czytania

zastanawiała się, dlaczego podniosła mowa teściowej, jej pobożność i subtelność budzą w niej ducha przekory i krytyki? Czy sama już tak nisko upadła? Bo niema tu prawdy, bo życie jest odgradzone, uprzywilejowane, urojone — szukała odpowiedniego określenia — sztuczne, jak niegdyś jej udzielne księstwo w Siemieńczech.

Tak, urojone, sztuczne życie, ale co jest prawdą życia? — zadała sobie pytanie. — Harowanie parobkowskich żon, które szły z wiadrami po błocie siemieńczyckiej alei, gdy ona w parku marzyła o szczęściu, słuchając szumu wiosennej powodzi? Pełnia radości, jakiej żąda dla siebie panna Hela? gorzki samotny ofiarny trud pana Andrzeja? Życie znaczy gorzeć, życie to całopalenie, — zajaśniała w niej naraz odpowiedź, gdy zapłonęły na ołtarzu wysokie woskowe świece. Ach, znosić mękę, głód, upadać pod ciężarem samotnej pracy i smutku, ale żyć życiem prawdziwym, nie urojonem... Bo pięknem i radosnem może być tylko gorejące życie... Dla niej od jutra, może — od jutra zacznie się życie — dumiała, patrząc w płomienie świec na ołtarzu, olśniona wizją życia bohaterskiego. Rozległ się dzwonek i wnet potem wysunął się z zakrystji stary, bardzo wysoki, zgarbiony ksiądz w krótkiej złocistej kapie, niosąc na dłoniach monstrancję niby dziecko do chrztu. Za nim szedł kulawy kościelny z trybularzem. Uklękła, czekała w skupieniu na początek nabożeństwa. Tymczasem przed ołtarzem odbywały się głośne swarliwe narady między głuchym proboszczem a starym jego sługą, który musiał dwa

razy wrócić do zakrystji, raz po velum i bre-
wjarz, drugi raz po gasidło, gdyż zajął się od
świecy jeden z papierowych wianuszków. Re-
zydentki, którym z kieszeni posypały się z
gruchotem jabłka na podłogę, zostały zgromi-
one karzącym spojrzeniem kolatorki jak
również synowa, która rozglądała się po ni-
skim kościółku.

Oddawna już Inia nie oglądała tyle kościel-
nej szpetoty, oddawna także tak bliską i łat-
wą nie wydawała się jej droga do Boga, który
pod niskim drewnianym stropem kościółka
codziennie dobrotliwie słuchał ludzkich we-
stchnień, próśb, skarg i płaczów a także pacie-
rzy i zrzędzeń, śpiewu i kaszlu swego kapłana.

„Oto jest religja, jakiej potrzeba człowieko-
wi. Jakże odebrać cierpiącym wiarę w dobre-
go miłosiernego Ojca, któremu miłe są ziem-
skie troski, sprawy, prace, codzienna o Nim
pamięć i ufność? — dziwiła się panu Andrze-
jowi“ — poco zwalczać poufałość kochającego
serca?... Tu jest odpowiedź na bluźnierstwa
doktora Mojkina. Proste serca zakwitają wiarą.
Mózg bluźni, proste dusze wiedzą, że jest Bóg...”

Naswarzywszy się z kościelnym, proboszcz
dźwignął się z trudem z klęczek i poszedł po
dwu stopniach do ołtarza, odezwały się
dzwonki, zagrzmiały organy, uderzyła w ja-
rzący ołtarz, w niski drewniany strop skarga
ludu. Inię przejęło rozkoszne złudzenie, że je-
go to jest głos i mowa, jego moc, że jego ra-
miona biorą ją w objęcia...

„Palić się płomieniem — powtarzała śledząc
czerwone błyski pełgające po srebrnym płą-

szczu świętego Rocha — cierpieć, walczyć, żyć życiem prawdziwym, gorejącem... Opuścił ją strach przyszłości, z serca popłynęła gorąca, szczerza i prosta modlitwa.

Natychmiast po powrocie z kościoła, czując, że jest ostatni czas, że opuści ją męstwo, poprosiła obcesowo teściową o konie na ranny pociąg po pierwszej mszy, oraz o chwilę rozmowy na osobności.

Na wzmiankę o rozmowie pani Ludwika zają się i natychmiast wysłała obie towarzyszki z jakimś poleceniem do ochmi-strzyni.

— Siądź bliżej i mów cicho, bo one zwykle podsłuchują, pode drzwiami.

Czemu tak spieszysz? Czy Józek aby zdrów? — spytała poraz czwarty z troską na czole.

A gdy Inia upewniła ją, że syn doskonale się czuje po kuracji w Sopotach, matka zaczęła długą opowieść o jakiejś niezwykłej swego jedynaka chorobie w dzieciństwie, z której wyleczyła go woda z Lourdes...

— Postanowiłam rozstać się z Józkiem — strzeliła nagle Inia.

Pani Ludwika szybko kilka razy w popłochu mrugnęła powiekami i chwyciła ze stołu garść ziół.

— Matko najświętsza! Rozstać się z Józkiem!

— Niech mama mi wierzy, dużo się natrapiałam, długo walczyłam z sobą i zastanawiałam się... Wolałabym uniknąć tego — zawahała się — tego przejścia, wszystko zważy-

łam się... — zaczęła usprawiedliwiać się i urwała, spostrzegłszy, że teściowa jej nie słucha.

— Zaledwie weszłaś pod ten dach, wiedziałam, że idzie za tobą nieszczęście... Tak było rok temu, kiedy Józek zapisał się na ochotnika — niedokończyła i wachając suche zioła, dumiała.

— Wrócisz do niego? — powiedziała raczej w formie rozkazu niż pytania.

— Nie wrócę.

— Boś Józka niegodna! — syknęła z błyskiem nienawiści w swoich skrofulicznych oczach.

I zerwała się, żeby iść, żeby zamknąć one drzwi, któremi weszło złe i prawda, ale opamięnowawszy wzburzenie, została. I znowu obszerny salon zaległa cisza. Zegar cykał w mrocznym kącie, znacząc umykający czas, który w tym domu, zdawało się, nie mijał. — Stary Kajetan wszedł na palcach i zaświecił lampę. Pani Ludwika, wachając zioła, patrzyła w duże niezastłonięte okna, błękitne na tle zmierzchu. Pewnej chwili kaszlnęła głośno. Wówczas natychmiast otwarły się drzwi, zjawiły się obie kuzynki i, pełne troskliwości, zapytały drogą Ludwinię, czy nie przeziębla w ogrodzie, bo wygląda jakoś niewyraźnie. Uspokoiwszy obawy rezydentek, pani Ludwika kazała przynieść papierowe torebki. Zaczęło się zsypywanie ziół. Śród zajęcia toczyła się rozmowa raczej monolog pani Ludwiki, która cicho opowiadała, zwracając się wyłącznie do rezydentek treść przeczytanej niedawno biografii Piusa IX... Obie kuzynki, uszczę-

śliwione tem niespodzianem i niezwykłym wyróżnieniem, to wzdychały ze wzruszenia, to dziękowały kochanej Ludwini za tak mądre i piękne opowiadanie.

Ani razu do końca wieczora spojrzenie teściowej nie spoczęło na siedzącej obok Ini.

Synowa przestała dla niej istnieć. Synowa należała już do świata, na który pani Ludwika zamykała oczy.

XXVI.

Początki nowego życia nie poszły łatwo. — Sawy nie było w Warszawie, jacyś bezdomni kresowcy zajęli jego mieszkanie, przyjaciele rodziny, na których pamięć i serce liczyła, nie mieli czasu ani pamięci, na każdą posadę czyhały tuziny kandydatów, jej zaś brakło tupetu, wytrwałości i pokory. Kilka gorących sierpniowych dni upłynęło na bezowocnem bieganiu. Zawiodły rady i protekcje pani Janickiej, list polecający Tereski Szczerbiowskiej, obietnice Zatajskiego. Była w pięciu bankach, w trzech ministerstwach, w magistracie, w niezliczonych biurach nowopowstałych spółek akcyjnych. Wysiadując w poczekalniach, wspominała cieniste aleje Siemieńczyckie, pałac, który zdawał się być udzielnem księstwem, osobno i wyłącznie stworzonem przez Pana Boga dla Siemieniec-kich, a którego właściciele żądali od Pana Boga, by czuwał nad chwałą i pomyślnością ich rodu, wspominała szczęśliwą beztroskę, szlachetne złudzenia, naiwne przesady tamtych czasów i ludzi, panięńskie życie w białym pokoju, równie nadziemskie i odległe jak srebrzyste wśród błękitów nieba obłoki za

oknem, wspominała szumiące wody wiosenne i niecierpliwe dziewczęce marzenia o szczęściu. Wszedłszy na szlak tamtych wielkopańskich zasad, przesądów i narowów, myślała małodusznie, że niezależność, którą zdobyła, samodzielna praca, o którą zabiega, są zgoła niepotrzebne, ponieważ ona ma dom, męża, stanowisko. Doznawała także często wrażenia, że gra w teatrze amatorskim niewłaściwą rolę, która niebawem się skończy. A kiedy, straciwszy pół dnia na czekaniu, dowiadywała się z ust roztargnionego szefa, że potrzebne są jeszcze jakieś referencje, połykała łzy i powtarzała w zaduchu rozpalonych ulic, że Sawa miał rację, że przerachowała się z siłami, że nie zniesie dłużej codziennej poniewierki, że jutro nie pójdzie już nigdzie, do nikogo, za żadne skarby. Ale to żebracze łązenie po biurach i urzędach wypełniało przynajmniej pustkę rannych godzin, na nudę długiego popołudnia nie było żadnego lekarstwa. Wałęsała się po mieście, zachodziła do sklepów, oglądała mody jesienne, zmieniała przysłane przez Sawę, odłożone na czarną godzinę dolary, kupowała kwiaty, trochę cukierków, powieść angielską, lecz w brudnym i nudnym pokoju hotelowym nie cieszyły jej olbrzymie blade-różowe i żółte mieczyki, nie smakowały czekoladki, nie bawiły książki. — Pod koniec długiego wieczoru, przychodziło zniechęcenie, uczucie beznadziejnego osamotnienia, jakiego doświadczała nieraz w Finlandji. Za oknem huczało życie, niby pędzący pociąg i mijało ją, bo nie było dla niej w tem

życiu miejsca. Ona jest jak owa zabłąkana pszczoła, którą zauważyła raz w tramwaju na bukiecie bzu wracającej do miasta zgrzanej letniczki. Przybyła do Warszawy, by budować przyszłość. Jaką? Z kim? W jakim celu? — znowu zadawała sobie pytania, jakkolwiek oddawna znalazła odpowiedź. I wywlekała natychmiast wszystkie bluźnierstwa pana Andrzeja przeciwko Kościołowi i przestarzałym jego przykazaniom, które zniszczyły jej szczęście, gorzkie czyniła wymówki panu Andrzejowi, że zapomniał. Huczący za oknem pociąg wiozł samych ludzi szczęśliwych. Mogła i ona znaleźć dla siebie tam miejsce, ale nie miała ani odwagi do walki o szczęście ani sił do dźwigania niedoli i cnoty. Jest zanadto czy za mało rozsądna. Trzeba było albo zostać kochanką pana Andrzeja albo nie rozstawać się z Józkiem. Spuściwszy nisko głowę, płakała jak niegdyś podczas lekcji gramatyki francuskiej z Żanetą. A gdy wypłakała się, zabierała się do przerwanej powieści, i naraz wśród czytania nasuwała się uwaga, że niema w obecnych kolejach jej losu ani nadzwyczajnego bohaterstwa, ani żadnej krzywdy, że trzeba tylko znaleźć pracę i cel jak dzielna pani Janicka, iść własnymi siłami jak Hela Górecka, jak tyle innych kobiet, jak stryjenka Karolowa, która po śmierci męża i stracie majątku założyła w Saratowie księgarnię i zasłużyła sobie w rosyjskiem mieście na tytuł ambasadorki polskiej. Nazajutrz rozpoczynała swoją beznazdiejną wędrówkę i następnego dnia znowu i pojutrze znowu. Wreszcie zacna pani Janicka

zdobyła dla niej pokój w swoim mieszkaniu na Mokotowskiej, pan Maciej obiecał posadę w banku panny Heli:

Dla zaprezentowania się swoim przyszłym władzom Inia na rozkaz pana Macieja wybrała się nie do banku, lecz do cukierni, gdzie obaj dyrektorowie bywali prawie codziennie.

Pan Maciej, który oddawna już tam urzędował, podsunął jej stos pism ilustrowanych i dalej szperał w rubryce policyjnych wiadomości, które, jak twierdził, zajmowały go więcej niż podróże i mowy ministrów, międzynarodowe zjazdy i konferencje. Rozglądając się zgaszonym wzrokiem po natłoczonej sali, zapytywała raz po raz z przyzwyczajenia, o nazwiska panów, którym kłaniał się jej opiekun. „Redaktor Bielak, Mortimer, poseł Zapłatowicz, arcypraskarz Goliński, adwokat Rogowicz“ — padały obojętne imiona. Dawniej zajmowali ją ludzie i bawiły ploteczki, dziś coraz częściej patrzyła w tłum z niechęcią i lękiem, jak oskarżony po wyroku sądowym na podnieconą sensacyjnym procesem publiczność albo z zawiścią, jak chory z okna szpitala na spieszących zdrowych przechodniów. Zdawało się jej, że w tym gwarnym tłumie wszyscy prócz niej posiadli sekret powodzenia. Przewracała machinalnie strony jakiegoś ilustrowanego czasopisma, gdy Teos opowiadał o Choroszewskim i pięknej pannie Sporzyńskiej, o zagadkowych poczynaniach i podróżach Mortimera, o zaręczynach najbogatszej w Polsce jedynaczki z zawodowym tancerzem, straszył bliskim

ustąpieniem Steczkowskiego, katastrofą marki, bankructwem państwa. Pewnej chwili wyjął z kieszeni list i położył go przed nią na czarnej okładce „Tygodnika“.

— Zaszczycony zostałem i niezwykle wyróżniony tem oto pismem Andrzeja.

Ręce Ini wyciągnęły się po kopertę i wnet cofnęły się.

— Mam zająć się sprzedażą resztek ich pańskiej niegdyś fortuny t. j. placów na Mokotowie, które są okiem w głowie jego matki, połowę gotówki masz oddać matce, drugą zaś przysłać jemu na jakieś wielce szlachetne cele.

„Dzisiaj daleko zajechałem w gości, dosłownie za góry i rzeki, tak daleko, żeście o mnie zapomnieli — czytał po aktorsku z patosem. Co się dzieje z panią Inią? Czy pamięta jeszcze wygnańca? Nie śmiem odezwać się...“

— Widzisz niewdzięcznico! Może chcesz własnymi przekonać się oczami — podsunął list. Jakże cudnie zajaśniałaś w radości! — umilkł na chwilę, wytarł chustką spoconą twarz i dalej trzepał, zabawiając pana Macieja swemi sprawami. Miał kłopot z zakonchaną w nim na śmierć garbatą Tryczyńską, która zjawiała się nagle w Warszawie... Nabywca Kaczkowa nie wypłacił dotąd ceny kupna... marka spada.

Odczytując adres na pomiętej niebieskiej kopercie, uśmiechała się do krzywych pośpiesznych liter tak dobrze znanego jej pisma. Widziała pochyloną nad stołem drogą głowę z puklem ślicznych włosów na czole z zaciśniętymi podczas pisania wargami... Cóż zna-

czą wszystkie jej upokorzenia, zgryzoty, rozpacze, jeżeli on pamięta?! Wszystko zniesie dla niego! Nędzę, poniewierkę, pogardę ludzką... Z zamyślenia obudził ją przyciszony uśmiech pana Brzózka.

Wypytał wprawdzie troskliwie o zdrowie, nacierając wyraził ubolewanie, że nie zwróciła się do niego o pomoc i radę, bo gdyby wiedział o zmianie, która zaszła, bo gdyby przypuszczał... że pani Padniewska, żona jego dobrodzieja i współnika znalazła się w niewyobrażonej sytuacji, byłby niezawodnie wyszukał dla niej coś odpowiedniego w swoim rodzinnym mieście, gdzie o zajęcie jest łatwiej, niż w przeludnionej stolicy, gdzie obecność dobrego znajomego uprzyjemniłaby jej pobyt.

Podczas długiej przemowy nieproszonego opiekuna, Inia czuła na sobie szperający jego wzrok i z niepokojem czekała na złe słowo, które padnie za chwilę i zniszczy jej radość. Jakoż rzeczywiście, zaledwie Teoś oddalił się do telefonu, pan Brzózek pochyliwszy się oznajmił żonie dobrodzieja i współnika, że dziś właśnie przyjechał z domu, że spotykał pana Szydłowskiego, że powodzi mu się lepiej, bo dostał małą posadę, że teraz wogóle nie zginie, ponieważ ksiądz go bardzo proteguje i piękna pani Oktawja... pikantna niewiasta, która niejednego ma już na sumieniu i gdy kogo weźmie w obroty, napewno usidli i zmarnuje, wycisnie jak cytrynę...

Uwierzyła odrazu i bez zastrzeżeń w sidła pani Oktawji i zdradę pana Andrzeja. Odsunęła ze wstrętem list, którego nie chciała już

widzieć, prędko zasłoniła „Tygodnikiem“ twarz, by ukryć rumieniec, przestała słuchać zwierzeń plotkarza. Wyjaśniło się nareszcie wszystko: to jego milczenie, i dziwna zawziętość, nagle i bezwzględne zapomnienie po tylu latach przyjaźni.. przecież prosta przyzwoitość i życzliwość wymagała, by odezwał się do niej. Czująca wzmianka w liście do Teosia jest pustym frazesem i niczego nie dowodzi... Pani Oktawja, pikantna niewiasta... Tak bywa zwykle... Młodość ma swoje prawa — myślała niedokończonemi zdaniem, jak w gorączce. A w tym wypadku ona sama... Gdyby była nie odtrąciła i nie wysłała z Warszawy... teraz pani Oktawja... Myśl, że pana Andrzeja zabrała jej kobieta, była tak potworna i niedorzeczna, tak nie do zniesienia, jak potwornie niedorzecznym byłby naprzykład przymus rzucenia się w objęcia pana Brzózka lub połknięcia tego tam ogromnego samochodu za oknem... Odszukać go i sprowadzić tu, wyrwać go z rąk tamtej, wystarać się o rozwód — narzuciły się niewykonalne, spóźnione projekty, gdy przed oczami tkwiła wciąż pani Oktawja... pulchna, otyła, wymalowana, przesadnie krótko ubrana, jak ministrowa Osełska. Spotykają się zwykle w parku, najczęściej wieczorem, pani Oktawja lubi „poetów“ — wciskały się od czasu do czasu do uszu i przenikały do świadomości pojedyncze zdania i wyrazy. Chciała uciec od tego cichego uprzejmego głosu, od tych oczu szperających, ale nie puścili jej pan Maciej i Teos. Dyrektorów jeszcze nie było, natomiast

pokazała się księżniczka Albertyna z nieodłączną Teonią. — Domaniewski, najrodzeńszy wujaszek mistycznej Teoni dostał ataku, jego rodzina w czarnej nędzy, Zielińscy spadli im na głowę z Kijowa, Teońcia zaś zatrapia się „fałdą“ księżniczki oraz drganiem lewej powieki. Pójdę, opowiem jej o wujaszku — gadał Teoś.

Ale jakoś nie śmiał się zbliżyć do wyniosłej kuzynki.

Tymczasem opuszczona przez przyjaciółkę Teonia, spostrzegłszy nareszcie znajomych, których nie chciała dotąd zauważyć, przysiadła się do Ini, by wtajemniczyć ją z zupełnem pominięciem Podczaskiego, jakgdyby go przy stoliku nie było, we wszystkie niedole kochanej biednej księżniczki. Los księżniczki był istotnie pożałowania godny. Obie panie wróciły dziś rano ze Srebrnej Góry, gdzie księżniczka zamierzała odpocząć i odbyć kurację. — Ogromnie tam było sielsko, miło, idyllicznie, zbierało się kwiaty, rydze na łące, słuchało się mszy świętej pod drzewami. „Bóg wśród szumiących drzew. Pomyśl tylko!“ Tymczasem już po tygodniu zaczęły gromadzić się przeciwności. Każde szczęście jest mniej więcej jednakie, ale nieszczęście jest tyle, ile odmian dusz między ludźmi — vous trouvez toujours le mot pour rire et le mot pour définir — przypomniały się Ini jakby z zamierzchłej przeszłości słowa księżniczki... Tańczyli wówczas. Chciał zabrać ją, mówił rozkazująco, władczo, dlaczego nie posłuchała go?

Auto ciężarowe przejechało na szosie Busieczka, dwie noce z rzędu dzwoniło z powodu pożaru na alarm, zakwitły żółte łubiny których zapach wywoływał u księżniczki katar jak żyto kwitnące. Oczywiście bezsenność i drganie powieki powróciły. Wypadło zmienić miejsce pobytu. Ale wyjazd zagranicę był niemożliwy, gdyż księżniczka w obecnym stanie zdrowia nie znosiła ani auta ani kolei. — Wobec tego panie zjechały do Warszawy, gdzie znowu turkot i wspomnienia Busia, konferencje z panem Wężykiewiczem, plenipotentem... kłopoty... Już dziś, w kilka zaledwie godzin po przybyciu do miasta ogromnie pogłębiła się „fałda“. Trzebaby koniecznie rozerwać księżniczkę, przynieść ulgę, stworzyć w świecie udręki świat ukojenia, a na to są tylko dwie rady: modlitwa i muzyka, zwłaszcza fortepjan, zwłaszcza Chopin, o ile gra ktoś znajomy i miły, gra dyskretnie, bez poufałości — vous trouvez toujours le mot — znowu przypomniało się Ini... gdyby była wówczas nie oparła się woli, nie przesadziła w skrupułach, nie bała się świata.

Suche, nerwowe palce Teoni ścisnęły mocno ramię Ini.

— Ani muzyka ani kuracja nie pomogą księżniczce, — zaczęła naraz mówić tonem porytowanym. — W Srebrnej Górze wałą się budynki, zabrakło żyta na zasiew i niema za co kupić krów. Wężykiewicz stara się o wielką pożyczkę, ale kapitały pochowały się albo uciekły z Warszawy. W Mortimerze jedyna nadzieja... Co to znaczy dla takiego bogacza sto ty-

sięcy dolarów! Trudno nam się narzucać — westchnęła, blade zimne oczy patrzyły na Inię surowo. — Księżniczka spodziewała się wizyty, my, także, zaprosiłam go u was na raucie. To jest odludek, dziwak, wróg tradycji, grubjannin — ubolewała. — Ale przypomnij mu nasze poniedziałk. Sawa przyjaźnił się z nim, a i ty podobno znasz go dobrze z dawnych czasów. Siedzi pod oknem w popielatym ubraniu.

Spojrzenie Ini podążyło we wskazanym kierunku. Bogacz pił oranżadę przez słomkę. Odezwało się wspomnienie ostatniej z nim rozmowy, gdy narwany gość twierdził, że Boga niema, a ją ogarniało niesamowite przerażenie. Dziś doktor Mojkin ani jego bluźnierstwa nie budziły w niej lęku. „Boga niema, dlatego jest tyle cierpienia i fałszu na ziemi“. A ludzie bawią się i cieszą, choć niema Boga... Z czego cieszą się ludzie?... że Boga niema, że jest fałsz i cierpienie. Ach, jakże nużył ją gwar tego rowowiska ludzkiego, które obsiadło cukiernię, niby muchy talerz z miodem.

— Przypomnij mu przy sposobności nasze poniedziałki — nalegała Teonia — najlepiej dziś jeszcze, tu, w cukierni. Przesiądź się pod okno, przywitaj się z nim, zbliży się do twego stolika, wówczas my z księżniczką...

Teoś pochylony nad dziennikiem przysłuchiwał się rozmowie z drwiącym uśmiechem.

— Słyszała kuzynka o katastrofie u wujaszka? — nie wytrzymał i przerwał.

— Co za katastrofa? Co za wujaszek? — nie ukrywając zniecierpliwienia osadziła nieproszonego słuchacza.

— Mówię o wuju Domaniewskim, który leży sparaliżowany. Cała rodzina w jednym pokoju bez grosza... Spadła im wczoraj na głowę Zielińska z Kijowa z czworgiem dzieci. Musiałem zabrać Zielińską do siebie.

Teonia odruchowo zamknęła torebkę.

— Ciotka Halka jest tak zaradna, tyle ma hartu! — opryskliwie zbyła natręta, poczem uprosiwszy Inię o jedną godzinę Szopena dla biednej chorej, począwszy od soboty codziennie w jej mieszkaniu, ubolewała znowu, tylko jeszcze ciszej i poufniej nad stanem zdrowia księżniczki, nad troskami, od których mogłyby ją uwolnić tylko dolary Mortimera.

Nagle urwała, spostrzegłszy siostrę. Natychmiast skinęła na nią ręką, gdy ta się zbliżyła, zapytała rzeczowo, ile udało się złapać „Modrzejewa“ przed zwyżką oraz czy Wodecki na pewno zakupił dolary?

Inia siedziała osłupiała. Opanowała oddawna wzburzenie, słuchała zwierzeń koleżanki z uprzejmem zainteresowaniem i współczuciem, mogłaby dosłownie powtórzyć długie opowiadanie Teoni ale miała wrażenie, że nastąpiło w niej rozdwojenie i że ona nie jest tą, która słucha uważnie rozmowy, rozsądnie odpowiada, obserwuje ludzi w cukierni lecz drugą istotą a ta druga istota stała się samą boleścią. Czy można, czy wypada tak cierpieć dla tak błahego powodu? Dlaczego on ją skrzywdził, dlaczego sponiewierał, podeptał, dlaczego skrzywdził ją? — żaliła się tem samem wciąż powracającym na usta pytaniem.

Na ulicy u wejścia do cukierni powstało zbiegowisko. Teonia, która panicznie bała się ruchów i stale przepowiadała bliską rewolucję, szponami, chudych palców wpiła się w ramię Ini. Gdy kelner uspokoił ją, że policja zajęła się kobietą, która zaśląbla z głodu, wierna przyjaciółka pobiegła do księżniczki, by odwrócić jej uwagę od zbiegowiska i oszczędzić przykrego wrażenia.

XXVII.

Rozpoczęło się regularne biurowe życie. W pierwszych początkach Inię onieśmiałali koledzy i zwierzchnicy, i praca szła niesporo, ale już po tygodniu poznała „tajniki“ mądrości i życia bankowego. Nie myliła się już nigdy w obliczeniach odsetek lub przewalutowaniu, w terminach technicznych, wprawnie pisała na maszynie, nauczyła się nazw akcji, kursu dewiz. Wiedziała, że w banku toczy się walka między panną Konstancją w binoklach, tak zwaną przełożoną a wice-dyrektorem, że panna Konstancja nie znosi ładnej, roztrzepanej, śmiejącej się Janki, ulubienicy wicedyrektora, że panna Konstancja ma chorego ojca i dwu braci w szkołach, że młodzieniec z przedziałem pośrodku zakochany jest w swoim sportowem ubraniu, codziennie świeżo zaprasowanym, że zastępca dyrektora nazwie ją co drugi dzień „promieniem radości w szarzyźnie dnia bankowego“, dowiedziała się od wesołej roztrzepanej panny Janki, że pan dyrektor, brunet o bladej twarzy, gorączkowych i znużonych, jak u zgranego szulera oczach, ma rozrzną i flirtującą, pozującą na sfinksa żonę, którą portretują wszyscy modni malarze, że

cały personel bankowy szuka sobie zawczasu lepszego korytka, bo „budę“ niezadługo djabli wezmą, jak tylko dyrektor zwieje stąd na inne stanowisko. Nie martwiła jej bliska ruina banku. Nie zżyła się z kolegami, którzy trzymali się od niej zdaleka, bała się po pensjonarsku panny Konstancji i dyrektorów, nie polubiła zajęcia, które z każdym dniem, im lepiej się wprawiała, stawało się bardziej martwem i zbytecznem. Komuś oczywiście były potrzebne owe pracowicie wystukiwane na maszynach listy z zawiadomieniem o uznaniu lub obciążeniu rachunku czekowego, o kupnie i sprzedaży akcji, kogoś obchodziły kolumny cyfr w grubych księgach, ale czy to był wartościowy trud? gorejące życie, o jakim marzyła podczas nieszporów w Jurkowcach? Ani trud, ani życie! Gdzie znaleźć życie i trud? W niskiej, szarej przylepionej do ogromnego wielopiętrowego gmachu szkole, którą codziennie ogląda ze swego bankowego okna? W klasztorze ciotki Pauliny? W czerwonym szpitalu, gdzie snują się cierpliwe siostry, w zawalonej ksiązkami klitce Sporzyńskiego? Tam, kędy spieszą od rana jak mrówki przechodnie? Ale może bohaterkie życie istnieje jedynie w książkach, gdy rzeczywistość składa się z pospolitych trosk, z szarzyzny powszednich obowiązków, z małych niepotrzebnych poświęceń. I dlatego trapi człowieka do końca dni poczucie krzywdy. I mimo wszystko musi być pustka. Jakaż jest różnica między wczorajszem życiem a obecnem? Wówczas było próżniactwo, dziś bezużyteczne zabijanie czasu niepotrzebną pisaniną.

Dlatego zapewne wydaje się jej wciąż jeszcze, że ona gra w dalszym ciągu nieodpowiednią rolę w teatrze amatorskim, i czeka na zapuszczenie kurtyny? Co będzie po zapuszczeniu kurtyny? Czy wróci do męża? Nie, to nie stanie się nigdy! — powtarzała z ulgą od dnia, w którym przechodząc ulicą Szopena, spojrzała w okno dawnego mieszkania. Wołała pańszczyznę bankową, nędzę, wykolejenie od dostatku, próżniactwa i „pozycji światowej“ pod dachem Józka.

Włoką się nudnie szare niepotrzebne dni, zgasła płomienna wizja bohaterskiego życia, nie zazieliło się szumiące drzewo, ale niema już praw męża, cudzej łaski, fałszu, skąpej ręki mężowskiej. I pan Andrzej nie mógłby dziś zapytać, czy suknie, które nosi, nie palą. Raczej ona miałaby prawo zadrwić z apostoła prawdy i głębi, że po długim szukaniu znalazł szczęście w objęciach pikantnej pani Oktawji.

Skoro tylko przewinęło się w myśli to imię, pochylała się nad czerwoną bibułą, zaścielając biurko bankowe i, nie odrywając się już ani na chwilę od roboty, pisała prędko, pilnie lecz wciąż myliła się w cyfrach i opuszczała wyrazy, wciąż musiała poprawiać, przekreślać lub przepisywać od początku, gdyż przed oczami tkwiła owa pikantna dama, którą wyobraziła sobie na podobieństwo ministrowej Oselskiej. A wróciwszy z biura do ciemnego pokoju swego, szukała codziennie na stole listu... Ale listu nigdy nie było.

Popadała na krótkie mgnienie w zadumę, mrużąc lekko oczy, patrzyła w szary mur z po-

pękany tynkiem, który tkwił za oknem, zasłaniał jej niebo i słońce, stanął między nią a światem i życiem, między nią a przyszłością, wszelką nadzieją i radością.

Potem myślała prędko ręce, szła na obiad i, o ile nie było rachunków w banku, rozpoczynała drugą część dnia, równie pracowitą jak pierwsza, choć bez określonego zajęcia. Dawniej, dopokąd nie było jej w tem mieszkaniu, wszyscy doskonale obchodzili się bez niej, odkąd zamieszkała tu, stała się wszystkim nieodzownie potrzebna: pannie Heli, sparaliżowanemu Domaniewskiemu, pani Halce, dzieciom, nawet pani Janickiej i uśmiechniętemu referentowi z ministerstwa. Robiła swetry, uczyła, czytała głośno, cerowała, leczyła, latała, słuchała zwierzeń, robiła za panią Janicką wykazy i zestawienia.

Przejęła się cudzemi troskami, na własne nie miała już czasu, Hela Górecka podniosła ją do rangi porządnego człowieka, pani Halka Domaniewska rozczułała się nad jej dobrocią, pani Janicka nazywała przybraną córką, ona zaś, podnosząc co rano rolety, odnajdywała na nudnym murze zgryźliwą, starczą twarz a w sobie słyszała tesame zawsze pytania: czy tak już będzie do końca? Dlaczego zgotowała sobie los ciotki Fipy? Dlaczego zniszczyła szczęście swoje? Prócz żalu i tęsknoty nękało ją poczucie błędu i śmieszności. Dlaczego zniszczyła szczęście swoje? Pytanie to czało się wszędzie. I wszędzie czała się pokusa szczęścia, pamięć o niem i tęsknota.

Kiedy pierwszego dnia po przeniesieniu się

na Mokotowską wyrwała się na chwilę z okropnego pokoju swego do parku Ujazdowskiego, by uradować udręczone martwością muru oczy migotaniem wody, płomieniem kwiatów, widokiem bawiących się dzieci, natychmiast uciekła stamtąd do domu, bo pociągi gwizdaniem wołały ją w dal do niego, gdy on już na nią nigdzie nie czekał, gdy on okłamał ją, oszukał, zdradził... bo dobrotliwie chwiejące się nad głową gałęzie mówiły jej o tem, co mogło być, co nie stało się z jej winy. W niedzielę wybrała się do Łazienek. Nie była tam od czerwcowego popołudnia, kiedy to ogromne drzewa zdały się jej cudnymi strofami hymnu, buchającego z łona ziemi i z jej upojonego szczęściem serca. Dziś wśród ciszy, przerywanej gwizdaniem pociągów, pod niebem pochmurnem kończył się ciepły szary dzień wrześnieowy. Ogród był pełen milczenia, smutku i zapachów jesieni, a nad tym milczącym smutkiem krążyły z krakaniem wrony. Chodziła prędko pustymi alejami, zatrzymała się nad zieloną, nieżywą, zasypaną liśćmi wodą, wodziła oczami za łabędziem, który płynął świadomy drogi swojej i celu, poszukała owej topoli, która drżała wówczas w srebrnym śmiechu wiosennej radości i, nie znalazwszy owej topoli rozplakała się naraz bez powodu.

Następnej niedzieli nie poszła już nigdzie. Usiadła na otomanie w rogu pod oknem koło stolika z fotografjami rodziców i Sawy i spiesznie wykańczała sweter do składu pani Dommaniewskiej. Nikt jej nie przeszkadzał, nie była dziś nikomu potrzebna. Panna Hela prze-

wietrzała narzeczonego w Wilanowie, Domaniewski spał, pani Halka poprowadziła dzieci do ciotki Dołżeckiej, referent podejmował u siebie kolegów. Miała całe to długie popołudnie dla siebie, a właśnie w niedzielę wołałaby pracować w banku. Nie lubiła nigdy niedziel, nawet w dzieciństwie, w Siemieńczycach. Nauczycielki były w złym humorze, mama urządziła pobożne czytanie francuskie, Sawa poziewał, przyjeżdżali nudni goście. Tylko niekiedy urządzało się wycieczkę do Biciejek, do Teoni i Cesi Dołżeckich. Dobry papitek, kiedy zbyt długo przeciągały się wymowne francuskie gderania matki, brał ją na kozoł do siebie, oddawał na pociechę lejce... Papitek zawsze wszystko zgadywał i zawsze w porę śpieszył na ratunek, tylko dziś dobry papitek nie znalazłby dla niej żadnej pociechy. Bo każdy musi sam o własnych siłach dźwigać brzemień życia. Losu swego nikt nie zmieni. Nie żądać dla siebie przywilejów, nie miotać się! Nie istnieje prawo do szczęścia, lecz jest obowiązek uczciwego, wartościowego życia, człowiek nie jest wielkiem ja, lecz małą osobą w szeregu, kołkiem w płocie — snuły się roztropne wnioski, zaczerpnięte z rozmów z panią Janicką, z długich samotnych rozmyślań o cierpieniu i życiu, którego prawdziwe oblicze poznała dopiero teraz, odkąd zaczęła żyć rzeczywiście nie urojonem życiem, odkąd zmieszała się z pokornym tłumem, z cierpliwą rzeszą, weszła w świat pracy. Coraz rzadziej nawiedzały ją wątplenia i bunt. Niosło otuchę przeświadczenie, że nie zbłądziła i nie okryła się śmiesznością. Źle wyszła za-

mąż, zapóźno poznała miłość, cierpiała, pan Andrzej wpadł w sidła zepsutej mężatki, lecz z tego nie wynikało bynajmniej, by wolno było jej zostać kochanką pana Andrzeja, zmienić religję, i nie wynikało także, że ma gnuśnieć w rozpamiętywaniu krzywdy, w tęsknocie za szczęściem. Zresztą nie istnieje szczęście; nie stała się jej krzywda. Gdzież komu upływają dnie na nieustających ucztach rozkoszy. Troski, prace, cierpienie — oto treść istnień ludzkich. I miłowanie. Tak, ludzie żyją — miłowaniem. Pani Halka ma rodzinę, Ania — organizację i partję, pani Janicka — swoją tanią kuchnię, cudem stworzoną i utrzymywaną... Im mocniejszy płomień — tem większy krąg światła. Jej płomień starczyłby tylko na dom i rodzinę, niechże oświetli i ogrzeje nim cudze domy i rodziny, skoro niema własnej. Nie miotać się, nie żądać przywileju! Zapadły się pod ziemię Siemieńczyce, ona zaś przebywała wciąż w udzielnem księstwie samolubstwa i przywileju, wierzyła w swoje wielkie ja, żądała dla siebie niegdyś szczęścia, potem bohaterskiej roli, stąd pustka... wszędzie może być piękno, każde życie może być wartościowe — szybko biegły myśli, gdy palce wprawnie wiązały błękitne oczka sweteru.

Dało się słyszeć nerwowe pukanie i zaraz potem wbiegła do pokoju pachnąca i strojna w żałobnych szatach pani Janicka, jak zwykle „na jedno mrugnięcie“.

— Zabieram panią na miasto, — rozkazując zawołała — przybrana córka musi dopomóc mi w kweście... Nasi nuworysze nazywają już

mnie złodziejem kieszonkowym i zamykają mi drzwi przed nosem, świat lubi nowe sitka — trzepała, spoglądając wesołemi oczami w okno na znienawidzony przez Inię mur.

Przybrana córka odmówiła, tłumacząc się zdżirzeniem i brakiem talentu do „karotowania“.

— Pani spojrzy swemi ślicznemi oczami i wzruszy najbardziej kamienne serce. Niechże pani nie grymasi, weźmie kapelusz i poczeka na mnie w przedpokoju, muszę jeszcze zatelefonować do Tereski Szczerbiowskiej.

Miała już uciec, gdyż zawsze wymykała się z każdego miejsca, rzekłbyś z obawy, by nie rzuciła się na nią niby zaczajony wróg i nie obezwładniła tęsknotą, ale wzrok jej padł na ogromnych rozmiarów obraz syna, nudny mimo złotego ładu pszenicy, szkarłatnych maków, kraśnych młodyc i lazurów nieba. Z obrazów zawołały na nią wspomnienia. Nie potrafiła się oprzeć ich mowie bolesnej. Zajęła miejsce na brzeżku kanapy i, zmarszczywszy czoło, oglądała po kolei w zamyśleniu wszystkie płótna syna.

— Uciułam trochę forsy i urzędę w Paryżu zbiorową wystawę — głucho zabrzmiał jej głos, jakgdyby wydobywał się z lochu. — Poznają się tam na Julku — wytarła żalobną chusteczką oczy, w których nie było łez, wzięła do ręki robotę Inię.

— Pani zamęcza się nad tymi swetrami — odezwała się tym samym głuchym głosem. — Nie można tak siedzieć od rana do wieczora, zwłaszcza w niedzielę...

Inia spojrzała na nieznośny odrapany, porysowany od pęknięć tynku mur za oknem.

— Na tamtym brzegu niema niedzieli — odparła z uśmiechem.

Oczy pani Janickiej odszukały teraz na ścianie ulubiony widoczek ze starą, murowaną, ocienioną wysokimi lipami bramą wjazdową. Żal za dziećmi i mężem, za domem rodzinnym, za szczęściem utraconem pociągnął ją jak głaz na dno topieli cierpienia. Ukryła na mgnienie twarz w dłoniach.

— Niechże pani nie śpieszy na tamten brzeg — odrzekła, ocknąwszy się z zadumy — pani jest piękna, młoda i dobra. Życie nie skrzywdzi pani, życie zakwitnie nowem szczęściem.

— Nowe szczęście!? Trudno na nie pracować! Zapamiętałam sobie mądre słowa pani, że człowiek nie jest wielkiem ja, ale bardzo małym kołkiem w płocie.

Pani Janicka drobną, opaloną rękę położyła na ramieniu przybranej córki.

— Cudze prawdy mogą zaszkodzić jak cudze lekarstwa. Każdy choruje inaczej...

Porwała się z miejsca, spojrzała na swoje zakurzone pantofelki, potem w lustro, nasunęła kapelusz na czoło.

— Więc pani stanowczo odmawia? Szkoda! Wróciłybyśmy z ciężkim worem grosza — ubolewała na progu.

Zaledwie zamknęły się za nią drzwi, zjawił się nowy, zupełnie niespodziewany gość. Wodecki wszedł krokiem elastycznym i stanąłszy w pewnej odległości, zatarł ręce, poczem

złożył pełen głębokiego uszanowania ukłon. Był w ciemno-zielonem ubraniu jak z igły, wąsy miał świeżo poczernione, załatywało od niego perfumą, z górnej kieszonki w marynarce wysterkował koniuszek jedwabnej chusteczki pawiego koloru. Usiadłszy wygodnie na wskazanem mu krześle, obejrzał ciekawskiem okiem każdą rzecz dokładnie: turecki szal, czerwoną otomanę, fotografię, szkaradne lustro w złożonych ramach, minjaturowe tandetne biureczko, jej skromną szarą suknię, nudne obrazy Janickiego na ścianie, szeleszczące i zdaniem jego pachnące pszenicą, następnie wdał się w różne artystyczne anegdoty z własnej malarskiej przeszłości. Inia pilnie robiła robotę. Pewnej chwili gość, zdusiwszy papierosa, przysiadł się bliżej i rzekł:

— Poco pani łaskawa poniewiera się w celi więziennej, mogąc mieć los, na jaki zasłużyła. Serce kraje się na widok pani o takim nazwisku, takiej urodzie, która marnuje się w oficynie na III piętrze na Mokotowski j. — Jakby zmartwiła się mamusia i tatuś, gdyby tak wstali z grobu! Znałem dobrze oboje rodziców. Spotkaliśmy się w Zakopanem...

Inia pamiętała dokładnie, że rodzice jej, jako żywo, nigdy w Zakopanem nie przebywali, ale nie sprostowała sfalszowanych wspomnień.

— I nawet tatuś nieboszczyk, przewidując przedwczesny zgon, prosił mnie, bym się panią opiekował. Koleje życia rozdzieliły nas. Człowiek jeździł niegdyś błyszczącą kareta. przesiadł się na wóz, znalazł się pod wozem.

I dlatego rozumię niedolę ludzką — małe przebiegłe oczka szukały oczu milczącej, pochylonej nad robotą słuchaczki Ini.

— POCO pani łaskawa zadaje cierpienie innym i sama cierpi, mogąc jednym pociągnięciem pióra stworzyć szczęście? Pani nie potrafi być okrutną. Pani robi to pociągnięcie, nieprawdaż? Resztą zajmie się poczciwy Wodecki. Mam nawet pełnomocnictwo w kieszeni.

Stary wyga wyjął istotnie jakieś papiery z kieszeni.

— Wystarczy położyć tu podpis, i jak za dotknięciem różdżki zmieni się los trojga, raczej czworga istot. Czy mam nazwać je po imieniu? Panu Józefowi, małżonkowi swemu zawiązała pani przyszłość. Pani Tercia nigdy od śmierci męża nie zaznała chwili spokoju, dziś mogłaby znaleźć bezpieczną przystań, wyjść zamaż pomyślnie. Pani kochana także nie może pozostać w tej, że tak powiem niewyraźnej roli. Pani nie ma pojęcia, jakie ohydne krążą o pani plotki, jak niegodziwie skaltują panią i pana Andrzeja, odkąd pani rozstała się z mężem, ile mogą zaszkodzić złe języki!... Opowiadają w Warszawie, że on jest szpiegiem niemieckim, agentem bolszewickim, że pani przez znajomości w wysokich sferach zdobywa dla niego dokumenty, że mąż wyrzucił panią z domu, że pan Ksawery zerwał z nią wszelkie stosunki i właśnie z powodu okropnych rewelacji uciekł do Ameryki. Niektórych bajek nie ośmielę się poprostu „do oczu“ powtórzyć. Andrzej jest zgubiony w spinji, nie może się nigdzie pokazać... pani tak-

że niezadługo doczeka się bojkotu towarzyskiego! Czyż mam wspomnieć o tem, że dwie najzacniejsze matrony, matka pana Andrzeja i Józefa są poprostu złamane. A tak łatwo jest, proszę pani, wyjść z dwuznacznej roli, zamknąć plotkarzom usta! Jedno pociągnięcie piórem — dwa śluby, cztery szczęścia... pani Teresa gotowa jest zapłacić koszta procesu rozwodowego — dodał zniżając głos. Nie wątpię, że nikczemne plotki, nad którymi tak cierpią dwie najzacniejsze matrony, matka pana Andrzeja i pana Józefa, ustaną, gdy pani się połączy dozgonnym węzłem z Andrzejem i zrehabilituje pana Andrzeja w opinii...

Inia nie umiała odgadnąć, do czego zmierzzał niepowołany doradca, ani kto go tu przysłał. Sądziła do tej chwili, że ludzie o nich zapomnieli, że żadne echo ze świata nigdy do niej nie dotrze, że znalazła bezpieczne schronienie, że zgoła są jej obojętne losy pana Andrzeja i sądy ludzkie, że jest dostatecznie zahartowana, tymczasem znowu wzburzyły ją do głębi ohydne oszczerstwa, niegodziwość Choroszewskiego i przeraziło tajemnicze widmo wrogiej potęgi, która wszędzie czai się i czyha na spokój nowego życia. Pociągnęła mocno za kłębek, kłębek spadł, potoczył się po podłodze.

Wodecki zerwał się i ukląkszy, szukał go pod kanapą, a wróciwszy z kłębkiem prawił dalej, lekko zasapany.

— Pani zacięła się i milczy. Czyżby pani nie domyślała się, że Andrzej cierpi, czyżby pani była głucha i obojętna na jego mękę? Albo

może pani może nie zna go jeszcze? To jest natura gwałtowna, nieobliczalna, on może życiem przepłacić nieszczęśliwą miłość. To człowiek zupełnie niedzisiejszy. Inny szukałby zapomnienia w kieliszku, w objęciach niewiast wesołych, on zaś jak dziewica niepokalany, nie zna kobiet — zielone oczka zerknęły filuternie, zauważył z zadowoleniem rumieniec na twarzy milczącej słuchaczki.

Nie uwierzyła bez zastrzeżeń Wodeckiemu, jak przedtem Brzózkowi, ale odczuła naraz sympatję dla tego śmiesznego blagiera o poczernionych wąsach.

— Czy pan działa w porozumieniu z panem Andrzejem? — spytała rumieniąc się znowu.

— Ależ oczywiście, kochana pani! Jakżeby mogło być inaczej? — kłamał z tupetem Wodecki — zasypuje mnie listami, dwa razy telegrafował. Ściskając w palcach miękkie, lekkie kłębek niebieskiej włóczki, dumiała. Spojrzemie poprzez stary popękany mur za oknem bieгло w świat marzenia.

— Przekonawszy się, że pani ma twarde serce, uciekł z Warszawy, zostawił matkę w opłakanych warunkach, która za mojem pośrednictwem prosi o chwilę rozmowy, o wstawienie się za nią u syna. Trzeba bowiem pani wiedzieć, że stosunki między matką a synem są oddawna mocno naprężone — ze swadą prawil gość — Andrzej jest nieustępliwy, trafiła kosa na kamień. Matka, pani Szydłowska chciałaby panią koniecznie widzieć... Inia podniosła jasne, czyste oczy z nad roboty, której od kilku chwil już nie robiła, patrzyła

na mur. Nie było już na nim starej, brzydkiej, zgryźliwej, szyderczo uśmiechniętej wolterowskiej twarzy.

— Obecnie nasz kochany zapaleniec zamierza popełnić wielkie głupstwo. Pani zapewne słyszała o zamiarze sprzedania placów na Mokotowie. Jest to resztką dużej niegdyś fortuny, którą nie chwając się, ja uratowałem. Ogromna narożna kamienica, pani wie, dwa fronty, dwie oficyny, poszła przed samą wojną na uregulowanie długów szwagra, których można było nie płacić. Teraz te place mają podobno przyczynić się do kształcenia Chamletów w Małopolsce. Moja pani, takie place po pół dolara za łokieć! Nawet w Rypinie placą dziś więcej. A Podczaski chciał już brać zadatek i gdyby nie moja interwencja...

— Czy pani łaskawa teraz podpisze? — niespodzianie ruchem kelnera zmieniającego talerze podsunął arkusz. — Czy weźmie jeszcze do namysłu? Chociaż, nad czem tu zastanawiać się?! Z jednej strony — niedola, z drugiej — szczęście, jakże wahać się jeszcze!? — Nie porzuciła przecież pani męża po to, by pisać na maszynie w banku, robić swetry dla pani Domaniewskiej. Serce i młodość mają swoje prawa... ożeniłem się z Anielcią wbrew woli jej rodziny i mojej, wykradłem ją mężowi. Cóż za niebiańskie mieliśmy miesiące. — Jestże coś wznioślejszego nad miłość?! Nie może być dwu zdań.

— Toteż ja zupełnie nie waham się, panie Wodecki — przyjaźnie zaczęła, patrząc w uśmiechnięte oblicze gościa.

Wodecki wygładził pieszczotliwym dotknięciem arkusz, podsunął wieczne pióro.

— Rozważyłam wszystko oddawna i decyzji nie zmienię. Wdzięczną panu jestem za zainteresowanie się moim losem — mówiła spokojnie, jakgdyby o trzeciej osobie — ale nie będziemy więcej poruszali tej sprawy, dobrze, panie Wodecki.

Wodecki błyskawicznym ruchem zabrał ze stołu i schował do kieszeni papiery, splótnszy ręce siedział chwilę, pogrążony w zadumie i smutku, potem wstał i złożywszy ukłon, wyszedł. Po chwili wrócił wszakże i, zbliżywszy się do Ini na palcach, zaproponował, pochylając się nie wiedzieć dlaczego do ucha, miejsce w łoży na Rigoletto.

— Nie dobrze jest, proszę pani, siedzieć nad papierskami w biurze, a w domu sumować w ciemnym pokoju. Trzeba czasami zabawić się. I kolorki pani straciła i oczy jakieś zgaszone. Proszę posłuchać przyjaciela rodziców, przyjaciela Andrzeja — dodał znacząco. Dziś opera, jutro — do pani Szydłowskiej, a potem, — tu ręką wykonał ruch naśladujący podpisywanie. Pani posłucha rady przyjaciela. Trzeba rozerwać się, proszę pani...

Nieproszony opiekun znikł wreszcie za drzwiami.

Błądząc wzrokiem po utrapionym murze i szukając ostatniego na trzecim piętrze okna, w którym odbijał się błękit nieba, zastanawiała się nad słowami Wodeckiego. Wynikły snąć nowe nieznanne jej sprawy, krzyżowały

się i plątały nici jakichś sprzecznych interesów, których ona rozwikłać nie umiała.

Dlaczego Tercia i matka pana Andrzeja zajęły się naraz jej osobą? Dlaczego Wodeckiemu zależało tak bardzo na rozwodzie? Czyżby pan Andrzej? A w takim razie pani Oktawja i tamto wszystko było zwykłą bajką. Jeżeli pan Andrzej przysłał tu Wodeckiego i stary blagier nie kłamał, wszystko można odrobić i naprawić. Zaczęła nucić dawno zapomnianą piosenkę legjonową, zmieniła suknię, wzięła modny batikowy szal, gwizdała walca...

Nie mogła już robić roboty, usiedzieć w pół ciemnym pokoju. Wybrała się do ogrodu. Tak dawno nie widziała kwiatów! Ale w bramie przypomniwały się jej polecenia i nakazy Teoni. Nie dotrzymała obietnicy. Nie porozumiała się z Mortimerem, ani jednej nie poświęciła godziny księżniczce i Chopinowi „bez poufałości“. Dziś, jakkolwiek z powodu braku wprawy zdrewniały jej palce, zagrałaby chętnie swoją ulubioną balladę, pograżałaby się i zapamiętała w cudnej opowieści. Skręciła na Wspólną. Nad Placem Trzech Krzyży jaśniało wrześnie niebo, bezchmurne, jak wówczas gdy pustą wydała się szara kopuła kościoła i pustemi niebios... a potem on przyszedł i tańczyli razem i puste niebo wypełniło się radosnem pięknem. Niema pustki w życiu rzeczywistem. Pustka bywa w udzielnem księstwie — myślała idąc po schodach. Dlaczego wszyscy naraz o rozwodzie?... co się stało? Od jednego pociągnięcia piórem — dwa małżeństwa, cztery szczęścia — wspominała z uśmiechem słowa

starego blagiera. Dlaczego nie dodać ośmioro dzieci... Teonia spodziewała się dolarów Mortimera... Teonia, zmyję jej głowę... U drzwi pani Dołżeckiej spotkała się z tak zwaną małą hrabinką, o której Teonia wyraziła się raz, że zdradza męża z głupoty.

Żdziwiło Inię, że służąca od niej zażądała biletu, pani hrabinie zaś odrazu zdjęła płaszcz, że Lilka jej się nie ukloniła. Poprawiwszy kapelusz przed lustrem, mała hrabinka udała się do salonu. Przez otwarte drzwi doleciał gwar głosów. Poznała dziecinny śmiech księżniczki. Miała na ustach serdeczny frazes powitalny: „wybrałam się do was umyślnie w niedzielę, jak niegdyś do Biciejek“. Czekając, patrząc w zwierciadło, w którym odbijały się płaszcze na szaragach i blask lampy elektrycznej.

— Jaśnie pani nie może pani przyjąć — oznajmiła służąca, zwracając bilet. Była tak nieprzygotowana na taką odpowiedź, że zrazu jej nie zrozumiała.

— Przecież ta pani!? — postąpiła w postawie bojowej w stronę zakazanych drzwi. Zakłapała w niej krew Siemienieckich.

Musiła tam pójść i powiedzieć słowo prawdy tym przyjaciółkom z lat dziecinnych, tym głupim „ekonomównom“, którym przewróciło się w głowie. Nie mogła puścić płazem zniewagi. Mój Boże, gdyby matka to widziała?! Do Biciejek jeździło się z łaski, w drodze wyjątku, dziś „ekonomówny“ zadzierają nosa, znać nie chcą Siemienieckiej... Na korytarzu od strony kuchni ukazała się pani Dołżecka w okularach, w długim fartuchu, z tacą

kanapek, zniecierpliwiona służąca szcęknęła zatrzaszkiem, wypraszając marudzącego gościa za drzwi. Wybiegła na schody, tłumiąc upiorkający płacz bezsilnej złości. Po chwili porwał ją śmiech, a jednocześnie po pałających policzkach płynęły łzy. Śmiała się z ekonomów, że zachorowały na świętość, że stały się naraz bardzo wielkimi damami, płakała z żalu nad sobą. Nikt się za nią nie ujmie, ludzie mogą bezkarnie deptać po niej, niema dobrego Sawy... Sama jest wśród złych, podłych ludzi. Dopóki miała męża, dom, bogactwo, nikt nie śmiał... Gdyby została u Józka, pędziłaby spokojne życie, teraz doczekała się, że Dołżeckie wyrzucają ją za drzwi... Gdyby miała miliony Mortimera, gdyby pan Andrzej był księciem, posadziłyby ją na kanapie obok księżniczki Albertyny — pomstowała, cisnąc torebkę do trzęsących się ust, ale pan Andrzej nie jest księciem i niema milionów, dlatego to w imię cnoty... Stąd taka wielka surowość i fymy... — porwała ją pasja. Chciała koniecznie wrócić na górę, wejść przemocą do Dołżeckich, wygarnąć wiernym przyjaciółkom całą prawdę... że są głupie, że są śmieszne i złe, podłe i głupie — rozplakała się znowu. Stuknęły gdzieś drzwi, obtarła prędko łzy i zaczęła schodzić ze schodów. To jest robota Choroszewskiego, Wodecki ostrzegął, Warszawa uwierzyła plotkom, oboje są zgubieni, świat dla niej zamknięty. Szła coraz wolniej, uniesienie mijało. Zanim zeszła na dół, stwierdziła bezstronnie, że sama pragnęła, żeby mosty zostały spalone, sama zerwała ze światem, wybrała burzę i wal-

kę, że rozstając się z mężem dobrowolnie naraziła się na złe języki. Powinna była przewidzieć i nie narzucać się tym małpom, powinna nawet cieszyć się... Chciała wszak cierpieć z nim i dla niego, a skoro niema pani Oktawji i pan Andrzej nasyła Wodeckiego... nie wzruszą jej żadne plotki, żadne upokorzenia, ach, i od jednego pociągnięcia pióra może zakwitnąć życie. Mrużąc oczy dumiała. Ale i te mosty zostały spalone. Niech się gniewa pan Andrzej i wyśmiewa jej upór, przesady i tchórzostwo, niech sobie plotkują Dołżeckie. Dopłynęła do tamtego brzegu, stamtąd zaś już się nie wraca... Do czegoż miałyby wracać? Do udzielnego księstwa? Do pogoni za szczęściem? Do miotania się na łańcuchu. A potem musiałyby jeszcze raz odbyć tę samą długą, trudną drogę! Za nic!

Zestarzała się bardzo, tak, stara jest i bardzo zmęczona. Niczem ciotka... I zgotowała sobie los ciotki... Ale czy to jest los ciotki? Od października będzie posada w sierocińcu, będą dzieci, żywa, dobra praca — pocieszała się wśród wesołego ćwierkania wróbli, które na żółknących drzewach odbywały jesienne sejmki. Koło kościoła św. Aleksandra poznała po długiej zrudziałej rewerendzie i kapeluszu z kogucim piórem ciotkę Fipę, która spieszyła na nieszpory. Ciotka zatrzymała się ale w pewnym oddaleniu od grzesznej siostrzenicy. Na zwiędłej twarzy był tak dobrze znany Ini wyraz surowy i rozkazujący.

— Starasz się o rozwód, wychodzisz zamąż za tego bolszewika?! — rąbnęła szorstko.

— Nie staram się o rozwód, nie wychodzę zamaż, ciociu...

Ciotka oczywiście nie dała się zachwiać w swojej nieomyślności i, zaciskając powieki, powtórzyła z twarzą surową tę swoją z najlepszego źródła wiadomość.

— Grzech nie da ci szczęścia! — ostrzegła tonem karcącym. — Wróć lepiej do Józka.

— A czy ciocia jest szczęśliwa? — cierpko przerwała Inia.

— Ja? — zdziwiła się niezmiernie tem pytaniem. — Ja nie zasługuję na szczęście — przyjrzała się nieufnie zbuntowanej siostrzenicy, sroga twarz jej zmiękała. — Ale ty jesteś młoda, kochana i dobra. Odkąd ciebie niema, nikt mi już nigdy nie położył ręki na głowie — dodała z żalem i oddaliła się spiesźnie, zamiatając długim płaszczem chodnik.

Odezwały się dzwony. Podwoje świątyn stały otworem. Tłumy na chodniku miały kościół. Dokąd spieszyli ludzie, dokąd zawsze śpieszą wszyscy? Zatrzymała wzrok na karmazynowych daljach i szkarłatnych różach. Spoglądały na nią z za żelaznego ogrodzenia płomienne oczy, gorące i słodkie wargi stały jej uśmiech i pozdrowienie. „Człowiek musi także zakwitnąć — myślała, jakgdyby naraz odgadła znaczenie płomiennych spojrzeń, uśmiechu i pozdrowienia kwiatów. — Jakże łatwo kwiatom! Każdy o swojej porze a człowiekowi, a człowiekowi...”

— Gapisz się na ulicy, masz dużo czasu, chodź lepiej na kawę — zaczął ją Podczaski i zaciągnął do cukierni... Był niezwykle pod-

niecony rozmową z pewną wysoko postawioną osobistością, przejęty ważnością usłyszanych nowin, był rozpromieniony i uroczysty, jak-gdyby spłynęło nań trochę blasku i wielkości owego dygnitarza. Na początek zniżonym głosem powiadomił Inię o knowaniach Belwederu, bliskim objęciu teki przez Michalskiego i niezadowoleniu Francji z Belwederu — i urwał, co miało zapewne oznaczać, że wie o wiele więcej, lecz nie może mówić. Ale, gdy kelner przyniósł kłosz z ciastkami i „małą czarną“, wydrwił, parsknąwszy śmiechem własną naiwność, wielkość owego dygnitarza i wszystkich wogóle władców, którzy są tylko pionkami w bezmyślnej ręce losu, i przeszedł do spraw osobistych.

Słuchała go bez uwagi, pochłonięta własnymi myślami, zdziwiona ich jasnością i mądrością, zdziwiona pogodą, która uczyniła się w niej po doznanej zniewadze. Splotła na stole ręce, których szlachetny spokój podziwiał zwykle Sawa, i goniąc wzrokiem mknące samochody i suche liście, które porwane pędem leciały, biegły, toczyły się w popłochu po asfalcie, ogarniała wytrawnym zrozumieniem istotę spraw ludzkich i życia. Wszystko stało się naraz zupełnie jasnym (dlaczego teraz właśnie?) brakło jej tylko równie doskonałych jak jej przenikliwe rozumienie wyrażeń. Zazdrościła kwiatom. Każde życie może zakwitnąć ale nie szczęście jest kwiatem istnienia. Tli się w człowieku iskierka. Gdy wystrzeli płomieniem, wówczas jest zakwitnięcie. Z małych iskierek — wielkie ognisko światła i cie-

pła... Skostniałoby życie, gdyby nie tliły się iskry. Snują się pracowite mrówki, odbywają się dokoła świątyni złotego cielca pochody, procesje, zawody. Dołżeńskie tworzą modny salon, huczą fabryki, pędzą pociągi, płynie strumień złota, lecz istota, sens życia, jakżeby to określić?! życie świata... w owych iskierkach. I tak jest od stuleci, odkąd zaczęło się życie... Pokolenie za pokoleniem... Pan Andrzej mówił raz o Rzeczypospolitej wiecznej... Dwa są słońca: jedno na niebie, drugie niewidzialne...

— Już za miesiąc zaczniemy budować w Krynicy sanatorium, hotel, i dom gry — prawił tymczasem Podczaski, utkwivszy w niej błyszczące oczy. Zakładam dziennik. Trzy wydania dziennie, setki telegramów, zaangażowałem już redaktora Bielaka. Będą się kłaniali Podczaskiemu — urwał, gonił wzrokiem wielki czarny samochód Sulińskiego.

— Suliński oczywiście do Belwederu. Ma wolny wstęp. Dlatego mimo chwilowej klapy taki dokoła niego ścisk przyjaciół. Ten jeszcze zrobi karierę! A ja gadam — wytarł nerwowo pocące się dłonie o kolana, odsunął talerz z ciastkami.

— Pożera mnie ambicja i zawisć — ciągnął dalej. — Niema stanowiska, którego nie chciałbym zająć. Gotów jestem zostać kardynałem, ministrem, generałem, aktorem, senatorem, świętym pustelnikiem, tymczasem ani rusz z miejsca. A wiesz dlaczego?

— Dlaczego? — spytała z roztargnieniem, kłaniając się pani Janickiej, która wracała już ze swojej świątecznej kwesty.

— Bo trzeba włożyć rękę w ogień. A ja właśnie nigdy. Bałem się żandarmów rosyjskich, kuli na wojnie, opinji, odpowiedzialności, wołałem — fuksem, zadarmo. A to się nie da. — Trzeba rękę włożyć w ogień, jak mi to dosadnie wyjaśnił twój dymisjonowany kochanek, obecnie wielbiciel pani Oktawji.

Ty także nie wyciągnęłaś sobie szczęścia z ognia... Liczysz się z proboszczem i z Teonią. I dlatego wiedziesz w banku marny żywot, on zaś bałamuci się z jakąś damulką. Co będzie teraz?

— Będę kładła rękę w ogień — odparła z uśmiechem, wstając i zabierając torebkę ze stołu, na który spadły pierwsze duże rzadkie krople deszczu.

XXVIII.

Przed pomalowanemi na żółto drzwiami, na których wśród mnóstwa biletów wizytowych błyszczała mosiężna tablica pani Anieli Szydłowskiej, opanowała Inię trema. Nie miała odwagi pociągnąć za dzwonek. Bo jeżeli Wodecki swoim zwyczajem nablagował, i pani Szydłowska nie zechce jej przyjąć, jak Teonia?! Albo jeżeli nagada jej grubiaństwo? Powstrzymywała ją także obawa, że pani Szydłowska okaże się osobą ordynarną, „drugostolną“, ona zaś takiej matki dla niego nie chciała. Miała już odejść, ale przemogła chęć poznania matki, oglądania ścian, na które pan Andrzej patrzył codziennie. Dzwoniła długo, potem puknęła, wreszcie, ponieważ nikt nie przychodził, pchnęła drzwi, i znalazłszy się w ciemnym przedpokoju, poszła bez namysłu prosto przed siebie i znowu zapuknęła.

— Proszę! — jakby z bardzo daleka doleciała odpowiedź.

Weszła. Pokój był obszerny, o trzech oknach, przegrodzony szafami gdańskimi, powietrze duszne, przesycone zapachem jakiegoś lekarstwa i wody leśnej. Pośrodku między długim

stołem jadalnym, zawałonym gazetami, i szafą gdańską na wysokim staroświeckim łóżku mahoniowym starsza pani w czarnym staniu z długimi bufiastymi rękawami wycinała w pozycji siedzącej ogromnemi nożycami szpałty z dziennika. Inia z zadowoleniem stwierdziła, że stare cenne meble świadczą o kulturze i zamożności rodziny, i że właścicielka ich jest zupełnie *comme il faut*. Syn był zgoła niepodobny do matki, która miała nieproporcjonalnie długą twarz i uszy, ciemne, okrągłe, przerażone oczy i krucze siwiejące włosy. Warkocz wyrastał wysokim obwarzaniem na głowie, zlekka pochylonej i trzęsącej się. Pani Szydłowska spojrzała z zaciekawieniem na wchodzącą. Domyśliła się odrazu, kto jest ta uroczą, nieśmiałą pani o dobrych oczach, chociaż z opowiadań Wodeckiego i Ani Łuszczynskiej inaczej sobie wyobrażała uwodzicielkę syna. Inia, obszedłszy dokoła duży stół, założony jak w redakcji gazetami, zbliżyła się do łóżka, podała rękę i z wielkiego zmieszania zapomniała przedstawić się.

— Pani do mnie?

— Tak, proszę pani. Wspomniał mi Wodecki, że pani życzyła sobie, bym przyszła — odpowiedziała, nie podnosząc wzroku.

— Cieszę się bardzo, proszę siadać.

Coraz więcej podobała się jej ta podług słów Wodeckiego wyniosła arystokratka. Taką mieć synową — pomyślała — prawdziwa „wyrwiduszką“, — przyplątało się dawne ulubione wyrażenie babuni Celiny. Boi się mnie!... Andrzej nagadał...

Inia rzeczywiście nie śmiała podnieść oczu. Przyglądała się dużej wychudzonej ręce, która trzymając ciężkie nożyce, trzęsa się na splewiałej adamaszkowej czerwonej kołdrze. Mąciło się jej w głowie od zaduchu i smrodu, wzruszał widok tej drżącej bezsilnej ręki jego matki.

— Panią dziwią te moje nożyce, jak u Parki. Muszę czemś zająć myśli i palce. Trzy lata już leżę, a nasze doktory „prosto“ — ani rusz, ani mru mru, tylko głowami kiwają, każdy inaczej! Ja jedna wiem, że to ze zgryzoty. Niegdyś karnawały, kawalkaty, Ibsen, Strindberg, uniwersytet, różne fanaberje, teraz — żywcem w grobie... Trzy lata nie widziałam trawy wiosennej, nie słyszałam szelestu liści. I tylko nocami śni się las Sunejkowski w słońcu, błękitny, zamglony, ciepły... Pora za tamten las, na mogiłki — dawno już czas! — zmrużyła nieco oczy, wspominając tamten las i cmentarz. — Głos był niski, sympatyczny i szczery, budzący zaufanie, akcent i prowincjonalizmy t. zw. litewskie.

Tamte książki na biurku za szafami są jego i otomana, zasłana kilimem, tamten Mickiewicz na poźółklej fotografii i Chrystus z Wieczerzy Leonarda, którego tak lubił — szperała po pokoju wzrokiem Inia.

— Z całego mieszkania został tylko salon. Była niegdyś kamienica, ale nieszczęsny syn mój, zgłumił ją! sprzedał ze zbytnej szlachetności żydom na spłacenie długów także żydowskich — mówiła z rozdrażnieniem, kłótliwie. Niezadługo żydzi wyrzucą mnie na

bruk z tego pokoju. Bo żydzi rządzą dziś w Polsce! — zawołała z pasją. Skupują na czyjś rozkaz kamienice, cały handel już zagarnęli, uwzięli się na markę polską. My mamy legjony, oni miliony — wyrzekała, porządkując z pośpiechem trzęsącymi się rękami wycinki z gazet.

— Dla niego zbieram to wszystko — ciągnęła dalej, szukając oczu Ini. — Niech czyta, niech się dowie! Może przejrzy! Bo to jest fiksat! — podniosła głos i urwała.

Nie mogła tej „wyrwiduszcze“ zmyć porządnie głowy za to, że złapała syna, ani żądać od niej zerwania, wołała by raczej prosić tę panią o cudnych dobrych oczach, by zdjęła kapełusz, który zastaniał prześliczne czoło, by zabawiła dłużej i przychodziła częściej.

— Nikt u nas nie umie czytać i nikt nie chce znaleźć czasu. Ja mam czasu za dużo, dlatego „ciulam“ materiały do polskiego j'accuse. Straszne w kraju dzieją się rzeczy, ale się je chowa pod sukno — znowu podniosła głos. Pani z pewnością nie słyszała nawet, że w Łodzi w dzień Bożego Ciała kilku „błaznów“ żydowskich wyrzuciło zdechłą kurę na ulicę, którą przechodzić miała procesja.

— Nie słyszałam — budząc się z zadumy — odparła Inia.

— Ileż takich bezeceństw naliczyłam przez lata ostatnie! W tej tece jest Polska, w czarnej — Rosja, wszystko o żydach. Bo i u nas, i tam — żydzi, ale o tem ani pisać nie wolno! Niektórzy ślepi są, inni wolą nie widzieć. Gdyby nie ta nieszczęsna przypadłość moja, poka-

załabym ile może dokonać kobieta — wybuchła, groźnie podnosząc rękę. — Pani niedawno wróciła z Rosji? — ciszej spytała po chwili.

— Z Finlandji, proszę pani — poprawiła uśmiechem, a myśl i spojrzenie znówu podążyło tam, gdzie za szafami stało jego biurko i wisiał na ścianie jego Chrystus.

— Syn mój także przebywał w Rosji. Tam służył bolszewikom, tu — popiera żydów.

— Syn pani nie popiera żydów, ani nie służy bolszewikom! — spokojnie ale stanowczo zaprzeczyła.

— Jako matka wiem chyba lepiej!

— Najbliżsi często mają mylny sąd. Pan Andrzej dawno potępił bolszewizm. Chora z oburzenia kopnęła nogami łóżko tak gwałtownie, że nożyce z brzękiem upadły na podłogę, zsunęła się kołdra i obie teki. Wionął z pod kołdry smród.

— Niechże pani matce w żywe oczy nie zadaje kłamstwa! — uniosła się i wnet umilkła, jakgdyby urzeczona łagodnym spojrzeniem pięknych i dobrych oczu ślicznej pani.

Inia podniosła nożyce, tekę, otuliła nogi.

Kilka chwil trwała cisza.

— Pani jest ogromnie dobra i pobłażliwa, ale niech mi pani wierzy, mniejby hulał djabeł, gdyby ludzie nie grzeszyli tolerancją.

— Mniej byłoby nieszczęścia, krzywdy, zgryzot, niezgody, gdyby ludzie chcieli siebie rozumieć — sprostowała Inia.

Chora wydobyła z pod przycisku numer gazety, z zakreśloną czerwonym ołówkiem szpaltą.

— Nad tem pani także radzi przechodzić do porządku — spytała z rozdrażnieniem.

Inia poznała dziennik z ohydną na Andrzeja napaścią, która tak wzburzyła ją wówczas w Kowalewie.

— Niema tu ani słowa prawdy! Pan Andrzej należy do tych, co walczą o sprawiedliwość, o nową prawdę — gorąco bronila.

— Pani nazywa to walką o nową prawdę?! Nazwisko swoje, ojczyznę, matkę okrywa hańbą, uczciwi ludzie wytykają go palcami jako zdrajcę... Że też takiego doczekałam się wstępu w starości! — zakryła twarz rękami.

— Pan Andrzej ma nikczemnych przeciwników.

— A dlaczego on jest złym synem! Dlaczego jest taki zawzięty, uparty, szorstki?! — wybuchła z żalem. Dlaczego wyjechał, zostawił mnie tu samą na łasce obcych ludzi? Z głodu zdechnąć nie da, ale nie kocha matki, — wyznała przed nieznaną panią i odwróciła do szafy drgającą, wzburzoną twarz. Gdy niema go tu wołam z przeszłości małego Jędrusia — wydobyła z pod poduszki płaskie, tekturowe pudełko — i cieszę się moją „perelką“ — wyjęła kilka fotografii i rozłożyła je drżącymi rękami na kołdrze — oglądam, czytam listy, przemawiam do niego, on wyciąga do mnie rączynę jak wówczas, gdy nazywałam go „perelką“... Tak nieraz pocieszam się w samotności. A gdy wejdzie do pokoju niechętny, zawzięty, zaraz zaczyna się między nami kłótnia... on jest piekielnie zarozumiały

i uparty... Gdyby pani widziała jego oczy pełne nienawiści... I zostawił mnie tu samą. Ja, matka zebrać muszę u pani — usta wykrzywił płacz. — Znadto byłam dawniej szczęśliwą! Psuli mnie ojciec, potem mąż. Gdy zgubiłam ulubiony paniński pierścionek, ojciec kazał w całym domu zerwać podłogę, pięć dni pracowali stolarze! — chwaliła się — a skąpy był dla innych ojculek, twardy... mąż także na skinienie... a dziś?! Sama samiuteńka w czterech ścianach! Dlaczego wyjechał i zostawił mnie samą! Spojrzenie Ini pieściło małego Jędrusia w sukience z kieżą dokoła szyi, z biczkiem w ręce i tego drugiego z włosami na jeża w mundurku... Zazdrościła matce, że znała go takim malutkim rozkosznym, że o tyle lat dłużej niż ona...

— Trzeba było, żeby syn pani, usunął się na jakiś czas z Warszawy, wycofał się z walki — odezwała się, odrywając oczy od fotografii.

— Uczciwi Polacy wszędzie ścigać go będą!... gdyby był w Polsce jaki taki porządek, siedziałby oddawna pod kluczem za swoją niecną robotę.

— Jak pani może tak bezwzględnie! — oburzyła się. Każdy służy ojczyźnie podług sumienia swego.

— On zabił w sobie polskie sumienie... Zostały tylko pycha, upór i dziwactwa — mówiła gwałtownie. Może pani ma wpływ... Niech mu pani powie, że jako matka żądam, żeby nie ważył się napadać na Kościół, żeby więcej nie drukował łajdackich listów, nie demoralizo-

wał młodzieży, nie pomagał wrogom... pani ma wpływ.

— Nie mam wpływu.

Czarne oczy chorej spoczęły na tej, którą chciałyby móc nazwać synową. Milczała, wążąc coś w myśli.

— Ale pani... znane jest uczucie syna mego dla niej? — nieśmiało spytała.

— Tak -- odparła Inia po chwili równie nieśmiało i cicho.

Duże trzęsące się ręce chorej rozkładały na koldrze fotografie.

— Żałuję, że syn mój nie poznał pani wcześniej... Dziś ani pociechy ani szczęścia z tego uczucia — powiedziała, jak niegdyś do syna...

— Ani pociechy ani szczęścia — jak echo zabrzmiał wzruszony głos gościa. Zaległo milczenie. Inia pieściła spojrzeniem małego Jędrusia z biczykiem w ręce.

— Pani nie jest z tych kobiet dzisiejszych, co to ani religji, ani żadnych wogóle zasad — zaczęła chora, przebierając niespokojnie wśród fotografii. Dlatego chcę z panią szczerze pomówić. Syn mój nie mógłby lepszego zrobić wyboru, gdyby był spotkał panią dawniej, ale obecnie... pani wie, że z tego nie może nic być... Pani ma męża... Kalwińskiego ślubu pani nie weźmie... Lepiej zerwać... Pocomłodemu zawiązywać przyszłość...

Krew uderzyła Ini do głowy i wnet odpłynęła. Coś ją dławilo, płacz czy gniew. Podniosła powoli rękę, dotknęła machinalnie czoła,

opuściła rękę. Ach tak! Nie powinna mu być kulą u nogi. Dawno to sobie powiedziała i do-czekała się, że matka ją upomina.

— Nieszczęśliwa miłość pcha na złe drogi — ciągnęła dalej chora, patrząc okrągłymi oczami w twarz niedoszłej synowej — pani nie chciałaby złamać życia memu synowi, pani jest zbyt dobra, dlatego zwracam się szczerze. Pragnę syna mego ożenić. Mam dla niego żonę, istny skarb, Zulę. Ale on matce zawsze naprzekór. Gdyby pani spróbowała napisać albo powiedzieć przy sposobności...

Nastała cisza. Na korytarzu rozległy się kroki kilku naraz osób i śmiechy, stuknęły drzwi, wesołe towarzystwo oddaliło się. Ktoś telefonował, powtarzając z pasją numer.

— Dobrze, pani, zastosuję się do jej życzenia, nie będę przeszkodą, zresztą usunęłam się już — spokojnie odparła i znowu podniosła rękę do czoła.

Pani Szydłowska wyjęła z pudełka jedną z fotografii.

— Niechże pani weźmie sobie na pamiątkę małego Jędrusia — mówiła urywanym z zadyszki czy ze wzruszenia głosem — a mnie starą proszę zachować w pamięci i czasami odwiedzić.

Inia w milczeniu pocałowała wielką chudą, gorącą rękę chorej, która drżała.

Pani Szydłowska prędko układała w pudełku swoje pamiątki.

— A gdy go pani zobaczy, niech mu pani powie, że tak się nie godzi, że jest wyrodnym synem — wybuchła znowu i jakby zawsty-

dziwszy się uniesienia, pochyliła się nad pudełkiem i palcem grzebała między listami.

— Pani ma łaskę u Boga... pani musi być anielsko dobra... niech się pani pomodli o prędką śmierć dla mnie — dodała jeszcze, nie odwracając głowy — bo jestem i sobie i ludziom ciężarem. Nadaję się jedynie na bruch...

XXIX.

Echa wszczętej przez Choroszewskiego nagonki prasowej dotarły do Małopolskiej miejsciny, dokąd Andrzej zjechał na listowne zaproszenie nieznanego mu księdza, ale „prowokatora i szpiega“ zostawiono na razie w spokoju. W mieście przeważali pepesowcy, niewrażliwi na głosy prasy przeciwnego obozu, opinia publiczna zaprzątnięta była morderstwem, popełnionem przez posterunkowego, ksiądz proboszcz otoczył podejrzanego przybysza opieką, podejrzany przybysz trzymał się zdala od polityki i, zdaniem pani Oktawji, wyglądał więcej na poetę niż na opryszka bolszewickiego. Zdanie pani Oktawji podzielały wszystkie panie, mężczyźni zaś za wyjątkiem paru ideowców nie mieli sympatji do „gościa“, który mieszkał odludnie, nie pokazywał się w cukierni, w kasynie, na festynach, natomiast upodobał sobie niemego włóczęgę, pół dnia spędzał w bursie albo przesiadywał w Szarogrodzie i w parku z książką, odbywał samotne dalekie wycieczki, prowadził jakieś kursy na wsi i kursy wieczorne dla robotników. Po kilku tygodniach wszyscy prócz paru działaczy i pani Oktawji zapomnieli, że miasto

gości w murach swoich osławionego wywrotowca, o którym rozpisywały się szeroko dzienniki stołeczne. Andrzej także nie występował już publicznie ani w pismach ani na zebraniach. Był znużony walką, uważał także, że należy wpierw zlikwidować ową wysmianą przez Sulińskiego „kłótnię sumienia polskiego z ogólnoludzkim, człowieka wiecznego z doczesnym, rozumnym“, zrobić wybór między romantyzmem bezpłodnych marzeń o przebudowie świata i realizmem użytecznej służby. Skłaniał się obecnie do realizmu. Wziął tedy pierwszą, lepszą posadę w spółdzielni rolniczej, którą wyrobił mu ksiądz, która dawała mu sposobność zetknięcia się ze wsią i życiem prowincjonalnej miejsciny. Obrawszy sobie za wzór wesołego, zadowolonego z losu stolarzaniemowę, którego odszukał przypadkiem w czworaku za miastem czyli w tak zw. „Piekielku“, oddał się „milczącej“ pracy. Wysiadywał w biurze, prowadził dokształcające kursa wieczorne, wygłaszał na wsi odczyty, organizował gry sportowe, resztę wolnego czasu poświęcał ulubionej przez proboszcza bursie. Ale „służba“ nie wyleczyła go z romantyzmu bezpłodnych marzeń.

Nieraz wśród zajęć w biurze, w drodze na wykład lub na posiedzeniu zarządu spółdzielni czy bursy ni stąd ni zowąd podcinało w korzeniu samą chęć życia pytanie: poco to wszystko, kiedy jej niema? I jakkolwiek oddawna uznał, że człowiek powinien i może pokonać miłość w imię ogólnoludzkich spraw, w imię bardziej doniosłych niż miłość

obowiązków i celów, dla których dane jest człowiekowi życie, nie umiał obecnie wzbudzić w sobie zapału dla onych celów i spraw. Dlatego zapewne praca nie dawała mu zadowolenia, wykłady jego nie miały powodzenia, współpracownicy nazywali go dziwakiem, stąd w dzienniku jego tyle miejsca zabierały rozważania na temat rozpusty i prawdziwego kochania, pogańskiego życia i chrześcijańskiego ideału czystości, prawa do szczęścia i szkodliwości cierpienia, dlatego coraz częściej „nałogowo“ upajał się wspomnieniami. Okazało się, że opętanie miłosne trudniej było opanować niż to obiecywał sobie w swoim dzienniku, gdzie jednym pociągnięciem pióra podporządkował tak zwany monizm seksualny nakazom rozumu i sumienia. Był nawet tym nakazom posłuszny, szedł wytrwale wytkniętą drogą, ale przekonał się, że owa droga, ideały, służba znajdowały się poza życiem, gdy życiem była ona... Stawał się coraz bardziej sentymentalny.

Słodkie wołanie jakiegoś ptaka wyciskało łzy jemu, który przeżył najstraszniejszą z wojen, zdarzało się niekiedy, że w pieszczotliwym szczebiotaniu, w bełkotliwym plusku zielonych nurtów, spieszących z bestroską uciechą w dal, słyszał jej pełen żalu głos, słyszał żalose pytanie: dlaczego złamał jej życie, dlaczego ją opuścił? Kto tu zawinił? — ona, czy oni oboje? — dociekał — jej religja i światowe konwenanse, czy jego niemęska chwiejność, niezaradność i doktrynerstwo? — Tyle razy pouczali go doświadczeni w sprawach miłosnych koledzy, że każda kobieta

pragnie, aby ją zdobywano mimo jej oporu, że każda podda się woli i żądzy mężczyzny. — Gdyby wyciągnął ramiona, rzuciłaby mu się w objęcia, tymczasem on prawil jej wzniosłe bujdy i karmił ją mrzonkami. Gdzież są dziś werterowskie tragedje? Kto wplata życie w Iksjonowe koło zasad? Kto uprawia jak on ascezę zakonną? Nikt tu nie zawinił — próbowal bronić się. Musialo tak być. Żadał wszak od ludzi i siebie rzetelnego życia i uczciwego myślenia, realizacji religji i prawdy. Jej prawdą jest katechizm. Ale katechizm obowiazuje jedynie niepełnoletnich duchowo, ci zaś, którzy wyrosli z dzieciństwa i niewolnictwa, mają własne normy moralności — znalazła się natychmiast zupełnie trafna odpowiedź. Znużony dociekaniem zamykał oczy, wsłuchiwał się w pluskanie fal, zagłuszał pluskiem pracę myśli. Zdawało mu się, że wody unoszą go w dal, że odpłynął daleko. Ale naraz znowu odzywał się jej głos, i patrzyły w niego, gdy leżał z zamkniętymi powiekami, wielkie i smutne jej oczy. Zrywał się i biegł do domu w nadziei, że zastanie od niej list, lubo urażony zlekceważeniem jego zaproszenia do Tryczyna nie podał jej nawet adresu swego.

W domu zgryźliwy współlokator, któremu w Polsce nic się nie podobało, wręczał mu zwykle kartkę od pani Oktawji i długo głądził, chodząc drobnym krokiem po pokoju, mimo, że jedyny jego słuchacz oddawna udawał śpiącego. A kiedy zrzęda wreszcie oddalił się, wracało „opętanie“ i męka. Leżał z rękami pod głową, patrzył w okno otwarte, w gwiazdy, mi-

gocące nad czarnymi wierzchołkami lip, i pragnął już tylko spokoju i zapomnienia. Zdarzały się także ataki egzaltacji, w których, słuchając mowy migocących gwiazd i szelestu lip za oknem, roił, że wiecznem jest kochanie jak wszechświat i wypełniająca wszechświat miłość, że prawem życia i jedyną życia wartością: cierpienie i miłość. Ale po chwili budził się w nim szyderca i sceptyk. Niema miłości, są tylko popędy... Szczęście jest przenośnią literacką, konwenansowem kłamstwem, dźwiękiem pustym, czyste uczucie — wymysłem anemicznych liryków... Gorączkę erotyczną uśmierza się niby zastrzykiem przygodną miłością, życie trzeba twardo, odważnie, uczciwie przeżyć podług wiary swojej w dobrej czy złej doli. I użytecznie, rzeczowo, w karbach organizacji — dodawał, zdobywając się wreszcie na potępienie „buntownictwa“. Te jego kłótnie wewnętrzne i wieczne szukanie pochodzą z przerostu indywidualizmu, z naczytania się autorów rosyjskich — stwierdzał krytycznie. Niczego nie dokonał reformatorskimi artykułami i mowami. Suliński ma słuszość i ksiądz zapewne także. Tylko prorokom i wieszczom wolno torować nowe drogi. Nikt nie mianował go wodzem narodu. Nie jest dziś czas na alchemików, astrologów, herezjarchów. Trzeba budować silną Polskę i rozsądniej jest, ukrzyżowawszy pychę, schylić głowę przed autorytetem Kościoła, który przetrwał wieki, niż budować własną kapliczkę. I przedewszystkiem pora od przeczenia i krytyki przejść do czynu

i twierdzenia. Wschodzące słońce kładło na białej ścianie pomarańczową smugę. Zaczynał się długi upalny, męczący dzień. Odczuwał niemoc i znużenie. Zwidywało mu się, że od nieustającego wrzasku kawek zapaliło się powietrze i migoce tysiącem błyszczących kulek. — Pragnął wytchnienia, zamykał bezsenne powieki i dowiedziony do ostateczności mędrkowaniem, czekał na słowo rozgrzeszania, na krótki nieodwołalny rozkaz jakiejś wyższej instancji, choć wiedział, że niema nad nim żadnej zwierzchniczej władzy, że tylko on sam może siebie rozgrzeszyć, że sam ponosi odpowiedzialność za los swój. Odzywały się dzwony kościoła, których dźwięk przypominał mu Florencję, wracała otucha i wraz z otuchą nieokreślona nadzieja i hart. Przypominało się czyjeś cudowne powiedzenie, że życie jest więcej warte niż szczęście. *Life is more than happiness...*

Życie, walka, służba — powtarzał ubierając się i szedł do kościoła, żeby podług recepty księdza ukrzyżować pychę. Spotykał tam wesołego niemowę, siadał w ławce za filarem. ale zamiast tego, by czekać na łaskę pokornej wiary, rozmyślał jak zwykle z zawziętą niechęcią o winach duchowieństwa, o pogaństwie i antroporfizmie, zaczajonym w obrzędach, o niedorzeczności dogmatów. Sprawa religii bardzo zajmowała obecnie Andrzeja. W drodze z Poznania do Małopolski spędził cały dzień na Górnym Śląsku, którego nigdy przedtem nie zwiedzał. Doświadczył tam uczuć mieszanych. Zrazu z dumą, radością i zaciekawie-

niem, niby we własnym świeżo nabytym majątku podziwiał olbrzymie gmachy fabryczne, wielkie hale maszyn, windy, żórawie, ale po kilku godzinach włóczęgi ugrzązł swoim zwyczajem w dociekaniach na temat grożącej światu katastrofy, krzywdy społecznej i walki o lepsze, o prawdziwe życie. A jednocześnie wśród szczęku maszyn, wśród kurzu, dymu i swądu snuły mu się po duszy przedziwnie nieprawdopodobne słowa o liljach polnych i ptakach niebieskich. Kim był Ten, który je wyrzekł? Naiwnym marzycielem czy Bogiem wszechmądrym? Jeżeli był Bogiem, nauka jest Jego Boską i nieomylną. Ludzkość, ubóstwiwszy Nauczyciela, odrzuciła Jego naukę. Dokądże wiedzie droga, którą wybrał świat? Do szczęścia powszechnego, czy do walki i nienawiści klas? Do bogactw, gromadzonych z wycisku kosztem zmarnowanych istnień, do hyperprodukcji i bezrobocia, do niewolnictwa bardziej beznadziejnego niż wszystkie znane z dziejów przykłady przemocy człowieka nad człowiekiem? Jaki jest cel olbrzymiej pracy ludzkiej, która wre, szczęka w wielkich halach? — dumał, nie umiając ani jasno ująć wątpliwości swoich, ani tembardziej wysnuć rzeczowego wniosku. Rozumiał tylko, że na pytania, które tu mu się nasuwają, które nurtowały go już w Rosji, ludzkość musi znaleźć obecnie odpowiedź.

Narazie zajął się oglądaniem mieszkań robotniczych. Były to przeważnie trzypiętrowe kamienice-koszary, budowane podług tego samego planu. Do znudzenia powtarzały się

wszędzie te same podłużne placyki z suchotniczymi drzewami, murowane kryte śmietniska, dwa kamienne stopnie u wejścia z lampką elektryczną nad drzwiami, białe firanki i białe pelargonje w oknach. Rodziny robotnicze miały tu dostateczną ilość powietrza i światła i nawet kilkumetrowe ogródki z grzędami na warzywa, z ławeczką dla odpoczynku. A jednak na Szydłowskim, który nieraz zwiedzał cuchnące gniazda między proletarjackiej, te prawie wzorowo urządzone domy robiły wrażenie więzień. Czegóż to brakowało? Czy brakowało dobrobytu? Co tu było jeszcze do zrobienia? Tam, gdzie rodziny robotnicze cisnęły się w wilgotnych i ciemnych suterrenach, a w brudzie i zaduchu rosły dzieci o bladych i starczych twarzach, tam wiadomą była recepta, tu zaś, gdzie ustawa rozumnie regulowała stosunki między pracodawcą i pracownikiem, co należało jeszcze dać temu rojącemu się w czerwonych koszarach zbiorowisku niewolników? Udział w przedsiębiorstwie i w zyskach, bezpłatne przedstawienia w kinach? Kursy wieczorne? Ale czy nowe dobrodziejstwa rozniecą w domach i sercach radość, której tu brak? Czy przemienią więźniów w ludzi wolnych? Od wieków toczy się walka o wyzwolenie i sprawiedliwość, wiele razy lała się krew w rewolucjach, przychodzili do władzy trybuni ludu, ale niewola trwa — dumal — błędząc wzrokiem po rozległym placu, zawałonym starymi maszynami. Pod parłkanem wśród stosów starego żelastwa wymiotował pi-

jany robotnik w eleganckim garniturze migdałowego koloru.

Przed wieczorem, znużony całodziennem zwiedzaniem, usiadł w jakimś ogrodzie nad tłustą wodą sadzawki, która u brzegów mieniła się tęczowo. Za wysokim murem z cegły ogromna fabryka była w pełnym ruchu. Wydobywały się stamtąd potężne westchnienia, roździerające jęki, odzywały się łomoty, straszliwe ogłuszające stuknięcia, nieznośne zgrzyty. Z czarnych obitych papą baszt, w których warzyły się jady, rzekłbyś na zatrucie świata, dymiała para. Było gorąco i duszno. Przemykające szosą samochody wzbijały tumany białego kurzu, który osiadał na zwiędłych łęczkach kartofli. Mimo nieustającego hałasu Andrzej dosłyszał pewnej chwili ćwierkanie drobnego ptaszka. „Poco? Dokąd? Co dalej?” — zdawało mu się, powtarzał nieśmiało szczebiotaniem jego pytania drobny ptaszek na gałęzi suchotniczej akacji wśród pokrytych pyłem liści.

Tak, poco? Dokąd? Gdzie jutro?

Dwie były drogi: skalista pokorna ścieżka Chrystusa i szeroki gościniec Księcia świata tego. Ludzkość poszła za tym, który ukazał jej Królestwa ziemi i wszystką chwałę ich, radość życia, ludzkość zaprzedała się w niewolę złotemu cielcowi. Gdzie ratunek, gdzie droga i prawda? W kościele, który wypaczył naukę Chrystusa? Jak odrodzić i wyzwolić z pęt katechizmu, dostosować do wymagań czasu chrześcijaństwo, które w kościele stało się tylko martwą formułą?

Z wątpliwościami temi udawał się czasami

po osiedleniu się w małopolskiej mieścinie do księdza Ciszaka, żeby szczerze rozmówić się z jednym z winowajców upadku chrześcijaństwa, i z ust winowajcy dowiedzieć się kościelnej prawdy. Zachęcony i ośmielony serdecznym przyjęciem, Andrzej wypowiadał w plebanji na ceratowej kanapie zdania, od których musiałyby chyba zapaść się bielone ściany. — Mówił mianowicie, że Kościół podaje wierzącym nie Chrystusową, ale zniekształconą, księżą prawdę, że wprowadził bałwochwalstwo, bigoterję i antropomorfizm, że błogosławi bogactwu, wojnom, własności, że wymaga od wiernych nie realizacji nauk Chrystusa, lecz wyłącznie posłuszeństwa, że śludzy kościoła jak faryzeusze czczą Pana wargami. Ani bielone ściany plebanji nie zapadły się, ani proboszcz nie wyrzucił bluźniercy za drzwi. Ksiądz słuchał przeciwnika z uwagą, ale nie okazywał bynajmniej podziwu dla śmiałości i oryginalności wypowiedzianych przez niego herezji.

— Niech mi pan na początek odpowie na jedno pytanie. Od czego zależy przyszłość świata? Od napisania nowych mądrych ustaw, stworzenia lepszych instytucyj, zmiany obecnego ustroju na bardziej sprawiedliwy czy od udoskonalenia człowieka?

Ponieważ gość milczał, proboszcz ciągnął dalej, czerpał dowody i przykłady z dogmatyki, apologetyki, teologii moralnej.

Klerykalne argumenty nie trafiały do przekonania niedowiarka, Andrzej przypomniał faryzeuszów i Sanhendryn, walkę uczonych w piśmie i żywą prawdę Chrystusa, wywłócił

straszne karty z historii papiestwa, inkwizycję, wojny religijne, palenie czarownic, wyśmiewał znowu szkaplerze, różaniec, procesje i litanje, wszelkie dewocje, wskazał pusty pałac szambelana papieskiego za miastem i tak zwane „piekielko“, ohydny czworak, będący własnością tegoż szambelana i, przytoczywszy słowa hymnu o Panu, który puszcza bogaczy z niczem, zaznaczył, że właśnie bogacze mają ręce pełne dóbr, gdy głodne rzesze czekają wciąż na cud rozmnożenia pięciu chlebów, że celem i zadaniem Kościoła powinno być nie doskonalenie samolubnych dusz, lecz walka z krzywdą i niesprawiedliwościami, z niedolą życia...

Mały żwawy ksiądz Ciszak śmiał się, biegł po pokoju, poprawiał nerwowo swoje gumowe mankiety, wychylał się przez okno do obwieszonych zielonemi jabłkami gałęzi sadu, patrzył w niebo i na dalekie wzgórza, badając, czy aby deszcz nie zaleje mu pszenicy, albo posyłał wzrok w stronę ulubionej bursy i zgola nie przejmował się huraganowym ogniem zarzutów niedowiarka. Sypał księżowskimi dowcipami, i jak gdyby miał przed sobą ograniczoną dewotkę, prawil oklepiane, wyjęte z podręczników seminaryjnych ogólniki, które niecierpliwiły Andrzeja.

— Ksiądz częstuje mnie wciąż jakąś oficjalną formułą — zżymał się — słowami któregoś tam soboru, ja zaś pragnąłbym usłyszeć jak odrodzić chrześcijaństwo i pogodzić odrodzone chrześcijaństwo z nauką, z wymaganiami współczesnego życia, jak budować Królestwo

niebieskie śród włości Księcia świata tego i przede wszystkim czekam na obalenie mego zasadniczego zarzutu. Ośmielam się mianowicie, jak księdzu wiadomo, twierdzić, że Kościół sfalszował naukę Chrystusa.

— Zaraz, zaraz, niecierpliwy obrazoburco. Powinno być panu na imię Bartłomiej albo Jan, bo wylazi pan ze skóry i kąpany jest w gorącym oleju — ruszył ksiądz dowcipem. — Kościół bynajmniej nie sfalszował nauki Chrystusa, to tylko pan wymaga od Kościoła rzeczy niemożliwych, t. j. by wszyscy katolicy zostali odrazu świętymi. Dlaczego pan się nie oburza, że nie wszystkie dzieci uczęszczające do szkoły powszechnej kierują się na uczonych. Państwa zaprowadziły obowiązek nau czania powszechnego i różne typy szkół, w społeczności katolickiej. Kościół troszczy się przede wszystkim o to, by nie było analfabetów religijnych. Dajemy zrazu do ręki każdemu człowiekowi elementarz, ale gotowi jesteśmy prowadzić na szczyty, niestety z nauką czytania w księdze Boskiej idzie opornie. Chociażby naprzykład u pana. Pan źle stawia pytania. Nie chrześcijaństwo ma szukać zgody i porozumienia z duchem czasu, z cywilizacją i nauką, ale naodwrot, bo ważniejsze są cele wieczne od doczesnych. Kościół pracuje dla wieczności. Pan zaś niedocenia życia wewnętrznego i zapomina, że istnieje świat łaski nadprzyrodzonej i że w owym świecie łaski nędzarz czerpie pełnymi rękami, gdy bogacze często odchodzą z niczem... Pan uznaje tylko życie ziemskie...

— Co głodomorom po ucztach duchowych?!... — przerwał Andrzej.

— Ale i głodu nie będzie, gdy każdy zacznie od szukania Królestwa niebieskiego. Jeśli Pan nie zbuduje domu, próżno pracowali, którzy go budują. Cywilizację współczesną budują ludzie zaślepieni pychą żywota i rozumu, pożądlivością oczu. Nauka Chrystusa nie zabija zainteresowania sprawami ziemskimi, ma pan przykład na mojej marnej osobie. Nie zamykam się w wieży z kości słoniowej. Znane są panu dzieje moich tu niezawsze fortunnych poczynań i walk o ścieżkę, o bursę, o programy kin, przyzwoity ubiór pań w kościele. Wtajemniczałem pana nieraz już w moje bardzo ziemskie kłopoty i projekty. Nie wiele zdziałałem, ale raczej napsułem — kajał się zniżywszy głos, patrząc w ziemię... A gdy kto nabroi, musi pomyśleć o pokucie. Dowie się pan niezadługo... — urwał i spojrział przez okno.

Ale nie szukał już tam wyrostków, kradnących w sadzie jabłka, ani owej ścieżki, o którą toczył wieloletni spór z magistratem, ani kóp owsa, niezwiezionego dotąd mimo nadciągających od zachodu deszczowych chmur. Niskie czoło porysowały poprzeczne zmarszczki, wesole oczy napęliły się łzami, jasna twarz, na której jak u dziecka malowało się każde wrażenie, spoważniało.

Andrzej, zaskoczony niespodzianym obrotem rozmowy, przewracał cienkie, lekkie stronicę otwartego na stole brewjarza.

— Żąda pan odemnie bym nakarmił go

własną mądrością — ciągnął dalej proboszcz, opanowawszy wzruszenie. — Ja zaś mógłbym panu powiedzieć chyba tyle, co ów ulubiony przez pana niemowa, który mručeniem i stękanieniem co rano chwali Pana. Bo każdy z nas jest w tych rzeczach niemową. Rozumiem pana może lepiej, niż niejeden z kapłanów, ponieważ w młodości te same co pan przebywałem udręki, tak jak pan zamierzałem przebudować świat i urodzony w dostatku, zanadto ów dostatek i wogóle dobra ziemskie cenilem. Długo jadłem różne zakalce z różnych pieców aż znalazłem chleb prawdziwy. Ale nie poszło mi to łatwo. Namordowałem się niemało, tracąc czas na poszukiwaniach, zatruty pychą i ambicją. W tem także jestem do pana podobny

Andrzej podniósł zdumiony wzrok na księdza. Cóż jego, który młodość strawił na sceptycznym badaniu ksiąg i życia, mogło łączyć z tym pokornym poczciwym wychowankiem seminarjum?

— Dlaczego wierzę, zapytuje pan. Wierzę, bo wszystko mówi mi o Bogu: Wolna wola i wrodzona każdemu potrzeba doskonałego miłowania, obecność w nas dwu pierwiastków ziemskiego i nieśmiertelnego, zaczajone w nas zwierzę ludzkie, — z patosem wyliczał proboszcz — cierpienie i wstyd po upadku, nienasycenie, zło i niesprawiedliwość na ziemi... Dzieje ludzkości daremnie goniącej marę dobrobytu, niedorzeczność życia, żądza absolutu w małym znikomym człowieku.

— *Petitio principii* — pogardliwie mruknął Andrzej.

— Ciągnie mnie pan za język, poto by drwić z prostaka! Zresztą na nic nie zdadzą się panu najmędrze rozprawy, dopóki pan nie zacznie żyć życiem religijnem.

Ksiądz wtykał Andrzejowi ojców Kościoła, jakieś francuskie dzieła, jednocześnie życzliwie radził, namawiał i prosił, żeby odludek dał się poznać, nie chował światła pod korcem, więcej dbał o przyjaźń ludzką.

— Obrabowano pana tu wnet po przyjeździe z mienia, teraz obrabują ze czci. No i w sidła niech pan także nie daje się złapać.

— Jakie sidła?

— Pan się domyśla... dama o wielu pierścionkach... szkoda mi pana!

— Czego szkoda?

— Tego co pan wnosi do tutejszej, trochę stęchłej atmosfery, t. j. żywą myśl, szukanie prawdy, ofiarną pracę. Cóżby się stało z bursą, gdyby pana zabrakło?

Andrzej nieufnie zerknął na proboszcza. Przesadne pochwały, wzmianka o bursie zdały mu się podejrzanemi. Kryła się w nich zapewne chytra, czysto jezuicka przymówka o dawno obiecany zasilek...

— Nie wieleby bursa i ludzkość straciła w mojej osobie. Ksiądz sądzi mnie po owych nieszczęsnych listach otwartych. Co innego pisma, co innego życie... Nierób ze mnie i mózgowiec... — oskarżał siebie.

Proboszcz zaśmiał się, w śmiechu jego ukazały się małe, rzadkie, źle utrzymane zęby, które szpeciły jego sympatyczną twarz.

— Z czegoż zrodziły się owe sławne listy otwarte? Co pana zagnało tu na prowincję? Mógłby pan w stolicy suwerenować. Coś pana jednak ponosi... i właśnie w samotności człowiek gromadzi zwykle w sobie jady... Radzę wyjść z ukrycia, pokazać się między ludźmi. Proszę do mnie w niedzielę na sesję... Trzeba Walkiewiczowi zamknąć usta...

Andrzej wybrał się w najbliższą niedzielę, by zamknąć Walkiewiczowi usta... Wszedł do zadymionego, pełnego gwaru pokoju, może za nadto wyniosłe, ale w usposobieniu raczej pojednawczem.

Przywitano go uprzejmie i narazie zostawiono w spokoju. Usiadł pod oknem i, odwrócony bokiem do towarzystwa, spoglądał na dalekie, porosłe lasami wzgórza, nad którymi snuły się nikiłe jak dym, białe, chyże chmury. Rozwodził sprawę, która go oddawna zaprzętała, która miała dziś pójść pod obrady. Był bursy był zagrożony z powodu cofnięcia zasiłków przez ofiarodawcę, który w dodatku niespodziewanie zażądał zapłaty za darowany niegdyś plac. — Ksiądz Cizak, wyczerpawszy wszelkie sposoby, spodziewał się już tylko cudu. Ten cud mógł stać się każdej chwili za przyczyną obecnego na zebraniu właściciela cennych placów na Mokotowie, przeznaczonych przed miesiącem na sprzedaż. Kupcy znaleźli się odrazu, dali dobrą, zdaniem Podczaskiego cenę, ale naraz właściciel zaczął się wahać. Pokazało się, że autor listu otwartego o Królestwie Mamonny sam w niem chętnie przebywa, i nie może się rozstać ze swoim dziedzictwem. Żal

mu było pewnych projektów, bardzo zapewne nierealnych, bał się ubóstwa, zgryzot, pracy na chleb. Dotychczas żyło się bez trosk, krając złotodajne place, budowało się zamki szczęścia. Rozwód, podróż poślubna, Szarogród miały być ze sprzedaży placów. Na tem trzeba postawić krzyż. Zacznie się niewola. Stanie się zbiedzonym, wiecznie goniącym za pożyczką urzędniczyną albo paskarzem. Dla zapewnienia bytu kilku chłopcom w bursie przekreśli przyszłość swoją, prawo do życia, walkę o prawdę, o szczęście...

Ale o co mu chodzi, o walkę i prawdę, czy o próżniactwo, wygodę, zabawę i ucieczkę od rzeczywistości? Niema walki i życia tam, gdzie jest ucieczka — strofował siebie.

Dla zagłuszenia wątpliwości i wątpliwej wartości rozumowań zaczął się przysłuchiwać rozmowom.

Spółceństwo miejscowe dzieliło się na tyleż partji, ile ich było w sejmie, ale przedstawiciele wrogich obozów, abonenci zwalczających się namiętnie gazet żyli z sobą w zgodzie, i nawet chętnie spotykali się kilka razy na tydzień w kasynie przy kartach lub na festynach.

Wspólna wszystkim troska łączyła ich silniej niż dzieliły różnice programów przedwyborczych. Zatargi powstawały wyłącznie na tle interesów i bolączek czysto lokalnych, polityka była sprawą odświętną, tematem pogawędek towarzyskich i dowcipów przed pierwszym robrem, podczas kolacji lub przekąski u proboszcza w niedzielę przed rozpoczęciem

obrad. Jakoż i dziś rozparty na długiej cerasowej kanapie dyrektor gimnazjum zapalony Piłsudczyk, tłumaczył zjadliwemu endekowi Walkiewiczowi, naczelnikowi urzędu skarbowego, że Belweder bynajmniej nie miał zamiaru oddawać Rusinom Lwowa, ani nie porozumiewał się z bolszewikami podczas wojny 1920 roku, i że zwycięstwa Polska nie zawdzięcza wyłącznie Weygandowi, gdzieindziej zaś rozsądny i jowialny sędzia dokuczał prezesowi piastowców Brzózkowi z powodu zbyt jednostronnego zapatu suwerenów sejmowych do parcelacji, i Smoczkiwicz, właściciel odlewni spierał się z adwokatem Gołębiem, zawziętym pepesowcem o Kasę Chorych i ośmiogodzinny dzień pracy. Liczne grono słuchaczy, złożone z mniejszych ryb, skupiło się, jak zwykle, dookoła grubego węsala restauratora Czarka, który tonem grobowym podawał różne sensacyjne wiadomości. Ciężkie sapnięcie poprzedzało każdą porcję nowinek. Ciekawi dowiedzieli się dziś o defraudacji w kasie tartaku braci Krampów, o conocnych pijatykach w kawiarni słodkiej Chajki, o szoferze szambelana, który grał na giełdzie niczem Rotszyld, o parcelacji Kawenczyna. Pod piecem rozlegał się barytonowy głos architekta Zmorskiego, miejscowego Don Żuana, wieloletniego kochanka pani Oktawji, który z okazji pewnego głośnego procesu rozstrząsał „otchłanny problemat miłości i zbrodni“, natomiast u drzwi poetyczny mąż tejże pani Oktawji po wyczerpaniu tematu literackiego, który nie wzbudził zainteresowania, unosił się, łamiąc delikatnemi

palcami ciastko na talerzu i dokładnie zbierając okruszyny, nad cudem jedności i zgody. Nie udało mu się porwać zgorzkniałego prokuratora, który zaznaczył zjadliwie, że cudu pragną i czekają niedołądzy, gdy ludzie silni sami tworzą rzeczywistość. Poczem jowialny sędzia zaczął dopominać się o sznapsa, zaznaczywszy jak zwykle, że pierwszą czynnością Adama po wygnaniu z raju, było napięcie się wódki, a sekretarz, szczerząc białe zęby z pod czarnego przystrzyżonego wąsa, śmiał się zawczasu, zanim jeszcze padł ów znany wszystkim dowcip. Ale proboszcz nie chciał narazie nikomu dać wódki i, poprosiwszy o chwilę spokoju, przedstawił stan Bursy, zupełnie, zdaniem jego, beznadziejny z powodu niemożności zebrania 5 tysięcy dolarów, potrzebnych na zaspokojenie pretensji ofiarodawcy i zakupienie 10 mórg gruntu. Mimo beznadziejnego stanu sprawy i wszechstronnego wyczerpania tematu na poprzednich posiedzeniach, znalazło się sporo mówców. Jeden z nich proponowaławiązanie komitetu ratunkowego, inny — urządzenie loterii, trzeci wysłanie delegacji do ofiarodawcy, Walkiewicz zaś, odbiegając od przedmiotu, zauważył, że należy dziś radzić nie nad dolarami, ale nad szkodliwymi wpływami, które zakradły się do bursy oraz do kierownictwa kursów wieczornych. Przypomniął rewelacje najpoważniejszych pism stołecznych i, ostrzegając przed wilkami w owczej skórce, żądał usunięcia szkodnika ze wszystkich miejscowych stowarzyszeń. Oczy zebranych skierowały się na szkodnika. Ale ten nie odpowiedział

na zaczepkę. Milczał w dalszym ciągu, patrzył uparcie w okno. Ksiądz spodziewał się, że jego protegowany olśni słuchaczy wymową i rozumem, że postara się niechętnych zjednać uprzejmością, on sam miał dziś zostawić pychę w przedpokoju wraz z parasolem, tymczasem zraził sobie wszystkich do reszty. Bywało tak zawsze.

Przy każdym zetknięciu z ludźmi powtarzało się to samo nieporozumienie; odgradzał się od tłumu wyniosłością i jednocześnie cierpiał nad tem, że nie lubią go i stronią od niego ludzie, że odczuwa obcość i odrębność, że jest wszędzie i zawsze samotnikiem i bezdomnym tułaczem. Tak było w szkole, w uniwersytecie, w wojsku, na zabawach. Nie miał nigdy przyjaciół, zrażał towarzyszy zasadami, cnotą, sztywnością, chłodem, nigdy nikomu nie otworzył serca nawet w rodzinie, tylko z nią jedną stawał się prosty i dobry, ona jedna odkryła w nim serce — wspominał, błędząc spojrzeniem po wzgórzach. Dalekie na zboczach półka z kopami jakiegoś zboża zasnuła teraz biała mgła deszczu. Przypomniła mu się dawna jesień pod Moskwą. Pochyliwszy głowę, tęsknił gorąco, młodzieńczo za krótką, jedyną w życiu radością tamtych dni. Na sali była wciąż jeszcze mowa o nim. Ksiądz powiedział kilka mocnych słów pod adresem potwarców, Walkiewicz „pozwolił sobie odczytać jeden tylko, bardzo krótki artykułik“, ksiądz zaperzył się, stanął zapalczywie w obronie napastowanego. Poco?! Nie chcą go tutaj, zedzie im z oczu, świat jest szeroki. Doczekał się

nareszcie urlopu. Wydalono go ze służby. — Otrząśnie proch z obuwia i ruszy w świat. Tylko, że nie będzie za co włóczyć się po świecie — przyszła refleksja. Skończyło się pańskie próżnowanie. Nie będzie placyków, niema ucieczki... Trzeba do jarzma! Tak, jarzmo — zasępił się. W okna biły krople deszczu, trzęsły się wysokie grusze smagane nawałnicą. Na krótką chwilę ogarnęło go beznadziejne zniechęcenie. Tamto umarło, przyszłości niema... Co mu zostało?

Korzystając z przerwy w obradach, niski, gruby na cienkich nogach profesor Dobek zapalił świecę, przyczem wygłosił ulubiony aforyzm, o wyciskaniu z każdej godziny dnia, z każdej sprawy soku radości, rejent zaś z talją kart w ręce powtarzał, że nie warto tracić drogiego czasu.

Ale dnia tego brydżystom było sądzone stracić jeszcze trochę czasu, gdyż ksiądz znowu uciszył niecierpliwych graczy i sam z uwagą słuchał Szydłowskiego, który coś mu w sekrecie szeptał do ucha.

Ksiądz porwał się z miejsca, wziął gościa za obie ręce.

— Proszę panów! — zawołał.

Andrzej nie dał mu mówić. Zawiązał się między gospodarzem i gościem krótki cichy spór. Zebrani, węsząc sensację, przypatrywali się tej dziwnej scenie z zaciekawieniem. Proboszcz, niezwykle poruszony słowami gościa przebiegł kilka razy pokój, stanął na chwilę przed oleodrukiem, przedstawiającym świętego Franciszka, poczem zatarłszy ręce, począł

nalewać wódkę. Goście stłoczyli się dokoła stołu z przekąskami.

— Pan nie pije? Kto takie gorące drukuje artykuły, ten musi napić się gorącego — zapraszał Andrzeja, Brzózek. Wracam właśnie z Warszawy — ciągnął dalej podsuwając wiśniówkę — Choroszewski zapytywał czy zamknięto pana do ciupy?

— Jakos dotychczas nie zamknięto mnie jeszcze.

— Widziałem także panią Padniewską. Rozstała się z mężem, pracuje w jakimś banku, bardzo mało solidnym. Wspominał mi Wodecki, że zgodziła się na rozwód, że odwiedzała matkę pana. Może panu wiadomo za kogo pani Padniewska wybiera się za mąż?

Andrzej odstawił kieliszek wiśniówki tak gwałtownie, że zrobił na obrusie plamę, natrętowi zaś odpowiedział takim tonem, że ten natychmiast zostawił go w spokoju i dla ratowania honoru zwrócił się do zatokowanego aptekarza ze złośliwym zapytaniem „dlaczego on niby butelka z sublimatem ma na sobie aż pięć trupich główek“.

Anemiczny mąż pięknej pani poprawił szpilkę w krawacie, wyciągnął mankiety i dalej zachwycał się ulubioną powieścią żony. Mówił płynnie cicho a smutnie, powoływał się na zdanie swojej pani i patrzył czarnymi łzawymi oczami na Szydłowskiego, pragnąc wciągnąć go do rozmowy.

— Żona moja spodziewa się pana doktora dziś na kolację — rzekł pewnej chwili — mają

państwo omówić program wieczoru literackiego.

Gdy gracze zasiedli do kart, Andrzej wymknął się z plebanji. Droga prowadziła koło willi „Promienna“. Był jeszcze czas wstąpić do pani. Mąż zapraszał, w kieszeni były aż trzy otrzymane dziś bardzo pilne, czule kartki. „Ubiore czerwona suknię, będziemy sami, proszę zapukać w okno. Sama otworzę panu drzwi“... Każdy na jego miejscu byłby oddawna używał, on walczy z pokusą. Co go wstrzymuje? Nieśmiałość i strach kobiety? Zasady czy opętanie, którego pozbyć się nie może? Codziennie powtarza sobie, że tamto skończyło się, mimoto żyje w sercu nierozsądna nadzieja. Gdy Brzózek, znany łgarz napoczekaniu wymyślił bajeczkę o rozwodzie, szczęście uderzyło mu do głowy... — Brzózek znany łgarz... Zatrzymał się. Obwiał mu głowę żaloszny szum świerków, z pluskiem lała się woda z rynny do beczki, oparliszy się o sztachety, patrzył w dwa oświetlone okna...

Pani Oktawja w czerwonej sukni czytała, paląc papierosa... Zdusiwszy papierosa, przewróciła kartkę, ziewnęła, podniosła wzrok. Zdało mu się, że utkwiała w niego spojrzenie... Oddalił się chyłkiem i spiesznie, jak złodziej. I naraz niewątpliwą prawdą stała się owa usłyszana od Brzózka bajka, której zrazu nie dał wiary, że pani Padniewska rozstała się z mężem, że odwiedziła jego matkę, że stara się o rozwód. Serce rozsadała radość bez granic. W domu gospodyni wręczyła mu trzy li-

sty: urzędowy ze spółdzielni z wypowiedzeniem posady, pachnący seledynowy od pani Oktawji, którego nie czytał, i biały w zwykłej kopercie — od niej. Tego także nie czytał na razie. Wziął go do ręki, oglądał nieufnie i po-trzymawszy chwilę, schował do kieszeni.

— Gdy pan tam na sesji u proboszcza zba-wiał ojczyznę, Jureczek przyniósł panu z pię-knym ukłonem dymisję od Brzózka. Cóżście tam uradzili? Teraz dopiero dzięki waszym uchwałom zrobi się w Polsce raj! — zrzędził współlokator.

— Tak, tak oczywiście raj — mruknął i, nie mogąc dłużej czekać, rozdarł wreszcie ko-pertę.

„Chciałabym, żeby pan w środę o 2-giej po południu spotkał mnie na dworcu“.

Przemierzył kilka razy pokój, wrócił do sto-tu, odczytał pismo jeszcze raz przy lampie, pieścił oczami tę ówiartkę.

— Cóż pan taki nerwowy? Doczekał się pan protekcji w Warszawie? Wygrał na loterji?

— Wygrałem na loterji — rzucił z roztar-gnieniem i wybiegł na miasto. Skierował się bezwiednie w stronę dworca, który o tej go-dzinie już spał w świetle dwu wysokich latar-ni, wśród ogromnych szumiących topoli, wy-brał nawet najbliższą drogę tak zwaną na Pie-kielko. W „Piekielku“ świeciło się jeszcze u karbowego, który mieścił się w jednej izbie z dwu synami, ze stolarzem niemową i mło-dem małżeństwem. Drzwi były otwarte. Chora na raka żona karbowego dzień cały leżała po-korna i cicha, ale kiedy mąż był w domu, kłó-

ciła się z nim o każdą rzecz. „Wacek! wypileś mleko!“ — złościła się chora.

Nad dachem walącego się czworaka cicho i łagodnie szumiały topole. Ciepłe powietrze pachniało jeszcze deszczem. Podniósł wzrok na białe, lekkie, chyżo sunące wśród gwiazdzystych szlaków chmury. Cierpienie i śmierć... Miała i ona, ta konająca w straszliwych cierpieniach męczennica swój dzień młodości i wesela. Dziś jest jego dzień...

Szedł dalej ze wzrokiem utkwionym w niebiosach, wielkimi krokami, stąpając z gwiazdy na gwiazdę, do niej, po szczęście.

XXX.

Na dużym stacyjnym zegarze wskazówki nie posuwały się zdawało się zupełnie i do nadejścia pociągu zostawała wciąż godzina. Andrzej biegał po peronie, szukał portjera, by go zapytać poraz czwarty o pociąg z Krakowa, rzucił niemowle garść papierowych pieniędzy, cierpliwie oglądał w ogrodzie zawiadowcy okrągłe, obłożone pomalowanymi na biało kamieniami klomby nędznych fioletowych astrów, szklaną srebrną kulę na słupku, śpiących w cieniu wysokich topoli robotników, potem nie mogąc nigdzie zagrzać miejsca, usiadł na ławce z zamiarem czytania „Czasu“, ale urwał na dwu pierwszych zdaniach wstępnego artykułu, wyjął z kieszeni list wczorajszy i, jakkolwiek umiał cały na pamięć, przypatrywał się każdej po kolei literze. Nagle bez wyraźnego powodu powziął pewność, że nastąpiło wykolejenie. Skoczył na równe nogi, roztrącił grupę żydów, nastąpił na nogę urodziwej damie w grubej żałobie, która wciąż wybuchała głośnym śmiechem, ubawiona dowcipami pana inżyniera, udał się do zawiadowcy stacji, by zasięgnąć informacji w sprawie owej katastrofy kolejowej. Wreszcie uświadomiwszy

sobie, że zachowuje się jak skończony histryk, wrócił na ławkę, siadł plecami do zegara, żeby nie liczyć minut. Oczy pobiegły w dal ku zasnutym fioletowem zamgleniem lasom, ku szczytom. Cudne wykwitwały nad wierzchołkami obłoki. Rozpuszczały się tam w mgnieniu oka olśniewające śnieżne kwiaty o dziwacznych koronach i łodygach, powiewały ogromne białe pióropusze na srebrnych hełmach, wyrastały strzeliste wieże, olbrzymi smok przygotowywał się do skoku, płynął wielki spokojny korab.

„Nie dam jej! nie puszczę jej! Jeżeli rozstała się z mężem i stara się o rozwód, jeżeli przyjeżdża, to oczywiście poto, żeby zostać“. Oderwał wzrok od płynącego niebem korabiu i znowu śledził nieruchome wskazówki zegara. — Zbliżała się godzina druga. Zaskowityły dzwonki sygnałowe. Zjawił się młody zawiadowca w lakierkach, i jednocześnie z poza długiego magazynu kolejowego wysunęła się nagle lokomotywa i pędziła prosto na niego zdyszana. Tak długo, tak niecierpliwie czekał, tymczasem teraz na widok sapiącego parowozu doznał wrażenia, że ogromne, szybko obracające się koła lokomotywy miażdżą jego marzenia, nadzieje i radość, niby struchlałego zajęczka, i pragnął, żeby to był jeszcze nie ten, nie jej pociąg. Bo jeśli jej nie będzie?...

Zanim zdążył myśl dosnuć do końca, spostrzegł ją w ostatnim wagonie klasy III, wychylającą się z okna, szukającą go po całym peronie, lecz właśnie tam, gdzie go nie było. „Nie dam jej, nie puszczę, zażądam rozwodu...“

Jeżeli przyjeżdża, to chyba po to, by zostać“... rozsądzało mu pierś poczucie zwycięstwa.

Miała nieznaną mu duży słomkowy kapelusz z szarym woalem, i popielaty płaszcz pod różny. W pierwszym mgnieniu ogarnął go, jak zwykle podziw nad cudem jej urody, którą za każdym razem odkrywał na nowo, ogarnęło zdumienie, że tak proste i łatwe było to niedościgłe wczoraj szczęście, i że ono już się stało... Wydawało mu się, że wielkie topole za magazynem kolejowym drżały z rozkoszy, migocząc błyszcząciami w słońcu liśćmi. „Nie puszczę jej, nie dam, nie oddam, rozstała się z mężem, stara się o rozwód“ — powtarzał uparcie, kiedy pokazała się w drzwiach wagonu w tym nieznanym, ale zapewne „nie od męża“ kapeluszu i płaszczu, z książką w ręku, śliczna, zarumieniona i trochę jak zwykle zmieszana.

Podali sobie ręce, jak ludzie obojętni, ale jej szare oczy były wzruszone. Pomógł jej zdjąć płaszcz, rzeczy oddał niemowle na przechowanie. Nie nalegał narazie, by zgodziła się odejść je do miasta. Miał niewątpliwą pewność, że żadne prawo, żadna moc, ani kościół, ani mąż nie stanie między nimi.

— Przyjechałam na bardzo krótko, właściwie nie powinnam była wstępować zupełnie — zaczęła.

— Przed kim się pani usprawiedliwia, przed sobą czy przedemną? — cierpko zapytał.

— Przed zdrowym rozsądkiem, raczej przed geografją. Wybrałam się najbardziej okólną

drogą z Warszawy do Lwowa — odparła, śmiejąc się do lustra w żółtej jesionowej ramie.

Rozwiązała woal, zdjęła kapelusz, rękawiczki włożyła mu do kieszeni marynarki, poprawiła włosy, wytarła twarz, i uznawszy, że toaleta skończona, wybiegła z ciemnej poczekalni na zalany słońcem plac. Szli prędko środkiem wysypanej szutrem i węglem szosy, wymijając długie obładowane cegłą wozy, z których sypał się czerwony miał. Mówiła o Gandhim, którego czytała w drodze.

— Teraz dopiero zrozumiałam wiele rzeczy w panu. To pan z Gandhiego wziął twardego obowiązek nieustraszonego wypowiedzania swoich przekonań.

— Powtarzam cudze zdania — odparł z roz-targnieniem, znękany wiadomością o bliskim jej wyjeździe.

— Jeszcze mało panu walki? Bojował pan w Warszawie, w Poznańskim. Ale kościoła nie będzie pan już zwalczał? Dobrze panie? — dodała.

— Nie zwalczam kościoła... Miecz okazał się dla mnie zbyt ciężki — gadał, nie przywiązując wagi do swoich słów.

— Stwierdzam, że nic się pan nie zmienił. Ale dlaczego my właściwie śpieszymy?

— Ano nie wiem. Chyba dlatego, że pani przyjechała na tak krótko — zauważył gorzko.

— Ach tak, panie! — westchnęła, choć wyjazd wydawał się równie daleki jak nudne godziny bankowe, jak dnie tęsknoty, jak ciemny pokój warszawski, w którym snuła mądre i smutne myśli. Zwolnili kroku.

Objął spojrzeniem znany krajobraz, fioletowe aksamity lesistych płaszczów na zboczach, wielkie białe kwiaty obłoków, cichą zieloną doliną. Uderzyło go dziś jak niegdyś na początku wojny w pierwszej potyczce, gdy poczęły padać strzały, bolesne, rozdzierające żalem, nieprawdopodobne piękno świata. Miał dziś, jak wówczas poczucie, że patrzy na nie ostatni raz.

— To jest pana codzienna droga do biura. Nogi depcą chodnik, myśli wędrują daleko i wysoko ku szczytom cudnych błękitnych gór. I zawsze pan taki posępny, czy tylko obecnie na mój benefis?

Nie pojmowała jego smutku dziś, w dniu, który jeszcze należał do nich. Raz po raz zwracała na niego spojrzenie, żeby stwierdzić, że znowu znajduje się obok niej, żywy i rzeczywisty a taki inny niż ten, którego obraz nosiła w sercu, żeby nasycić jego widokiem stęsknione oczy, wyczytać mu z czoła nieznane troski. Podniecona podróżą, spragniona rozmowy trzepała jak pensjonarka. Pochwaliła jego nowy porządny kapelusz, laskę i ubranie, wyśmiała otyłą żydówkę, w krótkiej sukni w zielone i żółte pasy, zachwycała się polską jesienią, różami przed willą doktora, muzyką dzwonów, dzwoniących komuś na pogrzeb, starami lipami na rynku, które szumiały polską mową nad głowami przeniesionych zda się żywcem z Jerozolimy brodatych arcykapłanów. Stała, by przyjrzeć się rodzajowym scenom. Zabawiła ją namiętna kłótnia między dwu patrjarchami. Jeden był wysoki zgarbiony, rudy, wymachi-

wał rękami, wrzeszcząc wniebogłosy, drugi miał wylupiaсте oczy, ciemne krzaczaste brwi i zieloną brodę.

Spojrząwszy na ogromny żółty o zakratowanych oknach gmach sądu, zauważyła:

— Zakurzeni, wędnący ludzie nad zakurzonemi szpargałami — otwórzmy im ich więzienia.

— Karmimy się już od godziny poezją, tymczasem pani napewno jest głodna. Jest tu taki lokal, bardzo pierwszorzędny... Widzi pani, stoją tam auta.

W cukierni przejezdne towarzystwo nafciarzy, bardzo sportowe i eleganckie raczyło się hałaśliwie likierami, kawą i koniakami przy kilku zestawionych stolikach, którym to dolarowym zbytkom z niechęcią przypatrywali się miejscowi codzienni goście.

Inia i Andrzej starali się wejść niepostrzeżenie, poszukali najdalszej w ostatnim pokoju i w ciemnym kącie kanapy. Dostrzegł ich jednak Brzózek, złożył ukłon pełen respektu i, poszeptawszy z przyjaciółmi, zbliżył się natychmiast do ich stolika, zaczął okolicznościową rozmowę. Andrzejowi pogroził za coś palcem, Ini opowiadał o Choroszewskim. Inia była bardzo głodna, ale gdy zabrzmiał dyskretny głos Brzózka, straciła odrazu apetyt. Niedługo zabawili w cukierni, poprosiła, by pokazał jej swoje „apartamenta“.

— Zawsze był pan trochę niezdara. Przestawię panu, urządzę, będzie się lepiej mieszkało.

Ale niewiele miała kłopotu z meblami. W po-

koju oprócz wykonanej przez niemowę półki do książek, żelaznego łóżka, obrzydliwej, blaszanej umywalni z wymalowanym na błękitno-krajobrazem, stołu i dwu krzeseł, nie było nic. Zdziwił ją brak fotografii. Pogłaskała dłonią ten jego biały, sosnowy, poplamiony, atramentem stół.

— Mieszka pan po spartańsku, ale kąpie się pan w słońcu.

— Jest także kilka lip, którym darowano życie przy parcelacji ogrodu.

— Kilka lip, jak na wsi! — ucieszyła się.

Stała w oknie, by posłuchać szumu jego drzew. Turkot wozów na bruku i krakanie kaweł głużyły cichy szept rozłożystych lip. Łagodnie w gorącym słońcu upalnego dnia wrześniowego kołysały się żółknące gałęzie, spływał z nich od czasu na grzędy warzyw suchy liść. Skrzczała na płocie białoczarna sroka, motyle fruwały dokoła wysokich przekwitających białych malw. Była tam ławka bez oparcia niska, wąska, na dwie osoby i u końca ścieżki parterowy nietynkowany z cegły domek z brzydką nowożytną werandą. Dwoje dzieci bawiło się z kotem w piasku koło kosza z bielizną. Tak wymarzyła sobie przyszłość. Mały, tonący w kwiatkach dom w głębi ogrodu, dzieci, ciche szczęście zdala od świata i złości ludzkiej, od burz i walk. Jak łatwo mogło to się stać, jak łatwo! Stłumiła westchnienie i podeszła do stołu

Siedział tam jeszcze, pogrążony w zadumie z pochyloną głową. Śliczne, młodzieńcze włosy, które tak lubiła, opadły mu na czoło. Wraz

z myślą o tem, że ona odjedzie, on zaś zostanie tu, i wszystko będzie jak było, ogarnęła go nuda, obmierzła, gnuśna, dławiąca nuda, z którą trudniej było dać sobie rady niż z cierpieniem

Pieszczotliwem dotknięciem zbudziła go z zadumy.

— Dlaczego pan nie wejdzie na drogę sądową i nie ściga oszczerców? — odezwała się nieśmiało, starając się dosłownie powtórzyć zarzut Choroszewskiego.

— Jakich oszczerców?

— Czyżby pan nie czytał w gazetach?

— Ach, w gazetach! Czytałem, proszę pani.

— I pan się tem nie przejmuje?

— Bynajmniej. Podałem dwa razy sprostowanie do pism — odparł opryskliwie.

— Ach, jaki nadąsany! — zaśmiała się i gotowa była uściskać go za te jego dziecinne dąsy i przede wszystkim za lekceważenie, z jakim zbywał potworne oskarżenia Choroszewskiego. Teraz nareszcie uwierzyła, że był niewinny. Uczyniło się jej lekko na sercu. Zaczęła wypytywać go o jego zajęcia, projekty, stosunki miejscowe i ludzi.

Dawał krótkie, suche odpowiedzi.

— Tak pan o tem wszystkim mówi, jak gdyby już zniechęcił się do swojej pracy.

— Tak, zniechęciłem się, bo trzeba przestać grzebać się w sobie i stanął nareszcie do pracy w szeregu na szarym końcu.

— Dlaczego koniecznie na szarym końcu? Niech pan będzie pierwszy! Pan potrafi, jeżeli zechce — oczy jej zabłysły.

— Zresztą, gdybym nawet został pierwszym,

wówczas także będzie nie to... pani wie najlepiej... Przekonałem się, że nie to...

— Wyjeżdża pan tedy? — zmieniła temat — oczywiście tu jest za małe pole do działania.

— Pola wszędzie jest dosyć, ale chcę być tam, gdzie pani, jeżeli pani nie zostanie tu. Spodziewam się, że pani pozbyła się wreszcie swoich przedpotopowych przesądów i pedantyzmu — szorstko powiedział.

Spojrzała na jego suche nerwowe ręce i nie rzekła nic.

— Chodźmy panie! — zawołała po chwili — pokaże mi pan wszystkie osobliwości swojej stolicy.

Wybrali się do parku niebrukowaną ulicą, na której wiatr zrywał tumany kurzu, następnie brzegiem rzeki. Chmurzyło się, było gorąco. W drodze do parku spytała, czy często pisuje do matki, a gdy przyznał się, że nie pisuje zupełnie, palnęła całe kazanie.

— Jesteśmy zanadto do siebie podobni. Oboje mamy płonące mózgi i zimne serca — ogólnikowo zauważył.

— I serca są także gorące, ale oboje wstydzicie się uczucia. Gdyby pan zechciał trochę popracować nad sobą, czasami ustąpił i na początek wyrzekł się placów, o które matce pana tak chodzi.

Swatowskiej sprawy nie chciała na razie poruszyć.

Gdy tłumaczył jej, dlaczego postanowił pozbyć się placów, dlaczego nie może stać się lepszym i, zabrnawszy w jakieś zanadto mądre porównanie, przeciwstawiał prawdziwą,

szczero-złotą dobroć — alchemicznej, wypracowanej w sobie, słuchała plusku fal, które szczebiotliwie gwarzyły o czemś minionem niepowrotnie, nieistotnem a słodkiem i miłym jak dziecinne zabawy na łące nad rzeką w Siemieńczycach. Nie byłże to sen tylko? Alboż ona istniała wogóle, zanim jego poznała? A dziś jest ostatni ich dzień i odtąd już tylko smutek na tamtym brzegu.

Teraz on z kolei zadał jej tonem szyderczym mnóstwo pytań: czy zadowolona jest ze swego urzędowania, czy wprawiała się w kłapanie na maszynie i potrafiła stać się automatem? Czy nie wzięła ciężaru nad siły i czy nie żał jej wygodnego próżniactwa, wreszcie w imię czego lub dla kogo zrobiła tak wielką ofiarę.

Dawała odpowiedzi wymijające. Pokazała mu krótko ostrzyżone paznokcie, palce zmarnowane od pisania na maszynie, mówiła o groźnej panie Konstancji i pięknym łysym dyrektorze, który napewno skończy samobójstwem i rujnującej go słynnej dyrektorowej, o dzielnej panie Heli i jej narzeczonym. — Wkońcu tylko zaznaczyła, że nie ma zamiaru tkwić w banku do późnej starości, że znalazła bardziej użyteczne i żywe zajęcie w zapadłej mieścinie.

— I cóż pani da najbardziej użyteczne zajęcie? Praca i obowiązek to jeszcze nie pełnia istnienia, to jest papierowe życie.

Uklęka, by zerwać spóźnioną blado-niebieską cykorję. Chciała ukryć niespodziane roztkliwienie, które ją nagle rozstroiło.

— Tak, proszę pana, wiem, że praca i obowiązki nie wystarcza, ale gdzież są same rozkosze?

— Powiadają ludzie, że odtrącone szczęście mści się.

— O jednym trzeba pamiętać, że człowiek nie jest wielkiem ja, lecz małą osobą i że szczęście jego to sprawa podrzędna — tonem żartobliwym pouczyła.

— Cierpiętnictwo!

— Może być papierowe szczęście i żywe cierpienie.

— Zapewne, ale mimo to my bankrutujemy oboje.

Zatrzymała się.

— Jadąc tu, cieszyłam się na tych kilka dobrych godzin, a pan częstuje mnie bankrutem. I poco my wogóle tyle rozprawiamy?

— Dlaczego pani nie przyjechała wówczas do Tryczyna? — przerwał szorstko.

Zarumieniła się na wspomnienie dnia grzechu. Gdyby wówczas była zastała go, nie potrafiłaby się oprzeć...

Nasunęło się logiczne pytanie: jeżeli wówczas, dlaczego nie dziś? Tak, dlaczego nie dziś? Ani wówczas, ani dziś — przywołała siebie do porządku. Sprawa jest oddawna przesądzona, obiecała matce, nie będzie kułą u jego nogi, dziś jest ostatnie ich spotkanie, on znajdzie nowe szczęście, ona — spokój na tamtym brzegu.

— Przyjechałam do Tryczyna nazajutrz po otrzymaniu listu, który długo wędrował.

— A jakbym dziś prosił, żeby pani została? — szepnął biorąc ją za rękę.

Nie cofnęła mu ręki, podziękowała spojrzeniem i natychmiast spuściła oczy, bojąc się zwroku jego.

— A gdybym prosił, gdybym nie pozwolił jechać... — nalegał przysuwając się.

— Pokłoniłabym się nisko, powiedziałabym grzecznie: muszę.

— Co dzieli nas pani? Co stało między nami? Konwenanse i przesady? O co toczy się walka? Pani nie chce rozwodu, nie zmieni religji, ale poco rozwód i zmiana religji?

— Znadto jestem rozsądna i tchórzliwa — wyrwało się jej.

— Nareszcie pani zrozumiała i potępiła fałsz... — skoczył.

— Nie panie, nietylko konwenanse i rozszdek — poprawiła się — ale moja prawda.

Patrząc w zielone wody rzeki sprawdzała wartość onej prawdy, którą krzepiła siebie w Warszawie, która dziś w obliczu szczęścia, w gorącym słońcu kochania wydawała się znowu daleka i zimna. A jednak niema innej drogi... człowiek nie jest wielkiem ja... nie wróci do udzielnego księstwa...

— Nie prawda, ale fałsz, niewolnictwo, tchórzostwo! — wybuchnął.

— Pan nie chce zrozumieć siebie i mnie, chcę przejść przez życie uczciwie.

— Inaczej rozumiemy z panie uczciwość. Pani uczciwością nazywa bierne postępowanie, ja — szczerłość i odwagę...

— I co po tych wiecznych sporach, panie? Nie przekonam pana, pan jest bardzo mądry, ale za mną stoi kościół. I widzi pan, ja już jestem na tamtym brzegu.

— Jeden jest tylko brzeg, brzeg życia, ale pani woli uciec od życia.

Spoglądała w zadumie w zielone, wartkie, wesoło pluszczące na kamieniach nurty.

— Jadąc tu myślałam, że trzeba mi zejść z drogi pana... — odezwała się, przystępując, wreszcie do najważniejszej sprawy. — Zbyt długo trwa nasza tragedia — uśmiechnęła się. — Trzeba z nią skończyć, trzeba zamknąć nieudany rozdział i rozpocząć następny... Życie przed panem, nowe szczęście.

— Nowe szczęście — powtórzył gorzko.

— Matka pana chciałaby pana ożenić z panną Zulą. Jest to podobno skarb. Pan lubi ją, z lubienia rodzi się często w małżeństwie kochanie — mówiła bardzo swobodnie, jakgdyby namawiała go do kupna kamienicy, bo nie wierzyła w to małżeństwo.

— Dziękuję pani — mruknął zgryźliwie.

Ścieżka, biegnąca brzegiem rzeki, doprowadziła ich do wysokiego mostu bez poręczy. Z wielkim strachem i śmiechem przebiegła na drugą stronę, do parku. Gdy znaleźli się w młodej świerkowej alei, słońce wyjrzało z za chmury. Na drodze, którą szli, na złotym mchu po całym lesie, na pniach drzew rozpostarły się najcudniejsze smugi, pasma, błamy jasności. Nieśmiało na piasku zakotłosały się cienie gałęzi, zapachniało żywicą i suchym mchem, biełający nad wierzchołkiem ogromnej jodły rą-

bek śnieżnego obłoku tajał w gorącym lazurze.

— Panie, trzeba zataić dech i czekać... Coś się staje! może objawi się nam bóstwo? — szepnęła.

— Czekajmy pani! — odpowiedział również szepsem, ale drwiąco.

Zauważyła rój muszek. Przesunęła się myśl, że muszek, które płasają w słońcu, nie będzie jutro i jej tu nie będzie... Oczy spoczęły na młodej brzozie, która wystrzeliwszy ponad świerki kąpała w błękicie i słońcu uroczą lekkomyślną głowę.

— Pamięta pani? — wskazując trzęsącą się osinę nad rowem, przypomniał jej spacer moskiewskie.

Zdjęła kapelusz i mrużąc oczy, oglądała tamtą dawną w łunach wieczornych drogę, którą wybrali na spacer, bo szła na zachód, do Polski.

— I pani wciąż taka sama bojaźliwa?!

Zapomniawszy o pannie Zuli i bliskim wyjeździe, patrzyli sobie w oczy.

— Pani nie pojedzie dziś!

— Pan znowu dokucza...

„Zostać tu, umrzeć“... — westchnęło serce.

— Gdym otrzymał list, pani, sądziłem, że pani nareszcie wyleczyła się z dziwactw i przywidzeń.

— Nie mówmy już o tem, panie nigdy, nigdy... dobrze panie...

Przyspieszyła kroku. Po chwili jakgdyby zgadując jego myśli, skrzyła w kierunku Szarogrodu i na szosie zaraz spytała o murowany dom, który z głębi zapuszczonego ogrodu pa-

trzymał pustką wydartych okien, sterczał nagie-
mi żebrami krokwi.

— Szarogród — odpowiedział lakonicznie,
jak gdyby ta miejscowość była mu najzupełniej
obojętna.

Dziwiła się, że wszystko tu się waliło, że
wszystko zniszczyła wojna, mieszkańców daw-
no nie było, a z filarów ganku zwieszały się jak
za dawnych dobrych czasów czerwone warko-
cze dzikiego wina, i napis, zakazujący wstępu
niepowołanym, czerniał nieuszkodzony na bia-
łej tablicy... Mimo zakazu weszli przez bramę,
po której zostały dwa strzaskane do połowy słu-
py, i, minawszy dwór, zapuścili się w zdżiczale
szpalery, w wysokie cieniste aleje lipowe, gdzie
szeleściły pod stopami ich suche liście, i trwał
ciepły zapach próchna, jaki bywa w dziuplach,
dotarli do bagnistej łąki, przekopanej rowami,
nad którymi stały rzędem złociste wierzby,
wpatrzone w głęboką i ciemną wodę kanałów.
I naraz serce ścisnęło się z żalu. Przypomniały
się jej słoneczna, chłodna październikowa nie-
dziela, ostatni ich spacer, dwie nad stawem
szkarłatne osiny, z których północny wiatr zer-
wał niemal na oczach ich wszystkie liście. On
tego dnia odjechał... Dziś ona... To jest znowu
ostatni ich spacer. Poszli dalej. Okrążyli mo-
krą łąkę, wrócili do parku z przeciwnej strony
i znaleźli zaciszną w okołu lip altanę. Tkwił
w altanie słup od stołu i były na słupie dwa
wydłubane scyzorykiem serca. Wskazała na
owe dwa na spróchniałym słupie serca. Mil-
czał. Dotknęła lekko końcami zimnych palców
gorącej ręki jego, pogłaskała drogą rękę.

— Niechże pan nie będzie taki tragiczny!

Podniósł na nią wzrok, patrzył w oczy zuchwale, zakradł się w głąb jej myśli, dotarł do najtajniejszego zakątka pragnienia, spalił spojrzeniem ostatnią dzielącą ich zapórę, obronny jej dom, do którego schroniła się przed wolą jego. Obezwładniła ją słodka i grzeszna niemoc, zdjął ją lęk, prośba wybiegła na wargi i zamarła.

— Znowu pan gniewa się na mnie? — pokornie spytała.

Wziął ją w objęcia jak własność swoją. Zarzuciła mu ręce na szyję, przytuliła twarz do gorącego policzka, dała usta swoje i naraz, usłyszawszy jakby dalekie, dalekie wołanie, wyrwała się z objęć, poszła szybko aleją w stronę dworu.

„Nie, nie, nie! Dziś jest koniec... obiecała matce, nie będzie mu kulą u nogi, trzeba żeby zapomniał i zaczął nowe życie...”

Stała przed gankiem, ukryła palającą twarz i drżące usta w czerwonych splotach dzikiego wina i, zamknąwszy oczy, usiłowała sobie jeszcze raz przypomnieć jakby po powrocie do domu z dalekiej podróży dawną, bardzo dawną sprawę, tamte warszawskie wnioski, postanowienia, prawdy i wciąż z uporem powtarzała w myśli, że nie złamie mu życia. Kołyszące się gałęzie muskały ją łagodnie po twarzy. Drobnny suchy liść upadł jej na włosy. Przypomniała sobie wówczas, że zostawiła w altanie kapelusz. Wrócili po kapelusz, potem snuli się przed domem, który patrzył na nich pustką wydartych okien. Szła prędko i wciąż

jeszcze przyśpieszała kroku jak gdyby pragnęła uciec od niego. Milczeli oboje. Na trawniku przyskakiwały im z pod nóg koniki polne, krążyły dokoła błękitnych dryjakwi i rudobrodych szczawi białe motyle, fruwały z cichym chrzęstem przeźroczystych skrzydeł wielkie żółte szklarki, jedna usiadła mu na ramieniu, szpaki latały wesołemi chmarami, czasami siadały wszystkie razem na ziemi i przechadzały się po gazonie czarne wśród pożółkłej trawy.

— Ułożyłem sobie, że kupimy ten dwór, odbudujemy... — zaczął.

— Pan wciąż w kółko to samo. Zaczyna to zakrawać na manjactwo. — Skarciła go jak dziecko, ale sama o mało nie wybuchnęła płaczem.

— Dlaczego manjactwo?

— Bo pan wie, że nie potrafię być inną, niż jestem.

— Woli pani wzdychać do piękna, które przemawia z ruin, i przejść obok życia, które mogłoby być piękne i radosne.

— Czemuż to pan odsądza nas od piękna i radości? — zaśmiała się bez powodu. — Gdzież się podział spokój, opanowanie, równowaga? — strofowała siebie.

— Bo pełnia życia w szczęściu.

— Naprzykład, gdyby tu mieszkało szczęśliwe małżeństwo, gdyby trzepano dywany, suszyła się bielizna, wówczas byłaby pełnia i zdrowie? — zażartowała, choć długie cienie drzew na łące i gwizd pociągu przypomniwały jej, że zbliża się wieczór i czas odjazdu. Pożegnała spojrzeniem góry, sine na szczytach lasy i znowu odczuła tęsknotę do śmierci. „Umrzeć

znaczy osiąść na zawsze, osiąść najpełniej. Inni myślą o życiu, nie o umieraniu...”

— Czas mi na pociąg, proszę pana! — wróciła do rzeczywistości i poszła naprzód prędko.

— Tak niedawno tą samą drogą pędziliśmy, spiesząc bez powodu, popołudnie wydawało się długie i już go niema!

Milczał.

— Bardzo pan gniewa się na mnie? — tłumiąc łzy, zaśmiała się.

— Pani nazywa to gniewem?

Zatrzymała się, objęła wzrokiem miasto, dalekie, spokojne, szczęśliwe. POCO jechać? Mogłaby tu zostać, zamieszkać w białej willi na wzgórzu, gdzie pała się w słońcu okna... Znalazło by się użyteczne zajęcie. Byłoby życie... nie wygnanie i wieczna żaloba. Już miała spytać o pracę w ochronie, lecz wstrzymała się w porę. Nie poto przybyła tu dziś, by tkwić u jego boku, trzymać go przy sobie w sidłach, przeszkadzać mu w budowaniu nowego życia... Kochanką jego nie zostanie... Trzeba, żeby ożenił się z tą Zulą, która jest skarbem...

Pustym chodnikiem szła naprzeciw krygując się, wymachując zieloną parasolką, niska i tęga blondyna bez kapelusza w krótkiej sukni z seledynowego jedwabiu. Mijając ich, zielona pani zwolniła kroku i uśmiechnęła się do Andrzeja, ją zaś obejrzała od stóp do głów fachowym spojrzeniem krawcowej w magazynie mód...

Andrzej pilnie przyglądał się wystawom sklepowym, po chwili wahania uklonił się, ale niezbyt uprzejmie i zarumienił się po uszy.

— Panie Jędrku! — zawołała dama — proszę na momencik.

Poszedł niechętnie i wnet wrócił.

— Do dwunastej w niedzielę, dziś wieczorem koniecznie — doleciały urywki rozmowy.

„Tres commune“ — określiła po francusku elegantkę. — Pani Oktawja! — strzeliło jej naraz.

„Jaka ordynarna“! — z ulgą pomyślał jednocześnie Andrzej.

Byli zakłopotani. Milczeli. Zabrakło im naraz tematu do rozmowy. Dopiero kiedy wszystkie uliczki i zaułki zapełniła chmara żydów biegnących z wielkim gwałtem jak na pożar, spytała go o przyczynę zbiegowiska. Nie umiał jej tego wytłumaczyć. Szli tedy dalej w milczeniu śródkiem ulicy, spiesząc pospołu z hałaśliwym tłumem.

Na dworcu także kotłowała się już czarna szwargocąca rzesza synów Izraela, których ściągnęła tu, jak ich poinformowano, wiadomość o przejeździe wracającego z wód zagranicznych cadyka - cudotwórca. Wszystkie poczekalnie i przejścia, cały peron zapchane były zgietkliwą ciżbą chałaciarzy. Do pociągu było dużo czasu. Stali cierpliwie w tłoku, zamieniając od czasu do czasu obojętne i zbyteczne słowa. Zwróciła jego uwagę na garbatego wyrostka z kręconemi, pejsami, który, nie mogąc przecisnąć się przez tłum, szłochał z rozpaczą i wymachiwał nad głowami tłoczącej się gromady długimi ramionami, poznała jednego z owych patryjarchów, którzy skakali sobie do oczu na rynku. Teraz stał spokojnie, targając

brudnymi palcami zieloną brodę. Spoglądali od czasu do czasu na zegar stacyjny, niepokoili się o rzeczy, zostawione u niemowy, którego dotąd nie było. Gdy poszedł, by go odszukać, usiadła na poręczu ławki obok baby z ogromnym tobołem, usiłowała przywołać na pomoc roztropne, spokojne, szlachetne myśli, któremi zwalczała pokusę zakazanego szczęścia w Warszawie. Ale były od niej daleko, jak wierzchołki wysokich topoli, kołyszące się w bladym niebie wieczornem nad stromym czerwonym dachem budynku stacyjnego. Trawiła ją obmierzła, nędzna, głupia zadrość, paliło wstydem poczucie śmieszności. Pogodziła się z tem, że rozdzielił ich Kościół, prawo Chrystusowe, przyjechała tu, by złożyć wspaniałomyślnie ofiarę ze swego kochania, tymczasem pokazało się, że on od dawna rzucił ją dla ordynarnej prowincjonalnej lwicy. Dla niej były wzniosłe rozprawy o realizacji, o prawdziwym kochaniu i prawie do szczęścia, dla tamtej — pieszczoty. Poco przyjeżdżała tu i poco był ten dzień radości? Czy po to, aby dowiedziała się, że on należy już do innej. A jednak nie odda go nikomu! Do niej musi należeć. Ale jeżeli on woli panią Oktawję? A jednak do niej będzie należał — powtarzała w myśli z uporem, jak dziecko, z gniewu potrząsając splecionymi na torobce rękami. Kruchą okazała się jej cnota, postanowienia i zasady, i pozą — jego nieskazitelna prawość i czystość. Niema różnicy między nim i Józkiem. Józek przynajmniej otwarcie... Dlaczego on udawał i kłamał? Ach jakże go nienawidziała w tej chwili, jak zadrościła tam-

tej, że została jego kochanką! Chciałaby nie być już tu, nie widzieć go nigdy i jednocześnie chciałaby zabrać go tej, której zadrościła, że została jego kochanką. Może nie jechać dziś? Zatrzymywał, nalegał, pogniewał się nawet. Czyżby i to było komedją? Zatrzymywał, bo wiedział, że odmówi, teraz chciałby już pozbyć się jej... Sam poszedł po rzeczy. Wszystko było komedją! Wszędzie była odraza i fałsz! Wolny jest — próbowała przemówić do rozsądku... Sama zerwała z nim i oddaliła go od siebie, miał prawo dobrać sobie towarzyszkę rozpusty jak inni mężczyźni. Zapewne, ale dlaczego kłamał dziś i oszukiwał, udawał miłość przed nią? — oburzała się znowu... A gdy wrócił z kuferkiem, patrzyła mu w usta, myśląc o pocałunkach, które składał na wargach tamtej. Oznajmiła mu, że w powrocie ze Lwowa zatrzyma się w Krakowie dla widzenia się z ciężko chorym profesorem, poczem dodała, że profesor napewno ucieszyłby się bardzo, gdyby i on zechciał go odwiedzić. Puścił to jej zaproszenie mimo uszu.

— Chałaciarze spodziewają się cudu — odezwał się po chwili i urwał zmieszany jej wzrokiem.

— Dlaczego pan nie jest ze mną szczerzy?

— W czym pani widzi moją nieszczerłość?

Nie odpowiedziała na pytanie. Bała się, że rozplacze się albo wybuchnie stekiem grubiańskich słów. Poszukała spojrzeniem dalekich wierzchołków topoli. Zdało się jej, że obwiał ją szelest srebrnych liści, które w dalekiej wyżynie bladego, przejrzystego nieba szeptały nad

tem hałaśliwym zbiegowiskiem ludzkim jakieś niepojęte wzniosłe słowa o wiecznym spokoju i nieziemskim szczęściu. Niegdyś, niegdyś w Łazienkach w czerwcowe popołudnie — hymn upojenia, cudne strofy rozkwitłych patających drzew, święto powrotu... Jakież głupiem była wówczas dzieckiem!

— Bawi w tych stronach pani Głowska — poruszył inny temat.

— Niechże jej pan powie, że „kat“ grasuje w Polsce.

I znowu zapadło milczenie. Nie spuszczała z niego urągliwych oczu.

— Dlaczego pan nie jest ze mną szczerzy?

— Bo pani zamknęła mi usta, bo pani boi się prawdy.

— Niechże ją pan powie!

— Pani ją zna.

— Tę dawną?!

W tej chwili portjer otworzył przejście na peron. Tłum zakołysał się, wzburzył, rzucił się z wrzaskiem, piskiem, skomleniem na spotkanie sunącej lokomotywy.

W półotwartem oknie wagonu sypialnego ukazała się zgarbiona postać starca z długą brodą, w czarnym płaskim o szerokich brzegach kapeluszu. Tłum powitał cudotwórcę zawodzącem skowytaniem, z tłumu podniosły się tysiące rąk, zerwały się krótkie szlochania i jęki.. Starca, brodata głowa tkwiła nieruchomo w oknie, senne oczy zdawało się, nie widziały miotającej się na peronie ciżby.

Z trudem torując sobie drogę w ścisku, Inia posuwała się za niemową, który niósł jej ku-

ferki. Nie doczekają się cudu. Wrócą do nędzy, do niedoli... Ona zamiast cudu... doczekała się fałszu i zdrady. Zamiast cudu — nikczemność i fałsz, niedola i nędza — powtarzała, pełna odrazy do hałaśliwego motłochu, do siebie, do niego... Kotłująca się dokola sleepingu chałato-wa rzesza wybuchła znowu namiętne zawo-dzeniem. Pociąg drgnął i znieruchomiał na mgnienie, drgnął znowu, wreszcie potoczył się gładko. Garść wyrostków puściła się w pogoń za sunącym coraz szybciej wozem, w którego oknie tkwiła senna głowa zgarbionego starca. Z tysiąca piersi wyrwał się jęk. Jakaś pani powiewała chusteczką. „Felek, bądź zdrów“! — wołał sympatyczny głos...

Jej nie było już w oknie.

Zgiełkliwy i natłoczony peron w jednym oka mgnieniu zaległa cisza. Zostali tylko we dwu z niemową. Ten pomrukiwaniem, śmiechem, rękami usiłował coś wytłomaczyć. Domyślił się o co chodzi niemowie i, wsunawszy mu do ręki napiwek, o którym w pośpiechu zapomnia-ła podróżna, ruszył do wyjścia. Gdy szedł ze spuszczoną głową przez plac, zdawało mu się, że z pomiędzy kamieni nierównego bruku wy-bałuszają się na niego szydercze ślepie. Życie zadrwiło z niego tak okrutnie i niespodziewa-nie, że wciąż trwało w nim tępe osłupienie, z którym patrzył przed chwilą na oddalający się pociąg. Nie mógł zrozumieć ani pogodzić się z tem, że odjechała na zawsze. Wydawało mu się do ostatniej chwili poprostu niemożli-wem, by ona znowu rzuciła mu w twarz kate-chizmem! Wczoraj wielkimi krokami z gwiaz-

dy na gwiazdy po szczęście. Dziś zostały mu z tego całego szczęścia tylko — jej, białe, zbrukane od kurzu wagonowego rękawiczki...

Podniósł wzrok na wysokie topole za torem kolejowym, dalekie, obojętne zimne na tle czystego wieczornego nieba.

Co było bardziej nierozsądne: wczorajsze sny o szczęściu, czy dzisiejsza rozpacz. Jedno i drugie nie miało najmniejszego sensu... Zbyt długo budowało się zamki na lodzie... Dość metafizyki!... Zabrać się do pracy, żyć w prawdzie — wysilał się na stoicki spokój. — *Life is more than happiness*. Tak, ale kto żąda od nich ofiary? W imię czego mają cierpieć oboje? W imię przesądów i przestarzałych przepisów kościelnych! Niechże mu ksiądz Ciszak wytłumaczy, dlaczego złożona lekkomyślnie przed ołtarzem przysięga ma wiązać na zawsze dwoje obojętnych sobie ludzi, z których jedno od dawna złamało przysięgę wierności. Dlaczego, jeżeli miłość ma być celem i fundamentem małżeństwa, Kościół nie dopuszcza rozwodu tam, zamiast miłości jest niechęć, zdrada i cierpienie. I skąd owe coraz częstsze mimo nierozzerwalności małżeństwa rozwody?

Skręcił w stronę plebanji, żeby dziś jeszcze na gorąco zgniebić nowym aktem oskarżenia sługę Kościoła i wyrwać z niego sekret onych wykrętnych sposobów zdobycia rozwodu, ale po chwili zwolnił kroku. Przyszło mu na myśl, nie po raz pierwszy zresztą, że nie ona jest w błędzie, ale on, że jej upór był realizacją prawdy. Zresztą skąd pewność, że jej zależy na rozwodzie? Może poznała się na jego

uczuciu i wszystko zważyła rozsądnie? Bo co on ofiarował pani z wielkiego świata, przyzwyczajonej do bogactwa, do hołdów i uciech? Ani nazwiska, ani złota, ani stanowiska. Skąpe i zimne serce. I same tylko morały.

Niechby morały skierował pod własnym adresem. Bo z filisterskiem gniazdkiem szczęścia wypada zaczekać. Kto zakłada stowarzyszenie bojowników o sprawiedliwość i żąda od stowarzyszonych realizacji ideału, winien wytrwać w walce o prawdę. Ale co po jego walce i prawdzie?! Świat słucha dziś innych wodzów, żąda innych haseł. Jego prawdy wydają się ludziom echem dawno zamarłych wierzeń i potrzeb. Wyśniony w ohydnych latach wojny i rewolucji sen o wielkiej przebudowie świata okazał się naiwną mrzonką. Nie nadeszły jeszcze te czasy, i nie jemu jest sądzonem być tych czasów zwiastunem. Jego miejsce — w posłusznym szeregu na szarym końcu. Niechże się zacznie nareszcie praca. Suliński trafnie nazwał to jego szukanie prawdy i wartości istnienia ucieczką od życia... Wojsko, biuro... trochę odczytów i listów otwartych, wyprawa krzyżowa na prowincję — robił rachunek sumienia, patrząc na dalekie ognie rafinerji, która błysnęła nagle tysiącem wesołych oczu. Lubił tę pierwszą wieczorną godzinę, gdy nad miastem płonie zachodnie niebo i rumienią się lekkie wędrowne obłoki, a wśród jasnych jeszcze ulic zapalają się białe latarnie. Ileż to lat, ileż to już lat temu w Paryżu codziennie o tej godzinie z bibjoteki długą, wąską ciemną ulicą Richelieu z głową pełną gotowych do

druku genialnych artykułów, które miały rozślawić imię jego w Europie! — odżyły wspomnienia. Zapakuje dziś jeszcze ten sam żółty, wklęsnięty kuferek i z zadymionego pełnego obcych ludzi wagonu będzie patrzył na uciekające pola ojczyste. Nic go tu nie trzyma, zwolniono go ze służby, dostał od społeczeństwa bezterminowy urlop. Okazało się, że nie ma dla niego miejsca. Nie będzie narzucać się społeczeństwu apostołstwem, którego nikt nie chce. Cóż go obchodzi, że ludzie nie widzą, nie rozumieją, nie słyszą... Wolno mu żyć dla siebie, wyłącznie dla siebie. Ale czym zapełni to życie „wyłącznie dla siebie“! Turystyką i metafizyką?... Turystyka i metafizyka? Dlaczego nie zatrzymał jej? — porwał go nagle żal jak płacz — dlaczego pozwolił jechać? Czemuż nie wskoczył do pociągu, czemu nie pojechał za nią? — powtarzał i chciałby głową bić o czerwone mury mijanego właśnie gmachu sądu. I czemu nie uspokoił drogiego rozgniewanego dziecka?!... do głosu nie dopuściła, zaciskała pięści, tupała nogami z pasji jak dziecko — wspominał z rozczeniem. Naraz wykwintnie ubrany pan w brązowym raglanie i brązowym kapeluszu położył mu poufale rękę na ramieniu.

— Błąkam się tu od rana, nigdzie znajomej duszy! Nareszcie pan. Ja pana już gdzieś spotkałem, ale tylko narazie nie wiem, kiedy i gdzie? — przechodzień patrzył zgaszonym wzrokiem.

Andrzej natomiast odrazu poznał po głosie, po akcencie rosyjskim głośnego w Moskwie

działacza, z którego osobą związane były różne niezbyt zaszczytne wspomnienia, lecz jakoś nie mógł przypomnieć sobie jego nazwiska.

— Acha już wiem! Ukrywała pana u siebie piękna pani Padniewska, potem widzieliśmy się w Kostromie. Dziwię się, że pana nie rozstrzelano za zdradę i dezercję, za szpiegostwo na rzecz Austrii.

— Nie było zdrady ani szpiegostwa — sprostował Andrzej.

— Mniejsza o to. Dziś ja potrzebuję pomocy. Musimy rozmówić się. Może pan wstąpić do mnie?...

— Jestem do usług — zgodził się niechętnie.

Nieznajomy zaprowadził go do pierwszorzędnego w tej mieścinie hotelu. Całą niemal przestrzeń najokazalszego numeru zajmowały dwa szerokie łóżka z mahoni, zupełnie nowe, pachnące świeżą politurą. Na jednym z nich spał biały kot zwinięty w kłębek, zasłonięte ażurową firanką okna wychodziły na podwórze i drewnianą biegnącą wzdłuż kamienicy galerję, na której swawoliły bachory właściciela.

W sąsiednim pokoju ktoś chrapał. Gospodarz usiadł na kanapie koło stołu, na którym rozłożone były wykwintne przybory podróżne, i jakby zapomniawszy naraz o gościu, odpoczywał. Po chwili zjawiała się niska, tęga dziewczyna w lakierkach na bosych nogach i wyłazłszy na krzeszło, zaświeciła wiszącą lampę. Obaj panowie milczeli, zajęci, rzekłbyś, śledzeniem tych czynności. Na widok gołych nóg

służącej, białych i grubych jak u pani Oktawji tydek, zaniepokoiło Andrzeja przypomnienie listu pani aptekarzowej, który tkwił w kieszeni nie otwarty. „Utopić tęsknotę w rozpuszcie, wyleczyć się z sentymentalnych marzeń, które lęgną się w mózgu ascetycznych młodzieńców, stać się zadowoloną świnią jak inni, żyć normalnem zdrowem życiem“ — znęcał się nad niedotęgą-romantykiem.

— Czy pan gdzie spieszy? — padło pytanie.

— Nie spieszę nigdzie.

„Doktór Mojkin“, zabłysło wraz ze światłem lampy w pamięci Andrzeja. Przypomniały mu się dokładnie dawne dzieje i sprawy, zawziętość tego jegomościa na Austrię i legjony, aresztowanie Głowskiej za ukrywanie legjonisty i zbiega-jeńca, — uprowadzenie Hani, paniczny strach i zgrozę, którą w Ini budziła osoba Mojkina, zwanego przez nią katem, wreszcie krążące wśród kolonji polskiej w Moskwie fantastyczne, wyjęte, zda się, z kryminalnego romansu opowieści o niezwykłych zagadkowego doktora przygodach, o bogactwie, zasługach, rozumie i dziwactwach wolnościowego działacza. Narzucało się pytanie, skąd się wziął w Polsce i poco tu przybył.

Obecnie „kat“ siedział posepny, osowiały, patrzył nieruchomym wzrokiem w drzwi, za którymi ktoś chrapał.

— Dużo krwi upłynęło od ostatniego naszego spotkania — odezwał się Andrzej.

— Dużo!... Wy macie już Polskę. Czyście bardzo z ojczyzny swojej radzi i dumni? Miała

być Chrystusem narodów, dziś — militaryzm, sądy doraźne, ucisk mniejszości, imperjalizm.

— W każdym razie nie mamy potrzeby emigrować z naszej ojczyzny jak pańscy rodacy. Czy pan także przybył tu w roli emigranta?

— Chciałby pan oddać mnie w ręce władz? I to jest polska gościnność! Papiery i wizy, proszę pana, mam w porządku. Możemy spokojnie pogadać. Doskonale zabawiłem się niegdyś w towarzystwie pana. Dużo rzeczy widziałem i słyszałem na świecie, ale dyskusja pana z Chejficem utkwiała mi w pamięci. Poniosło pana wówczas! Zachował pan jeszcze swój chaotyczny, mistyczo-nacjonalistyczny program i kocha zawsze nieboszczkę Austrię? — powoli mówił Mojłkin, a zgaszone oczy jego patrzyły wciąż w drzwi, za którymi rozlegało się chrapanie.

— Niepotrzebnie trzodzi się pan wywlekaniami moich bredni.

— Niepotrzebnie! Brednie! Już pan stracił młodzieńczą wiarę! A ja się pysznie wówczas bawiłem. Z jednej strony — Chejfic, tępy fanatyk ścisłości, miary, wagi i liczby, naiwny doktryner, ograniczony marksista, z drugiej narwany entuzjasta, mistyk - nacjonalista, egzaltowany cierpiętnik... Zamierzał pan nawet za przykładem Jozuego wyczynić cud ze słońcem wśród pochmurnej księżycowej nocy... — Bóg nie poparł swego wyznawcy, słońce nie pokazało się, blamaż był, klapa, wsypa...

— Tak jest, na całej linii, wówczas i potem... Ale mimo tej mojej wsypy dzieją się cuda

i ludzkość zapewne wróci do Boga — pobieżnie zauważył Szydłowski.

— O jakim pan Bogu mówi? — mruknął Mojkin.

— Jeden jest Bóg.

— Ponieważ pan w Niego wierzy, należało zostać w Rosji i ponieść tam śmierć męczeńską za wiarę.

Błada twarz Andrzeja pokryła się rumieńcem.

— Namnoży się znowu popów, ale Boga niestety, nigdy nie będzie — ciągnął dalej Mojkin — Starego, dobrego Boga, który troszczył się o lilje i ptaki...

Andrzej nie podtrzymał rozmowy, która wydawała mu się zbyteczna.

— Milczy pan!... Gdzież dawny zapal? Niema pan dziś dostatecznego szwungu i fajeru. Mniejsza o to. Nie przyjechałem do Polski dla rozprawiania o Bogu. Chcę się tu ożenić i właśnie z krewną profesora i pana, z matką Hani, z panią Głowską. Potrzebna mi pomoc pana — Mojkin urwał, czekał na uprzejme słowa gościa.

— Prosiłem wpierw panią Padniewską o pośrednictwo, ale odmówiła mi... liczę więc na pana — doktor znowu czekał na uprzejme słowo.

— To znaczy, że pan wyznaczył mi rolę swata — burknął Szydłowski — ja także nie podejmuję się tej misji.

— Posiadam duży majątek. Rozwód w Rzymie jest, jak wiadomo, kwestją pieniędzy. Rozwód otworzy kuzynce pana drogę do wszelkich rozkoszy.

— Niechże pan sobie sam kupuje rozwód i rękę swojej niebogi!

Za ścianą gość przestał nagle chrapać. Obaj panowie jednocześnie spojrzeli w drzwi, jak-gdyby zaniepokojeni niespodziewaną ciszą. — Kiedy rozległo się znowu chrapanie, Mojkin rzekł:

— Pani Głowska jest dziwnie głupia i działa mi na nerwy. Nie kocham się w niej, szukam Hani. Hania jedna może mi dać radość i życie i dom...

Szydłowski puścił mimo uszu sentymentalne nastrojowe słowa „kata“.

— Chcę, by zaśmiały się do mnie jej oczy niebieskie — zwierzał się dalej Mojkin — by wyciągnęły się szczupłe dziecinne ramiona, żeby mi położyła głowę na piersi. Od trzech lat gonię i nie mogę jej znaleźć.

— Pławił się pan w uciechach do przesy-tu, dziś szuka nowych dreszczów — rąbnął Andrzej.

— Pan oczywiście z tej beczki. Pan nawet nie rozumie, a sądziłem, że właśnie pan, jako mastyk.

— Rozumiem aż nadto dobrze.

— Może jednak niezupełnie. Pan jest bardzo młody, młodość jest samolubna i żarłoczna, młodość siedzi nad pełnym talerzem i żre. — U mnie — ani talerza ani zębów! Ot, panie do czego przyszło — dobrodusznie ubolewał — straciłem apetyt do życia...

Andrzej poraz pierwszy uważnie przyjrzał się Mojkinowi. Ten budzący w Ini strach i od-ragę „kat“ nie wyglądał na oprawcę, ale raczej

na dyrektora wielkiego przemysłowego koncernu lub banku, uderzało w nim wszakże coś szczególnego, czego Andrzej nie umiał narazie określić. Nie zestarzał się ani zmienił się. Zachował spokój i pewność siebie, ton był ten sam, przyjacielsko poufały, lekko szyderczy i pobłażliwy, tylko rozumne oczy może przygasty mu nieco i straciły wyraz. Były martwe jak lustro.

— Co pana trapi? — spytał bez współczucia.

— Nic mi nie jest i niczego mi nie brak — odparł — ale oddaliła się odemnie jedyna uciecha życia — miłość i nie mam nigdzie domu.

Szydłowski spojrział ze zdziwieniem na tego zasłużonego podobno weterana walk wolnościowych, który wygadywał dziś herezje. Nie robił wszakże wrażenia człowieka wytrąconego z równowagi. Siedział ciężki, ogromny pod niskim sufitem i obojętnymi oczami patrzył w drzwi.

— Król stworzenia odda szczęście ludzkości za jeden pocałunek pożądaných ust, za samą rozkosz pożądania. Używaj idealisto, póki czas, póki masz apetyt i zdrowe zęby. Gdy zajdzie słońce miłości, niema już rozkoszy i niema rozpaczy, złudzeń, nadziei, niema piękna, barw, woni, śpiewu i niema braterstwa ani zespolenia. Pan jako idealista, oburzy się dziś, ale przekonasz się kiedyś na własnej skórze.

Wyjął ze skózanego, czerwonego pudełka dwie talje kart i zaczął kłaść pasjans, śpiesznie bez zastanowienia rzucając kartami.

— Bojował dawniej człowiek i kochał się, leciał na skrzydłach marzenia, tęsknoty nadziei,

czy jak tam plotą poeci, dziś nigdzie nie śpieszę, na nic nie czekam, dziś czas mój nie mija. Wszystko zatrzymało się. Byłem entuzjastą nauki, postępu, świetlanego jutra, wierzyłem w nowego człowieka. Rosja pokazała nam to jutro.

— Każdy wykolejeniec ogłasza bankructwo rozumu ludzkiego i wiedzy.

— Trafieś jak kulą w płot, łaskawy młodzieńcze. Pociąg toczy się gładko po „rełсах“. Nie znam przesytu ni nudy, trzymam rękę na pulsie. Pędzę czynne życie. Znają moje imię w Genewie, w Paryżu, w New Yorku, nawet tu w Zagłębiu naftowem — wyliczał sapiąc. — W gazetach stawiają mnie wciąż za przykład bogaczom - samolubom. Walczę z militaryzmem, z rakiem, z alkoholizmem, gruźlicą i prostytutcją, z bezrobociem, pauperyzacją, przeludnieniem.

— I poco pan zadaje sobie tyle trudu?

— A poco automat wyrzuca bilety peronowe? Przez trzydzieści lat troszczyłem się o ideały wszechludzkie, bojowałem o prawa człowieka, ale nie starczy skóra za wyprawę — przetłómaczył rosyjskie przysłowie. — Jedna świnią czy milion świń, zawsze będzie świństwo. Człowiek jest wieprzem, ale ludzkość ma być boską, ot tobie i zagadka! — Może pan rozwiąże?

— Napychał pan kieszenie złotem — wybuchł nagle Andrzej. Błagą i bluffem, były wolnościowe programy, rewolucyjna działalność, filantropja. Takie jest rozwiązanie zagadki.

— Słusznie. Błagą i bluffem było moje wszechludzkie filantropijne życie — skwapliwie zgodził się Mojkin — człowiek może kochać tylko Boga i siebie. Boga niema.

— Panu jednak to Imię nie schodzi z ust.

— Z nałogu, szlachetny zapaleńcze. Kto pół życia strawił w kościele... Trzeba panu bowiem wiedzieć, że byłem księdzem.

Nastąpiła cisza. Andrzeja coraz bardziej niecierpliwie rosyjskie rozwlekłe gadulstwo tego zużytego bumlera - filozofa, który kładąc pasjans poruszył sprawy zasadnicze, grzebał w duszy ludzkiej jak w śmietniku, wypowiadał niektóre własne jego myśli i wątpliwości. Te własne jego wątpliwości i myśli w ustach Mojkina wydawały mu się płytkimi, ale osoba ex-księdza działała na niego gnębiąco.

— Kochaj Boga jak siebie samego — odezwał się ex-ksiądz, zbierając karty — ale przede wszystkim poznaj, że jesteś świnią.

— Z czegoż u pana naraz taka jasnowidząca pokora?

— Z zakłamania.

Zaległo milczenie. Galerją za oknem przebiegły dzieci, w sąsiednim pokoju zatrzeszczało łóżko pod śpiącym gościem, który przestał chrapać.

— Mało kto może pochwalić się tak bogatą skalą doświadczeń religijnych — ciągnął dalej Mojkin. — Zrzuciłem suknię duchowną, daleką i karkołomną odbyłem drogę... odważyłem się zedrzyć zasłonę. Zajrzałem na tamtą stronę kłamstwa.

— I pan zupełnie pewny jest, że Boga niema.

— Tak jest, młodzieńcze, bo On przestał być ludziom potrzebny.

— Boga niema, w człowieka pan nie wierzy. Cóż tedy jest? — tonem podrażnionym spytał Andrzej.

— Dużo blagi i bluffu, jak pan trafnie się wyraził, nuda bytu, człowiek - bydlę.

— I jedno wielkie więzienie — dorzucił Szydłowski.

Obojętne oczy spojrzały z nad pasjansu...

— Jak niegdyś w raju. Sam Bóg pomyślał świat jako wielkie więzienie...

Andrzej oparł pięści na stole, pochylił się nad kartami. Jakże łatwo było jednym mocnym słowem przekreślić rozwlekłe gadulstwo ospałego cynika. Drwiny rozpartego na kanapie bydlęcia nie były ani dowcipne ani oryginalne, a jednak doznawał wrażenia, że obrzydliwy szyderca zdmuchnął w nim ostatni słabo tlejący w duszy płomyk. Nie mógłby dziś zawołać, jak niegdyś w sporze z tępym doktrynerem Chejficem, że jest Bóg, że dzieją się cuda, jest Piękno, Dobro, Prawda!... Gdzież się podziała jego wiara?

— Co pan taki nasepiony? — odezwał się znowu Mojkin, pomieszawszy karty.

— Chce pan koniecznie, aby był Bóg. Uprzątnęło się ponurego Boga cierpienia. Ludzkość stała się starem, rozumnym dzieckiem i tego nie da się odrobić. Boga się już nie wzmówi w ludzi. Syn Człowieczy, gdyby urodził się poraz drugi, nie pociągnąłby za sobą rzesz. Zresztą nic się nie zepsuło, mój panie... Urządzi się higienicznie więzienia, będą w nich kwitły

nauka i sztuka, postęp, będą znakomite wynalazki, wymyślą jakieś nowe elektrony, wynajdą zarazek raka... Najtrudniej podobno stworzyć radość — Mojkin zepchnął ze stołu kota, który wskoczył na rozłożone karty i ciągnął dalej. — Stare rozumne dzieci nie umieją się bawić. Może eugenika, sporty i nie krępowane głupiami przepisami życie płciowe przywrócą weselość człowiekowi. Pewien mistyk, zamknięty przez rodzinę w Zakładzie dla obłąkanych tłumaczył mi przed laty, że Pan jest źródłem wszelkiej radości, że niema bez Niego radości i życia. Ale kto jest Panem? Bóg cierpienia i pokory czy Lucyfer, patron powodzenia i uciech, wytrwałej pracy człowieka na ziemi, zwycięstwa nad przyrodą, zuchwałych badań. Spędziłem ja nie mało czasu w Jego przybytkach i zszedłem na psy.

— POCO ten długi wykład?..

— Spodziewam się jakiejs recepty. Pan miał dawniej dużo zapału i wiary, bardzo szlachetne plany. Pragnąłbym odzyskać apetyt do życia, a także szacunek i wiarę w człowieka. — Szukam na różnych drogach. Pan należy do powojennego pokolenia. Może dowiem się od pana, co wy młodzi przeciwstawiacie krwawemu oblędowi moskiewskich szaleńców? Oni bądź co bądź mają ideę i odwagę, oni są konsekwentni i logiczni. Co wy im przeciwstawiacie? Państwo, kapitalizm, katechizm?

— Walkę o sprawiedliwość ludzi wolnych, swobodę, dostojęństwo człowieka.

— Wszystko to już było, mój panie.

— Ale cierpienie trwa! — krzyknął Andrzej

— to jedno jest niewątpliwe! A dopóki jest cierpienie, ucisk, krzywda, trzeba walczyć.

Mojkin podniósł obojętny wzrok z nad kabały.

— Krzykiem ani mnie ani siebie pan nie przekona! — zauważył spokojnie i pomieszał karty.

— Otóż to właśnie! — ciągnął dalej, kartując znowu — cierpienie, ucisk i krzywda trwają mimo urzędowo wyznawanej religji miłości i owej szlachetnej walki ludzi wolnych, która toczy się przez stulecia. Nie udało się minionym pokoleniom ufundować sprawiedliwości, zgracie się i wy. A zresztą gdybyście obdarzyli ludzkość szczęściem, człowiek syty i zadowolony zacząłby z nudy tęsknić za cierpieniem i niedostatkiem.

Szydłowski słuchał cierpliwie. Pewnej chwili pochylił się w stronę gaduły i zawołał z pasją:

— Szkoda czasu i słów na rozprawy o troskach dalekiego jutra! Pokażę panu Piekiełko, taki czworak...

Bogacz uśmiechnął się.

— Nie odmawiam nigdy wsparcia. Sekretarz mój wypłaci panu sto dolarów. Ale dużo jeszcze zostanie na ziemi Piekiełek i nie pozbędzie się pan swego własnego w sobie piekła.

Andrzej wstał. Za drzwiami gość znowu chrapał, Mojkin powoli i starannie kartował.

— Odkąd pan się zjawił, żaden pasjans nie chce mi wyjść.

We drzwiach Szydłowski spotkał się z młodzieńcem elegancko ubranym.

— Proszę pana — zawołał Mojkin — niech

się pan zatrzyma. Radziłbym porozmawiać z panem sekretarzem. Jest to człowiek przyszłości, bardzo nowożytny i zarazem najbliższy mały, bo nie posiada ani jednej własnej myśli, bo cała treść jego z naśladownictwa... pan troszczy się o los proletariatu, martwi się nędzą parobków w jakimś czworaku, tego zaś tu wytwornego młodzieńca dziś więcej zajmuje kwestja praktycznych podwiązek, modnego krawatu i piżamy, aniżeli niedola współbraci.

— Pan prezes zawsze lubi żartować — pobłażliwie zauważył elegancki młodzieniec i, odstawiając z przesadą mały palec otworzył białemi wypielęgnowanemi rękami czerwoną skórzaną tekę.

Wprost z hotelu Andrzej udał się do pani Oktawji. Decyzja zapadła bez namysłu, wołał nie wracać na razie do domu, bał się dziś samotności. Przeżycia dnia kłęski wyczerpały go, rozmowa z Mojkinem sprowadziła stan gnuśnej nudy, na którą nie było rady. Majaczyła w nim także chęć zerwania z przeszłością, znieważenia dawnego człowieka, który był winowajcą kłęski. Do pani Oktawji! Trzeba skończyć z tragedją, zacząć nowy rozdział — przypomniały mu się słowa Ini, ale z ogromnej już odległości, jak gdyby rozmowa dzisiejsza miała miejsce przed laty

Szedł wolno. Snuły mu się po głowie sprośne powiedzonka kolegów, błakały się urywki cynicznych zdań Mojkina. Zajrzałem na drugą stronę kłamstwa, Boga niema i człowieka niema. Jest świnią. Mało go obchodziła wisielecza filozofja wykolejeńca, nieznośnem natomiast

było poczucie pewnego podobieństwa czy pokrewieństwa między nim a ex-księdzem. Na czemże polegało to podobieństwo?! Nie chciał nad tem się głowić. Minjaturowa willa państwa aptekarstwa, na cześć właścicielki nazwana „Promienną“ leżała na przedmieściu. Przed apteką zszedł na niezabrukowaną jezdnię. Noc była gorąca, pełna niepokoju. W zachodniej stronie za lasistemi wzgórzami zapalały się krótkie jak mrugnięcia powiek czerwone błyskawice. Pachniało ropą w powietrzu, co zapowiadało deszcz. Zrywał się raz po raz ciepły południowy wiatr, załomotał szyldem i, wytarzawszy się w piasku, przepadał w parku za rzeką. Między zwałami wielkich ciężkich a sunących chyżo obłoków ukazywały się gwiazdy i nikły wnet. Drzwi czworaka były otwarte. Zamiast jęków chorej, niosły się dziś skoczne dźwięki oberka.

Minął „Piekielko“, ów znieawidzony symbol cierpienia i nędzy, ciemnoty i niesprawiedliwości. Nikt go nie powołał do ratowania ludzkości, do wiecznego płakania nad niedolą świata. Niech przede wszystkim uzdrowi samego siebie i rozpocznie zdrowe, normalne życie, niech zostanie tęgą zadowoloną świnią. Przyspieszył kroku, rzekłbyś z obawy, by nie przyszedł w nim do głosu ów przekłęty doktryner, marzyciel, metafizyk, którego chciał zabić w sobie raz na zawsze.

Okna „Promiennej“ były ciemne. Pchnął furtkę i cisnął za sobą zamasyście, przemierzył szybkimi krokami ogród, wbiegł na ganek i nie dzwoniąc wsunął się do przedpokoju. Tu za-

trzymał się, nie wiedząc dokąd iść, gdyż nigdy jeszcze nie był z wizytą u państwa aptekarstwa. Zadziwił go zapach palonej kawy o tej godzinie. Naraz, jakby z pod ziemi czy z za płaszczą wiążącego na gwoździu wyszła ku niemu pani Oktawja.

— Czy pani jest sama? — zaczął prosto z mostu.

— Pan chyba nie otrzymał mojego listu?! — obruszyła się. — Wyraźnie i po polsku napisałam, by pan dziś nie przychodził.

Zaprowadziła nieproszonego gościa do nieoświetlonego pokoju, wskazała najdalsze krzesło. Zaczęła się rozmowa, raczej monolog. Piękna pani gniewała się, że nie stawił się w niedzielę, że nie dotrzymał słowa i nie przyniósł pożyczonej mu powieści, spytała o ową damę przyjeżdżną, z którą flirtował na kolei, lajała za niemoralne życie, prosiła o wiersze.

Odpowiadał półgębkiem.

— Czy pan jest chory? Zapewne serduszko boli, a może dręczą wyrzuty sumienia, poeci są zwykle wielkimi grzesznikami. A ja dla pana mam niespodziankę.

Nie zapytał nawet, na czym owa niespodzianka polega.

— Mąż szuka kasjera. Za chwilę tu przyjdzie. Mówiłam mężowi, że pan potrzebuje posady. Sympatycznego miałabym kasjera, pan zaś — bardzo srogą szefową. Bardzo będzie się pan bał szefowej?

Obracał kapelusze w palcach. Nie dla głupiego flirtu, nie dla konwersacji wybrał się dziś do kusicielki. Roily się nowicjuszowi, gdy wcho-

dził do ciemnego pokoju, jakieś upalne, dyszące żądzą, z książek zapamiętane sceny miłosne (niecierpliwie ręce zdzierały czerwoną suknię, ląknące usta upajały się białem grzesznem ciałem i t. p.).

Tymczasem ogarnięty zwykłą w towarzystwie kobiet nieśmiałością siedział wyprostowany z kapeluszem w ręku.

Naraz zerwał się, postąpił w stronę kanapy.

Pani Oktawja odgadła snąc jego zamiary. Zastłoniła się rękami.

— Panie! Co to za nagłe pomysły i figle? — słabo protestowała. — Pan pomylił się w adresie. Dziś gniewam się na pana — może jutro przebaczę...

— O czymże państwo tak konspiracyjnie rozmawiają w ciemności? — zabrzmiał słodko głos uprzejmego męża. — Okciu, dlaczego nie zaświeciłaś? Niezmiernie się cieszę, że pan doktor raz przecie zaszczycił nasze niskie progi. Dobraliśmy się z panem jak w korcu maku. Odkąd miasto nasze gości pana doktora w swoich murach, inaczej się odдыcha w zapadłej dziurze — gadał aptekarz, szukając po kieszeniach zapalek.

Zaświeciwszy lampę, usiadł obok Andrzeja i czuląc się do niego łzawemi oczami, prosił ponownie o pomoc w urządzeniu wieczoru muzyczno-literackiego i nawet wyrecytował z patosem sonet Zawistowskiej „Maki“.

Gdy zamiłowany w literaturze gospodarz deklamował ulubione wiersze, pani jego, poprawiwszy sobie rude loki nad czołem, zapaliła papierosa i, założywszy nogę na nogę, patrzy-

ła drwiąco zmrużonemi oczami na gościa. — W sąsiednim pokoju zakaszlało dziecko. Ojciec pobiegł tam drobnym kroczeniem i po chwili wrócił bardzo stroskany.

— Śpi -- powiedział cicho. -- Ale ten bronchit, ten bronchit! Chłopak ma podniesioną ciepłotę popołudniu, poci się nad ranem -- mówił do gościa podnosząc wysoko brwi. -- Trzebaby wywieźć Kazika w góry -- zwrócił się do żony i czekając na odpowiedź, manipulował coś przy lampie, która źle się paliła.

— Masz pieniądze? W kasie pustka, ale w głowie coraz nowe imaginacje!

— Możeby z twoich, z tych co na pianino -- padła nieśmiała propozycja.

Andrzej miętosił kapelusz w palcach, odczuwał zakłopotanie i niesmak, ale jednocześnie wśród gładzenia pocziwego farmaceuty, wśród nudy i brzydoty tego mieszczkańskiego, oświetlonego niską lampą salonu, w obecności niedoszłej kochanki zaczynała mu się układać w myśli ze skrawków niepowiązanych zdań odpowiedź na nudne, cyniczne gadulstwo ex-księdza. Nastąpiło w nim zaraz przejaśnienie z odczynieniem czaru, ocknięcie się ze snu. Znalazł się nareszcie klucz do własnego domu, którego tak niecierpliwie szukał. Wiedział przynajmniej, jak ma dziś w tym salonie z tymi ludźmi postąpić. Przedewszystkiem nie o szuka pocziwego i naiwnego męża, który pragnie mu być przyjacielem, i nie pokala tamtego kochania. Nie zostanie zadowoloną świnią. Będzie mieszkał we własnym staroświeckim, ośmieszonym domu. Jeżeli dziwactwem jest

wierna, czysta miłość, dziwactwem — wstręt do rozpusty, do kłamstwa — wstręt do bydłectwa, a metafizyką — pożądanie sprawiedliwości, wiara w dobro, w prawdę, w Boga — zostanie dziwakiem i metafizykiem. Nie on jeden. Pełno na świecie narwańców. I gdyby ich zabrakło... Toczy się na ziemi bój ze złemi mocami świata.

— Pan doktor wie i rozumie, co to jest posucha w pustyni ducha — górnolotnie prawil aptekarz. — Ale wybrani mogą za przykładem Mojżesza wywołać źródło ze skały

— Nie zwracaj sobie i doktorowi głowy Mojżeszem — przerwała pani Oktawja, pochylona nad lusterkiem w torebce — panu doktorowi potrzeba marnego kruszcu czyli posady, ty szukasz kasjera...

XXXI.

Nazajutrz Suliński, który w towarzystwie dwóch córek objeżdżał samochodem Małopolskę, dostrzegł ze swego błyszczącego Benz, Andrzeja na szosie, przywołał go, kazał mu usiąść obok dziewczynek i pokazać osobliwości miasta, tj. stary kościół, ogromną rafinerję, starostwo, bursę, szpital, gimnazjum, szkołę powszechną, więzienie i najlepszą cukiernię. Zamiłowany i przyzwyczajony do dokładności dygnitarz nie wiele zdobył fachowych wiadomości od dyletanta. Pokazało się podczas rozmowy z burmistrzem i następnie podczas podwieczorku, gdy ojciec pouczał córki o znaczeniu nafty, o bogactwach, zaludnieniu Małopolski i szkodliwości karłowatych gospodarstw, że Suliński posiada więcej od Andrzeja wiadomości i lepiej niż burmistrz zna stosunki miejscowe. Jasne oczy jego wysledziły odrazu brak jakiejś przepisowej barjery i ustępu na targowicy, nieporządku na posterunku, niepożądany ogonek interesantów w starostwie i na poczcie, oraz portrety Józefa Hallera w oknach wszystkich księgarni.

Andrzej zauważył tym razem u kolegi - dygnitarza roztargnienie. Oddalali się od siebie coraz

bardziej... Obaj zdjęli wprawdzie mundury wojskowe, ale tamten szedł przez życie wciąż jeszcze jak żołnierz do ataku, traktował najbardziej zawile i niepokojące zagadnienia z brawurą kawalerzysty i wpatrzony w wodza swego, w sztandar i w okopy nieprzyjacielskie przechodził do porządku nad najważniejszymi sprawami życia. Brakowało mu głębszego nurtu wewnętrznego, jakiejś komórki w mózgu, albo poprostu słuchu. I właśnie dlatego zapewne zdobył niejedną już pozycję, gdy on z tem swoim szukaniem rzeczy i celów istotnych, nie potrafił stać się użytecznym szeregowcem. Takim zapewne należało być, tj. wierzyć ślepo i szarżować — myślał, gdy Suliński rzuciwszy jednej córce zostawiony przez nią w cukierni szal, drugiej — rękawiczki, ruszył dziarskim krokiem, w postawie oficjalnej, jakby przed ustawionym aparatem fotograficznym do wspaniałego samochodu. Andrzej skierował się do plebanji. Jak zwykle na stromych, drewnianych schodach siedziała żebraczka z kubkiem ciepłego mleka w ręku, jak zwykle grubym głosem zaszczał Rozbój, potem kaszając przyszła otworzyć stara Marjanna. — Książdz z wypiekami na twarzy, niezwykle podniecony i trochę schrypnięty sprzątał w gabinecie przy pomocy Staszka, t. j. wymosił krzesła wiedeńskie, rozstawione po całym pokoju. Usadowiwszy gościa na obitej ceratą kanapie na wprost kłęcznika i bardzo brzydkiego oleodruku ze św. Franciszkiem Serafickim, podnoszącym w ekstazie krwawiące stygmatami rę-

ce, wrócił do swojej roboty, gdyż każdą pracę aczętą musiał wprzód skończyć.

Andrzej wziął machinalnie ze stołu gazetę, ale nie czytał. Lubił w starej plebanji, która przypominała mu dom rodzinny, słuchać głosu przeszłości. Sufit był tu belkowany, piece zielone kafłowe, stare grusze zaglądały do pokoju przez szyby, ściana lip zamykała ogród jak w Sunejkach, i okno skrzypiało, okno zgrzytało, jak wówczas, jak wówczas... Ale kiedy to było? Kiedy? Ach, tak, już wiedział. Był gorący jesienny dzień. Na tak zwanem gumnisku dosychały w słońcu i na wicherze kopice pachnącej „otawy“, szumiały w szpalerze na skraju gumniska stare lipy. Przerwano mu zabawę w sianie, niania wzięła go za rękę i uroczyście prowadziła do domu. Przeszli obok matki, która z ganku, zastaniając oczy dłonią, patrzyła na drogę. Ojciec leżał na łóżku już ubrany do trumny, w czarnym surducie i w białych rękawiczkach, z podwiązaną brodą. Brzęczały wśród ciszy muchy i skrzypiało okno. Na korytarzu szłochały głośno dziewczyny z garderoby. Dziecko rozumiało, że niania, że otoczenie spodziewa się po nim płaczu. Nie płakało wszakże. Syn gapił się na dywanik w wielkie ponsowe róże i wiszącą na dywaniku nad obrazkiem broń, na flaszki ze sterczącymi sztywnie receptami, na nieboszczyka. Żdziwiła go i zabawiła czarna jedwabna chustka związana w mocny węzeł na samej skroni zmarłego. Ciotka pochwaliła przed nianią jego siłę woli. „Ani zapłakał! To charakter!“ Nie było w tem siły charakteru.

Nie żałował gderliwego i wiecznie podrażnionego starszego pana, którego nikt we dworze nie lubił i wysmiewali wszyscy z rządcą, pisarzem i furmanem Mikołajem na czele. Syn trzymał zawsze stronę służby, dziecko kryło się w stodole, w wozowni, w krzakach, gdy pokazywał się w podwórzu „pan“ ze swoją cienką stalową laseczką, z garścią kamyczków w kieszeni na „kury i kaczki“. Dziś po latach zapomniany i niekochany ojciec stawał mu się coraz bliższy i droższy, i coraz częściej ogarniała go tęsknota za miłością ojcowską. I było mu żal ojca i siebie... Pewnego rana w niedzielę złapał go ojciec w korytarzu, wziął w ramiona i wycałował kołąc policzki nieogolonym podbródkiem. Wyrwał się wówczas z objęć rodzicielskich i uciekł śmiejąc się... Dziś żał mu było ojca, że krótkie i gorzkie miał życie, i siebie, że nie był nigdy dobrem, kochającym, szczęśliwym dzieckiem... Na ścianie zajaśniała szkarłatna smuga zachodzącego słońca.

— Człowiek ma krótki rozum a długi język i zwykle zapomina o tem, że gadaniem nic nie zdziała — odezwał się ksiądz, siadając obok gościa po skończonej robocie i ocierając pot z czoła.

— Czy to pod moim adresem te aforyzmy? Bardzo trafnie ksiądz je zastosował.

— Ale skądże!! To właśnie mnie dziś związał się język na zebraniu dekanalnym. Zawrzało jak w ulu, poobrażali się na mnie. Każdy uwagi moje wziął do siebie i pytał oburzony: jakim prawem? I rzeczywiście, jakim prawem?

— Żadnem prawem, ale z obowiązku mówienia prawdy — obojętnie zaznaczył Andrzej. Ksiądz porwał się z kanapy, zaczął biegać po pokoju, walcząc wciąż ze zbyt szerokimi gumowemi mankietami.

Z ogrodu płynął szelest liści, okno skrzy-piało.

— Wypowiedziałem kilka najprostszych myśli, a właśnie najprostsze prawdy zawierają w sobie piroksylinę. Zastosowałem do kolegów nauki i rady, których oni co niedziela udzielają wiernym. Powiedziałem, że skuteczniej niż świąteczne kazania działałyby przykłady ewangelicznego życia, że księża nie powinni mieć własności...

Ksiądz zatrzymał się, gdyż zdało mu się, że gość nie dość uważnie słucha.

— Ja tu rozprawiam, a pan znowu jakiś zgryziony. Co się stało? Dymisja?

— Dymisja.

Ksiądz, który lubił walkę, zatarł ręce.

— Przeląkł się Brzózek opinji. Ale to głupstwo, znajdzie się coś z Bożą pomocą. Nie damy się!

— Nie poszczęściło się proboszczowi ze mną. Nie warto było sprowadzać zdaleka niedowiar-ka i nieroba.

— Pan zawsze z tą swoją przeczuloną samoanalizą... Całkiem niesłusznie pan zalicza siebie do niedowiarzków. Religja nie jest nastroszeniem, ekstazą, marzeniem. Pan walczy ze złem i buduje. Pan jest szermierzem.

— Ksiądz mnie nie rozumie. Ksiądz jest człowiekiem czynu... Ksiądz pełni służbę. Ksiądz

wie i twierdzi, ja zaś nie umiem twierdzić, nie umiem powiedzieć: „tak, tak i nie, nie“ — zgaszonym głosem tłumaczył Andrzej.

Młody proboszcz zaśmiał się krótko i dziecinnie.

— Wiedza moja mała, służba marna i krótka już tutaj — dodał spojrzawszy na płonący nad dwu żelaznemi hakami na ścianie czerwony blask zachodu. Przypomniały proboszczowi owe dwa haki dzień przeprowadzki, gdy kazał je wbić w tem miejscu dla zawieszenia na nich lustra... Zwierciadło stłukło się w drodze, haki zostaną, jego nie będzie! — dumął, bawiąc się stalową dewizką.

Andrzej poruszony głosem wspomnień, które odzywały się do niego w skrzypieniu okna, krążył wciąż jeszcze myślą po niskich pustych pokojach domu dzieciństwa jak w dniu ostatniego wyjazdu z Suneiek. Dom dzieciństwa nie istniał oddawna, domu nie będzie już nigdy, nigdy...

Ksiądz usiadł nawprost zadumanego gościa, trącił gazetą.

— Nie trapić się, nie gmerać w sobie. Jest pan na najlepszej drodze. Poznał pan błędy swoje i grzechy wieku, przypomnę apostoła: non plus sapere.

Andrzej podniósł głowę, ale długa chwila upłynęła, zanim wrócił z domu dzieciństwa do rzeczywistości.

— Non plus sapere. Nakładacie na wolną myśl kaftan bezpieczeństwa, nie rozumiecie praw życia. Dlatego nie potrafię z wami iść — mówił bardzo wolno, jakgdyby gubiąc wciąż

wątek. — Człowiek kocha rozkosz poznawania, udramę wątpienia, swobodę, człowiek chce żyć pełnem życiem, pożąda szczęścia, księże proboszczu — powiadacie, że prawda wy-swobadza, ale wasz katechizm jest kłątwą, pu-łapką...

Ksiądz zaśmiał się znowu.

— Pan przeczy sobie. To chciałby pan twierdzić, to miłem mu jest wątpienie. Pomieszało się wam dziś we łbach na punkcie życia przez duże Ż., jak gdyby ono miało trwać wiecznie. Życie nie jest piękne, piękną może być dusza ludzka. Alboż pan nie żyje? Zachciewa się panu nadzwyczajności. Z życia swego nie robić, bracie, wielkiej celebry. Proszę brać przykład z ludzi małych, z ludzi prostych i żyć prosto.

Andrzej namyślał się, zdawało się nad od-powiedzią.

— Oczywiście. Któżby nie chciał żyć prosto?! Tak, ale to właśnie najtrudniejsza mądrość...

— Nie taka to trudna mądrość, jak się panu zdaje — ciągnął dalej ksiądz. Naprzykład ten Staszek mój, pan go zna, odbył wojnę, wrócił z krzyżami, z kalectwem, dziś na komornem na Piekielku.

— Staszek nie nafaszerował sobie głowy teorjami. Pracuje, ma z pewnością jakąś narzeczoną, z którą chodzi wieczorami do lasku nad rzekę.

— Kto panu broni mieć narzeczoną i kochać?

— Zbyt wielka cnota a może wielka naiw-ność.

— Nic nie rozumiem.

Andrzej spojrział przelotnie w ogień zachodu płonące za ciemną ścianą lip, spuścił głowę.

— Zameżna jest — rzekł głucho — Kościół, jak księdzu wiadomo, nie udziela rozwodu. Są podobno obejścia i wykręty, ale natury prawe brzydzą się wykrętami. Może mnie ksiądz nauczy tych sposobów i sztuczek — mówił wciąż drwiąco.

Małe bystre oczy księdza spoczęły na niepoprawnym heretyku.

— Nie pytam o nic, nie znam się na tych sprawach, ale czy miłość nie rozkwita pyszniej tam, gdzie wyrasta ponad żądzę.

Andrzej zaśmiał się przykrym śmiechem.

— Może na błoniach Elizejskich, lecz nie na ziemi, księżę dobrodzieju.

Była chwila ciszy. Ksiądz potrząsał stalową dewizką i spytał o kursa wieczorne. — Szydłowski odparł, że mimo dymisji postanowił zostać w mieście i prowadzić dalej kursa, napomknął mimochodem, że list z poleceniem sprzedaży placów w Warszawie, oraz przekazania gotówki na ręce proboszcza został już wysłany.

Ksiądz wpadł w zapał. Z łokciami na stole, pochylony naprzód, patrząc z bliska Andrzejowi w twarz, snuł plany stworzenia domu ludowego i przedszkola, wybudowania domu dla starców... Naraz urwał i zamyśliwszy się, począł krążyć po pokoju.

— Niepotrzebnie się zapędzam — rzekł, zatrzymując się przed kanapą. Nie mam już tu nic do gadania. Wyjeżdżam niezadługo. Prosiłem księdza biskupa o przeniesienie — dodał i oczy napęłniły mu się naraz łzami.

— Ksiądz wyjeżdża! Co zaszło? — zdziwił się Andrzej.

Proboszcz mrugał szybko oczami, odwrócił się i założywszy ręce za siebie, patrzył w ogród.

— Wiele się na to złożyło i długoby gadać — mówił do okna — powiem krótko: nędza, ułomność ludzka. Trzeba wziąć kij i mieszek i iść w świat. Prosiłem o wikariat w zapadłym kącie — ukrył twarz w dłoniach.

— Nędza i ułomność ludzka pójdą za księdzem do zapadłego kąta.

— Miotalem się tutaj przez pięć lat. I jaki wynik? Zatarg z kolatorem z królem naftowym, z magistratem, z całym miejscowym duchowieństwem — kajał się — człowiek zanadto przywiązał się, rozwielmógł, nabroił pychę — przeszedł się po pokoju od okna do drzwi i z powrotem, zawołał ciekawym głosem na wyrostków, którzy się zakradli do sadu, wrócił do Andrzeja.

— Każdy ma inne brzemie do dźwignia, inny kram. Pan — cierpienia miłosne, ja — pychę arcyziemską, oskarżał siebie pokornie.

— Trudno życie pogodzić z martwą literą... — budząc się z zadumy, odparł Andrzej. Ksiądz przekonał się na sobie, ja — także.

Ksiądz stał stroskany, z otwartymi ustami i jakby namysławiając się nad odpowiedzią, badał uparcie owe dwa duże żelazne haki wśród pustej białej ściany, które kazał wbić w dniu przeprowadzki. Haki zostaną, jego nie będzie! — ogarnął go smutek.

— Po pierwsze to nie martwa litera, lecz prawo Boże — odezwał się wreszcie — powtó-

re, czy pan sądzi, że dla szczęścia danem nam jest życie... wreszcie czyli można tak zwane szczęście oprzeć na fałszu?

— Wolałby ksiądz romans i schadzki, przepłatane spowiedzią, skruczą, obietnicą poprawy!

Ksiądz usiadł obok gościa objął go ramieniem.

— Czy tak mówi autor listu o prawdziwej religii? Pan żąda od chrześcijan, by realizowali zakon Boży. Osoba, którą pan pokochał, jest religijną. Niechże pan nie namawia jej do cudzołóstwa i wierny będzie głoszonym w swoich listach zasadom... Realizacja, panie autorze!

Tak, w niej jest prawda, wiara i wytrwanie, po mojej stronie — frazesy — w myśli zgodził się Andrzej z księdzem, ale głośno spierał się dalej.

— Realizacja! Rządziliście przez XVIII stuleci — a na ziemi, jak przed wiekami: bezprawie, przemoc, krzywda, niedola i zepsucie — pomstował — i człowiek jest tem samym, co w jaskini bydłciem. Gdzie obiecane Królestwo Boże?

Dziecinna, o zadartym nosie ruchliwa twarz księdza spoważniała.

— Ono było, jest i będzie — zawołał. Niebo i ziemia przeminą — ono trwać będzie. Każdy może zostać synem światłości, Królestwo niebieskie stoi przed każdym otworem.

— W zaświatach, księżu proboszczu, w zaświatach — urągał znowu Szydłowski — na ziemi świat służy złotemu Cielcowi, bo wy-

ście z Kościoła zrobili urząd wyznaniowy i żądacie od wiernych nie miłości ewangelicznej, ale posłuszeństwa, wiary w dogmaty, przed którymi wzdryga się rozum człowieka oświeconego.

Ksiądz zmarszczył się i zamknięwszy oczy skupiał się.

— Ludziom dzisiaj wydaje się, że wystarczą im ich buteleczki ze sztuczną wodą. Bóg jest żywym źródłem. Bez Boga niema miłości — tłumaczył powoli z czołem pomarszczonym. Poznał pan w Rosji pychę i szaleństwo człowieka wyzwolonego. Czy ludzkość ma być stadem niewolników smaganych bitem? Odrzucacie katechizm, Kościół porównujecie do urzędu! Cóżby się stało z prawdą Objawienia, gdyby każdy tłumaczył ją po swojemu. I przede wszystkim pan zapomina o łaskach, których szafarzem jest Kościół. Pan powinien rozpocząć praktykę życia religijnego. Dusi się pan, trzeba panu powietrza, a nie otwiera pan ust dla głębokiego oddechu.

Zaległo milczenie. Andrzej wstał, zniechęcony. Te same rady i argumenty obijały mu się już wiele razy o uszy wśród bielonych ścian plebanji. Kiedyż usłyszy żywe słowo, któreby zapaliło w nim żywą wiarę, kiedyż doczeka się cudotwórczego znaku?

— Pójdę już — powiedział jakby do siebie.

Nie poszedł wszakże, gdyż odsunawszy Staszka wkroczył do pokoju doktor Mojkin. Wymieniwszy bardzo głośno swoje nazwisko, — skierował się prosto do kanapy, rozsiadł się na niej i rzekł do gospodarza.

— Opowiadają tu, dużo o świętości i mądrości księdza dobrodzieja, przyszedłem posłuchać.

Ksiądz parsknął swoim dziecinnym śmiechem.

— Adres podano panu całkiem mylno. To raczej pan powinien nam z szerokiego świata przywieźć trochę rozumu.

Gość rozglądał się po pokoju i węszył.

— Jakże dobrze znam ten plebański pocziwy zapaszek i proboszczowską brzydotę! Sam byłem niegdyś kapłanem... Haruspex haruspicem cum vidisset... Możemy szczerze pogadać. Ale o tem potem. Narazie mam interes, przy którym to interesie upiecze się księżułkowi doskonały zarobek. Zapłacę hojnie, gotów jestem i nową wieżę i dom dla starców i nawet organy zafundować. Wyłożywszy z pugilaresu kupę dolarów, Mojkin dokładnie wyłuszczył swój interes, który polegał na usunięciu religijnych skrupułów pani Głowskiej i namówieniu jej na rozwód. Gdy ksiądz, poprosiwszy o schowanie srebrników, krótko i stanowczo odmówił, gość nie zrażony nieuprzejmością gospodarza, rozparł się jeszcze wygodniej i znowu rozglądał się po pokoju.

— Dobrze się tu księżuniowi żyje, co? Parafjanie na rękach noszą! Boga się chwali i w Boga się wierzy? We wszystko secundum scripturam. No, no, ze świecą dziś takiego poszukać!?? Może i mnie kolega nawróci.

— Nie wiele się pan od prostaka nauczy.

— Wierzy kolega w prawdziwą obecność?

Ksiądz utkwiał wzrok w twarzy gościa. Nie umiał go jakoś rozkąsić. Nasunęło się przypuszczenie, że to jest zapewne ów ex-ksiądz, o którym wspominał Szydłowski, człowiek bez czci i wiary, łotr z pod ciemnej gwiazdy, nikczemny odszczepieniec.

— Ja zwątpiłem i dlatego przed laty zrzuciłem suknię duchowną. No i nie wróciłem do Ojca, jako syn marnotrawny, ale gorliwie odprawiałem mszę przed ołtarzem ludzkości. Zaczyna się ksiądz niepokoić, czym nie uciekinier z Tworek — rzekł, zauważywszy zwrócone na Andrzeja spojrzenie księdza. — Przybywam prosto ze stolicy, a z tym oto romantykiem spotykałem się w Rosji, szlachetny zapaleniec może poświadczyć. Sam Bóg mnie tu prowadził, — chciał poufale położyć rękę na ramieniu księdza, ale ksiądz odsunął się w róg kanapy.

— We krwi utopiliście Rosję, z Bogiem wujecie, ale Bóg silniejszy — zauważył sucho.

— Dobry Bóg także zarządził potop, żeby potem lepiej się żyło ludziskom na ziemi, Bóg wogóle lubi we krwi się kąpać. Czy mam poprzeć przykładami z Pisma i z historii?

— Nie trzeba mi pańskich dowodów! — szorstko przerwał ksiądz. — Czego pan szuka w Polsce?

— Wspominałem już, że szukam tu Hani, może także wiary w człowieka i szacunku... przydałoby mi się także jakie nowe skuteczne kłamstwo. Niech ksiądz wytłomaczy temu młodemu panu, że bez miłości siebie niema życia, ani religji.

Proboszcz nic na to nie odrzekł.

— Cóż to ksiądz taki niemowa? Nie chce oświecać zbląkanego!

— Nie wiem, o co panu chodzi. Na kpiny nie mam czasu, o naukę proszę się zwrócić do mędrszych odemnie.

— Młody, ambitny, obraźliwy!... Nie kpię bynajmniej szanowny proboszczu, przeciwnie pragnę gorąco aby Bóg był. Podobno prostaczkowie poznali wszystkie tajniki, które Pan zastępów ukrywa przed mądrymi. Potraficie dziś może wykazać, że Bóg jest człowiekowi potrzebny.

— Niech pan spyta samego siebie, czy Bóg mu jest potrzebny — zauważył ksiądz, patrząc w ziemię.

— Pocóż mam pytać, księżę dobrodzieju? — Bez pytania wiem. Ale nie potrafię... chyba proboszcz dobrodziej...

Ksiądz niecierpliwie potrząsał stalową dewizką. Andrzej nie spuszczał oczu z księdza i czekał z niepokojem na odpowiedź. Pragnął, żeby wywiązał się spór, żeby Mojkin powtórzył wszystkie swoje cyniczne szyderstwa, wykazał nicość złudzeń i wierzeń religijnych, a ksiądz pokonał go, upokorzył, i zniszczył, zdobył się na stanowcze i silne słowo Wiary, którego on wczoraj znaleźć w sobie nie umiał, żeby ustami księdza przemówiła mądrość Kościoła, objawiła się moc Boża.

Ale ksiądz milczał. Mojkin bębnił grubymi palcami po stole, okno skrzypiało, szumiały w ogrodzie drzewa.

— Gotów jestem wysłuchać spowiedzi pana w kościele albo tu — tonem oficjalnym odezwał się wreszcie młody proboszcz.

— Na to jeszcze zawcześnie, panie kolego!...

— Ja zaś na próżne gadanie czasu nie mam. Chorzy czekają.

— To znaczy, że mam iść za drzwi.

— Chyba tak.

Uczyniła się cisza. Z okna płynął jesienny, suchy, urywany szelest liści. Gość wstał, leniwie przeciągnął się, wyszedł, pogłaskawszy po drodze psa, który warknął na niego z pod pieca.

— Dlaczego ksiądz nie stanął do walki z koleżką? — spytał Andrzej. — Była doskonała sposobność. Chciałem i ja posłyszeć, nauczyć się, umocnić się... Ksiądz wie i wierzy.

Ksiądz podniósł jasne oczy.

— Toteż właśnie, ponieważ wiem i wierzę — odparł raźnie, odzyskawszy po wyjściu obrzydliwego gościa zwykłą swadę. — Słabym rozumem własnym nie podołałbym, chyba tylko z pomocą Bożą, tam, w domu Pana jako sługa Jego ze stulą na ramieniu... Deus nec irridetur... — zakończył słowami apostoła. Andrzej posłał wzrok ku ścianie lip, za którymi dogasały łuny zachodnie. Niebo nad ogrodem było czyste, blado-zielone, zimne, odległe. To niebo blado-zielone, dalekie i zimne widziało się Szydłowskiemu obrazem jakowejś nieprzychylnej życiu ludzkiemu mocy. Deus absconditus. Wczoraj w ciemnym salonie aptekarza, w świetle kopczącej lampy poczuł w sobie żywą wiarę, radość twierdzenia, dziś na piasek

rozkruszyła się Opoka. I ogarnięty zniechęceniem, widział już tylko przemoc zła, bezsilność człowieka, daremność jego walk i dążeń. — I pragnął znowu cudu. Chciałby poznać twarzą w twarz, przekonać się, czy za tym małym pociesznym księdzem stoi jego wielki Bóg. — Chciałby oglądać bliskość zwycięstwa. Nie objawi się Bóg wśród błyskawic i grzmotów, nie przyjdzie z zewnątrz wiara i wiedza! I zapewne nigdy nie będzie zwycięstwa. Ale toczyć się musi walka. W trudzie, w cierpieniu pozna człowiek wartość życia i prawdy swojej — myślał, patrząc w gorejące za miastem niebo.

— Wtrynił się nieproszony i bluźnił! — pomstował ksiądz — Bóg stał się ludziom niepotrzebny?!... Doskonale radzi sobie ludzkość... Do czasu, panowie, do czasu. Bóg nierychliwy...

— Deus absconditus — mruknął Szydłowski.

— Co takiego? — spytał ksiądz.

Szydłowski nie powtórzył sceptycznej uwagi. Od czarnych na tle złotego nieba lip płynął suchy, urywany, jesienny szelest liści.

XXXII.

Józek nie martwił się długo po wyjeździe żony. Pocieszyły go korzystna sprzedaż mieszkania na ulicy Szopena, redukcja wydatków domowych, zwłaszcza zaś poczucie bezpieczeństwa, płynące z przeświadczenia, że wobec separacji wolno mu gwizdać na romans żony z Szydłowskim, na zbrodnie Szydłowskiego, na wszystkie skandale i plotki. Mimo to już w miesiąc po rozstaniu zaczął nakłaniać Inię za pośrednictwem ciotki i siostry do przeniesienia się pod dach mężowski albo przynajmniej do wytrwania w zasadach katolickich, t. j. przy dogmacie nierozzerwalności małżeństwa. Do tak nagłej zmiany poglądów i taktyki przyczyniła się gwałtowna ofenzywa jego kochanki Terci, która opuszczona przez swego „generała“, postanowiła wydać się za dawnego wielbiiciela i do celu swego dążyła, nie przebierając w środkach. Jej ciągłe telefony, wizyty, listy, codzienne prośby o pożyczkę i codzienne pogroźki tak obmierziły mu pobyt w Warszawie, że jakkolwiek żałował pieniędzy na podróże, zaczął coraz częściej i na długo opuszczać stolicę.

Podczas jednej z takich wycieczek znalazł na sobie, rozbierając się w hotelu Żorża we Lwowie po nocy spędzonej w sleepingu, wesz. Rzuciwszy koszulę na dywan i utopiwszy wesz w miednicy, uciekł pod okno i patrząc bezmyślnie w otwarte naościę drzwi pustej szopy, słuchał cichego kapania deszczu. Śród szermowania kropel poczęły wypływać mu w pamięci nazwiska znajomych, którzy ostatnimi czasy zmarli na tyfus plamisty. — Wstrząsnął nim dreszcz, jak gdyby zaczęła się już choroba. Ckliwe smak zapełnił mu usta. Zamknąwszy przezornie lufcik, wybiegł w bieliźnie na korytarz, wołał z pasją o śniadanie, pokazywał służbie, która się zleciała, utopioną wesz. Służący śmiejąc się, zabrał miednicę. Józek zaraz po kawie pospieszył do lekarza, a gdy ten nieco rozwlekłym wykładem rozproszył jego przesadne obawy, położył mu z wdzięczności na biurku tak sute honorarjum, że kilka razy dnia tego wymawiał sobie zbytnią hojność w gabinecie doktora. Spotkanym w banku i w restauracji znajomym opowiadał, nie wiedzieć dlaczego w sekrecie, temi samemi słowy o swoim pechu, t. j. o zarażeniu się tyfusem. Drwiny, lekceważące „dajże pokój“ znajomych i Wodeckiego wesołe anegdoty więcej trafiły mu do przekonania, niż wywody lekarza, najbardziej zaś uspokoiła go myśl o matce, która modli się i czuwa nad nim z oddalenia. Teraz już mógł zająć się sprawą, dla której tu przybył, t. j. zbadaniem oferty na kupno terenów naftowych z dwu szybami „na dowierceniu“. Wodecki i Brzózek, którzy obaj

występowali w imieniu fikcyjnej czy rzeczywistej spółki, potrafili podzielać na wyobrażnię nowicjusza tak umiejętnie, że ten, zapaliwszy się do interesu, zapomniał o tyfusie i Ter-ci i postanowił nie tylko przystąpić do interesu lecz wykupić wszystkie udziały. Zaczęły się szczegółowe obliczenia przewidywanej produkcji ropy i zysków, dwa dni trwały targi. Właściciele stawiali zrazu twarde warunki, następnie zmiękli. Ale wówczas w Józku wzięły górę, jak zwykle zresztą, nieufność i rozsądek.

Do interesu przystępuje się jedynie wówczas, kiedy się go zna jak maszynista swoją lokomotywę — tłómaczył strapiionemu Wodeckiemu, usadowiwszy się wygodnie w przedziale I klasy. — Nie pozwoliłem sobie na zabawę w Amerykanina — seplenił — wedle stawku grobelka.

— Pan prezes trafi zawsze w sedno — po-chlebiał Wodecki.

— Nie wiem, czym trafił w sedno, ale frajdy było nie mało. A w Krakówku fundniemy sobie na rachunek owych szybów.

Wodecki wiedział, że żadnej fundy nie będzie, pochwalił wszakże na wszelki wypadek wino, które pił niedawno w towarzystwie pewnego generała w Grandzie. Ale nie danem było Wodeckiemu zakosztować owego wina, które mu tak smakowało w towarzystwie generała w Grandzie. Zgryziony otrzymanymi w Krakowie listami Józek stracił wszelką ochotę do zabawy i zamiast zaprosić współnika na obiad, kazał mu najbliższym pociągiem wracać do

Warszawy. Listy były istotnie nieprzyjemne. Tercia żądała trzech tysięcy dolarów i co gorsza zapowiedziała przyjazd do Krakowa, administrator Kowalewa donosił o pożarze stert nieubezpieczonych, adwokat przysłał zwaloryzowany w dolarach rachunek. Ale bardziej niż listy zirytował Józka rządca jego własnego domu na Karmelickiej, ostatni safandula, który nie umiał obejść ustawy o ochronie lokatorów i w dodatku pozwolił sobie na jakąś moralizatorską uwagę na temat lichwy. Szef wyzwierzył się na niego, ale gdy wymyślał nieszczęsnego „Centusia“ od ostatnich słów, nasunęło mu się ni stąd ni z owąd zapytanie, czy aby to uniesienie nie jest chorobliwem. Umilkł natychmiast.

— Niech pan sobie idzie, i niech pan na przyszłość, panie panie — apatycznie powtarzał, patrząc przez duże okna na rdzawe usychające liście kasztana. I znowu jak we Lwowie wstrząsnął nim dreszcz. Przypomniała mu się naraz znaleziona na koszułi wesz.

Wyszedł spiesźnie na miasto, ale w ciepłym płaszczu i ręce trzymał wciąż w kieszeni mimo, że dzień był gorący.

Nie cieszyła go piękna pogoda wrześniowa, którą rozkoszowali się na ławkach plant próżnujący Krakowianie. Szedł ze spuszczoną głową, spieszył bez powodu, wymyślając po drodze różne pilne sprawy, żeby zająć czas i zaprzątnąć uwagę. Robił zakupy, oglądał kombinowany siewnik Melichara, kamienicę na Kochanowskiego, zaszedł do Związku Ziemiaków, u krawca przymierzył jedno ubranie.

obstałował dwa nowe, oraz palto zimowe, ponieważ mareczki leciały, a krawiec nie śmiał mu odmówić kredytu. Przed lustrem długo i drobiazgowo rozprawiał: Spodnie powinny sięgać do pół trzewika, rękawy do połowy dłoni, karkuł musi mieć łoki jak grochy — powtarzał, odzyskawszy całkowicie spokój. Ale kiedy krawiec, podając mu z uszanowaniem palto, zapytał: „czemu to pan prezes ubrał jesionkę na takie gorąco!“, pan prezes zmieszał się tak widocznie, że aż krawiec począł gościa przeproszać i narzekać na zdradliwą jesienną pogodę. Józek rozpiął zaraz potem płaszcz i nawet zdjął go zupełnie, żeby przekonać samego siebie, że nie odczuwa chłodu. Lecz podczas obiadu w Grandzie kazał kelnerowi pozamykać drzwi, jakkolwiek przeciągu nie było. I nie smakowały mu papierosy po kawie ani kawa, a dwa koniaki, które wychylił z porady Kazia, rozgrzały go, ale nie rozweseliły. Pewnej chwili Kazio, który był galileuszem, ukłonił się dwu paniom czarno ubranym i jednocześnie zupełnie niepotrzebnie poinformował go, że są to kuzynki Molskiego, znanego w mieście lekarza, zmarłego wczoraj na tyfus w szpitalu na Pradniku. Józek wypił jeszcze dwa kieliszki i siedział z błyszczącymi oczami, z czerwoną twarzą, osowiały. Słuchał obojętnie gadatliwego Kazia, potakiwał Tokarskiemu. Po wyjściu obu panów Padniewski został sam w pustej sali i ku zdziwieniu znużonych kelnerów długo jeszcze z głową podparta siedział nad niedopita filiżanka. Ponieważ ból głowy nie przechodził, wybrał się fiakrem za miasto.

Jadąc rozglądał się bezmyślnie i szeptem przepowiadał sobie własne spostrzeżenia: dla kogo chodzi pusty tramwaj ulicą Wolską? Patrzcie, patrzcie w samochodzie napuszczona żydowica... skąd ten ładny chart w bramie? Stary posługacz popycha taczkę z trumną w czerwonym pokrowcu... Podniósł oczy na niebo. Chylące się ku zachodowi słońce skryło się za siny obłok, którego kraj obrębiony złotem płonął. I dlaczego teraz nagle przypomniały mu się pierwsza schadzka z pierwszą w życiu kochanką, z siostrą leśniczego w Jurkowcach, gdy on coś tam plótł dowcipnie i poetycznie, dziewczyna śmiała się bez powodu i naraz, skoro znaleźli się w gąszczu i słońce zaszło za chmury, panienska spowaźniała, jego zaś ogarnęła nieśmiałość... Żle spisał się wówczas. Lubił w gronie przyjaciół rozwodzić się nad tą „wysypą“ i dodawał zwykle, że mylą się ci, którzy sądzą, że to przychodzi samo przez się, że kunszt każdemu jest dany z natury. Młodzi muszą przejść dobrą szkołę. Sam przeszedł kilka kursów. Ileż ich było? Włada w Krakowie, Tercia w Pitrze, Irka. Inni odbyli bardziej wszechstronne studia, bo on się przywiązywał do kobiety, nie lubił zmieniać... Irka... Ale wspomnienie tych spraw, zwykle najmiłszych, nie miało dziś dla niego żadnego uroku. Natomiast, przejeżdżając koło Sukiennic, pomyślał o ojcu, który kilka lat temu zmarł nagle w Muzeum Narodowym na kanapce przed „Hołdem Pruskim“ Matejki. Był pogodny gorący dzień wrześniowy jak dziś, polewano ulice, ze szkoły wracali studenci z teczkami, na plantach

z drzew leciały żółte liście, jak dziś... smutne wspomnienia tak podziały na niego, że natychmiast, lubo interesa nie były pokończone lubo jutro miał zjawić się właściciel kamienicy na Kochanowskiego i miał przedstawić mu się kandydat na rządcę, poszedł kupić sobie miejsce sypialne, żeby dziś jeszcze uciec z Krakowa, którego wogóle nie lubił i pogardliwie nazywał „głupim“. W biurze kolejowem Teoś Podczaski, który także wybierał się dziś do Warszawy na jeden tylko dzień, nagadał mu o jakichś wywleczonych przez prasę skandalicznych aferach Choroszewskiego i samobójstwie porucznika, któremu tenże Choroszewski uwiódł narzeczoną... Pewnej chwili zwrócił uwagę na jego zły wygląd, potem jakby w związku z tem spostrzeżeniem oznajmił mu o śmierci oplakiwanego przez cały Kraków doktora Molskiego.

— No i widzisz, co może zdziałać jedna pluga-wa wesz. Nie obroni ciebie przed tyfusem cały twój majątek!

— Nic mnie nie obchodzi ten twój Molski i jego wesz! — krzyknął w pasji.

— A właśnie trzeba, żebyś się zastanowił. Nie wiemy dnia ani godziny — dokuczał Teoś.

— Kto dynda się beczynnje po świecie, ten może rozmyślać o śmierci, ale ja mam za dużo na głowie — chwycił bilet, odszedł od kasy, poraz pierwszy w życiu zapomniawszy zabrać resztę, którą wydała kasjerka. Gdy Podczaski wsunął mu pieniądze do kieszeni, rzekł cicho:

— Jeżeli nie będzie mnie dziś w pociągu, zawiadam ciotkę i żonę, że'm chory.

I wybiegł szybko.

Pociąg odchodził o północy, biła dopiero szósta, gdy wchodził do bramy. Z wieży Marjackiej popłynęła pieśń hejnału. Zajrzawszy przez okno do mieszkania stróżki, zauważył, że zieć jej heblował jakieś deski.

— Na trumnę — przemknęło mu. — Skądże na trumnę? Na kołyskę — poprawił się, spostrzegłszy gotowe już bieguny.

W ogromnym nieumeblowanym o trzech oknach i trzech lustrach salonie, który zajmował w pustym mieszkaniu, zastanawiał się zrazu nad tem, jaki jeszcze wynaleść interes i do kogooby pójść, ale został w domu i zabrał się do pisania listów. Jedno ze zwierciadeł pokazało mu twarz okropnie zmienioną, poprostu purpurową. „Plamisty“ — wionęło na niego grozą. Zamarł z przerażenia. I skądże ten chłód, dlaczego wyrósł mu naraz przed oczami wysoki zachlapany błotem parkan z desek na cmentarzu w Jurkowcach? Przeżegnawszy się, odmówił, ruszając szybko drobnymi wargami pacierz i pomyślał z rozczuleniem o matce, która modli się, czuwa, pamięta. „Mater nie dopuści, mater obroni“ — pocieszał się.

W tej chwili otwarły się drzwi i weszła z paczką żwawa drobna pani, której zrazu nie poznał, gdyż zapadał już zmrok. Nie wstał na powitanie gościa.

— Ależ to prawdziwa rajtszula! — zawołała Tercia, rozglądając się po pokoju i, zaświeciwszy elektryczność, pobiegła prosto do zwierciadła.

— Uciekasz odenennie, kryjesz się! — mówiła Tercia do lustra, poprawiając sobie kapelusz i loki — ale gdybyś nawet do Ameryki zwiął, zawsze ciebie znajdę.

Zdziwiona milczeniem odwróciła się do gospodarza, zmierzyła go nieufnym wzrokiem.

— Chory jesteś czy zbumlowany wprost po bibie?

— Głowa mnie boli.

— Kto za wiele myśli, ten może zwarzjować, a ty wciąż świdrujesz sobie mózg milionami.

Kawałkiem gazety starła kurz ze stołu i z krzesła, usiadła rezolutnie, poczem zerknęła na tekę z papierami i listy.

— Nie masz tu papu?... Umieram z głodu.

— Nie mam.

— Gdzieżby u takiego sknery!

Znowu przypatrywała się dawnemu kochankowi.

— Wyglądasz jak upiór i milczysz. Co ci jest? Chory jesteś?

— Zaraz jak upiór! Dlaczego jak upiór! — powtórzył ze złością — złapałem może kawałek grypy.

— To połóż się do łóżka.

— Dziś wieczór jadę.

— W takim razie, ja także. Zjedziemy się wszyscy. Telegrafowałam do Wodeckiego. — Przyprze się twoją cnotliwą Inię do muru, bo tak dalej być nie może. Romansuje z bolszewikiem, ale na rozwód zgodzić się nie może z wielkiej świętości.

Tercia powtórzyła kilka skandalicznych plotek o Szydłowskim i jego kochance, pochwa-

liła się zawartą w wagonie znajomością z jakąś hrabiną, która zaprosiła ją na wieś, oraz obiecała wprowadzić do towarzystwa, w końcu poprosiła o pożyczanie trzech tysięcy dolarów na kupno pensjonatu na Brackiej, narazie zaś o dwieście dolarów zaliczki. Nie oburzył się ani targował jak zwykle bywało w podobnych wypadkach. Podpierając dłonią rozpalone czoło, przypominał pocieszające zapewnienia lwowskiego lekarza, które dziś nie brzmiały mu dość uspokajająco. „Nie każda wesz roznosi zarazki duru... nie każdy tyfus jest śmiertelny... w wieku pana“... A zatem doktor przewidywał możliwość zachorowania... Oparłszy się obu rękami o stół, wstał i poszedł do okna, spojrzął w oświetlone okna kawiarni, powiódł oczami po pustych pod kasztanami stolikach, zatrzymał wzrok na jednym, zajęтым przez grających w karty żydów... „Karciecia im w głowie... zdrowe dranie“... — zazdrościł. Wrócił do Tercei, która domagała się kategorycznej odpowiedzi, bo jeżeli on teraz nie poda jej ręki, w takim razie niema już dla niej ratunku...

Wyjęła z torebki notes i cienki a długi ołówek i, wymachując tym ołówkiem, co drażniło go niewymownie, odczytywała jeszcze jakieś nazwy akcji, które obiecał był dla niej zakupić. Zdjęła go taka pasja, że wyrwał znienawidzony ołówek, cisnął nim o ziemię. Tercia zachichotała. Albo ona mnie obleje vitriolem albo ja uduszę ją — przez mgnienie napawał się chorobliwą żądzą zemsty. I właśnie w tem mgnieniu nasunęła mu się uwaga, że dziś jest dziesiąty dzień.

— Skąpisz, załujesz wszystkim, a przecież na tamten świat nie zabierzesz majątku. — Krzywdą nikt się nigdy nie wzbogacił. Bóg skarże ciebie — chwyciła go za rękę, którą wnet puściła z okrzykiem, że chorych nie powinno się wogóle nigdy dotykać.

— Ile żądasz? — spytał cicho, wyjmując z kieszeni książeczkę czekową, i już bez targów wypisał czek na dwieście dolarów, przerażony i zdziwiony, że go już nic pieniądze nie obchodzą. Niespodziewana hojność tak zaskoczyła Tercię, że kilka chwil przypatrywała się to czekowi, to jego wystawcy.

— Chory jesteś! Nie jedź dziś! Lepiej zaszanować grypę. Chcesz może, bym została z tobą... pójdę pomodlić się u świętej Barbary, wrócę na całą noc.

Zastanawiał się chwilę nad propozycją. Musi mieć w chorobie jakąś opiekę. Jeżeli to jest tyfus, gospodarz, z którym prowadzi wojnę o czynsz, wyrzuci go z mieszkania... Odwiożą go do szpitala, położą na łóżku doktora Molskiego. Kogoby tu sprowadzić? Matka i ciotka w te pędy po księdza. Irki nie puści narzeczony... Ach, gdybyż tu była Inia?

— Dziękuję, przyślij mi stróżkę, nie pojedę dziś — usta zatrzęsły mu się jak w płaczu.

Po wyjściu Terci położył się z termometrem pod pachą i liczył to kropki i róże na tapetach, to plamy na suficie, które przypominały jakies wyspy z atlasu, potem zamknąwszy znużone powieki obliczał wartość akcyj swoich w markach i dolarach, dodawał miliony. Ogromnie dokuczały mu cyfry, lecz musiał wciąż rachować.

wać. Nie miał odwagi wyjąć termometru. Skąd ta grypa? Wczoraj jeszcze był zdrow. Za dwa dni wstanie.. 29-go musi być koniecznie w Warszawie, następnie w Kowalewie... Siewy... Miał sam dopilnować... rządca odchodzi... dwa poletka pszenicy oryginalnej. A jeżeli nie wstanie, jeżeli już nigdy... Usiadł na łóżku, krew zalała mu głowę i zdawało się tryśnie żyłami...

— Nie... nie, właśnie że wstanie i wyjedzie — bronił się — jest tylko zwykła grypa, każdy musi czasami zachorować... matka modli się... tyle interesów... 25-go pożyczka w P. K. O. wypłata za las... siewy... Ale te sprawy nie wydawały mu się teraz pilnymi i nawet zgoła go nie obchodziły. Więcej natomiast zajmował go Felek, wnuczek stróżki, który plątał się po pokoju, chodząc za babką, i przyjemną mu była myśl, że kilka miesięcy temu, w chwili dobrego humoru po podpisaniu kontraktu kupna Słomic dał trochę pieniędzy stróżce na tran dla wątłego chłopca. Wodził teraz za dzieckiem oczami. Chłopak stał, trzymając palec w ustach i, przypatrywał się sobie w lustrze, potem koło pieca pochylił się nad spluwaczką, skąd pobiegł do stołu, by pogłodzić skórzaną tekę. Stamtąd ruszył do okna, gdzie, wspinając się na palcach, próbował spojrzeć w dół. Przyszedł wreszcie do łóżka i, założywszy ręce za siebie, z nieopisanem zaciekawieniem przyglądał się choremu. Stróżka otwarła okno, zahuczał daleki tramwaj, odezwały się dzwony.

Tak kołyszą się prędko i wesoło dzwony w białej dzwonnicy w Jurkowcach.

Podczas pogrzebu ojca nasunęło mu się śmieszne i niewłaściwe porównanie rozbujałych dzwonów do fruwającej w tanecznych podskokach baletnicy.

— Niedawno ojciec, teraz syn — usłyszał nad uchem zboląły głos panny Jagmin, rezydentki w Jurkowcach.

Usiadł na łóżku, pokiwał głową z żalu nad sobą, zamknął piekące oczy, zapadł w jakieś majaczenia. Gdy otworzył oczy, Felek stał jeszcze przy łóżku i gapił się na niego, obok dziecka siwy pan o różowej twarzy powoli zdejmował rękawiczki. Domyślił się, że to jest lekarz. Senność minęła odrazu.

— Ale, panie doktorze, to nie tyfus! To na pewno nie tyfus! — zaklinał gorączkowo lekarza, który nie śpiesząc się zdejmował rękawiczki.

XXXIII.

Inia długo błąkała się po pustych w niedzielne przedpołudnie korytarzach lecznicy, zanim znalazła w laboratorjum pielęgniarkę, flirtującą z ogromnego wzrostu drabem, który siedział rozwalony i usiłował utrzymać ciężką laskę na podniesionym do góry wskazującym palcu.

Pokój profesora znajdował się tuż obok. Chory w starym płaszczu z zielonym szalikiem na szyi, tym z Siemieńczyc, który ona niegdyś zrobiła dla niego, drzemał w fotelu pod oknem. U jego stóp na złotem linoleum na smudze słonecznej wesoło pląsały cienie gałęzi. Biała okropnie wychudzona twarz robiła wrażenie trupiej, sine usta były otwarte a nos wydłużony jak u nieboszczyka.

— Nie będą go operować, nie warto! Ale silny jeszcze jest! — głośnym szeptem powiadomiła gościa pielęgniarka.

Profesor otworzył oczy, uśmiechnął się pokornie do wchodzących, wskazał Ini krzesło obok siebie. Utkwił w niej wzrok i długo nic nie mówił. Ona zaś siedziała onieśmielona powagą sprawy, która się tu dokonywała, za-

wstydzona młodością i zdrowiem własnem, jak zwykle bywa u łoża ciężko chorych.

— Śniła mi się droga z kolei do Siemieńcyc — zaczął cicho, głosem przerywanym — za Kuczkuńskim lasem łączka, sunące obok gościńca po łączce dziwaczne cienie koni o nogach pajęczych. Jest ostatni wiosenny przy-mrozek. Słońce niedawno się pokazało, błyszczą rosa, poręcze na moście są białe od szronu... kukulka woła... jadę szczęśliwy do pani — opowiadał łapiąc powietrze jak ryba.

Inia oglądała zniszczone, filcowe w kratkę pantofle chorego, dokoła których figlarnie ruszały się na białej smudze słońca cienie gałęzi.

— Leciałem na skrzydłach do pani, leciałbym i dziś po latach jak niegdyś — dotknął nieśmiało jej ręki — pani nie wie, pani nigdy nie przeczuwała nawet — pani była jedyną moją radością.

— Cóż panią sprowadza do grodu podwawelskiego? — spytał po chwili, zauważywszy rozłargnienie gościa. — Nie przybyła przecież pani dla mnie?

— W części dla profesora. Mam zresztą także inne sprawy — odparła, unikając wlepionych w nią oczu starego przyjaciela. Myślała o tamtym, o młodym przyjacielu, który nie raczył przyjechać, który okłamał, oszukał, zdradził.

— Hm, każdy ma jakieś sprawy. Ja już tylko tę jedną, która nie okazała się wcale tak trudną, jak ludzie sądzą. — Czegóż mam żałować? Tego stolika z termometrem i śmierdzą-

cego ciała mego, pokoju w lecznicy? — zwrócił się z irytacją jakby do kogoś nieobecnego, a spostrzegłszy wesołą smugę słońca u stóp swoich, umilkł.

— Ale o mnie nie warto już mówić. Jakże pani poradziła sobie na nowej drodze życia? Może mąż niegodziwiec przyczołgał się na klęczkach i wybłagał przebaczenie — dopytywał. — Źle ułożyło się życie pani, — urwał zmęczony i patrzył w nią czułymi oczami — źle, źle...

Opowiedziała po krótkce dzieje ostatnich tygodni, błędząc spojrzeniem po kremowego koloru ścianach pokoju.

— To są suche fakty... radbym usłyszeć coś bardziej osobistego... Czy pani nie wzięła ciężaru nad siły?

— Nie mam zadatków na sufrażystkę — odparła wymijająco. — Ktoś słusznie o mnie powiedział, że jak kaczka boję się szybkiego nurtu, że lubię tylko cichą wodę — powtórzyła porównanie Andrzeja.

— Cichą wodą, która brzegi rwie. Wiem coś o tem, słyszałem — gładził zimnymi wilgotnymi palcami jej rękę — pani kocha... w tem mieści się wszystko.

— Nie przypuszczałam, że z profesora taki romantyk.

— Nie romantyzm to, moja pani, nie romantyzm... Dwie są moce na ziemi, miłość i śmierć ale miłość podobno zwycięża śmierć...

„Alboż istnieje miłość? Chyba ta dla pani Oktawji — gorzko myślała. — Dlaczego nie przyjechał? Czy przyjedzie wogóle? Zapewne

już nie... Byłby pewno pokazał się tutaj". Nie śmiała pytać.

— ...Kiedyż do ołtarza? Kiedyż do ołtarza? — powtarzał chory z przekąsem.

— Nie mówmy profesorze o sprawach nieistniejących... oddawna pan w tej klinice? Zadowolony z lekarzy, z kuracji? — zmieniła temat.

— Nie jest to lecznica, moja pani i niema tu lekarzy. Nie zażywam żadnych środków — z rozdrażnieniem narzekał chory. — Niech pani wypyta eskulapów, dlaczego tak ciągle odkładają operację, dlaczego tacy zajęci? Uważają zapewne, że już nie warto... — chytrze dodał i z lęklwym uśmiechem czekał na jałmużnę pociechy.

Inia radziła zmienić klinikę, lekarza, spróbować Wojnowskiego, jakichś cudownie skutecznych masażu kręgosłupa.

Chory ożywił się, z wielkiem zajęciem wysłuchał wszystkich rad, poczem znowu wydrwił powagi krakowskie oraz Dom Zdrowia, który nazywał domem śmierci, znowu zadawał pytania, prosił o zapisanie nazwisk, o adresy owych cudotwórców.

— No i poco to wszystko?... — przywołał siebie naraz do porządku — żeby przedłużyć o trzy miesiące albo o rok to marne, niepotrzebne nikomu życie?... — urwał i wstuchiwał się w stłumiony odgłos hejnału. — Czasami wydaje mi się, że to śpiewa nad światem moja własna, nowa, niedawno odkryta i osiągnięta radość. Ale potem znowu człowiek spadnie z tych śpiewających wyżyn w cuchnące błó-

to — spróbował chrząknąć i schrypniętym głosem ciągnął dalej. — Można nawet nad grobem, w cierpieniach, w chorobie, gnijąc na ciele, zdobyć pogodę, mądrość i wesele... Tak, proszę pani, można osiągnąć radość... — słabym szeptem powtórzył i splunąwszy do chustki uważnie przypatrywał się flegmie.

— Profesor bardzo się zmienił.

— Cóż pani nadzwyczajnego odkryła we mnie?

— Całe życie udawał pan pełnego nienawiści szydercę i złoźnika.

— A dziś nieomal święty, co? — twarz wykrzywił mu dawny zły uśmiech. — Wykąpałem się w wodach błękitnych i wyszedłem z wody młody, promieniejący weselem.

Umilkł, oparł dłonie na poręczu fotelu, wyprężył nogi i zacisnął z bólu zęby.

Inia pochyliła się z przerażeniem nad chorym, zadawała jakieś niepotrzebne pytania, dawała zupełnie zbyteczne rady, chciała dzwonić na pielęgniarkę, ale Mściszewski ruchem ręki zabronił.

— Wypowiadam piękne słówka, lecz gdy chwyci ból — spojrział z niepokojem na drzwi, które otworzyła pielęgniarka, prowadząc Teosia.

Gość nie podał ręki choremu, usiadł w najdalszym kącie, odpowiadał półgębkiem i, bawiąc się rękawiczką, patrzył wyłącznie w okno.

— Cóżes pan taki lakoniczny i spłoszony? Mnie się pan boi, choroby, śmierci?

— Boję się, profesorze.

— Nie taki straszny djabeł, jak go malują.

Podczaski uśmiechnął się, schylił się po rękawiczkę, która mu upadła.

— Jakież znalazło się antidotum?

— Jeżeli życie nie kończy się tu, jeżeli to co najważniejsze, to jedynie ważne...

— Najważniejszym — niedbale przerwał Podczaski — jedynie ważnym jest potworny fakt, że człowieka z jego religią i wiedzą, z jego megalomanią zjadają do cna robaki w lochu mogilnym.

Chory począł w zniecierpliwieniu szukać guzików na swoim płaszczu.

— Uważa pan tedy, że Mściszewski jest tylko smrodliwym rozkładającym się ciałem — spytał, przymrużając jedno oko i szczerząc złote zęby w złym uśmiechu.

— Nie, nie jest profesor samem tylko smrodliwym ciałem. Mieszka w panu dusza nieśmiertelna, która stanie się cząstką Bóstwa... ale jaka stąd pociecha?

— Chciałby pan, żeby śmierci nie było! — szeptał wybuchł profesor — żeby przez całą wieczność z teczką do banku, do warsztatów mechanicznych, do biura, potem obiad, drzemka, sprawunki, kino, dziewczynki i znowu z teczką — mówił jak dawniej, zjadliwie, gniewnie.

— Nie pragnę życia trwającego wiecznie... śmierć jest okropna...

Chory zasunął ręce w rękawy płaszcza, schował brodę w zielonym szaliku. Ini zdało się, że dygoce.

— Jeżeli śmierć nie wyzwala nieśmiertelnej

częstki człowieka, w takim razie życie nie ma sensu.

— Albo życie nie ma sensu, zdaniem profesora albo śmierć. Mnie się zdaje, że jedno i drugie.

— I życie ma sens i śmierć — syknął Mściszewski — życie może być radosne i piękne.

— W młodości, profesorze, na wiosnę, wśród ptaków niebieskich i lilij... Człowiek niestety, obdarzony został myślącym mózgiem — lekceważąco drwił Podczaski.

Inia poczęła chrząkać, kaszleć, mrugać, by nieznośnego gadułę przywołać do porządku.

— Niech pani nie robi temu zarozumiałemu krótkowidzowi znaków ostrzegawczych — zachnął się chory — wytrzymam i nawet podniosę rękawicę, lecz nie dziś, bom już się zmęczył, a mam jeszcze popołudniu dużo gadania.

Odpoczywał chwilę z zamkniętymi oczami, przywołał palcem Inię.

— Niechże i pani przyjdzie o piątej. Będzie Andrzej. Wezwałem go. Odpisał, że przyjedzie, prosił w liście bym panią zatrzymał. Teraz idźcie już sobie — wskazał drzwi.

— Co za rozkosz wyjść na słońce między zdrowych ludzi! Co za szczęście, że to on, a nie my! — wołał Podczaski, gdy zamknęły się drzwi lecznicy. — Niezadługo i na nas przyjdzie czas, ale dziś żyjemy!

Inia odczuwała taką samą okrutną rozkosz i radość! Sprawa choroby i śmierci obchodziła wyłącznie biednego Mściszewskiego. Dla niej była ta cudna jesienna pogoda, dla niej śpiew dzwonoń niedzielnych w błękicie, stary i drogi

Kraków, pan Andrzej, piękno i radość świata! Ale upojona radością i pięknem życia, doznawała jednocześnie dziwnego uczucia, że ona przebrzmi za chwilę wraz z pieśnią dzwonów.

— Zrywało mnie na wymioty, tak już tam cuchnie owa pokonana przez profesora śmierć. Tyle jest warte to jego zwycięstwo, co i fundacja. Kapitał zdewaluował u Józka. Ale człowiek musi okłamywać siebie do ostatniego tchnienia. Dzwony umilkły, Inia tę samą nutę rozsadzającej pierś radości słyszała w zgrzytliwym huczeniu błękitnego tramwaju, w turkocie dorożki, w śmiechu dzieci na plantach.

Z czego się cieszę — zapytywała siebie, idąc pod rękę z Teosem — że przyjechał, że chce się ze mną widzieć... Odjedzie... rozstaniemy się... Trzeba zejść z jego drogi. Trzeba, żeby ożenił się z tą zacną panną Zulą, bo inaczej pani Oktawja... nic się nie zmieniło — przemawiała do rozsądku bezskutecznie — niema rozwodu, nie będzie romansu, on musi zacząć nowe życie, obiecała przecież matce, że namówi go na małżeństwo... Ale przyjechał, kocha, nie zdradził jej, nie oszukał — wybuchła w sercu radość.

— Wiesz, widziałem twego małżonka kilka dni temu w Krakowie — gadał tymczasem Podczaski. Był jakiś dziwny, jakiś rozdrażniony, marnie wyglądał, zapytywał o ciebie... — Mogę podjąć się pośrednictwa i doprowadzić do zgody. Nie do twarzy ci, nie do typu w tym skromnym kapeluszu, w tanich pończochach i ubogiej sukieneczynie. Wyglądasz na boginię, która przebrała się za guwernantkę... Ale pro-

mieniejsz szczęściem... z czego się cieszysz? człowiek, któremu się źle powodzi, dziwi się cudzemu szczęściu, ja mam dziś sądny dzień.

Jakoż rzeczywiście zaledwie przyszedł do restauracji Pollera, zaczął załatwiać jakieś telefony, posyłać telegramy i listy, odbywać narady to z młodzieńcem w amerykańskich okularach, to z siwym wytwornie ubranym panem, który ołówkiem zapisywał coś w notatniku.

Po skończonych naradach zapowiedział Ini, że za dwie godziny wyjaśni się, czy jest bankrutem czy wielkim dolarowym bogaczem, ale że mu ten stan niepewności apetytu nie psuje. „Nagi wyszedłem z łona matki, nagi wrócę do ziemi“ — pocieszał się słowami Hjoba i jadł za trzech a mówił za sześciu.

— Nudno i głupio jest na ziemi człowiekowi myślącemu. Potrzeba nam proszków szumiących złudzenia... Ja nie umiałem ludzić się, myślałem zawsze nagiemi myślami, dlatego wciąż jestem błaznem. Bogowie chcą, żeby człowiek brał ich i życie na serjo. Brać życie poważnie znaczy tworzyć sobie złudzenia i gorąco się nimi przejmować. A ty dlaczego dziś taka promienna? Przełamałaś przesady, oddałaś mu się? — niedokończył indagacji, gdyż wezwano go do telefonu.

Wybiegł z takim pośpiechem, że wywołał poruszenie wśród publiczności. Po chwili wrócił wolnym krokiem z powagą i oznajmił Ini, że dyrektor — założyciel spółki „Juventus“ zwał do Wiednia z 40-ma tysiącami jego krwawych dolarów, t. j. całym jego mająt-

kiem. Chwilę siedział, zwiesiwszy w zadumie głowę, potem spytał, czy potrafił dobrze wejść na salę, t. j. czy nie było po nim znać tragedji, i znowu popadł w zamyślenie.

— Każdy przeżywa kilka bankructw w życiu: Naucz mnie ty, która promieniejesz boskiem weselem, co jest główną wartością życia? — zwrócił się niespodzianie do zajętej własnymi radosnymi sprawami towarzyszki.

Ocknęła się z zadumy, ale milczała dalej. Jakąż miała dać odpowiedź, gdy sama nie wiedziała dziś, co jest istotną wartością życia: mądry spokój wyrzeczenia się na tamtym brzegu, czy kochanie i szczęście na tym.

— Cnota, miłość, praca... powtórzysz za panią matką, niestety pieniądze są alfą i omegą, uniwersalnym kluczem... Niestety pieniądze! Marzyłem zawsze o tem, by wyjść na gościniec bez grosza, przespać gorące południe na jakiejś miedzy, iść dalej, gdzie oczy poniosą, przewędrować całą Polskę... nic nie posiadać i nie dbać o jutro, o szacunek ludzki, ojczyznę i rozgłos, o cel człowieka i życie, o kurs dolara... Dziś, gdy mogłoby łatwo spełnić się marzenie, uważam, że przyjemnie jest mieć złotą dewizkę na brzuchu, wygodne łóżko, dobrą kawę, samochód i rachunek dolarowy w banku.

I znowu myślę o samobójstwie w śmierzdzącym ustępie podwórzowym na ulicy Śliskiej... Taki będzie koniec mojej karjery. Dlaczego tak się stało, nie wiem? Może twoja niewieścia intuicja rozwiąże mi zagadkę... Powiesz napewno, że trzeba mieć wiarę. Ale nie brak mi

wiary. Tylko, że ja wierzę we wszystko: w Boga i w djabła, w Piłsudskiego i kanony endecykie, w Lenina i Förstera, nawet w waszego Mortimera. Wszyscy w oczach moich mają rację i wszyscy jednako błędzą. Niema dla mnie nigdzie miejsca — zwierzał się tonem niedbałym i patrzył wciąż w drzwi. Gdy pokazał się w nich bardzo nerwowy młodzieniec w amerykańskich okularach, pożegnał natychmiast towarzyszkę i rzuciwszy kelnerowi garść pieniędzy pobiegł z owym młodzieńcem na policję i do adwokata. Inia miała czas do piątej. Skierowała się w stronę hotelu, by tam po nocy spędzonej w wagonie odpocząć, ale gdy wyrósł przed nią na rogu ulicy nudny gmach hotelowy z dwu rzędami ciemnych, zamkniętych okien, zawróciła do miasta. Żal jej było rozstać się z cudną, błękitną i złotą pogodą wrześnieową, z wesołym tłumem świątecznym, ze starym i cichym Krakowem. Przechadzała się tedy po plantach i po Rynku, przyglądała się z czułością dzieciom i różom, dumiała u Franciszkanów, wodząc niewidzącem spojrzeniem po witrażach, które przyszła podziwiać... Gdziekolwiek znajdowała się, w kościele czy wśród dzieci, kwiatów i czułych par na plantach — wszędzie narzucała się uparcie myśl, że piękno i radość nie na tamtym, ale na tym znajdują się brzegu, że tu trzeba jej zostać i tu, nie między rozbitkami, nie w wyrzeczeniu się prawdziwe znaleźć życie. — O piątej na progu lecznicy usiłowała poraz ostatni ugasić niedorzeczny i niebezpieczny płomień buntu zimną wodą rozsądku: „poju-

trze Warszawa, biuro, sierociniec... nie się nie zmieniło... on wyjedzie... — wyliczała — drogi ich rozeszły się na zawsze... obiecała matce... On musi ożenić się z Zułą... Ale lekkomyślne, nierozsądne, krótkowzroczne upojenie nie miało... Nie chciała trapić się jutrem. Dziś miała widzieć go znowu, usłyszeć głos jego... Przyjechał do niej... nie okłamał, nie zdradził, kocha... Obejrzała się na pustą ulicę, nie było go jeszcze widać...

Profesor wręczył jej list od Teosia. „Spotkałem przed chwilą Wodeckiego, który od wczoraj szuka ciebie po mieście. Józek jest ciężko chory, podobno tyfus... Pragnie i prosi, byś go pielęgnowała. W murze więziennym twojej cnoty otwiera się furtka na szczęście“ — pod dokładnym adresem Józka dopisał niepoprawny papla.

Odrązu bez namysłu postanowiła spełnić życzenie męża. Zmiała kartkę i tłumiąc niewłaściwe myśli, które wybiegały w przyszłość, pilnie pomagała choremu, gdy ten szukał jakichś recept, liczył pieniądze na kupno wina, owoców i książek.

— Całe życie ślęczałem nad zadrukowaną bibułą — odezwał się profesor po wypisaniu listy sprawunków i tytułów książek — czytać nauczyłem się dopiero teraz. Dziś płoną i mówią do mnie słowa: „Jak orzeł gniewny, wiekuisty Panie...“

Za oknem od nagłych podmuchów wiatru szybko ruszały się gałęzie, nadciągały chmury, w pokoju uczyniło się ciemno.

„Cieszysz się, że mąż jest chory, pragniesz, żeby umarł?“ — skarciła siebie pewnej chwili.

— Była pełnia księżycowa — zaczął naraz opowiadać chory. — Księżyc stał wysoko na niebie nad trzema lipami... pani wie.. pani śpiewała u otwartego okna — podniósł powoli rękę i powoli opuścił ją na kódrę. — Zaśpiewa mi pani przed śmiercią!

— Zaśpiewam, profesorze — obiecała, nie bardzo wiedząc o co chodzi.

Położył na jej ręce wilgotną zimną dłoń.

— Śniły mi się w gorączce wody błękitne...? wody błękitne... — pokiwał głową. — No i znalazłem na łożu śmierci — oznajmił, siląc się na ton żartobliwy.

— Znalazł profesor!

— Odkryłem, proszę pani po długich poszukiwaniach — to takie proste i jasne! Wydobyć się ze skorupy samolubstwa — szeptał coraz słabiej — brać udział w radości życia — uśmiechnął się żałośnie, zgiął nogi w kolanach, splótł na nich ręce na chwilę, a potem znowu to szczypał trzęsącemi się palcami chudą szyję swoją, to szukał ręki jej, którą ona mu wciąż zabierała.

— Podczaski nazywa to błagą. Pani nie słucha, a ja plotę — zakaszlał, wypluł do chustki i badał w skupieniu flegmę.

We drzwiach, które otwarły się z hałasem, stanął Andrzej. Położyła palec na ustach, na których zakwitł najcudniejszy uśmiech, żeby go ostrzec, przypomnieć mu obecność ciężko chorego. On zaś, ukłoniwszy się jej zdaleka,

podszedł hałaśliwym krokiem z laską, z kapeluszem, w płaszczu prosto do łóżka.

— Nareszcie, nareszcie!... raczyłeś przybyć. Nie pilno ci do umierającego krewnego. Dwa razy musiałem zapraszać — gderaniem przywitał gościa profesor. — Siadajże blisko, pomówimy o interesach, pani tymczasem grzecznie pomilczy.

Wziął z białej szafki nocnej starą książkę, z książki wyjął pomietą kopertę i, nie wypuszczając jej z rąk, długo słabym głosem w sposób chaotyczny zaznajamiał Szydłowskiego z ostatnią wolą swoją. Osełski zgodził się zostać egzekutorem testamentu, pogrzeb ma być najskromniejszy, trumna drewniana, niemalowana, żadnych mów, ani kwiatów, o fundacji ani wzmianki w pismach. Z kapitału złożonego u Józka mają powstać dom wypoczynkowy dla nauczycieli w okolicy Nowego Sącza oraz internat w Mołodecznie. Wszystko do najdrobniejszych szczegółów obmyślił fundator, ilość i rozkład pokoi, rozmiar okien i szaf bibliotecznych, nawet gatunek drzew w alei i krzewów przed domem, place dla gier sportowych.

— Osełski jest trochę za wielki — kończył profesor — lecz dobrze załatwi stronę finansową, ty zostaniesz kuratorem, ale ktoś musi budować. Myślałem o Skąpskim... U niego wszystko jak z procy... Chciałbym, żeby za rok najdalej... Dużo już podczas nocy bezsennych nazwoziłem piasku, cegły, wapna, potem zabrałem się do murowania... teraz chodzę po gotowym domu, oglądam... Pamiętaj: na ostatnim stopniu schodów, nie, lepiej na kamien-

nej płycie pod wycieraczką moje nazwisko i tytułu dzieł... niech depcą je stopy młodych.

Skrzyżował ręce na piersi i, zamknąwszy oczy, leżał nieruchomo jakby już na łożu śmierci. Uplłynęła długa chwila ciszy. Inia zbliżyła się na palcach. Oboje utkwili wzrok w twarzy chorego, pochylili się nad nim, rzekłbyś dla zbadania, zali jeszcze podnosi się jego pierś w oddechu. Oczy chorego były wciąż zawarte. Ponieważ zdało im się, że usnął, porozumieli się wzrokiem i uśmiechem i poszli do okna, żeby śpiącemu nie przeszkadzać. Tam zwróćeni do zadźdżonych szyb stali, nie mówiąc do siebie. „Powiedzieć mu? — wahała się — co powiedzieć? Że mąż zachorował, że może umrze, że będzie wolną“.

— Żle rozstaliśmy się wówczas na kolei — zaczął chwiejnie.

— Żle, panie.

— Pani mylnie zapewne zrozumiała — tłumaczył się zmieszany, śledząc krople deszczu ściekające po szkle. — Nic mnie z tą tam panią nie łączy i nic nigdy nie wiązało... Wolalbym nawet na zawsze wyjechać...

— Pan znówu wyrusza w świat? Dokąd pan jedzie? — spytała, lubo wiedziała, że ten nowy projekt oczywiście nie dojdzie do skutku.

— Nie wiem jeszcze. Narazie zostaję. Dość mam turystyki i nieróbstwa. Ale jeżeli wykiwają, mnie stamtąd, wstąpię może do szkoły lotniczej.

„Nigdzie nie wstąpisz, mój jesteś, mój na zawsze“ — upajało się radością serce, gdy usta pożądały pocałunku surowych zaciętych warg jego.

— Zapewne dlatego zapalił się pan do lotnictwa, że codziennie zdarzają się katastrofy.

— Życie górne, śmierć łatwa! — zażartował.

— Śmierci pan szuka, nie życia — odpowiedziała ze śmiechem, patrząc mu w oczy.

— To od pani zależy — wyrwało mu się.

Czekał na odpowiedź, i po chwili ciągnął dalej:

— Pani temu winna, pragnąłem życia — odezwał się znowu dawnymi słowy wbrew postanowieniu.

— Nie mogłam panie — szepnęła, gdy promienne oczy wyznały, że dziś już może obiecać mu szczęście.

— Pani nie mogła, a teraz — wyciągnął obie ręce i czekał na odpowiedź.

Wszystko wypadło inaczej niż układał sobie, przygotowując się do tej ostatniej z nią rozmowy. Jakież plany i postanowienia mogły ostać się wobec prostej prawdy, że miłował, że nie miał nikogo na ziemi prócz niej, że ona kocha...

Nie podała mu ręki. Tylko pełne blasku oczy zdradziły tajemnicę, którą postanowiła przed nim ukryć. Ale on nie zrozumiał. Odsunął się od niej, patrzył pochmurnie w smutne zadżdżone szyby, na lecące z drzewa liście.

— Zrobiłem rachunek sumienia... biję się w piersi... zawiniłem wobec pani — zaczął sucho, szorstko, bynajmniej nie tonem winowaj-

cy. Muszę uszanować religijne zasady pani, gdyż tego wymaga uczciwość. Trąbię wciąż o realizacji, powinienem chyba dać przykład z siebie. Nie pora na radosne sny. Zacząłem od złego końca. Chciałem budować filisterskie gniazdo. Nie zrobiłem dotąd nic, włóczę się beczynnienie — nie dokończył spostrzegłszy, że z twarzy jej nie schodzi figlarny, przekorny uśmiech. Profesor jęknął, przewrócił szukając dzwonka na nocnej szafce butelkę z lekarstwem. Oni, zaś, zajęci rozmową pod oknem, nie słyszeli odgłosów niezadowolenia. Nie zwrócili także uwagi na gniewne stukania w ścianę chorego. Milcząc patrzyli w ociekające deszczem szyby, na kołyszące się gałęzie brzozy, z których kapały duże krople.

„Wyznać mu? — zastanawiała się znowu — co wyznać? Że pragnie, żeby mąż umarł“.

— Światła! — zniecierpliwionym głosem krzyknął Méciszewski.

Gdy, zaświeciwszy elektryczność, stanęli u jego wezgłowia, przyjrzał się im po kolei, drwiąco.

— Ostrożnie, powoli, żebyście się nie udławili waszem kochaniem! — sarknął i odwrócił głowę do ściany. Po chwili zaś, gdy pielęgniarka przyszła z podwieczorkiem, zaczął narzekać, że herbata jest jak lura a bulka czerstwa i że lekarze nie chcą mu nic dać na apetyt, uważając zapewne, że już nie warto. I znowu odwrócił się do ściany. Ale kiedy Inia wymyśliła na poczekaniu jakąś historję cudownego uzdrowienia przy pomocy transfuzji krwi, Andrzej zaś próbował namawiać go na wyjazd sa-

mochodem do Zakopanego, gdzie powietrze więcej pomoże, niż najmędrsze preparaty kuchni łaćwińskiej, choremu rozjaśniła się twarz. Wdał się nawet w dyskusję nad tem, czy pozwolą mu lekarze opuścić klinikę, czy podróż zanadto nie zmęczy, kto go odwiezie, gdzie zamieszka, jak i od kogo można zdobyć ową zdrową krew. Naraz usta wykrzywił mu uśmiech, zamknął oczy, nie chciał już mówić. wyprawił Inię pod pozorem poufnej narady z Andrzejem. Lecz zaledwie wyszła, posłał po nią Andrzeja i prosił, by pochyliła się nad nim i przybliżyła ucho do ust. Ale nie powiedział nic, tylko utkwiał w niej wzrok drwiący i zły, jak się jej wydało, poczem, pragnąc zapewne wskazać jej drzwi, wykonał ręką słaby ruch. Wyszła.

Andrzej odprowadził ją na ulicę. Idąc pustym korytarzem dzielili się zbytecznymi zupełnie uwagami nad ciężkim stanem „biednego profesora“.

— Mam nadzieję, że pan tylko żartował z tem lotnictwem — nawiązała do przerwanej rozmowy.

— Tylu innych uprawia ten żart, znalazłem się w punkcie zwrotnym — odparł niechętnie.

— A wszystko to z piekielnej miłości własnej, z ambicji i pychy...

— Wszystko z ambicji, z pychy...

— Nie mógłby pan zostać małym szczęśliwym człowieczkiem?

— Chcę właśnie być tylko małym uczciwym człowieczkiem! Tak zwane szczęście nie istnieje już dla mnie... Nie mam prawa.

— Wynalazł pan jakąś nową trutkę — zauważyła śmiejąc się...

— Tak, wynalazłem nową trutkę — gorącemi dłońmi ujął ją za rękę — gdzie pani mieszka? Czy mogę panią dziś odwiedzić, dziś tylko, poraz ostatni.

Wymieniła hotel, ale po chwili dodała, że nie może go dziś przyjąć.

— Jutro mnie tu nie będzie.. Ale oczywiście pani ma rację, pani jest zawsze rozsądna, to ja nie umiem nawet myśleć logicznie.

Pchnął drzwi. Już miała mu wytłumaczyć, dlaczego nie może zaprosić go do siebie, ale nie powiedziała nic. Nie chciała, nie mogła mówić z nim o chorobie męża. Na ulicy paliły się już latarnie, padał zimny deszcz rzadkimi, dużymi kroplami, brzoza trzęsła się na wietrze, gubiąc liście, na mokrych chodnikach słały się pod latarniami złociste smugi. Smutek otulał miasto, które od rana pod błękitnem niebem wrześniowem rozbrzmiewało niedzielną gędźbą dzwonów.

— Chciałabym wkrótce odezwać się do pana. Gdzie go mam szukać?

— Teraz pani rozmija się z rozsądkiem.

— Pan bardzo gorzki dziś, a doprawdy niczem nie zawiniłam.

Położyła rękę na ramieniu jak wówczas na schodach, kiedy wziął ją w objęcia, patrzyła w oczy. Nigdy jeszcze nie widziała tyle męki w oczach człowieka. Stłumiła jęk.

— Sama pani kazała mi oddalić się dla jej dobra, ożenić się z Zulą dla jej spokoju.

Zajechała z hałasem dorożka, wysiadł z niej

wysoki pan z poduszką z tlenem. Inia skinęła na furmana.

— Napiszę do pana, doniosę... proszę mi przesłać adres! — prosiła znowu, wychyliwszy się z karetki.

* * *

Mąż poznał ją odrazu. Z wielkiego szczęścia usiadł na łóżku i zamachał rękami na powitanie.

— Dobra jesteś, wiedziałem, wiedziałem — dziękował gdy stanęła nad nim.

— Wodecki telegrafował na wszystkie strony... Żle jest ze mną... głowa piekielnie boli... ten wstrętny niesmak — skarżył się i prędko w szybkiej niewyraźnej mowie poruszały mu się drobne usta.

Zamknął oczy, zwilżył językiem wargi.

— Będzie tyfus, zabiorą do szpitala — żalił się płaczliwie — pod poduszką są klucze, otworzysz szufladę, w dużej kopercie — dolary. Daj, gdzie trzeba, pošlij gospodarzowi czynsz zgóry do końca roku.

— Nie zabiorą ciebie do szpitala, zostaniesz tu, niema mowy o tyfusie — litościwie uspokajała, męża, gdy oczy pomimowoli szukały na rozpalonej twarzy oznak zbliżającej się śmierci. Zauważyła, że nos się Józkowi jeszcze nie wydłużał, że nie było u chorego zapowiadającej bliski koniec apatji. Wziął rękę jej, chłodził dłonią rozpalone czoło.

— Końska gorączka. Serce nie wytrzyma, napisz do mater!... Pomodli się — prosił zwilżając wciąż końcem języka suche usta. — Serce

słabe... serce słabe — powtarzał gorączkowym szeptem.

Mimo, że pilnie czuwała nad sobą, nie zdążyła stłumić zadowolenia, które sprawiła jej wiadomość o osłabieniu serca.

— Napiszę do matki.

Podniósł jej rękę do ust.

— Nie zdjęłaś obrączki! Wróciłaś! — ucieszył się i opadł na poduszki.

— Pić, pić — szeptał, nie otwierając oczu.

Zagotowała wody, przygotowała lemonjadę, która choremu nie smakowała, zmieniła okład na głowie, poprawiła poduszki...

Józek był niespokojny, rozkapryszony i wciąż o coś prosił. Krzątała się po pokoju zwinnie i cicho, myśląc tylko o tem, by odgadnąć życzenia chorego, by choremu dogodzić. Gdy usnął, zeszła na dół do telefonu i rozmawiała z lekarzem, który był stanem pacjenta zaniepokojony. Wykluczał wprawdzie tyfus, ale wobec wysokiej temperatury i osłabienia serca obawiał się powikłań. Wróciwszy na górę, stanęła na chwilę w oknie. Nad wieżami kościoła Marjackiego przecierało się niebo. — Otworło się tam między skłębionymi cumurami jak gdyby okno na cudny, szafirowy, nieskończenie daleki tajemniczy świat.

„O 8-mej — krople, dwa zastrzyki, jeden przed nocą, drugi — nad ranem, badać tętno, w razie osłabienia tętna — proszek“ — powtórzyła zalecenie lekarza.

Naraz stuknęły na dole wejściowe drzwi, jak w lecznicy, kiedy on odprowadził ją na ulicę.

Spojrzały na nią śmiertelnie znuzone oczy skazańca.

Splotła pomimowoli ręce jak do modlitwy... Ale nie śmiała zacząć modlitwy... Bóg jest dobry...

„O 8-mej — krople, dwa zastrzyki, drugi nad ranem“ — powtarzała znowu, by zagłuszyć nie-
dozwoloną wracającą uparcie myśl.

XXXIV.

Otworzyła wszystkie trzy okna, gdyż dzień był prawie upalny. Po zimnych słotach nastąpiła w połowie października przedziwna czerwcową pogodą. Niebem płynęły białe letnie obłoki, złote drzewa zdawały się rozkwitać ku nowej wiosnie.

Przed chwilą wrócili z Józkiem z codziennej przejażdżki. Józek, nie zdejmując płaszcza, zasiadł w fotelu i zabrał się do przeglądania przepisów lekarza, jakkolwiek umiał je oddawna na pamięć.

— Kropel niema, tych na apetyt — przeraził się — przypominałem wczoraj.

— Recepta już w aptece. Zaraz przyniosę — uspokoiła męża i wyszła.

Gdy wracała z lekarstwem, spotkała na Grodzkiej pana Andrzeja. Błękitny tramwaj biegł właśnie ulicą dzwoniąc i hucząc. Pan Andrzej szedł naprzeciw ze spuszczoną głową. Wiedziała wszakże, że spostrzegł ją, i że dlatego spuścił głowę, by udąć, iż jej nie widzi. Była pewna, że minie ją, ale zatrzymał się. Spojrzeli sobie w oczy z zakłopotaniem, potem oboje jednocześnie bezradnie na błękitny dzwoniący tramwaj.

— Pani jeszcze w Krakowie?

— Jak pan widzi — nie tłumaczyła powodu długiego pobytu. — Jutro wyjeżdżam.

Nie zapytał dokąd jedzie, nie próbował za-trzymać, nie powiedział wogóle nic.

Zaskoczona obojętnością, milczała także. — Podniosła na niego wzrok, chciała zajrzeć mu w oczy, ale spojrzenie jego błędziło wśród wy-staw sklepowych.

— Pan przebywa wciąż wśród gór i lasów? — odezwała się.

— Już nie przebywam, proszę pani.

— Wyjechał pan na zawsze! — ucieszyła się, jakkolwiek nie pamiętała w tej chwili o pani Oktawji.

— Zabrałem się nareszcie do pracy — su-cho oznajmił.

— To znaczy, że pan znalazł drogę swoją...

— Nie wiem, czy znalazłem drogę, ale zabra-łem się do pracy — wyjaśnił, postawił kropkę i znowu o nic nie pytał, znowu nie miał jej nic do powiedzenia.

Skupione uważne oczy badały długi zaprzę-żony w jednego małego konia chłopski wóz, który przejeżdżał ulicą.

— Czytałam o powodzi — zaczęła, pragnąc przedłużyć rozmowę. — Niemowa narobił pa-nu kłopotu. O mało pan nie utonął, ratując biedaka.

— Co ma wisieć, nie utonie — odpowiedział stereotypowo i uśmiechnął się z roztargnie-niem, ale nie do niej, lecz do przechodzącego oficera.

— Czasami człowiek ani zawisnąć ani utonąć nie może — szepnęła.

Spojrzał na nią przelotnie i znowu jak w lecznicy rozdarło się jej serce od spojrzenia tych śmiertelnie znużonych oczu skazańca. — Stłumiła jęk. Szukała w popłochu jakichś słów, ale on podniósł już rękę do kapelusza. Pocóż miała zatrzymywać go dłużej? Skinęła głową, podała rękę, którą on ucałował ceremonialnie, rozeszli się w dwie strony.

Przechodząc Plantami, usiadła z przyzwyczajenia na swojej ławce naprzeciwko poczty. Odkąd pielęgnowała męża, nie miała zupełnie czasu dla siebie z wyjątkiem krótkiej chwili wytchnienia codziennie w powrocie z miasta do domu na Plantach. Przyglądała się wówczas chmurom, wysokim kołyszącym się drzewom, cieniom na trawie, przechodniom, wsłuchiwała się w hałas miasta, cieszyła się życiem, płynącym dokoła. Czasami odczytywała listy Sawy, niekiedy oddawała się wspomnieniom, jeszcze rzadziej wybiegała myślą w przyszłość. Dziś przesiadła swoją chwilę wytchnienia z pochyloną głową, nie myśląc o niczem. Z wielkiego zdumienia nie mogła myśleć. Głaz zwałił się na nią i przygniótł, ona zaś odczuwała na razie tylko zdziwienie. Gdy zadzwoniono w klasztorze, zerwała się i poszła prędko do domu. Trwał w niej wciąż jeszcze stan osłupienia. Zdawało się, że do żadnego innego uczucia nie była już zdolna. Idąc, dziwiła się, że wracające ze szkoły pensjonarki śmieją się, że garbaty pan czyta na ławce gazetę, że ludzie dokądś spieszą, że rozmawiają z oży-

wieniem. Ona śpieszyła także, powtarzając suchemi wargami te same wciąż wyrazy: Góry lodowe, góry lodowe...

Józek ucieszył się, że w porę przyniosła lekarstwo. Było akurat pół godziny do obiadu. Siedział w fotelu, w płaszczu z pledem na nogach.

— Zabłocki wpakuje się, jak zwykle przed samym obiadem — narzekał. Jak myślisz, ile zaśpiewa za leczenie? — dopytywał po zażyciu kropel, które odliczyła mu żona. Spróbuję potargować się. Jak uważasz?

— Spróbuj potargować się.

— Ciotka wysłała kucharza do Kowalewa. Pisałem, żeby napalili w piecach. Czy kazałaś wysłać rzeczy?

— Wiesz, że nie pojedę do Kowalewa. Muszę na posadę — odparła, pogrążona wciąż w zdumieniu bez granic.

„Co stało się między niemi? Co zaszło? Skąd lodowe góry? Ale oczy te same... pełne męki, śmiertelnie znużone oczy skazańca“.

— Na posadę, na posadę! — zaperzył się Józek. Codzień w kółko to samo. Lepiej nie dotrzymać słowa, niż zrobić głupstwo. W Kowalewie także będzie posada. Założysz sobie ochronkę, szpitalik, albo nawet uniwersytet, zrobię cię sekretarką. Będzie nam dobrze... zobaczysz. W nagrodę zawiozę do Gdańska, nad polskie morze... W Sierocińcu nie dasz sobie rady. Zameczysz się, zajeżdżą cię dzieciaki.

— Tyle razy o tem była mowa. Józku! Dam sobie radę — cierpliwie broniła się.

Znalazł drogę, pracę i cel... może nowe szczęście... Zawsze pragnęła, by zerwał, by to się skończyło... sama namawiała... I nagle tragedia! Czegóż się jej zachciewa? Żeby szalał z rozpacz, strzelał do siebie, żeby ukląkł na chodniku, padł do nóg, zapewniał o miłości — szydziła, usiłując podważyć i zepchnąć głaz, który gniótł tak okropnie, że brakło poprostu tchu.

— Strasznie jesteś zarozumiała! Mater mówi, że tylko puste, lekkomyślne, zepsute kobiety opuszczają mężów — gadał Józek. — Księża zabraniają, a ty zmieniasz obrączki jak rękawiczki.

— Nie zmieniam obrączki — odparła łagodnie, powtarzając wciąż w myśli kilka tych samych wyrazów bez związku:

„Teraz naprawdę... nowe życie... góry lodowe“...

— Co mruczysz pod nosem? I co jesteś taka kamienna?

— Kamienna — powtórzyła jak echo i zabrała się do nakrywania do obiadu. „Kamienna!...“ Tyle razy przeprawiała się na tamten brzeg — i zawsze ta sama męka... Powinna dziś cieszyć się, że znalazł pracę, nowe życie, nowe szczęście, że zerwał, że mu jest dobrze — myślała wyjmując zimnemi jak lód rękami sucharki z blaszanego pudełka — powinna cieszyć się. Skądże naraz rozpacz? Stać rozpacz, że to był błąd i fałsz — z pasją wysnuła niespodzianie wnioszek. — Fałsz i błąd. I tego już się nie naprawi... nigdy, nigdy... Złamało się życie jemu i sobie. Teraz już się nie odro-

bi — przeszła ją naraz przerażająca świadomość błędu, poczucie zmarnowanego życia. Nie skończyła nakrywania, uciekła do okna.

Nie cnota, nie wzniosła ofiara, ale zmarnowane życie — powtarzała z pasją, patrząc na kołyszące się rdzawe liście kasztanu. I tego się już nie naprawi... Męka...

Rozległo się mocne pukanie i we drzwiach pokazał się siwy, rumiany na twarzy pan. — Przywitawszy się z pacjentem, doktor Zabłocki usiadł i zaczął powoli zdejmować rękawiczkę z lewej ręki. Potoczyła się okolicznościowa rozmowa. Letnia pogoda, kurz. Zamało polewają ulice. W Warszawie jest więcej porządku. Nie, niema epidemji. „Byłem już jedną nogą na tamtym świecie. Pan konsyljarz zatrzymał“ — cieszył się Józek, jak za każdą zresztą wizytą lekarza.

— No, niezupełnie, nie całą jeszcze nogą — skromnie umniejszał swoje zasługi Zabłocki.

Młode oczy siwego konsyljarza zatrzymywały się raz poraz na milczącej żonie, która tkwiła ciągle pod oknem, nie brała udziału ani w rozmowie ani w radości. Potem z kolei nastąpiło troskliwe szczegółowe badanie zupełnie zdrowego pacjenta. Wysłuchawszy serce i zajrzawszy do gardła, Zabłocki po zbadaniu odruchów zabrał się do wypisywania drobiazgowej instrukcji. Józek wciąż przeszkadzał mu zbytecznymi pytaniami, domagał się lekarstw na coraz to nowe dolegliwości: Zaparcie, zgaga, swędzenie. Zabłocki przerywał pisanie, zdejmował amerykańskie okulary, uprzejmie udzielał odpowiedzi i rad takim to-

nem, że zalecane środki, nawet woda gorzka zdawały się przyjemnemi i działanie ich niezawodnem.

Za oknem chwiały się schnące, zżarte przez rdzę jesieni liście kasztanu. „Gdzież nowe szczęście? Oczy te same, pełne męki... Zmarnowane, złamane życie... I teraz się już nie naprawi... Nigdy... Znalazł pracę, cel... Ona także... — biegły bezładne myśli“.

— Ze mną pan konsyljarz nie będzie już chyba miał kłopotu, ale żona moja jest jakaś niewyraźna. Możeby pan doktor wymyślił coś mądrego. Zabłocki wyjął natychmiast z bocznej kieszeni słuchawkę, zwrócił się z atencją w stronę pacjentki.

— Co łaskawej pani dolega? — w głosie brzmiała obietnica usunięcia wszystkich dolegliwości i cierpień.

Odeszła od okna, usiadła przy stole, spłotła lodowate ręce.

— Nic mi nie dolega, panie doktorze!

— Nie broń się! Wyglądasz jak Piotrowin, kamienna jesteś, coś cię wzięło naraz. Pan doktor zbada, wysłucha, coś zapisze — nalegał Józek.

— Dlaczego łaskawa pani nie chce się leczyć. Trzeba mieć trochę zaufania do biednych eskulapów. Nie jesteśmy cudotwórcami, ale nauka...

— Dziękuję panu doktorowi. Nic mi nie jest.

— Nic mi nie jest! Ani kropli krwi w twarzy, usta białe, oczy błędne — niecierpliwiał się Józek, który chciał zmieścić honorarjum za tę nową poradę w ogólnych kosztach kuracji.

— Może jednak łaskawa pani przestanie się gniewać na medycynę i zdradzi nam sekrecik, jak do dziecka przemawiał Zabłocki. Jeżeli szanowny małżonek twierdzi, że pani jest chora, coś musi być w nieporządku. I właśnie nauka...

Nie dać się! Tyle razy przeprowadziła się na tamten brzeg. Nie dać się! Dość bicia głową o mur i miotania się. Kończy się niewola, gdy ustaje bunt. Praca, radość żywej pracy. Niema zmarnowanych istnień, są tylko marne dusze. Tlić się musi iskierka. Wielkie ja, samolubne ja skrzyło sobie kark. To jest właśnie nowe życie. Prawdziwe życie zakwita mimo wszystko. Jedna jest prawda... I jedna służba... Na samym dnie, na samym dnie niedoli... Bóg — patrząc w rumiane oblicze lekarza, zwoływała na pomoc wszystkie zdobyte niedawno pociechy i prawdy.

— Głowa trochę mnie boli — powiedziała głośno.

— Głowa boli! — skwapliwie podchwycił Zabłocki... — jak dawno? W skroniach czy z tyłu? Kiedy częściej: naczczo czy po jedzeniu? Może są przytem nudzenia? — posypały się pytania.

Gdy odpowiedziała pokrótce na wszystkie pytania i pozwoliła wysłuchać serce, oraz zbadać wątrobę, Zabłocki zasiadł do pisania recepty.

„Prawdziwe życie... Męka. Głębina. Na samym dnie głębiny — Bóg. Wszyscy... Każdy ma swoje udzielne księstwo i każdy ma cmentarz. Zrazu panowanie, potem w pokorze, w

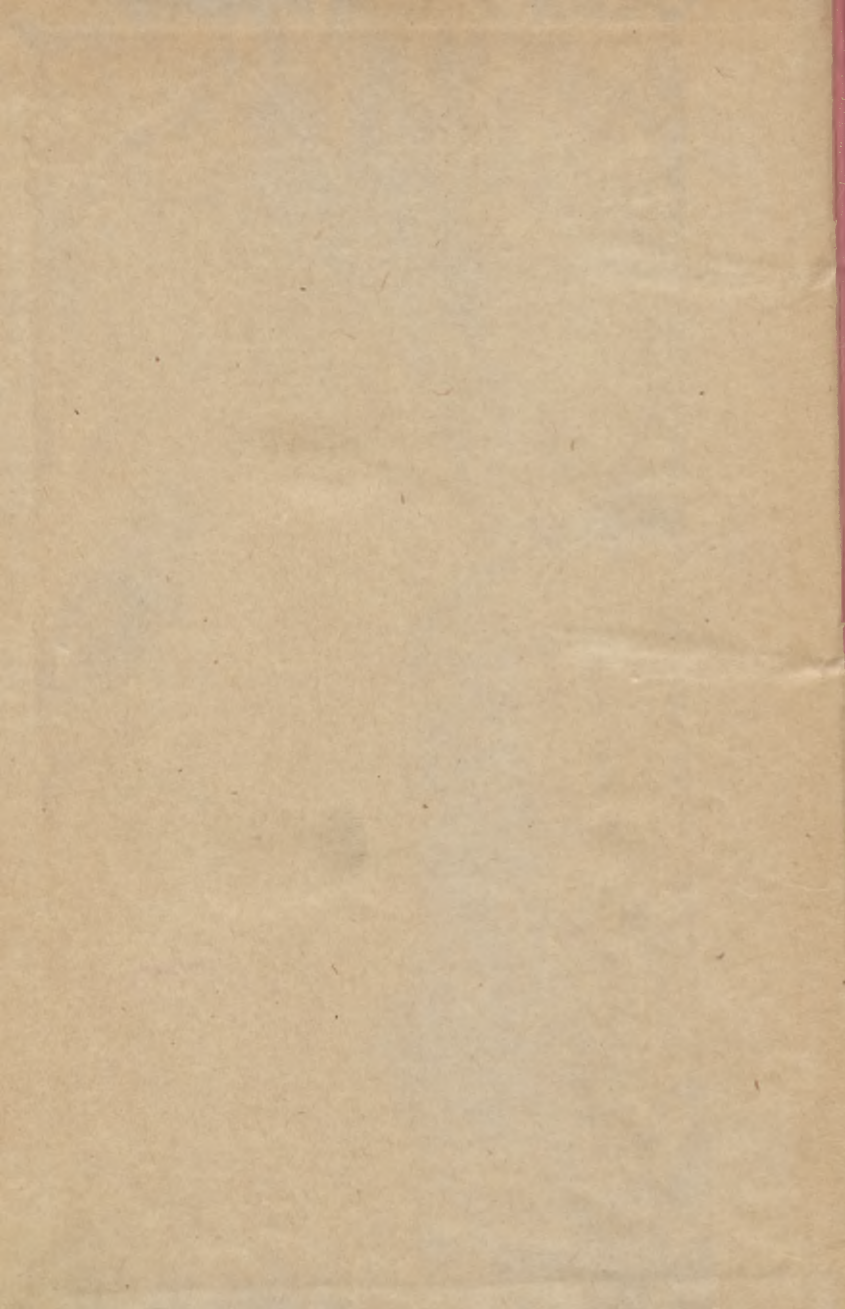
w trosce, w cierpieniu.... Tlą się iskierki. Nie będzie fałszu ni błędu, gdy zakwitnie życie. Wielkie ja, samolubne ja skrzyło sobie kark. Niema złamanego życia... — myślała gorączkowo jakgdyby musiała niezwłocznie, koniecznie w tej chwili, zanim lekarz wypisze receptę, znaleźć prawdę ratunkową, niezawodne słowo pociechy, odpowiedź i rozstrzygnięcie. Nie na tamtym brzegu, ale na tym, nie w wyrzeczeniu się, nie w ucieczce...”

— Zapisałem proszki — odezwał się lekarz, podnosząc głowę i zdejmując okulary — proszę zażywać dwa razy dziennie w pół godziny po jedzeniu.

— Dziękuję panu doktorowi. Doskonale. — Dwa proszki dziennie po jedzeniu. Doskonale — powtórzyła białymi ustami.

KONIEC.





913

60 -



WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
104833

Biblioteka WSP Kielce



0146111